

TERRY BROOKS

KRÓLOWA SHANNARY



SZÓSTY TOM CYKLU
SHANNARA

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Rozdział XXVIII

Rozdział XXIX

TERRY BROOKS

KRÓLOWA
SHANNARA

(The Elf Queen of Shannara)

Przekład: Motak Grażyna

Shannara (tom: VI)



1998

*Diane,
Której tak bardzo brak*

Rozdział I

Ogień.

Trzaskał w olejnych lampach, które wisiały – dalekie i samotne – w oknach i na gankach domostw jej ludu. Pluł i syczał, liżąc nasmołowane pochodnie zatknięte przy bramach i na skrzyżowaniach dróg. Lśnił poprzez bogate listowie pradawnego dębu i wiązu, gdzie wzdłuż szpaleru drzew zawieszono szklane lampiony. Płomyki, drobinki mrugającego światła, były niczym maleńkie stworzenia, którym noc groziła pożarciem.

Jak my, pomyślała.

Jak elfy.

Jej spojrzenie powędrowało poza budowle i mury miasta, gdzie dymił Killeshan.

Ogień.

Błyskał czerwienią z poszarpanej paszczy wulkanu, a blask jej płynnego wnętrza odbijał się w chmurach wulkanicznego popiołu, który zawisł na pustym niebie posepnymi zwałami. Killeshan wynurzał się nad nimi ogromny i niezdojty – fenomen natury, któremu nie mogła się przeciwstawić nawet magia elfów. Już od tygodni z głębin ziemi dobywał się grzmot, ponury i nieustępliwy niczym narastająca wściekłość, która w końcu zapragnie znaleźć ujście.

Już teraz lawa wydrążyła tunele w szczelinach i pęknięciach zboczy i spływała do wód oceanu długimi, wijącymi się wstęgami, które wypalały dżunglę, pochłaniając wszystko, co w niej żyło. Wiedziała, że jeszcze dzień lub dwa i to zastępcze ujście nie wystarczy, a Killeshan wybuchnie pożogą, która unicestwi ich wszystkich.

Jeśli ktoś jeszcze pozostanie.

Stała na skraju Ogrodów Życia, blisko miejsca, gdzie rosła Ellcrys. Pradawne drzewo wznosiło się ku niebiosom, jakby przedzierało się przez, opary, aby zaczerpnąć czystsze powietrze, do którego mgła broniła dostępu. Srebrne gałęzie lśniły niewyraźnie w świetle lampionów i pochodni, a w szkarłatnych liściach odbijał się ciemniejszy poblask wulkanu. Pomiedzy gałęziami drzewa tańczyły drobinki płomienia, kreśląc dziwaczne wzory, jakby próbowały stworzyć jakieś malowidło. Patrzyła, jak obrazy pojawiają się i bledną, niczym odbicie jej myśli, a smutek, który odczuwała, pochłaniał ją coraz bardziej.

Co mam zrobić? – myślała z rozpaczą. Jaki wybór mi pozostał?

Wiedziała, że żaden. Mogła jedynie czekać.

Była Ellenroh Elesedil, królową elfów, i wszystko, co mogła zrobić, to czekać. Mocno chwyciła różdżkę Ruhk i z grymasem na twarzy spojrzała w niebo. Tej nocy nie było księżycy ani gwiazd. Od tygodni prawie ich nie było. Tylko mgła, gęsta i nieprzenikniona jak całun czekający, aby opaść, przykryć ich ciała, otulić ich wszystkich i osłonić na zawsze.

Stała sztywno, podczas gdy gorąca bryza owiewała ją, unosząc delikatne płótno jej odzienia. Była wysoka, o kanciastym ciele i długich członkach. Wystające kości twarzy tworzyły bez trudu rozpoznawalne rysy. Wysokie kości policzkowe, szerokie czoło i ostro zakończony, gładki podbródek pod szerokimi, wąskimi ustami. Skóra na twarzy była napięta, nadając jej wygląd trupiej czaszki. Płowe włosy opadały na ramiona w gęstych, niesfornych lokach. Dziwne, świdrująco błękitne oczy zawsze zdawały się widzieć rzeczy, których inni nie dostrzegali od razu. Wyglądała o wiele młodziej niż na swoje pięćdziesiąt parę lat. Kiedy się uśmiechała, co zdarzało się często, niemal bez wysiłku

wywoływała uśmiech na twarzach innych.

Teraz jednak się nie uśmiechała. Było już późno, dobrze po północy i zmęczenie krępowało ją niczym łańcuch. Nie mogła spać, wyszła więc na spacer do Ogrodów, aby posłuchać nocy, aby побыć sam na sam ze swymi myślami i spróbować odnaleźć choćby odrobinę spokoju. Spokój jednak nie dawał się pochwycić, myśli przypominały małe demony, szyszące i dokuczliwe, a noc była ogromną, nienasyconą czarną chmurą, która cierpliwie czekała na moment, kiedy w końcu zdusi słabą iskierkę ich żywota. Znowu ogień. Ogień dający życie i zdmuchujący je swym oddechem. Ten obraz prześladował ją zdradliwym szeptem.

Odwróciła się gwałtownie i ruszyła przez Ogrody. Cort szedł jej śladem – milcząca, niewidzialna obecność. Gdyby zechciała nań spojrzeć, nie znalazłaby go. Potrafiła w myślach przywołać jego obraz. niedużego, przysadzistego młodzika o niewiarygodnej szybkości i sile. Był jednym ze Strażników Domu, obrońców rządzących elfów, bronią, która ich osłaniała, żywotami poświęcanymi, aby ich zachować przy życiu. Cort był jej cieniem, a jeśli go nie było, był Dal. Jeden z nich czuwał zawsze w pobliżu, dbając o jej bezpieczeństwo. Szła ścieżką, a jej myśli gwałtownie przeskakiwały z tematu na temat. Przez cienkie podeszwy butów wyczuwała nierówność podłoża. Arborlon, miasto elfów, jej dom, przeniesiony z Westlandii ponad sto lat temu – tutaj, do tego...

Pozostawiła myśl niedokończoną. Zabrakło słów, aby ją dopełnić. Magia elfów, przywołana na nowo z czarodziejskich czasów, osłaniała miasto, ale i ona zaczynała słabnąć. Pomieszane wonie kwiatów z Ogrodów przytłumiły gryzące wyziewy gazów Killeshan tam, gdzie przedarły się przez zewnętrzną granicę Keel. Łagodny śpiew nocnego ptactwa unosił

się z drzew i dachów, ale nawet tutaj ich pieśni rwały się, przecinane gardłowymi dźwiękami mrocznych stworów przyczajonych za murami miasta, w dżungli i na bagniskach, gdzie stłoczyły się przy Keel i czekały.

Potwory.

Szlak, którym podążała, kończył się na najdalej wysuniętym, północnym krańcu Ogrodów, na cyplu ponad jej domem. Okna pałacu były ciemne. Z wyjątkiem niej wszyscy wewnątrz spali. Dalej leżało miasto, zbiorowisko domostw i sklepów przycupniętych za ochronną barierą Keel, jak przerażone zwierzątka skulone w swoich norach. Nic się nie poruszało, jakby strach paraliżował, a jakikolwiek ruch mógł zdradzić kryjówkę. Pokręciła głową ze smutkiem. Arborlon było wyspą otoczoną przez wrogów. Za nim, na wschodzie, był Killeshan, wznosząca się nad miastem ogromna, poszarpana góra ukształtowana ze skalnej lawy, która wybuchała od wieków. Jeszcze dwadzieścia lat temu była uszpiętym wulkanem, teraz zaś – żywym i niespokojnym. Na północ i południe rozrastała się dżungla, gęsta i nieprzenikniona, ciągnąca się gęstwina zieleni aż do wybrzeży oceanu. Na zachodzie, poniżej zboczy, na których osadzono Arborlon, leżało Rowen, a poza nim mur Blackledge. Żadne z nich nie należało do elfów. Niegdyś cały świat do nich należał, przed nadejściem człowieka. Niegdyś nie było miejsca, gdzie nie mogliby się udać. Nawet za czasów druida Allanona, ledwie trzysta lat temu, cała Westlandia należała do nich. Teraz ograniczeni zostali do tej małej powierzchni, obleżeni ze wszystkich stron, uwięzieni za murami swej słabnącej magii. Wszyscy, wszyscy, którzy pozostali, schwytani w pułapkę.

Spojrzała w ciemność za Keel, odmalowując w myślach to, co tam czekało. Co za ironia, przemknęło jej przez głowę, oto elfy

stały się ofiarami własnej magii, własnej mądrości, planów, które zawiodły, i obaw, o które nigdy się nie powinni troskać. Jak mogli być tak głupi?

Daleko od miejsca, gdzie stała, w dole, przy końcu Keel, gdzie spiętrzała się dawno zastygła, skamieniała lawa, nagle błysnęło światło – fontanna ognia, a zaraz za nią nagły, jaskrawy wybuch i wrzask. Potem krótkie okrzyki i cisza. Kolejna próba przebicia murów i kolejna śmierć. Działo się tak co noc w miarę, jak stwory stawały się śmielsze, a magia coraz słabsza.

Rzuciła okiem za siebie, gdzie najwyższe gałęzie Ellcrys wznosiły się ponad drzewami Ogrodów firmamentem życia. Już od tak dawna drzewo chroniło elfy. Odnawiało się i odradzało. Dawało pokój. Ale teraz nie mogło ich ochronić, nie przed tym, co zagrażało im tym razem.

— Nie przed nimi samymi.

W przypływie buntu chwyciła różdżkę Ruhk i poczuła falę magii, ciepło w dłoniach i palcach. Różdżka była gruba, sękata i wypolerowana do połysku. Wyciosano ją z czarnego orzecha i nasycono magią jej ludu. Do jej czubka przymocowany był Loden – biały diament na tle ciemności nocy. W jego ściankach widziała swoje odbicie. Czują, jak dociera do jej wnętrza. Różdżka Ruhk dawała siłę władcom Arborlonu od ponad wieku.

— Ale również ona nie mogła teraz ochronić elfów.

— Cort? – zawołała cicho.

— Strażnik Domu pojawił się u jej boku.

— Zostań ze mną przez chwilę – poprosiła.

Stali bez słowa i patrzyli na miasto. Czują się nie do zniesienia samotna. Jej ludziom zagrażała zagłada. Powinna coś zrobić. Cokolwiek. Ale jeśli sny nie były prawdą? Jeśli wizje Eowen Cerise myliły się? Rzecz jasna nigdy się tak nie zdarzyło, ale tak

wiele było do stracenia! Jej usta zacisnęły się gniewnie. Musi uwierzyć. To konieczne. Wizje się sprawdzą. Tak jak obiecano, pojawi się dziewczyna, krew z jej krwi. Pojawi się.

Ale czy nawet ona wystarczy?

Odsunęła od siebie to pytanie. Nie mogła go do siebie dopuszczać. Nie mogła dopuścić do siebie rozpacz. Odwróciła się na pięcie i szybko ruszyła z powrotem przez Ogrody do ścieżki prowadzącej w dół. Cort przez chwilę szedł za nią, po czym wtopił się w mrok. Nie widziała, jak odchodził. Myślała o przyszłości, o przepowiedniach Eowen i losie ludu elfów. Pragnęła, aby przetrwali. Będzie czekała na dziewczynę, jak długo będzie mogła, jak długo magia będzie trzymała z dala ich wrogów. Będzie się modliła, aby wizje Eowen okazały się prawdą. Była Ellenroh Elessedil, królową elfów, i uczyni to, co będzie musiała.

Ogień.

Płonął również w jej wnętrzu.

Oślonięta swym przeświadczeniem niczym tarczą, schodziła Ogrodami Życia w powolnie upływających godzinach wczesnego poranka, aby udać się na spoczynek.

Rozdział II

Wren Ohmsford ziewnęła. Siedziała na urwisku ponad Błękitną Grimicą oparta plecami o gładki pień stareńkiej wierzby. Przed nią rozciągał się ocean – lśniący kalejdoskop barw na skraju horyzontu, gdzie zachodzące słońce barwio wody plamami czerwieni, złota i purpury, a nisko wiszące chmury tworzyły na ciemniejącym niebie dziwaczne wzory. Półmrok sadowił się wygodnie na swoim miejscu, światło szarzało, znad wody unosił się szept wieczornej bryzy. Zapadał spokojny zmierzch. Zaczynały grać świerszcze, a na powierzchnię wyskakiwały latające ryby.

Wren podciągnęła kolana pod brodę, ze wszystkich sił starając się zachować wyprostowaną postawę, mimo iż jedyne, czego pragnęła, to położyć się. Nie spała już od prawie dwóch dni i zmęczenie zaczynało ją pokonywać. Pod baldachimem wierzby panował chłód i mrok i łatwo byłoby poddać się, osunąć na ziemię, zwinąć pod płaszczem i odpłynąć w sen. Oczy zamykały się jej mimowolnie na tę perspektywę, po czym otwierały się gwałtownie. Wiedziała, że nie może zasnąć, dopóki nie powróci Garth. Musiała zachować czujność.

Wstała i podeszła na skraj urwiska, czując na twarzy powiew bryzy i chłonąc zapachy morza. Ponad wodami pikowały i ślizgały się żurawie i mewy, wdzięczne i ospałe. W oddali, zbyt daleko, aby dostrzec ją wyraźnie, ogromna ryba wynurzyła się z wody z głośnym pluskiem i zniknęła. Wren błędziła wokół spojrzeniem. Od miejsca, gdzie stała, biegła nieprzerwanie linia brzegu, niknąc w oddali – postrzępione, porośnięte drzewami urwisko, za którym unosiły się na północy groźne, pokryte

białymi czapami śniegu Góry Skalistych Szczytów, a na południu Irrybis. Kilka skalistych plaż oddzielało urwisko od wody. Walały się na nich muszle, sznury wodorostów i drewno wyrzucone przez fale.

Za plażami była już tylko pusta połąć Błękitnej Granicy. Podróż zawiodła mnie na koniec znanego świata, pomyślała gorzko, a poszukiwania elfów wciąż trwają.

W gęstym lesie za plecami Wren zahukała sowa. Dziewczyna odwróciła się. Rozejrzała się ostrożnie, szukając jakiegoś ruchu, jakichkolwiek oznak poruszenia, ale nic nie znalazła. Nie było śladu Gartha. Wciąż był na wyprawie, tropiąc...

Spokojnym krokiem wróciła do stygnących popiołów ogniska i rozgarnęła resztki butem. Garth zakazywał jakiegokolwiek prawdziwego ognia, dopóki nie upewnił się, że są bezpieczni. Przez cały dzień był podenerwowany i podejrzliwy. Niepokoił się czymś, czego żadne z nich nie umiało dostrzec, czując, że coś jest nie tak. Wren skłonna była przypisać ten niepokój brakowi snu. Z drugiej jednak strony Gartha rzadko myliły przeczucia. Jeśli coś się martwił, wiedziała, że lepiej nie zadawać pytań.

Pragnęła, aby już wrócił.

Podeszła do stawu położonego pomiędzy drzewami, uklękła i opryskała twarz wodą. Powierzchnia wody zmarszczyła się pod dotykiem jej dłoni i znów się wygładziła. Widziała siebie w jej odbiciu, kiedy tafla stawała się gładka, aż jej obraz ukazał się jak w lustrze. Spoglądała w dół na ledwie dojrzałą dziewczynę o zdecydowanie elfich rysach, ze sterczącymi uszami i zarysowanymi ukośnie brwiami, wąską twarzą o Wystających kościach policzkowych i orzechowo brązowej skórze. Widziała orzechowe oczy, bystre i żywe, nikły uśmiech, jak gdyby cieszył ją jej tylko znany żart, krótkie popielato blond włosy wijące się w

grubych lokach. Było w niej jakieś napięcie, napięcie, pomyślała, które nie da się złagodzić żadnym, największym nawet wysiłkiem woli.

Zakołysała się na piętach i uśmiechnęła sucho, decydując, że to, co widzi, podoba się jej na tyle, aby żyć jeszcze przez jakiś czas.

Splotła ręce na podołku i pochyliła głowę. Poszukiwanie elfów – jak długo to już trwa? Jak długo, od kiedy starzec – ten, którego zwą Coglinem – przybył, aby opowiedzieć jej o snach? Tygodnie? Ale ile ich? Straciła rachubę. Starzec wiedział o snach i zmusił ją, aby dotarła do leżącej poza nimi prawdy. Postanowiła przyjąć to wyzwanie, wyruszyć do Hadeshornu w Dolinie Shale i spotkać się z duchem Allanona. Czemu nie miałyby tego zrobić? Może dowie się czegoś o swym pochodzeniu, o rodzicach, których nigdy nie знаła, albo o swych dziejach.

Dziwne. Dopóki nie pojawił się starzec, nie interesowała się swym pochodzeniem. Sama siebie przekonywała, że to nieważne. Ale coś w sposobie, w jaki do niej przemawiał, w słowach, których używał – coś odmieniło ją.

Nieśmiało sięgnęła palcami do skórzanej sakiewki zawieszanej u szyi, wyczuwając twardy zarys malowanych Kamieni Elfów – jej jedynej więzi z przeszłością. Skąd pochodziły? Dlaczego je otrzymała?

Rysy elfów, krew Ohmsfordów oraz serce i umiejętności nomadów – miała to wszystko. Tylko skąd?

Kim była?

Nie dowiedziała się tego przy Hadeshornie. Allanon przybył, jak obiecał – mroczny i posępny nawet po śmierci. Ale nie powiedział jej nic. Zamiast tego dał jej zadanie, tak jak wszystkim wezwanym dzieciom Shannary. Parowi, Walkerowi i jej. Ale jej

zadanie? No cóż. Potrząsnęła głową na to wspomnienie. Miała wyruszyć na poszukiwanie elfów, odnaleźć je i sprowadzić na powrót do świata ludzi. Elfy, których nikt nie widział od ponad stu lat, w których nawet istnienie prawie nikt nie wierzył i które uznano za postacie z bajek dla dzieci – a ona miała je odnaleźć.

Z początku nie zamierzała tego robić, zaniepokojona tym, co usłyszała, i uczuciami, jakie to w niej wzbudziło, nie chcąc ryzykować ani brać udziału w czymś, czego nie pojmowała, i nie dbała o to. Opuściła pozostałych i z Garthem, który raz jeszcze stał się jej jedynym towarzyszem, powróciła do Westlandii. Chciała znowu żyć jak nomadzi. Cieniowce nie były jej zmartwieniem. Problemy ras nie były jej problemami. Ale napomnienie druida pozostało w niej i niemal nie zdając sobie z tego sprawy, w końcu rozpoczęła poszukiwania. Zaczęło się od kilku pytań zadanych tu i ówdzie. Czy ktoś słyszał, czy naprawdę były tu elfy? Czy ktoś kiedyś widział któregoś z nich? Czy ktoś wie, gdzie można je odnaleźć? Oto pytania stawiane z początku od niechcienia, nieśmiało, ale z czasem z rosnącą ciekawością, a w końcu prawie z naciskiem i niecierpliwie.

A jeśli Allanon miał rację? Jeśli elfy wciąż gdzieś żyły? Jeśli tylko one mają to, co konieczne, aby uporać się z plagą cieniowców?

Jednak odpowiedzi na jej pytania były zawsze takie same. Nikt nic nie wiedział o elfach. Nikt nie chciał wiedzieć.

A potem ktoś zaczął ich śledzić – ktoś albo coś – ich cień, jak zaczęli go nazywać – stwór na tyle sprytny, aby wytropić ich pomimo środków ostrożności, i na tyle chytry, aby nie zdołali go na tym przyłapać. Dwa razy usiłowali schwytać go w pułapkę i dwa razy się nie udało. Ponosili porażkę za każdym razem, kiedy próbowali się cofnąć, aby zająć go od tyłu. Nigdy nie widzieli jego

twarży nigdy nie ujrzeli go nawet w przelocie. Nie mieli pojęcia, kim lub, czym jest.

Był z nimi cały czas, kiedy weszli do Wilderun i schodzili do Grimpen Ward. Tam, dwie noce wcześniej, znaleźli Addershag. Jakiś nomada powiedział im o starej kobiecie, zwanej widzącą, która znała różne sekrety i mogła wiedzieć coś o elfach. Znaleźli ją w piwnicy tawerny, skutą łańcuchami i więzioną przez grupkę mężczyzn pragnących zarobić na jej darze widzenia. Wren nakłoniła ich, aby pozwoli jej porozmawiać ze starą istotą o wiele bardziej chytrą i niebezpieczną, niż podejrzewali jej strażnicy. Wspomnienie tego spotkania było ciągle żywe i przerażające.

Ciało kobiety przypominało wysuszoną łupinę, a twarz była gmatwaniną bruzd i zmarszczek. Splątane białe włosy opadały na kruche ramiona, a sękaty dłonie trzymała zaciśnięte przed sobą. Miała na sobie płócienną koszulę i stare buty. Wren podeszła i uklękła przy niej. Stara głowa podniosła się, ukazując mętne, nieruchome spojrzenie. Kobieta była ślepa. Wren postawiła naftową lampę na podłodze obok siebie.

— Czy jesteś widzącą, zwaną Addershag, matko? – zapytała miękko.

Wytrzeszczone oczy zamrugały.

— Kto pyta? – zaszemrał słaby głos. – Jak się nazywasz?

— Wren Ohmsford.

Biała głowa pochyliła się, wskazując schody i drzwi nad nimi.

— Jesteś z nimi?

Wren pokręciła głową.

— Jestem sama ze sobą. I z towarzyszem. Oboje jesteśmy nomadami.

Pomarszczone dłonie sięgnęły, aby dotknąć jej twarzy, badając jej linie i zagłębienia, przesuwając się po skórze dziewczyny

niczym suche liście. Wren się nie poruszyła. Dłonie cofnęły się.

— Jesteś elfem.

— Mam w sobie krew elfów.

— Elf! – Głos kobiety był ochryply i napięty. W ciszy piwnicy oberży brzmiał jak syk. Pomarszczona twarz przechyliła się na bok, jakby w namyśle. Ja jestem Addershag. Ja jestem widzącą przyszłość i to, co niesie, mówiącą prawdę. Czego pragniesz?

Wren zakołysała się nieznacznie na piętach.

— Szukam westlandzkich elfów. Tydzień temu powiedziano mi, że możesz wiedzieć, gdzie ich znaleźć, jeśli nadal istnieją.

Addershag zachichotała cicho.

— Och, istnieją. Naprawdę istnieją. Ale nie każdemu się pokazują, a od lat nie pokazały się nikomu. To dla ciebie tak ważne, dziewczę elfów, odszukać ich? Szukasz ich, ponieważ potrzebujesz kogoś ze swoich? – Mętne oczy wpatrywały się ślepo w twarz dziewczyny. – Nie, nie ty. Pomimo swojej krwi przede wszystkim jesteś nomadką, a nomada nie potrzebuje nikogo. Twoje życie jest życiem wędrowca, podróżującego swobodnie, dokąd zechce, i radujesz się nim. – Uśmiechnęła się prawie bezzębny uśmiechem. – Dlaczego więc?

— Ponieważ powierzono mi zadanie, które postanowiłam przyjąć odpowiedziała ostrożnie Wren.

— Zadanie, czy tak? – Zmarszczki i bruzdy na twarzy kobiety jeszcze się pogłębiły. – Pochyl się do mnie, dziewczę elfów.

Wren zawahała się, a potem schyliła się na chwilę. Dłonie Addarshag uniosły się znowu, jej palce badały. Raz jeszcze przebiegły po twarzy Wren, a potem po jej szyi i ciele. Kiedy dotknęły przodu bluzy dziewczyny, cofnęły się jak oparzone.

— Magia! krzyknęła stara, chwytając oddech.

Wren wzdrygnęła się, a potem gwałtownie chwyciła kobietę za

nadgarstki.

— Jaka magia? O czym ty mówisz?

Ale Addershag stanowczo pokręciła głową, jej wargi zacisnęły się, a głowa opadła na wyschniętą pierś. Wren trzymała ją jeszcze przez chwilę, a potem puściła.

— Dziewczę elfów – wyszeptała stara kobieta. – Kto wysłał cię na poszukiwanie westlandzkich elfów?

Wren zaczerpnęła głęboko tchu, aby opanować strach.

— Duch Allanona – odpowiedziała.

Stara głowa poderwała się nagle.

— Allanon! – wyszeptała to imię jak przekleństwo. – A więc to tak! Zadanie druida, prawda? Doskonale. A zatem posłuchaj. Pójdiesz na południe przez Wilderun, przejdiesz Irrybis i pójdiesz brzegiem Błękitnej Granicy. Kiedy dotrzesz do jaskiń roków, rozpal ognisko i przez trzy dni i trzy noce podtrzymuj ogień. Przyjdzie ktoś, kto ci pomoże. Rozumiesz?

— Tak – odpowiedziała Wren, zastanawiając się równocześnie, czy naprawdę zrozumiała. Czy kobieta mówiła o rokach? Czy to nie gatunek ogromnego przybrzeżnego ptaka?

— Bądź ostrożna, elfko – ostrzegła kobieta, unosząc chudą dłoń. – Widzę przed tobą niebezpieczeństwo, ciężkie czasy, zdradę i niewyobrażalne zło. W mojej głowie są wizje, prawdy, które prześladują mnie swym szaleństwem. Uważaj i na mnie. Kieruj się własnym osądem, dziewczyno. Nie ufaj nikomu!

Nie ufaj nikomu!

Potem Wren opuściła starą kobietę, zachęcana do odejścia, mimo iż chciała zostać i ofiarować swą pomoc. Dołączyła do Gartha, a wtedy, rzecz jasna, mężczyźni usiłowali ich zabić, ponieważ od początku mieli taki zamiar. Ich próba nie powiodła się jednak i zapłacili za swą głupotę – być może nawet życiem,

jeśli Addershag zmęczyła się nimi do tej pory.

Wymykając się z Grimpen Ward, Wren i Garth ruszyli na południe, zgodnie ze wskazówkami widzącej, wciąż szukając zaginionych elfów. Przez dwa dni podróżowali bez chwili wytchnienia, pragnąc znaleźć się jak najdalej od Grimpen Ward i raz jeszcze spróbować pozbyć się swego cienia. Wren sądziła, że się im powiedzie. Garth nie był taki pewny. Jego niepokój nie dawał się rozproszyć. Kiedy więc zatrzymali się na noc, pragnąc w końcu zasnąć i odzyskać siły, raz jeszcze ruszył z powrotem po własnych śladach. Może dowie się czegoś, powiedział dziewczynie. A może i nie. Chciał jednak spróbować.

Cały Garth. Nigdy nie zostawiał nic przypadkowi.

W lesie za jej plecami jeden z koni zagrzebał niespokojnie kopytem, a potem ucichł. Przed odejściem Garth ukrył zwierzęta między drzewami. Wren przez chwilę czekała, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku, po czym wstała i znowu podeszła do wierzby, gubiąc się w głębokim cieniu jej gałęzi i ponownie opierając się o szeroki pień. Daleko na zachodzie tam, gdzie woda spotykała się z niebem, światło przechodziło w srebrne lśnienie.

Magia, powiedziała Addershag. Jak to możliwe?

Jeśli elfy wciąż żyły i gdyby zdołała je odnaleźć, czy powiedziałyby jej to, czego nie powiedziała stara widząca?

Odchyliła się do tyłu i na chwilę zamknęła oczy, czując, że odpływa w sen, i pozwalając na to. Kiedy znowu się przebudziła, półmrok ustąpił miejsca nocy, a wszędzie wokół, oprócz przestrzeni skąpanych w srebrnym blasku księżyca i gwiazd, panowała ciemność. Ognisko obozowe wygasło i zadrzała od chłodu, który przeniknął nadmorskie powietrze. Wstała, podeszła do swych bagaży, wyjęła podróżny płaszcz i otuliła się

nim, szukając ciepła. Potem wróciła pod drzewo i znowu usiadła. Zasnęłaś, besztala sama siebie. Co by powiedział Garth, gdyby to zobaczył?

Czuwała potem, dopóki nie wrócił. Zbliżała się północ, a świat wokół trwał w ciszy. Słysząc było jedynie usypiający szum fal oceanu obmywających plaże w dole. Garth pojawił się bezszelestnie, chociaż wyczuła, że nadchodzi, zanim go zobaczyła. Sprawilo jej to przyjemność. Wszedł spomiędzy drzew i podszedł prosto do niej, trwającej bez ruchu pośród nocy, jakby była częścią starej wierzby. Usiadł przed nią, ogromny i ciemny, pozbawiony twarzy w mroku. Jego duże dłonie uniosły się i zaczęły migać. Palce poruszały się szybko.

Ich cień był tam ciągle. Podążał za nimi.

Wren poczuła chłód w żołądku i otuliła się ramionami.

— Widziałeś go? – zapytała, migając równocześnie.

— Nie.

— Wiesz już, kim jest?

— Nie.

— Nic? Zupełnie nic?

Pokręcił głową. Rozzłościł ją wyraźny niepokój, jaki wkradł się do jej głosu. Chciała być tak opanowana jak on, myśleć tak jasno, jak ją tego uczył. Chciała być jego dobrą uczennicą.

Położyła mu dłoń na ramieniu i zacisnęła ją.

— Idzie do nas, Garth? Czy wciąż czeka?

— Czeka – zamigał.

Wzruszył ramionami, a jego jakby wyciosana w kamieniu, brodata twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. I to spojrzenie myśliwego. Wren знаła to spojrzenie. Pojawiało się zawsze, kiedy Garth czuł się zagrożony, było maską skrywającą to, co działo się w jego wnętrzu.

Czeka, powtórzyła w myślach. Dlaczego? Na co?

Garth wstał, spokojnym krokiem podszedł do swego tobołka, wyjął kawałek sera, bukłak z piwem i ponownie usiadł. Wren dołączyła do niego. Zjadł i napił się, nie patrząc na nią, wlepiając spojrzenie w czarną połąć Błękitnej Granicy, najwyraźniej obojętny na wszystko. Wren obserwowała go w zamyśleniu. Był olbrzymi, mocny jak stal, szybki jak kot, zaprawiony w polowaniach i tropieniu, najlepszy spośród żywych, jakich знаła. Od dziecięcych lat był jej opiekunem i nauczycielem. Od kiedy przywieziono ją do Westlandii i oddano pod opiekę nomadów, po krótkim pobycie w rodzinie Ohmsfordów. Jak się to wszystko stało? Jej ojciec należał do Ohmsfordów, matka była nomadką. Nie pamiętała żadnego z nich. Dlaczego oddano ją nomadom zamiast pozwolić jej pozostać u Ohmsfordów? Kto tak zdecydował? Nigdy jej tego nie wyjaśniono. Twierdził, że nie wie. Garth twierdził, że wie tylko tyle, co powiedzieli mu inni, a było tego niewiele. Jedynym zadaniem, którego się podjął, była opieka nad nią. Wypełniał je, pozwalając jej czerpać ze swej wiedzy, szkoląc w umiejętnościach, w których był mistrzem, aby była w nich równie dobra jak on. Ciężko pracował, aby wyuczyła się swoich lekcji, i uczyniła to. Z całej wiedzy, jaką mogłaby osiąść, Wren Ohmsford wiedziała najlepiej, jak utrzymać się przy życiu. Garth upewnił się co do tego. Jednak nie była to wiedza, jaką otrzymywało zwykle dziecko nomadów, zwłaszcza dziewczynka – a Wren wiedziała o tym nie mai od początku. To sprawiło, iż uwierzyła, że Garth wie więcej, niż mówi. Po jakimś czasie była już o tym przekonana.

Mimo to, kiedy naciskała, Garth nie przyznawał się do niczego. Kręcił tylko głową i migał, że Wren potrzebuje szczególnych umiejętności, bo jest sierotą, samą na świecie i musi być

silniejsza i sprytniejsza od innych. Tak mówił, ale niczego nie chciał wyjaśnić.

Nagle zdała sobie sprawę, że skończył jeść i patrzy na nią. Osmagana wiatrem, zarośnięta twarz nie kryła się już w mroku. Widziała wyraźnie jego rysy i czytała w nich. W zmarszczeniu brwi ujrzała troskę, a w oczach odbicie łagodności. Wyczuwała zdecydowanie. To dziwne, pomyślała, ale jednym spojrzeniem zawsze potrafił przekazać jej więcej niż inni potokiem słów.

— Nie lubię, kiedy się na mnie poluje w ten sposób – powiedziała, migając. – Nie lubię czekać, żeby zobaczyć, co się stanie

Skinął głową, a w jego ciemnych oczach odbijało się napięcie.

— To ma coś wspólnego z elfami – ciągnęła porywczo. – Nie wiem dlaczego, ale czuję to. Jestem pewna.

— A więc wkrótce się czegoś dowiemy – odpowiedział.

— Kiedy dotrzemy do grot roków – zgodziła się. – Tak. Wtedy dowiemy się, czy Addershag mówiła prawdę. Czy wciąż żyją tam elfy.

A to, co nas śledzi, pewnie też będzie chciało wiedzieć.

Jej uśmiech był wymuszony. Przez chwilę spoglądali na siebie bez słowa, oceniając to, co ujrzeni w swoich oczach i rozważając leżce przed nimi możliwości.

Wreszcie Garth wstał i wskazał na las. Pozbierali sprzęty i cofnęli się pod wierzbę. Usadowili się u podstawy pnia, rozłożyli posłania i otulili się w opończe. Pomimo zmęczenia Wren chciała trzymać pierwszą wartę i Garth się zgodził. Owinął się opończą, położył przy niej i chwilę później już spał.

Wren nasłuchiwała, jak jego oddech staje się wolniejszy, po czym skierowała całą uwagę na odgłosy nocy. Na szczycie urwiska panowała cisza. Umilkły ptaki i owady, wiatr przeszedł

w szept, a ocean był kojącym, odległym pomrukiem. Cokolwiek na nich polowało, wydawało się bardzo daleko stąd. To złudzenie, przestrzegła się i wzmogła czujność.

Dotknęła sakiewki z tym, co jak wierzyła, było Kamieniami Elfów, spoczywającej na jej piersi. To talizman na szczęście, pomyślała, strzegący przed złem, chroniący w niebezpieczeństwie, który poprowadzi ją bezpiecznie przez wszystkie wyzwania, jakich się podjęła. Trzy malowane kamyki – symbole magii, niegdyś prawdziwej, a teraz utraconej. Tak jak elfy, tak jak jej przeszłość. Zastanawiała się, czy odkryje kiedyś którekolwiek z nich.

I czy powinno się to wydarzyć.

Oparła się o pień wierzby i wpatrzyła w noc, na próżno szukając odpowiedzi.

Rozdział III

Następnego ranka o wschodzie słońca Wren i Garth podjęli podróż na południe w poszukiwaniu grot roków. Była to podróż na los szczęścia, ponieważ podróżując wybrzeżem, ani nie natrafili na groty wystarczająco duże, aby mogły być tymi, których szukali, ani też nie widzieli żadnego roka. Oboje słyszeli opowieści o legendarnych ptakach – wielkoskrzydłych stworzeniach noszących niegdyś na swych grzbietach ludzi. Ale opowieści były tylko opowieściami – historiami opowiadanymi dla zabicia czasu przy obozowych ogniskach, wyczarowującymi obrazy rzeczy, które mogłyby istnieć, ale prawdopodobnie nigdy nie istniały. Rzecz jasna, niektórzy utrzymywali, że widzieli roka, ale tak było zawsze z baśniowymi stworami. Nie można było na tym polegać. Tak jak elfy, roki najwidoczniej były niewidzialne.

Aczkolwiek nie trzeba roków, aby odnaleźć elfy. Tak czy inaczej, okaże się, czy Addershag mówiła prawdę. Muszą tylko odnaleźć groty, niekoniecznie roki, zbudować ognisko i czekać trzy dni. Potem dowiedzą się prawdy. Oczywiście zawsze istnieje szansa, że prawda ich rozczaruje, ale skoro byli świadomi takiej możliwości i pogodzili się z nią, nie było powodu rezygnować. Jedynym ich ustępstwem na rzecz tych niepokojących możliwości było celowe unikanie rozmowy na ich temat.

Dzień wstał jasny i rześki, niebo było bezchmurne i błękitne, a wschodzące słońce rzucało jasne światło wzdłuż wschodniego horyzontu, na którym rysowała się sylwetka gór ostrym, postrzępionym reliefem. Powietrze wypełniały pomieszane wonie morza i lasu, a z konarów drzew unosiły się pieśni szpaków i przedrzeźniaczy. Słoneczny blask szybko przegonił

chłód nocy i ogrzał ziemię. Żar rósł, w miarę jak posuwali się w głąb lądu. Uwięziona pomiędzy górami gęsta spiekota wypalała trawy równin i wzgórz na pokryty kurzem brąz, tak jak czyniła to przez całe lato, ale wybrzeże pozostało chłodne i przyjemne z bryzą wiejącą od wody. Wren i Garth jechali stępą, podążając wąskimi, wijącymi się szlakami wybrzeża, wiodącymi przez plaże i urwiska do gór na wschodzie. Nie spieszyli się. Mieli mnóstwo czasu, aby dojść tam, gdzie zmierzali.

Było dość czasu, aby zachować ostrożność w nieprzyjaznej okolicy – dość czasu, aby rozejrzeć się za cieniem, jeśli ciągle za nimi podążał.

O tym jednak również nie chcieli rozmawiać.

Jakkolwiek Wren nie przestawała o tym myśleć. Cały czas zastanawiała się, co też może być za nimi, a jej myśli błądziły, dokąd chciały, kiedy tak spoglądała na rozległe połacie Błękitnej Granicy, pozwalając koniowi wybierać drogę. Bardziej ponure podejrzenia ostrzegały ją, że to, co ich śledzi, jest podobne do tego, co podążało śladem Para i Colla w ich podróży z Culhaven do Hearthstone, kiedy wyruszyli na poszukiwanie Walkera Boha – stworem takim jak Gnawł. Ale czy Gnawł również unikał ich tak skutecznie jak ich cień? Czy coś będącego w zasadzie zwierzęciem mogło ich ciągle odnajdywać, kiedy tak bardzo starali się go zgubić? Bardziej prawdopodobne wydawało się, że tropiący jest człowiekiem – z ludzką przebiegłością, Inteligencją i umiejętnościami. Może to szperacz wysłany przez Rimmera Dalla, tropiciel o nadzwyczajnych możliwościach albo nawet zabójca, chociaż musiał być kimś więcej, skoro zdołał nie stracić ich z oczu.

Możliwe również, pomyślała, że ktokolwiek szedł za nimi, nie był wcale wrogiem, ale kimś innym. „Przyjaciel” nie było

właściwym określeniem, jak przypuszczała, ale może ktoś miał podobny do nich cel, ktoś, kto interesował się elfami, ktoś kto...

Przystopowała w myślach. Ktoś, kto tak usilnie pragnął pozostać w ukryciu, wiedząc, że ona i Garth odkryli, iż są śledzeni? Ktoś, kto z rozmysłem nie przestawał się z nimi bawić w kotka i myszkę? Ponure podejrzenia wypłynęły znowu na powierzchnię, odsuwając na bok inne możliwości.

Do południa dotarli do północnego brzegu Irrybis. Góry rozstały się na dwie strony. Wysokie pasmo skręcało na wschód, biegnąc równoległe do Gór Skalistych Szczytów i okrążając Wilderun, a niskie biegło na południe wzdłuż linii wybrzeża, którą podążali. Nabrzeża Irrybis były gęsto porośnięte lasami i nie tak pęse. Wzdłuż Błękitnej Granicy rosły kępy drzew, ciągnęły się dające schronienie doliny i zbocza, tworząc przejścia łączące górzyście wnętrze krainy z plażami. Niemniej jednak podróż zwolniła tempo, ponieważ szlaki nie były tak wyraźne, a często na długich odcinkach zniknęły całkowicie. Chwilami góry wznosiły się wprost nad wodą, opadając stromiznami nie do przejścia, tak więc Wren i Garth zmuszeni byli okrążyć je, aby znaleźć inną drogę. Również zbite kępy drzew zagradzały im drogę, zmuszając do obejścia. Oddalali się od plaż, idąc wyżej w górskie wąwozy, gdzie kraina była bardziej otwarta i przyjazna. Posuwali się naprzód powoli, obserwując, jak słońce opada na zachodzie, aby zatonać w wodach oceanu.

Noc minęła spokojnie i o wschodzie dnia przebudzili się i ruszyli dalej. Chłód poranka raz jeszcze ustąpił pola żarowi południa. Oceaniczne bryzy, które ochłodziły poprzedni dzień, były mniej wyczuwalne w wąwozach i Wren pociała się obficie. Odgarnęła potargane włosy, obwiązała głowę szalikiem, ochlapała twarz wodą i starała się myśleć o czymś innym. Raz

jeszcze przeglądała jedno po drugim dziecięce wspomnienia z Shady Vale, usiłując przypomnieć sobie, jacy byli jej rodzice. Jak zwykle okazało się, że nie jest w stanie tego zrobić. Pamiętała tylko mgliste fragmenty – strzępki rozmów, krótkie chwile nie powiązane z konkretnym czasem oraz słowa i zdania wyrwane z kontekstu. Wszystko, co pamiętała, mogło równie dobrze łączyć się z rodzicami Para. Czy którekolwiek z tych wspomnień łączyło się z jej rodzicami, czy też z Jaralanem i Mirianną Ohmsford? Czy kiedykolwiek naprawdę знаła swoich rodziców? Czy kiedykolwiek byli z nią w Shady Vale? Tak jej mówiono. Mówiono jej, że umarli. Jednak nie pamiętała tego. Dlaczego? Dlaczego nie pozostało jej o nich żadne wspomnienie?

Zerknęła do tyłu na Gartha, a w jej oczach odbiła się złość. Odwróciła wzrok, odmawiając wyjaśnień. W południe zatrzymali się na posiłek i ruszyli dalej. Wren zwięźle wypytała Gartha o cień. Czy nadal ich śledzi? Czy Garth coś wyczuwa? Garth wzruszył ramionami i zamigał, że nie jest już pewien i że nie ufa już sobie w tej kwestii. Wren z powątpiewaniem zmarszczyła brwi, ale nie powiedział nic więcej. Jego ciemna, brodata twarz po została nieprzenikniona.

Popołudnie zeszło im na przekroczeniu pasma gór, z którego rok temu szalejący pożar zmiotł las, zrównując cały obszar z ziemią tak całkowicie, że pozostały jedynie poczerniałe pnie starego drzewostanu i pierwsze zielone pędy nowej roślinności. Ze szczytu pasma Wren mogła zobaczyć cały kraj. Nic nie zasłaniało jej widoku. Nie było miejsca, gdzie mógłby się ukryć ich cień, żadnej przestrzeni, którą mógłby przeciąć nie zauważony. Wren szukała go bacznie i niczego nie dostrzegła. Mimo to nie mogła pozbyć się uczucia, że nadal tam jest.

Zmierzch zastał ich z powrotem na krawędzi wysokiego,

wąskiego urwiska, które gwałtownie opadało do morza. W dole, gdzie jechali wody Błękitnej Granicy huczały, uderzając o klify, a ponad białą pianą krążyły z krzykiem morskie ptaki. Rozbili obozowisko w kępie olch tuż obok strumienia sączącego się z gór, który zaopatrzył ich w pitną wodę. Ku zaskoczeniu Wren, Garth rozpałił ognisko, mogli więc zjeść gorący posiłek. Kiedy Wren spojrzała nań pytająco, olbrzymi nomada uniósł głowę i zamigał, że jeśli cień nadal ich śledzi, będzie również czekał. Na razie nie mieli się czego obawiać. Wren nie była tego taka pewna, ale Garth wydawał się przekonany, nie podjęła więc tematu.

Tej nocy śniła o matce. Matce, której nie pamiętała i nie była pewna, czy znała ją kiedykolwiek. We śnie jej matka nie miała imienia. Była niedużą, zwawą kobietą z popielatymi włosami Wren i wyrazistymi, orzechowymi oczyma. Jej twarz była ciepła, otwarta i czuła. „Pamiętaj o mnie”, powiedziała. Wren oczywiście nie mogła jej pamiętać, nie miała o niej żadnych wspomnień. Mimo to matka powtarzała te słowa, znów i znów. Pamiętaj o mnie. Pamiętaj o mnie.

Kiedy Wren się obudziła, obraz twarzy matki i brzmienie jej słów nie przeminęły. Garth zdawał się nie zauważać jej roztargnienia. Ubrali się, zjedli śniadanie, spakowali i znów wyruszyli w drogę, a wspomnienie snu ciągle trwało. Wren zaczęła się zastanawiać, czy sen nie wydobył czasem na powierzchnię prawdy, którą skrywała latami gdzieś w głębi. Może naprawdę widziała we śnie matkę. Może taką twarz matki pamiętała przez te wszystkie lata. Chciała w to wierzyć, ale równocześnie wahała się. Jechała w milczeniu, na próżno próbując rozstrzygnąć, która możliwość jest bardziej bolesna.

Południe przyszło i odeszło, a żar stawał się coraz bardziej nie do zniesienia. Kiedy słońce uniosło się nad grzbietem gór, bryzy

znad oceanu zupełnie zamarły. Powietrze stało w miejscu. Wren i Garth jechali stępą, aby dać koniom wytchnienie. Urwisko skończyło się i wjechali na skalny szlak wiodący w górę, w stronę ogromnych klifów. Pot perlił się i wysychał na ich skórze, a stopy stawały się zmęczone i obolałe. Morskie ptaki zniknęły w swoich gniazdach, czekając na chłód wieczoru, aby znowu zapolować na ryby. Kraina i jej ukryte życie pograżyły się w ciszy. Jedynym dźwiękiem był leniwy plusk wód Błękitnej Granicy o skaliste brzegi powolną, znużoną kadencją. Daleko na horyzoncie zaczynały się zbierać chmury, ciemne i groźne. Wren spojrzała na Gartha. Przed nocą czeka ich burza.

Szlak, którym podążali, wciąż wił się w górę na szczyty klifów, zniknęły drzewa, najpierw świerki, jodły i cedry, a potem nawet niewielkie, giętkie kępy olch. Skała leżała naga i bezbronna w promieniach słońca, odbijając żar ospałymi, duszącymi falami. Pot zaczął zalewać oczy i Wren przystanęła, aby zmoczyć przepaskę na głowie. Niewzruszony Garth odwrócił się, aby na nią poczekać. Kiedy skinęła głową, ruszył naprzód, pragnąc jak najszybciej mieć za sobą tę wyczerpującą wspinaczkę.

Kiedy w końcu weszli, zbliżał się już środek dnia. Słońce stało nad ich głowami białe i rozpalone. Chmury, które wcześniej zaczęły się tworzyć, popłynęły nagle w głąb lądu. Cisza w powietrzu była niemal namacalna. Wren i Garth przystanęli na końcu szlaku i z namysłem rozejrzeli się dokoła. Stali na skraju górskiej równiny zarośniętej gęstą trawą i poznaczonej kępami sękatych, powyginanych od i wiatru drzew przypominających jodły. Równina biegła na południe pomiędzy wysokim szczytami i oceanem, aż niknęła z oczu – rozległy chropowaty płaskowyż, nad którym unosiło się gorące, nieruchome powietrze.

Wren i Garth spojrzeli po sobie, znużeni, i ruszyli przed siebie.

Nad ich głowami burzowe chmury przysunęły się bliżej słońca. W końcu zakryły je całkowicie i powiała bryza. Żar zmalął, a krainę zaczęły okrywać cienie.

Wren wsunęła opaskę do kieszeni i czekała, aż ciało się ochłodzi. Niedługo potem odkryli dolinę – głęboką rozpadlinę w równinie, której nie zauważyli, dopóki nie stanęli prawie na jej krawędzi. Dolina była szeroka prawie na pół mili, osłonięta przed wiatrem łańcuchem guzowatych wzgórz na wschodzie, pasmem klifów na zachodzie i szerokim pasem drzew, które wypełniały ją od ściany do ściany. Biegły przez nią strumienie i Wren słyszała ich szmer nawet ze szczytu krawędzi. Spływały po skałach i w dół żlebami. Zeszła do doliny z Garthem za plecami, zaciekawiona, co tam odkryje. Wkrótce dotarli nad wycinkę porośniętą gęsto zielskiem i młodymi drzewkami, ale pozbawioną jakiegokolwiek starej roślinności. Szybkie poszukiwania ujawniły kamienne fundamenty pogrzebane pod warstwą ściółki. Stare drzewa zostały wycięte, aby zrobić miejsce na dom. Kiedyś mieszkali tu ludzie – wielu ludzi.

Wren rozglądała się zamyślona. Czy tego właśnie szukali? Potrząsnęła głową. Nie było grot, a przynajmniej nie tutaj, ale...

Nie dokończyła myśli, skinęła pospiesznie na Gartha, dosiadła konia i ruszyła na zachód ku klifom. Wyjechali z doliny i wspięli się na skały, które oddzielały ich od oceanu. Skały były zupełnie pozbawione drzew, ale z każdej rysy i zagłębienia wyrastały trawy i krzaki. Wren lawirowała, aby dotrzeć na najwyższy punkt, rodzaj półki wychodzącej na ocean. Kiedy weszła na nią, zsiadła z konia, zostawiła go i poszła naprzód. Skała była tutaj nagim, szerokim zagłębieniem, na którym chyba nic nie było w stanie wyrosnąć. Przez chwilę obserwowała je uważnie. Przypominało dół po ognisku, wyczyszczony przez płomienie.

Spojrzeniem unikając Gartha, podeszła na skraj. Wiatr wiał teraz nieprzerwanie i smagał jej twarz nagłymi porywami, kiedy spoglądała w dół. Garth podszedł do niej po cichu. Klify pionowo opadały w dół. Ze skał wyrastały gęste kępy chaszczy. Kwitły maleńkie, błękitne i żółte kwiatki, dziwnie nie pasujące do tego miejsca. Daleko w dole ocean wytaczał się na wąski, pusty brzeg, fale rosły wraz ze zbliżającym się sztormem i zmieniały się w białą pianę, roztrzaskując na skałach.

Wren przez długą chwilę obserwowała spadek. Rosnąca ciemność utrudniała widoczność. Cienie leżały wszędzie, a poruszenie chmur sprawiło, że światło przesuwano się po skalnej ścianie.

Dziewczyna z ludu nomadów zmarszczyła brwi. Coś było nie tak tam, gdzie spoglądała, coś dziwnego, nie pasującego tutaj. Nie wiedziała co. Przysiadła na piętach i czekała, aż nadejdzie odpowiedź. W końcu zrozumiała. Nigdzie nie było morskich ptaków – ani jednego.

Przez chwilę rozważała, co mogło to oznaczać, po czym odwróciła się do Gartha i zamigała, aby zaczekał. Wstała, podbiegła do konia, wyciągnęła linę z sakwy i wróciła. Garth patrzył z zaciekawionym. Zamigała szybko, gwałtownie. Chciała, aby spuścił ją po zboczu. Chciała zobaczyć, co było na dole.

Pracując w ciszy, zawiązali pętlę na jednym końcu liny pod pachami Wren, a drugi na skalnym występie na skraju klifu. Wren wypróbowała supeł i skinęła głową. Garth zaparł się nogami i zaczął powoli opuszczać dziewczynę znad krawędzi. Wren schodziła ostrożnie, wybierając oparcie dla dłoni i stóp. Wkrótce straciła Gartha z oczu i seriami szarpnięć liną sygnalizowała, czego chce.

Wiatr uderzał w nią, coraz silniejszy, smagając wściekle. Tuliała

się do ściany klifu, aby jej nie stracił. Niebo nad jej głową przysłoniły coraz gęstsze chmury. Spadły pierwsze krople deszczu.

Zacisnęła zęby. Nie miała ochoty wisieć tak i dać się złapać burzy. Musi skończyć wyprawę i szybko się wspiać.

Upadła plecami w kępę krzaków. Ciernie podrapały jej nogi i ramiona i odsunęła je gniewnie. Przedzierając się przez zarośla, schodziła w dół. Spoglądając przez ramię, dostrzegła coś niewidocznego wcześniej – ciemność na ścianie, zagłębienie. Z całych sił próbowała opanować podniecenie. Dała Garthowi znak, aby poluzował linę, i zeszła szybko po skale. Ciemność przybliżyła się. Była większa, niż sądziła: duży czarny otwór w ścianie. Zerknęła poprzez mrok. Nie widziała, co leży w środku, ale były też inne otwory. Tam, trochę w bok dwa, a tam jeszcze jeden częściowo przysłonięty przez zarośla, ukryty w skale...

Groty!

Znowu dała znak, aby poluzować linę, i powoli ześliznęła się w stronę najbliższego otworu i pochyliła ku jego czerni, mrużąc oczy...

Potem usłyszała jakiś dźwięk, szelest z otworu tuż pod nią. Przeraził ją i na chwilę zamarła bez ruchu. Znowu zerknęła w dół. Cienie przysłaniały wszystko warstwami ciemności. Nic nie widziała. Wiatr zawodził, przenikliwie tłumiąc wszystkie inne dźwięki.

Czyżby się pomyliła?

Niepewna, opadła jeszcze kilka stóp.

Jest coś...

Gorączkowo szarpnęła liną, aby się zatrzymać, i zawisa kilka cali nad ciemnym otworem.

Pod jej stopami nagle ukazał się rok, wylatując z ciemności jak

wystrzelony z katapulty. Zdawał się wypełniać powietrze, ze skrzydłami rozpostartymi szeroko ponad szarymi wodami Błękitnej Granicy, przysłaniając mrok i chmury. Przeleciał tak blisko, że ciałem otarł się o stopy dziewczyny tak, że zawirowała niczym puszczonej w ruch motek bawełny. Skuliła się, instynktownie przywierając do liny jak do ratunkowego koła. Odbijała się od szorstkiej powierzchni skały, usiłując z całych sił powstrzymać krzyk i cały czas modląc się, aby ptak jej nie zauważył. Rok poszybował w dal, obojętny na jej obecność lub też jej nieświadomy – złote ciało z głową o barwie ognia. Wyglądał dziko i groźnie, pióra miał w nieładzie, a skrzydła brudne i pokryte bliznami. Wzbił się w burzowe niebo na zachodzie i zniknął.

To dlatego nie ma tu morskich ptaków, stwierdziła przerażona i oszołomiona Wren. Przez dłuższą chwilę wisiała jak sparaliżowana na ścianie klifu, aby się upewnić, że rok nie powróci, po czym ostrożnie pociągnęła za linę i pozwoliła, żeby Garth wyciągnął ją w bezpieczne miejsce.

Chwilę potem, kiedy dotarła na szczyt klifu, zaczęło padać. Garth otulił ją swoją opończą i pospiesznie sprowadził do doliny, gdzie znaleźli tymczasowe schronienie w jodłowym zagajniku. Garth rozpałił ogień i ugotował zupę, aby się ogrzała. Przez długi czas czuła chłód, drżąc na wspomnienie własnej bezradności i roka szybującego pod jej stopami, wystarczająco blisko, aby ją schwytać i zabić. Nie mogła zebrać myśli. Sądziła, że na dole odnajdzie groty roków. Nigdy jednak nie śniła nawet, że znajdzie również roki.

Kiedy odzyskała na tyle siły, aby znowu ruszyć, kiedy gorąca zupa przegnała chłód z żołądka, zaczęła rozmawiać z Garthem.

— Jeśli są tam roki, mogą być również elfy – powiedziała,

tłumacząc słowa na mowę palców. – Jak sądzisz?

Garth skrzywił się.

— Sądzę, że omal nie zginęłaś.

— Wiem – przyznała niechętnie. – Czy możemy nie mówić o tym teraz? Czuję się wystarczająco głupio.

— Dobrze – zamigał z kamiennym wyrazem twarzy.

— Jeśli Addershag miała rację co do grot roków, to czy nie uważasz, że jest spora szansa, iż nie myliła się również co do elfów? – Wren przysunęła się do przodu. – Myślę, że tak. Myślę, że ktoś przyjdzie, jeśli rozpalimy ogień na znak. Tu, na ten występ. W tej dolinie. Były tu już ogniska. Sam widziałeś. Może ta dolina była niegdyś domem elfów. Może nadal nim jest. Jutro ustawimy ognisko i zobaczymy, co się wydarzy.

Zignorowała wzruszenie ramion Gartha i usadowiła się wygodnie, otulona ciasno w koc, a jej oczy jaśniały zdecydowaniem. Wypadek z rokiem już zaczynał odplýwać w odległe zakamarki jej umysłu.

Spała jeszcze dobrze po północy, biorąc późną wartę, ponieważ Garth postanowił jej nie budzić. Przez resztę nocy czuwała, nieustannie myśląc o tym, co nadejdzie. Deszcz ustał i o wschodzie dnia powrócił żar lata, parny i duszny. Wybrali się po suche drewno, pocięli je na niewielkie kawałki wygodne do załadowania, zrobili sanie i przy pomocy koni zawlekli wszystko na skraj klifu. Przedzierali się w czasie upału, starając się nie nadwerężyć sił własnych i swoich zwierząt, często odpoczywając i pijąc duże ilości wody, aby uchronić się przed udarem. Dzień był jasny i parny. Deszcz odszedł w zapomnienie. Znad wody powiała przelotna bryza, ale nie przyniosła im wielkiej ochłody. Morze ciągnęło się od lądu gładką, jakby szklaną powierzchnią, która z wysokości klifów wydawała się płaska i twarda jak stal.

Nie zobaczyli więcej żadnego roka. Garth sądził, że są to ptaki nocne, myśliwi czekający na osłonę ciemności, zanim wyruszą ze swych gniazd. Raz czy dwa Wren myślała, że słyszy ich nawoływanie, odległe i stłumione. Chciałaby wiedzieć, ile ptaków gniazduje w grotach i czy mają młode. Ale jedno przelotne spotkanie z ogromnymi ptakami wystarczyło i była zadowolona, że jej ciekawość pozostała niezaspokojona.

Zbudowali ognisko w kamiennym zagłębieniu na skalnym występie, z którego roztaczał się widok na Błękitną Granicę. Kiedy nadszedł zachód słońca, Garth za pomocą krzemienia podpalił chrust i wkrótce płonęły już również większe kawałki drewna. Płomienie wzbłyły się w niebo czerwonym i złotym blaskiem na tle gasnącego światła dnia, trzaskając w ciszy. Z tej wysokości ogień mógł być widoczny na mile we wszystkie strony. Jeśli ktokolwiek patrzył, ujrzy go z pewnością.

W milczeniu zjedli kolację i usiedli niedaleko ognia. Wzrok utkwili w płomieniach, ale ich myśli błądziły gdzie indziej. Wren myślała o swoich kuzynach, Parze i Collu, i o Walkerze Bohu. Zastanawiała się, czy przekonano ich, tak jak ją, do podjęcia zadania Allanona. Znajdź Miecz Shannary, nakazał cień Parowi. Odnajdź druidów i utracony Paranor, powiedział Walkerowi. A jej nakazał odnaleźć zaginione elfy. Jeśli tego nie uczynią, jeśli ktokolwiek z nich poniesie porażkę, wtedy spełni się wizja, którą im ukazano: wizja nagiej pustej ziemi, kiedy to ludzie wszystkich ras staną się zabawkami w rękach cieniowców. Szczupła twarz Wren skurczyła się i odruchowo odsunęła niesforny lok. Cieniowce – kim były? Coglin mówił o nich, przypominała sobie, ale nie wyjawiał wiele. Opowieść, którą snuł tej nocy przy Hadeshornie, była dziwnie nieuchwytna. Istoty stworzone w próżni odeszły wraz z upadkiem magii przy śmierci Allanona.

Istoty zrodzone wprost z magii. Co to oznaczało?

Dokończyła posiłek, wstała i podeszła na skraj klifu. Noc była jasna, a niebo wypełnione tysiącem gwiazd, których białe światło, lśniło na powierzchni oceanu, tworząc połyskliwy, srebrny gobelin. Wren na chwilę zatopiła się w jego pięknie, rozkoszując się chłodem wieczoru, na chwilę wolna od mrocznych rozmyślań. Kiedy wróciła do siebie, pożałowała, że nie wie lepiej, dokąd zmierza. To, co niegdyś było tak bardzo pewnym, poukładanym istnieniem, zmieniło się w zaskakującą przygodę.

Wróciła do ogniska, do Gartha. Olbrzym przygotowywał posłania przyniesione z doliny. Mieli spać przy ognisku i podtrzymywać je przez trzy dni, lub też dopóki ktoś się nie pojawi. Konie przywiązali do drzew na skraju doliny. Dopóki nie będzie padało, będzie można spokojnie spać pod gołym niebem.

Garth zaofiarował się trzymać pierwszą wartę i Wren się zgodziła. Otuliła się w koce w kręgu ciepła ogniska i położyła. Patrzyła na taniec płomieni na tle ciemności, zatracając się w ich hipnotycznym ruchu i odpływając w sen. Raz jeszcze pomyślała o matce, jej twarzy i głosie ze snu i zastanawiała się, czy mogą być realne.

Pamiętaj o mnie.

Dlaczego nie potrafiła?

Rozmyślała nad tym cały czas, dopóki nie zasnęła.

Obudziła się, kiedy poczuła na ramieniu dłoń Gartha. Setki razy budził ją przez te wszystkie lata i nauczyła się odczytywać z samego dotyku, co czuje. Teraz jego dotyk oznaczał, że czymś się martwi.

Natychmiast poderwała się na nogi, zapominając o śnie. Było jeszcze wcześniej, mogła to stwierdzić po przelotnym spojrzeniu

na nocne niebo. Obok nich płonęło ognisko. Jego blask w niczym nie osłabł. Garth patrzył za siebie w stronę doliny. Wren usłyszała, że coś się zbliża – drapanie i zgrzyt jakby pazurów na skale. Cokolwiek to było, nie starało się ukryć.

Garth odwrócił się do dziewczyny i zamigał, że ledwie chwilę wcześniej panował całkowity spokój. Ich gość musiał najpierw zbliżyć się cicho, niczym kot, a potem zmienił zdanie. Wren nie podała w wątpliwość tego, co usłyszała. Garth słyszał nosem i palcami, a przeważnie instynktem. Nawet głuchy, słyszał lepiej od niej.

— Rok? – zasugerowała szybko, przypominając sobie o szponiastych łapach.

Garth pokręcił głową.

— To może ktoś, kogo nadejście obiecała Addershag?

Garth nie odpowiedział. Nie musiał. Zbliżyło się bowiem coś innego, coś groźnego...

Zamknęli oczy i nagle już wiedziała.

To był ich cień. Wreszcie nadszedł, aby się ujawnić.

Skrobanie stało się głośniejsze i przedłużone, jakby to, co nadchodziło, ciągnęło swój ciężar. Wren i Garth odsunęli się o parę kroków od ognia, aby między nimi a ich gościem wdarła się odrobina światła, a za plecami mieli ciemność.

Wren sięgnęła do pasa po długi nóż. Nie był zbyt groźną bronią. Garth chwycił twardą, krótką pałkę. Wren pożałowała, że nie pomyślała o zabraniu swojej, ale zostawiła ją przy koniach.

Potem w świetle ukazała się zniekształcona twarz, wysuwając się z ciemności, jakby uwalniała się od czegoś. Za nią pojawiło się muskularne ciało. Wren poczuła chłód w żołądku. To, co stało przed nią, nie mogło być prawdziwe. Wyglądało jak olbrzymi wilk pokryty lśniącym, szarym futrem, z ciemnym pyskiem i

ślepiami, które lśniły w świetle ogniska. Równocześnie był jednak groteskowo ludzki. Przednie kończyny przypominały ludzkie ręce z dłońmi i palcami, chociaż wszędzie porastała je sierść, a palce zakończone były szponami, zniekształcone i zrogowaciałe. Głowa również miała w sobie coś ludzkiego, jakby ktoś założył na nią maskę wilka i próbował dopasować.

Głowa stworza zakołysała się w stronę ognia i cofnęła. Wlepił w nich spojrzenie srogich ślepi. A więc to był ich cień. Wren powoli wciągnęła powietrze. Oto stwór, który szedł za nimi bez wytchnienia przez całą Westlandię, stwór, który śledził ich potem przez całe tygodnie. Przez cały czas trzymał się w ukryciu. Dlaczego ukazał się właśnie teraz?

Patrzyła, jak paszcza cofa się, ukazując długie rzędy zakrzywionych zębów. Błyszczące ślepia najwyraźniej pojaśniały. Stał przed nimi, nie wydając żadnego dźwięku. Pokazał się, ponieważ postanowił nas zabić, zdała sobie sprawę Wren i nagle poczuła przerażenie. Garth posłał jej szybkie spojrzenie, które powiedziało wszystko. Nie miał złudzeń, co teraz nastąpi. Zrobił krok w stronę bestii.

W jednej chwili rzuciła się na niego, zanim olbrzymi nomada zdążył zebrać się w sobie. W ostatniej chwili Garth zdążył szarpnąć ciem odchylić głowę, żeby nie została odgryziona, zamachnął się pałką i odrzucił przeciwnika na bok. Podobne do wilka stworzenia upadło z jękiem, po czym skrobiąc pazurami, zerwało się na nogi i odwróciło, obnażając kły. Zaatakowało Gartha raz jeszcze, zupełna nie zważając na obecność Wren. Tym razem Garth był przygotowany i koniec ciężkiej pałki uderzył w powykrzywiane ciało stworza. Wren usłyszała trzask kości. Wilkołak potoczył się w tył, znowu wstał i zaczął krążyć wokół Gartha. Ciągle nie zwracał uwagi na Wren patrząc tylko, co robi.

Najwyraźniej zdecydował, że Garth stanowi większe zagrożenie i z nim pierwszym musi się rozprawić.

Kim jesteś? – chciała krzyknąć Wren. Co z ciebie za stwór? Bestia ponownie skoczyła na Gartha, szaleńczo wydając się na ciosy oczekującej nań pałki. Ból nie wydawał się mu przeszkadzać Garth odepchnął stwora, a ten natychmiast zaatakował, kłapiąc zębami. Skakał raz za razem i najwidoczniej żadne wysiłki Gartha nie były w stanie go powstrzymać. Wren przykucnęła i obserwowała. Nie mogła się wtrącić, nie ryzykując życia swego przyjaciela. Wilkołak zagraadzał jej drogę i nie dawał okazji do uderzenia. I był szybki, tak szybki, że nie pozostawał na ziemi dłużej niż mgnienie oka, poruszając się płynnie i z wdziękiem świadczącym o zręczności zarówno człowieka, jak i zwierzęcia. Wren wiedziała, że z pewnością żaden wilk tak się nie porusza.

Walka trwała. Obaj przeciwnicy byli ranni, ale podczas gdy krew Gartha tryskała z zadanych mu ran, rany wilkołaka zdawały się goić niemal natychmiast. Strzaskane żebra powinny go spowolnić, powinny krępować mu ruchy, ale tak się nie działo. Krew z rozdarć na skórze znikwała w ciągu paru sekund. Wydawało się, że nie zważa na rany, prawie jakby...

I nagle Wren przypomniała sobie opowieść Para o cieniowcu, na którego on, Coll i Morgan Leah natknęli się podczas podróży do Culhaven – tego olbrzyma odrywającego zranione ramię, jakby ból nic dla niego nie znaczył.

Wilkołak był cieniowcem!

Nagle, niemal nie myśląc, zdała sobie z tego sprawę. Rzuciła się na stwora, wyciągając swój długi nóż, wściekła i zdecydowana na wszystko. Bestia odwróciła się, a w jej ślepiach odbił się cień zaskoczenia. Na chwilę odwróciła uwagę od

Gartha. Wren dosięgła wilkołaka w tej samej chwili co Garth i stwór znalazł się w pułapce pomiędzy nimi. Pałka Gartha opadła na czaszkę bestii, roztrzaskując się od siły uderzenia. Ostrze Wren zatopiło się gładko w kosmatej piersi. Stwór poderwał się, rzucił do tyłu i po raz pierwszy wydał z siebie głos. Krzyknął jak zraniona kobieta. Potem odwrócił się gwałtownie i skoczył na Wren, powalając ją na ziemię. Wren upadła, kopiąc nogami i z całych sił usiłując się osłonić przed zakrzywionymi kłami, które chciały rozedrzeć jej twarz. Uratowała ją siła rozpędu potwora. Skoczył w ciemność ponad jej stopami. Nóż przepadł. Tkwił wciąż w ciele bestii. Pałka Gartha była zniszczona. Ścisnął teraz w dłoni krótki miecz.

Wilkołak wrócił w krąg światła. Poruszał się bez bólu, bez wysiłku, obnażając kły w przerażającym grymasie.

Wilkołak.

Cicniowiec.

Wren nagle zdała sobie sprawę, że nie zdołają go zabić – to on zabije ich.

Dołączyła do Gartha, starając się zachować zdrowy rozsądek. Olbrzym wyciągnął długi nóż i podał go dziewczynie. Słyszała jego chrapliwy oddech. Nie była w stanie spojrzeć na niego.

Cieniowiec zaatakował, rzucając się na nich w pędzie. W ostatniej chwili skręcił w stronę Gartha. Olbrzymi nomada zdołał odwrócić pęd potwora, ale jego siła zwała go z nóg. W tej samej chwili cieniowiec, warcząc, rzucił się na niego. Garth zasłonił się mieczem i odepchnął szczęki bestii. Wren nie znała nigdy silniejszego człowieka niż Garth. Ten potwór był jednak silniejszy. Widziała, że olbrzym słabnie,

Garth!

Skoczyła na wilkołaka, wbijając nóż w jego cielsko. Zdawał się

tego nie zauważać. Wczepiła się w jego sierść, próbując zwalić go z nóg. Nad grzbietem potwora kątem oka ujrzała śniadą twarz Gartha, zeszywniałą i ociekającą potem. Wrzasnęła z wściekłości.

Wtedy cieniowiec otrząsnął się i znalazła się na ziemi, rozciągnięta bezwładnie, bezradna i bezbronna. Podciągnęła się na kolana, czując nagle, że płonie od żaru ogniska. Odczucie było bardzo mocne – od jak dawna? – i umiejscowiło się w klatce piersiowej. Chwyciła za ubranie, myśląc, że zajęło się od płomieni. Nie, nie było płomieni, nic tylko...

Jej palce cofnęły się, kiedy odnalazła skórzaną sakiewkę z malowanymi kamieniami. Żar pochodził stamtąd!

Zerwała sakiewkę i niemal nie zdając sobie sprawy, co robi, wysypała kamienie na dłoń. W tej samej chwili trysnęło z nich światło, oślepiające, przerażające. Odkryła, że nie jest w stanie puścić kamieni. Farba pokrywająca je zniknęła i kamienie stały się... Nie potrafiła przywołać właściwego słowa, a zresztą nie było też czasu na zastanowienie. Światło płonęło i rosło, jak żywa istota. Przez wycinkę ujrzała, jak podrywa się w górę wilcza głowa cieniowca. Dojrzała błysk jego ślepi. Ona i Garth mają jeszcze szansę na przeżycie, jeśli...

Zadziałała instynktownie, jedynie siłą myśli posyłając światło naprzód. Pomknęło z przerażającą prędkością i uderzyło w potwora. Wilkołak został odrzucony od Gartha, wijąc się i piszcząc. Światło owinęło się wokół niego. Ogień był wszędzie, palący, pochłaniający. Wren wyciągnęła przed siebie dłonie, kierując nim. Magia przerażała ją, ale zdusiła w sobie odruch paniki. Moc przepływała przez nią, mroczna i ożywcza zarazem. Bestia odpowiedziała atakiem, mocując się ze światłem i próbując się uwolnić. Nie mogła. Wren krzyknęła triumfalnie,

kiedy cieniowiec padł, patrząc, jak eksploduje, obraca się w pył i znika.

Potem światło również zniknęło i została sama z Garthem.

Rozdział IV

Wren szybko opatrzyła rany Gartha. Żadna kość nie została złamana, miał jednak liczne rany na przedramionach i klatce piersiowej oraz siniaki i skaleczenia na całym ciele. Leżał na plecach na ziemi, podczas gdy ona, klęcząc, aplikowała mu lecznicze maści i zioła, które nomadzi wszędzie ze sobą zabierali. Na jego śniadej twarzy malował się spokój. Żelazny Garth. Ogromne, muskularne ciało drgnęło raz czy dwa, kiedy czyściła i bandażowała, zszywała i obwiązywała, ale to wszystko. Nic w twarzy ani w oczach nie pokazywało cierpienia i bólu, jaki musiał znosić.

Chwilami do oczu napływały jej łzy i pochylała głowę, aby ich nie zobaczył. Był jej najbliższym przyjacielem, a mało brakowało, żeby go straciła.

Gdyby nie Kamienie Elfów...

A były to Kamienie Elfów. Prawdziwe Kamienie Elfów.

Nie myśl o tym!

Skupiła się mocniej na tym, co robi, odsuwając na bok niepokój i przerażone myśli. Ognisko wciąż płonęło, płomienie skakały w ciemność, a drzewo trzaskało, rozpadając się od żaru. Pracowała w ciszy, mimo że słyszała wszystko wokół siebie – trzask ognia, świst wiatru na skałach, uderzanie fal o brzeg, brzęczenie owadów w odległej dolinie i szmer własnego oddechu. Było tak, jakby wszystkie nocne dźwięki spotęgowały się stokrotnie – jakby znalazła się w ogromnym, pustym kanionie, gdzie najcichszy szept odbijał się echem.

Skończyła opatrywać Gartha i przez chwilę zrobiło się jej słabo – natłok obrazów przepłynął jej przed oczami. Raz jeszcze ujrzała

wilkołaka, stwora cieniowców, jego kły, pazury i szczeciniastą sierść, Zobaczyła Gartha w śmiertelnym starciu z potworem i siebie rzucającą się z pomocą – na próżno. Pojawił się obraz ich wszystkich skąpanych w płomieniach jak we krwi. Zobaczyła, jak Kamienie Elfów budzą się do życia wraz z pradawną mocą, wypełniając noc swoim blaskiem, pędząc i uderzając w cieniowca, spalając go, kiedy usiłował się uwolnić...

Spróbowała wstać i upadła. Garth pochwycił ją w ramiona, podnosząc się na kolana, i ułożył na ziemi. Przez chwilę tulił ją, kołysząc w objęciach jakby była dzieckiem, a ona pozwalała mu na to, chowając twarz na piersi olbrzyma. Potem odsunęła się delikatnie i odetchnęła powoli i głęboko, aby się uspokoić. Podniosła się i poszła po płaszcze. Otulili się przed nocnym chłodem i usiedli, patrząc na siebie bez słowa.

W końcu Wren uniosła dłonie i zaczęła migać.

— Wiedziałeś o Kamieniach Elfów? – zapytała. Spojrzenie Gartha było nieruchome.

— Nie.

— Nie wiedziałeś, że są prawdziwe ani co potrafią czynić? Nic?

— Nic.

Przez długą chwilę patrzyła mu w twarz bez ruchu. Potem sięgnęła pod tunikę i wyjęła skórzaną sakiewkę zawieszoną na szyi. Wsunęła Kamienie Elfów z powrotem do środka, kiedy ruszyła na pomoc Garthowi. Ciekawa była, czy znowu się przemieniły, czy na powrót stały się malowanymi kamykami. Zastanawiała się nawet, czy prawdą było to, co widziała wtedy. Odwróciła sakiewkę do góry dnem i wytrząsnęła ją nad dłonią.

Upadły na nią trzy jasne, błękitne kamienie, nie malowane kamyki, ale lśniące Kamienie Elfów – Kamienie Elfów, które Allanon ofiarował Shei Ohmsfordowi ponad pięćset lat temu i

które od tamtej pory należały do rodu Ohmsfordów. Wpatrzyła się w nie, oczarowana ich pięknem, przerażona, że powinna je zatrzymać. Zadrżała na wspomnienie ich potęgi.

— Garth – wyszeptała. Położyła Kamienie na kolanach. Jej palce poruszyły się. – Musisz coś wiedzieć. Musisz. Oddano mnie pod twoją opiekę, Garth. Już wtedy Kamienie były ze mną. Powiedz mi. Skąd naprawdę pochodzą?

— Już wiesz. Dostałaś je od swoich rodziców.

Moi rodzice. Poczowała rosnący ból i niepokój.

— Opowiedz mi o nich. Wszystko. Za dużo tajemnic, Garth. Zawsze tajemnice. Teraz muszę wiedzieć. Powiedz mi. Na nieruchomej twarzy Gartha odbiło się wahanie. Potem zamigał, że jej matka była nomadką, a ojciec pochodził z rodu Ohmsfordów. Przynieśli ją do ludu nomadów, kiedy była małym dzieckiem. Mówiono mu, że ostatnią rzeczą, jaką uczynili przed odejściem, było zawieszenie jej na szyi skórzanej sakiewki z malowanymi kamyczkami.

— Nie widziałaś mojej matki? Ani ojca?

Garth potrząsnął głową. Był daleko, kiedy przybyli, a kiedy powrócił, już odeszli. Nigdy nie wrócili. Wren została zabrana do Shady Vale, aby dorastać u Jaralana i Mirianny Ohmsfordów. Kiedy miała pięć lat, nomadzi zabrali ją do siebie. Taka była umowa z Ohmsfordami. Jej rodzice nalegali, aby tak się stało.

— Ale dlaczego? – przerwała zdumiona Wren.

Garth nie wiedział. Nigdy mu nie mówiono, kto dobił targu w imieniu nomadów. Jeden ze starszych w rodzie oddał mu ją pod opiekę i wkrótce potem zmarł. Nikt nigdy nie wyjaśnił, dlaczego miał szkolić ją w ten sposób – tak po prostu miało być. Miała być szybsza, silniejsza, mądrzejsza i lepsza w walce o przetrwanie niż ktokolwiek z nich. Garth miał tego dopilnować.

Wren usiadła rozzłoszczona. Wiedziała już to wszystko, o czym mówił Garth. Wspominał jej o tym już wcześniej. Zacisnęła gniewnie szczęki. Musi być coś więcej, coś, co pozwoli jej domyślić się, skąd pochodzi i dlaczego nosi Kamienie Elfów.

— Garth – spróbowała raz jeszcze, bardziej nagłoco. – Czego mi nie powiedziałeś? Czegoś o mojej matce? Śniła mi się, wiesz? Widziałam jej twarz. Powiedz mi, co ukrywasz!

Olbrzym nie okazał żadnych uczuć, ale w jego oczach pojawił się ból. Wren już chciała go pocieszyć, ale powstrzymało ją pragnienie wiedzy. Garth patrzył na nią długo bez odpowiedzi. Potem zamigał szybko:

— Nie mogę powiedzieć ci nic, czego sama nie możesz zrozumieć.

Obruszyła się.

— Co przez to rozumiesz?

— Masz rysy elfów, Wren. Bardziej niż którykolwiek z Ohmsfordów. Jak myślisz, dlaczego?

Pokręciła głową, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi.

Garth zmarszczył brwi.

— Dlatego, że oboje twoi rodzice byli elfami.

Wren spojrzała z niedowierzaniem. Nie pamiętała, czy rodzice podobni byli do elfów, i zawsze myślała o sobie jako o dziewczynie nomadów.

— Skąd o tym wiesz? – zapytała zdumiona.

— Mówił mi ktoś, kto ich widział. Mówiono mi również, że to niebezpieczne, abys o tym wiedziała.

— A jednak zdecydowałeś się powiedzieć mi o tym teraz?

Garth wymownie wzruszył ramionami. Po tym, co się wydarzyło, nie ma już żadnej różnicy. Czy może to spowodować większe niebezpieczeństwo? Wren pokiwała głową. Jej matka

była nomadką. Ojciec pochodził z Ohmsfordów. Ale oboje byli elfami. Jak to możliwe? Nomadzi nie byli elfami.

— Jesteś pewien? – powtórzyła. – Elfy? Nie ludzkie istoty z domieszką elfiej krwi, tylko elfy?

Garth skinął głową i zamigał.

— To było oczywiste.

Dla wszystkich z wyjątkiem mnie, pomyślała. Jak jej rodzice mogli być elfami? Żaden z Ohmsfordów nie był elfem. Byli jedynie potomkami elfów, z niewielką ilością elfiej krwi. Czy to znaczyło, że jej rodzice żyli wśród elfów? Czy to znaczyło, że pochodzili od nich i właśnie dlatego Allanon wysłał ją na poszukiwanie elfów, ponieważ była jednym z nich?

Odwróciła wzrok, pochłonięta domysłami. Raz jeszcze ujrzała twarz swojej matki, tak jak widziała ją we śnie – twarz dziewczyny z ludzkiej rasy, nie elfa. Ta część, która należała do elfów, te najbardziej rozpoznawalne cechy – nie były widoczne. A może po prostu ich nie zauważyła? A co z jej ojcem? To zabawne, pomyślała. Nigdy nie wydawał się bardzo istotny w jej rozmyślaniach o tym, co mogło być, nigdy realny i nie miała pojęcia dlaczego. Dla niej nie miał twarzy. Był niewidzialny. Powróciła spojrzeniem do Gartha. Nomada czekał cierpliwie.

— Nie wiedziałeś, że te malowane kamyczki to Kamienie Elfów? – zapytała po raz ostatni. – Nie wiedziałeś, czym są?

— Nie.

A gdybym je wyrzuciła? – pomyślała gniewnie. Co wtedy z planami jej rodziców – jakiegokolwiek były? Znała jednak odpowiedź na to pytanie. Nigdy nie pozbędzie się malowanych kamieni, jej jedyne łącznie z przeszłością, wszystkiego, co przypominało jej rodziców. Czy tego właśnie się spodziewali? Dlaczego w ogóle dali jej Kamienie Elfów? Aby ją chronić? Przed

czym? Przed cieniowcami? Czymś więcej? Czymś, co nie istniało jeszcze, kiedy się narodziła?

— Jak myślisz, dlaczego dali mi Kamienie? – zapytała Gartha, naprawdę zaniepokojona.

Garth na chwilę spuścił wzrok, po czym podniósł na nią oczy. Jego potężne ciało uniosło się. Zamigał:

— Może aby cię ochraniać w twoim poszukiwaniu elfów.

Wren wytrzeszczyła oczy z twarzą bez wyrazu. Nie rozważała takiej możliwości. Ale skąd rodzice mogli wiedzieć, że wyruszy na poszukiwanie elfów? A może po prostu wiedzieli, że pewnego dnia odkryje swoje dziedzictwo, że zapagnie się dowiedzieć, skąd pochodzi i do kogo należy?

— Nie rozumiem, Gartfi – wyznała. – O co w tym wszystkim chodzi?

Ale olbrzym tylko potrząsnął głową i spojrzał ze smutkiem. Całą noc trzymali razem straż, drzemiąc na zmianę, aż w końcu światło brzasku rozjaśniło niebiosa na wschodzie. Potem Garth spał do południa, wyczerpany. Wren usiadła, wpatrując się w rozległą przestrzeń Błękitnej Granicy, zastanawiając się, co wiąże się z odkryciem Kamieni Elfów. Były Kamieniami Shei Ohmsforda, zdecydowała. Słyszała ich opis wystarczająco często, wysłuchując opowieści o ich dziejach. Należały do tego, komu zostały ofiarowane, a ofiarowano je rodzinie Ohmsfordów – a potem znowu zaginęły, jak przypuszczano. Być może jednak nie. Może po prostu zabrano je w jakimś celu. To możliwe. Po Brin i Jairze było wielu Ohmsfordów i całe trzysta lat, aby zagubić ślad magii – nawet tak osobistej i potężnej jak magia Kamieni Elfów. Był czas, kiedy nikt nie potrafił ich użyć, przypomniała sobie. Tylko ci, którzy mieli w sobie wystarczającą ilość elfiej krwi, mogli bezkarnie przywołać magię. Will Ohmsford w ten sposób

został uszkodzony. Użycie Kamieni spowodowało, że ich magia przeniknęła go. Kiedy narodziły się jego dzieci, Brin i Jair, magia przekształciła się w pieśń. Może więc dlatego jeden z Ohmsfordów postanowił z powrotem zabrać Kamienie Elfów do tych, którzy mogli bezpiecznie jej używać – do elfów. Czy w ten sposób odnalazły drogę do jej rodziców?

Pytanie trwało w niej, przytłaczające, nieubłagane i bez odpowiedzi. Co takiego powiedział jej Coglin, kiedy odnalazł ją po raz pierwszy w Tirfing i nakłonił, aby poszła z nim nad Hadeshorn na spotkanie z Allanonem? O wiele ważniejsze, abyś wiedziała nie to, kim jesteś, ale kim mogłabyś być. Zaczynała teraz rozumieć, że mogło się to okazać prawdą w sposób, którego nawet sobie nie wyobrażała.

Garth wstał w południe i zjadł warzywny gulasz i świeży chleb, który mu przygotowała. Był zesztywniały i obolały, siły jeszcze mu nic powróciły. Niemniej jednak uznał za konieczne przeszukanie terenu, aby się upewnić, że w pobliżu nie ma innego wilkołaka. Wren nie brała pod uwagę takiej możliwości. Oboje rozpoznali w napastniku cieniowca – istotę niegdyś ludzką, która stała się częściowo bestią, stworą, który potrafił tropić i polować, ukrywać się i skradać, który myślał tak samo jak oni i zabijał bez skrępowań. Nic dziwnego, że tak łatwo ich wytropił. Uznała, że stwór był sam. Nie mogła sobie jednak pozwolić na takie przypuszczenia. Powiedziała Garthowi, że pójdzie sama. Była lepiej od niego przygotowana na tę chwilę i miała Kamienie Elfów. Będzie bezpieczna.

Nie powiedziała mu, jak bardzo przeraża ją magia elfów i jak trudno będzie jej przywołać ją raz jeszcze, gdyby zaszła taka potrzeba.

Przemierzając krainę na południe i wschód, szukając śladów,

znaków. czy czegokolwiek dziwnego, polegając głównie na swoim instynkcie, który ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem, rozważała, co mogło oznaczać władanie taką magią. Przypomniła sobie, jak Par opowiadał jej o snach, mówiąc, że tak jak i u niego, płynie w niej krew elfów, a więc może dana jest jej też część magii. Śmiała się. Ma jedynie swoje malowane kamyki, mówiła. Wspomniała, jak Addershag dotknęła jej piersi, gdzie Kamienie Elfów spoczywały w skórzanej sakiewce, i jej spontaniczny okrzyk: „Magia!” Wtedy nie myślała nawet o malowanych kamieniach. Całe życie wiedziała o dziedzictwie Ohmsfordów, o magii, która należała do nich jako potomków elfów z rodu Shannary. Mimo to nigdy nie myślała, że jej samej przyjdzie użyć magii, nigdy nawet tego nie pragnęła. A teraz magia należała do niej, tak jak Kamienie Elfów, i co miała z nią zrobić? Nie pragnęła odpowiedzialności za Kamienie ani ich magii. Nie chciała niczego z dziedzictwa. Było niczym młyński kamień, ciągnący ją na dno. Była nomadką, wolna się urodziła i dorastała – znała to i lubiła – nie chciała nic innego. Przyjęła bez sprzeciwu swój elfi wygląd, czego mogli się spodziewać. Elfy były jej częścią, ale mniejszą, a do nomadów nie należała wcale. Czuła, że odkrycie Kamieni Elfów wywróciło w niej wszystko do góry nogami, jakby wkroczenie magii w jej życie w jakiś sposób odebrało je i stworzyło ją na nowo. Nie czuła się z tym dobrze. Nie bała się przemiany w kogoś innego.

Cały dzień zastanawiała się nad swym niepokojem i wracając do obozu, wciąż nic znała odpowiedzi na dręczące ją pytanie. Płomień ogniska prowadził ją niczym latarnia morska, kiedy podążała za jego blaskiem, gdzie czekał Garth. Niepokoił się o nią – widziała to w jego oczach. Nic jednak nie powiedział, podając jej posiłek i wodę, i siadł cicho z tyłu, aby patrzeć, jak je.

Powiedziała mu, że nie znalazła żadnych śladów cieniowców. Nie powiedziała jednak, że na nowo zaczęła przemyśliwać całą tę wyprawę. Już wcześniej sama sobie zadawała pytanie, na samym początku, kiedy postanowiła, że spróbuje dowiedzieć się czegoś o sobie. Co się stanie, jeśli nie spodoba jej się to, co odkryje? Odrzuciła tę możliwość. A teraz martwiła się, że popełniła ogromny błąd.

Druga noc minęła bez żadnych wydarzeń. Podtrzymywali ognisko, dokładając świeżych drew, kiedy stare się wypaliły, i cierpliwie czekali. Nowy dzień zaczął się i skończył, ale ciągle nikt się nie pojawiał. Wpatrywali się w niebo i ziemię od horyzontu po horyzont, lecz nie było śladu nikogo. Zanim zapadła noc, oboje zaczęli się denerwować. Garth, którego powierzchowne rany już się zagoiły, a głębsze zaczynały się zablizniać, przemierzał obóz, niczym zwierzę w klatce, bez końca powtarzając nic nie znaczące czynności, aby nie siedzieć beczynnie. Wren natomiast siedziała, aby powstrzymać się od chodzenia w tę i z powrotem. Spali tak dużo, jak mogli, wypoczywając, ponieważ potrzebowali odpoczynku i ponieważ zawsze było to jakieś zajęcie. Wren odkryła, że zaczyna wątpić w Addershag, kwestionując słowa starej kobiety. Od jak dawna Addershag była więźniem tamtych mężczyzn, zakutym w łańcuchy i trzymanym w piwnicy? Być może jej pamięć szwankowała. Może wszystko się jej pomyliło. To, co mówiła, brzmiało groźnie. A co z cieniowcem, który szedł za nimi jak Westlandia długa i szeroka? Przez te wszystkie tygodnie trzymał się w ukryciu i na odległość. Pokazał się dopiero, kiedy rozpalili ognisko. Wtedy zaatakował, chcąc ich zabić, Czy rozsądne było przypuszczać, że to, co zrobili, spowodowało jego pojawienie się, że uznał ogień za zagrożenie i chciał go powstrzymać? Dlaczego

wybrał właśnie tę chwilę na atak?

Nie poddawaj się, powtarzała w duchu Wren, a słowa były niczym litania nadziei, która miała powstrzymać całkowite załamanie wiary w siebie. Nie poddawaj się.

Trzecia noc wlokła się minuta za minutą, godzina za godziną. Często zmieniali wartę, ponieważ teraz już żadne z nich nie mogło spać, żeby nie obudzić się po chwili. Często czuwali też razem – niepewni, niespokojni, zmartwieni. Karmili płomień polanami i obserwowali jego taniec na tle nocy. Wpatrywali się w odległą, czarną pustkę ponad Błękitną Granicą. Wsłuchiwali się w odgłosy nocy i swoje rozproszone myśli.

Nic się nie wydarzyło. Nikt nie przyszedł.

Mył już prawie ranek, kiedy Wren zdrzemnęła się mimo woli, tuż przed ostatnią godziną swej warty. Siedziała wciąż ze skrzyżowanymi nogami, obejmując ramionami kolana, a głowa opadła jej na pierś. Wydawało się, że ledwie kilka chwil minęło, kiedy przebudziła się gwałtownie. Zmęczona rozejrzała się wokół. Kilka stóp od niej spał Garth, owinięty w swą ogromną oponczkę. Ogień ciągle płonął. Ziemię otulał oszroniony koc cieni i półświatła, a wschodzące słońce było zaledwie blad srebrnym połyskiem na krawędzi gór na wschodzie, Drobiniki gwiazd rozświetlały jeszcze niebiosa na zachodzie, chociaż księżyc dawno już znikł. Wren ziewnęła i wstała. Znad oceanu nadciągały chmury, niskie i ciemne...

Drgnęła. Zdała sobie sprawę, że widzi coś jeszcze, coś szybszego i bardziej czarnego, pędzącego z ciemności w stronę urwiska i prosto na nią. Zamrugnęła niepewna, czy dobrze widzi, po czym cofnęła się w pośpiechu i pobiegła do Gartha. Olbrzymi nomada w jednej chwili był na nogach. Razem odwrócili się w stronę Granicy, obserwując, jak czarny twór nabiera kształtu.

Kilka sekund później zdali sobie sprawę, że to rok lecący do ogniska niczym ćma do płomienia. Przeleciał nad urwiskiem i znowu skręcił, a jego zarysy ledwie widoczne były w bladym świetle. Dwa razy przeleciał nad ich głowami, skręcając za każdym razem, przecinając niebo tam i z powrotem, jakby sprawdzał, co leży w dole. Wren i Garth patrzyli bez słowa, niezdolni uczynić nic innego.

W końcu rok rzucił się w ich stronę, a jego potężne ciało przemknęło ze świstem nad ich głowami tak blisko, że mógłby porwać ich w górę ogromnymi szponami, gdyby tylko zechciał. Wren i Garth przypadli płasko do skał i szeroko otwartymi oczami patrzyli, jak ptak sadowi się na skraju urwiska – ogromne czarne stworzenie z głową purpurową jak ogień i skrzydłami większymi od ptaka, któremu Wren ledwie umknęła parę dni wcześniej.

Wren i Garth wstali i otrzepali się.

Na ptaku siedział mężczyzna, utrzymując się na jego grzbiecie za pomocą skórzanej uprząży. Patrzyli, jak odpina pasy i zręcznie ześlizguje się na ziemię. Stał koło ptaka i przyglądał im się przez chwilę, po czym ruszył naprzód. Był niski i krępy, a na sobie miał tunikę, spodnie, wysokie buty i skórzane rękawice. Kołysał się dziwnie przy każdym kroku, jakby nie najlepiej się czuł, chodząc. Na twarzy o elfich rysach, wąskiej i surowej, malowały się głębokie bruzdy. Nie nosił brody, a brązowe włosy ostrzyżone były na krótko i przyprószone siwizną. Groźne, czarne oczy zamrugwały gwałtownie.

Zatrzymał się kilkanaście stóp od nich.

— To wy rozpaliliście ogień? – zapytał. Głos miał wysoki i ochryply.

— Tak – odpowiedziała Wren.

— Dlaczego?

— Ponieważ tak mi kazano.

— Tak? A kto ci kazał, jeśli wolno spytać?

— Wolno. Addershag.

Oczy zamrugały ze zdwojoną szybkością.

— Kto niby?

— Stara kobieta, widząca, z którą rozmawiałam w Grimpen Ward. Zwą ją Addershag.

Człowieczek prychnął.

— Grimpen Ward. Też coś. Nikt przy zdrowych zmysłach tam nie jeździ. – Zacisnął wargi. – No dobrze. A dlaczegoż to Addershag kazała ci rozpalić ognisko, he?

Wren westchnęła niecierpliwie. Trzy dni czekała, aż ktoś przyjdzie. i bardzo chciała wiedzieć, czy ten przysadzisty człowieczek był osobą, której wyczekiwała, czy też nie.

— Pozwól, że ja cię o coś zapytam – odpowiedziała. – Masz jakieś imię?

Zmarszczki pogłębiły się.

— Być może. A może wy przedstawicie się pierwsi?

Wren wyzywająco podparła się pod boki.

— Nazywam się Wren Ohmsford, a to mój przyjaciel Garth. Jesteśmy nomadami.

— Ha, czyżby? Jesteście nomadami? – Mały zachichotał, jakby ubawiony jakimś własnym żartem. – Wygląda na to, że masz też w sobie trochę z elfa.

— Ty również – odpowiedziała. – Jak się nazywasz?

— Tygrys Ty – odrzekł. – A przynajmniej tak mnie wszyscy nazywają. No dobrze, panno Wren. Przedstawiliśmy się i przywitali. Co tu robicie, Addershag, czy jak jej tam? Dlaczego rozpaliliście ogień?

Wren uśmiechnęła się.

— Może aby sprowadzić ciebie i twojego ptaka, jeśli jesteś tym, który zabierze nas do elfów.

Tygrys Ty chrząknął i splunął.

— Ten ptak to rok, panno Wren. Nazywa się Duch i jest z nich najlepszy. I nie ma żadnych elfów. Wszyscy o tym wiedzą.

Wren pokiwała głową.

— Nie wszyscy. Niektórzy myślą, że elfy istnieją. Zostałam tu wysłana, aby to sprawdzić. Czy ty i Duch możecie nam pomóc?

Nastąpiła długa cisza, a wyraz twarzy Tygrysa Ty zmienił się kilkanaście razy.

— Duży facet ten twój przyjaciel Garth, prawda? Widzę, że mówisz do niego rękami. Ale niech mnie obedrą ze skóry, jeśli nie słyszy lepiej od nas. – Przerwał. – Kim jesteś, panno Wren, że obchodzi cię, czy elfy są, czy ich nie ma?

Powiedziała mu, pewna teraz, że jest tym, którego miało przywołać ognisko, i że tylko był ostrożny w słowach, dopóki nie odkrył, z kim ma do czynienia. Ujawniła przed nim swoje pochodzenie, wyjawiając, że jest dzieckiem elfa i nomadki, poszukującym jakiegoś śladu swojej przeszłości. Opowiedziała o spotkaniu z duchem Allanona i poleceniu druida, aby ruszyła na poszukiwanie zaginionych elfów, a wtedy odkryje, co się z nimi stało, i zaprowadzi ich z powrotem do świata ludzi, aby mogli wziąć udział w walce z cieniowcami.

Nie powiedziała tylko o Kamieniach Elfów. W tej sprawie nie była jeszcze gotowa zaufać komukolwiek.

Tygrys Ty unosił się i denerwował, kiedy mówiła, a na jego twarzy co chwila pojawiał się inny wyraz. Zdawał się nie zwracać uwagi na Gartha, całą uwagę skupiając na Wren. Oprócz długiego noża nie miał żadnej broni, ale Wren sądziła, że z

trzymającym straż Duchem nie potrzebuje broni. Najwyraźniej rok był jego obrońcą.

— Usiądźmy – powiedział Tygrys Ty, kiedy skończyła, i ściągnął skórzane rękawice. – Macie coś do jedzenia?

Usiedli przy zapomnianym już teraz ognisku i Wren wyjęła suszone owoce, mały bochenek chleba i piwo. Jedli i pili w milczeniu. Wren i Garth wymieniali przypadkowe spojrzenia, a Tygrys Ty ignorował ich oboje, całkowicie pochłonięty jedzeniem. Kiedy skończyli, Tygrys Ty po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Dobry początek dnia, panno Wren. Bardzo dziękuję.

Wren skinęła głową.

— Nie ma za co. A teraz powiedz mi, czy nasze ognisko przeznaczone było dla ciebie?

Żółwia twarz zmarszczyła się.

— No cóż, to zależy. Pozwól, że zapytam, panno Wren. Czy wiesz coś o Skrzydlatych Jeźdźcach?

Wren pokręciła głową.

— Boja właśnie nim jestem – wyjaśnił Tygrys Ty. – Skrzydlatym Jeźdźcem. Strażnikiem wybrzeża Westlandii. Duch jest moim lokiem, wyszkolonym przez mojego ojca i podarowanym mi, kiedy byłem wystarczająco dorosły. Któregoś dnia będzie należał do mojego syna, jeśli okaże się tego godny. W tej chwili nic jest to jeszcze takie pewne. Głupi chłopak, lata tam, gdzie nie powinien. Nie zważa na to, co mówię. Gorąca głowa. W każdym razie Skrzydlaci Jeźdźcy latają na swoich rockach wzdłuż Błękitnej Granicy od setek lat. To miejsce, dokładnie tutaj – i tam w dolinie – było niegdyś naszym domem. Zwano je Wing Hove. Było to w czasach druida Allanona. Jak widzisz, wiem co nieco.

— Czy wiesz coś o Ohmsfordach? – zapytała impulsywnie

Wren.

— Kilkaset lat temu istniała opowieść o Ohmsfordach, kiedy elfy walczyły z demonami uwolnionymi z Zakazu. Skrzydlaci Jeźdźcy również walczyli w tej wojnie. Ale mówiono mi, że był jakiś Ohmsford. To twój krewny?

— Tak – odrzekła. – Dwanaście pokoleń temu.

Zamyślony, pokiwał głową.

— A więc to ty, lak? Dziecię z rodu Shannary?

Wren skinęła głową.

— Chyba właśnie dlatego kazano mi odnaleźć elfy, Tygrysie Ty. Tygrys Ty nie wyglądał na przekonanego.

— Skrzydlaci Jeźdźcy są elfami – powiedział ostrożnie. – Ale nie jesteśmy elfami, których szukasz. Szukasz naziemnych, nie podniebnych elfów. Rozumiesz różnicę?

Raz jeszcze pokręciła głową. Wyjaśnił im, że członkowie plemienia Wing Hove są podniebnymi elfami i uważają się za odrębny naród. Większość elfów zwana jest elfami naziemnymi, ponieważ nie rozkazują rokom i dlatego nie potrafią latać.

— Dlatego właśnie nie zabrali nas ze sobą, kiedy uciekali – ukończył, unosząc brwi. – I dlatego też, tak czy inaczej, nie poszlibyśmy z nimi.

Wren poczuła, że krew pulsuje w niej szybciej.

— A zatem elfy nadal istnieją, prawda? Gdzie one są, Tygrysie Ty?

Przysadzisty człowieczek mrugnął i wykrzywił swą zółwią twarz.

— Nie wiem, czy powinienem ci powiedzieć – stwierdził. – Nie wiem, czy cokolwiek powinienem powiedzieć. Być może jesteś tym, za kogo się podajesz. A może i nie. A nawet jeśli jesteś, może nie tobie wiedzieć, gdzie są elfy. Mówisz, że wysłał cię druid

Allanon? Kazał ci odnaleźć elfy i sprowadzić je z powrotem? Wygórowane żądanie, można powiedzieć.

— Mogę korzystać z pomocy – przyznała Wren. – Czy zaszkodzi ci, jeśli mi trochę pomożesz, Tygrysie Ty?

Zamyślił się i zakołysał w tył.

— Hm, tu mnie masz, panno Wren – odpowiedział, kiwając głową. – Poza tym, nawet podoba mi się, co w tobie widzę. Mój syn mógłby się od ciebie trochę nauczyć. Z drugiej strony, być może ma już tego za dużo! Humpf! – Podniósł głowę i utkwiał w niej ostre spojrzenie. – Tam – powiedział, wskazując Błękitną Granicę. – Oto, gdzie jesteśmy. Ci, co pozostali. – Przerwał, patrząc spode łba. – To długa historia, więc słuchajcie uważnie, bo nie będę się powtarzał. Ty też, wielkoludzie – pogroził palcem Garthowi.

Potem wziął głęboki oddech i usiadł.

— Dawno temu, dużo ponad sto lat temu, naziemne elfy zwołały, radę i postanowiły wyemigrować z Westlandii. Nie pytajcie dlaczego; nie mam pojęcia. Przypuszczam, że głównie z powodu federacji. Naciski, kradzieże i udawanie, że od samego początku wszystko należało do nich. Oskarżanie wszystkich o uprawianie magii i gadanie, że to wszystko wina elfów. Same bzdury. Naziemnym elfom bardzo się to nie podobało i postanowiły odejść. Pytanie tylko, dokąd mogłyby pójść? Czy jest takie miejsce, gdzie mógłby się osiedlić cały naród nie rozwścieczając tych, którzy już tam mieszkają? Estlandia, Sudlandia, Nordlandia – wszystko zajęte. A więc zapytali nas. Podniebne elfy podróżowały więcej niż wszyscy, widziały miejsca, o których istnieniu inni nawet nie wiedzieli. Powiedzieliśmy im, że są pewne wyspy poza Błękitną Granicą, na których nikt nie mieszka, a oni przemyśleli to, omówili, kilka

razy polecieeli na rokach ze Skrzydlatymi Jeźdźcami i podjęli decyzję. Wybrali miejsce zbiórki, zbudowali łodzie, setki łodzi, i wyruszyli.

— Wszyscy?

— Co do jednego, jak słyshałem. Odpłynęli.

— Aby zamieszkać na wyspach? – zapytała z niedowierzaniem Wren.

— Jednej wyspie. – Tygrys Ty uniósł jeden palec dla podkreślenia swoich słów. – Morrowindl.

— Tak się nazywała? – Morrowindl?

Elf skinął głową.

— Największa z wysp, ponad dwieście mil szerokości, idealna na uprawę ziemi, coś jak Sarandanon, tylko już obsadzony. Owoce, warzywa, drzewa, dobra gleba, schronienie – wszystko. Zwierzyny też dużo. Naziemne elfy wiedziały, jak zaczynać od początku, wynosząc się ze starego świata i zaczynając w nowym. Chciały na nowo oddzielić się od innych i zostawić inne rasy własnemu losowi. Pragnęły również powrotu własnej magii – to była część planu.

— Jak mówiłem, było to dawno temu. – Odchrząknął. – Po jakimś czasie my również wyemigrowaliśmy. Nie tak daleko, sami rozumiecie – raptem kilka wysp od brzegu, dość, aby trzymać się z dala od nagoniek federacji. Dla nich elfy to elfy. Mieliśmy dość takiego gadania. Oczywiście nie ruszyło nas tak wielu; nie tak jak naziemnych elfów. Nie potrzebowaliśmy tyle przestrzeni i mogliśmy osiedlić się na mniejszych wyspach. Oto, gdzie teraz jesteśmy, panno Wren. O tam, parę mil od brzegu. Wracamy na główny ląd tylko wtedy, kiedy to konieczne – na przykład kiedy ktoś rozpali sygnałna ognisko. Taką mamy umowę.

— Z kim?

— Z naziemnymi elfami. Tych kilku, którzy pozostali z innymi rasami, wie, że należy rozpalić ogień, jeśli chce się z nami rozmawiać. I parę elfów wróciło przez te wszystkie lata. Niektóre więc wiedzą o ogniu. Ta Addershag – nie mam pojęcia, skąd się dowiedziała.

— Poczekaj chwilę, Tygrysic Ty – poprosiła Wren, pojednawczo wyciągając ręce. – Dokończ najpierw opowieść o naziemnych elfach. Co się z nimi stało? Mówiłeś, że wyemigrowały ponad sto lat temu. Co stało się z nimi później?

Tygrys Ty wzruszył ramionami.

— Osiedliły się, pobudowały domy, założyły rodziny i były szczęśliwe. Wszystko szło po ich myśli z początku. Potem, jakieś dwadzieścia lat temu, zaczęły mieć kłopoty. Trudno powiedzieć, co było problemem; nie rozmawiały o tym z nami. Tylko że znaleźmy je przedtem i teraz, rozumiecie. Nie mieliśmy ze sobą wiele do czynienia, dopóki również nie emigrowaliśmy. W każdym razie na Morrowindl wszystko zaczęło się zmieniać. Zaczęło się od wulkanu Killeshan. Uśpiony od setek lat, przebudził się nagle. Zaczął dymić, pluć lawą, wybuchł raz czy dwa. Chmury pyłu, wście, wulkanicznego popiołu, zaczęły wypełniać niebo. Powietrze, ziemia, woda, wszystko wokół się zmieniło. – Przerwał, a jego twarz pociemniała. – One też się zmieniły, naziemne elfy. Nie przyznałyby się do tego, ale my widzieliśmy, że coś się zmieniło. Widać to było w ich zachowaniu, kiedy byliśmy w pobliżu – były czujne i tajemnicze. Gdziekolwiek szły, zbroiły się po zęby. A na wyspie zaczęły pojawiać się dziwne stworzenia, potwory, zwierzęta, których nigdy tu nie było. Po prostu pojawiły się, jakby z niczego. I ziemia zaczęła coraz bardziej chorować, zmieniając wszystko inne. –

Westchnął. – Potem naziemne elfy zaczęły wymierać, z początku po kilka, a z czasem coraz więcej. Niegdyś zajmowały całą wyspę; potem przeprowadziły się do swego miasta, ściśnięte jak szczury na tonącym statku. Zbudowały fortyfikacje i wzmocniły je swoją magią. Starą magią, sprowadzoną ze starych czasów. Podniebne elfy nie chciały mieć z nią do czynienia, ale my nigdy nie używaliśmy magii tak jak oni. – Oparł się – Dziesięć lat temu zupełnie znikły.

— Znikły? – wystraszyła się Wren.

— Jakby wyparowały. Nadal są na Morrowindl, jak sądzę. Ale ich nie widać. Wyspa była już wtedy tylko masą popiołu, mgły i pary. Zmieniona tak całkowicie, że może już być zupełnie innym miejscem. – Zmarszczył brwi. – Nie mogliśmy tam wejść, aby zobaczyć, co się stało. Wysłaliśmy pół tuzina Skrzydlatych Jeźdźców. Ani jeden nie wrócił. Nawet ptaki nie powróciły. I nikt stamtąd nie wyszedł. Nikt, panno Wren. Przez ten cały czas.

Wren milczała przez chwilę, zamyślona. Słońce było już w górze, ciepłe światło opadało kaskadą na wody Irrybis, a bezchmurne poranne niebo było przejrzyste i pogodne. Duch wciąż trwał przycupnięty na krawędzi urwiska, obojętny na ich obecność. Tylko jego bystre, przeszukujące spojrzenie świadczyło o tym, że żyje.

— A więc jeśli są jeszcze jakieś elfy – odezwała się w końcu Wren – jakieś naziemne elfy, to gdzieś na Morrowindl. Jesteś tego pewny, Tygrysie Ty?

Skrzydlaty Jeździec wzruszył ramionami.

— Chyba tak. Przypuszczam, że mogłyby odejść gdzie indziej, dziwne jednak, że nic nam nie powiedziały.

Wren odetchnęła głęboko.

— Czy możesz zabrać nas na Morrowindl? – zapytała.

Była to spontaniczna prośba, zrodzona z palącego i szalonego pragnienia odkrycia prawdy, która najwidoczniej ukryta była nie tylko przed nią, ale i przed wszystkimi innymi. Wiedziała, jaką okazała się egoistką. Nawet nie pomyślała, aby zapytać Gartha, co myśli; nie pamiętała nawet, jak paskudnie został zraniony w walce z ceniowcem. A teraz nawet nie mogła nań spojrzeć. Spojrzenie trzymała utkwione w Tygrysie Ty. Nie było wątpliwości, co sądzi o tym pomysle. Spojrzał groźnie spode łba.

— Mógłbym zabrać was na Morrowindl – stwierdził. – Ale nie zabiorę.

— Muszę wiedzieć, czy elfy jeszcze istnieją – nalegała Wren, starając się nie podnosić głosu. Zaryzykowała szybkie spojrzenie w stronę Gartha. Twarz nomada nie wyrażała niczego. – Muszę sprawdzić, czy można sprowadzić je na powrót do świata ludzi. Otrzymałam to zadanie od Allanona i chyba wierzę, że jest na tyle ważne, aby je wypełnić.

— Znowu Allanon! – warknął rozzłoszczony Tygrys Ty. – Ryzykujesz życie dla słów ducha? Masz pojęcie, jaka jest Morrowindl? Nie, oczywiście, że nie masz! Po co w ogóle pytam? Nie słyszałaś, co mówiłem? Myślisz, że możesz tam po prostu wejść, rozejrzeć się i wyjść? Nie możesz! Nie ujdiesz dwudziestu stóp, panno Wren, ani ty, ani twój duży przyjaciel! Cała wyspa jest śmiertelną pułapką! Bagna i dżungla, opary pochłaniające wszystko, Killeshan plujący ogniem. A stwory, które tam żyją, te potwory? Jakie masz szanse w walce z nimi? Jeśli Skrzydlaty Jeździec i jego rok nie mogą tam wylądować i wrócić, to ty, na krew demonów, tym bardziej!

— Być może – zgodziła się Wren. – Muszę jednak spróbować. – Spojrzała znowu na Gartha, który zamigał szybko.

— Jesteś tego pewna?

Nie była to wymówka, tylko ostrzeżenie. Skinęła głową.

— Nie chcesz wiedzieć, co się z nimi stało? – spytała Tygrysa Ty. – A jeśli potrzebują pomocy?

— No to co? – burknął. – Co mają zrobić podniebne elfy? Jest nas tylko garstka. Ich było tysiące. Jeśli nie mogli sobie poradzić z tym, co jest na wyspie, jaką my mamy szansę? Albo ty, panno wybawicielko?

— Zabierzesz nas? – powtórzyła.

— Nie, nie zabiorę! Zapomnij o tej sprawie! – uniósł się rozdrażniony.

— Doskonale. A zatem zbudujemy łódź i dotrzemy na Morrowindl.

— Zbudować łódź! A cóż wy wiecie o budowaniu łodzi! Albo o żeglowaniu! – Tygrys Ty był wściekły. – Ze wszystkich durnych, pomyłonych...!

Rzucił się w stronę Ducha, po czym zatrzymał się, kopnął w ziemię, obrócił się na pięcie i wrócił do nich. Twarz miał purpurową, a dłonie zaciśnięte w pięści.

— Zrobisz to, prawda? – zapytał. – Czy ci pomogę, czy nie?

— Muszę – odpowiedziała spokojnie.

— Ale jesteś tylko... Tylko... – jąkał się, nie mogąc dokończyć myśli.

Wiedziała, co próbuje powiedzieć, i nie spodobało jej się to.

— Jestem silniejsza, niż myślisz – powiedziała, a w jej głosie pojawił się twardy ton. – Nie boję się.

Tygrys Ty wpatrywał się w nią długo i surowo, zerknął na Gartha i załamał ręce.

— A więc dobrze! – Spojrzał na nią zjadliwie. – Zabiorę was! To znaczy tylko do brzegu, ponieważ w przeciwieństwie do ciebie boję się i nie zamierzam ryzykować głowy swojej i Ducha, aby

zaspokoić twoją ciekawość!

Odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem.

— To nie ma nic wspólnego z zaspokojeniem ciekawości, Tygrysie Ty. Wiesz o tym.

Przykucnął przed nią, a jego opalona twarz zatrzymała się tuż przed jej twarzą.

— Może i tak. Ale posłuchaj. Obiecasz mi, że jeśli zobaczysz, przeciwko komu stajesz, przemyślisz wszystko raz jeszcze. Bo mimo, że trochę brak ci rozsądku, polubiłem cię i nie chciałbym, aby coś ci się stało. Nie będzie tak, jak oczekujesz. Wkrótce się o tym przekonasz. A więc obiecaj. Zgoda? Wren z powagą skinęła głową.

— Zgoda.

Tygrys Ty wstał, z rękami na biodrach, nieustępliwy do końca.

— No, to w drogę – mruknął. – Miejmy to za sobą.

Rozdział V

Tygrys Ty chciał wyruszyć jak najprędzej, zmuszony był jedna czekać prawie godzinę, podczas gdy Wren i Garth zeszli do doliny, aby zebrać rzeczy i broń, którą zabiorą ze sobą w podróż, i przyprowadzić konie. Były spętane, więc Garth uwolnił je, aby w razie potrzeby mogły się paść i napić. W dolinie dość było trawy i wody, aby mogły przeżyć, a konie nauczone były nie opuszczać miejsca, w którym je zostawiono. Wren przejrzała ich zapasy, wybierając to, czego będą potrzebowali i co mogli unieść. Większość rzeczy była nieporęczna i odłożyła je do czasu, kiedy powrócą.

Jeśli powrócimy, pomyślała ponuro.

Co ja robię? Obracała w myślach ogrom podjętego postanowienia i zmuszona była zastanowić się, choćby tylko sama dla siebie, czy przyjdzie jej pożałować własnej zuchwałości.

Kiedy ponownie wspięli się na klify, Tygrys Ty oczekiwał ich niecierpliwie. Rozkazał Duchowi wstać, pomógł Wren i Garthowi wspiąć się na grzbiet ogromnego ptaka i przypiął ich pasami uprząży. Były tam pętle na stopy, uchwyty dla dłoni i mocowania w pasie, a wszystko, aby utrzymać ich bezpiecznie na miejscu. Skrzydlaty jeździec przez dłuższą chwilę tłumaczył im, jak rok będzie się zachowywał w locie i jak będą się wtedy czuli. Dał każdemu z nich kawałek gorzkiego korzenia do żucia, mówiąc, że to uchroni ich od mdłości.

— Nie żeby para doświadczonych weteranów nomadów miała się tym kłopotać – burczał na nich, siląc się na uśmiech, gorszy jeszcze od jego groźnych grymasów.

Wdrapał się na roka przed nimi, usadowił wygodnie,

naciągnął grube rękawice, bez ostrzeżenia wydał z siebie okrzyk i uderzył Ducha w kark. Ogromny ptak wrzasnął w odpowiedzi, rozpostarł skrzydła i uniósł się w powietrze. Wzniesli się nad krawędź klifów, ostro zanurkowali w dół, pochwycili prąd powietrzny i unieśli się w niebo. Wren poczuła kołysanie w żołądku. Zamknęła oczy, broniąc się przed tym uczuciem, a potem otworzyła je, świadoma, że Tygrys Ty patrzy na nią przez ramię i chichocze. Uśmiechnęła się dzielnie w odpowiedzi. Duch szybował ponad Błękitną Granicą, ledwo poruszając skrzydłami i pozwalając nieść się wiatrowi. Linia brzegu poza nimi zmniejszała się i traciła zarysy. Wkrótce była już tylko cienką ciemną linią na horyzoncie.

Czas płynął. W dole widzieli jedynie pojedyncze skalne rafy i od czasu do czasu skok wielkiej ryby. Morskie ptaki krążyły i nurkowały, podobne do małych odbłyśków białego światła, a chmury na zachodzie ciągnęły się jak pasma gazy. W dali błękitniał ocean ogromną, płaską taflą, naznaczoną grzebieniami fal toczących się bez końca w stronę odległych brzegów. Po jakimś czasie Wren była w stanie opanować początkowy niepokój i oparła się. Garth miał więcej kłopotów z przyzwyczajeniem się. Siedział tuż za nią i ile razy zerknęła nań, widziała jego napiętą, śniadą twarz i dłonie zaciśnięte na pasach wiązań. Wren przestała na niego patrzeć i skupiła się na połąci oceanu przed nimi.

Wkrótce zaczęła myśleć o Morrowindl i elfach. Zdawało się, że Tygrys Ty nie przesadzał w odmalowaniu niebezpieczeństwa, które ją czekało, jeśli nie poniecha próby przeszukania wyspy. Prawdą było, że pragnie się dowiedzieć, co się stało z elfami; prawdą było również, że jej odkrycie na niewiele się zda, jeśli nie przeżyje. I czego właściwie oczekuje? Przypuśćmy, że elfy nadal

są na Morrowindl? Przypuśćmy, że żyją? Jeśli nikt nie wszedł tam ani stamtąd nie wyszedł od dziesięciu lat, jak jej pojawienie się może zmienić cokolwiek? Dlaczego, jakiegokolwiek byłyby okoliczności, elfy miałyby rozważyć propozycję Allanona, aby porzucić życie poza czterema krainami i powrócić?

Oczywiście nie znała odpowiedzi na te pytania. Bezcelowe było nawet próbować. Do tej pory polegała jedynie na instynkcie – przede wszystkim odszukać elfy, odszukać Addershag w Grimpen Ward, a potem postępować zgodnie z jej instrukcjami, przekonać Tygrysa Ty, aby zawiózł ich na Morrowindl. Mimo wszystko zaczęła się zastanawiać, czy instynkt jej nie zawodzi. Garth był przy niej, praktycznie bez sprzeciwu, ale Garth mógł czynić to z lojalności lub przyjaźni. Być może zastanawiał się nad całą sprawą, jednak nie znaczyło to, że miał lepsze wyczucie od niej. Przemierzała wzrokiem pustą przestrzeń Błękitnej Granicy, czując się mała i bezbronna. Morrowindl była wyspą na środku oceanu, maleńkim skrawkiem ziemi pośród wody. Kiedy ona i Garth już tam będą, zostaną odcięci od wszystkiego, co znajome. Bez pomocy roka lub łodzi nie będzie stamtąd drogi wyjścia. Nie ma też pewności, że na wyspie znajdzie się ktoś, kto będzie mógł im pomóc. Być może nie ma tam już elfów. Może są tylko potwory...

Potwory. Przez chwilę zastanawiała się, jakiego mogą być rodzaju. Tygrys Ty nie umiał powiedzieć. Czy były tak niebezpieczne jak cieniowce? Jeśli tak, to by wyjaśniało, dlaczego zniknęły elfy. Może potwory uwięziły je, zastanawiała się, a nawet zniszczyły. Ale jak elfy mogłyby na to pozwolić? A jeśli potwory ich nie uwięziły, to dlaczego elfy nadal pozostają na Morrowindl? Dlaczego ani jeden nie uciekł, aby poszukać pomocy? I znowu tak wiele pytań. Zamknęła oczy i odsunęła je

od siebie.

Dochodziło południe, kiedy minęli zbiorowisko małych wysepek, wyglądających jak szmaragdy unoszące się na powierzchni morza, jasnozielone na tle błękitu wody. Duch krążył przez chwilę pod kierunkiem Tygrysa Ty, po czym opuścił się w stronę największej, wybierając na lądowanie wąską skarpe porośniętą gęstą trawą. Kiedy wielki ptak usiadł, jeźdźcy odpięli pasy i zeskoczyli na ziemię. Wren i Garth mieli obolałe, zeszywniałe mięśnie i kilka chwil zajęło im rozprostowanie kończyn. Wren pocierała bolące stawy i rozglądała się wokół. Wyspa utworzona była z ciemnej, porowatej skały, na której rosło wszystko jak na żyznej glebie. Skała była wszędzie, chrzęszcząc pod stopami, kiedy szli. Wren schyliła się i podniosła kawałek. Okazał się zdumiewająco lekki.

— Lawa – powiedział Tygrys Ty, widząc zaskoczenie na jej twarzy. – Wszystkie te wyspy są częścią łańcucha uformowanego przez wulkany gdzieś w przeszłości, setki, może tysiące lat temu. – Przerwał. skrzywił się i dokończył: – Trochę na południe stąd żyją podniebne elfy. Rzecz jasna nie pójdziemy tam. Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział, że zabrałem was na Morrowindl. Nie chcę, żeby się dowiedziały, jaki jestem głupi. – Podszedł do trawiastego kopca i usiadł. Ściągnął wysokie buty i rękawice i zaczął masować sobie stopy. – Za chwilę będziemy mieli coś do jedzenia i picia – mruknął.

Wren milczała. Garth wyciągnął się na trawie i zamknął oczy. Jest szczęśliwy, pomyślała, że znowu stoi na ziemi. Odłożyła okruch lawy, który oglądała, i usiadła koło Tygrysa Ty.

— Mówiłeś coś o potworach na Morrowindl – odezwała się po chwili. Lekka bryza mierzwiła jej włosy, rozrzucając loki na twarzy. – Powiesz mi coś o nich?

Utkwił w niej ostre spojrzenie.

— Są tu wszystkie ich rodzaje, panno Wren. Duże i małe, na czterech i na dwóch nogach, latające, pełzające i chodzące. Mają sierść, łuski albo skórę. Niektóre pochodzą z najgorszych nocnych koszmarów. Inne, jak mówią, nie są żywymi istotami. Są takie, co polują w stadach, i takie, co drążą otwory w ziemi i tam czekają. – Potrzęsnał oszronioną głową. – Sam widziałem tylko jednego lub dwa. O większości słyszałem. Ale opisy były wystarczające. – Przerwał, rozważając coś. – Chociaż czy to nie dziwne, że jest ich tak wiele rodzajów? Dziwne też, że na początku nie było ich wcale i nagle po prostu zaczęły się pojawiać.

— Myślisz, że elfy miały z tym coś wspólnego. – Było to stwierdzenie faktu.

Tygrys Ty w zamyśleniu zacisnął usta.

— Muszę tak myśleć. Musi to mieć coś wspólnego z odrodzeniem ich magii – z ich powrotem do starych sposobów. Tych parę, z którymi rozmawiałem, nie powiedziałyby o tym, nie przyznałyby się. To było dziesięć lat temu. Może więcej. Twierdziły, że to wszystko sprawka wulkanu i zmian w ziemi i klimacie. Też coś. – Uśmiechnął się rozbrajająco. – I tak to jest. Nikt nie chce powiedzieć prawdy. Wszyscy mają tajemnice. – Potarł podbródek. – Weźmy na przykład was. Nie sądzę, abyście chcieli powiedzieć mi, co wydarzyło się w Wing Hove, prawda? Kiedy czekaliście, żebym wyśledził wasz ogień? – Obserwował jej twarz. – Jak widzisz, niewiele uchodzi mojej uwagi. Na przykład twój przyjaciel, cały obandażowany. Podrapany w walce, całkiem niedawnej i groźnej. Ty sama masz kilka śladów. A na skale była ciemna rysa, jak od bardzo gorącego ognia. To nie był ślad po sygnalnym ognisku, za świeży. A skała była paskudnie

porysowana w dwóch miejscach. Może od żelaza. Albo pazurów.

Wren mimo woli musiała się uśmiechnąć. Patrzyła na Tygrysa Ty z nowo odkrytym podziwem.

— Masz rację, niewiele uchodzi twojej uwagi. To była walka, Tygrysie Ty. Coś szło za nami od tygodni, stwór, którego nazywamy cieniowcem. – Ujrzała, jak w jego oczach natychmiast pojawia się zrozumienie. Zaatakował nas, kiedy rozpaliliśmy ogień. Pokonaliśmy go.

— Naprawdę? – prychnął człowieczek. – Tylko we dwoje. Cieniowca. Niewiele o nich wiem. Wydaje mi się, że zniszczenie ich wymaga czegoś szczególnego. Może ognia. Czegoś pochodzącego z magii elfów. To by tłumaczyło wypalony ślad na skale, prawda?

Czekał. Wren powoli pokiwała głową.

— Możliwe.

Tygrys Ty pochylił się do przodu.

— Jesteś taka sama jak cała reszta, prawda, panno Wren? Jesteś z Ohmsfordów, jak inni. Ty także masz magię.

Powiedział to cicho, z rozmysłem, a w jego oczach odbijała się ciekawość, której nie było tam przedtem. Oczywiście znowu miała rację. Naprawdę władała magią, którego to odkrycia unikała celowo, od kiedy go dokonała, ponieważ w przeciwnym razie musiałyby przyznać, że odpowiedzialna jest za jej posiadanie i użycie. Ciągle mówiła sobie, że Kamienie Elfów nie należą naprawdę do niej, że jest tylko ich opiekunem, i to niechcący. Tak, ocaliły życie Gartha. I jej własne. Tak, była im wdzięczna. Ale ich magia była niebezpieczna. Wszyscy o tym wiedzieli. Całe życie uczono ją samowystarczalności, polegania na własnych instynktach i szkoleniu. Miała pamiętać, że przeżycie zależy głównie od jej własnych umiejętności i rozsądku. Nie chciała, aby

zależność od Kamieni Elfów poderwała jej zaufanie do samej siebie.

Tygrys Ty wciąż patrzył na nią, czekając, czy mu odpowie. Wren odpowiedziała mu śmiałym spojrzeniem i milczała.

— No cóż – powiedział w końcu i wzruszył ramionami. – Czas coś przegryźć.

Na wyspie gęsto było od drzew owocowych i z tego, co zebrali, zrobili smaczny posiłek. Później napili się wody ze strumienia, który znaleli w głębi lądu. Wszędzie rosły kwiaty – pnącza, oleandry, hibiskusy, orchidee i wiele innych – olbrzymie krzewy pełne kwiatów o jasnych barwach wśród zieleni, których zapach roznosił się na wszystkie strony. Były tam palmy, akacje, figi i krzew o nazwie ginkgo. Na ich gałęziach przycupnęły dziwne ptaki, których upierzenie mieniło się wszystkimi barwami tęczy. Kiedy szli, Tygrys Ty opisywał je, wskazując, nazywając i wyjaśniając. Wren patrzyła dokoła zdumiona, nie pozwalając spojrzeniu pozostać dłużej niż kilka sekund w jednym miejscu. Nie chciała niczego przeoczyć. Nigdy nie widziała czegoś tak pięknego, takiej obfitości niewyobrażalnie cudownych żywych stworzeń. Było to niemal przytłaczające.

— Czy Morrowindl jest podobna? – zapytała w pewnej chwili Tygrysa Ty.

Rzucił jej przelotne spojrzenie.

— Kiedyś była – odrzekł, nie wdając się w wyjaśnienia.

Wkrótce potem wdrapali się znowu na grzbiet Ducha i polecieeli. Tym razem było łatwiej, trochę się oswoili i nawet Garth odkrył chyba sposób na uczynienie podróży znośną. Lecieli na zachód i północ, oddalając się od słońca, kiedy stało nad ich głowami. Pojawiły się inne wyspy, małe i przeważnie skaliste, chociaż wszystkie porastała roślinność. Powietrze było ciepłe i

gładziło skórę, a słońce płonęło na bezchmurnym niebie, rozjaśniając Błękitną Granicę, dopóki nie zalsniła. Widzieli ogromne morskie zwierzęta, które Tygrys Ty nazywał wielorybami i twierdził, że są największymi stworzeniami w oceanie. Były też ptaki wszelkich rozmiarów i kształtów. Ryby pływające ławicami i wyskakujące z wody, aż ich srebrne ciała połyskiwały w słońcu. Podróż stawała się dla Wren nadzwyczaj pouczającym doświadczeniem i zanurzała się w nim z przyjemnością.

— Nigdy nie widziałam czegoś podobnego! – krzyknęła entuzjastycznie do Tygrysa Ty.

— Poczekaj, aż dotrzemy na Morrowindl – odburknął tylko.

Po raz drugi zsiadli na krótki odpoczynek koło popołudnia, wybierając samotną wyspę z szerokimi, piaszczystymi plażami i zatoczkami tak płytkimi, że woda nabierała blado turkusowej barwy. Wren zauważyła, że Duch nie jadł przez cały dzień, i zapytała o to. Tygrys Ty wyjaśnił, że rok jadł mięso i polował sam. Potrzebował jedzenia tylko raz na tydzień.

— Bardzo wytrzymały ptak, ten rok – powiedział Skrzydlaty Jeździec z niemaskowanym podziwem. – Chce tylko, żeby go zostawić w spokoju. To więcej, niż można powiedzieć o większości ludzi.

W milczeniu kontynuowali podróż. Zarówno Garth, jak i Wren zaczęli być zmęczeni, zeszywniali od siedzenia przez cały dzień w tej samej pozycji i umęczeni nieustannym kołysaniem i zaciskaniem dłoni na uprzęży, aż do skurczu palców. Wody Błękitnej Granicy przesunęły się pod nimi nie kończąca się procesją fal. Od wielu godzin nie widzieli głównego lądu, a ocean wydawał się wszechobecny. Wren czuła się mała, zredukowana przez jego ogrom do czegoś tak nieznaczącego, że bała się, iż

zniknie. Wcześniejsze poczucie odosobnienia rosło nieustannie wraz z upływem czasu i po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze dom.

Słońce niemal już zaszło, kiedy w końcu zobaczyli Morrowindl. Opadało za zachodni horyzont, a jego światło bladło, zmieniając się z białego na jasnopomarańczowe. Pasma purpury i srebra otaczały dziwnych kształtów chmury, wędrujące po niebie jak parada dziwacznych stworzeń. Na tle tej panoramy rysowała się wyspa, mroczna, okryta mgłą i posępna. Była większa od innych kawałków lądu, które napotkali. Kiedy się zbliżali, wznosiła się niczym mur. Killeshan unosił swą poszarpaną paszczę ku niebu, a z gardła sączyła mu się para. Zbocza wulkanu opadały, pokryte grubą warstwą mgły i popiołu. Znikały na setki metrów, żeby się znowu pojawić przy brzegu utworzonym ze skalistych występów i poszarpanych klifów. Fale tłukły o skały białymi pióropuszcami piany, wyrzucającymi w górę kropelki wody.

Duch zbliżył się, opadając w stronę całunu mgły. Powietrze wypełnił odór siarki wydostającej się spod ziemi tam, gdzie wulkan wypalił skałę na popiół. Poprzez chmury i mgłę widzieli doliny i grzbiety gór, przełęczę i wąwozy, a wszystko gęsto porośnięte duszącą dżunglą. Tygrys Ty zerknął przez ramię i skinął ręką. Mieli okrążyć wyspę. Na jego rozkaz Duch skręcił w prawo. Północny kraniec wyspy pochłonął ulewny deszcz, monsun pokrywający wszystko, tworzący ogromne wodospady i spadający z wysokich na tysiące stóp urwisk. Zachodnia część wyspy była naga jak pustynia, cała pokryta lawą z wyjątkiem kilku jaskrawo kwitnących krzewów i karłowatych, powyginanych przez wiatry drzewek. Południowy i wschodni kraniec był skupiskiem pojedynczych skalnych tworów i plaż o

czarnym piasku, na których brzeg napotykał wody Błękitnej Granicy, zanim wzniósł się, aby zniknąć w dżungli i mgłę.

Wren patrzyła na Morrowindl z obawą. Była posepnym, niegościnnym miejscem, ostrym przeciwieństwem innych wysp. Zderzały się na niej fronty klimatyczne. Każda strona wyspy oferowała zupełnie inne warunki. Całość zaś była okryta cieniem i chmurami, jakby Killeshan był demonem dyszącym ogniem i otulał się płaszczem własnego duszącego oddechu.

Tygrys Ty zawrócił Ducha po raz ostatni, po czym poleciełi w dół. Rok usiadł ostrożnie na skraju szerokiej plaży o czarnym piasku, zanurzając pazury w pokruszonej lawie i niechętnie zwijając skrzydła, Ogromny ptak odwrócił się w stronę dżungli i utkwiał we mgłę przenikliwe spojrzenie.

Tygrys Ty rozkazał im zsiąść. Odpięli pasy uprząży i ześliznęli się na plażę. Wren spojrzała w głąb lądu. Przed nią wyrastała wyspa, cała za skał, drzew i mgły. Nie widzieli już słońca. Wszędzie leżały cienie.

Skrzydlaty Jeździec odwrócił się do dziewczyny.

— Przypuszczam, że nadal trwasz przy swoim? Uparta jak zawsze?

Bez słowa skinęła głową, bojąc się odezwać.

— A więc posłuchaj. I pomyśl o zmianie zdania. Nie bez powodu pokazałem ci cztery strony Morrowindl. Na północy cały czas pada, każdego dnia, bez przerwy. Czasami leje, a czasem śiapi. Ale woda jest wszędzie. Bagna i rozlewiska, wodospady i spadki. Jeśli nie umiesz pływać, utoniesz. Są też gniazda zwierząt czekających, aby wciągnąć cię pod wodę. – Skinął dłonią. – Na zachodzie jest pustynia. Widziałaś. Nic poza otwartą krainą, gorącą, suchą i nagą. Pewnie myślisz, że mogłabyś iść cały czas na szczyt gór. Kłopot w tym, że nie ujdiesz mili, żeby nie wejść w

drogę stworom żyjącym pod skałami. Nie zobaczysz ich; dopadną cię, zanim zdążysz pomyśleć. Są ich tysiące, wszystkich kształtów i rozmiarów, a większość zionie trucizną, która zabija szybko. Nic tamtędy nie przejdzie. – Ściągnięte brwi pogłębiły jeszcze zmarszczki na jego twarzy. – Zostaje południe i wschód, gdzie dzieje się to samo. Skały, dżungla i mgła, i mnóstwo bardzo niemiłych stworzeń. Kiedy już zejdziesz z tej phi/pnie będziesz bezpieczna, dopóki na nią nie wrócisz. Mówiłem ci już, że to śmiertelna pułapka. I mówię ci to teraz, na wypadek gdybyś mnie nie słyszała. Panno Wren – powiedział miękko. – Nie rób tego. Nie masz szans.

Sięgnęła impulsywnie i chwyciła jego sękatę dłoń.

— Garth i ja będziemy się nawzajem pilnować – obiecała. – Robimy tak od dawna.

Pokręcił głową.

— To nie wystarczy.

Wzmocniła uścisk.

— Jak daleko musimy podróżować, aby odnaleźć elfy? Dasz nam jakąś wskazówkę?

Uwolnił dłoń i wskazał na wyspę.

— Ich miasto, jeśli nadal tam jest, leży w połowie gór, w niszy, która chroni je przed zalaniem lawą. Większość rzek lawy biegnie, na wschód i niektórymi z tych tuneli pod skałami do morza. Stąd to jakieś trzydzieści mil. Nie wiem, jak tam wygląda. Dziesięć lat zmieniło wiele.

— Znajdziemy drogę – odrzekła. Odetchnęła głęboko, aby się uspokoić, świadoma, że niewiele to pomoże. Zerknęła na Gartha, który wpatrywał się w nią z kamienną twarzą. Spojrzała na Tygrysa Ty. – Muszę prosić o jeszcze jedną rzecz. Wrócisz po nas? Dasz nam czas na poszukiwania i powrót?

Tygrys Ty skrzyżował ramiona na piersi, a na jego zółwiej twarzy pojawił się smutek i surowość.

— Przyjdę, panno Wren. Będę czekał trzy tygodnie, to dość czasu na podróż w obie strony. Potem będę szukał was co tydzień przez kolejne cztery tygodnie. – Pokręcił głową. – Ale muszę powiedzieć, że będzie to strata czasu. Nie wróćcie. Nigdy was już nie zobaczę.

Uśmiechnęła się dzielnie.

— Znajdę drogę, Tygrysie Ty.

Oczy Skrzydlatego Jeźdźca zwężyły się.

— Jest tylko jedna droga. Lepiej żebyś była sprytniejsza i silniejsza od tego, co stanie ci na drodze. I – wycelował w nią kościsty palec – lepiej przygotuj się na użycie magii.

Odwrócił się gwałtownie na pięcie i podszedł do Ducha. Podciągnął się na pętlach uprząży i usiadł. Kiedy skończył mocować pasy, spojrział na nią raz jeszcze.

— Nie próbuj iść w nocy – doradził. – Przynajmniej pierwszego dnia podróżujcie, kiedy będzie jasno. Podczas wspinaczki miej paszczę Killeshan po prawej ręce. – Załamał ręce. – Na krew demonów, to najgłupsza rzecz, jaką robicie!

— Nie zapomnij o nas, Tygrysie Ty! – krzyknęła Wren w odpowiedzi.

Skrzydlaty Jeździec przez chwilę patrzył na nią spode łba, po czym lekko kopnął Ducha. Rok wzniósł się w powietrze, rozpościerając skrzydła na wietrze, uniósł się powoli i skręcił na południe. Kilka sekund później ogromny ptak był tylko małym punkcikiem w gasnącym świetle. Wren i Garth stali w milczeniu na pustej plaży i patrzyli za nim, aż zniknął.

Rozdział VI

Pierwszej nocy pozostali na plaży, pomni na radę Tygrysa Ty, aby z wyruszeniem zaczekać aż do świtu. Wybrali kawałek odległy o jakieś ćwierć mili od miejsca, gdzie Skrzydlaty Jeździec wysadził ich, aby rozbili obóz – szeroką, otwartą połąć czarnego piasku, gdzie kończyła się linia przypływu, ponad sto stóp od krańca dżungli. Był już prawie półmrok, słońce zniknęło za horyzontem, a jego gasnące światło lśniło blado na wodach oceanu. Kiedy zapadła ciemność, bladoszrebrne światło księżyca i gwiazd zalało pustą plażę, odbijając się na piasku niczym rozsypane diamenty i rozświetlając brzeg aż po same krańce. Szybko zrezygnowali z ognia. Nie potrzeba było ani światła, ani ciepła. Siedząc na otwartej plaży, mogli widzieć wszystko, co się zbliża, a powietrze było ciepłe i balsamiczne. Ogień tylko ściągąłby na nich uwagę, a tego nie chcieli.

Zjedli zimny posiłek złożony z suszonego mięsa, chleba i sera i popili go piwem. Usiedli twarzą w stronę dżungli, plecami do oceanu, nasłuchując i patrząc. Kiedy zapadła noc, Morrowind straciła zarysy. Połacie dżungli, klifów i pustyni rozmyły się w czerni, aż w końcu wyspa stała się jedynie niewyraźną sylwetką na tle nieba. W końcu nawet to znikło i pozostała tylko stała kakofonia dźwięków. W większości były nie do rozróżnienia, odległe i stłumione, rozproszone nawoływania, pohukiwania i bzyczenie, odgłosy ptaków, zwierząt i owadów, wszystkie pograżone w głębokich ciemnościach. Wody Błękitnej Granicy uderzały stałą kadencją o brzegi wyspy, napływając i cofając się z powolnym, cichym chlupotem. Powiała delikatna, miękka bryza, obmywając resztki wiszącej w powietrzu spiekoty dnia.

Kiedy skończyli jeść, przez jakiś czas patrzyli bez słowa przed siebie – na niebo, plażę i ocean, na wszystko i nic.

Morrowindl już wywołała u Wren niepokój. Nawet teraz, otulona w ciemność, niewidoczna i uśpiona, wyspa była przerażającą obecnością. Ujrzała ją oczyma duszy: wznoszący się w niebo Killeshan z poszarpaną, otwartą paszczą, plamy porośniętych dzunglą zboczy, wysokie klify i nagie pustynie – niczym splecione łańcuchami olbrzym otulony w mgłę, czekający. Czowała na twarzy jego oddech, niespokojny i głodny. Słyszała powitalny syk.

Czowała, jak obserwuje.

Przerażało ją to bardziej, niż chciała przyznać, i nie potrafiła od sunąć od siebie tego lęku. Był jak zdradziecki cień przemykający przez korytarze jej umysłu, szepcząc słowa, których znaczenie było nieczytelne, ale intencje jasne. Czowała się dziwnie odarta ze wszystkich umiejętności, jakby pozbawiono ją ich z chwilą przybycia. Nawet jej instynkty wydawały się zamroczone. Nie potrafiła tego wyjaśnić. To nie miało sensu. Nic się nie wydarzyło, mimo to jednak była tutaj, a jej pewność siebie zmieniła się w poszarpane i rozrzucone źdźbła trawy. Inna kobieta być może potrafiłaby czerpać pocieszenie z posiadania legendarnych Kamieni Elfów, ale nie Wren. Magia był jej obca, nie wolno było jej ufać. Należała do przeszłości, o której Wren tylko słyszała, była historią zapomnianą od pokoleń. Należała do kogoś innego, kogo nie znała. Kamienie Elfów, pomyślała ponuro, nie miały z nią nic wspólnego. Te słowa sprawiły, że poczuła chłód w żołądku. Oczywiście były kłamstwem.

Zakryła twarz dłońmi, chowając się za nimi. Ze wszystkich stron napierały na nią wątpliwości i przez krótką chwilę zastanawiała się, czy jej decyzja o przybyciu na Morrowindl nie

była błędna.

W końcu cofnęła dłonie i przesunęła się do przodu, dopóki w ciemności nie zobaczyła wyraźnie brodatej twarzy Gartha. Olbrzym obserwował bez ruchu, kiedy uniosła dłonie i zaczęła migać:

— Myślisz, że popełniłam błąd, nalegając, żeby tu przybyć?

Patrzył na nią przez chwilę, po czym pokręcił głową.

— Robienie czegoś, co uważa się za konieczne, nigdy nie jest błędem.

— Naprawdę czuję, że to konieczne.

— Wiem.

— Ale nie przybyłam tu, żeby się dowiedzieć, czy elfy nadal żyją – odpowiedziała, poruszając palcami. – Przybyłam, aby dowiedzieć się czegoś o moich rodzicach, dowiedzieć się, kim byli i co się z nimi stało.

Bez słowa skinął głową.

— Wiesz, że nie dbałam o to – ciągnęła, próbując wyjaśnić. – Nie robiło to żadnej różnicy. Byłam nomadką i to wystarczało. Nawet kiedy Coglin nas odnalazł i poszliśmy na wschód, do Hadeshorn i spotkaliśmy cień Allanona, nawet kiedy zaczęłam wypytywać o elfy, mając nadzieję, że się dowiem, co się z nimi stało, nie myślałam o rodzicach. Nie miałam pojęcia, dokąd to wszystko poprowadzi. Po prostu szłam dalej, zadając pytania, w końcu dowiadując się o Addershag, a potem o sygnalnym ogniu. Po prostu podążałam za śladem, ciekawa dokąd poprowadzi. – Przerwała. – Ale Kamienie Elfów, Garth – nie liczyłam na nie. Kiedy odkryłam, że są prawdziwe, że są Kamieniami Shei i Wila Ohmsfordów – wszystko się zmieniło. Taka potężna moc, a należały do moich rodziców. Dlaczego? Jak w ogóle weszli w ich posiadanie? W jakim celu mi je ofiarowali? Rozumiesz, prawda?

Nie dostanę żadnej odpowiedzi, dopóki się nie dowiem, kim byli moi rodzice.

— Rozumiem – zamigał Garth. – Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie rozumiał.

— Wiem – wyszeptwała ze ściśniętym gardłem. – Chciałam to tylko usłyszeć.

Przez chwilę milczeli, nie patrząc na siebie.

— Czy jest coś, czego nie powiedziałeś mi o moich rodzicach?

Garth nic nie odrzekł, a jego twarz była bez wyrazu.

— Bo jeśli jest – zamigała – to musisz powiedzieć mi teraz. Nie możesz pozwolić, abym ciągnęła te poszukiwania i nie wiedziała.

Garth pochylił się, a jego twarz zniknęła w cieniu. Kiedy znowu się uniósł, jego palce poruszyły się.

— Nie ukrywałbym przed tobą niczego, co nie jest konieczne. I niczego nie ukrywam o twoich rodzicach. Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Uwierz mi.

— Wierzę – przyznała cicho.

A mimo to jego odpowiedź zmartwiła ją. Czy ukrywa zatem coś innego, co uznał za konieczne? Czy ma prawo dopytywać się, co to jest?

Pokręciła głową. Nigdy by jej nie skrzywdził. To było najważniejsze. Nie Garth.

— Dowiemy się prawdy o twoich rodzicach – zamigał nagle. – Obiecuję.

Sięgnęła, aby pochwycić jego dłonie, i puściła je.

— Garth – odezwała się – jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego mogłabym mieć.

Potem trzymała wartę, podczas gdy on spał, pokrzepiona jego słowami, pewna, że nie jest sama i że jednoczy ich jeden cel. Ukryta w ciemnościach Morrowindl nie przestawała dumać,

ponura i przerażająca. Ale Wren nie była już tak onieśmielona, powróciło zdecydowanie, cel był jasny. Będzie tak, jak było od wielu lat – ona i Garth przeciwko temu, cokolwiek ich oczekiwało. To wystarczy.

Kiedy Garth obudził się o północy, szybko poszła spać.

Wschód słońca rozjaśnił niebiosa bladym srebrem, ale Morrowindl była czarnym murem, który odcinał światło. Wyspa stała pomiędzy świtem a Garthem i Wren, jakby pragnęła już na zawsze zamknąć nomadów w mroku. Plaża była cicha i pusta – czarna linia ciągnąca się w dal, niczym rozwinięta sztuka żalobnej krepy. Z zielonej płataniny dżungli sterczały skały i klify, wysuwając się naprzód, podobnie uwięzionym istotom, szukające powietrza. Killeshan wznosił się w niebo w niemej ciszy, a z porów jego pokrytej lawą skóry sączyła się para. Daleko na północy pustynna strona wyspy pokazywała szorstką, poszarpaną powierzchnię, na którą zarzucono koc siarczanej mgły i na której nic się nie poruszało.

Nomadka i jej towarzysz umyli się i zjedli w pośpiechu śniadanie, chcąc jak najszybciej ruszyć w drogę. Żar dnia już zaczynał osiadać na ziemi, przeganiając znad wody oceaniczne bryzy. Wokół nich szybowały i krążyły ptaki, szukając pożywienia. Pośród skał przemykały ostrożnie kraby, szukając schronienia w szparach i szczelinach. Wszędzie dokoła wyspa budziła się ze snu.

Wren i Garth założyli bagaże na ramiona, sprawdzili broń, spojrzeli przelotnie po sobie i ruszyli. Plaża przeszła w krótki pas wysokiej trawy, która z kolei ustąpiła miejsca zagajnikowi wysokich akacji. Pnie pradawnych drzew wznosiły się w niebo jak kolumny, z oddali robiąc wrażenie muru. Podłoże lasu było nagie i ogołoczone z krzewów; burze i przyływy zmyły wszystko

z wyjątkiem olbrzymich drzew. Pomiedzy akacjami trwała cisza. Słońce było jeszcze ukryte na wschodzie i wszędzie leżały cienie. Wren i Garth szli powoli, stale naprzód, czujni na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Z akacyjowego lasku weszli w kępę bambusa. Szli jej skrajem, dopóki nie znaleźli zwężenia, gdzie za pomocą krótkich mieczy mogli utorować sobie drogę. Stamtąd poszli wzdłuż łąki, gdzie trawy sięgały im do pasa, a dzikie kwiaty rozkwitały bogactwem barw pośród zieleni. Przed nimi wznosił się las porastający zbocza Killeshan, drzewa i zarośla pośród dziwnych tworów skalnej lawy, dopóki wszystko nie znikło we mgle.

Pierwszy dzień minął spokojnie. Kiedy tylko mogli, podróżowali przez otwarty teren, wybierając ścieżkę, która pozwalała im widzieć, dokąd idą. Tej nocy rozbili obóz na łące dogodnie położonej na wzniesieniu terenu, które dawało swobodny widok na wszystkie strony. Drugi dzień minął tak samo jak pierwszy. Zrobili postępy, idąc wzdłuż rzek, strumieni i bez trudu wspinając się przez wzgórza i wąwozy. Nie było śladu potworów, przed którymi ostrzegał ich Tygrys Ty. Napotykali jaskrawo ubarwione węże i pająki, z całą pewnością jadowite, ale nomadzi mieli do czynienia z ich krewniakami w innych częściach świata i wiedzieli, jak unikać z nimi kontaktu. Słyszeli ochryply kaszel bagiennych kotów, ale nie widzieli żadnego. Raz czy dwa nad ich głowami przeleciały drapieżne ptaki, ale po kilku pobieżnych obserwacjach odleciały, szukając łatwiejszego łupu. Padało często i mocno, jednak nigdy przez długi czas i oprócz groźby schwymania ich przez nagłą falę w wyschniętym korycie rzeki czy wpadnięcia w świeżo powstały dół z wodą, deszcz nie zrobił im większej krzywdy. Ochłodził ich tylko. Przez cały czas mgła okrywająca zbocza Killeshan zbliżała się niczym

obietnica groźniejszych chwil.

Trzeci dzień zaczął się tak samo jak dwa poprzednie, mroczny, cichy i zadumany. Słońce wstało i przez krótką chwilę widoczne było pomiędzy drzewami – ciepła, zapraszająca morska latarnia. Potem niższe warstwy mgły uniosły się i słońce zniknęło nagle. Z początku mgła była rzadka i nie przeszkadzała, jakby tylko powietrze zgęstniało odrobinę, a światło poszarzało. Jednak powoli zaczynała gęstnieć, zbierając się w plamy zasłaniające wszystko na ich drodze. Kraina już nie była tak gładka. Nadbrzeżne niziny i trawiaste pagórki ustąpiły miejsca obsunięciom terenu i spadkom, a skamieniała lava stała się pokruszona i sypka. Zwolnili kroku, stawiając niepewnie stopy.

W pośpiechu, niespokojni, zjedli cichy obiad i ostrożnie ruszyli dalej. Obwiązali skórą nogi tuż nad butem i pod kolanami, aby chronić się przed wężami. Naciągnęli na ramiona grube opończe i zawiązali je mocno w pasie. Nie czuć tu było żaru obecnego na niższych zboczach, a powietrze ochłodziło się, chociaż myśleli, że bliżej Killeshan będzie cieplejsze. Garth prowadził, celowo zasłaniając Wren. We, mgle wokół nich poruszały się cienie, stworzenia pozbawione kształtu i formy, a mimo wszystko obecne. Znajome odgłosy ptaków i owadów umilkły, niknąc w wyczekującej ciszy. Zmierzch zapadł wcześniej, wysysając światło, i deszcz zaczął padać równymi strumieniami.

Rozbili obóz u stóp pradawnej akacji stojącej na skraju niewielkiej wycinki. Oparci plecami o drzewo zjedli kolację i obserwowali, jak światło zmienia się w dym i popiół. Deszcz zmienił się w przerywaną mżawkę, a mgła wysuwała czujne macki, zsuwając się ze zboczy gór. Las już zaczynał przechodzić w dżunglę. Drzewa rosły gęściej, o plecione pnączami, a podłoże było wilgotne, miękkie i zapadało się pod stopami. W chaszczach

i po zgniłych pniach pełzały ślimaki i żuki. Pod akacją ziemia była sucha, ale wilgoć w powietrzu zdawała, się przenikać wszystko. Nie było można rozpaść ognia. Wren i Garth skulili się w swych oponczach i przysunęli bliżej siebie. Noc rozsiadła się wokół nich, zmieniając świat w plamę atramentowej czerni.

Wren, zbyt spięta, aby spać, zaofiarowała się trzymać pierwszy wartę. Garth przystał na to bez sprzeciwu. Podciągnął kolana, złożył głowę na skrzyżowanych ramionach i niemal natychmiast zasnął.

Wren siedziała, wpatrując się w czern. Drzewa i mgła nie przepuszczały światła księżyca ani gwiazd i nawet, kiedy jej wzrok przyzwyczał się do ciemności, widoczność nie przekraczała kilku stóp. Kątem oka widziała poruszające się cienie, krótkie, szybkie i sugestywne. Z mgły wydobywały się dźwięki, wyzywające i dokuczliwe – piskliwe nawoływania nocnych ptaków, bzyczenie owadów, szelesty, skrzypienie, prychanie i warczenie. Gdzieś z oddali dochodził głuchy kaszel polujących kotów. Czują nikłe opary siarki Killeshan unoszące się w powietrzu, pomieszane z wyraźniejszymi, bardziej cierpkimi woniami dżungli. Wszędzie dokoła budził się do życia niewidzialny świat.

A niech tam, pomyślała wyzywająco.

Mżawka ustała i w powietrzu zaległa jeszcze większa cisza. Pozostała tylko mgła. Czas biegł naprzód. Odgłosy przycichły i stały się rzadsze. Było tak, jakby wszystko pogrążone w czerni czekało i obserwowało. Zdała sobie sprawę, że cienie na skraju nadchodzącej mgły odeszły. Garth pochrapywał cicho. Poruszyła się obolała, ale nie wstała. Miło było czuć za plecami pień drzewa, a obok przytulonego Gartha. Nienawidziła uczuć, jakie budziła w niej wyspa – czuła się obnażona, bezbronna i

nieosłonięta. To nowe otoczenie, mówiła sobie. Obcość terenu, oddalenie od własnego kraju, ostrzeżenia Tygrysa Ty o potworach. Trzeba czasu, żeby się przyzwyczaić...

Nie dokończyła myśli, widząc wyłaniającą się z mgły ogromną sylwetkę. Chwilami szła wyprostowana na dwóch nogach, a potem opadła na cztery. Zatrzymała się, wiedząc, że Wren patrzy na nią. Dziewczyna poczuła, jak unoszą się jej włosy na karku, i przesunęła dłoń w dół, aż jej palce zacisnęły się na długim nożu u pasa.

Czekała.

Stwór się nie poruszył. Zdawał się czekać wraz z nią.

Wtedy ujrzała drugi cień, podobny do pierwszego. I jeszcze jeden, i następny. Zebrały się w ciemnościach i stały cicho. Lśniły tylko ich niewidzialne ślepie. Wren oddychała powoli i głęboko. Pomyślała o obudzeniu Gartha, ale powtarzała sobie bez przerwy, że poczeka jeszcze chwilę, żeby tylko zobaczyć, co się stanie.

Lecz nic się nie stało. Minuty wlokły się, a cienie stały dalej w tym samym miejscu. Wren zastanawiała się, ile ich jest. Potem pomyślała, że jeśli są również za nią, skradając się, aż będą wystarczająco blisko, żeby...

Odwróciła się szybko i spojrzała. Nic tam nie było. A przynajmniej nic w ograniczonym zasięgu jej wzroku.

Znowu się odwróciła. Nagle zdała sobie sprawę, że stwory w ciemności i czekają, co zrobi, próbując ocenić, na ile może być niebezpieczna. Jeśli zostanie tu wystarczająco długo, zniecierpliwia się i postanowi ją wypróbować. Zastanawiała się, ile ma czasu. Co może je zniechęcić. Jeśli potwory już tu były, raptem trzy noce drogi od plaży, mogły być tu każdej nocy, obserwując i czekając. Mogły być też Inne. Muszą być.

Wren poczuła pęd krwi, szybki jak jej myśli. Razem z Garthem mogła mierzyć się z większością stworów. Ale nie mogli pokonać wszystkiego, co stanie im na drodze.

Cienie znowu zaczęły się poruszać, niespokojne. Słyszała pomruki, nie słowa, ale coś podobnego. Czowała ruch wokół siebie, czegoś innego niż cieni, stworów, których nie mogła zobaczyć. Mieszkańcy dżungli odkryli ich i zbierali się wokół. Słyszała ciche, złowieszcze warczenie. U jej boku Garth poruszył się we śnie i odwrócił na drugi bok.

Wren czuła, jak płoną jej policzki.

Zrób coś, wyszeptwała do siebie. Musisz coś zrobić.

Nie patrząc, wiedziała, że cienie są teraz za nią.

Poczuła płomień w piersi.

Prawie nie myśląc, sięgnęła pod tunikę i wyjęła skórzaną sakiewkę z Kamieniami Elfów. Szybkim ruchem, niezdolna myśleć, co czyni, wytrząsnęła Kamienie na dłoń i zacisnęła palce. Czowała, jak cienie obserwują ją. Tylko odrobina tego, co potrafią, powiedziała sobie. To powinno wystarczyć.

Wyciągnęła przed siebie dłoń i powoli rozchyliła palce. Kamienie zaśniły błękitnym światłem, które zebrało się w zimny ogień i pomknęło naprzód, strumieniami przenikając ciemności.

Cienie natychmiast zniknęły. Tak szybko i całkowicie, jakby nigdy ich tam nie było. Dźwięki zamarły w ciszy. Świat stał się próżnią. Została tylko ona i Garth. Mocno zacisnęła palce i cofnęła dłoń. Cienie, czymkolwiek były, wiedziały coś o magii elfów.

Instynktownie wiedziała, że tak jest.

Nagle ogarnęła ją gorycz. Kamienie Elfów nie były częścią jej życia, upierała się. Och, nie – nie jej życia. Należały do kogoś innego, nie do niej. Ile razy to sobie powtarzała! I ile razy czuła w

takich chwilach przerażenie.

Wsunęła Kamienie z powrotem do sakiewki i schowała pod tuniką. Noc była cicha i spokojna; we mgle nic się nie poruszało. Stwory żyjące na Morrowindl odeszły w poszukiwaniu łatwiejszego żeru.

Było już po północy, kiedy obudziła Gartha. Nie pojawi się już żadne zagrożenie. Nie powiedziała Garthowi, co się wydarzyło. Otuliła się opończą i oparła o towarzysza.

Dużo czasu upłynęło, zanim zasnęła.

Wyruszyli w drogę o świcie. Na zboczach Killeshan leżała grubą warstwą mgła, a światło było nikłe i szare. W powietrzu wisiała wilgoć; sączyła się z ziemi, przenikała ubrania i sprawiała, że drżeli z zimna. Po pewnym czasie przez mgłę zaczęło przeświecać słońce i chłód osłabł. Podróż była powolna i trudna, grunt niepewny i poszarpany, a wąwozy i jary zarośnięte dżunglą. Cisza ostatniej nocy trwała wciąż, ponure milczenie, które izolowało dwójkę podróżnych i rozsnuwało wokół nich pajęczyny niepokoju.

Kątem oka ciągle widzieli cienie, ukradkowe, ostrożne, zbiorowisko szybkich bezkształtnych widm, które trwały przez chwilę i natychmiast znikwały. Garth zdawał się nie zważać na ich obecność, ale Wren wiedziała, że tak nie jest. Od czasu do czasu rzucała ukradkowe spojrzenie na jego śniadą twarz i widziała spokój w jego oczach. Zdumiewało ją, że olbrzymi przyjaciel potrafi się tak odciąć od wszystkiego. Ona sama bez ustanku przeszukiwała wzrokiem mgłę, bo nawet teraz nie była pewna, jak bardzo ukryte tam stwory boją się Kamieni Elfów i jak długo magia zdoła utrzymać je z daleka. Jej palce gładziły nieustannie tunikę i skórzaną sakiewkę, w poszukiwaniu pewności, że jej ochrona nadal tam jest.

Dzień mijał powoli. Minęli lasy akacji i figowców, stare i obrosnięta mchem i winoroślą, przeszli wzdłuż zboczy, gdzie lawa kruszyła się na kawałki i osuwała, kiedy próbowali znaleźć oparcie dla stóp, schodzili wąwozami porośniętymi cierniem i przecinali doliny, nad którymi ciężkie chmury rozciągały się niczym nieprzenikniony całun szarości. Cały czas wspinali się po zboczach Killeshan, widząc chwilami wulkan przez rozdarcia we mgle. Szczyt wznosił się w oddali,

ciągle tak samo daleki.

Zaczynali poznawać coraz więcej zagrożeń na wyspie. Były tam pewne rośliny, ubarwione jaskrawo, o dziwnych kształtach, które warczały i chwyciły wszystko, co znalazło się w ich zasięgu. Były rozpadliny, które mogły w ciągu minuty pochłonąć pechowca, który miał nieszczęście na nie nastąpić. Były też dziwne zwierzęta, które pokazywały się na okamgnienie i zniknęły. Drapieżniki pokryte łuskami i kolcami o ostrych kłach i pazurach. Potwory nie pojawiały się, ale Wren podejrzewała, że są tutaj, patrzą i czekają, widma szepczące z mgły.

Nadeszła noc i sen i tym razem cienie się nie zbliżyły, ale pozostały w ukryciu. Bagienny kot podkradł się bliżej, ale Garth rzucił się w kępę traw, wydając gwizd, który najwyraźniej nie zainteresował dużego kota, i zwierzę zniknęło w ciszy. Wren śniła o domu, o Westlandii z czasów, kiedy była dzieckiem i wszystko było nowe. Przebudziła się z wyraźnymi, pogodnymi wspomnieniami.

— Garth, znowu użyłam Kamieni Elfów – odezwała się przy śniadaniu, kiedy kulili się przed chłodnym mrokiem. – Dwie noce temu, kiedy pojawiły się pierwsze cienie.

— Wiem – odpowiedział, patrząc na nią. – Nie spałem.

— Jak wiele widziałeś? – wyszeptała, z niedowierzaniem

potrząsając głową.

— Dostyc. Magia przeraziła cię, prawda?

Uśmiechnęła się smutno.

— Wszystko, co robimy, mnie przeraża.

Wyruszyli w ciszy poranka, pogrążeni w myślach. Przed nimi rozciągała się dżungla. Mgła była tutaj gęstsza, ciężka i nieruchoma. Powietrze stało w miejscu. Przecięli otwartą przestrzeń i znaleźli się na skraju bagniska. Ostrożnie okrążyli jego czerwone brzegi, szukając stałego gruntu. Kiedy im się to udało, ruszyli dalej. Bagna jednak nie skończyły się i od czasu do czasu zmuszeni byli zmieniać kierunek, szukając bardziej bezpiecznego przejścia. Trzęsawisko było monotonnym, matowym połyskiem wilgoci ciągnącym się poprzez kępy traw i zarośli, a konary drzew wystawały na powierzchnię, niczym ramiona zatopionych olbrzymów. Skrzydlate owady brzęczały wokół nich, lśniące wszystkimi barwami tęczy. Garth wyjął brzydko pachnącą maść, którą zawsze pokrywali twarze i ramiona, chroniąc się przed żądłami i ukąszeniami. W mule ślizgały się węże. Wszędzie pełzały pająki, niektóre większe od pięści Gartha. Pajęczyny, mech i winorośl opadały z gałęzi i krzaków, lepkie i duszące. Pod wysokim sklepieniem drzew przelatowały nietoperze, piszcząc ostro i przenikliwie.

W pewnej chwili natknęli się na ogromną pajęczynę zawieszoną nad ich głowami – ogromna pułapka, mająca pochwycić każdego, kto pod nią przejdzie. Mniej doświadczona para myśliwych mogłaby nie dostrzec sieci, ale Garth natychmiast zauważył zasadzkę. Włókna sieci były grubości palca Wren i niemal tak przezroczyste, że prawie niewidoczne, jeśli się na nie nie patrzyło. Trąciła jedno trzcina i ta natychmiast przykleiła się mocno. Wren i Garth przez długi czas stali bez

ruchu i rozglądali się czujnie dokoła. Cokolwiek uprzedło tę pajęczynę, nie mieli ochoty na spotkanie z nim. Upewniwszy się w końcu, że prządki nie było w pobliżu, poszli dalej.

Było już prawie południe, kiedy usłyszeli skrobanie. Zwolnili i zatrzymali się. Dźwięk był szorstki i gwałtowny, o wiele za głośny w ciszy bagniska, prawie ogłuszający. Dochodził z lewej strony, gdzie cienie kładły się na gąszcz krzewów o jaskrawoczerwonych kwiatach, Garth wysunął się naprzód i ominęli krzew z prawej, podchodząc pasmem twardego gruntu do kępy akacji. Poruszali się cicho, nasłuchując skrobania. Niemal natychmiast ujrzeli pasma pajęczyny ciągnące się od ziemi aż do wierzchołków drzew. Włókna drżały, jakby ktoś szarpał za nie z krzaków. Jasne było, co się dzieje. Garth skinął na Wren i ostrożnie poszli dalej.

Zatrzymali się ponownie pośród akacji. Pomiedzy drzewami ustawiono pułapki, jedną większą i kilka mniejszych. Jedna z nich zatrzasnęła się i znowu rozległo się skrobanie, kiedy schwytane stworzenie próbowało się uwolnić. Zwierzę nie przypominało niczego, co Garth i Wren kiedykolwiek widzieli. Wielkości niedużego psa myśliwskiego, wyglądało jak krzyżówka jeżozwiera i kota, a jego pękate ciało pokrywały czarne i brązowe kolce. Zwierzę miało cztery krótkie, grube łapy, a kwadratowa głowa osadzona praktycznie bezpośrednio na ramionach zwężała się nagle w miękki, futrzasty koci pyszczek. Pomarszczone łapy kończyły się potężnymi pazurami, które wbiły się w ziemię, a gruby, kolczasty ogon walił na boki w gorączkowym wysiłku pochwylenia lin pajęczyny, które go oplatały.

Na próżno. Im bardziej uderzał, tym bardziej zaciskała się sieć. W końcu stworzenie znieruchomiało, uniosło łeb i ujrzało ich. Wren zdurniały jego oczy. Miały powieki, rzęsy i były

jasnobłękitne. To nie były oczy zwierzęcia; przypominały jej własne. Ciało stwora obwisło, wyczerpane walką. Kolce położyły się, a dziwne oczy mrugnęły.

— Pffttt! – prychnęło stworzenie, niczym kot, a przynajmniej bardzo podobnie. – Nie sądzę, abyście zastanawiali się, czy mi pomóc - wyszeptało cicho. – W końcu ponosicie pewną, arrgggh, odpowiedzialność za moje położenie.

Wren wytrzeszczyła oczy i rzuciła pospieszne spojrzenie na Gartha, który wydawał się równie zaskoczony. Jak to zwierzę mogło mówić? Odwróciła wzrok od Gartha.

— Co to znaczy, że ponoszę odpowiedzialność?

— Rrrowwgg. To znaczy, że jesteś elfem, prawda?

— No cóż, prawdę mówiąc, nie. Jestem... – zawahała się. Już luląła powiedzieć, że jest nomadką. Ale przecież przynajmniej w części była elfem. Czyż nie dlatego stworzenie ją rozpoznało – po elfich rysach twarzy? Zmarszczyła brwi. Tak czy inaczej, skąd znało elfy? – Kim jesteś? – zapytała.

Stworzenie mierzyło ją przez chwilę spojrzeniem. Błękitne oczy patrzyły nieruchomo. Kiedy przemówiło, jego głos był cichym mruczeniem.

— Stresa.

— Stresa – powtórzyła. – To twoje imię?

Zwierzę skinęło głową.

— Ja nazywam się Wren, a to mój przyjaciel, Garth.

— Hssttt. Jesteś elfem – powtórzył Stresa, marszcząc kocią, twarz. – Ale nie jesteś z Morrowindl.

— Nie – odpowiedziała. Zaskoczona, oparła ręce na biodrach. – Skąd wiesz?

Błękitne oczy zwęziły się lekko.

— Nie poznałaś mnie. Nie wiesz, czym jestem. Hrrrowwl.

Gdybyś żyła na Morrowindl, wiedziałabyś.

Wren skinęła głową.

— A zatem, czym jesteś?

— Splinterem – odpowiedziało zwierzę. Pomruk wydobywał się z głębi jego gardła. – Tak nas nazywają, tych kilku, którzy pozostali. Trochę tego, trochę tamtego, ale przeważnie coś innego. Puurrft.

— A skąd wiesz o elfach? Czy nadal tutaj żyją?

Splinter przyglądał się jej spokojnie, cierpliwy w swej pułapce.

— Jeśli pomożesz mi się uwolnić – odpowiedział, a jego ochryply głos był cichym pomrukiem – odpowiem na twoje pytanie, Wren wahała się niezdecydowana.

— Fffpphht! Lepiej się pośpiesz – doradził. – Zanim nadejdzie Wisteron.

Wisteron? Wren spojrzała znowu na Gartha, przekazując, co powiedział Stresa. Garth odpowiedział krótko.

Wren odwróciła się do splintera.

— Skąd możemy wiedzieć, że nas nie skrzywdzisz? – zapytała;

— Harrwwl. Skoro nie jesteś z Morrowindl, a doszłaś tak daleko, to jesteś bardziej niebezpieczna ode mnie. – odpowiedział, prawie ze śmiechem. – Pośpiesz się. Przetnij nożem sieć. Tylko krawędzią ostrza. – Dziwne stworzenie urwało i po raz pierwszy ujrzała odcień rozpaczony w jego oczach. – Nie zostało wiele czasu. Jeśli mi pomożesz, hrroww, może ja pomogę ci wrócić.

Wren zamigłała do Gartha i oboje podeszli do spletanego splintera, ostrożnie unikając uwolnienia kolejnych wnyków. Pracując w pośpiechu, przecięli włókna oplątujące stworzenie i cofnęli się. Stresa wyskoczył z opadłej pajęczyny i przemknął koło nich na pewny grunt. Podniósł kolce i otrząsnął się

gwałtownie. Wren i Garth uchylił się przed nagłym ruchem, ale nie poleciał w ich stronę żaden kolec. Splinter strząsał jedynie ostatnie pasma pajęczyny przylepione do ciała. Zaczął się wylizywać, ale przestał, kiedy przypomniał sobie, że na niego patrzą.

— Dziękuję – odezwał się niskim, chrapliwym głosem. – Zginąłbym, gdybyście mnie nie uwolnili. Grrwll. Wisteron pożarłby mnie.

— Wisteron? – zapytała Wren.

Splinter położył kolce, nie zważając na pytanie.

— Sama byś już nie żyła – oznajmił. Kocia twarz skrzywiła się raz jeszcze. – Pffttt! – splunął. – Masz szczęście albo chroni cię magia, tak?

Wren przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

— Obiecałeś odpowiedzieć na moje pytanie. Opowiedz mi o elfach.

Splinter skulił się i usiadł. Był większy, niż na to wyglądał we wnykach. Bardziej wielkości psa niż kota czy jeżozwierza, na którego wyglądał.

— Elfy – powiedział, a warkot zamarł mu w gardle – żyją w głębi lądu na zboczach Killeshan, w mieście Arborlon, hrrowggh, gdzie uwięziły je demony.

— Demony? – zapytała Wren, myśląc o tamtych zamkniętych w Zakazie wraz z Ellcrys. Raz już się wyrwały na wolność za czasów Willa Ohmsforda. Czyżby znowu im się udało? – Jak wyglądają te demony? – nie ustępowała.

— Sssssttt! Jak mnóstwo różnych rzeczy. Co za różnica? Rzecz w tym, że to elfy je stworzyły, a teraz nie potrafią się ich pozbyć, Pfft! Tym gorzej dla elfów. Magia Keel upada. Niedługo będzie po wszystkim.

Splinter czekał, podczas gdy Wren zmagala się z ostatnią nowiną. Ciągle było zbyt wiele spraw, których nie pojmowała.

— Elfy stworzyły demony? – powtórzyła zmieszana.

— Wiele lat temu. Nie wiedzą dokładnie kiedy.

— Ale... z czego je stworzyły?

Stresa oblizal się. Język na tle brązowej twarzy był ciemnofioletowy.

— Po co tu przybyłaś, grrwll? Dlaczego szukasz elfów?

Wren poczuła ostrzegawczy dotyk dłoni Gartha na ramieniu. Odwróciła się i zobaczyła, że wskazuje w kierunku dżungli.

— Hssttt, tak, ja też to słyszę – oznajmił Stresa, wstając pospiesznie. – Wisteron. Zaczyna polować, sprawdza wnyki. Musimy stąd szybko uciekać. Kiedy odkryje, że uciekłem, będzie mnie szukał. – Splinter potrząsnął kolcami. – Hhggh. Skoro nie znacie drogi, lepiej chodźcie za mną.

Ruszył nagle. Wren pospieszyła, aby go dogonić, a Garth szedł za nią.

— Poczekaj! Co to za stworzenie, ten Wisteron? – zapytała.

— Lepiej, żebyś się nigdy nie dowiedziała – odpowiedział enigmatycznie Stresa i postawił wszystkie kolce. – Te bagna nazywają się In Ju. Są domem Wisterona. In Ju ciągną się aż do Blackledge, a to długa droga. Phffagh.

Szedł dalej szybciej, niż Wren mogła się spodziewać.

— Nadal nie rozumiem, skąd tyle wiesz o elfach – powiedziała, spiesząc za nim. – Albo w jaki sposób możesz mówić. Czy wszystko na Morrowindl mówi?

Stresa zerknął do tyłu kocim spojrzeniem, byстрыm i wszechwiedzącym.

— Rraarggh, nie powiedziałem ci? Mówię, ponieważ mnie również stworzyły elfy. Hssttt. Splinter odwrócił się. – A teraz

dosyć pytań. Lepiej przez jakiś czas bądźmy cicho.

Pomknął między drzewa, cichy jak dym, zostawiając za sobą Gartha i Wren oraz jej zmieszanie i niedowierzenie.

Rozdział VII

Uciekali przez In Ju szybko i cicho. Splinter prowadził, a jego brązowawe, pokryte kolcami ciało przedzierało się przez chaszczę i trawy, przeskakiwało krzaki jeżyn i kłody, jakby wszystko, nawet pojedyncze przeszkody, wymagało takiego samego wysiłku. Wren i Garth podążali za nim, zmuszeni omijać co większe zarośla, z większą ostrożnością wybierając drogę i testując grunt, zanim na niego weszli. Zdołali dotrzymać kotu tempa tylko dlatego, że Stresa miał dość zdrowego rozsądku, aby oglądać się za nimi co jakiś czas i czekać, aż go dogonią. Nikt się nie odzywał, ale wszyscy nasłuchiwali czujnie odgłosów pogoni Wisterona.

Dżungla pociemniała i wszędzie zaczęły się pojawiać pajęczyny. Wiele było śladów po starych lub zniszczonych wnykach i taka sama liczba gotowa była zatrzaskać się, porozstawiana pod drzewami, w zaroślach, a nawet nad otworami w ziemi. Pajęczyny były jasne i niewidzialne z wyjątkiem miejsc, gdzie dotknęły je liście albo kurz, nadając barwę i zarysy, a nawet wtedy trudne były do wykrycia. Wren wkrótce przestała szukać czegokolwiek innego, skupiając się jodynie na niebezpiecznych sieciach. Pająk mógłby wysnuć taką pajęczynę, pomyślała i wyobraziła sobie Wisterona.

Uciekali dopiero od paru minut, kiedy usłyszała ruch. Dźwięk docierał do niej wyraźnie – trzeszczały zarośla i krzewy, trzaskały konary drzew, kora skrzypiała, a woda pluskała i kotłowała się. Wisteron był duży i nie starał się ukryć. Przetaczał się niczym ślepa, niszczycielska siła, nieunikniony i nieubłagany. In Ju było monstrualną katedrą zieleni, z której wygnano ciszę.

Wren poczuła nagły przypływ strachu.

Przeszli szeroką wycinkę, na której utworzyło się jezioro, zmuszając ich do zmiany kierunku. Po chwili wahania skręcili w prawo wzdłuż niskiego wzniesienia, które porastała gęsta plama jeżyn. Stresa wśliznął się w nią, obojętny na kolce. Wren i Garth odważnie podążyli za nim, nie zważając na ukłucia i otarcia, a za nimi rósł odgłos nadchodzącego Wisterona.

Potem dźwięk umilkł gwałtownie.

Stresa zatrzymał się natychmiast i zamarł bez ruchu. Nomadzi również. Wren nasłuchiwała, nie poruszając się. Garth położył dłonie na ziemi. Cisza. Drzewa stały wokół nich nieporuszone, niczym zamglona kurtyna gazy. Jedynym dźwiękiem był szum wiatru... Tylko że nie było wiatru. Wren zastygła. Powietrze było ciche jak śmierć. Spojrzała szybko na Stresę. Splinter patrzył w górę.

Wisteron szedł po drzewach.

Garth zerwał się na nogi, wyjmując nóż. Wren gorączkowo przeszukiwała wzrokiem baldachim konarów i gałęzi, na próżno usiłując dostrzec cokolwiek. Szum przybliżył się, wyraźniejszy. Nie był już szeptem wiatru w listowiu, ale poruszeniem czegoś olbrzymiego.

Stresa zaczął biec. Wyglądał jak dziwnie ukształtowany kawałek ciernistej ziemi przemykający w stronę kępy akacji, cichy i oszalały równocześnie. Wren i Garth pobiegli również, nie proszeni, nie pytając o nic. Wren pociła się obficie pod ubraniem, a ciało miała obolałe od wysiłku. Poruszała się na czworakach, bojąc się spojrzeć do tyłu, w górę czy gdziekolwiek poza drogą, którą podążał przed nią splinter. W uszach miała szum liści i uderzanie gałęzi. Przez ciemny las przemykały ptaki, niczym petardy barw i ruchu, które znikwały w mgnieniu oka. Dżungla

zadrżała i zamarła, jak martwa natura, w której tylko oni się poruszali. Przed nimi wznosiły się akacje, potężne pnie dźwigające łańcuchy winorośli, ogromne, sędziwe olbrzymy zakorzenione w czasie. Wren drgnęła nagle. Umieszczone na jej piersi Kamienie Elfów zaczęły płonąć.

Nie znowu, pomyślała w rozpaczy. Nie użyję znowu magii. Wiedziała jednak, że tak będzie. Dotarli pod osłonę akacji, rzucając się pomiędzy drzewa, gdzie pnie i cienie tworzyły ciemny korytarz. Wren spojrzała w górę, szukając wnyków. Nie było ich widać. Patrzyła, jak Stresa pędzi w stronę kępy zarośli i wpycha się do środka. Poszli za nim, zatrzymując się, aby odsunąć gałęzie, ciągnąc za sobą bagaże i przyciskając je do siebie, aby stłumić wszelki hałas.

Skulili się w czerni i oddychali ciężko, po czym uklękli na podłożu dżungli i czekali. Mijały minuty. Liściaste gałęzie ich schronienia tłumili wszelkie odgłosy z zewnątrz, więc nie słyszeli już szumu. W kryjówce było ciasno, a z ziemi sączył się odór gnijącego drewna. Wren czuła się jak w pułapce. Lepiej byłoby na otwartej przestrzeni, gdzie mogłaby biec i widzieć. Poczwała gwałtowną chęć wyrwania się stąd. Spojrzała jednak na Gartha, ujrzała spokój na jego twarzy i opanowała się. Stresa przesuwał się w kierunku otworu, spłaszczony przy ziemi, z uniesioną głową i nastawionymi kocimi uszami.

Wren przysunęła się do niego i wyjrzała na zewnątrz.

Kolce splintera zjeżyły się.

W tej samej chwili ujrzała Wisterona. Wciąż był na drzewie, tak daleko od miejsca ich kryjówki, że wyglądał jak cień na tle ekranu mgły. Ale nawet wtedy nie było wątpliwości. Pełzał po gałęziach niczym jakieś ogromne widmo... Nie, nie pełzał. Kroczył. Nie jak kot, ale coś o wiele bardziej pewnego siebie,

bardziej zdecydowanego. Kiedy szedł, wysysał życie z powietrza, przypominając cień pochłaniający dźwięk i ruch. Miał cztery łapy i ogon i za pomocą wszystkich pięciu chwycił się gałęzi i podciągał dalej. Kiedyś być może był zwierzęciem; jeszcze tak wyglądał. Ale poruszał się jak owad. Był zniekształcony i pokawałkowany, a części jego ciała zwisały jak ogromne haki, które pozwalały mu przemieszczać się swobodnie we wszystkich kierunkach. Był gładki, muskularny i bardziej groteskowy niż wilkołak, który szedł za nimi od Grimpen Ward.

Wisteron zatrzymał się i odwrócił.

Wren oddech uwiązał w gardle. Serce niemal przestało jej bić. Wisteron trwał zawieszony na tle szarości, jak ogromny, przerażający cień. Potem nagle zawrócił. Przeszedł przed nią, niczym obietnica śmierci, szydząca, dokuczliwa, szepcząca milczące groźby. A mimo to nie zauważył jej: nie zwolnił. Tego popołudnia zajmie się innymi ofiarami.

Potem zniknął.

Po jakimś czasie wynurzyli się z ukrycia i ruszyli dalej, nerwowi i czujni. Podjęli podróż, bo tak było trzeba, jeśli kiedykolwiek chcieli się wydostać z In Ju. A mimo to nie zdążyli przed zapadnięciem zmroku i spędzili noc na bagnach. Stresa znalazł dużą dziuplę w pniu uschłego figowca i nomadzi wpełzli do niej niechętnie, ponaglani przez splintera. Nie mieli ochoty na ciasnotę, ale lepsze to niż spanie pod gołym niebem, gdzie mogły na nich trafić stworzenia z bagnisk. W każdym razie w dziupli było sucho, a chłód nocy nie był tak dokuczliwy. Nomadzi otulili się w grube oponcze i usiedli twarzami do otworu; patrzyli w ponury mrok, czując zgniliznę, muł i wilgoć, i obserwowali zawsze obecne, przemykające cienie.

— Co się tam porusza? – zapytała w końcu Wren, nie mogąc

powstrzymać dłużej ciekawości.

Właśnie skończyli jeść. Splinter wydawał się zdolny pożreć wszystko chleb, ser, suszone mięso, jak również larwy i owady, które sam znalazł. A teraz siedział przy otworze i żuł korzeń.

Spojrzał czujnie w górę.

— Tam? – powtórzył. Słowa były tak bełkotliwe, że Wren ledwie go zrozumiała. – Grrrsst. Tak naprawdę niewiele. Parę paskudnych, małych stworzeń, które w innych okolicznościach nie śmiałyby pokazać swoich twarzy. Teraz pełzają dokoła, hhhrrgg, ponieważ wszystkie naprawdę niebezpieczne stwory, z wyjątkiem wwwsst Wisterona, są w Arborlonie, czekając, aż Keel upadnie.

— Opowiedz mi o Keel – nalegała. Jej palce poruszały się, tłumacząc Garthowi słowa splintera.

Stresa odłożył korzeń. W ochrypłym głosie znowu pojawił się pomruk.

— Keel to mur, który otacza miasto. Został utworzony z magii, a magia powstrzymuje demony. Hggghhh. Ale magia słabnie, a demony rosną w siłę. Elfy nie mogą zrobić nic ani z jednym, ani z drugim. – Splinter przerwał. – Skąd się dowiedziałas o demonach? Hssttt. Powtórz mi swoje imię. Grrllwren? Wren? Kto powiedział ci o Morrowindl?

Wren oparła się o pień figowca.

— To długa historia, Streso. Przywiózł nas tu Skrzydlaty Jeździec. On ostrzegł nas przed demonami, tyle że nazywał je potworami. Znasz Skrzydlatych Jeźdźców?

— Sstppft! Elfy na ogromnych ptakach, tak, znam. Kiedyś ciągle tu przylatywali. Ale już nie przylatują. Teraz czekają na nich demony. Ściągają na ziemię i zabijają. Fffftt, szybko. To samo stałoby się z wami, gdyby wszystkie nie były w Arborlon, a

przynajmniej większość z nich. Wisteron nie dba o takie rzeczy.

Arborlon, myślała Wren, było rodzinnym miastem elfów, kiedy jeszcze mieszkały w Westlandii. Zniknęło wraz z nimi. Czyżby odbudowali je na Morrowindl? Co zrobili z Ellcrys? Czy przywieźli ją ze sobą? A może umarła raz jeszcze, jak za czasów Wiła Ohmsforda? Czy dlatego na Morrowindl były demony?

— Jak daleko jesteśmy od miasta? – zapytała, odsuwając od siebie te pytania.

— Jeszcze daleko – odpowiedział Stresa. Kocia twarz uniosła się. – In Ju biegnie do ściany gór zwanych Blackledge, cały czas na południowy kraniec wyspy. Za nimi leży dolina, gdzie płynie Rowen. Rrwwwn. A za nią leży Arborlon, wysoko na urwisku pod paszczą Killeshan. Czy tam próbujesz dojść?

Wren skinęła głową.

— Ppffahh! Po co?

— Aby odnaleźć elfy – odpowiedziała Wren. – Wysłano mnie do nich z wieścią.

Stresa pokręcił głową i uniosł kolce kawałek od ciała.

— Mam nadzieję, że to ważna wiadomość. Nie wiem, jak zdołasz ją dostarczyć z demonami wokół miasta, jeśli miasto jeszcze w ogóle istnieje. Sssttt.

— Znajdziemy sposób – Wren chciała zmienić temat. – Powiedziałaś wcześniej, że to elfy cię stworzyły, Streso. Demony również. Ale nie wyjaśniłaś jak.

Splinter rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie.

— Magia, oczywiście! – parsknął. – Hrrwwll! Magia elfów pozwala robić niemal wszystko. Byłem jednym z pierwszych, na długo zanim zdecydowali się na demony i innych. Prawie pięćdziesiąt lat temu. Splintery długo żyją. Sspptt. Stworzyli mnie do ochrony swoich gospodarstw, aby trzymać z dala

padlinożerców i im podobnych. Byłem w tym doskonały. Wszyscy byliśmy. Pfft. Potrafiliśmy sami się żywić, nie wymagaliśmy szczególnej troski i tygodniami byliśmy sami. Ale potem przyszły demony i zabiły większość z nas, a gospodarstwa podupadły i zostały porzucone. I tyle. Zostaliśmy pozostawieni sami sobie, grrsst, i dobrze, bo do tego byliśmy przyzwyczajeni. Umieliśmy sami zatroszczyć się o własne przetrwanie, Tak było naprawdę lepiej. Nienawidziłem zamknięcia w mieście z demonami, hssstt, dokoła. – Stworzenie warknęło cicho. – Nienawidzę samej tej myśli.

Wren wciąż usiłowała się domyślić, co uczyniły elfy, ponownie używając magii. Skąd pochodziła ta magia? Nie używali jej, kiedy żyli w Westlandii – nie mieli jej od czarodziejskich czasów. Mieli tylko moc uzdrawiania. Prawdziwa magia zaginęła wiele lat temu. Teraz odzyskali ją w jakiś sposób. Wystarczający najwyraźniej, aby stworzyć demony. A może wezwać je. Marny wybór – jeśli w ogóle był jakiś. Co skłoniło ich do takich rzeczy?

Nagle zaczęła się zastanawiać, co mieli z tym wspólnego jej rodzice. Czy wiedzieli o użyciu magii? Jeśli tak, to dlaczego dali Kamienie Elfów – najpotężniejszą magię ze wszystkich – właśnie jej?

— Skoro elfy... stworzyły te demony swoją magią, to dlaczego nie mogą ich zniszczyć? – zapytała, ciekawa ciągle, skąd pochodzą te tak zwane demony i czy naprawdę są demonami. – Dlaczego nie użyją magii, aby się od nich uwolnić?

Stresa pokręcił głową i znowu podniósł korzeń.

— Nie mam pojęcia. Nikt nigdy mi tego nie wyjaśniał. Nigdy nie chodzę do miasta. Nie rozmawiałem z elfami od lat. Ty jesteś pierwsza – a ty nie całkiem jesteś elfem, prawda? Prrrufft. Masz mieszaną krew. A twój przyjaciel jest jeszcze kimś innym.

— Jest człowiekiem – powiedziała.

— Ssspptt. Skoro tak twierdzisz. Nigdy nie widziałem kogoś podobnego. Skąd pochodzi?

Wren po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że Stresa prawdopodobnie nie zna nikogo poza elfami i Skrzydłatymi Jeźdźcami, ani innego miejsca poza wyspą.

— Oboje pochodzimy z Westlandii, która jest częścią czterech krain, gdzie wiele lat temu żyły elfy. Jest tam mnóstwo różnych ludzi. Garth i ja należymy do jednej rasy.

Stresa przyglądał się jej z namysłem. Jego kolczaste ciało wygięło się, kiedy zsunął łapy.

— Co zrobisz, rrrggghh, kiedy znajdziesz elfy i przekażesz im wiadomość? Wrócisz tam, skąd przyszałaś?

Wren skinęła głową.

— Do tej, jak to nazywasz, Westlandii. Czy jest podobna, grwwl, do Morrowindl?

— Nie, Streso. Aczkolwiek są tam również niebezpieczne stwory. A jednak Westlandia w niczym nie przypomina Morrowindl. – Jeszcze nie, pomyślała, kiedy skończyła mówić. Ale jak długo jeszcze, skoro cieniowce rosną w siłę?

Splinter żuł przez chwilę korzeń.

— Pfft. Nie sądzę, abyś sama doszła do Arborlon – zauważył, wbijając w dziewczynę dziwne, błękitne oczy.

— Nie? – odpowiedziała.

— Pfft, pft. Nie dasz rady. Nie masz pojęcia, jak wyjść z Blackledge. Tak czy owak musisz ominąć, hrrrwwll, Harrow i drakule. Poniżej, w dolinie, są Revenant. To najgorsze z demonów; są też tuziny innych. Ssspht. Kiedy cię odkryją...

Kolczaste ciało zjeżyło się znacząco. Wren miała ochotę zapytać o drakule i Revenant, ale zamiast tego spojrzała na

Gartha, chcąc poznać jego zdanie. Garth tylko wzruszył ramionami na znak swej obojętności. Zwykle szukał własnych dróg.

— Hm, co zatem proponujesz? – zapytała splintera.

Błękitne oczy mrugnęły, a z gardła stworzenia wydobył się pomruk.

— Dobijmy targu. Poprowadzę was do miasta. Jeśli ominiesz demony, dostarczysz wiadomość i wrócisz, poprowadzę was z powrotem. Hrrwwll. – Stresa przerwał. – W zamian za to zabierzesz mnie ze sobą, kiedy opuścisz wyspę.

Wren zmarszczył brwi.

— Do Westlandii? Chcesz opuścić Morrowindl?

Splinter kiwnął głową.

— Spppttt. Już mi się tu nie podoba. Nie możesz mnie winić. Dość długo żyłem dzięki sprytowi, doświadczeniu i instynktom, ale przeważnie dzięki szczęściu. Dzisiaj szczęście mnie opuściło. Gdybyś się nie pojawiła, nie żyłbym już. Zmęczony jestem takim życiem, Chcę, żeby było jak dawniej. Może uda mi się tam, gdzie żyjesz.

Może, pomyślała Wren. A może nie.

Spojrzała na Gartha. Palce olbrzyma poruszyły się szybko w odpowiedzi.

— Nic nie wiemy o tym stworzeniu. Nie decyduj pochopnie.

Wren skinęła głową. Cały Garth. Mylił się, oczywiście – jedno wiedzieli. Splinter uratował ich przed Wisteronem tak samo, jak oni go uratowali. I mógłby być użyteczny w drodze, zwłaszcza że znał niebezpieczeństwa Morrowindl o wiele lepiej niż oni. Zgoda na zabranie go ze sobą w drodze powrotnej była niewielką zapłatą. Chyba że podejrzenia Gartha okazały się słuszne i kot gra z nimi we własną grę. Nie ufaj nikomu, ostrzegła ją Addershag.

Wahała się przez chwilę, rozważając całą sprawę. Potem odsunęła od siebie ostrzeżenie.

— Dobiliśmy targu – oznajmiła krótko. – Myślę, że to dobry pomysł.

Splinter rozpostarł cały wachlarz kolców.

— Hrrwwll. Ja myślę – powiedział i ziewnął. Potem rozciągnął się przed nimi na całą długość i wygodnie oparł głowę na łapach. – Nie dotykajcie mnie, kiedy śpię – doradził. – W przeciwnym razie będziecie mieli na twarzy pełno kolców. Kiepsko bym się czuł, gdyby nasza współpraca skończyła się w ten sposób. Phhfft.

Zanim Wren zdążyła przekazać Garthowi ostrzeżenie, Stresa zamknął oczy i zasnął.

Wren objęła pierwszą wartę, a potem spała mocno aż do świtu. Obudziło ją poruszenie Stresy – chrzęst kolców i drapanie pazurami o drzewo. Wstała, w głowie miała mętlik, a oczy suche i piekące. Czowała się słaba i niespokojna, ale zapomniała o niewygodach, kiedy Garth podał jej bukłak z piwem i chleb. Wiedziała, że ich zapasy żywności topnieją gwałtownie. Wiele po prostu się zepsuło. Wkrótce trzeba będzie je uzupełnić. Miała nadzieję, że Stresa, pomimo dziwnych nawyków żywieniowych, będzie pomocny w rozpoznaniu, co jest jeszcze jadalne. Ugryzła kawałek chleba i wypluła go. Smakował pleśnią.

Stresa wyczołgał się na zewnątrz i nomadzi poszli jego śladem, wypełzając z dziupli z obolałymi, przykurczonymi mięśniami. Świt sączył się bladą, szarą mgłą spomiędzy wierzchołków drzew, ledwo będąc w stanie przedrzeć się przez ciemności panujące na dole. Mgła poruszała się w dżungli jak mieszana chochlą zupa, ale powietrze przy ziemi było martwe i nieruchome. W cuchnącej wodzie moczarów, rozpadlinach i

martwych drzewach leżących nad nimi poruszały się jakieś zwierzęta, ruchome formy i kształty na tle mroku. Z cieni unosiły się monotonne dźwięki i wisiały wyczekująco w powietrzu.

Zaczęli marsz przez półmrok. Stresa szedł na przedzie, powolna, tocząca się kolczasta kula. Szli powoli, wytrwale przez poranne godziny, a mgła otulała ich na każdym kroku niczym bezbarwny, wilgotny szal cuchnący śmiercią. Światło z szarości pojaśniało w srebro, ale nadal było blade i rozproszone, kiedy tak unosiło się na krawędzi drzew. Pasma pajęczyn Wisterona zwisały z gałęzi i winorośli, a wszędzie wisiały pułapki, gotowe opaść w każdej chwili. Sam potwór nie pojawił się, ale czuć było jego obecność we wszechobecnej ciszy.

Złe samopoczucie Wren rosło, w miarę jak mijał poranek. Czowała mdłości i zaczęła się pocić. Chwilami nie widziała wyraźnie. Wiedziała, że ma gorączkę, ale mówiła sobie, że to minie. Milczała i szła dalej.

Minęło południe i dżungla zaczęła się rozstępować, grunt znowu był pewny, bagniska wsiąkły w ziemię, a nad ich głowami otworzył się baldachim drzew. Przez rozdarcia we mgle przeświecały plamy światła. Cisza przeszła w pomruk bzyczenia i brzęczenia. Stresa mamrotał coś pod nosem, ale Wren nie rozumiała ani słowa. Od jakiegoś czasu nie była w stanie zebrać myśli, a jej wzrok był tak zamglony że splinter i Garth byli tylko cieniami. Zatrzymała się, świadoma, że ktoś mówi do niej, odwróciła się, aby zobaczyć kto, i upadła.

Niewiele pamiętała z tego, co działo się później. Przez jakiś czas niesiono ją, ledwo świadomą ruchu, pogrążoną w letargu, który groził, że ją pochłonie. Płonęła w niej gorączka i w jakiś sposób wiedziała, że nie otrząśnie się z niej. Zasnęła, obudziła się, zobaczyła, że leży otulona w koce, i znowu zasnęła. Przebudziła

się z wysiłkiem, a Garth objął ją i podał do picia coś gorzkiego i gęstego. Zwymiotowała i musiała wypić napój raz jeszcze. Słyszała, jak Stresa mówi coś o wodzie, poczuła chłodną szmatkę na czole i znowu zasnęła.

Tym razem śniła. We śnie Tygrys Ty stał obok Stresy i obaj patrzyli na nią: szorstki, nieprzystępny Skrzydlaty Jeździec i splinter o bystrym spojrzeniu. Mówili podobnym, ochrypłym, gardłowym głosem, rozprawiając o tym, co widzą, mówiąc o sprawach, których z początku nie pojmowała, a w końcu o niej samej. Użyła magii, mówili do siebie. Jasne, że tak. A jednak nie chciała się do tego przyznać, ukrywając prawdę jak bliźnę, udając, że jej nie ma i nie potrzebuje jej. To głupota, powiedzieli. Magia jest wszystkim, co posiada. Magia jest jedyną rzeczą, której może zaufać.

Obudziła się niechętnie. Jej ciało znowu było chłodne, gorączka odeszła. Była osłabiona i tak spragniona, jakby wyschły wszystkie płyny jej ciała. Odsuwając przykrycie, spróbowała wstać. Ale natychmiast pojawił się Garth i położył ją z powrotem. Uniósł kubek do jej warg. Wypiła kilka łyków – tylko tyle zdołała – i położyła się. Zamknęła oczy.

Kiedy się znowu obudziła, było ciemno. Była teraz silniejsza i miała jasną świadomość tego, co się wokół niej dzieje. Ożywiona, oparła się na łokciu i ujrzała patrzącego na nią Gartha. Siedział przy niej ze skrzyżowanymi nogami, a jego śniada, brodata twarz była wymięta i zmęczona od niewyspania. Spojrzała za niego, gdzie zwinięty w kłębek leżał Stresa.

— Lepiej się czujesz? – zamigał.

— Tak – odpowiedziała. – Gorączka odeszła.

Skinął głową.

— Spałaś prawie dwa dni.

— Tak długo? Nie wiedziałam. Gdzie jesteśmy?

— U stóp Blackledge. – Zrobił gest w ciemność. – Wyszliśmy z In Ju po twoim upadku i rozbiliśmy tu obóz. Splinter rozpoznał chorobę, którą się zaraziłaś, i znalazł leczniczy korzeń. Myślę, że bez jego pomocy mogłabyś umrzeć.

Uśmiechnęła się blado.

— Mówiłam, że to dobry pomysł zabrać go ze sobą.

— Śpij dalej. Do świtu jeszcze kilka godzin. Wyruszymy, jeśli będziesz się dobrze czuła.

Położyła się posłusznie, myśląc, że Garth musiał sam trzymać wartę cały czas, kiedy była chora, bo Stresa nie zatroszczyłaby się o to. zadowolony z własnej broni. Wypełniło ją poczucie wdzięczności. Przez cały czas Garth był tu dla niej. Zdecydowała, że następnej nocy olbrzymi przyjaciel będzie spał, jak na to zasłużył.

Spała dobrze i obudziła się wypoczęta, pragnąc na nowo podjąć podróż. Zmieniła ubranie, chociaż nie było już nic czystego, umyła się i zjadła śniadanie. Pod wpływem nalegań Gartha przez chwilę ćwiczyła mięśnie, mierząc siły na dalszą drogę. Stresa przyglądał się temu, na zmianę ciekawy i obojętny. Zatrzymała się, aby podziękować kotu za pomoc w przepędzeniu gorączki. Twierdził, że nie wie, o czym mowa. Korzeń, który znalazł, jedynie pomógł jej zasnąć. Ocaliła ją magia elfów, warknął, postawił kolce i potruchtał, żeby znaleźć coś do jedzenia.

Wspinaczka przez Blackledge zajęła im cały dzień i większość następnego. Trwałaby jeszcze dłużej – jeśli w ogóle by jej podołali – bez Stresy. Blackledge było wysoką skalną ścianą, biegnącą wzdłuż południowo-zachodniego zbocza Killeshan. Leżało w połowie wzniesienia i powstało prawdopodobnie, kiedy cały

masyw wulkanu oddzielił się i opadł kilka tysięcy stóp w głąb dżungli. Niegdyś pionowa i gładka, ściana urwiska erodowała przez lata, stając się poszarpana i urwista, porośnięta gęsto krzewami i winoroślą. Blackledge można było przejść tylko w kilku miejscach, a Stresa znał je wszystkie. Splinter wybrał odcinek urwiska, gdzie skalna ściana rozdzielała się, a szczelina opadała w dół niecałe tysiąc stóp ponad dżunglą. W jej wnętrzu znajdował się wąwóz biegnący z powrotem do doliny. To tam, za Rowen, oznajmił Stresa, znajdą elfy.

Zdecydowanie poprowadził ich w górę.

Wspinaczka była ciężka, powolna i zdawała się nie mieć końca. Nie było żadnych przejść czy szlaków. W rzeczywistości niewiele miejsc w ogóle dawało oparcie stopom i dłuższą chwilę wytchnienia. Skamieniała lawa pod ich stopami i dłońmi była ostra jak nóż i kaleczyła bez ostrzeżenia. Nomadzi mieli na sobie grube rękawice i opończe chroniące skórę przed skaleczeniem, ukąszeniem pajaków i żądłami skorpionów. Mgła spływała po ścianie urwiska, jakby ktoś wylewał ją przez krawędź, gęsta, cuchnąca siarką i sadzą. Rośliny na skale były cierniste, mocno ukorzenione i musieli je wycinać. Każdy krok wspinaczki był walką, która osłabiała ich siły. Na początku Wren czuła się wypoczęta, ale zanim nadeszło południe, była zmęczona. Nawet niewiarygodna wytrwałość Gartha szybko się wyczerpała.

Stresa nie miał takich problemów. Splinter był niespożyty i wdrapywał się po ścianie urwiska powolnym, równym krokiem. Potężno pazury odnajdowały odpowiednie oparcie, wbijając się w skałę i podciągając krępe ciało. Pajaki i skorpiony nie robiły mu krzywdy.

Jeśli napotykał jakiegoś po drodze, po prostu go zjadał. Szedł na przód, wybierając podejścia najłatwiejsze dla swych

ludzkich towarzyszy i często zatrzymując się, żeby poczekać, aż go dogonią. Na krótko zboczył z drogi, aby przynieść im gałązkę pełną słodkich, czerwonych malin, które szybko i z wdzięcznością zjedli. Kiedy zaś zapadł zmrok, a oni ciągle byli w połowie drogi, znalazł skalny występ, na którym mogli spędzić noc, oczyszczając go najpierw z wszystkiego, co mogło im zagrażać, a potem, ku ich zaskoczeniu, zaofiarował się pełnić pierwszą wartę, gdy oni będą spali. Garth, który dwie poprzednie noce spędził, czuwając nad gorączkującą Wren, był zbyt zmęczony, żeby się sprzeciwić. Dziewczyna przespała większą część nocy, po czym zmieniła splintera na kilka godzin przed świtem, ale odkryła jedynie, że Stresa woli rozmawiać, niż spać. Chciał dowiedzieć się czegoś o czterech krainach. Chciał usłyszeć, jakie stworzenia w nich żyją. Opowiedział Wren więcej o życiu na Morrowind i było to bolesne wyliczanie codziennych walk o przetrwanie w świecie, gdzie wszyscy polowali albo polowano na nich, gdzie nie istniały bezpieczne kryjówki, a życie było zazwyczaj krótkie i gorzkie.

— Rrrwwll. Na początku tak nie było – zamruczał cicho. – Dopóki elfy nie stworzyły demonów i wszystko zmieniło się na gorsze. Phhhfft. Głupie elfy. Stworzyły własne więzienie.

W jego głosie brzmiała taka gorycz, że postanowiła nie pytać o nic więcej. Ciągle nic była pewna, czy Stresa wie, o czym mówi. Elfy zawsze były uzdrowicielami i opiekunami – nigdy twórcami potworów. Trudno jej było uwierzyć, że mogły zmienić raj w trzęsawisko. Ciągle myślała, że musi być coś jeszcze w tej opowieści, czego Stresa nie wie, i powinna poczekać z osądem, dopóki nie dowie się wszystkiego.

O świcie podjęli wspinaczkę, podciągając się z trudem po skałach, chwytając się ściany urwiska i zerkając w dół przez

wirującą mgłą. Padało kilkakrotnie i przemokli zupełnie. Upał zelżał, kiedy wspięli się wyżej, ale wilgoć wciąż wisiała w powietrzu. Wren znowu była osłabiona po nawrocie bagiennej gorączki i wszystkie siły wkładała w kolejne kroki, skupiając uwagę na szukaniu oparcia dla rąk. Garth pomagał jej, kiedy mógł, ale brakowało miejsca i zmuszeni byli wspinać się jedno za drugim.

Od czasu do czasu widzieli w ścianie groty, mroczne otwory ziejące ciszą i pustką. Stresa przezornie odciągał od nich swych podopiecznych.

Kiedy Wren zapytała, co w nich jest, splinter syknął i oświadczył raczej nieprzyjemnym tonem, że nie chciałaby wiedzieć.

Południe w końcu przywiodło ich do stóp szczeliny i wąskiego wąwozu leżącego poza nią. Znowu stali na płaskim, solidnym gruncie, zmęczeni i obolali. Spojrzeli za siebie na południowo-wschodni kraniec wyspy, gdzie opadała ona skłębionym, zamglonym dywanem zielonej dżungli i czarnej lawy do lazurowej połaci oceanu. Ze wszystkich stron unosiło się nad nimi Blackledge, poszarpane i zamglone, ciągnąc się jednolitą ścianą i znikając za horyzontem. Na niebie krążyły morskie ptaki. Przez szczeliny w chmurach pojawiło się na chwilę światło słońca, oślepiając ich swym blaskiem i zmieniając matowe barwy ziemi w jasne, żywe kolory. Wren i Garth zmrużyli oczy, rozkoszując się ciepłem na twarzach. Potem światło przygasło, ode szło tak nagle, jak się pojawiło; powrócił chłód i wilgoć, a barwy wyspy znowu stały się przytłumione.

Odwrócili się do mroku szczeliny i zaczęli wspinać w stronę wąskiego wąwozu. Weszli do jego wnętrza, a wokół nich wyrosły ściany urwiska, ciężkie i przytłaczające. Ze szczytu Killeshan wiał

wiatr w ostrych, szybkich podmuchach, jakby coś oddychało. W wąwozie było zimno i nomadzi owinęli się ciasno w swoje oponcze. Nagle spadł deszcz i równie nagle ustał, a po skałach spływały mętne fale mgły.

Kiedy dotarli do końca szczeliny, zstąpił już półmrok. Stanęli na skraju doliny, która ciągnęła się w stronę końcowego wzniesienia Killeshan, niczym zielona misa ustawiona pod dalekim pasmem lasu, które wznosiło się do nagich skał wysokich zboczy poza doliną. Była szeroka i okryta mgłą. Trudno było dojrzeć, co leży w jej wnętrzu. Na wschodzie widać było niewyraźne lśnienie wstęgi wody, wijącej się przez nakrapiane akacjami wzgórze i górskie zbocza okolone pasmami sterczących skał. Ponad doliną trwała cisza.

Rozbili obóz pod skalnym nawisem przy wejściu do doliny. Noc zapadła szybko, a niebo zachmurzone było tak zupełnie, że cały świat wokół nich zmienił się w przerażającą czerń. Cisza zmroku z wolna ustępowała miejsca mieszaninie szorstkich dźwięków – przerywanemu, ledwo odczuwalnemu dudnieniu Killeshan, sykowi pary unoszącej się ze szczelin w powierzchni ziemi, którymi przedzierał się żar z serca wulkanu, pochrząkiwaniu i powarkiwaniu polujących zwierząt, nagłym okrzykiem umierających i gorączkowym szeptem uciekających. Stresa zwinął się w kłębek i leżał, wpatrując się w czerń, mniej skory do snu tej nocy. Wren i Garth siedzieli przy nim, nerwowi i niespokojni, zastanawiając się, co ich czeka. Byli już blisko; Wren czuła to. Elfy były niedaleko. Wkrótce je odnajdzie. Chwilami myślała, że poprzez czerń i mgłę widzi blask ognisk niczym oczy mrugające w ciemności. Ogniska były daleko, za doliną, wysoko na zboczach, poniżej ostatniej linii drzew. Sprawiały wrażenie samotnych i wyobcowanych i zastanawiała się, czy rzeczywiście

tak jest. Jak daleko zaszły elfy po opuszczeniu czterech krain? Może zbyt daleko? Tak daleko, że nie mogą już powrócić? W końcu zasnęła, nie znajdując odpowiedzi na te pytania.

Wyruszyli znowu o świcie. Morrowindl stało się szarym, zamglonym światem cieni i dźwięków. Dolina opadała gwałtownie przed nimi, jakby schodzili do podziemi. Szlak był skalisty i śliski, a zieleń, która w niepewnym świetle poprzedniej nocy wydawała się dominować, teraz okazała się jedynie niewielkimi plamami mchu i traw, przycupniętych pomiędzy długimi pasmami nagich skał. Czułki pary i odór siarki unosiły się w niebo i mieszały z mgłą, a przez podeszwy butów palił ich żar, osmalając skórę i twarze. Stresa narzucił wolne tempo, ostrożnie wybierając drogę, wlokąc się pomiędzy skałami i wyspami zieleni. Kilka razy zatrzymał się i zawrócił, wybierając inną drogę. Wren nie potrafiła powiedzieć, co widzi splinter; dla niej wszystko było niewidzialne. Raz jeszcze czuła się wyzuta ze wszystkich umiejętności, niczym obcy w niegościnnym, tajemniczym świecie. Próbowwała się odprężyć. Przed nią krępe ciało Stresy kołysało się na boki, a podobne do sztyletów kolce podnosiły się i opadały rytmicznie. Z tyłu skradał się Garth, jak na polowaniu, a z jego spiętej, surowej twarzy nie można było nic odczytać. Jak bardzo byli podobni, pomyślała zaskoczona.

Zeszli niewielkim wzniesieniem w kępę zarośli, kiedy zaatakowało ich zwierzę. Wskoczyło z mgły z wrzaskiem, z najeżoną sierścią, obnażonymi kłami i pazurami, tnąc nimi z rozpaczliwą furią. Miało nogi, ciało i głowę – nie było czasu dostrzec nic więcej. Minęło Stresę i rzuciło się na Wren, która ledwo zdołała unieść ramiona. Skuliła się instynktownie, poddając się ciężarowi stwora, i odrzuciła go od siebie. Drapał i gryzł, ale chroniły ją grube rękawice i opończa. Ujrzała jego oczy,

żółte i oszalałe; czuła cuchnący oddech. Otrząsnęła się, podniosła na nogi i kątem oka zobaczyła, że zwierzę znowu się obraca.

I nagle pojawił się Garth, tnąc krótkim mieczem. Błysnęła stal i ramię stwora odpadło. Upadł, krzycząc i tarzając się po ziemi. Garth podszedł szybko, uderzył w głowę i zwierzę znieruchomiało.

Wren stała, drżąc, ciągle niepewna, co ją zaatakowało. Demon? Coś innego? Spojrzała na zakrwawione, bezkształtne ścierwo. Wszystko stało się tak szybko.

— Phhfftt! Słuchajcie! – syknął głośno Stresa. – Nadchodzą inne! Sssttfttp. Tędy! Szybko!

Pobiegł. Wren i Garth pospieszyli za nim, kryjąc się w mroku. Słyszeli już odgłosy pogoni.

Rozdział VIII

Pogoń zaczęła się powoli, osiągając szczyt, kiedy ruszyła w stronę doliny. Z początku Wren, Garth i splinter byli sami, poszukiwani, lecz jeszcze nie wykryci, a ich prześladowcy byli niczym więcej jak rozproszonymi w oddali głosami. Mknęli szybko naprzód, ostrożnie, nie czując paniki ani lęku. Krajobraz wokół był jak ze snu, pusty i nagi tam, gdzie czarna lawa pogrzebała listowie pod lśniącym, skalnym dywanem i bujny w miejscach, gdzie spomiędzy pustkowia rwały się do życia kępy akacji i gęstych traw, aby odrodzić to, co zniszczone. Mgła pokrywała wszystko ogromnym, luźno utkanym całunem, wirującym i poruszającym się, tworzącym iluzję życia. Nad ich głowami niewielkie plamy nieba widoczne przez mgłę miały stalowoszarą barwę.

Stresa wybrał niepewną, okrężną trasę, prowadząc ich to w jedną, to w drugą stronę, a jego krępe, kolczaste ciało toczyło się i podskakiwało, jakby zaraz miał się przewrócić. Nie wybierał otwartych przestrzeni skalnej lawy ani osłony zarośniętego chaszczami lasu, krążąc od jednego do drugiego. Trudno był stwierdzić, czy kieruje się intuicją, czy doświadczeniem. Wren słyszała jego ciężki oddech i warkot zmieniający się w syk, kiedy natrafił na coś, co mu się nie podobało. Raz czy dwa obejrzał się, aby się upewnić, czy wciąż są za nim. Milczał i oni również się nie odzywali.

I wtedy ich odkryto. Wyszli na pas otwartych skał, a stwór leżał tam, czekając. Wyrósł przed nimi, podrywając się z ziemi, sycząc i wrzeszcząc. Podobny był do ptaka z ogromnym zakrzywionym dziobem, pazurami i piórami. Pazury cięły, aby

rozedrzeć Stresę, ale splinter cofnął się, nastroszył i w jednej chwili na napastnika posypał się deszcz ostrych jak brzytwa kolców. Stworzenie wrzasnęło z bólu i potoczyło się w tył, trąc pysk.

— Sssttt! Szybko! – prychnął Stresa, biegnąc dalej.

Uciekli, a wrzaski stwora cichły za nimi. Ale teraz zbliżały się inne, zaalarmowane krzykiem. Wszędzie wokół rozlegało się powarkiwanie, prychanie i pohukiwanie. Dźwięki wysuwały się z mgły, wychodziły z cienia. Garth wyjął miecz. Zsunęli się do płytkiego wąwozu, kiedy coś wyskoczyło z zarośli. Wren przykucnęła, kiedy stwór skoczył obok niej i ujrzała błysk ostrza. Zwierzę upadło i znieruchomiało. Wyszli z wąwozu na kolejne pasmo odsłoniętych skał i pobiegli do kępy drzew. Stado małych, czworonożnych stworzeń przypominających dzikie Świnie wypadło z ukrycia i rzuciło się na nich. Stresa skulił się, otrząsnął i deszcz kolców spadł na napastników. Powietrze wypełniły kwiki, a pazury darły ziemię. Stresa okrążył stworki, unosząc kolce niczym piki. Jeden czy dwa na próżno usiłowały wstać, ale Garth kopnął je na bok.

Weszli między drzewa, przedzierając się przez wilgotne trawy i winorośla, na twarzach i ramionach czuli mokre uderzenia liści. Daj nam jeszcze kilka minut, pomyślała Wren, kiedy z drzewa opadło skręcone ciało, owinęło się wokół Gartha i uniosło go. Odwróciła się, wyciągając miecz, i uchwyciła spojrzeniem widok znikającego olbrzyma, na wpół ciągniętego, na wpół wleczonego, walczącego z całych sił o wolność.

— Garth! – krzyknęła.

Ruszyła za nim natychmiast, ale po kilku krokach Stresa skoczył, podcinając jej nogi, przewracając na ziemię i krzycząc.

— Na ziemię, dziewczyno! Sssttt. Nie ruszaj się!

Usłyszała syk, jakby kilkunastu węży, a potem coś rozdarło listowie nad jej głową. Stresa podczołgał się do niej.

— To było głupie! – warknął szorstko. – Patrz. Phffttt! Widzisz, co prawie cię dopadło?

Wren spojrzała. Był to dziwnego kształtu krzak, najeżony kolcami niemal jak splinter. Igły sterczały na wszystkie strony. Patrzyła z niedowierzaniem, jak liście zwijają się wokół igieł, chowając je, i krzak znowu nabiera nieszkodliwego wyglądu.

— Hsstt! To Darter! – wyszeptał Stresa. – Trujący! Dotknij go, porusz, a wypuści igły! Umrzesz, jeśli cię ukłują!

Splinter utkwiał w niej spojrzenie jasnych oczu. Wren nie widziała już ani nie słyszała Gartha. Poczowała gniew i niepokój. Gdzie był? Co z nim zrobiono? Musi go znaleźć! Musi...

Stresa wstał i ruszył dalej, a ona za nim. Przedarli się przez gęste listowie, szukając we mgle, nasłuchując. I nagle usłyszeli odgłosy walki. Coś poruszyło się gwałtownie przed nimi. Stresa najeżył się i potoczył naprzód. Wren była tuż za nim. Usłyszeli jęk bólu i uderzenie. Garth pojawił się na chwilę i zniknął.

— Garth! – krzyknęła Wren i nie zważając na nic, pomknęła naprzód.

Kiedy go znalazła, olbrzymi nomada leżał rozciągnięty na ziemi, podrapany, posiniaczony, ale nie ranny. Cokolwiek rzuciło się na niego, najwyraźniej miało dość walki. Garth pozwolił dziewczynie przytulić się na chwilę, po czym delikatnie wysunął się z jej objęć i niezdarnie próbował wstać.

Stresa przynaglił ich natychmiast do marszu. Weszli znowu między drzewa, przez gęste zarośla i na powierzchnię lawy. Nad nimi przeszła gromada cieni i zniknęła, milcząca i bezkształtna. Odgłosy pogoni wciąż rosły wokół nich, ochryple i niepokojące. Przemknęli przez płaskowyż do górskiego pasma opadającego w

otchłań wirującej mgły. Stresa poprowadził ich szybko w dół, do prawie wyschniętego łożyska strumienia.

Z mgły wynurzył się nowy koszmar, istota prawie nieludzka, z licznymi odnóżami i paszczą, która zdawała się składać wyłącznie ze szczęk i kłów. Stresa zwinął się w kłębek, wystawiając kolce, a potwór nawet nie zwolnił. Wren zamachnęła się mieczem i odskoczyła na bok, o włos unikając chwytu głodnych palców. Garth stał w miejscu, pozwalając stworowi zbliżyć się, a potem ciął tak szybko, że Wren ledwo uchwyciła błysk ostrza. Trysnęła krew, ale bestia prawie nie zwolniła. Pochrzakując, rzuciła się na Gartha. Olbrzym odskoczył w tył, w bok i znowu natarł. Wren zaatakowała od tyłu, ale potężne ramię zamachnęło się i odrzuciło ją. Wstała, wciąż ściskając miecz w dłoni, i ujrzała stwora tuż nad sobą. Garth przemknął pod nią, pochwycił dziewczynę i odciągnął do tyłu. Znowu biegli, uciekając przez lśniące, czarne skały, których okruchy cięły im podeszwy butów. Garth zwolnił i postawił Wren na ziemi. Natychmiast zerwała się na nogi i pobiegła wraz z nim. Przed sobą ujrzała Stresę, jakimś cudem znowu prowadził. Za sobą słyszała warczenie i gniewne pomruki potwora.

Wtedy coś eksplodowało z cienia po lewej stronie i uderzyło w nią. Ból przeszył jej ramię, a na rękawie ujrzała plamę krwi. Czowała darcie kłów i pazurów. Krzyknęła i uderzyła we wczepione w nią stworzenie. Było za blisko, aby użyć miecza. Garth wyłonił się skądś, chwytając napastnika gołą dłonią i odciągając go. Ujrzała jego paskudną, wykrzywioną twarz i poskręcane ciało, kiedy upadł. Zamachnęła się mieczem z głośnym okrzykiem i rozplatała go na pół.

— Grrrrlll! – Stresa był już przy nich. – Musimy się ukryć! Sssttt!
Jest ich zbyt wielu!

Za nimi, zbyt blisko, aby pomyśleć, ścigające ich potwory zawyły triumfalnie. Znowu uciekali, z powrotem w mgłę, przez plątaninę cieni i półmroku, potykając się i podpierając rękami o skały. Wren krwawiła obficie. Widziała również krew na odzieniu Gartha, ale nie była pewna – swoją czy jego. W ustach miała sucho, w piersiach płomień, kiedy chwyciła powietrze. Zaczynała słabnąć.

Weszli na wzniesienie i nagle Stresa stoczył się i zniknął im z oczu. Podbiegli tam, gdzie spadł, i zobaczyli, że leży rozciągnięty niezdarnie na dnie niewielkiego spadku.

— Tutaj! Kryjówka! – zawołał nagle, plując i sycząc, kiedy zdołał wstać.

Zeszli po odsłoniętej stronie zbocza – druga była skupiskiem głazów – i podążyli wzrokiem za jego spojrzeniem. Pod nawisem znajdowała się szczelina w skale, prowadząca w ciemność.

— Ssstttppp! Szybko do środka! Tam będzie bezpiecznie! – przynagłał splinter. Kiedy nie posłuchali, natarł na nich groźnie. – Ukryć się! Odciągnę tego stwora i wrócę po was! Hrrggll! Już! Idźcie!

Odwrócił się i zniknął. Garth wahał się tylko przez chwilę, po czym skoczył w rozpadlinę. Wren była tuż za nim. Niezdarnie macali rękami w ciemnościach, po omacku szukając drogi. Szczelina biegła przez chwilę przez lawę, biegnąc do wnętrza ziemi. Kiedy byli już tak daleko, że ledwo widzieli światło z zewnątrz, przykucnęli i poczekali.

Kilka sekund później usłyszeli odgłosy pogoni. Potwór zbliżył się, nie zwalniając, i powlókł dalej. Odgłosy ucichły.

Wren wyciągnęła rękę i ścisnęła Gartha za ramię. Jej oczy zaczęły przyzwyczajać się do mroku i rozróżniała w ciemnościach niewyraźne zarysy jego postaci. Wsunęła miecz do

pochwy, zdjęła skórzaną bluzę i oddarła rękaw tuniki. Ujrzała ciemne pasma śladów po pazurach. Posmarowała rany leczniczą maścią i owinęła je ostatnią czystą przepaską, jaką nosiła. Pieczenie ustało po jakimś czasie, zmieniając się w tępy, pulsujący ból. Usiadła znużona, nasłuchując odgłosu ich oddechów.

Czas włókł się. Stresa nie wracał. Wren zamknęła oczy i pozwoliła myślom odpłynąć. Jak daleko byli od rzeki? – zastanawiała się. Rowen leżała pomiędzy nimi i Arborlon i kiedy ją przekroczą, dotrą do elfów. Przez chwilę rozważała, co to oznaczało. Ledwie miała czas oswoić się z faktem, że elfy w ogóle istnieją, że nie są jedynie plotką czy legendą, ale są żywe i rzeczywiste i pomimo wszystkich przeciwności, odnalazła je. Albo przynajmniej prawie odnalazła. Jeszcze dzień, najwyżej dwa...

Otworzyła oczy i wtedy go zobaczyła.

W pierwszej chwili pomyślała, że musi się mylić, że to cienie igrają z nią. Ale dość było światła, aby uwierzyła w to, co widzi. Stwór przykucnął bez ruchu na skalnej półce kilkanaście stóp za Garthem. Był mały, wysoki ledwie na kilkanaście cali, chociaż trudno było to stwierdzić z całą pewnością, bo siedział skulony. Miał ogromne, okrągłe oczy patrzące nieruchomo i olbrzymie uszy wystające z małej główki z lisią twarzą. Ciało miało wrzecionowate i na pierwszy rzut oka przypominał pajaka – tak bardzo, że Wren poczuła przyływ odrazy na wspomnienie spotkania z Wisteronem. Ale wyglądał tak bezradnie, a małe rączki i stopki przypominały ludzkie. Patrzył na nią i odwzajemniła spojrzenie. Instynktownie wiedziała, że to dziwne stworzenie wybrało szczelinę na swoją kryjówkę podobnie jak oni. Zamarło bez ruchu, aby go nie zauważono, ale teraz odkryto

je i zastanawiało się, co zrobić.

Wren uśmiechnęła się i siedziała bez ruchu. Stworzonko obserwowało. Wren przypadkiem zwróciła uwagę Gartha, powoli uniosła dłonie i powiedziała mu, co się dzieje. Poprosiła, aby przysunął się bliżej i usiedli razem, obserwując zwierzątko. Po chwili Wren sięgnęła, do plecaka i wyjęła resztki jedzenia. Wzięła kawałek sera, a resztę podała Garthowi. Olbrzym zjadł. Stworzonko oblizało się.

— Hej, malutki – powiedziała cicho Wren. – Jesteś głodny?

Języczek znowu się pojawił.

— Umiesz mówić?

Żadnej odpowiedzi. Wren pochyliła się do przodu z kawałkiem sera. Stworzonko ani drgnęło. Przysunęła się troszkę bliżej. Wciąż trwało bez ruchu. Zawahała się, niepewna, co robić. Kiedy zwierzątku dalej się nie ruszało, wyciągnęła ostrożnie dłoń i delikatnie rzuciła ser w stronę półki.

Mała łapka wysunęła się szybciej niż mgnienie oka i w locie chwyciła ser. Stworzonko obwąchało ser i połknęło go łapczywie.

— Bardzo głodny, prawda? – wyszeptała Wren.

Przy wejściu do kryjówki rozległo się szuranie. Zwierzątko na skale zniknęło natychmiast w cieniu. Wren i Garth odwrócili się z mieczami w dłoniach.

— Hhrrrrgghh – mruknął Stresa, wychodząc z wolna, prychnając i chrząkając. – Demon nie zrezygnuje z polowania. Ffphht. Zgubienie go zajęło więcej czasu, niż myślałem. – Potrząsnął kolcami, aż zagrzechotały.

— Nic ci nie jest? – zapytała Wren.

Splinter zjeżył się.

— Jasne, że nie. Widzisz, żeby coś było ze mną nie w porządku? Sssttt! Zdyszałem się. To wszystko.

Wren zerknęła ukradkiem na występ. Dziwne stworzonko znowu tam było. Obserwowało.

— Możesz mi powiedzieć, co to jest? – zapytała, skinąwszy w stronę stworzenia.

Stresa spojrział w mrok i prychnął.

— Ssspptt. To tylko drzewna wiewiórka! Zupełnie nieszkodliwa.

— Wygląda na przestraszoną.

Splinter zamrugął.

— Drzewne wiewiórki boją się wszystkiego. To utrzymuje je przy życiu. To i szybkość. To najszybsze stworzenia na Morrowindl. Są też sprytne. Na tyle, aby nie wpaść w pułapkę. Możesz być pewna, że nie byłoby jej tutaj, gdyby ze szczeliny prowadziło jakieś inne wyjście. Rrrwwll. Patrz na jej spojrzenie. Wygląda na to, że cię polubiła.

Wren nie odrywała wzroku od maleństwa.

— Czy elfy stworzyły również drzewne wiewiórki?

Stresa usadowił się wygodnie, chowając pazury.

— Drzewne wiewiórki zawsze tu były. Ale magia odmieniła je, jak wszystko inne. Widzisz te dłonie i stopy? Kiedyś były łapami. Potrafią się również porozumiewać. Patrz.

Wydał z siebie coś w rodzaju ćwierkania. Wiewiórka podniosła głowę. Stresa ponowił próbę. Tym razem zwierzę odpowiedziało cichym, niskim piskiem.

Stresa wzruszył ramionami.

— Jest głodna. – Splinter stracił zainteresowanie i położył łeb na przednich łapach. – Odpoczniemy do południa i pójdziemy dalej. Demony śpią, kiedy jest najgoręcej. To dla nas najlepsza pora.

Zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać. Garth zerknął

znacząco na Wren i też się ułożył, znajdując gładkie miejsce pomiędzy szorstkimi krawędziami skały. Wren nie była senna. Czekala chwilę, po czym wyjęła z plecaka następny kawałek sera. Skubała go przez chwilę, podczas gdy wiewiórka obserwowała ją, a potem delikatnie przesunęła się po podłożu szczeliny, aż odległość pomiędzy nimi się zmniejszyła. Kiedy była nie dalej jak na długość ramienia, oderwała kawałek sera i podała zwierzątku. Maleństwo porwało je z zapalem i zjadło.

Chwilę później drzewna wiewiórka zwinęła się w kłębek na kolanach Wren. Była tam jeszcze, kiedy dziewczyna w końcu zasnęła.

Obudziła ją dłoń Gartha na ramieniu, mocna i krzepiąca. Zamrugala i rozejrzała się dokoła. Drzewna wiewiórka znowu siedziała na skalnym występie i obserwowała. Garth zamigał, że czas iść. Wstała ostrożnie w wąskiej kryjówce i założyła plecak. Stresa czekał przy wejściu, jeżąc kolce i węsząc. We wnętrzu ich schronienia było gorąco. Powietrze było duszne i nieruchome.

Rozejrzała się za wiewiórką.

— Do widzenia, malutka! – zawołała cicho.

Potem wyszli z ciemności w zamglone światło. Południe przyszło i odeszło, kiedy spali. Mgła okrywająca dolinę wydawała się gęstsza niż przedtem, cuchnęła siarką i zgnilizną, a w ustach zostawiała smak popiołu i osadu. Przez porowate skały wydobywał się żar z serca Killeshan i wisiał w powietrzu nieruchomy i nieustępliwy, uwięziony w pozbawionej wiatru dolinie niczym w kotle. We mgle odbijało się białawe, rozproszone światło słońca i Wren mrużyła oczy przed jego blaskiem. Z mgły wyrastały ocienione kępy akacji, a wstęgi czarnej lawy znikaly w innym świecie.

Stresa poprowadził ich naprzód, ostrożnie wybierając drogę

przez mrok mgielnego całunu, zmieniając kierunek i wężąc. Dzień był niepokojąco cichy. Wren nasłuchiwała podejrzliwie, pamiętając słowa Stresy o śpiących demonach i nie dowierzając im. Przedzierali się w głąb misy doliny, mijając wyspy gęstej roślinności dżungli, zbocza i spadki porośnięte gęsto trawą oraz nie kończące się pasma nagiej, pokruszonej lawy, która wyłaniała się z mgły czarnymi pasami.

Popołudnie mijało szybko. We mgle wokół nich nic się nie poruszało. Wren wiedziała, że były tam jakieś stwory – czuła ich obecność. Stworzenia podobne do tego, które niemal schwytało ich poprzedniego ranka, i inne, znacznie gorsze. Ale Stresa zdawał się wiedzieć, gdzie są, i unikał ich, prowadząc swoich podopiecznych, pewny, że dobrze wybiera ścieżkę w zdradliwym labiryncie. Wszystko poruszało się i zmieniało, kiedy szli. Mieli odczucie, że nic nie jest stałe, że cała Morrowind podlega nieustannej przemianie. Wyspa zdawała się rozpadać i scalać na powrót, tworząc surrealistyczny krajobraz, który mógł stać się wszystkim i nie podlegał żadnym prawom natury. Wren czuła rosnący niepokój, przyzwyczajona do pewnego terenu równin, gór i lasów, krainy nie otoczonej wodą, i usadowionej na palenisku, które w każdej chwili, kierowane kaprysem, mogło pochłonąć wszystko, co na nim żyło. Oddech Killeshan parował przez szczeliny w skałach. Małe wybuchy, cuchnące płonąca skałą i gazami i rozpylające w powietrzu deszcz pyłu. Pomiędzy lawą i zielskiem wyrastały, absurdalne w tym miejscu, osamotnione kępy kwitnących krzewów, walcząc o życie pośród żaru i popiołu. Niegdyś, pomyślała Wren, wyspa musiała być bardzo piękna, ale teraz trudno było to sobie wyobrazić.

Było już późno, kiedy w końcu dotarli do Rowen. Światło poszarzało i przygasło. Stwory ukryte we mgle znowu zaczęły się

poruszać, a ich pochrząkiwanie i warczenie sprawiało, że cała trójka wzmogła czujność. Wyszli nad rzekę, w miejscu gdzie przeciwległy brzeg osłonięty był ekranem mgły, a bliższy opadał gwałtownie w nurt mrocznej, wzburzonej wody. Rzeka była tak zamulona i zaśmiecona, że tuż pod powierzchnią nie było nic widać. Stresa zatrzymał się na skraju brzegu i spojrzał niepewnie w obie strony, wężąc w powietrzu.

Wren uklękała przy splinterze.

— Jak przejdziemy na drugą stronę? – zapytała.

— Przy Narrow – odmruknął kot. – Ssspptt. Kłopot w tym, że nie jestem pewny, gdzie to jest. Dawno mnie tu nie było.

Wren zerknęła do tyłu na Gartha, który patrzył obojętnie. Światło gasło szybko, a odgłosy budzących się ze snu demonów były coraz bardziej natarczywe. Powietrze, nieruchome i gęste od żaru południa, ochłodziło się nieco.

— Rrrwwll. Chyba w dół rzeki – zauważył Stresa odrobinę pewniejszym głosem.

I wtedy Wren ujrzała, że coś porusza się we mgle za nimi. Przestraszyła się. Garth natychmiast dobył miecza. Z mroku wysunęła się mała figurka i Wren wstała zdumiona. Była to drzewna wiewiórka. Okrążyła Gartha i podeszła do niej, pozwalając wziąć się na rękę.

— Co tu robisz, malutka? – mruknęła Wren, gładząc kosmatą główkę.

Wiewiórka wskoczyła jej na ramię i zaćwierkała cicho do Stresy.

— Mówi, że crrrrwwll, przejście jest w górze rzeki – burknął splinter – niedaleko stąd. Phhfft. Mówi, że pokaże nam drogę.

Wren z powątpiewaniem zmarszczyła brwi.

— Wie, czego szukamy?

— Sssttt. Na to wygląda. – Stresa niespokojnie postawił kolce. – Nie lubię takich otwartych przestrzeni. Spróbujmy zrobić, co mówi. Może coś wie.

Wren skinęła głową. Ze Stresą na przodzie ruszyli w górę rzeki poszarpaną krzywizną brzegów Rowen. Wren niosła wiewiórkę, która przyłgnęła do niej zaborczo. Musiała iść za nimi przez cały czas od szczeliny w skalnej lawie. Najwidoczniej nie chciała tam zostać. Może przyciągnął ją gest dobroci, jaką Wren jej okazała. W roztargnieniu gładziła chude, żyłaste ciało i zastanawiała się, ile dobroci doświadczyła na Morrowindl.

Chwilę później Stresa zatrzymał się gwałtownie i pociągnął ich w tył, w skupisko skał. Przed nimi coś ogromnego i niekształtnego szło ku rzece, jak milczący cień we mgle. Czekali cierpliwie. W miarę jak pogłębiał się zmierzch, coraz głośniejsze stawały się pochrząkiwania i pomruki. Kiedy znowu ruszyli, nawet ich oddechy zamieniły się w szept.

Potem linia brzegowa skręciła w bok, opadając w wartki nurt rzeki i zmieniając wirującą powierzchnię w nagłe spadki. Mgła uniosła się na tyle, że ujrzeli wąski most zbudowany z kamieni. Przeszli go szybko, pochyleni nisko nad wodą, spiesząc ku schronieniu mgły na drugim brzegu. Kiedy stanęli już na nim bezpiecznie, wiewiórka znowu zaćwierkała do Stresy.

— Mówi, żeby iść w lewo – przetłumaczył splinter. Słowa unosiły się z gardła kota niskim pomrukiem.

Zrobili, jak radziło zwierzątko, i weszli we mgłę. Ostatnie światło dnia zgasło i wokół nich zamknęła się ciemność. Jedyne światło dochodziło gdzieś z przodu, dziwny, biały poblask, migoczący niewyraźnie przez mgiełkę. Zmuszeni byli zwolnić, idąc po omacku, przystając i nasłuchując, zanim zdecydowali, który kierunek jest bezpieczny. Zdawało się, że demony są przed

nimi. Wren mogłaby się założyć, że zgromadziły się na ich drodze.

Wkrótce miała się przekonać, że dobrze odgadła. Kompania weszła na szczyt zbocza skalnej lawy porośniętej gęsto suchymi krzakami i nagle mgła rozstąpiła się. Szybko przypadli do ziemi. Skuleni blisko siebie w mroku, patrzyli przed siebie.

Arborlon stało na wzniesieniu niecałą milę przed nimi i to właśnie ono było źródłem dziwnego światła. Blask emanował z potężnych murów otaczających miasto i odbijał się blado we mgle i chmurach. Wszędzie wokół nacierały demony, cienie wyslizgujące się z mgły i oparów, pozbawione twarzy, bezcielesne widma widzialne przez chwilę w ogniu płonącym w szczelinach w ziemi, z których tryskały fontanny roztopionej lawy. Strumienie pary napełniały powietrze popiołem i żarem i zamieniały zwęgloną ziemię w suche, gorejące piekło. Ryki demonów ginęły w grzmocie unoszącym się z głębi ziemi, gdzie wrzało i kłębiło się rozpalone serce wulkanu. W oddali, wynurzając się ponad miastem i oblegającymi go demonami, dymiła paszcza Killeshan, poszarpana, przerażająca, ognisty potwór czekający na biesiadę.

Wren przeniosła przerażony wzrok od obleganego miasta ku zniszczonemu krajobrazowi. To, że elfy mogły pozwolić schwytać się w pułapkę w takim świecie, przekraczało wszelkie wyobrażenie. Czowała się chora od strachu i nienawiści. Jak mogło do tego dojść? Elfy były uzdrowicielami, od narodzin uczonymi, jak przywracać życie, zachowywać w zdrowiu kraj i jego mieszkańców. Co przeszkodziło im tutaj? Arborlon było wyspą za murami – jego ludzie jakoś przetrwali, zdolni się utrzymać – podczas gdy cały świat wokół niego był koszmarnym snem.

Nachyliła się do Stresy.

— Od jak dawna tak się dzieje?

— Fffpphht! Od lat – syknął splinter. – Od kiedy sięgnąć pamięcią, elfy tak się barykadują, ukrywając się za swoją magią. Sssttpp! Widzisz światło unoszące się z murów, które ich osłaniają? Mmssst. To ich ochrona!

Wiewiórka zaczęła cicho i Wren odwróciła się.

— Hwrrll. Mówi, że światło słabnie i magia opada. Niedługo całkiem zniknie.

Wren znowu patrzyła na rzeź. Niedługo, powtarzała w myślach. Do licha, nie było co do tego wątpliwości. Nagle odczuła bezsens swoich wysiłków. Co teraz z jej poszukiwań? Przybyła na Morrowindl, aby odnaleźć elfy i przyprowadzić je do świata ludzi – tak nakazał jej Allanon przy Hadeshornie. Ale jak przyprowadzić elfy w takiej sytuacji?

Gdyby była jakaś możliwość, wyszłyby z miasta już dawno temu. A jednak pozostały tu, otoczone ze wszystkich stron. Odetchnęła głęboko. Dlaczego Allanon ją tu przysłał? Co miała uczynić?

Poczuła ogromny smutek. A jeśli elfy były zgubione? Tylko one zostały z pierwszych ludzi, z magii, która ożyła, kiedy zaczęło się życie. Tak wiele zrobiły, aby powołać do istnienia cztery krainy, kiedy skończyły się Wielkie Wojny i zgubiono wszystkie drogi. Wszystkie dzieci Shannary miały w sobie krew elfów; wszystkie bitwy stoczone w obronie ras wygrano dzięki nim. Wydawało się niemożliwe, że to wszystko zostanie tylko w zapiskach historii, że po elfach zostaną tylko opowieści.

Mity i legendy, pomyślała, tak jest teraz.

Znowu pomyślała o danej sobie obietnicy, że dowie się prawdy o swoich rodzicach, odkryje, kim byli i dlaczego ją zostawili. A co z Kamieniami Elfów? Ślubowała dowiedzieć się, dlaczego zostały

jej ofiarowane. Jej palce uniosły się, przebiegając po zarysach skórzanej sakiewki pod tuniką.-Nie myślała o Kamieniach, od kiedy zaczęli wspinaczkę po Blackledge. Nawet kiedy byli zagrożeni, nie pomyślała o użyciu magii. Pokręciła głową. Bo i po co? Wystarczy spojrzeć, co dobrego uczyniła magia dla elfów.

Poczuła na ramieniu dłoń Gartha i ujrzała w jego oczach pytanie. Zastanawiał się, co zamierza zrobić. Sama się nad tym zastanawiała. Wracaj do domu, szeptał głos w jej wnętrzu. Porzuć całe to szaleństwo.

Po części zgadzała się z tym. To było szaleństwo i poza głupią ciekawością i uporem nic jej tu nie trzymało. Wystarczy pomyśleć, jak niewiele pomogły jej umiejętności i trening. Miała szczęście, że dotarła tak daleko. Miała szczęście, że w ogóle żyje.

Niemniej jednak była tu. A odpowiedzi na jej pytania leżały poza tym światłem.

— Stresa – wyszeptała – czy jest sposób, aby wejść do miasta?

Oczy splintera zaślniły w ciemności.

— Wrroowwll, Wren z rodu elfów. Zdecydowałaś się tam iść, prawda? – Wren nie odpowiedziała. – W wąwozie, który, hrrwwll, leży blisko miejsca, gdzie grasują demony, są ukryte tunele. Sssttpht. Tunele prowadzą do miasta. Elfy używają ich do wymykania się na zewnątrz – czy raczej używały dawno temu. Tak wypuszczają nas, abyśmy trzymali straż. Phhftt. Może nadal jakiś jest używany?

— Możesz go znaleźć? – zapytała cicho.

Splinter zamrugął.

— Pokażesz mi go?

— Hssttt. Będiesz pamiętała, co mi obiecałaś, jak skończysz?

— Będę.

— Doskonale. – Kocia twarz zmarszczyła się. – A zatem tunele.

Kto z nas idzie? Ssttpht.

— Garth, ty i ja.

Drzewna wiewiórka zaćwierkała natychmiast.

Stresa zamruczał.

— Tak też myślałem. Ona też ma zamiar iść. Rwwll. Czemu nie? To tylko wiewiórka.

Wren zawahała się. Czuła paluszki zwierzątka na swym ramieniu. Znowu zaszczebiotało.

— Sssttt. – Być może był to śmiech Stresy. – Chce ci powiedzieć, że ma na imię Faun. Postanowiła cię adoptować.

— Faun. – Wren powtórzyła imię i uśmiechnęła się blado. – Tak masz na imię, malutka? – Okrągłe oczka patrzyły na nią, ogromne uszy wysunęły się do przodu. Wydawało się dziwne, że drzewna wiewiórka ma imię. – A więc adoptujesz mnie, tak? I pójdziesz tam, gdzie ja? – Smutno pokręciła głową. – No cóż, to twój kraj. A ja pewnie i tak cię nie powstrzymam, choćbym chciała.

Spojrzała na Gartha, aby się upewnić, że jest gotów. Surowa twarz była spokojna, ciemne oczy niezgłębione. Ostatni raz spojrzała na szaleństwo w dole, po czym odsunęła od siebie strach i wątpliwości, mówiąc sobie z całym przekonaniem, na jakie było ją stać, że nomadka powinna przetrzymać wszystko. Palcami przebiegła szybko twardą powierzchnię Kamieni Elfów.

Jeśli okaże się to konieczne...

Nie dokończyła myśli.

— Prowadź, Streso – wyszeptała. – I oby nic złego się nam nie stało.

Splinter nie wysilił się na odpowiedź.

Rozdział IX

Wren Ohmsford nie pamiętała, kiedy tak bardzo bała się czegokolwiek. To po prostu nie leżało w jej naturze. Nawet kiedy była mała, a świat był czymś nowym i dziwnym, i praktycznie wszystko i wszyscy byli więksi, silniejsi albo szybsi i sprytniejsi, nigdy się nie bała. Nie liczyło się niebezpieczeństwo i niepewność; zawsze wiedziała, że jakoś znajdzie sposób, aby się obronić. Ta pewność była wrodzoną mieszanką żelaznej siły woli i pewności siebie, która nadawała całemu jej życiu szczególny rodzaj duchowej siły. Kiedy dorosła, zwłaszcza kiedy przyszło jej żyć z nomadami i zaczęła szkolenie pod okiem Gartha, zyskała umiejętności i doświadczenie, które upewniły ją, że zaufanie, jakie w sobie pokładała, nie było bezpodstawne i nigdy nie wykraczało poza jej wiedzę.

Wszystko to uległo zmianie, kiedy ruszyła na poszukiwanie elfów. Dwukrotnie, od kiedy je zaczęła, była nieoczekiwanie przerażona. Po raz pierwszy, kiedy cieniowiec śledzący ich przez całą Westlandię ukazał się o pierwszej w nocy po rozpaleniu sygnałnego ognia i ku swemu przerażeniu odkryła, że jest wobec niego bezsilna. Nic nie pomogło szkolenie i umiejętności. Powinna wiedzieć, że tak będzie. Przecież Par ostrzegał ją, kiedy relacjonował szczegóły swego własnego spotkania z mrocznymi stworami. Ale z jakiegoś powodu sądziła, że z nią będzie inaczej – albo też w ogóle nie brała pod uwagę takiej możliwości. W każdym razie stanęła tam pozbawiona pomocy Gartha – Gartha, którego uważała za silniejszego i szybszego od wszystkich! – twarzą w twarz z czymś, czemu nie mogły zapobiec umiejętności ani wiara w siebie. Zginęłaby tej nocy, gdyby nie potrafiła

wezwać magii Kamieni Elfów. Tylko magia mogła ocalić ich oboje.

Teraz, kiedy tak szła z pozostałymi członkami małej kompanii przez ciemność i mgłę Morrowindl, kiedy powoli wpełzali w koszmarny świat cieni i potworów, odkryła, że znowu się boi. Próbowwała myśleć racjonalnie; próbowała z tym walczyć. Nic nie pomagało. Znała prawdę. Była ona taka sama jak tamtej nocy w ruinach Wing Hove, kiedy zmierzyła się z ceniowcem. Pewność, umiejętności, doświadczenie i opiekuńcza obecność Gartha, jakkolwiek skuteczne w większości wypadków, tutaj nie na wiele się zdały. Morrowindl była kotłem nieprzewidywalnej magii i niepojętego zła, a jedyną bronią, która mogła okazać się skuteczna, były Kamienie Elfów. Jedynie magia utrzymywała przy życiu elfy za murami Arborlon. Magia, jakkolwiek źle użyta, najwidoczniej przywołała oblegające je stwory. Magia na zawsze odmieniła wyspę i żyjące na niej stworzenia. Wren nie miała powodu myśleć, że przeżyłaby na wyspie długi czas, gdyby sama nie użyła magii.

A jednak użycie Kamieni Elfów przerażało ją tak samo jak potwory, przed którymi magia miała ją chronić. Była dziewczyną z plemienia nomadów, całe życie uczyła się polegać na własnych umiejętnościach i treningu i wierzyć, że nic jej nie pokona. Tego uczył ją Garth i życie wśród nomadów, ale ważniejsze było to, że zawsze w to wierzyła. Światem i jego sprawami rządziły prawa wzorów zachowań; wystarczyło nauczyć się tych praw i można było przeciwstawić się wszystkiemu. Odczytywanie śladów, rozumienie zwyczajów, poznanie słabych i mocnych stron innych, słuchanie własnych zmysłów – oto rzeczy, które utrzymywały ją przy życiu. Ale magia? Czym była magia? Niewidzialną siłą przekraczającą prawa natury, nieznanym,

które wymykało się zrozumieniu. Była mocą pozbawioną dostrzegalnych granic. Jak można było zaufać czemuś takiemu? Dzieje jej rodziny, dziesięciu minionych pokoleń Ohmsfordów, wskazywały na to, że nie można. Wystarczy spojrzeć co magia uczyniła z Wiłem, Brin i Jairem. Gdyby musiała polegać na czymś tak nieprzewidywalnym, jaką zyskałaby pewność? Co uczyniłoby z nią użycie magii? To prawda, że dość łatwo przyszła na wezwanie w czasie starcia z cieniowcem. Wypłynęła z Kamieni tak gładko, przyszła niemal bez wysiłku, uderzając w cel, o którym myślała. Nie miała wcale poczucia, że używa jej niewłaściwie. Było tak, jakby moc czekała na wezwanie, jakby należała do niej.

Zadrzała, pojmując, co to oznacza. Wiedziała, że ofiarowano jej Kamienie Elfów, wierząc, że pewnego dnia będzie ich potrzebowała. Ich moc miała należeć do niej.

Czuła wewnętrzny sprzeciw. Nie chciała tego. Nie chciała magii. Pragnęła, aby jej życie pozostało takie, jakie było, a nie zostało nieodwołalnie zmienione – a zostało – przez moc przekraczającą jej zrozumienie, i jak sądziła, potrzeby.

Z wyjątkiem oczywiście chwili obecnej – tu, na zboczach Killeshan, w otoczeniu demonów, stworów utworzonych przez magię i mroczne intencje, gdzie trwała w krajobrazie ognia i mgły i gdzie w każdej chwili mogła zginąć, jeśli nie...

Urwała, nie chcąc dokończyć myśli. Zamiast tego skupiła się na kolczastym kształcie Stresy, kiedy splinter przedzierał się przez mrok. Wokół unosiły się cienie, kiedy mgła poruszała się i formowała na nowo, przesłaniając i odsłaniając zarośla dżungli i nagą lawę, jakby substancja zmieniającego się jak w kalejdoskopie świata nie potrafiła zdecydować, czym chce być. Dokoła rozbrzmiewały pomruki pozbawione ciała i kierunku,

głuche i przerażające. Skuliła się we mgle, a oszalały głos w jej umyśle krzyczał, aby zniknęła, wtopiła się w skałę, stała niewidzialna, zrobiła wszystko, aby uciec. Nie zważała nań, spoglądając w tył na Gartha i krzepiąc się jego bliskością. W następnej chwili pomyślała, że to przecież bez różnicy, że to nie wystarczy, że nic nie wystarczy.

Stresa zamarł bez ruchu. Coś przemknęło przez cienie przed nimi, stukając pazurami po kamieniu. Czekali. Faun zawisała wyczekująco na jej ramieniu, wysunęła głowę i nastawiła uszy, nasłuchując. Łagodne brązowe oczy patrzyły na nią przez chwilę i odwróciły się.

W jakiej kwadrze jest księżyc? – pomyślała nagle. Ile czasu minęło, od kiedy zostawił ich tu Tygrys Ty? Nie wiedziała.

Stresa znowu ruszył naprzód. Weszli na wzniesienie, na którym nie rosło nic oprócz karłowatych, bezlistnych krzewów. Wzniesienie opadało na dno wąwozu. Na skalnym podłożu zebrała się mgła. Szli przed siebie po omacku, niepewnie stawiając stopy. Kolce Stresy lśniły od wilgoci, a w powietrzu pojawił się chłód. Było światło, ale trudno było powiedzieć, skąd dochodzi. Wren usłyszała trzask, jakby coś pękało, a potem syk uwolnionej pary i gazów. Krzyk urósł i zniknął. Pomruki ustały i znowu się zaczęły. Wren zmusiła się do zwolnienia oddechu. Tak wiele się działo, a ona niczego nie widziała, Zewsząd dochodziły odgłosy, ale nie wiedziała, do kogo należą. Nie było śladów do odczytania, tropów, za którymi można by podążać, tylko nie kończący się pejzaż skał, ognia i mgły.

Faun zaćwierkała cicho, nagłaco.

W tej samej chwili Stresa zatrzymał się gwałtownie. Rozstawił kolce i skulił krępe ciało. Wren przypadła do ziemi i sięgnęła po miecz. Przestraszyła się, kiedy Garth otarł się o nią. We mgle

przed nimi było coś ciemnego. Stresa cofnął się, na wpół odwrócony, szukając innej drogi. Ale wąwóz w tym miejscu był wąski i nie było miejsca na jakikolwiek manewr. Odwrócił się zjeżony.

Ciemny obraz skupił się i zaczął nabierać kształtu. W ich stronę szło coś na dwóch nogach. Garth odskoczył na bok, cichy jak cień. Wren wysunęła miecz z pochwy i wstrzymała oddech.

Z mgły wyłoniła się postać i zwolniła. Był to mężczyzna, odziany w dopasowane szaty barwy ziemi. Ubiór był pomięty i zniszczony, oblepiony brudem i popiołem. Nie miał żadnych metalowych klamer ani zapinek. Miękkie skórzane buty, które kończyły się tuż nad kostką, były zdarte i miały wygięte czubki. Sam mężczyzna był odbiciem swego ubrania. Średniego wzrostu, chociaż z powodu krępej budowy wydawał się wyższy niż pozostali. Twarz miał wąską, pozbawioną zarostu, z haczykowatym nosem, a ciemne włosy przykryte podobną do pończochy czapką. Całość wyglądała jak coś beznadziejnie wymiętego, wyblakłego i dawno nie używanego.

Nie wydawał się zaskoczony ich widokiem. Ani przestraszony. Nic nie mówiąc, położył palec na ustach, zerknął przez ramię i wskazał drogę, którą przyszli.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Nie byli pewni, co robić. Potem Wren ujrzała coś, co uszło jej uwagi. Pod czapką i potarganymi włosami widać było sterczące uszy i wygięte brwi.

Mężczyzna był elfem.

Po tak długim czasie, pomyślała. Po tylu wysiłkach. Poczowała falę ulgi i równocześnie coś dziwnego, czego nie potrafiła określić. Wydawało się niesamowite, że w końcu stanęła twarzą w twarz z czymś, czego z takim uporem szukała. Stała tam, wytrzeszczając oczy, miotana sprzecznymi uczuciami.

Znowu uczynił gest, tym razem bardziej naglący. Był starszy, niż się początkowo wydawał, ale tak zniszczony, że Wren trudno było określić, jaki wiek przypisać naturze, a jaki był rezultatem surowego życia.

W końcu wróciła do siebie, zwróciła na siebie uwagę Gartha i zamigała, aby zrobić to, o co prosi elf. Wstała i ruszyła z powrotem, a reszta podążyła za nią. Po kilkunastu krokach elf minął ich bez wysiłku i skinął, aby szli za nim. Poprowadził ich do wąwozu i z powrotem na górę, ciągnąc ich za sobą przez nagą połąć lawy, a w końcu do kępy karłowatych drzew. Tam przykucnął, a oni otoczyli go kołem. Pochylił się, wbijając w Wren bystre spojrzenie szarych oczu.

— Kim jesteś? – wyszeptał.

— Wren Ohmsford – odpowiedziała również szeptem. – A to moi przyjaciele, Garth, Stresa i Faun – wskazywała po kolei.

Elf najwyraźniej uznał to za zabawne.

— Dziwna kompania. Jak tu dotarłaś, Wren?

Miał łagodny głos, tak samo zmęczony i zużyty jak reszta jego postaci, wygodny jak stare buty.

— Skrzydlaty Jeździec imieniem Tygrys Ty przywiózł Gartha i mnie z głównego lądu. Przybyliśmy, aby odnaleźć elfy. – Przerwała. – A ty wyglądasz mi na jednego z nich.

Zmarszczki na twarzy obcego pogłębiły się w uśmiechu.

— Nie ma elfów. Wszyscy o tym wiedzą. – Żart go rozbawił.

— Ale skoro nalegasz, przypuszczam, że mógłbym przyznać, że jestem jednym z nich. Jestem Aurin Striate. Wszyscy mówią na mnie Sowa. Może odgadniesz dlaczego?

— Polujesz nocą?

— Widzę w ciemnościach. To dlatego jestem tu, gdzie nikt inny nie chce iść, poza murami miasta. Jestem oczami królowej.

Wren zamruwała.

— Królowej?

Sowa zbył pytanie potrząśnięciem głowy.

— Przebyłaś całą tę drogę, aby odnaleźć elfy, Wren Ohmsford? Po co? Dlaczego obchodzi cię, co się z nami stało? – Oczy zwęziły się od uśmiechu. – Masz ogromne szczęście, że cię znalazłem. Masz szczęście, że w ogóle jeszcze żyjesz. A może nie. Widzę, że ty też jesteś elfem. – Uśmiech znikł. – Czy to możliwe...?

Urwał z powątpiewaniem. Było coś w jego oczach, czego Wren nie umiała nazwać. Niedowierzenie, nadzieja, co to było? Chciała coś powiedzieć, ale gestem nakazał jej milczenie.

— Wren, zabiorę cię do miasta, ale twoi przyjaciele muszą poczekać tutaj. A dokładniej przy rzece, gdzie przynajmniej jest trochę bezpiecznie.

— Nie – odrzekła natychmiast Wren. – Moi przyjaciele pójdą ze mną.

— Nie mogą – wyjaśnił Sowa miłym, cierpliwym głosem. – Zakazano mi wprowadzać do miasta kogokolwiek oprócz elfów. Zrobiłbym inaczej, gdybym mógł, ale nie można łamać prawa.

— Phfftt. Mogę poczekać przy, hrrwwll, rzece – warknął Stresa. – Tak czy inaczej zrobiłem, co obiecałem.

Wren zignorowała go. Nie odrywała wzroku od Sowy.

— Tu nie jest bezpiecznie – nalegała.

— Nigdzie nie jest bezpiecznie – odrzekł smutno elf. – Stresa i Faun potrafią o siebie zadbać. A twój przyjaciel Garth wydaje się dość sprawny. Dzień lub dwa, Wren, to wszystko. Do tego czasu być może uda ci się przekonać Radę, aby pozwolono im wejść. Albo możesz odejść i dołączyć do nich.

Wren nie wiedziała, o jakiej radzie mówi, ale niezależnie od tego, co postanowiono na temat Stresy i Faun, nie miała zamiaru

opuszczać Gartha. Splinter i wiewiórka może potrafią przeżyć na własną rękę, ale dla Gartha wyspa była obca i zdradliwa tak jak i dla niej i nie miała zamiaru go porzucić.

— Musi być inny... – zaczęła.

I nagle rozległ się wrzask i fala stworzeń o niezliczonej liczbie kończyn wypadła rojem z mgły. Wren ledwie zdążyła podnieść wzrok i zobaczyć, co ją atakuje. Kątem oka ujrzała uciekającą w noc Faun, wygięte, kolczaste ciało Stresy i Gartha stojącego w jej obronie, a potem in zwalono ją z nóg. Wyjęła miecz, tnąc najbliższego napastnika. Trysnęła krew i stworzenie potoczyło się w bok. Wszędzie były ciała, czarne i powykrzywiane, tłoczące się dokoła, szarpiące i tnące członków małej kompanii. Kolce Stresy trafiły w jednego i uciekł, wrzeszcząc. Garth odrzucił następnego i stanął u jej boku. Stanęli plecami do siebie i walczyli z nacierającymi stworami. Nie widziała ich wyraz nie. Tylko mgnienie okaleczonych ciał i lśniących oczu. Szukała Sowy, ale nie było go nigdzie.

I nagle ujrzała go kątem oka, jak cień unoszący się z ziemi, kiedy powalił dwóch napastników, zanim zobaczyła, co się dzieje. W następnej chwili znowu zniknął i pojawił się w innym miejscu z parą długich noży w dłoni, chociaż Wren nie mogła sobie przypomnieć, żeby widziała wcześniej przy nim tę broń. Elf był jak dym, kiedy przemykał między atakującymi, tam i z powrotem, zanim zdążyło się go zauważyć.

Garth parł naprzód, a jego potężne ramiona odrzucały na boki napastników. Demony przez chwilę dotrzymywały mu pola, po czym cofnęły się, odskakując, aby się przegrupować. Z ciemności dokoła unosiło się wycie. Aurin Striate pojawił się u boku Wren. Jego słowa były szorstkie i nagłe.

— Szybko. Tędy, wszyscy. Radą będziemy się martwić później.

Poprowadził ich przez płaszczyznę lawy i z powrotem do wąwozu. Zewsząd dochodziły ich odgłosy pogoni. Biegli skuleni przez skalną misę, klucząc pomiędzy głazami i szczelinami. Sowa prowadził, niczym fantom, który w każdej chwili mógł zniknąć w nocy.

Odeszli na niewielką odległość, kiedy coś małego i kosmatego wskoczyło Wren na ramię. Chwyciła gwałtownie powietrze, uchyliła się i wyprostowała, zdając sobie sprawę, że to Faun. Drzewna wiewiórka wtuliła się w jej ramię, skrzecząc cichutko.

Parę sekund później dogoniły ich demony, raz jeszcze wyłaniając się mrowiem z mgły. Przemknęły obok Stresy, który natychmiast zwinął się w kłębek, wystawiając kolce, i rzuciły się na ludzi. Garth przyjął na siebie główne uderzenie, niczym nieugięty mur, kiedy tak odrzucał stwory jeden po drugim. Wren walczyła u jego boku, szybka i zwinna, a ostrze jej miecza śmigło na prawo i lewo. Na jej piersi, złożone w skórzanej sakiewce, zapłonęły Kamienie Elfów.

Napastnicy cofnęli się ponownie, ale tym razem nie tak chętnie ani tak daleko. Mgła i noc zmieniła ich w cienie, ale ich wycie było bliskie i niespokojne, kiedy czekali, aż dołączą do nich pozostali. Elf i jego podopieczni zebrali się w grupkę, walcząc o oddech. Ich broń lśniła od wilgoci.

— Musimy biec – nalegał Sowa. – To już niedaleko.

— Sssttpht! – syknął kilka stóp od nich Stresa. – Biegnijcie, jeśli musicie, ale ja mam dosyć! Phhfft! – Zwrócił ku Wren kocią głowę. – Będę czekał, rwwll, Wren, kiedy wrócisz. Będę przy rzece. Nie zapomnij o obietnicy!

Potem nagle zniknął, wślizgując się w ciemność i stając się jednym z cieni wokół nich. Sowa skinął na nich i Wren wraz z Garthem zaczęli znowu biec, ciągle podążając krzywizną

wąwozu. Wszędzie we mgle coś się poruszało, szybkie i ukradkowe. Pióropusze pary tryskały ze szczelin w lawie, a powietrze wypełniał odór siarki. Skalny uskok zagroził im drogę i wgramolili się przez niego pospiesznie. Przed nimi lśniło Arborlon za swym ochronnym murem. Pomiedzy drzewami błyszczały wieże i budynki. W połączonym świetle magii miasta i ognia wulkanu, nagie, poszarpane zbocza Killeshan poznaczone były wysepkami krzaków i drzew, które w jakiś sposób uniknęły początkowej zagłady, a teraz dusiły się powoli od żaru. Nad całym krajobrazem wisiała postrzępiona kurtyna mgły, a potwory w jej wnętrzu przechodziły przez zawieszinę popiołów niczym dżdżownice drążące ziemię.

Przed nimi leżało obniżenie terenu, dalszy ciąg wąwozu, którym szli. Sowa popędzał ich naprzód, kiedy ponownie zaatakowały demony. Tym razem rzuciły się na nich z obu stron, zmaterializowały się z mroku, jakby wyrosły spod ziemi. Sowa rozciągnął się na ziemi. Wren również upadła pod naporem kłów i pazurów. Tylko Garth utrzymał się na nogach, a demony otoczyły go, czepiając się, szarpiąc i próbując obalić go na ziemię. Wren uwolniła się potężnym kopniakiem. Faun już zniknęła w nocy, szybka jak myśl. Miecz Wren ciął na oślep, wbił się w coś i wyszarpnął. Wstała niezdarnie i raz jeszcze została rzucona na skały. Czuła, jak na jej głowie i karku otwierają się głębokie rany. Z bólu łzy napłynęły jej do oczu. Odepchnęła się od skał i wstała na nogi. Otaczały ją demony. Noc i mgła pochłonęły Sowę. Garth leżał na ziemi, a demony okryły go skłębioną masą czarnych odnóży. Krzyknęła i ze wszystkich sił starała się dosięgnąć go, ale zakrzywione dłonie chwyciły ją szorstko i odciągnęły.

Kamienie Elfów osmały jej pierś jak ogień.

Zaczęła upadać pod ciężarem atakujących. Instynktownie

wiedziała, że tym razem nie będzie w stanie wstać, że to koniec ich wszystkich. Słyszała własny, bezgłośny krzyk dobywający się gdzieś z głębi jej istoty. Pragnienie pokonało rozsądek, a strach ustąpił miejsca furii. Wokół niej były ciała, szarpały kły i pazury. Czowała na skórze cuchnące oddechy. Jej palce zanurzyły się w fałdy tuniki i wyjęły Kamienie Elfów.

Natychmiast zapłonęły życiem, wybuchem światła i ognia. Skórzana sakiewka spłonęła. Magia buchnęła pomiędzy palcami nomadki, zbyt niecierpliwa i samowolna, aby czekać na otwarcie dłoni. Przecięła powietrze niczym komplet noży, rozdzierając czarne stwory i zmieniając w pył, zanim jeszcze ucichły ich krzyki. Wren nagle była wolna. Wstała, zataczając się i wysuwając do przodu Kamienie Elfów. Ogień i światło szalały w jej wnętrzu, łącząc się z magią, dopóki nie zniknęły różnice. Odrzuciła w tył głowę, kiedy moc przedzierała się przez nią – surowa, wyzywająca, ożywcza. Przemieniała ją. Obawy o to, co się z nią stanie, kiedy przebudzi magię, rozproszyły się i przepadły. Nie było teraz różnicy kim lub czym będzie, czy też jak przeżyje swoje życie. Magia była wszystkim. Magia była wszystkim, co miało jakiegokolwiek znaczenie.

Zwróciła jej moc w stronę masy ciał pokrywających Gartha i uderzyła w nie. Rozpadły się w ciągu paru sekund. Niektóre wytrzymały furie ataku kilka chwil dłużej od innych – te większe i wytrwalsze – ale w końcu i one zginęły. Garth wstał zakrwawiony. Ubranie miał w strzępach, a jego śniada, brodata twarz miała barwę popiołu. Na co patrzył? – zastanawiała się niejasno. Zdumiał ją wyraz jego twarzy, kiedy użyła magii, aby oczyścić krajobraz. Z mgły wyłonił się na nowo Sowa i na jego znużonej twarzy również malowała się groza. I strach. Obaj bali się tak...

I nagle zrozumiała. Wstrząśnięta zamknęła palce i magia odeszła. Podniecenie i ogień opuściły ją, umykając w jednej chwili, jakby odarto ją do naga i wystawiono na widok publiczny. Zalała ją fala znużenia. Czuła wstyd. Magia chwyciła ją w sidła, posiadała ją, zniszczyła postanowienie, że przeciwstawi się jej powabowi, i pogrzebała obietnicę, że nie dopuści jej do siebie, że nie stanie się kolejną z Ohmsfordów, którą zawładnęła.

Ach, ale pragnęła jej mocy, czyż nie? Czyż nie utrzymywała jej przy życiu – ich wszystkich? Czyż nie pragnęła jej, a nawet uwielbiała? Co jeszcze mogłaby zrobić?

Garth był już przy niej, chwytając za ramiona, utrzymując na nogach, a w jego ciemnych oczach odbijało się napięcie. Lekko skinęła głową na znak, że świadoma jest jego obecności i wszystko z nią w porządku. Ale rzecz jasna nie było. Sowa był tu również.

— Wren – mówił – jesteś tą, na którą czekaliśmy, którą nam obiecano. I naprawdę witamy cię z radością. A teraz chodź szybko, zanim mroczne stwory znowu uderzą. Pośpieszcie się!

Bez słowa, posłusznie poszła za nim. Jej ciało było obcym tworem, który popychał ją naprzód, a ona obserwowała to gdzieś z zewnątrz. Zalewała ją fala gorąca i wyczerpania, ale była daleko. Widziała krajobraz przemieniony w morze mgły, na którym unosił się dziwny gobelin cieni. Kępy drzew sięgały w niebo, nagie i odarte z liści niczym kruche łodygi, które zaraz rozsypią się w proch. Przed nimi, błyszczące jak zza mokrej szyby, stało miasto elfów, jak królewski klejnot lśniący obietnicą i nadzieją. Kłamstwo, uderzyła ją nagle dziwna, niestosowna myśl; zaskoczona była jej intensywnością. To wszystko kłamstwo.

Potem Sowa poprowadził ich przez gęstwinę krzewów i w dół wąskim wąwozem, gdzie cienie kładły się tak gęsto, że nic nie

było widać. Przykucnął, sięgnął pomiędzy skupisko skał i uniósł ukryte drzwi. Szybko wgramolili się do środka. Powietrze było gorące i duszne. Elf wyciągnął rękę, pociągnął za klapę i zamknął drzwi. Ciemność trwała tylko przez chwilę, a potem przez tunele leżące przed nimi pojawiło się dziwne światło miasta. Sowa poprowadził ich w dół bez słowa, szczupły i mroczny na tle nikłego pasma jasności. Wren poczuła, jak opuszczają poczucie oderwania od rzeczywistości; znowu była we własnym ciele, powracając do tego, kim i czym była. Wiedziała, co się stało i co uczyniła, ale nie pozwalała sobie myśleć o tym. Trzeba było jedynie iść naprzód i dokończyć podróż, w którą się wybrała. Przed nią leżało miasto – Arborlon. I elfy, które miała odnaleźć. Na tym musi się skupić.

Nagle zdała sobie sprawę, że Faun nie wróciła do niej. Drzewna wiewiórka była ciągle na zewnątrz, uciekając gdzieś w ogniste piekło... Na chwilę zamknęła oczy. Stresa był tam również, z własnej woli. Bała się o nich oboje. Ale nic nie mogła zrobić.

Szli tunelami, wydawało się że przez wieczność, skuleni w wąskich przejściach i milczący. Światło z upływem czasu stawało się coraz jaśniejsze, aż w skalnych czeluściach stało się jasno jak w dzień. Świat na zewnątrz zniknął zupełnie – mgła, gorąco, popiół i odór – wszystko zniknęło. I nagle skała również zniknęła, gwałtownie zamieniając się w ziemię, czarną i żyzną. Dla Wren była wspomnieniem lasów Westlandii i domu. Głęboko wdychała jej zapach, zdumiewając się, jak to możliwe. Magia ją zachowuje, pomyślała.

Tunel skończył się i w skalnej ścianie pojawiły się kamienne schody prowadzące do ciężkich, okutych stalą drzwi. Kiedy do nich dotarli, Sowa odwrócił się gwałtownie.

— Wren – odezwał się miękko – posłuchaj mnie. – Szare oczy patrzyły w napięciu. – Wiem, że jestem ci obcy i nie masz szczególnego powodu, aby wierzyć w to, co mówię. Ale przynajmniej w tej chwili musisz na mnie polegać. Dopiero kiedy porozmawiasz z królową i tylko sam na sam, możesz ujawnić, że posiadasz Kamienie Elfów. Wcześniej nikomu o tym nie mów. Rozumiesz?

Wren powoli pokiwała głową.

— Dlaczego mnie o to prosisz, Aurinie Striate?

Sowa uśmiechnął się smutno, a zmarszczki na jego znużonej twarzy się pogłębiły.

— Ponieważ, mimo iż pragnąłbym, aby było inaczej, Wren, nie wszyscy ucieszą się z twojego przyjścia.

Potem odwrócił się i mocno zastukał w drzwi. Poczekał i znowu zastukał – trzy i dwa razy, trzy i dwa. Wren nasłuchiwała. Po drugiej stronie coś się poruszyło. Ciężka zasuwka odsunęła się.

Drzwi uchyliły się powoli i weszli do środka.

Rozdział X

Przybyłam do domu.

To była pierwsza myśl Wren – żywa, zaskakująca, nieoczekiwana. Była w murach miasta, stojąc w alkowie wychodzącej na ocienione blanki. Przed nią rozciągało się Arborlon. Było tak, jakby wróciła do Westlandii. Rosły tu dęby, orzechy i wiązy, zielone krzewy i trawy, a ziemia pachniała wzrastającymi roślinami i zmianami pór roku. Były tu strumienie i stawy, a na każdym kroku tętniło życie. Sowa zahukała cicho, a tuż przy niej zatrzepotały skrzydła, kiedy niewielki ptak wyfrunął z ukrytej grzędy. Inne śpiewały. Lelki! W kępie pietrasznika lśniły robaczki świętojańskie i grały świerszcze. Słyszała cichy bieg wód rzeki przetaczających się przez skały. Czowała szept łagodnego nocnego wiatru na policzkach. Powietrze pachniało czystością, wolne od odoru siarki.

A oto i samo miasto. Usadowione wśród zieleni – skupisko domostw i sklepów, ulic i dróg poniżej i gwiazdnych ścieżek w górze, drewnianych mostów przerzuconych nad płataniną strumieni, lamp oświetlających okna i mrugających na powitanie i ludzi – garstki, która jeszcze nie poszła spać – spacerujących, aby być może złagodzić niepokój, albo podziwiać niebo. Bo tutaj znów było niebo, czyste i bezchmurne, jaśniejące gwiazdami i księżycem w trzeciej kwadrze, białym jak świeżo spadły śnieg. Pod jego baldachimem wszystko lśniło magią emanującą z murów. A mimo to blask nie był tak ostry, jak wydawało się Wren z zewnątrz, a mury pomimo iż wysokie i grube, miękkły przy świetle tak, że wydawały się niemal efemeryczne.

Wren przenosiła wzrok z miejsca na miejsce, odnajdując kwiatowe ogrody posadzone na dobrze utrzymanych podwórcach, ścieżki obsadzone żywopłotami i uliczne lampy o zawitych wzorach. Były tam konie, krowy, kurczaki i zwierzęta wszelkich gatunków w zagrodach i stajniach. Były psy zwinięte w kłębek przy drzwiach i koty na parapetach okien. Nad wejściami domostw wisiały kolorowe flagi i parasole, a na witrynach sklepów i straganów wisiały markizy. Domy i sklepy były białe i czyste, oddzielone świeżo wymalowanymi pasami w tysiącach kolorów. Oczywiście nie widziała wszystkiego, jedynie najbliższe dzielnice miasta. A mimo to nie było wątpliwości, gdzie jest i jakie to budzi w niej uczucia.

Dom.

Jednak miłe poczucie czegoś znanego i przynależności zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Jak mogła nazwać domem miejsce, w którym nigdy nie była, którego nigdy nie widziała i aż do tej chwili nie była nawet pewna jego istnienia?

Widok stracił nagle zarysy i zdawał się wycofywać w mrok nocy, jakby szukał schronienia. Ujrzała teraz to, czego nie dostrzegła przedtem – lub też czego po prostu nie chciała dostrzec w swoim zachwycie. Na murach roilo się od ludzi. Szeregi obrońców elfów w strojach bitewnych i z bronią w dłoni ciągnęły się wzdłuż murów. Trwał atak. Walka była dziwnie cicha, jakby blask magii w jakiś sposób tłumiał dźwięki. Mężczyźni padali, niektórzy wstawali znowu, a niektórzy znikali. Atakujące cienie również ponosiły straty. Niektóre płonęły od światła, które syczało i sypało iskrami, niczym gasnący ogień, a niektórych powalali obrońcy. Wren zamrugała. Wewnątrz murów miasto elfów wydawało się nie tak jasne i bardziej zniszczone. Domy i sklepy były odrobinę ciemniejsze, mniej starannie utrzymane,

jak jej się wpierw wydawało, drzewa i krzewy nie tak bujne, a kwiaty bledsze. Powietrze, którym oddychała nie było jednak tak czyste – był w nim ślad woni siarki i popiołu. Poza miastem wyrastał przerażający i mroczny Killeshan, a jego paszcza lśniła krwawo na tle nieba. Nagle zdała sobie sprawę, że ciągle zaciska w dłoni Kamienie Elfów. Wsunęła je do kieszeni, nie patrząc.

— Chodźmy tędy, Wren – odezwał się Aurin Striate.

Przy drzwiach, przez które przeszli, stali wartownicy, młodzi mężczyźni o surowych twarzach, z wyraźnymi rysami elfów i zmęczonym, starym spojrzeniem. Wren zerknęła na nich, przechodząc, i zmroziło ją spojrzenie, jakie odwzajemnili. Garth przysunął się blisko i zasłonił im widok.

Sowa wyprowadził ich spod parapetów i powiódł kładką przerzuconą ponad fosą otaczającą miasto wewnątrz murów. Wren spojrzała za siebie, mrużąc oczy przed światłem. W fosie nie było wody; wydawało się, że wykopano ją bez celu. A jednak musiała być dla miasta jakąś osłoną, skoro w kilkunastu punktach przerzucono przez nią kładki prowadzące do murów. Wren spojrzała pytająco na Gartha, ale olbrzym tylko potrząsnął głową.

Przed nimi, pomiędzy drzewami, otwierała się droga, wijąc się do centrum miasta. Ruszyli nią, ale nie uszli daleko, kiedy w pośpiechu minęła ich duża grupa żołnierzy. Prowadził ją mężczyzna z włosami tak spłowiałymi od słońca, że były niemal białe. Sowa pociągnął Wren i Gartha na bok w cień i mężczyzna przeszedł, nie zauważając ich.

— Phaeton – powiedział Sowa, patrząc za nim. – Pomazaniec królowej na polu bitwy, jej obrońca przed mrocznymi stworami rzekł ironicznie, bez uśmiechu. – Najgorszy koszmar elfów myśliwych.

Bez słowa poszli dalej, zbaczając z drogi, aby pójść licznymi bocznymi ulicami, które powiodły ich pomiędzy rzędami zaciemnionych sklepów i domków. Wren rozglądała się wokół ciekawie, obserwując, rozważając i zapamiętując wszystko. Przeważnie było tak, jak to sobie wyobrażała, ponieważ Arborlon nie różniło się, z wyjątkiem wielkości, od miasteczek Sudlandii, takich jak Shady Vale – i z wyjątkiem, rzecz jasna, stałej obecności obronnych murów, ciągle lśniących w oddali, które przypominały o toczącej się bitwie. Kiedy po jakimś czasie blask zniknął za ścianą drzew, można było pomyśleć o mieście, jakim było przedtem, przed nadejściem demonów i zanim zaczęło się oblężenie. Życie tutaj musiało być wspaniałe, pomyślała Wren. Miasto było otoczone lasami i odosobnione, jak nad Rzeką Szemrzącej Pieśni, zrodzone z westlandzkich początków i sprowadzone do tego wyspiarskiego rajy, a jego ludzie zyskali szansę nowego życia, wolni od groźby ucisku federacji. Nie było wtedy demonów, Killeshan spał, a Morrowindl była oazą spokoju – marzeniem wysnutym z wyobraźni.

Czy ktokolwiek jeszcze pamięta ten sen? – zastanawiała się. Sowa poprowadził ich przez zagajnik jesionów i wierzb, gdzie cisza otuliła ich niczym wygodny płaszcz. Dotarli do stalowego ogrodzenia wyrastającego na dwadzieścia stóp w górę, którego szczyt wieńczyły zaostrzone ostrogi, i skręcili w lewo. Poza tą posępną barierą ciągnął się ocieniony drzewami skrawek ziemi, na którym stał rozległy, zakończony wieżyczkami budynek. Mógł to być tylko pałac panujących elfów. W czasach jej przodków byli to Elessedilowie, przypomniawszy sobie Wren. Ale kto panował teraz? Podeszli od ogrodzenia do miejsca, gdzie w gęstym mroku trudno było cokolwiek dojrzeć. Tu Sowa zatrzymał się i pochylił. Wren usłyszała zgrzyt klucza w zamku i brama w ogrodzeniu się

uchyliła. Weszli do środka, zaczekali, aż Sowa na nowo zamknął bramę, i poszli pstrokatym trawnikiem do pałacu. Nikt się nie pojawił, aby ich zatrzymać. Nikogo nie było widać. Wren wiedziała, że są tu strażnicy. Muszą być. Dotarli do krawędzi budynku i się zatrzymali.

Spomiędzy cieni wynurzyła się postać, gibka jak kot. Sowa odwrócił się i czekał. Postać podeszła do nich. Wymieniono parę słów, zbyt cicho, aby Wren mogła coś usłyszeć, i postać znowu wtopiła się w mrok. Sowa skinął na nich i przez kępę świerków weszli do alkowy. Drzwi były już otwarte na oścież. Weszli do środka i stanęli w świetle.

Stali w przedsionku o wysokim sklepieniu i rzeźbionych drewnianych belkach, które lśniły wypolerowane. Wzdłuż przeciwległej ściany ustawiono pokryte poduszkami ławy, a olejne lampy stały po obu stronach podwójnych drzwi wiodących do ciemnego korytarza. Gdzieś w oddali, głęboko w czeluściach pałacu, Wren słyszała poruszenie i dalekie głosy. Idąc za przykładem Sowy, Wren i Garth usadowili się na ławach. W świetle lamp Wren po raz pierwszy ujrzała, jak bardzo jest obdarta i że jej ubranie jest podarte, poplamione i ocieka krwią. Garth wyglądał jeszcze gorzej. Jeden rękaw tuniki miał całkiem oddarty, a drugi był w strzępach. Jego potężne ramiona były posiniaczone i podrapane, a brodata twarz spuchnięta. Uchwycił jej spojrzenie i zbył je wzruszeniem ramion.

Zbliżyła się do nich jakaś postać, przechodząc cicho przez korytarz i wolno wchodząc w krąg światła. Był to elf średniego wzrostu i budowy. Wyglądał zwyczajnie i tak też był odziany. Patrzył spokojnie i badawczo, a jego szczupła, opalona twarz była świeżo ogolona. Brązowe włosy sięgały ramion. Nie był wiele starszy od Wren, ale w jego oczach widać było, że widział i

przeżył o wiele więcej. Podszedł do Sowy i bez słowa ujął jego dłoń.

— Triss – powitał go Aurin Striate, po czym odwrócił się do swoich podopiecznych. – To Wren Ohmsford i jej towarzysz, Garth. Przybyli do nas z Westlandii.

Elf po kolei ścisnął ich dłonie, milcząc. Ciemne oczy zatrzymały się na chwilę na Wren. Zaskoczyła ją otwartość jego spojrzenia, jakby nie był w stanie niczego ukryć.

— To kapitan Straży Domowej – oznajmił Sowa.

Wren skinęła głową. Nikt się nie odezwał. Przez chwilę stali niezręcznie i Wren przypomniała sobie, że Straż Domowa odpowiedzialna była za bezpieczeństwo panujących. Zastanawiała się, dlaczego Triss nie nosi żadnej broni, a w następnej chwili, dlaczego w ogóle tu jest. W odległym końcu ciemnego korytarza znowu coś się poruszyło i odwrócili się, żeby spojrzeć.

Z cienia wynurzyły się dwie kobiety. Najbardziej zaskakujący był wygląd niewysokiej i smukłej z płomiennorudymi włosami, bladą skórą i ogromnymi, zielonymi oczami w dziwnej, trójkątnej twarzy. Ale to druga kobieta, wyższa, przyciągnęła natychmiast uwagę Wren i sprawiła, że dziewczyna wstała, nawet sobie tego nie uświadamiając, i zaczęła szybciej oddychać. Ich oczy spotkały się i kobieta zwolniła, a na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz. Była szczupła, o długich członkach, odziana w białą szatę sięgającą ziemi i zebraną wokół wąskiej talii. Elfie rysy twarzy były subtelnie wyrzeźbione. Miała wysokie kości policzkowe i szerokie, wąskie usta. Oczy były błękitne, a włosy miękkie, opadające w lokach na ramiona i zburzone od snu. Skórę na twarzy miała gładką, co nadawało jej młodzieńczy, jakby pozbawiony wieku wygląd.

Wren zamruwała z niedowierzaniem. Kolor oczu był niewłaściwy, fryzura inna, była wyższa i różniły się jeszcze wieloma drobiazgami – jednak nie było wątpliwości co do podobieństwa.

Wren ujrzała samą siebie za trzydzieści lat.

Kobieta uśmiechnęła się – nagle, promiennie i wylewnie.

— Eowen, spójrz, jakie to lustrzane odbicie Alleyne! – wykrzyknęła do rudowłosej towarzyszki. – Och, miałaś rację!

Podeszła powoli i ujęła dłonie Wren, obojętna na wszystko inne.

— Jak ci na imię, dziecko?

Wren patrzyła na nią zdumiona. Wyglądało na to, że kobieta już ją zna.

— Wren Ohmsford – odpowiedziała.

— Wren – wyszeptała tamta. Promienny uśmiech pojawił się raz jeszcze i Wren uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Witaj, Wren. Długo czekaliśmy na twój powrót do domu.

Wren zamruwała. Co ona mówi? Rozejrzała się pospiesznie dokoła. Garth zastygł niczym pomnik, Sowa i Triss stali nieruchomo, a rudowłosa kobieta była spięta i niespokojna. Nagle poczuła się opuszczona. Światło lamp olejnych mrugało niepewnie, a cienie podpełzły bliżej.

— Jestem Ellenroh Elesedil – powiedziała kobieta, zaciskając dłonie. – Królowa Arborlon i westlandzkich elfów. Nie bardzo wiem, co ci powiedzieć, dziecko. Nawet po tak długim oczekiwaniu. – Westchnęła. – O czym ja myślę? Trzeba obmyć i opatrzyć twoje rany. I twojego przyjaciela również. Musicie coś zjeść. Potem możemy rozmawiać całą noc, jeśli będziemy chciały. Aurinie Striate – odwróciła się do Sowy – raz jeszcze zostałam twoim dłużnikiem, Dziękuję ci z całego serca. Przyprawdzając

Wren bezpiecznie do miasta, ofiarowałeś mi nową nadzieję. Proszę, zostań na noc.

— Zostanę, Pani – odrzekł Sowa cicho.

— Triss, dopilnuj, aby zadbano o naszego przyjaciela. I towarzysza Wren. – Spojrzała nań. – Jak ci na imię?

— Garth – odpowiedziała szybko Wren, nagle czując się przerażona prędkością wydarzeń. – On nie mówi. – Wyprostowała się, jakby gotowa do obrony. – Garth zostanie ze mną.

Odgłos kroków na korytarzu raz jeszcze kazał im się odwrócić. Pojawił się nowy elf, ciemnowłosey, o kwadratowej twarzy, raczej wysoki, którego uśmiech pojawiał się tak szybko i bez wysiłku jak uśmiech królowej. Wszedł do komnaty, nie zwalniając, pewny siebie i opanowany.

— Co się dzieje? Czy nie możemy nacieszyć się paroma godzinami snu bez nowego kryzysu? Ach, jest tu Aurin Striate, jak widzę prosto z ognia. Miło cię widzieć, Sowo. I Triss też na nogach?

Zatrzymał się, zauważając po raz pierwszy Wren. Na jego twarzy odbiło się niedowierzanie i natychmiast znikło. Przeniósł spojrzenie na królową.

— W końcu wróciła, tak? – Powrócił wzrokiem do Wren. – Piękna jak jej matka.

Wren zaczerwieniła się, świadoma tego i zakłopotana, ale nic nie mogła zrobić. Uśmiech elfa stał się szerszy, jeszcze bardziej odbierając jej śmiałość. Podszedł szybko i opiekuńczo objął ją ramieniem.

— Nie, nie, proszę. To prawda. Jesteś taka sama jak matka – uścisnął ją. – Tylko trochę zakurzona i potargana.

Jego uśmiech przyciągnął ją, ogrzał i natychmiast poczuła się

swobodnie. Jakby w komnacie nie było nikogo innego.

— Podróż z plaży była raczej trudna – zdołała powiedzieć i nagroził ją krótki śmiech.

— Trudna doprawdy. Niewielu by ją przeszło. Jestem Gavilan Elesedil – powiedział. – Siostrzeniec królowej i twój kuzyn. – Przerwał, widząc jej zaskoczenie. – Ach, ale ty jeszcze o tym nie wiesz, prawda?

— Idź spać, Gavilanie – przerwała królowa. – Będzie później dość czasu, żeby się przedstawić. Wren i ja musimy teraz porozmawiać. Tylko my dwie.

— Co, beze mnie? – Gavilan posłał jej zranione spojrzenie. – Myślałem raczej, że mnie w to włączysz, ciociu Eli. Kto był bliższy matce Wren niż ja?

Spojrzenie królowej było nieruchome.

— Ja. – Znowu odwróciła się do Wren, przechodząc obok Gavilana i stając przy dziewczynie. Położyła dłonie na ramionach Wren. – Ta noc będzie tylko dla ciebie i dla mnie, Wren. Garth będzie czekał na ciebie, kiedy skończymy. Ale najpierw chciałabym porozmawiać z tobą. Tylko my dwie.

Wren się zawahała. Wspomniała, jak Sowa mówił jej, że tylko królowej może powiedzieć o Kamieniach Elfów. Zerknęła na niego, ale patrzył w bok. Rudowłosa kobieta patrzyła natomiast z napięciem na Gavilana, a jej twarz była nieodgadniona.

Garth przyciągnął jej uwagę.

— Zrób, o co prosi – zamigał.

Wren nie odpowiedziała. Była o krok od prawdy o swojej matce, swojej przeszłości. Już miała odkryć odpowiedzi, których szukała. I nagle poczuła, że nie chce być sama, kiedy to się stanie.

Wszyscy czekali.

— Zrób to – zamigał znowu Garth. Szorstki, bezkompromisowy

Garth, powiernik jej tajemnic.

Wren zmusiła się do uśmiechu.

— Porozmawiamy same – powiedziała.

Opuścili przedsionek i poszli korytarzem w dół, a potem w górę schodami na drugie piętro pałacu. Garth został w tyle z Aurinem Striate i Trissem, najwyraźniej nie martwiąc się, że nie idzie z nią, zadowolony z rozdzielenia, pomimo niezadowolenia Wren. Pochwyciła spojrzenie Gavilana za sobą. Uśmiechnął się, mrugnął i zniknął w innym korytarzu, niczym skrzat pędzący do innych zabawnych gier. Polubiła go instynktownie tak jak Sowę, ale w inny sposób. Nie była jeszcze całkiem pewna różnicy, zbyt zmieszana wydarzeniami, aby ją zauważyć. Lubiła go, ponieważ sprawiał, że dobrze się czuła, a teraz to wystarczało.

Pomimo napomnienia królowej, że chce rozmawiać z dziewczyną sam na sam, rudowłosa kobieta szła za nimi jak bladolice widmo na tle mroku. Wren zerknęła za siebie raz i drugi, na dziwnie napiętą, obcą twarz, ogromne oczy, które zdawały się zaglądać w inne światy, uderzanie smukłych dłoni o grubą, miękką szatę. Ellenroh zdawała się nie zauważać jej obecności, spiesząc ciemnymi korytarzami pałacu do znanego sobie miejsca, poprzedzana jedynie przez światło księżyca wpadające przez wysokie, szklane okna srebrnymi strugami. Przeszły jednym korytarzem i skręciły w następny, ciągle na drugim piętrze, aż w końcu zbliżyły się do podwójnych drzwi na końcu holu. Wren przestraszyła się drobnym poruszeniem w ciemnościach. Kto inny by tego nie zauważył, ale jej nic nie umknęło. Celowo zwolniła, przyzwyczajając oczy do mroku. Przy ścianie stał elf, nieruchomy i czujny.

— To tylko Cort – powiedziała cicho królowa. – Służy w Domowej Straży. – Poglaskała policzek Wren. – Masz oczy elfa,

dziecko.

Drzwi prowadziły do sypialnej komnaty królowej. Było to przestronne pomieszczenie o kopulastym sklepieniu, z witrażowymi oknami wyciętymi na przeciwległej ścianie, łóżem pod baldachimem z ciągle pomiętymi prześcieradłami, z krzesłami, kanapami i stolikami, biurkiem i drzwiami prowadzącymi do pokoju kąpielowego.

— Siądź tutaj, Wren – wskazała królowa, prowadząc ją do kanapki. – Eowen obmyje i opatrzy twoje rany.

Obejrzała się na rudowłosą kobietę, która już nalewała wody z dzbana do miski i szykowała jakieś czyste ubrania. Chwilę później wróciła, uklękła przy Wren, a jej dłonie okazały się zaskakująco silne, kiedy zdejmowała ubranie dziewczyny i zaczęła ją myć. Pracowała bez słowa, podczas gdy królowa patrzyła, po czym zakończyła, bandażując rany i przynosząc luźną koszulę nocną, którą Wren przyjęła z wdzięcznością i włożyła – pierwszą czystą rzecz od tygodni. Rudowłosa przecięła pokój i wróciła z kubkiem czegoś ciepłego i kojącego. Wren powąchała na próbę, wyczuwając zapach piwa, herbaty i czegoś jeszcze, po czym wypila bez komentarza.

Ellenroh Elesedil usiadła przy niej i ujęła jej dłoń.

— A teraz, Wren, porozmawiajmy. Jesteś głodna? Chcesz najpierw coś zjeść? – Wren pokręciła głową zbyt zmęczona, by jeść, i zbyt ciekawa tego, co chciała powiedzieć jej królowa. – A zatem dobrze – westchnęła królowa. – Od czego zaczniemy?

Wren nagle zdała sobie sprawę, że rudowłosa kobieta podchodzi, aby usiąść naprzeciwko nich. Spojrzała na nią z powątpiewaniem – królowa nazwał ją Eowen. Zakładała, że Eowen była osobistą dworką królowej i zabrano ją tylko w celu zapewnienia jej wygody, a potem odesłania jak pozostałych. Ale

królowa nie odsyłała jej, najwyraźniej ledwo świadoma jej obecności, a Eowen nie dawała znaku, że wie, iż powinna odejść. Im bardziej Wren o tym myślała, tym mniej Eowen wydawała się dwórką. Było coś w jej postawie, sposobie, w jaki reagowała na słowa i czyny królowej. Chętnie pomagała, kiedy ją proszono, ale nie okazywała królowej poważania tak, jak pozostali. Królowa zobaczyła, gdzie spogląda Wren, i uśmiechnęła się.

— Obawiam się, że znowu się pospieszyłam. I zapomniałam o dobrych manierach. To Eowen Cerise, Wren. Jest moją najbliższą przyjaciółką i doradczynią. To ona właściwie jest przyczyną, że jesteś tutaj.

Wren lekko zmarszczyła brwi.

— Nie rozumiem. Jestem tu, bo wyruszyłam na poszukiwanie elfów. A zrobiłam to, ponieważ prosił mnie druid Allanon. Co Eowen ma z tym wspólnego?

— Allanon – wyszeptała królowa elfów, na chwilę odrywając się od rzeczywistości. – Pilnuje nas nawet po śmierci. – Zmieszana puściła dłoń Wren. – Wren, pozwól, że najpierw zadam ci pytanie. Jak zdołałaś nas odnaleźć? Czy opowiesz nam o swej podróży do Morrowindl i Arborlon?

Wren chciała dowiedzieć się czegoś o swojej matce, ale to nie ona dyktowała tutaj warunki. Skryła swą niecierpliwość i spełniła prośbę królowej. Opowiedziała o snach zesłanych przez Allanona, pojawieniu się Coglina i związanej z tym podróży do Hadeshornu, zadaniom przydzielonym Ohmsfordom przez ducha, jej powrocie z Garthem do Westlandii i poszukiwaniu jakiejś wskazówki, co stało się z elfami, późniejszym przybyciu do Grimpen Ward i rozmowie z Addershag, ich ucieczce do ruin Wing Hove, przybyciu Tygrysa Ty i Ducha, locie na Morrowindl i podróży przez nią. Pomięła tylko dwie rzeczy – nie wspomniała

o cieniowcu, który ich śledził, i o Kamieniach Elfów. Sowa ostrzegał wyraźnie, żeby nie mówiła nic o Kamieniach, dopóki nie będzie sam na sam z królową, a skoro nie mówiła o Kamieniach, nie mogła też powiedzieć o cieniowcu.

Skończyła i czekała, aż odezwie się królowa. Ellenroh Elesedil przez chwilę obserwowała ją uważnie, po czym uśmiechnęła się.

— Jesteś ostrożną dziewczyną, Wren, a w tym świecie musisz taka być. Twoja opowieść powiedziała mi dokładnie tyle, ile powinna – i nic więcej. – Pochyliła się do przodu, a na jej silnej twarzy odbiły się uczucia zbyt skomplikowane, aby Wren mogła je nazwać. – Teraz ja ci coś powiem, a kiedy skończę, nie będzie już między nami tajemnic.

Raz jeszcze ujęła dłonie Wren.

— Twoja matka nazywała się Alleyne, jak już powiedział ci Gavilan. Była moją córką.

Wren siedziała bez ruchu, zaciskając dłonie. Była zdumiona i zaskoczona. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Moją córką, Wren, a to czyni cię moją wnuczką. Jest jeszcze coś. Dałam Alleyne, a ona z kolei dała tobie, trzy malowane kamienie w skórzanej sakiewce. Masz je?

Wren zawahała się, schwytana w pułapkę, nie wiedząc, co powinna zrobić, ani powiedzieć. Ale nie mogła skłamać.

— Tak – przyznała.

Błękitne oczy królowej patrzyły badawczo w twarz Wren, a na wargach pojawił się nikły uśmiech.

— Ale znasz już prawdę o nich, czyż tak? Musisz, Wren, inaczej nigdy nie dotarłabyś tu żywa.

Wren zmusiła się do zachowania kamiennej twarzy.

— Tak – powtórzyła cicho.

Ellenroh poklepała ją po rękach i puściła.

— Eowen wie o Kamieniach Elfów, dziecko. Jak również paru innych, którzy trwali przy mnie przez te wszystkie lata – na przykład Aurin Striate. Ostrzegał cię, abys nic nie mówiła, prawda? Nieważne. Niewielu wie o Kamieniach Elfów, a nikt nie widział ich w działaniu, nawet ja. Ty jedna tego doświadczyłaś, Wren, i sądzę, że nie jesteś całkiem zadowolona, prawda?

Wren powoli pokręciła głową, zaskoczona, jak spostrzegawczo królowa odczytała uczucia, które dziewczyna tak starannie skrywała. Czy dlatego, że były rodziną i tak bardzo były podobne? Czy ich dziedzictwo dawało im wgląd w serce tej drugiej? Czy Wren również mogłaby odczytać uczucia Ellenroh Elessedil?

Rodzina. Wyszepiała to słowo w myślach. Rodzina, którą przybyłam odnaleźć. Czy to możliwe? Czy naprawdę jestem wnuczką królowej, samej Elessedil?

— Opowiedz mi, jak przybyłaś do Arborlonu – powiedziała miękko królowa. – A ja powiem ci to, co tak bardzo pragniesz wiedzieć. Nie przejmuj się Eowen. Ona już wie wszystko, co się liczy.

Tak więc Wren opowiedziała resztę wydarzeń z podróży. Wszystko, co dotyczyło cieniowca wilkołaka i odkrycia prawdy o malowanych kamieniach, które matka podarowała jej, kiedy była dzieckiem. Kiedy skończyła i powiedziała już wszystko, obronnym gestem splotła ramiona, czując chłód z powodu własnych słów i wspomnień, jakie obudziły. Potem wstała impulsywnie i podeszła do porzuconych ubrań. Pospiesznie przeszukując potargane sztuki odzieży, natknęła się na Kamienie Elfów tam, gdzie zostawiła je po wejściu do miasta. Przyniosła je do królowej i podała jej.

— Weź je.

Ale Ellenroh Elessedil potrząsnęła głową.

— Nie, Wren. – Zamknęła palce Wren na Kamieniach i poprowadziła jej dłoń do kieszeni nocnej koszuli. – Zatrzymaj je dla mnie – wyszeptała.

— Musiałaś być bardzo dzielna, Wren. – Eowen Cerise odezwała się po raz pierwszy niskim, nieodparcie pociągającym głosem. – Większość nie sprostałaby przeszkodom, które napotkałaś. Doprawdy jesteś córką swej matki.

— Tak wiele w niej z Alleyne – zgodziła się z nią królowa, przez chwilę patrząc gdzieś w dal. Potem wyprostowała się i znowu utkwiała spojrzenie w Wren. – I naprawdę byłaś dzielna. Allanon - miał rację, wybierając cię. Ale z góry postanowiono, że masz przyjść, przypuszczam więc, że jedynie wypełnił obietnicę Eowen.

W oczach Wren ujrzała zmieszanie i uśmiechnęła się.

— Wiem, dziecko. Mówię zagadkami. Okazałaś mi wielką cierpliwość, a nie było to łatwe. Bardzo pragniesz usłyszeć o swojej matce i dowiedzieć się, dlaczego jesteś tutaj. Doskonale.

Uśmiech złagodniał.

— Trzy pokolenia przed moimi narodzinami, kiedy elfy żyły jeszcze w Westlandii, kilku członków rodu Ohmsfordów, bezpośredni potomkowie Jaira Ohmsforda, postanowiło emigrować do Arborlonu. Ich decyzję, jak rozumiem, przyspieszyło wkroczenie federacji do miasteczek Sudlandii, takich jak Shady Vale, i początek polowań na czarownice, aby usunąć magię. Było ich troje i przynieśli ze sobą Kamienie Elfów. Jeden zmarł bezdzietnie. Dwoje założyło rodziny, ale kiedy elfy postanowiły zniknąć, tylko jedno poszło z nimi. Drugie – jak mi mówiono, był to mężczyzna – powrócił z żoną do Shady Vale. Byli to pradziadowie Para i Colla. Pozostała natomiast kobieta i to ona

zatrzymała Kamienie Elfów.

Ellenroh przerwała.

— Kamienie Elfów, Wren, jak wiesz, stworzone zostały na początku elfiej magii i mogły być użyte tylko przez potomka z ich krwi, Krew elfów zniknęła z rodu Ohmsfordów na całe lata od czasu śmierci Brin i Jaira, a ci Ohmsfordowie, którzy odziedziczyli Kamienie, również nie mieli z nich szczególnego pożytku. Zdecydowano zatem, że Kamienie powrócą do ludu, który je stworzył – lub też, jak przypuszczam do ich potomków. Nikt się nie sprzeciwił. Tak więc, kiedy trójka z Shady Vale założyła rodziny i zaczęła nowe życie, było dla nich raczej naturalne, że Kamienie Elfów, powierzone rodzinie Ohmsfordów przez Allanona od czasów ich przodka Shei, powinny pozostać z elfami, cokolwiek by się z nimi stało.

W każdym razie Kamienie Elfów zniknęły wraz z elfami i chyba muszę powiedzieć o tym parę słów. – Pokręciła głową, wspominając. – Przez lata nasz lud wycofywał się w głąb lasów Westlandii. Coraz bardziej izolowali się od ras, w miarę jak ekspansja federacji posuwała się na północ. W zasadzie robili to sami, ale swój udział miała też rosnąca wiara, podsycana przez Radę Koalicyjną federacji, że elfy są inne, a inność nie jest dobra. W końcu elfy były potomkami czarodziejskiego ludu, ani prawdziwymi ludźmi. Elfy były twórcami magii, która ukształtowała świat od nastania Pierwszej Rady w Paranorze i nikt za bardzo nie ufał ani magii, ani też tym, którzy jej używali. Kiedy zaczęły pojawiać się stwory, które nazywasz cieniowcami – wtedy nie było dla nich nazwy – federacja szybko zrzuciła na elfy winę za chorobę krainy. W końcu czyż nie stamtąd pochodziła magia i czy to nie ona powodowała wszystkie kłopoty? Skoro nie, to dlaczego choroba nie dotknęła elfów i ich rodzinnej ziemi?

Wszystko się nawarstwiało, jak to zazwyczaj bywa, aż w końcu nasi ludzie mieli dosyć. Wybór był prosty. Stanąć przeciwko federacji, co oznaczało wojnę, której tak czynnie szukali, lub też znaleźć sposób, aby raz na zawsze zejść im z drogi. Wojna nie była pociągającą perspektywą. Elfy stanęłyby praktycznie same przeciwko najsilniejszej armii w czterech krainach. Callahorn już został pochłonięty, a Legion Graniczny poszedł w rozsypkę, trolle były plemieniem nieprzewidywalnym, jak zawsze, a karły wahały się przed zaangażowaniem.

Elfy postanowiły więc po prostu odejść – emigrować na nowe tereny, osiedlić się na nowo i przeczekać federację. Nie przyszło im łatwo podjąć taką decyzję; wielu chciało zostać i walczyć, a równie wielu uważało, że należy poczekać i zobaczyć, co będzie. W końcu proszono ich o porzucenie rodzinnej ziemi, miejsca narodzin elfów od czasów Wielkich Wojen. Ale po długim czasie i dyskusjach zgodzono się, że najlepszym wyjściem jest odejść. Elfy już wcześniej przeżywały przeprowadzki. Zakładały nowe domy. Do perfekcji doprowadziły sztukę znikania, kiedy naprawdę nigdzie nie odchodziły.

Westchnęła.

— To było dawno temu, Wren, i nie było mnie tutaj. Nie mogę być teraz pewna ich motywów. Ruch zaczął się od powolnego zbierania się elfów ze wszystkich zakątków Westlandii, tak że miasteczka po prostu przestały istnieć. W tym czasie Skrzydlaci Jeźdźcy znaleźli wyspę, która doskonale odpowiadała potrzebom naziemnych elfów.

Morrowindl. Kiedy ustalono, że tam właśnie się przeniosą, wybrali czas i po prostu zniknęli. Zdawała się rozważać, czy wyjaśniać dalej, po czym pokręciła głową.

— Dość o tym, co nas tutaj przywiodło. Jak mówiłam, zostało

jedno z Ohmsfordów. Minęły dwa pokolenia, rodziły się dzieci, a potem moja matka poślubiła króla z rodu Elesedilów i rody Ohmsfordów i Elesedilów się połączyły. Urodziłam się ja, a po mnie mój brat, Asheron. Został wybrany na króla, ale zabiły go demony – zginął jeden z pierwszych. Zamiast niego ja zostałam królową. Wyszłam za mąż i urodziła się twoja matka, Alleyne, moje jedyne dziecko. Demony zabiły również mojego męża. Zostałam tylko ja i Alleyne.

— Moja matka – powtórzyła Wren. – Jaka była?

Królowa znowu się uśmiechnęła.

— Nie było nikogo takiego jak ona. Była inteligentna, silna, ładna. Wierzyła, że wszystkiego może dokonać, przynajmniej chciała spróbować. – Klasnęła w dłonie i uśmiech zgasł. – Spotkała Skrzydlatego Jeźdźca i wybrała go na męża. Nie uznałam tego za dobry pomysł – podniebne elfy nigdy nie były naprawdę z nami związane – ale to, co myślałam, oczywiście się nie liczyło. Było to blisko dwadzieścia lat temu, a były to niebezpieczne czasy. Wszędzie demony rosnące w siłę. Zmuszeni byliśmy wrócić do miasta. Kontakt ze światem zewnętrznym stawał się trudny.

Wkrótce po ślubie Alleyne zaszła w ciążę. Wtedy Eowen powiedziała mi o swej wizji – spojrzała na drugą kobietę, która siedziała, obserwując z kamienną twarzą. Jej zielone oczy były ogromne i niezgłębione. – Eowen jest widząca, Wren, może najlepszą ze wszystkich. Była towarzyszką moich zabaw i powierniczką, kiedy byłam dzieckiem, jeszcze zanim wiedziała, że ma moc. Potem również była przy mnie, doradzając i kierując. Powiedziałam ci, że to z jej powodu tu jesteś. Kiedy Alleyne zaszła w ciążę, Eowen ostrzegła mnie, że jeśli moja córka nie opuści Morrowindl przed twoimi narodzinami, obie zginiecie.

Ujrzała to w swojej wizji. Powiedziała mi również, że Alleyne może już nigdy nie wrócić, ale ty musisz pewnego dnia i twoje przybycie ocali elfy.

Odetchnęła głęboko.

— Wiem. Czułam się pewnie jak ty teraz. Jak to może być prawdą? Nie chciałam odejścia Alleyne. Wiedziałam jednak, że wizje Eowen nigdy nie kłamały. Wezwałam więc Alleyne i kazałam Eowen powtórzyć to, co powiedziała mnie. Alleyne nic zawahała się, chociaż wiedziałam, że w głębi duszy jest temu niechętna. Powiedziała, że odejdzie, dopilnuje, aby dziecko było bezpieczne. Ani razu nie wspomniała o sobie. Taka była twoja matka. Ciągle miałam Kamienie Elfów, przekazane mi poprzez związek moich rodziców. Dałam je Alleyne, aby ją ochronić, najpierw zmieniając trochę ich wygląd moją własną magią, aby nie można ich było rozpoznać na pierwszy rzut oka i aby nie wyglądały na cenne.

Alleyne miała wrócić do Westlandii ze swoim mężem. Stamtąd miała udać się do Shady Vale i odnowić kontakty z potomkami Ohmsfordów, którzy odeszli, kiedy elfy wyruszyły na Morrowindl. Nigdy się nie dowiedziałam, czy tak uczyniła. Na prawie trzy lata zniknęła z mojego życia. Eowen umiała tylko powiedzieć mi, że ona – i ty – jesteście bezpieczne.

Potem, trochę ponad piętnaście lat temu, Alleyne postanowiła powrócić. Nie wiem, co spowodowało jej decyzję. Dała ci skórzaną sakiewkę z Kamieniami Elfów, umieściła cię pod opieką Ohmsfordów z Shady Vale i uciekła z mężem do nas. Powoli pokręciła głową, jakby nawet teraz nie pojmowała pomysłu córki.

— Do tego czasu demony zalały już Morrowindl; zostało nam tylko miasto. Z naszej magii utworzyliśmy Keel, aby się ochronić,

ale na zewnątrz wszędzie były demony. Skrzydlaci Jeźdźcy przybywali coraz rzadziej i coraz mniej liczni. Rok Alleyne i jej mąż leciał przez mgłę i został uderzony czymś w rodzaju pocisku. Wylądował tuż przy bramach miasta. Demony... Przerwała, niezdolna mówić dalej. W oczach miała łzy.

— Nie mogliśmy ich uratować – dokończyła.

Wren poczuła, jak otwiera się w jej duszy wielka otchłań. Przed oczami miała śmierć swojej matki. Pochyliła się impulsywnie i objęła babkę ramionami; ostatnia z jej rodziny, jedyna więź łącząca ją z matką i ojcem. Przytuliła ją mocno. Czowała na ramieniu głowę królowej i szczupłe ramiona odpowiadające na uścisk. Długo siedziały w ciszy, tuląc się tylko nawzajem. Wren usiłowała odmalować w myślach obraz twarzy matki, ale nie potrafiła. Teraz widziała jedynie twarz swej babki. Świadoma była, że jakkolwiek ogromna jest jej strata, nie dorównuje królowej. W końcu odsunęły się od siebie i królowa raz jeszcze uśmiechnęła się promiennie, pokrzepiająco.

— Tak się cieszę, że przybyłaś, Wren – powtórzyła. – Tak długo czekałam na to spotkanie.

— Babciu – powiedziała Wren, a słowo zabrzmiało dziwnie, kiedy je wypowiedziała. – Nadal nie pojmuję, dlaczego mnie wysłano. Allanon powiedział mi, że mam odnaleźć elfy, ponieważ dopóki nie powrócą, krainy nie mogą zostać uleczone. A teraz ty mówisz, że Eowen przepowiedziała, iż moje przyjście ocali elfy. Ale czy moje przybycie coś zmienia? Z pewnością wrócilibyście już dawno temu, gdyby to było możliwe.

Uśmiech królowej zgasł powoli.

— Obawiam się, że to bardziej skomplikowane.

— Jak może być jeszcze bardziej skomplikowane? Czy nie możecie odejść, jeśli zechcecie?

— Tak, dziecko, możemy odejść.

— A więc czemu tego nie zrobicie? Co was powstrzymuje? Zostajecie, bo musicie? Czy te demony pochodzą z Zakazu? Czy Ellcrys znowu upadła?

— Nie, Ellcrys ma się dobrze – przerwała niepewna.

— A zatem skąd przybyły te demony?

Gładka twarz królowej ściągnęła się ledwo dostrzegalnie.

— Nie jesteśmy pewni, Wren.

Kłamała. Wren wiedziała to instynktownie. Słyszała to w głosie babki i widziała w nagłym opuszczeniu zielonych oczu Eowen. Zaskoczona, zraniona i zagniewana patrzyła z niedowierzaniem na królową. Żadnych tajemnic pomiędzy nimi? – pomyślała, powtarzając własne słowa babki. Co ukrywasz?

Ellenroh Elessedil wydawała się nie zauważać rozpaczyny swej wnuczki. Wyciągnęła ramiona i objęła ją serdecznie. Wren nie odsunęła się mimo pokusy, myśląc, że tajemniczość królowej musi mieć swą przyczynę i w swoim czasie wszystko się wyjaśni. Myślała również, że przybyła z tak daleka, aby odkryć prawdę o swej rodzinie, i zrezygnowała, ponieważ to przychodziło tak powoli. Zmusiła się do odsunięcia tych myśli. Była nomadką i Garth dobrze ją wyszkolił. Umiała być cierpliwa. Umiała czekać.

— Jutro będzie dość czasu, aby porozmawiać, dziecko – wyszeptała jej do ucha królowa. – Teraz potrzebujesz snu. A ja muszę pomyśleć.

Odsunęła się, a jej uśmiech był tak smutny, że Wren prawie łzy napłynęły do oczu.

— Eowen pokaże ci twój pokój. Twój przyjaciel Garth będzie spał tuż obok, jeśli będziesz go potrzebowała. Odpocznij, dziecko. Długo czekałyśmy, aby się odnaleźć, i nie wolno nam się spieszyć.

Wstała, pociągając za sobą Wren. Naprzeciwko nich Eowen Cerise również się uniosła. Królowa uścisnęła wnuczkę na pożegnanie. Wren oddała uścisk, ukrywając kłębiące się w jej głowie wątpliwości. Była zmęczona, powieki miała ciężkie i siła ją opuściła. Czowała ciepło i wygodę i potrzebowała odpoczynku.

— Cieszę się, że tu jestem, babciu – powiedziała cicho i tak myślała.

Ale dowiem się prawdy, dodała w duchu. Dowiem się wszystkiego. Potem pozwoliła Eowen Cerise wyprowadzić się z komnaty sypialnej do ciemnego korytarza.

Rozdział XI

Następnego ranka Wren obudziła się w pokoju o białych ścianach. Bawełniana pościel miała na brzegach wyszyte maleńkie kwiatki, u kilimy utkano z miękkich nici o pastelowych barwach, które lśniły w powodzi jasnego światła wlewającego się przez szpary w koronkowych zasłonach zwisających w grubych fałdach od sufitu do podłogi.

Światło słońca, zdumiała się, w krainie, gdzie za murami miasta i mocą elfiej magii panowała tylko ciemność. Położyła się z powrotem, wciąż senna, dając sobie czas na zebranie myśli. Poprzedniej nocy nie widziała pokoju. Było ciemno, a Eowen prowadziła ją tylko przy świetle świecy. Upadła na zasłane łoże i niemal natychmiast zasnęła.

Na chwilę zamknęła oczy, usiłując połączyć wspomnienia z tym, co widzi, tę półprzezroczystą teraźniejszość jak ze snu z surową, posępną przeszłością. Czy to realne – poszukiwanie miejsca, dokąd odeszły elfy, lot na Morrowindl, podróż przez In Ju, wspinaczka na Blackledge, marsz do Rowen, a potem do Arborlonu? Leżąc tak, otulona w miękkie prześcieradła i światło słońca, odkryła, że trudno jej w to uwierzyć. Wspomnienia o świecie poza murami miasta ciemności, ogniu i mgle, potworach wyłaniających się zewsząd, znających tylko zniszczenia – wydawały się niewyraźne i odległe.

Gniewnie otworzyła oczy i zmusiła się, żeby pamiętać. Wydarzenia paradowały przed nią, wyraźne i ostre. Ujrzała Gartha walczącego z nią przeciwko cieniowcowi na skraju klifu nad Błękitną Granicą. Raz jeszcze zobaczyła pierwszą noc na plaży, kiedy opuścili ich Tygrys Ty i Duch. Pomyślała o Stresie i

Faun, zmuszając się do przypomnienia, jak wyglądali, mówili i poruszali się i co przeszli, pomagając jej w podróży przez ten potworny świat, przyjaciele, którzy pomogli jej tylko po to, aby ich zostawiła.

W końcu też myśli o splinterze i drzewnej wiewiórcie przebudziły ją całkowicie. Usiadła i powoli rozejrzała się dokoła. Była tu, zapewniła sama siebie, w Arborlonie, w pałacu królowej elfów, w domu Ellenroh Elesedil, swojej babki. Odetchnęła głęboko, mocując się z tym obrazem i próbując go urealnić. Oczywiście był realny – a jednak równocześnie nie wydawał się taki. Był zbyt nowy, jak sądziła. Przybyła, aby odkryć prawdę o swoich rodzicach; nie mogła wiedzieć, że prawda okaże się tak wstrząsająca.

Pamiętała, co powiedziała sobie, kiedy Coglin po raz pierwszy wytłumaczył jej sny. To, czego się nauczyła, zgadzając się na podróż do Hadeshornu i rozmowę z Allanonem, mogło odmienić jej życie.

Nawet nie wyobrażała sobie jak bardzo.

Intrygowało ją to i równocześnie przerażało. Tak wiele trzeba było, aby przywieść ją na Morrowindl i do elfów, a teraz czekała ją konfrontacja ze światem i ludem, którego tak naprawdę nie znała ani nie rozumiała. Ostatniej nocy odkryła, jak bardzo może się to okazać trudne. Skoro nawet własna babka zdecydowała się ją okłamać, jak może zaufać innym? Skrywane przed nią tajemnice bolały jak otwarta rana. Wysłano ją do elfów w pewnym celu, ale ciągle go nie znała. Jeśli znała go Ellenroh, nic nie mówiła – a przynajmniej jeszcze nie. Nie powiedziała też nic o demonach – tyle tylko że nie przybyły z Zakazu i że Ellcrys nie zawiodła. Skądś jednak musiały przybyć i królowa wiedziała skąd. Wren była tego pewna. Wiedziała wiele rzeczy, o których

nie mówiła.

Tajemnice – znowu to słowo.

Tajemnice.

Potrząsnęła głową, odsuwając od siebie tę myśl. Królowa była jej babką, ostatnią z rodziny, dała życie jej matce. Była kobietą zdolną, piękną, odpowiedzialną i kochającą. Wren pokręciła głową. Nie potrafiła źle myśleć o Ellenroh Elessedil. Nie potrafiła jej ubliżyć. Była do niej podobna, może fizycznie i uczuciowo, a także w słowach, myślach i czynach. Widziała to ostatniej nocy; wyczuła w ich rozmowie, wymienianych spojrzeniach i w sposobie, w jaki sobie odpowiadały. Westchnęła. Najlepiej zrobić to, co obiecała, czekać i patrzeć.

Po jakimś czasie wstała i podeszła do drzwi prowadzących do sąsiedniego pokoju. Niemal natychmiast drzwi otworzyły się i stanął w nich Garth. Był bez koszuli, muskularne ramiona i tors owijały bandaże, a brodata twarz była pocięta i posiniaczona. Pomimo wstrząsającego widoku ran, olbrzym wyglądał na wypoczętego i w dobrej formie. Kiedy skinęła, aby wszedł, wrócił do pokoju po tunikę i naciągnął ją pospiesznie na siebie. Ubrania, w które go zaopatrzone, były za małe i sprawiały, że wyglądał jeszcze potężniej. Skryła uśmiech, kiedy podeszli do ławy przy zasłoniętym oknie, szczęśliwa, że znowu go widzi, czerpiąc pociechę z jego znajomej obecności.

— Czego się dowiedziałaś? – zamigał.

Pozwoliła, aby ujrzał jej uśmiech. Dobry, stary, wierny Garth – zawsze taki sam. Powtórzyła mu swą rozmowę z królową z poprzedniej nocy, zdając relację z tego, co powiedziano jej o dziejach Elessedilów, Ohmsfordów oraz matce i ojcu. Nie powiedziała o podejrzeniach, że Ellenroh ukrywa prawdę o demonach. Na razie chciała to zatrzymać dla siebie, mając

nadzieję, że babka zwierzy się jej, kiedy przyjdzie czas. Niemniej jednak chciała znać zdanie Gartha na temat królowej.

— Zauważyłeś coś u mojej babki, czego ja nie dostrzegłam? – zapytała, tłumacząc słowa na mowę palców.

Garth uśmiechnął się blado na przypuszczenie, że przeoczyła cokolwiek.

— Jest przerażona – odrzekł szybko.

— Przerażona? – Tego Wren naprawdę nie zauważyła. – Jak myślisz, czym?

— Trudno powiedzieć. Czymś, co wie tylko ona, jak sędzę. Jest bardzo ostrożna w tym, co i jak mówi. Widziałaś. – Przerwał. – Może boi się o ciebie, Wren.

— Ponieważ moja matka zginęła, wracając tutaj, a teraz i ja ryzykuję? Ale zgodnie z wizją Eowen miałam wrócić. Oczekiwali mnie. A co myślisz o tej wizji? Jak niby mam ocalić elfy, Garth? Czy to nie wydaje ci się głupie? W końcu potrafiliśmy jedynie utrzymać się na tyle długo przy życiu, aby dotrzeć do miasta. Nie rozumiem, co możemy tu zrobić.

Garth wzruszył ramionami.

— Miej oczy i uszy otwarte, dziewczę nomadów. W ten sposób się dowiesz. – Uśmiechnął się i Wren odwzajemniła uśmiech.

Potem zostawił ją, aby mogła się ubrać. Kiedy zamknął drzwi rozdzielające ich pokoje, stała, patrząc za nim przez chwilę. Nagle dotarło do niej, że w historiach o rodzicach opowiadanych jej przez babkę i Gartha było mnóstwo niezgodności. To prawda, że wersja Gartha pochodziła z drugiej ręki, a królowej oparta była całkowicie na wydarzeniach, do których doszło przed opuszczeniem Arborlonu, można więc było oczekiwać nieścisłości. A jednak żadna z wersji nie mówiła o tym, co każdy musiałby uznać za oczywisty błąd. Garth nie wspominał o

Skrzydlatych Jeźdźcach, a królowa o nomadach. Oboje nie powiedzieli, dlaczego jej rodzice nie udali się najpierw do Shady Vale i Ohmsfordów, a zamiast tego poszli do Westlandii.

Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć coś Garthowi. Biorąc pod uwagę ważkość innych trosk, zastanawiała się, czy to naprawdę ważne.

Znalazła odzienie przygotowane do ubrania, odzież pasującą lepiej niż Gartha – spodnie, tunikę, pończochy, pas i parę pięknej roboty skórzanych butów do kostek. Ubierając się, obracała w myślach od- krycia ubiegłej nocy, na nowo rozważając to, czego się dowiedziała. Królowa zdawała się uznawać ważność przybycia Wren do Arborlonu, pewna przynajmniej, że wizja Eowen okazała się prawdziwa. Także Aurin Striate nadmieniał, że czekali na nią. A jednak nikt nie powiedział dlaczego, jeśli wiedzieli. W snach nic nie mówiło o tym, czego dokonać ma obecność Wren. Może potrzeba do tego kolejnej wizji.

Uśmiechnęła się na własne zuchwalstwo i naciągała właśnie buty, kiedy uśmiech na jej twarzy zgasł gwałtownie.

A jeśli jej powrót był ważny dlatego, że przyniósł wraz z nią Kamienie Elfów? Jeśli oczekiwano, że użyje Kamieni jako broni przeciwko demonom?

Zamarła, przypominając sobie, jak została zmuszona do dwukrotnego ich użycia, pomimo swej niechęci, pamiętając poczucie mocy, kiedy przepływała przez nią magia niczym płynny ogień, który wypalał i ożywiał jednocześnie. Świadoma była, że się od nich uzależnia, że za każdym razem, kiedy ich używa, wiążą ją ze sobą i zdają się być jej częścią. Mówiła sobie, że ich nie użyje, po czym odkrywała, że zmuszona jest to uczynić – czy też może przekonano ją do tego.

Pokręciła głową. Dobór słów się nie liczył; rezultat był ten sam.

Za każdym razem, kiedy używała magii, odsuwała się trochę od tego, kim i czym była, a zbliżała do kogoś, kogo nie znała. Używając mocy magii, straciła władzę nad sobą.

Wepchnęła stopy w buty i wstała. Jej rozumowanie było błędne. Kamienie Elfów nie mogły być tak ważne. W przeciwnym razie, dlaczego Ellenroh nie zatrzymała ich, tylko ofiarowała Alleyne? Dlaczego już dawno nie wykorzystano ich przeciwko demonom, skoro miały takie znaczenie?

Zawahała się, po czym sięgnęła do nocnej koszuli i wyjęła Kamienie z kieszeni, gdzie umieściła je poprzedniej nocy. Leżały na jej dłoni, lśniąc, a ich magia spała, nieszkodliwa i niewidzialna. Obserwowała je w napięciu, zastanawiając się nad okolicznościami, które oddały je pod jej pieczę, znowu żałując, że Ellenroh nie chciała zabrać ich zeszłej nocy.

Potem odsunęła złe przeczucia wywołane myślami o Kamieniach Elfów i wsunęła kłopotliwy talizman głęboko do kieszeni tuniki. Kiedy wetknęła za pas długi nóż, wyprostowała się pewnie i wyszła z pokoju.

Za drzwiami stał myśliwy elfów i kiedy przywołała Gartha, wartownik eskortował ich po schodach do jadalni na śniadanie. Zjedli sami przy długim, wypolerowanym dębowym stole przykrytym białym obrusem i ozdobionym kwiatami. Siedzieli w przestronnej komnacie o łukowatym sklepieniu i oknami z barwionego szkła, które przepuszczały słoneczne światło w barwach pryzmatu. Usługująca dziewczyna stała gotowa na ich skinienie, sprawiając, że niezależna Wren czuła się trochę niezręcznie. Jadła w milczeniu, z Garthem naprzeciwko, i zastanawiała się, co ma zrobić, kiedy skończy.

Nie było śladu królowej.

Niemniej jednak, kiedy posiłek miał się ku końcowi, pojawił

się Sowa. Aurin Striate wyglądał na tak samo bladego i mizernego, jak w ciemnościach i mroku pół lawy na zewnątrz. Jego kanciaste członki sprawiały wrażenie nie połączonych ze sobą, kiedy się poruszał, jakby nic nie pracowało jak należy. Miał na sobie czyste ubranie, miękka czapka zniknęła, a mimo to dalej wyglądał na wymiętego i rozczochranego – miała wrażenie, że to u niego normalne. Podszedł do stołu i usiadł, opierając się wygodnie.

— Wyglądasz o niebo lepiej niż zeszłej nocy – zauważył z półuśmiechem. – Czyste ubranie i kąpiel zrobiły z ciebie naprawdę ładną dziewczynę, Wren. Wypoczęłaś?

Odwzajemniła uśmiech. Polubiła Sowę.

— Nawet nieźle, dziękuję. I dzięki za bezpieczne wprowadzenie nas do środka. Nie udałoby się nam bez ciebie.

Sowa zasznurował usta, zerknął znacząco na Gartha i wzruszył ramionami.

— Może i tak. Ale oboje wiemy, że to ty naprawdę nas ocaliłaś. – Przerwał o krok od wzmianki o Kamieniach Elfów i oparł się na krześle. Jego postarzała twarz zmarszczyła się psotnie. – Chcesz się rozejrzeć, kiedy skończysz? Popatrzeć trochę? Twoja babka oddała mnie na jakiś czas do twojej dyspozycji.

Parę chwil później opuścili tereny pałacu, tym razem przechodząc przez frontową bramę, i zeszli do miasta. Pałac wzniesiony był na pagórku w centrum Arborlonu, w głębi lasu, a otaczały go domy i sklepy. Miasto żyło w świetle dnia, elfy krzątały się przy swych zajęciach, a ulice pełne były ruchu. Kiedy trójka weszła w tłum, zewsząd kierowano ku nim spojrzenia – nie na Sowę czy Wren, ale na Gartha, znacznie większego od elfów i najwyraźniej obcego. Garth, w typowy dlań sposób, wydawał się obojętny. Wren wyciągała szyję, aby widzieć

wszystko. Słoneczne światło rozjaśniało zieleni drzew i traw, kolory budynków i kwiaty posadzone wzdłuż chodników; jakby nie istniała za murami mgła i ogień. W powietrzu czuć było ślad siarki i popiołu, a cień Killeshan rysował się ciemną plamą na tle wschodniego nieba, gdzie miasto opierało się o górę, ale magia osłaniała i chroniła ten wewnętrzny świat. Elfy zajmowały się swoimi sprawami, jakby wszystko było normalnie, jakby nic im nie zagrażało i jakby Morrowindl poza miastem była taka sama jak tutaj.

Po chwili minęli zasłonę lasu i zobaczyli zewnętrzny mur. W świetle dnia wyglądał inaczej. Blask magii przygasł do bladego lśnienia, który przemieniał świat poza murem w miękką, zamgloną akwarelę obmytą z jaskrawości. Morrowindl – jej góry, przepaść Killeshan, mieszanina skalnej lawy i karłowatych lasów, szczeliny w ziemi tryskające gejzerami popiołu i pary – była zamglona tak, iż prawie niewidzialna. Żołnierze elfów patrolowali umocnienia, ale nie toczyła się żadna bitwa. Demony wymknęły się, aby odpocząć przed zapadnięciem nocy. Świat na zewnątrz był posępny i pusty, a jedynym słyszalnym dźwiękiem były głosy i ruch ludzi wewnątrz. Kiedy zbliżyli się do najbliższego przyczółku, Wren odwróciła się do Sowy.

— Po co fosa wewnątrz murów? – zapytała.

Sowa spojrział na nią, po czym odwrócił wzrok.

— Oddziela miasto od Keel. Wiesz o Keel?

Skinął w stronę muru. Teraz Wren przypomniała sobie tę nazwę. Pierwszy użył jej Stresa, mówiąc, że elfy są w kłopotach, ponieważ magia słabnie.

— Został zbudowany z magii w czasach ojca Ellenroh, kiedy pojawiły się pierwsze demony. Chroni przed nimi, utrzymuje miasto takie, jak zawsze było. Wszystko jest tak samo jak w

czasach, kiedy sprowadzono Arborlon na Morrowindl ponad sto lat temu.

Wren ciągle obracała w myślach słowa Stresy o słabnącej magii, Już miała zapytać Aurina Striate, czy tak jest, kiedy zdała sobie sprawę, że właśnie to powiedział.

— Sowo, powiedziałaś, kiedy Arborlon sprowadzono na Morrowindl? To znaczy, kiedy zostało zbudowane, tak?

— To znaczy to, co powiedziałem.

— Że przeniesiono budynki? A może mówisz o Ellcrys? Ellcrys jest tutaj, prawda, w mieście?

— Tam – skinął niewyraźnie, a jego poryta bliznami twarz zachmurzyła się. – Za pałacem.

— A więc to znaczy...

— Miasto, Wren – uciął krótko Sowa. – Całe miasto i wszystkie elfy, które w nim żyły. To właśnie mam na myśli.

Wren wytrzeszczyła oczy.

— Ale... Zostało odbudowane z drewna, które elfy tu dostarczyły, tak?

Kręcił głową.

— Wren, czy nikt nie mówił ci o Lodenie? Czy królowa nie powiedziała ci, jak elfy przybyły na Morrowindl?

Pochylił się blisko i utkwiał w niej ostre spojrzenie. Zawahała się.

— Mówiła, że postanowili emigrować z Westlandii z powodu federacji – powiedziała w końcu.

— Nie – uciął raz jeszcze. – Nie to mam na myśli.

Przez chwilę patrzył w bok, a potem wziął ją za ramię i poprowadził do kamiennego wspornika u stóp mostu, gdzie mogli usiąść. Garth poszedł ich śladem z twarzą bez wyrazu i zajął miejsce naprzeciw nich, gdzie mógł widzieć, jak

rozmawiają.

— Nie myślałem, że będę musiał ci to powiedzieć, dziewczyno – zaczął Sowa, kiedy usiedli. – Inni zrobiliby to lepiej. Ale nie ma co o tym gadać, dopóki ci nie wyjaśnię. A poza tym jesteś wnuczką Ellenroh Elessedil i tą, na którą czekaliśmy, tą z wizji Eowen Cerise, masz więc prawo wiedzieć.

Splótł wygodnie kanciaste ramiona.

— Ale i tak nie uwierzysz. Sam nie jestem pewny, czy wierzę.

Wren uśmiechnęła się, odrobinę zaniepokojona taką perspektywą.

— Mimo to powiedz, Sowo.

Aurin Striate pokiwał głową.

— Oto, co mi mówiono, a zatem nie to, co na pewno wiem. Ponad sto lat temu elfy odzyskały część ze swej czarodziejskiej magii, jeszcze przed Morrowindl, kiedy żyły w Westlandii. Nie wiem, jak to zrobiły; i nie sądzę, żeby mnie to obchodziło. Ważne jest, że kiedy podjęły decyzję o emigracji, prawdopodobnie umieściły tę magię w Kamieniu Elfów zwanym Loden. Loden, jak sądzę, zawsze tam był, ukryty, trzymany w tajemnicy do czasu, kiedy będzie potrzebny. Ten czas nie nadchodził przez setki lat – przez cały ten czas po przejściu Wielkich Wojen. Ale Elessedilowie mieli go, albo też go odnaleźli, i kiedy podjęto decyzję o odejściu, użyli go.

Odetchnął, aby się uspokoić, i zacisnął wargi.

— Ten Kamień Elfów, jak one wszystkie, odbierał siły temu, kto go używał. Tyle że w tym wypadku nie był to jeden człowiek, ale cały naród. Cała siła rasy elfów poszła na przywołanie magii Loden. – Odchrząknął. – Kiedy tak się stało, całe Arborlon zostało uniesione, jak... jak garstka ziemi, skurczone i zamknięte w Kamieniu. I to właśnie miałem na myśli, mówiąc, że Arborlon

zostało sprowadzone na Morrowindl. Zostało zapieczętowane w Lodenie wraz z ludźmi i przyniesione przez garstkę na tę wyspę. Kiedy znaleziono miejsce na miasto, odwrócono cały proces i przywrócono Arborlon do poprzednich rozmiarów. Mężczyzn, kobiety, dzieci, psy, koty, ptaki, zwierzęta, domy i sklepy, drzewa, kwiaty, trawy – wszystko. Także Ellcrys. Wszystko. – Usiadł i zmrużył bystre oczy. – I co ty na to?

Wren osłupiała.

— Miałeś rację, Sowo. Nie wierzę w to. Nie umiem wyobrazić sobie, jak elfy mogły tak szybko odzyskać coś utraconego od tysięcy lat. Skąd? Od czasu Brin i Jaira Ohmsfordów nie miały żadnej magii – jedynie moc uzdrawiania!

Sowa wzruszył ramionami.

— Nie będę udawał, że wiem, jak tego dokonali, Wren. To było na długo przed moimi narodzinami. Może królowa wie – nigdy jednak nie wspomniała o tym ani słowem. Wiem tyle, co mi powiedziano, i nie jestem pewny, czy w to wierzę. Miasto i ludzie zostali tu przyniesieni w Lodenie. Tak mówią. Tak również zbudowano Keel. No cóż, najpierw został zbudowany z kamienia naszymi rękami, ale magia, która go chroni, pochodzi od Loden. Byłem wtedy chłopcem, pamiętam jednak, jak stary król użył różdżki Ruhk. Różdżka Ruhk trzyma Loden i przez nią płynie magia.

— Widziałeś to? – spytała Wren z powątpiewaniem.

— Widziałem różdżkę i Kamień wiele razy – odpowiedział Sowa. – Ale tylko wtedy widziałem, jak ich użyto.

— A demony? – nie ustępowała Wren, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej, próbując wydobyć jakiś sens z tego, co słyszy. – Co z nimi? Czy nie można użyć przeciwko nim Loden i różdżki?

Twarz Sowy pociemniała, zmieniając swój wyraz tak szybko,

że zupełnie zaskoczył Wren.

— Nie – odrzekł cicho. – Magia jest bezużyteczna przeciwko demonom.

— Ale dlaczego tak jest? – nie dawała za wygraną. – Magia Kamieni Elfów niszczy je. Dlaczego zatem nie magia Loden?

Potrząsnął głową.

— Myślę, że to inny rodzaj magii. – W jego głosie nie było pewności.

— Powiedz mi, Sowo, skąd pochodzą demony – powiedziała szybko Wren.

Aurin Striate spojrział niespokojnie.

— Dlaczego mnie pytasz, Wren Elesedil?

— Ohmsford – poprawiła natychmiast.

— Nie sądzę.

Zapadła pełna napięcia cisza, kiedy patrzyli na siebie, nie spuszczając wzroku.

— One również pochodzą z magii, prawda? – powiedziała w końcu Wren, nie chcąc się wycofać.

Bystre oczy Sowy patrzyły spokojnie.

— Zapytaj królową, Wren. Porozmawiaj z nią. – Wstał gwałtownie. – Skoro już wiesz, skąd wzięło się tutaj miasto, przynajmniej według legendy, skończmy się rozglądać. W Keel jest kilka bram, jedna główna i dwie mniejsze. Spójrz tam...

Ruszyli naprzód, ciągle rozmawiając, omawiając, co widzą, i kierując rozmowę z dala od pytań, na które żadne z nich nie chciało odpowiedzieć. Wren słuchała roztargniona, bardziej zainteresowana opowieścią o przybyciu elfów na Morrowindl. Zebranie całego miasta wymagało niewiarygodnej wprost magii, zmniejszenie go do rozmiarów Kamienia Elfów i zamknięcie w jego wnętrzu w czasie podróży przez ocean. Nadal nie potrafiła

sobie tego wyobrazić. Magia elfów odzyskana z czarodziejskich czasów, które ledwie pamiętano – to niewiarygodne. Cała ta moc, a mimo to nadal nie ma sposobu uwolnienia się od demonów, zniszczenia ich. Zacisnęła usta w niemym proteście. Naprawdę nie wiedziała już, w co wierzyć.

Cały ranek i część wczesnego popołudnia spędzili, spacerując po mieście. Wspięli się na wały i spoglądali na krainę poza nimi, niewyraźną i zamgloną, gdzie z wyjątkiem wybuchów pary Killeshan i wirującej mgły nic się nie poruszało. Znowu ujrzeli Phaetona, idącego z miasta do Keel, nie zważającego na ich obecność. Mocne rysy twarzy były poznaczone bliznami i surowe pod grzywą spłowiałych od słońca włosów. Sowa patrzył na niego z kamienną twarzą i odwrócił się, aby kontynuować spacer, kiedy Wren poprosiła, aby powiedział coś o Phaetonie. Był dowódcą królowej, odpowiedział Aurin Striate, drugim po Barsimmonie Oridio i pragnącym zająć jego miejsce.

— Dlaczego go nie lubisz? – zapytała Wren wprost.

Sowa uniósł jedną brew.

— Trudno to wyjaśnić. Przypuszczam, że różnimy się zasadniczo. Większość życia spędziłem za murami, grasując wraz z demonami, przyglądając się, co robią i gdzie są. Przez długi czas żyłem jak one i poznałem je. Znam ich zwyczaje i gatunki. Wiem o nich więcej, niż ktokolwiek inny. Ale Phaeton na to nie zważa. Dla niego demony są po prostu wrogiem, którego trzeba zniszczyć. Chce wyprowadzić za mury armię elfów i zmieść je z powierzchni ziemi. Od miesiący chodzi za Barsimmonem Oridio i królową, aby mu na to pozwolili. Jego ludzie kochają go; myślą, że ma rację, ponieważ chcą wierzyć, że wie on o czymś, czego ja nie wiem. Od prawie dziesięciu lat jesteśmy odcięci za Keelem. Życie płynie naprzód i można mówić do ludzi, ale wszyscy oni

noszą ból w sercach. Pamiętają, jak niegdyś żyli, i pragną żyć tak znowu.

Wren przez chwilę rozważała, czy znowu nie podjąć tematu, jak dostały się tu demony i dlaczego nie można odesłać ich tam, skąd przyszły, ale się nie zdecydowała.

— A więc myślisz, że nie ma nadziei na zwycięstwo armii – powiedziała.

Sowa utkwiał w niej surowe spojrzenie.

— Byłaś tam ze mną, Wren – to więcej, niż może powiedzieć Phaeton. Przebyłaś drogę z plaży, aby tu dotrzeć. Kilka razy widziałaś demony. Jak myślisz? One nie są jak my. Jest ich setki rodzajów, a każdy niebezpieczny na swój sposób. Niektóre można zabić stalowym ostrzem, a niektórych nie. Wzdłuż Rowen żyją Revenant – same kły, pazury i mięśnie. Zwierzęta. Na Blackledge są drakule – duchy, które wysysają z ciebie życie. Są jak dym, nie można z nimi walczyć ani ugodzić mieczem. A to tylko dwa gatunki, Wren. – Potrząsnął głową. – Nie, nie sądzę, żebyśmy zwyciężyli. Myślę, że będziemy mieli szczęście, jeśli tutaj zdołamy utrzymać się przy życiu.

— Splinter powiedział mi, że magia osłaniająca miasto słabnie – powiedziała Wren, kiedy uszli kawałek dalej.

Nie było to pytanie, ale stwierdzenie faktu, i czekała na odpowiedź. Sowa nie odpowiadał przez długą chwilę, pochylił głowę na piersi i utkwiał wzrok w ziemi.

W końcu podniósł oczy.

— Kot ma rację – powiedział w końcu.

Weszli do miasta, zaglądając do sklepów i mijając stragany królujące na rynku, przeglądając towary i obserwując kupujących je ludzi. Arborlon było miastem jak każde inne, z jednym tylko wyjątkiem. Wren patrzyła na twarze wokół siebie,

widząc w nich swoje własne elfie rysy. Po raz pierwszy mogła to uczynić i cieszyła ją myśl, że jest pierwszą osobą od ponad stu lat, która widzi to wszystko. Elfy żyły i istniały. Było to cudowne odkrycie i wciąż podniecała ją myśl, że ona jedna to odkryła.

Na rynku zjedli szybki posiłek – cienko krojony chleb, w który zawinięto opieczony mięso i warzywa, świeże owoce przypominające gruszki, kubek piwa – i ruszyli dalej. Sowa poprowadził ich za pałac, do Ogrodów Życia. W milczeniu przemierzali ścieżki, zatapiając się w woni kwiatów i zapachu setki kolorowych pąków rozrzuconych pomiędzy krzewami i drzewami. Natknęli się na Wybranego w białych szatach, jednego z opiekunów Ellcrys, który skinął im głową i poszedł dalej. Wren pomyślała o opowieści Para Ohmsforda o elfiej dziewczynie imieniem Amberle, najślawniejszej z Wybranych. Wspięli się na szczyt, na którym zasadzono Ogrody i stanęli przed Ellcrys. Szkarłatne liście drzewa i srebrne gałęzie lśniły w świetle słońca, tak zdumiewające, że nie wydawały się realne. Wren zapragnęła dotknąć drzewa, wyszeptać coś i powiedzieć może, że wie i rozumie, kim jest i co przetrwało. Nie zrobiła tego jednak; po prostu stała tam. Ellcrys nigdy nie przemówiła do nikogo i wiedziała już, co czuje Wren. Dziewczyna patrzyła więc tylko, myśląc, jak strasznie będzie, kiedy Keel całkiem upadnie i demony zaleją miasto i elfy. Ellcrys zostanie oczywiście zniszczona, a kiedy to się stanie, wszystkie potwory uwięzione wewnątrz Zakazu, stwory z czarodziejskich czasów zamknięte przez te wszystkie lata, raz jeszcze przedostaną się do świata śmiertelnych ludzi. A wtedy, pomyślała ponuro, Allanona wizja przyszłości naprawdę się spełni.

Wrócili do pałacu, aby odpocząć przed kolacją. Sowa zostawił ich przy frontowym wejściu, mówiąc, że wzywają go obowiązki, i

nie tłumacząc nic więcej.

— Wiem, że masz więcej pytań, Wren – powiedział, zbierając się do odejścia, a jego chuda twarz zmarszczyła się z powagą. – Spróbuj być cierpliwa. Obawiam się, że odpowiedzi na nie wszystkie nadejdą już wkrótce.

Ruszył chodnikiem i wyszedł za bramę. Wren wraz z Garthem patrzyła za nim w milczeniu. Po chwili olbrzym odwrócił się do niej i zamigał. Był głodny i chciał wrócić do jadalni, aby znaleźć kuchnię i przegryźć coś. Wren skinęła głową w roztargnieniu, myśląc jeszcze o elfach i ich magii. Myślała też, że Sowa nie odpowiedział na pytanie, dlaczego wewnątrz Keel płynie fosa. Garth zniknął w korytarzu, a jego kroki odbijały się echem w ciszy. Odwróciła się po chwili i ruszyła do swego pokoju. Nie była pewna, co zrobi, kiedy już się w nim znajdzie. Będzie nadal myśleć nad tym wszystkim, ale może to wystarczy. Weszła po schodach, nasłuchując w ciszy, pochwycona w wir swoich myśli, i ruszyła korytarzem na szczycie schodów, kiedy pojawił się Gavilan Elesedil.

— Ho, ho, kuzynko Wren – powitał ją pogodnie, wystrojony w szatę w ukośne błękitne i żółte pasy, przytrzymywaną pasem ze srebrnego łańcucha. – Zwiedzałaś miasto, tak? Jak się dzisiaj czujesz?

— Dobrze, dziękuję – odpowiedziała Wren, przystając, kiedy do niej podszedł.

Ujął jej dłoń i podniósł ją do ust, całując delikatnie.

— Powiedz mi więc. Cieszysz się, że tu przyszłaś, czy żałujesz, że nie zostałaś w domu?

Wren uśmiechnęła się, rumieniąc się wbrew sobie.

— Wszystkiego po trochu, jak sędzę. – Cofnęła dłoń.

Gavilan mrugnął.

— I tak powinno być. Trochę słodczy i trochę goryczy. Przebyłaś długą drogę, aby nas odnaleźć, prawda? Musiało to być pełne wyzwań poszukiwanie, Wren. Czy dowiedziałaś się, co przybyłaś odkryć?

— Nie.

Przystojna twarz spoważniała.

— Twoja matka, Alleyne, była kimś, kogo bardzo byś polubiła. Wiem, że królowa mówiła ci o niej, ale ja też chcę ci coś powiedzieć. Kiedy dorastałem, dbała o mnie jak siostra. Byliśmy sobie bardzo bliscy. Była silną i zdecydowaną dziewczyną, Wren – tak jak ty.

Wren znowu się uśmiechnęła.

— Dziękuję, Gavilanie.

— To prawda – przerwał. – Mam nadzieję, że będziesz myślała o mnie raczej jak o przyjacielu niż o kuzynie. Wiedz, że możesz przyjść do mnie, gdybyś potrzebowała czegokolwiek albo chciała cokolwiek wiedzieć. Będę szczęśliwy, mogąc ci pomóc.

Wren zawahała się.

— Czy mógłbyś opisać moją matkę, Gavilanie? Mógłbyś powiedzieć mi, jak wyglądała?

Kuzyn wzruszył ramionami.

— To łatwe. Alleyne była niewysoka jak ty. Włosy miała takiego samego koloru. A jej głos... – Urwał. – Trudno opisać. Był melodyjny. Była dowcipna i dużo się śmiała. Ale najlepiej chyba pamiętam jej oczy. Dokładnie takie jak twoje. Kiedy patrzyła na ciebie, czułaś, jakby na całym świecie nie było nic i nikogo ważniejszego.

Wren pomyślała o śnie, w którym matka pochylała się ku niej, wyglądając tak, jak to opisywał Gavilan, i mówiąc: Pamiętaj o mnie. Pamiętaj o mnie. Teraz nie wydawało się to już snem.

Czuła, że kiedyś, dawno temu, musiało się to wydarzyć naprawdę.

— Wren?

Zdała sobie sprawę, że wpatruje się w przestrzeń. Spojrzała na Gavilana, zastanawiając się, czy powinna zapytać go o Kamienie Elfów i demony. Zdawał się chętnie z nią rozmawiać i coś ciągnęło ją do niego w zaskakujący sposób. Ale nie знаła go jeszcze, a trening nomadów wyćwiczył w niej ostrożność.

— To ciężkie czasy dla elfów – zauważył nagle Gavilan, pochylając się bliżej. Wren poczuła jego dłonie na swych ramionach. – Są tajemnice magii, które...

— Dzień dobry, Wren – powitała ją Eowen Cerise, pojawiając się na szczycie schodów za jej plecami. Gavilan umilkł. – Czy podobał ci się spacer po mieście?

Wren odwróciła się, czując, jak opadają dłonie Gavilana.

— Tak. Sowa jest doskonałym przewodnikiem.

Eowen podeszła i utkwiała wzrok w Gavilanie.

— Co myślisz o swej kuzynce, Gavilanie?

Elf uśmiechnął się.

— Czarująca, silna, córka swej matki. Zerknął na Wren. – Muszę iść. Przed kolacją jeszcze dużo do zrobienia. Wtedy porozmawiamy.

Krótko skinął głową i odszedł, swobodny, pewny siebie, odrobinę beztroski. Wren patrzyła za nim, myśląc, że wiele ukrywa za tą swobodą, ale pod tą warstwą jest raczej miły.

Odwróciła się, napotykając spojrzenie Eowen.

— Gavilan sprawia, że wszystkie czujemy się znowu jak młode dziewczęta. – Płomienne włosy spięte były siatką. Widząca ubrana była w luźną, wyszywaną w kwiaty szatę. Jej uśmiech był ciepły, ale oczy, jak zawsze, wydawały się chłodne i odległe. –

Myślę, że wszyscy go kochamy.

Wren splonęła rumieńcem.

— Ledwie go znam.

Eowen skinęła głową.

— Opowiedz mi o spacerze. Czego dowiedziałas się o mieście, Wren? Co powiedział ci Aurin Striate?

Ruszyły korytarzem w stronę sypialni Wren. Dziewczyna opowiedziała Eowen, co powiedział jej Sowa, mając cichą nadzieję, że widząca wyjawি coś, ale Eowen tylko słuchała, zachęcająco kiwając głową, i milczała. Wydawała się zmartwiona czymś innym, chociaż zwracała baczną uwagę na słowa Wren, podtrzymując rozmowę. Kiedy dotarły do drzwi sypialni, Wren skończyła opowieść i stanęły naprzeciw siebie.

Na poważnej twarzy Eowen igrał uśmiech.

— Jak na kogoś, kto był w mieście niecały dzień, dowiedziałas się bardzo wiele, Wren.

Nie tyle, ile bym pragnęła, pomyślała Wren.

— Eowen, dlaczego nikt nie mówi mi, skąd wzięły się demony? – zapytała, odrzucając ostrożność.

Uśmiech zniknął, a w jego miejsce pojawił się wyraźny smutek.

— Elfy nie lubią myśleć o demonach, a co dopiero mówić o nich – odrzekła. – Demony pochodzą od magii, Wren, z niezrozumienia i złego użytku. Są strachem, wstydem i obietnicą. – Przerwała, widząc w oczach Wren niepokój i rozczarowanie, i sięgnęła, aby ująć jej dłoń. – Królowa mi zakazała, Wren – wyszeptała. – I może ma rację. Ale obiecuję ci. Pewnego dnia, już wkrótce, jeśli nadal będziesz tego pragnęła, powiem ci wszystko.

Wren napotkała jej spojrzenie, ujrzała w nim szczerłość i skinęła głową.

— Trzymam cię za słowo, Eowen. Chciałabym jednak myśleć, że moja babka powie mi to pierwsza.

— Tak, Wren. Ja też bym tego chciała. – Eowen zawahała się. – Już tak długo jesteśmy razem, ona i ja. Przez całe dzieciństwo, pierwszą miłość, mężów i dzieci. Wszyscy odeszli. Utrata Alleyne była dla nas obu najgorsza. Nigdy nie mówiłam tego twojej babce – chociaż myślę, że coś podejrzewa – ale w swej wizji widziałam, że Alleyne będzie próbowała powrócić do Arborlon i nie będziemy mogły jej powstrzymać. Wizje widzącej są błogosławieństwem i przekleństwem. Wiem, co się wydarzy, i nie mogę zrobić nic, aby to zmienić.

Wren pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Magia, Eowen. Jak Kamieni Elfów, chciałabym się jej pozbyć. Nie ufam temu, co ze mną czyni. Czy z tobą jest inaczej?

Eowen wzmocniła uścisk, wlepiając w twarz Wren spojrzenie zielonych oczu.

— Przeznaczeniem naszego życia jest coś, czego nie pojmujemy i nad czym nie panujemy i co wiąże nas z przyszłością tak mocno, jak żadna magia.

Puściła dłoń Wren i cofnęła się.

— Kiedy rozmawiamy, królowa decyduje o losie elfów, Wren. Twoje nadejście to spowodowało. Chcesz wiedzieć, jakie znaczenie ma twoje bycie tutaj? Myślę, że dziś wieczorem się dowiesz.

Wren nagle zrozumiała i przestraszyła się.

— Miałaś wizję, prawda, Eowen? Widziałaś, co będzie.

Widząca uniosła dłonie, jakby nie wiedząc, czy odeprzeć oskarżenie, czy przyjąć je.

— Zawsze, dziecko – wyszeptała. – Zawsze. – Na jej twarzy malowała się udręka. – Wizje nigdy nie odchodzą.

Potem odwróciła się i zniknęła w głębi korytarza. Wren stała, patrząc za nią tak, jak patrzyła za Sową. Prorocy błędzący w stronę niepewnej przyszłości, uosobienie wizji przeznaczenia elfów.

Tego wieczoru kolacja ciągnęła się niezręcznie, znaczone długimi chwilami milczenia. Wren i Gartha przywołano o zmierzchu i zeszli na dół, gdzie czekali już Eowen i Sowa. Parę chwil później dołączył do nich Gavilan. Siedzieli blisko siebie na jednym końcu długiego stołu, a przed nimi leżał imponujący gobelin dań. Służba stała za ich plecami, gotowa na każde skinienie, a jadalnia była jasno oświetlona. Niewiele rozmawiali, a kiedy już to robili, męczyli się, aby unikać tematów już uznanych za grząskie. Nawet Gavilan, który mówił najwięcej, ostrożnie wybierał tematy. Wren nie potrafiła powiedzieć, czy kuzyn onieśmielony był obecnością Eowen i Sowy, czy też niepokoiło go coś innego. Był pogodny i serdeczny jak przedtem, ale wydawał się czymś zmartwiony i tak naprawdę nie interesowało go jedzenie. Kiedy rozmawiali, przeważnie omawiali dzieciństwo Wren wśród nomadów i wspomnienia Gavilana o Alleyne. Posiłek mijał w atmosferze nudy i wszyscy poczuli ulgę, kiedy wreszcie się skończył.

Ellenroh Elesedil nie pojawiła się, chociaż wszyscy jej wyglądali. Cała piątka wstała i gotowała się do pójścia każde w swoją stronę, kiedy do komnaty wpadł niespokojny posłaniec i wymienił kilka pospiesznych słów ze Sową. Sowa odprawił go z pochmurną miną i odwrócił się do pozostałych.

— Demony rozpoczęły atak na północną ścianę. Najwidoczniej udało im się przedrzeć.

Rozpierzchli się szybko. Eowen, aby znaleźć królową, Gavilan po broń, a Sowa, Wren i Garth, aby samemu przekonać się, co się

dzieje. Sowa prowadził, kiedy pozostała trójka pędziła przez pałac do frontowej bramy, a potem przez miasto. Wren patrzyła, jak ziemia ucieka jej spod nóg, kiedy biegła. Zmierzch zmienił się w ciemność, a światło Keel lśniło mocno przez ekran drzew. Mijali boczne uliczki, gdzie elfy biegały we wszystkie strony, krzycząc i wołając na alarm. Całe miasto powstało na wieść o ataku. Sowa unikał tworzących się już skupisk, omijając centrum miasta i spiesząc tyłami na wschód, dopóki ściana drzew nie rozdzieliła się i nie wyrósł przed nimi Keel. Na murach roilo się od żołnierzy elfów, a następne setki ich przekraczały most, aby do nich dołączyć. Wszyscy pędzili do miejsca, gdzie światło przygasło niemal całkowicie, a ogromna grupa walczących zmagala się w ciemnościach.

Wren i jej towarzysze szli dalej, aż znaleźli się niecałe dwieście jardów od muru. Tam zatrzymały ich szeregi żołnierzy napływające falami.

Przerażona Wren chwyciła ramię Gartha. W miejscu, gdzie zrobiono wyłom w Keel, magia wydawała się zupełnie zniknąć, a kamień zamieniał się w gruz. Przez otwór skakały setki ciemnych ciał bez twarzy, próbując przedrzeć się przez powstrzymujące je elfy. Bitwa była chaotyczna, ciała wiły się i splatały w agonii, miażdżone przez nacierających z tyłu. Powietrze wypełniały krzyki i wrzaski i tej nocy nic nie tłumilo dźwięków pomiędzy elfami i demonami. Cięły miecze, darły pazury, a wokół otworu leżeli zabici i ranni. Przez chwilę demony zdawały się mieć przewagę. Było ich tak dużo, że te na przodzie były już praktycznie w środku miasta. Ale elfy zaciekle odpierały atak i odepchnęły je w tył. Bitwa przetaczała się przez wyłom i żadna ze stron nie była w stanie zdobyć przewagi.

Potem rozbrzmiał okrzyk: „Phaeton, Phaeton!” i na czele nowo

przybyłej kompanii elfów ukazała się jasna głowa dowódcy. Unosząc miecz, prowadził atak na mur. Odrzucono wyjące i wrzeszczące demony. Elfy uderzyły. Phaeton stał na czele ataku, jakimś cudem nietknięty, kiedy jego ludzie padali wokół niego. Elfy na wałach dołączyły do kontrataku, uderzając z góry i sypiąc deszczem włóczni i strzał. Blask Keel rozbłysł na nowo, zbierając się na chwilę przy wyłomie w zniszczonej ścianie.

Potem demony raz jeszcze przypuściły atak. Gramoliły się z każdej strony ogromną masą. Elfy utrzymały się przez chwilę, po czym znowu zaczęły upadać. Phaeton upadł również z uniesionym mieczem. Bitwa utknęła w punkcie, gdzie każda ze stron usiłowała zdobyć przewagę. Wren patrzyła w przerażeniu na rosnącą rzeź. Zabici, umierający i ranni leżeli wszędzie. Bitwa była tak zażarta, że nikt nie mógł do nich podejść. Tłumy elfów kłębiły się wokół Wren i jej towarzyszy, starcy, kobiety i dzieci, wszyscy, którzy nie służyli w armii elfów. Nad patrzącymi wisiała dziwna cisza, jakby to widok bitwy odebrał im głos.

A jeśli demony się przedrą? – pomyślała nagle Wren. Nikt nie będzie miał szansy. Nie ma dokąd uciekać. Wszyscy zostaną zabici. Gorączkowo rozejrzała się dokoła. Gdzie jest królowa?

I nagle ją ujrzała, otoczoną przez tuzin Strażników Domu, a tłum ustępował przed nią. Wren zobaczyła Trissa prowadzącego myśliwych elfów, z grymasem na surowej twarzy. Królowa szła wyprostowana i wysoka pomiędzy nimi, wydając się nie zważać na szalejącą wokół niej wrzawę. Gładka twarz była spokojna, a oczy patrzyły przed siebie. Przeszła przez tłum w stronę najbliższego mostu przekraczającego fosę. W jednej dłoni trzymała różdżkę Ruhk, na której szczycie lśnił biało Loden.

Co chce zrobić? – zastanawiała się Wren i nagle poczuła strach o Ellenroh.

Królowa weszła na środek mostu, gdzie wyginał się w łuk ponad wodami fosy, i stanęła w miejscu, gdzie wszyscy mogli ją widzieć. Uniosły się krzyki, a żołnierze na murach zaczęli wykrzykiwać jej imię, nabierając otuchy. Elfy walczące przy wyłomie wraz z Phaetonem ponowiły wysiłki. Obrona zebrała siły i ruszyła naprzód. Demony ponownie zostały odepchnięte. Szczęk i zgrzyt żelaza mieszał się z krzykami umierających.

I nagle Phaeton upadł. Nie można było zobaczyć, co się stało – w jednej chwili był tam, prowadząc do boju, a w następnej zniknął. Elfy wydały okrzyk i rzuciły się, aby go osłonić. Demony ustąpiły niechętnie, odrzucone pędem atakujących. Bitwa raz jeszcze przedarła się przez wyłom i tym razem demony zepchnięto na drugą stronę przez światło. Magia chroniąca Keel ponownie zaczęła się zbierać, magiczne nici splotły się raz jeszcze. I znowu demony natarły, a wyczerpane elfy cofnęły się chwiejnie.

Ellenroh Elesedil uniosła różdżkę Ruhk i wskazała. Loden błysnął nagle. Rozległy się ostrzegawcze okrzyki i fala elfów wlała się z powrotem przez wyłom w murze. Z Lodena trysnęło światło, mknąc w stronę Keel, kiedy magia Kamienia zebrała siły. Dotarła do muru, kiedy ostatni żołnierz elfów przeskoczył bezpiecznie wyłom. Okruchy kamienia uniosły się jeden po drugim, chrzęszcząc i zgrzytając, i mur zaczął się odbudowywać. Wir ognia porwał i spalił demony. Kamienie ułożyły się jeden na drugim, a szczeliny wypełniła zaprawa. Wszystkim kierowała magia Lodena. Wren wstrzymała oddech z niedowierzaniem. Ściana rosła, zamykając czarną dziurę, aż znowu stała się całością.

W chwilę później magia dokończyła dzieła i demony raz jeszcze znalazły się na zewnątrz. Królowa stała bez ruchu na

środku mostu, podczas gdy nowa grupa elfów przebiegła obok niej w stronę obwałowań. Czekala, aż posłaniec wróci z rzezi. Przyklęknął i wstał, aby mówić. Wren patrzyła, jak królowa skinęła głową, odwróciła się i przeszła przez most. Strażnik Domu znowu torował jej drogę, ale tym razem podeszła prosto do Wren, odnajdując ją nawet w rosnącym tłumie. Nomadkę przeraziło to, co ujrzała na twarzy królowej.

Ellenroh Elesedil podeszła do niej, a szaty falowały za nią na wietrze niczym sztandary. Przyciskała mocno do siebie różdżkę Ruhk, a Loden wciąż lśnił jaskrawym, białym światłem.

— Aurinie Striate! – zawołała królowa, kiedy do nich podeszła i na chwilę utkwiała spojrzenie w Sowie. – Idź przed nami, jeśli możesz. Wezwij Bara i Etona z ich komnat, jeśli nadal tam są. Powiedz im... – Oddech uwiązł jej w gardle i zacisnęła dłoń na różdżce Ruhk. – Powiedz im, że Phaeton zginął podczas ataku, zabity strzałą własnego łucznika. To był wypadek. Powiedz im, że chcę natychmiast spotkać się z nimi w komnatach Wysokiej Rady. Idź szybko.

Sowa wtopił się w tłum i zniknął. Królowa odwróciła się do Wren, jednym ramieniem otaczając szczupłe ramiona dziewczyny, a drugim wskazując różdżką Ruhk w stronę miasta. Ruszyły otoczone Strażnikami Domu. O krok za nimi szedł Garth.

— Wren – wyszeptala królowa elfów, pochylając się bliżej. – To dla nas początek końca. Idziemy teraz rozstrzygnąć, czy nadal możemy być bezpieczni. Bądź blisko mnie, dobrze? Bądź moimi oczami, uszami i prawym ramieniem. To dlatego do mnie przybyłaś.

Przytuliła Wren do siebie, nie mówiąc już nic więcej, i pospieszyła w noc...

Rozdział XII

Komnaty Wysokiej Rady elfów mieściły się niedaleko pałacu, w starej alei białych dębów. Budynek stał na fundamencie z ogromnych sosen, ściany miał kamienne, a sam pokój rady, stanowiący główną część budowli, był przepastną komnatą zbudowaną na planie sześciokąta. Sklepienie zdobiły promienie biegnące ze ścian do środka, przypominając ramiona gwiazdy. Na jednej ze ścian otwierały się ciężkie drewniane wrota wychodzące na trzystopniowe podium, na którym spoczywał tron króla i królowej elfów. U jego boku stały sztandary, z których zwisały proporce z insygniami rządzących rodów. Przy pozostałych ścianach stały rzędy ław, tworząc galerię dla publiczności i uczestników publicznych spotkań. Na środku komnaty stał okrągły stół i dwadzieścia jeden krzesel. Siadała tu do obrad Wysoka Rada, a wraz z nią król i królowa.

Ellenroh Elesedil wkroczyła z rozmachem do komnaty, niosąc przed sobą różdżkę Ruhk i zamiatając fałdami szat. Za nią szli Wren, Garth, Triss i garstka Strażników Domu. Gavilan Elesedil już siedział przy stole obrad i na widok królowej wstał pośpiesznie. Miał na sobie kolczugę, a na oparciu krzesła wisiał szeroki miecz. Królowa podeszła do niego, objęła serdecznie i ruszyła do szczytu stołu.

— Wren – powiedziała, odwracając się – siądź przy mnie.

Wren podążyła za nią. Garth przesunął się na bok i usadowił na galerii. Drzwi komnaty znowu się zamknęły i dwóch Strażników Domu zajęło miejsca po obu stronach wejścia. Triss podszedł i usiadł przy Gavilanie; jego szczupła, surowa twarz miała nieobecny wyraz. Gavilan wyprostował się na krześle,

uśmiechnął niespokojnie do Wren, nerwowo wygładził rękawy tuniki i odwrócił wzrok. Ellenroh splotła przed sobą dłonie i nie odzywała się, najwyraźniej czekając na kogoś jeszcze. W mroku za Garthem błado lśniło wypolerowane drewno, a obrazy rzucane przez płomienie lamp tańczyły na krawędzi światła. Za jej plecami wisiały nieruchomo proporce, przysyłając insygnia ciężkimi fałdami. W komnacie panowała cisza, którą zakłócało jedynie skrzypienie butów i szelest ubrań. Potem ujrzała Eowen siedzącą naprzeciw Gartha daleko na tyłach galerii, niemal niewidzialną w mroku.

Wren natychmiast przeniosła wzrok na królową, ale Ellenroh nie dała znaku, że dostrzegła obecność widzącej. Utkwiła spojrzenie w drzwiach komnaty obrad. Wren przez chwilę patrzyła na Eowen, a potem spojrzała w mrok. W powietrzu czuła napięcie. Wszyscy siedzący w pokoju wiedzieli, że coś ma się wydarzyć, ale tylko królowa wiedziała co. Wren odetchnęła głęboko. To właśnie dla tej chwili, jak powiedziała jej królowa, przybyła do Arborlonu.

Bądź moimi oczami, uszami i prawą ręką.

Dlaczego?

Drzwi komnaty obrad otworzyły się i wszedł Aurin Striate z dwoma innymi mężczyznami. Pierwszy był stary i ociężały. Miał siwe włosy, brodę i powolne, rozważne ruchy, które sugerowały, że nie pozwala stawać sobie na drodze. Drugi był średniego wzrostu, gładko ogolony, o lekkich, spokojnych ruchach. Oczy miał przysłonięte powiekami, ale czujne. Uśmiechnął się, wchodząc, a pierwszy spojrzał spode łba.

— Barsimmon Oridio – powitała królowa pierwszego. – Eton Shart. Dziękuję, że przyszliście. Aurinie Striate, zostań, proszę.

Trzech mężczyzn usiadło, wpatrując się w królową. Patrzyli i

czekali.

— Cort, Dal – przemówiła do strażników przy drzwiach. – Poczekajcie, proszę, na zewnątrz.

Myśliwi elfów wysunęli się za drzwi i zniknęli. Drzwi zamknęły się cicho.

— Przyjaciele. – Ellenroh Elesedil wyprostowała się na krześle. Jej głos niósł się spokojnie wśród ciszy. – Nie możemy już dłużej udawać. Nie możemy milczeć. Nie możemy kłamać. Pokonało nas to, z czym walczyliśmy od ponad dziesięciu lat.

— Pani – zaczął Barsimmon Oridio, ale uciszyła go spojrzeniem.

— Dziś w nocy demony przedarły się przez Keel. Magia gaśnie od miesięcy, może od lat, a te stwory wykradają jej siłę. Dziś w nocy równowaga zachwiała się na tyle, że zdołały zrobić wyłom. Nasi myśliwi walczyli mężnie, aby temu zapobiec. Zrobili wszystko, aby odeprzeć atak. Ale przegrali. Phaeton został zabity. W końcu byłam zmuszona użyć różdżki Ruhk. Gdybym tego nie uczyniła, miasto by upadło.

— To nie tak, Pani! – Barsimmon Oridio nie mógł dłużej milczeć. – Armia zbierze siły. Zwycięży. Phaeton żyłby nadal, gdyby tyle nie ryzykował!

— Zaryzykował, aby nas ocalić! – Twarz Ellenroh była jak wykuta z kamienia. – Nie mów o nim źle. Zabraniam. – Zmarszczka na czole olbrzyma pogłębiła się. – Bar – przemówiła królowa łagodnie, a z jej głosu przebijało ciepło. – Byłam tam. Widziałam, co się stało.

Poczekala, aż spuścił groźny wzrok, po czym ponownie objęła spojrzeniem zgromadzonych przy stole.

— Keel nie ochroni nas dłużej. Użyłam różdżki Ruhk, aby go wzmocnić, ale nie mogę zrobić tego znowu, bo stracimy całą moc.

A na to, przyjaciele, nie mogę pozwolić. Wezwałam was wszystkich, aby powiedzieć, że postanowiłam przyjąć inne rozwiązanie. – Odwróciła się do Wren. – Oto moja wnuczka, Wren, dziecię Alleyne, przysłana do nas ze starego świata, jak przepowiedziała Eowen. Pojawiła się, przepowiedziana obietnica, aby elfy zostały ocalone. Czekałam na jej przybycie wiele lat, nie wierząc, że naprawdę przybędzie, a jeśli nawet się pojawi, to nie będzie mogła nic dla nas zrobić. Prawdę mówiąc, nie chciałam, aby przyszła, bo bałam się, że utracę ją, tak jak Alleyne.

Nadal się boję. – Wyciągnęła dłoń i palcami delikatnie dotknęła policzka Wren. – Ale Wren jest tutaj, pomimo moich obaw. Przemierzyła ogromną przestrzeń Błękitnej Granicy i stawiała czoło demonom, aby siedzieć tu teraz z nami. Nie mogę dłużej wątpić, że to właśnie ona ma nas ocalić, jak przepowiedziała Eowen. – Przerwała. – Wren jeszcze w to nie wierzy, ani do końca pojmuje. – W jej oczach był ciepło, kiedy odnalazła wzrok wnuczki. – Przybyła do Arborlonu z własnych powodów. Wezwał ją cień Allanona i rozkazał nas odnaleźć. Wygląda na to, że cztery krainy są dręczone przez demony, stworzenia zwane cieniowcami. Cień druida nalegał, że jesteśmy im potrzebni, jeśli cztery krainy mają przetrwać.

— To, co dzieje się w czterech krainach, nie jest naszym zmartwieniem, Pani – stwierdził spokojnie Eton Shart.

Odwróciła się do niego.

— Tak, Pierwszy Ministrze, to właśnie mówiliśmy przez ponad sto lat, prawda? A jeśli nie mamy racji? Jeśli to także nasze zmartwienie? A jeśli, wbrew naszym sądom, nasze losy są powiązane, a przetrwanie zależy od wykucia wspólnych więzów? Wren, powiedz zebranym tu, jak mnie odnalazłaś.

Powiedz im wszystko, co mówił ci cień druida i starzec. Powiedz im także o Kamieniach Elfów. Tak będzie dobrze. Czas, aby się dowiedzieli.

Tak więc Wren raz jeszcze opowiedziała, jak ona i Garth przybyli do Arborlonu, zaczynając od snów i kończąc na odkryciu, kim jest. Wahając się, powiedziała o Kamieniach Elfów, ciągle niepewna, czy powinna wyjawic ich obecność. Ale kiedy zaczęła, królowa zachęcająco skinęła głową, nie ukrywała więc niczego. Kiedy skończyła, zapadła cisza. Siedzący przy stole wymieniali zdziwione spojrzenia, Gavilan patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

— Teraz rozumiecie, dlaczego niemożliwe jest dalsze ignorowanie tego, co dzieje się poza Morrowindl? – zapytała cicho królowa.

— Sądzę, że rozumiemy, Pani – odezwał się Sowa. – Ale musimy teraz usłyszeć, co proponujesz.

Ellenroh skinęła głową.

— Tak, Aurinie Striate, musicie. – W komnacie znowu zapadła cisza. – Na Morrowindl nic nam nie pozostało – odezwała się w końcu. – Dlatego czas, abyśmy odeszli, powrócili do starego świata i znowu stali się jego częścią. Dni naszego odosobnienia się skończyły. Czas użyć Loden.

Gavilan zerwał się na równe nogi.

— Nie, ciociu Eli! Nie możemy się poddać! Skąd wiadomo, że Loden w ogóle działa po tak długim czasie? To tylko baśń! A co z magią Keel? Jeśli odejdziemy, przepadnie! Nie możemy tego zrobić!

Wren usłyszała, jak Barsimmon Oridio pomrukuje na znak zgody.

— Gavilanie! – Ellenroh była wściekła. – Jesteśmy na radzie,

Zwracaj się do mnie stosownie!

Gavilan zarumienił się.

— Proszę o wybaczenie, Pani.

— A teraz usiądź! – warknęła królowa. Gavilan usiadł. – Wydaje mi się, że powinniśmy rozważyć nasze obecne położenie. Zbyt długo nie podejmowaliśmy działań. Pozwalaliśmy losowi wybierać za nas. Walczyliśmy magią, nawet kiedy stało się oczywiste, że nie możemy już na niej polegać.

— Pani! – ostrzegł poblady Eton Shart pospiesznie.

— Tak, wiem – odpowiedziała Ellenroh. Nie patrzyła wprost na Wren, ale błysk w jej oczach powiedział dziewczynie, że to ona była powodem ostrzeżenia.

— Pani, prosisz, abyśmy całkiem porzucili magię?

Królowa stanowczo skinęła głową.

— Nie ma sensu jej zatrzymywać, prawda, Pierwszy Ministrze?

— Ale jak mówi młody Gavilan, nie mamy sposobu dowiedzieć się, czy Loden robi to, czego oczekujemy.

— Jeśli zawiedzie, niczego nie tracimy. Z wyjątkiem może szansy ucieczki.

— Ale ucieczka, Pani, nie jest konieczną odpowiedzią, której szukamy. Może pomoc z innego źródła...

— Etonie – przerwała królowa. – Zastanów się, co proponujesz. Jakie są inne źródła? Czy chcesz, abyśmy przywołali jeszcze więcej magii? Może wykorzystując to, co mamy, przemienimy wszystko w jeszcze większy koszmar? A może mamy szukać pomocy u ludzi, których wiele lat temu zostawiliśmy na pastwę federacji?

— Mamy armię, Pani – oświadczył Barsimmon Oridio, spoglądając groźnie.

— Tak, Bar, mamy. W tej chwili. Ale nie przywrócimy życia

tym, których utraciliśmy. Takiej magii nie mamy. Każdy kolejny atak zabiera nam więcej myśliwych. Demony zdają się materializować z powietrza. Jeśli zostaniemy, zabraknie nam armii. – Powoli pokręciła głowę, uśmiechając się ironicznie. – Wiem, o co proszę. Jeśli Arborlon i elfy powrócą do świata ludzi, czterech krain i ich ras, magia przepadnie. Będziemy tacy, jak za dawnych czasów. Ale może to wystarczy. Może tak musi być.

Siedzący dokoła stołu patrzyli na nią w ciszy, a na ich twarzach malowała się mieszanina gniewu, wątpliwości i zdumienia.

— Nie rozumiem magii – odezwała się w końcu Wren: nie mogła siedzieć cicho, kiedy wzbierały w niej pytania. – Co masz na myśli, mówiąc, że magia przepadnie, jeśli opuścimy Morrowindl?

Ellenroh zwróciła ku niej twarz.

— Zapominam ciągle, Wren, że nie jesteś biegła w nauce elfów i niewiele jeszcze wiesz o pochodzeniu magii. Spróbuję wyjaśnić to prościej. Jeśli wezwę magię Loden, jak zamierzam, Arborlon i elfy zbiorą się we wnętrzu Kamienia Elfów, aby powędrować z powrotem do Westlandii. Kiedy tak się stanie, magia osłaniająca miasto opadnie. Pozostanie tylko magia, która pochodzi z Loden i chroni jego wnętrze. Widzisz, Loden można użyć tylko raz, a jego magia, raz użyta, zgaśnie.

Wren pokręciła głowę zmieszana.

— Ale dlaczego wzmocniła Keel, kiedy demony zrobiły w nim wyłom? Dlaczego?

— Istotnie. Przeznaczyłam część tej samej magii, której wymaga Loden, aby przenieść miasto i ludzi. Krótko mówiąc, wykradłam trochę jego mocy. Ale wykorzystanie mocy dla podparcia Keel wyczerpało siłę konieczną dla właściwego użycia

Kamienia Elfów. – Ellenroh przerwała. – Wren, wiesz już, że elfy odzyskały część magii, którą władały niegdyś w czarodziejskich czasach. Stało się tak, kiedy odkryły, że magia ma swoje źródło w ziemi i jej pierwiastkach. Jeszcze zanim przybyliśmy na Morrowindl, wiele lat temu, na długo przede mną, podjęto decyzję, że spróbują ją odzyskać. – Przerwała. – Próby niezupełnie się powiodły i w końcu poniechano ich całkowicie. Reszta magii została wykorzystana do stworzenia Keel. Ale magia istnieje dopóty, dopóki jest potrzebna. Gdy zniknie miasto, zniknie potrzeba. Kiedy tak się stanie, magia odejdzie.

— I nie można jej przywrócić, kiedy powrócicie do Westlandii?

Twarz Ellenroh przybrała kamienny wyraz.

— Nie, Wren. Już nigdy.

— Sądysz... – zaczął Gavilan.

— Nigdy! – prychnęła Ellenroh i Gavilan zamilkł.

— Pani – odezwał się łagodnie Eton Shart. – Nawet jeśli uczynimy, jak proponujesz, i przywołamy moc Loden, jaką mamy szansę na powrót do Westlandii? Otaczają nas demony. Jak powiedziałaś, ledwo zdołaliśmy utrzymać się w murach miasta. Co się stanie, jeśli mury znikną? Czy nasza armia wystarczy, aby doprowadzić nas do plaż? A co stanie się z nami później, bez łodzi przewodników?

— Armia nie utrzyma długo plaż, Pani – zgodził się z nim Barsimmon Oridio.

— Nie, Bar – powiedziała królowa. – Ale nie proponuję wykorzystania armii. Myślę, że najlepiej byłoby opuścić Morrowindl tak, jak na nią przybyliśmy – garstka, która niosła Loden, a reszta spoczywała bezpiecznie uwięziona w jego wnętrzu.

Zapadła pełna osłupienia cisza.

— Garstka, Pani? – Barsimmon Oridio był przerażony. – To nie ma szans!

— No cóż, niekoniecznie – zadumał się cicho Aurin Striate.

Królowa uśmiechnęła się.

— Tak, Aurinie, niekoniecznie. W końcu moja wnuczka jest tego dowodem. Przeszła między demonami, mając do pomocy tylko swego przyjaciela Gartha. Prawdą jest, że mała grupa ma większą szansę na przedarcie się niż cała armia. Może podróżować szybciej i niezauważona. Będzie to ryzykowna podróż, ale możliwa. A kiedy już dotrą do plaż, Wren poczyniła już ustalenia. Będzie tam Skrzydlaty Jeździec, Tygrys Ty, ze swym rokiem, aby zanieść przynajmniej jedno z nas i Loden w bezpieczne miejsce. Inni Jeźdźcy przybędą po pozostałych. Przemyślałam to starannie i sądzę, że to odpowiedź na nasze problemy. Myślę, przyjaciele, że jedyna.

Gavilan pokręcił głową. Opanował się już, a na jego przystojnej twarzy malował się spokój.

— Pani. Wiem, jak rozpaczliwa stała się nasza sytuacja. Ale jeśli sprawa się nie powiedzie, zginie cały naród elfów. Na zawsze. Jeśli grupa niosąca Loden zginie, nie będzie można przywołać mocy Kamienia Elfów i miasto oraz ludzie pozostaną uwięzieni wewnątrz. Nie sądzę, aby warto było podejmować takie ryzyko.

— Nie, Gavilanie? – zapytała cicho królowa.

— Lepiej byłoby zaryzykować wezwanie więcej magii z wnętrza ziemi – odpowiedział. Uniósł dłonie, aby odeprzeć jej sprzeciw. – Znam niebezpieczeństwo. Ale może tym razem się nam powiedzie. Tym razem magia będzie może na tyle silna, aby zapewnić nam bezpieczeństwo wewnątrz Keel i powstrzymać ciemne moce na zewnątrz.

— Na jak długo, Gavilanie? Kolejny rok? Dwa? A nasi ludzie nadal będą uwięzieni wewnątrz miasta?

— To lepsze niż zagłada. Rok może pozwoli nam znaleźć sposób na kontrolowanie magii ziemi. Musi być jakiś sposób, Pani. Patrz, co uczyniliśmy sami sobie. Czy nie nauczyliśmy się niczego?

Wren nie do końca pojmowała, o czym mowa, ale rozumiała dość, aby zdać sobie sprawę, że gdzieś po drodze elfy natknęły się na kłopoty z wezwaną przez siebie magią. Ellenroh twierdziła, że powinni tego zaniechać. Gavilan, że muszą próbować zapanować nad nią. Bez zbędnych wyjaśnień, Wren miała pewność, że w centrum dyskusji są demony.

— Sowa – królowa zwróciła się nagle do Aurina Striate. – Co myślisz o moim planie?

Sowa wzruszył ramionami.

— Sądzę, że może się powieść, Pani. Lata spędziłem za murami miasta. Wiem, że jeden człowiek może przejść koło demonów niezauważony i podróżować pomiędzy nimi. Myślę, że kilku ludzi również. Jak powiedziałaś, Wren i Garth przybyli tu z plaż. Myślę, że mogą również wrócić tą samą drogą.

— Twierdzisz, że dałbyś Loden tej dziewczynie i jej przyjacielowi? – wykrzyknął z niedowierzaniem Barsimmon Oridio.

— Dobry wybór, nie sądzisz? – odpowiedziała łagodnie Ellenroh. Spojrzała na Wren, która myślała, że jest ostatnią osobą, którą królowa powinna brać pod uwagę. – Ale oczywiście musimy ich najpierw zapytać – ciągnęła Ellenroh, jakby czytając w jej myślach. – Tak czy inaczej, myślę, że potrzeba kogoś jeszcze.

— A zatem ilu? – zapytał dowódca elfów.

— Tak, ilu? – powtórzył Eton Shart.

Królowa się uśmiechnęła i Wren wiedziała, o czym myśli. Rozważali teraz jej propozycję, zamiast się z nią sprzeczać. Nie zgodzili się na nic, ale przynajmniej rozważali za i przeciw.

— Dziewięcioro – powiedziała królowa. – To szczęśliwa liczba elfów. W sam raz, aby się upewnić, że wszystko pójdzie dobrze.

— Kto pójdzie? – zapytał cicho Barsimmon Oridio.

— Nie ty, Bar – odrzekła królowa. – Ani ty, Etonie. To podróż dla młodych. Chcę, abyście zostali z miastem i naszymi ludźmi. To wszystko będzie dla nich nowe. Loden jest w końcu tylko baśnią. Ktoś musi dbać o porządek podczas mojej nieobecności, a wy zrobicie to najlepiej.

— A więc zamierzasz być jedną z tych, którzy podejmą podróż? – powiedział Eton Shart. – Podróż dla młodych?

— Nie patrz na mnie z taką przyganą, Pierwszy Ministrze – łąjała łagodnie Ellenroh. – Oczywiście, że muszę iść. Różdźka Ruhk jest pod moją pieczęcią i tylko ja mogę przywołać moc Loden. Co więcej, jestem królową. Moim obowiązkiem jest zapewnić mojemu ludowi i miastu bezpieczny powrót do Westlandii. Poza tym to mój plan. Nie mogę przemawiać za nim, a potem zostawić jego przeprowadzenie komuś innemu.

— Pani, nie sądzę... – zaczął z powątpiewaniem Aurin Striate.

— Proszę, Sowo, nie mów tego – grymas Ellenroh uciszył go. – Jestem pewna, że słowo po słowie mogę powtórzyć każdy twój sprzeciw, więc oszczędź sobie kłopotu. Jeśli czujesz, że to konieczne, możesz przedstawić mi je po drodze, ponieważ oczekuję, że ty również wyruszysz w tę podróż.

— Nie mogłoby być inaczej. – Twarz Sowy okryła chmura wątpliwości.

— Nikt nie jest w stanie lepiej poradzić sobie poza murami miasta niż ty, Aurinie Striate. Będziesz naszymi oczami i uszami,

przyjacielu.

Sowa skinął głową bez słowa.

Ellenroh rozejrzała się dokoła.

— Triss, będę potrzebowała ciebie, Corta i Dalla do pilnowania Loden i reszty z nas. To już pięcioro. Eowen też pójdzie. Możemy potrzebować jej wizji, jeśli mamy przeżyć. Gavilanie – spojrzała z nadzieją na siostrzeńca. – Chciałabym, abys również poszedł.

Gavilan Elesedil zaskoczył wszystkich olśniewającym uśmiechem.

— Ja też tego pragnę, Pani.

Ellenroh rozpromieniła się.

— Możesz znowu nazywać mnie ciocią Eli, Gavilanie. – W końcu zwróciła się do Wren. – A ty, dziecko. Pójdiesz z nami? Ty i twój przyjaciel Garth? Potrzebujemy waszej pomocy. Odbyłaś już podróż od plaż i przeżyłaś. Wiesz, co nas tam czeka, a ta wiedza jest bezcenna. I tobie właśnie Skrzydlaty Jeździec obiecał, że powróci. Czy proszę o zbyt wiele?

Wren milczała przez chwilę. Nie zadała sobie trudu, aby spojrzeć na Gartha. Wiedziała, że pójdzie za nią, cokolwiek postanowi. Wiedziała również, że nie po to przebyła całą drogę do Arborlonu, aby w nim zostać, i że Allanon nie wysłał jej tu, aby się ukryła, i nie po to weszła w posiadanie Kamieni Elfów, aby nie zrobić z nich żadnego użytku. Rzeczywistość była surowa i wymagająca. Była kimś więcej niż posłańcem i miała zrobić więcej, niż tylko dowiedzieć się, kim jest i skąd pochodzi. Była częścią tej sprawy – czy jej się to podobało, czy nie – od samego początku.

— Garth i ja pójdziemy – odpowiedziała.

Sądziła, że babka zechce ją uściskać, ale królowa siedziała wciąż nieruchomo i uśmiechała się tylko. Lecz w jej oczach Wren

ujrzała coś więcej niż uścisk.

— A zatem naprawdę się na to zgadzamy? – zapytał nagle Eton Shart z drugiego końca stołu.

Ellenroh uniosła się i zapadła cisza. Stała przed nimi, a w jej doskonale wyrzeźbionych rysach odbijała się duma i pewność. W całej jej postawie i oczach. Wren pomyślała, że jej babka jest piękna. Kędziory miękkich włosów opadały jej na ramiona, szata sięgała stóp, a zarysy twarzy i ciała były łagodne i miękkie w mieszaninie cienia i światła.

— Tak, Etonie – odpowiedziała cicho. – Prosiłam was o spotkanie, aby usłyszeć, co postanowiliście. Powiedziałam sobie, że jeśli nie zdołam was przekonać, nie będę naciskać. Sądzę jednak, że tak czy inaczej wyruszyłabym – nie z powodu pychy ani poczucia pewności swojej wizji, ale z miłości do mojego ludu i obawy, że jeśli zginą, to z mojej winy. Mamy szansę ocalić samych siebie. Eowen przepowiedziała w swojej wizji, że tak będzie. A Wren, przybywając tu, mówi nam, że już czas. Cokolwiek wybierzemy, ryzykujemy wszystko, czym jesteśmy i moglibyśmy być, ale wolę podjąć ryzyko, robiąc coś, niż nie podejmować żadnych działań. Elfy przetrwają, przyjaciele. Jestem tego pewna. Zawsze tak było.

Patrzyła po kolei na ich twarze, uśmiechając się promiennie.

— Czy wytrwacie przy mnie?

Wstawali jedno po drugim. Aurin Striate pierwszy, Triss, Gavilan, Eton Shart i Barsimmon Oridio po krótkiej chwili wahania i z wyraźną obawą. Wren podniosła się ostatnia, tak pochłonięta tym, co widzi, że na chwilę zapomniała, że stanowi tego część.

Królowa skinęła głową.

— Nie mogłabym prosić o lepszych przyjaciół. Kocham was

wszystkich. – Ścisnęła przed sobą różdżkę Ruhk. – Nie zwlekajmy. Jeden dzień na przygotowanie naszych ludzi i przygotowanie się do czekającej nas drogi. Teraz idźcie spać. Jutro już tu jest.

Potem odwróciła się od nich i wyszła z komnaty. Patrzyli za nią w ciszy.

Wren stała tuż za drzwiami Wysokiej Rady, patrząc w roztargnieniu na plamy jasności, rozgwieżdżone niebo i myśląc, że ledwie pamięta swoje życie przed rozpoczęciem poszukiwań elfów, kiedy podszedł do niej Gavilan. Pozostali odeszli już, wszyscy z wyjątkiem Gartha, który oparł się o drzewo i patrzył na miasto. Wren szukała Eowen, mając nadzieję na rozmowę z nią, ale widząca zniknęła. Odwróciła się, kiedy nadszedł Gavilan, myśląc, że wobec tego porozmawia z nim i zada pytania, na które ciągle bała się otrzymać odpowiedź.

Na jego twarzy natychmiast pojawił się uśmiech.

— Mała Wren – powitał ją, ironiczny, odrobinę zadumany. – Czy widzisz naszą przyszłość tak jak Eowen Cerise?

Pokręciła głową.

— Nie jestem pewna, czy właśnie teraz chcę ją widzieć.

— Hmm, tak. Być może masz rację. Nie obiecuje ona, że będzie tak ciepła i delikatna jak ta noc, prawda? – Splótł ramiona i spojrzał jej w oczy. – Powiesz mi, co zobaczymy za murami miasta? Wiesz, że nigdy tam nie byłem.

Wren zacisnęła usta.

— Demony. Mgła, ogień, popiół i skamieniała lawa ciągnąca się aż do klifów. Potem bagna i dżungla, i znowu mgła. Nie powinieneś się zgadzać na tę podróż, Gavilanie.

Roześmiał się.

— A ty powinnaś? Nie, Wren. Chcę zginąć jak mężczyzna, wiedząc, co się dzieje, a nie domyślając się zza tarczy magii

Loden. Jeśli w ogóle działa. Ciekaw jestem. Nikt tego naprawdę nie wie, nawet królowa. Może wezwie ją i nic się nie stanie.

— Aczkolwiek nie wierzysz w to, prawda?

— Nie. Magia zawsze działała dla Ellenroh. Przynajmniej prawie zawsze. – Opuścił ramiona znużony.

— Opowiedz mi o magii, Gavilanie – poprosiła nagle Wren. – Co z tą magią, która nie działa? Dlaczego nikt nie chce o tym mówić?

Gavilan wsunął ręce do kieszeni płaszcza. Zdawał się kulić w sobie.

— Czy wiesz, Wren, co się stanie z elfami, jeśli ciocia Eli przywoła magię Loden? Nikogo z nich nie było jeszcze na świecie, kiedy wyprowadzono Arborlon z Westlandii. Nikt z nich nie widział nigdy czterech krain. Tylko kilku pamięta czasy, kiedy Morrowindl była czysta i wolna od demonów. Miasto jest wszystkim, co znają. Wyobraź sobie, czym będzie dla nich zabranie z wyspy i powrót do Westlandii. Wyobraź sobie, co będą czuli. To ich przeraża.

— Może nie – ośmieliła się zauważyć.

Wydawało się, że jej nie słyszy.

— Utracimy wszystko, co znamy, kiedy to się stanie. Przez całe życie podtrzymywała nas magia. Robiła dla nas wszystko. Oczyszczała powietrze, osłaniała przed niepogodą, użyźniała nasze pola, karmiła rośliny i zwierzęta lasów i zaopatrywała nas w wodę. We wszystko. A jeśli to utracimy?

I wtedy zrozumiała prawdę. Był przerażony. Nie miał pojęcia, co leży poza Keel. Nie znał świata bez demonów, w którym magia dostarczała wszystkiego, na czym polegały elfy.

— Wszystko będzie dobrze, Gavilanie – powiedziała cicho. – Będzie tam wszystko, czym teraz się radujecie. Magia dostarcza

wam tylko tego, co będzie, jeśli przywrócona zostanie równowaga przyrody. Ellenroh ma rację. Elfy nie przetrwają, jeśli pozostaną na Morrowindl. Prędzej czy później Keel upadnie. Może być i tak, że cztery krainy nie przetrwają bez elfów. Może los ras łączy się w jakiś sposób, jak sądzi Ellenroh. Może Allanon widział to, kiedy wysłał mnie, abym was odnalazła.

Utkwił w niej spojrzenie. Zniknął strach, ale w oczach miał napięcie i zmartwienie.

— Rozumiem magię, Wren. Ciocia Eli myśli, że jest zbyt niebezpieczna, zbyt nieprzewidywalna. Ale ja ją rozumiem i myślę, że mógłbym znaleźć sposób, aby nią władać.

— Powiedz mi, dlaczego się boi – naciskała Wren. – Dlaczego uważa, że magia jest zbyt niebezpieczna?

Gavilan zawahał się i przez chwilę wydawało się, że już ma odpowiedzieć. Potem potrząsnął głową.

— Nie, Wren. Nie mogę ci powiedzieć. Przysiągłem, że nie powiem. Jesteś elfem, ale... Lepiej, abyś nigdy się nie dowiedziała, wierz mi. Magia nie jest tym, czym się wydaje. Jest zbyt... – Machnął dłonią, niespokojny i zniecierpliwiony. Potem jego nastrój zmienił się gwałtownie, jakby nagle się wypogodził. – Zapytaj o coś innego, a odpowiem. O cokolwiek.

Wren gniewnie splotła ramiona przed sobą.

— Nie chcę pytać o nic innego. Chcę wiedzieć właśnie to.

Ciemne oczy rozbłysły. Dobrze się bawił. Podszedł tak blisko, że niemal jej dotykał.

— Jesteś córką Alleyne, Wren. Zdecydowana do końca.

— Więc powiedz mi.

— Nie poddasz się, prawda?

— Gavilanie.

— Tak pragniesz odpowiedzi, że nie widzisz tego, co masz

przed sobą.

Zawahała się, zmieszana.

— Spójrz na mnie – powiedział.

Patrzyli na siebie w milczeniu, mierząc się spojrzeniem, które starczyło za słowa. Wren czuła ciepło jego oddechu i widziała, jak jego pierś unosi się i opada.

— Powiedz mi – powtórzyła uparcie.

Poczuła jego dłonie na swych ramionach. Ich dotyk był lekki, ale stanowczy. Potem pochylił ku niej twarz i pocałował ją.

— Nie – wyszeptał. Uśmiechnął się przelotnie, niepewnie, i zniknął w nocy.

Rozdział XIII

Do północy dnia następnego wszyscy w Arborlonie wiedzieli o decyzji Ellenroh Elesedil o przywołaniu mocy Loden i powrocie elfów oraz ich rodzinnego miasta do Westlandii. Królowa o pierwszym brzasku rozesłała wiadomość, wysyłając wybranych posłańców do każdego zakątka obleganego królestwa. Barsimmon Oridio poszedł do oficerów i żołnierzy armii, Triss do elfów myśliwych i Straży Domowej, Eton Shart do pozostałych z Wysokiej Rady, a stamtąd do urzędników, którzy służyli w administracji rządu, a Gavilan do dzielnicy handlowej, aby zebrać przywódców wspólnot rolników i kupców. Wren już się obudziła, ubrała, zjadła śniadanie i wyszła do miasta, gdzie o niczym innym się nie mówiło.

Reakcja elfów była niezwykła. Żadnej paniki, rozpaczki ani też gróźb czy oskarżeń pod adresem królowej za podjęcie takiej decyzji. Była oczywiście niepewność i pewna doza wątpliwości. Nie za ich życia przeniesiono Arborlon z Westlandii i choć wszyscy słyszeli opowieści o emigracji na Morrowindl, niewielu myślało o powrotnej podróży. Nawet jeśli miasto otoczone było przez demony, a ich życie uległo drastycznej odmianie od czasów ojca Ellenroh, troska o przyszłość nie brała pod uwagę możliwości wykorzystania magii Loden. W związku z tym ludzie rozmawiali o opuszczeniu miasta, jakby pomysł był czymś zupełnie nowym, świeżo przedstawionym projektem, i większość rozmów, które słyszała Wren, sugerowała, że skoro Ellenroh Elesedil uważa to rozwiązanie za najlepsze, to tak musi być. Był to wyraz wiary, jaką elfy pokładały w swojej królowej. Gotowi byli zaakceptować jej propozycję – nawet tak drastyczną jak tę.

— Byłoby miło znowu móc wyjść z miasta – mówił niejeden. – Nazbyt długo żyliśmy w murach.

— Podróżować drogami i zobaczyć świat – zgadzał się inny. – Kocham mój dom, ale tęsknię za tym, co leży dalej.

Często słyszało się wzmianki o życiu bez stałego zagrożenia demonów, o świecie, gdzie mroczne stwory były jedynie wspomnieniem, a młodzież dorastała bez przymusu akceptacji tego, że Kell jest wszystkim, co pozwala im przetrwać, i nigdy nie będą wiedli życia poza nim. Niektórzy wyrażali troskę o to, jak zadziała magia, jeśli w ogóle zadziała, ale większość zdawało się satysfakcjonować zapewnienie królowej, że życie w mieście podczas podróży będzie biegło jak zawsze, że magia ich ochroni i oddzieli od wydarzeń na zewnątrz i że wszystko będzie jak przedtem, tylko miejsce Keel zajmie ciemność, przez którą nic nie przejdzie, dopóki na nowo nie przywoła się magii Loden.

W centrum handlowym wpadła na Aurina Striate. Sowa był na nogach od świtu, zbierając zapasy, których cała dziewiątka będzie potrzebowała w drodze ze zboczy Killeshan na plażę. Jego zadanie utrudniała decyzja królowej, że mają wziąć ze sobą tylko to, co uniosą na własnych plecach, a w uniknięciu demonów najlepiej im się przysłużą szybkość i ukrywanie się.

— Z tego, co rozumiem, magia działa tak – wyjaśniał, kiedy wracali do pałacu. – Osłania i równocześnie oddziela, kiedy zostanie przywołana. Kiedy już jest, chroni przed intruzami z zewnątrz niczym muszla. A równocześnie przenosi nas w inne miejsce – miasto i ludzi – i trzyma tam, dopóki nie zostanie uwolnione zaklęcie. To rodzaj zawieszenia w czasie. W ten sposób nie czuje się nic, co dzieje się podczas podróży; nie ma odczucia ruchu.

— A więc wszystko dzieje się jak przedtem? – zapytała Wren,

usiłując to sobie wyobrazić.

— W zasadzie tak. Nie ma dnia ani nocy, tylko szarość, jakby niebiosa były zachmurzone. Tak powiedziała mi królowa. Jest powietrze, woda i wszystko, co potrzebne do życia. Wszystko otulone starannie w coś w rodzaju kokonu.

— A co się stanie, kiedy już dotrzemy do miejsca przeznaczenia?

— Królowa usunie zaklęcie Loden i pojawi się miasto.

Wren uniosła oczy, aby napotkać spojrzenie Sowy.

— Przyjmując rzecz jasna, że to, co Ellenroh powiedziała o magii, jest prawdą.

Sowa westchnął.

— Taka młoda, a taka sceptyczna. – Pokręcił głową. – Jeśli to nie jest prawda, Wren, nic nie ma znaczenia. Jesteśmy uwięzieni na Morrowind i nie ma dla nas nadziei, prawda? Paru być może uniknie śmierci, przemykając obok demonów, ale większość zginie. Musimy wierzyć w magię, która nas ocali, dziewczyno, ponieważ magia jest wszystkim, co mamy.

Zostawiła go, kiedy zbliżyli się do bram pałacu, i puściła go przodem. Miał zmęczony wzrok, przygarbione ramiona, a chudy, zmięty cień rzucany na ziemię był jak jego lustrzane odbicie. Lubiała Aurina Siriate. Był jak stare ubranie, wygodny i bliski. Ufała mu. Jeśli ktokolwiek miał odbyć czekającą ich podróż, był to Sowa.

Skręciła przy pałacu i powędrowała, nieobecna duchem, w stronę Ogrodów Życia. Kiedy wstała, nie szukała Gartha, ale wymknęła się z pokoju, aby poszukać królowej. Lecz nigdzie nie mogła znaleźć Ellenroh, postanowiła więc sama pójść do miasta. A teraz, pod koniec spaceru, odkryła, że nadal pragnie być sama. Pozwoliła błędzić myślom, kiedy weszła do opuszczonych

Ogrodów i poszła łagodnym skosem w stronę Ellcrys. Od chwili kiedy się przebudziła, jej myśli ciążyły uparcie w stronę Gavilana Elesedila. Na chwilę przystanęła i wyobraziła go sobie. Kiedy zamknęła oczy, poczuła, jak ją całuje. Odetchnęła głęboko i powoli odsunęła od siebie to uczucie. W całym życiu całowano ją tylko raz czy dwa. Zawsze zbyt zajęta treningiem, trzymająca się na uboczu i nieprzystępna, zbyt pochłonięta innymi sprawami, aby zajmować się chłopcami. Nie było czasu na związki. Nie interesowała się nimi. Dlaczego tak było? – pomyślała nagle. Wiedziała jednak, że równie dobrze można by pytać, dlaczego niebo jest niebieskie albo co się z nią stanie.

Otworzyła oczy i poszła dalej.

Kiedy dotarła do Ellcrys, przyglądała się jej przez chwilę, zanim usiadła w jej cieniu. Gavilan Elesedil. Lubiła go. Może nawet za bardzo. Wydawało się, że kierują nią instynkty, i nie dowierzała nieoczekiwanej sile tego uczucia. Ledwie go знаła, a już myślała o nim więcej, niż powinna. Pocałował ją i zgodziła się na to z ochotą. A mimo to złościło ją, że ukrywa swą wiedzę na temat magii i demonów, że nie chciał podzielić się z nią prawdą, tajemnicami, które chowały elfy – a wśród nich Ellenroh, Eowen i Sowa. Bardziej jednak martwiła ją powściągliwość Gavilana, ponieważ przyszedł do niej z deklaracją przyjaźni, obiecał odpowiedzieć na zadane pytanie, pocałował ją i pozwoliła na to, a potem mimo wszystko nie dotrzymał słowa.

Ale czy z Gayilanem nie jest tak samo jak z jego babką? – pomyślała nagle. Czyż nie myślała o nich podobnie?

Może jej uczucia do nich obojga nie różniły się tak bardzo. Ta myśl martwiła ją bardziej, niż chciałyby przyznać, i odsunęła ją pospiesznie. We wnętrzu Ogrodów było cicho i spokojnie. Siedziała samotna pomiędzy drzewami i grządkami kwiatów, a

pod jedwabistą osłoną Ellcrys było chłodno i czysto. Pozwoliła spojrzeń błądzić po tworzącym Ogrody pędzie barw, przyglądając się, jak malują ziemię, niczym pociągnięcia pędzla – niektóre krótkie i szerokie, niektóre cienkie i zakrzywione – granice jasności połyskujące w świetle. W górze świeciło słońce na bezchmurnym błękitnie nieba, powietrze było ciepłe i pełne słodkich woni. Wchłaniała je powoli, ostrożnie, smakując, świadoma, że jutro już wszystko zniknie i kiedy przywołana zostanie magia Loden, raz jeszcze przyjdzie jej wędrować przez mroczną dziczą Morrowind. Na chwilę zapomniała o koszmarze poza Keel, odsunęła od siebie wspomnienia odoru siarki, parujących szczelin w skorupie lawy, gorąca żaru Killeshan unoszącego się z ziemi, ciemności i mgły, skrobienia i powarkiwania polujących demonów. Zadrżała i otuliła się ramionami. Nie chciała tam wracać. Czuliła, jak dżungla czeka niczym żywe stworzenie, skulone cierpliwie, zdecydowane ją dopaść, pewne, że przyjdzie.

Znowu zamknęła oczy i czekała, aż złe przecucie odejdzie, umacniając się w swym postanowieniu, uspokajając się, przekonując, że nie będzie sama, że będą z nią inni, że nawzajem będą się osłaniać i podróż przez góry minie szybko, a potem już będą bezpieczni. Wspięła się do Arborlon bez przeszkód, czyż nie? I na pewno będzie mogła ponownie zejść.

Wątpliwości jednak pozostały, dokuczliwe szeptane ostrzeżenia, powtarzające słowa Addershag w Grimpen Ward. „Bądź ostrożna, dziewczę elfów. Widzę przed tobą niebezpieczeństwo, ciężkie czasy, zdradę i zło ponad wszelkie wyobrażenie. Nie ufaj nikomu”.

Ale jeśli zrobi, jak radziła Addershag, jeśli będzie polegała wyłącznie na własnym sędzie, nie zważając na nikogo, będzie jak

sparaliżowana. Będzie odcięta od wszystkich. Nie przeżyłaby tego.

Jak wiele z jej przyszłości widziała Addershag? – zastanawiała się ponuro. A ile nie chciała ujawnić?

Dźwignęła się na nogi, po raz ostatni spojrzała na Ellcrys i odwróciła się. Schodziła powoli Ogrodami Życia, pozostawiając za sobą blade wspomnienia ich piękna i pokrzepienia, jasności i ciepła. Schowała je starannie na ciężkie chwile, kiedy otoczy ją ciemność i zostanie sama. Chciałaby wierzyć, że tak się nie stanie. Miała nadzieję, że Addershag się myli.

Wiedziała jednak, że nie ma żadnej pewności.

Wkrótce potem dogonił ją Garth i spędziła z nim resztę dnia. Długo rozmawiali o czekającej ich podróży, wymieniając napotkane już wcześniej niebezpieczeństwa i dyskutując, czego będą potrzebowali w powrotnej drodze przez szaleństwo czekające na zewnątrz. Garth wydawał się odprężony i pewny siebie, ale przecież zawsze tak było. Zgodzili się, że cokolwiek się wydarzy, będą przy sobie.

Tylko raz widziała Gavilana i tylko przez chwilę. Było późne popołudnie i wychodził z pałacu z kolejnym zadaniem, kiedy przechodziła przez trawnik. Uśmiechnął się do niej i pomachał, jakby wszystko było tak, jak powinno być, jakby cały świat był w porządku, i pomimo irytacji na jego niedbałe maniery, uśmiechnęła się i również pomachała. Porozmawiałaby z nim, gdyby mogła, ale był tam Garth i kilku towarzyszy Gavilana i nie było okazji. Potem już się nie pojawił, chociaż celowo się za nim rozglądała. Kiedy nadszedł zmrok, raz jeszcze znalazła się sama w swoim pokoju, patrząc przez okna na gasnące światło. Wydawało się jej, że powinna coś zrobić, czuła się jak schwytana w pułapkę i rozważała, czy powinna walczyć o swoją wolność.

Garth był w sąsiednim pokoju i już miała poszukać jego towarzystwa, kiedy otworzyły się drzwi i weszła królowa.

— Babciu – powitała ją Wren, nie zdoławszy ukryć ulgi, jaka pojawiła się w jej głosie.

Ellenroh bez słowa przemierzyła pokój, wzięła ją w ramiona i przytuliła.

— Wren – wyszeptała, zaciskając ramiona, jakby się bała, że Wren może uciec.

W końcu cofnęła się i uśmiech na chwilę przesłonił jej smutek. Potem wzięła Wren za rękę i poprowadziła ją do łóża, gdzie obie usiadły.

— Bezwstydnie nie zauważałam cię przez cały dzień. Przepraszam. Wydaje się, że na każdym kroku przypominam sobie, że muszę coś zrobić, o jakimś małym zadaniu, które musi być wykonane przed wieczorem. – Przerwała. – Wren, przykro mi, że wmieszałam cię w tę sprawę. Problemy, które sami sobie stworzyliśmy, nie powinny być również twoimi. Ale nie ma na to rady. Potrzebuję cię, dziecko. Czy mi wybaczysz?

Wren pokręciła głową zmieszana.

— Nie mam nic do wybaczenia, babciu. Kiedy zdecydowałam się przynieść wam wiadomość od Allanona, sama wybrałam swój udział w tej sprawie. Wiedziałam, że jeśli przejmiesz się tą wieścią, pójdę z tobą. Nigdy inaczej o tym nie myślałam.

— Dajesz mi tyle nadziei, Wren. Chciałabym, żeby Alleyne mogła cię teraz zobaczyć. Byłaby dumna. Masz jej siłę i zdecydowanie. – Gładkie czoło królowej zmarszczyło się. – Tak bardzo mi jej brak. Nie mam jej od tylu lat, a ciągle wydaje mi się, że wyszła tylko na chwilę. Czasami łapię się na tym, że jej szukam.

— Babciu – odezwała się cicho Wren, czekając, aż oczy

królowej spoczną na niej. – Opowiedz mi o magii. Co ty, Gavilan, Eowen, Sowa i wszyscy wiecie, czego ja nie wiem? Dlaczego wszyscy się tak boją?

Przez chwilę Ellenroh Elesedil nie odpowiadała. Jej oczy patrzyły twardo, a ciało się wyprostowało. Wren ujrzała w tej chwili żelazną wolę, którą jej babka mogła w każdej chwili przywołać, niczym odlew krępujący młodą twarz i smukłą sylwetkę. Cisza usadowiła się pomiędzy nimi. Wren patrzyła prosto, nie cofając spojrzenia, zdecydowana położyć kres tajemnicom.

Uśmiech królowej pojawił się nieoczekiwany i gorzki.

— Jak mówiłam, jesteś podobna do Alleyne. – Puściła dłonie Wren, jakby pragnąc ustanowić granicę pomiędzy nimi. – Są pewne sprawy, o których chciałabym ci powiedzieć, ale nie mogę, Wren. W każdym razie jeszcze nie. Mam swoje powody i musisz przyjąć moje zapewnienie, że są ważne. A więc powiem ci, co mogę, a reszta musi poczekać.

Magia jest nieprzewidywalna, Wren. – Westchnęła i pozwoliła odpłynąć goryczy. – Tak było na początku i pozostało do dziś. Wiesz sama z opowieści o Mieczu Shannary i Kamieniach Elfów, że magia nie jest stała, że nie zawsze robi to, czego oczekujemy, że ujawnia się w zaskakujący sposób i że zmienia się wraz z upływem czasu i użytkowaniem. To prawda, że zdaje się nieustannie nas łudzić, że trzeba się jej uczyć ciągle od nowa. Kiedy elfy przybyły na Morrowindl, postanowiły odzyskać magię, odnowić stare sposoby i wzorować się na swych pradziadach. Problem leżał rzecz jasna w tym, że wzór dawno temu uległ zniszczeniu, a nikt nie przechował planów. Odzyskanie magii poszło łatwiej, niż się spodziewano, ale władanie nią było jeszcze czymś innym. Podejmowano próby; wiele się nie powiodło. W

trakcie tych prób powołano do istnienia demony. Stało się to mimowolnie i nieszczęśliwie, ale fakt pozostaje faktem. A kiedy się już pojawiły, nie można ich było odesłać z powrotem. Rosły w siłę i rozmnażały się i pomimo wszystkich wysiłków zniszczenia ich, przetrwały.

Potrząsnęła głową, jakby raz jeszcze ujrzała przed oczami te próby.

— Zapytasz, czemu nie można ich było odesłać tam, skąd przyszły, tak? Ale magia nie działa w ten sposób; nie pozwala na tak proste rozwiązania. Gavilan, między innymi, wierzy, iż dalsze eksperymenty z magią dadzą lepsze rezultaty, że metodą prób i błędów znajdziemy w końcu sposób, aby zniszczyć te stwory. Nie zgadzam się z tym. Rozumiem magię, Wren, ponieważ jej używałam i znam zasięg jej mocy. Boję się tego, co potrafi czynić. I naprawdę nie zna granic. Pomniejszy nas do śmiertelnych stworzeń; brak jej ograniczeń naszego człowieczeństwa. Jest większa od nas; przetrwa, kiedy my już dawno umrzemy. Nie wierzę w nic, co nie pochodzi z naszego doświadczenia lub czego wymaga konieczność. Sądzę, że jeśli nie przestaniemy próbować, jeśli nadal będziemy wierzyli, że w magii leży rozwiązanie naszych problemów, w nasze życie wkroczy nowy koszmar i zapragniemy, aby tylko z demonami przyszło nam mieć do czynienia.

— A co z Kamieniami Elfów? – zapytała cicho Wren.

Ellenroh pokiwała głową, uśmiechnęła się i cofnęła wzrok.

— Tak, dziecko. Co z Kamieniami Elfów? Co z ich magią? Wiemy, co potrafi; widzieliśmy rezultaty. Kiedy zawodzi krew elfów, kiedy nie jest dość silna, tak jak nie była silna w Wilu Ohmsfordzie, tworzy nieoczekiwane rzeczy. Pieśń. Dobro i zło na równi. – Znowu spojrzała na Wren. – Ale magia Kamieni Elfów

jest znana i opanowana. Nikt nie wierzy, że mogłaby zostać użyta inaczej. Loden też nie. Mamy pewne pojęcie o tych magiach i używamy ich, ponieważ musimy, jeśli chcemy przeżyć. Ale na odkrycie czeka magia znacznie potężniejsza, dziecko – magia żyjąca pod ziemią i w powietrzu, która prosi o poznanie. To magia, którą zbierze Gavilan. Ta sama, którą ponad tysiąc lat temu pragnął ujarzmić druid imieniem Brona – ta sama, która skłoniła go do przemiany w Lorda Warlocka i zniszczyła go.

Wren zrozumiała obawę babki przed magią, tak jak ona widziała niebezpieczeństwa i jak nikt inny podzielała jej przeczucie, że przywołanie magii – Kamieni Elfów czy Loden – może wzbudzić potężną moc, może ich stłamsić i pochłonąć aż do zatracenia.

— Mówisz, że pragniesz, aby elfy były takie jak wtedy, zanim odzyskały magię – powiedziała, wracając myślą do poprzedniej nocy, kiedy Ellenroh wezwała Wysoką Radę. – Ale czy to możliwe? Czy niektóre spośród elfów oddadzą magię tak po prostu, czy może znajdą ją w inny sposób?

— Nie. – Oczy Ellenroh nagle wpatrzyły się gdzieś w dal. – Nie znowu. Już nigdy.

Ukrywała coś. Wren wyczuła to natychmiast – jak również to, że Ellenroh nie będzie chciała o tym rozmawiać.

— A co z magią, którą już przywołałaś, która chroni miasto?

— Zniknie cała, kiedy odejdziemy – zostanie tylko tyle, aby użyć Loden i zanieść elfy i Arborlon z powrotem do Westlandii. Tylko tyle.

— A Kamienie Elfów?

Królowa uśmiechnęła się.

— Nie ma nic pewnego, Wren. Kamienie Elfów były z nami od dawna.

— Mogę je wyrzucić, kiedy już będziemy bezpieczni.

— Tak, dziecko, możesz, powinnaś tak uczynić.

Wren poczuła coś niewypowiedzianego pomiędzy nimi, ale nie potrafiła rozpoznać jego znaczenia.

— Czy magia Loden naprawdę uczyni to, co myślisz, babciu? Czy wyprowadzi elfy bezpiecznie z Morrowindl?

Łagodna twarz królowej pochyliła się na chwilę. Pojawił się na niej cień wątpliwości i coś jeszcze.

— Och, magia z pewnością tu jest. Czułam ją, używając różdżki. Powierzono mi jej tajemnice i wiem, że to prawda. – Uniosła nagle głowę. – Ale to my, Wren, musimy wykonać zadanie. To my musimy dopilnować, aby ci, którzy zostaną zebrani zaklęciem Loden – nasi ludzie – zostali przywrócenii światu, dostali szansę nowego życia. Sama magia nie wystarczy. Nigdy nie wystarczała. Nasze życie, a w efekcie życie tych, którzy nam zaufali, zawsze należy do nas. Magia jest tylko narzędziem. Rozumiesz?

Wren ponuro skinęła głową.

— Zrobię wszystko, żeby pomóc – powiedziała cicho. – Ale powiem ci teraz, że pragnę, aby magia umarła i odeszła, cała, każdy jej kawałeczek, wszystko, od cieniowców przez demony do Loden i Kamieni Elfów. Chciałabym, aby wszystko przepadło.

Królowa wstała.

— A jeśli przypadnie, Wren, co zajmie jej miejsce? Nauki starego świata powrócą do życia? Jeszcze większa moc? Wiesz, że musi się coś pojawić. Zawsze tak jest.

Schyliła się i pociągnęła Wren za sobą.

— A teraz zawołaj Gartha i chodźcie ze mną na kolację. I uśmiechnij się. Cokolwiek ma być, odnalazłyśmy siebie. Cieszę się, że tu jesteś.

Raz jeszcze przytuliła Wren, a dziewczyna oddała uścisk.

— Ja też się cieszę, babciu.

Na kolacji byli obecni wszyscy członkowie ścisłego kręgu Wysokiej Rady – Eton Shart, Barsimmon Oridio, Aurin Striate, Triss, Gavilan i królowa wraz z Wren, Garthem i Eowen Cerise – wszyscy, którzy byli obecni, kiedy zapadła decyzja o przywołaniu mocy Loden i porzuceniu Morrowindl. Byli też Cort i Dal stojący na warcie w holu, zabraniając wejścia nawet służbie, kiedy jedzenie znalazło się już na stołach. Odosobnieni, omawiali plany na następny dzień. Rozmowy były ożywione i dotyczyły ekwipunku, zapasów i proponowanych tras. Ellenroh po konsultacji z Sową postanowiła, że najlepiej spróbować ucieczki tuż przed świtem, kiedy demony zmęczone są nocnym żerem i chcą tylko spać, a oni mieliby w podróży pełne światło dnia. Noc była najbardziej niebezpieczną porą na wyjście, ponieważ wtedy polowały demony. Dotarcie do plaż zajęłoby dziewięć podróży trochę ponad tydzień, jeśli wszystko pójdzie gładko. A jeśli któreś z nich wątpiło, że to w ogóle możliwe, zachowali to dla siebie.

Gavilan siedział naprzeciw Wren i uśmiechał się do niej często. Świadoma była jego uwagi i grzecznie dawała mu to do zrozumienia, ale rozmowę kierowała do babki, Sowy i Gartha. Zjadła coś, ale później nie mogła sobie przypomnieć co, słuchając rozmów pozostałych i zerkając często na Gavilana, jakby mogło to w jakiś sposób wyjawić jej tajemnicę jego uroku, i myśląc uparcie o tym, co wcześniej powiedziała jej królowa.

Czy też raczej o tym, czego jej nie powiedziała.

Wynurzenia królowej, przy bliższym zastanowieniu, były banalną drobnostką. Dobrze było mówić, że magia została odzyskana; ale skąd? Łatwo było przyznać, że to odzyskanie

spowodowało uwolnienie demonów, które ich oblegały; ale co z magią, która je uwolniła? I skąd? Wren wciąż nie usłyszała ani słowa, co poszło źle przy użyciu magii ani dlaczego żadna magia nie mogła naprawić wyrządzonego zła. Babka dała jej jedynie szkic bez cieni, koloru i tła. To za mało.

A mimo to Ellenroh upierała się, że tak musi być.

Wren siedziała ze swymi myślami, bzykającymi jak rój komarów. Rozmowy toczyły się wokół niej, twarze obracały w prawo i w lewo, a na zewnątrz gasło światło, kiedy ciemność zacieśniała krąg, a czas przechodził cichymi krokami, niczym powrót z przeszłości, potajemne nadejście przyszłości, która mogła odmienić ich wszystkich na zawsze. Poczła się oderwana od swego otoczenia, jakby zupełnie nieoczekiwanie rzucono ją w to miejsce przy stole, jak nieproszonego gościa, szpiegującego życie otaczających ją ludzi. Nawet znajoma obecność Gartha nie pocieszała jej i niewiele z nim rozmawiała.

Kiedy kolacja się skończyła, poszła prosto do swego pokoju spać, rozebrała się, wśliznęła pod przykrycie i leżała w ciemności, czekając, aż wszystko na powrót się odmieni. Ale nie chciało. Jej oddech był coraz wolniejszy, myśli się rozproszyły i w końcu zasnęła.

Ale i tak obudziła się i ubrała, zanim rozległo się pukanie do drzwi. Stał w nich Gavilan, ubrany w brązowe myśliwskie odzienie, uzbrojony, ze znajomym uśmiechem, wyglądając jak ktoś zupełnie inny.

— Pomyślałem, że może pójdziesz ze mną do muru – powiedział po prostu.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

— Pójdę – zgodziła się.

Opuścili pałac i szli przez ciemne, puste ulice miasta. Garth

kroczył za nimi. Wren myślała, że ludzie nie będą już spali, czujni, pragnąc zobaczyć, co się stanie, kiedy zostanie przywołana magia Loden. Ale domy elfów były ciemne i ciche, a ci, którzy trzymali straż, robili to w mroku. Może Ellenroh nie powiedziała im, kiedy nastąpi przemiana, pomyślała. Zdała sobie sprawę, że ktoś podąża za nimi, i spojrzała za siebie. Kilkanaście kroków za nimi szedł Cort. Triss musiał odesłać go, aby się upewnić, że na czas dotrą do punktu zbiórki. Triss będzie z królową, Eowen Cerise, Aurinem Striate – albo Dal. Wszyscy podążyli w stronę Keel, do bramy prowadzącej na zewnątrz, na pustynię, w surową i nagą pustkę, którą będą musieli przemierzyć, jeśli chcą przeżyć.

Przybyli bez przeszkód. Ciemność nie rozstąpiła się jeszcze, a światło brzasku ciągle skrywało się za horyzontem. Zebrali się wszyscy – królowa, Eowen, Sowa, Triss, Dal i ich czworo. Tylko dziewięcioro, pomyślała Wren, nagle zdając sobie sprawę, jak niewielu ich jest i jak wiele od nich zależy. Potrząsali dłońmi, wymieniali uściski i ukradkowe słowa otuchy, garstka cieni szepczących w nocy. Wszyscy nosili odzienie myśliwych, luźno dopasowane i wytrzymałe, chroniące przed niepokodą i, w pewnej mierze, czekającymi ich niebezpieczeństwami. Wszyscy mieli broń, z wyjątkiem Eowen i królowej. Ellenroh niosła różdżkę Ruhk, której ciemne drewno lśniło niewyraźnie, a Loden był pryzmatem barw, mrugających i błyszczących nawet w ciemnościach. Na szczycie Keel magia lśniła równym światłem, oświetlającym blanki i sięgającym nieba. Myśliwi elfów patrolowali mury szóstkami, a w wieżach stali wartownicy. Z zewnątrz dochodziły sporadyczne i dalekie pomruki i posykiwania, jakby wydające je stwory straciły zainteresowanie albo spały.

— Zrobimy im niespodziankę, zanim skończy się noc, prawda?
– wyszeptał jej do ucha Gavilan, uśmiechając się.

— Dopóki tylko oni jedni będą zaskoczeni – wyszeptała w odpowiedzi.

Przy wrotach prowadzących w dół do tuneli ujrzała Aurina Striate. Podeszła i stanęła przy nim. Jego wymięte ciało poruszyło się w mroku. Spojrzał na nią i skinął głową.

— Oczy i uszy otwarte, Wren?

— Chyba tak.

— Kamienie Elfów pod ręką?

Zacisnęła usta. Kamienie spoczywały w nowej skórzanej sakiewce uwiązanej na szyi – czuła na piersi ich ciężar. Aż do tej pory udawało się jej nie myśleć o nich.

— Myślisz, że będę ich potrzebowała?

Wzruszył ramionami.

— Ostatnio potrzebowałam.

Milczała przez chwilę, rozważając taką możliwość. Myślała jednak, że zdoła jakoś uciec z Morrowindl bez konieczności ponownego przywołania magii.

— Wydaje się tam tak cicho – powiedziała z nadzieją.

Skinął głową, opierając szczupłe ciało o kamień.

— Nie będą się nas spodziewali. Mamy szansę.

Oparła się obok niego. Dotykali się ramionami.

— Jak dużą, Sowo?

Zaśmiał się bezdźwięcznie.

— A co za różnica? Mamy tylko tę jedną.

Z czerni wynurzył się Barsimmon Oridio, podszedł prosto do królowej, przez chwilę mówił coś przyciszonym głosem i znowu zniknął. Wyglądał na zmęczonego i wychudzonego, ale kroczył zdecydowanie.

— Jak długo byłeś na zewnątrz? – zapytała nagle Sowę, nie patrząc nań. – Z nimi.

Zawahał się. Wiedział, co miała na myśli. Czuła utkwione w sobie jego spojrzenie.

— Już nie wiem.

— Chcę tylko wiedzieć, jak ci się to udało. Ja ledwo mogę się do tego zmusić, wiedząc, co tam czeka – przyznała się z trudem. – To znaczy zrobię to, ponieważ to jedyna szansa i już nie będę musiała robić tego znowu. Ale ty zawsze miałeś wybór. Nieraz musiałeś o tym myśleć. Nie musisz iść.

— Wren. – Odwróciła się, kiedy wymówił jej imię. – Pozwól, że powiem ci coś, czego jeszcze się nie nauczyłaś. Coś, czego nauczyłaś się, jedynie żyjąc dłużej. Kiedy będziesz starsza, odkryjesz, że życie zaczyna cię nużyć. Nieważne, kim jesteś i co robisz. Tak się dzieje. Doświadczenie, czas, wydarzenia – wszystko sprzysięga się, aby odebrać ci energię, skruszyć twą pewność, sprawić, abyś wątpiła w rzeczy, którym za młodu nie poświęciłaś drugiej myśli. To się dzieje stopniowo, tak powoli, że z początku nawet tego nie zauważasz, a potem, pewnego dnia, już jest. Budzisz się i po prostu nie masz już tamtego ognia. – Uśmiechnął się blado. – A zatem masz wybór. Możesz po prostu poddać się swoim uczuciom, powiedzieć: „dobrze, już dosyć” i skończyć z tym albo z tym walczyć. Możesz pogodzić się z tym, że każdego dnia będziesz musiała się z tym zmierzyć, będziesz musiała mówić, że nie dbasz o to, co czujesz, że nieważne, co się dzieje, ponieważ prędzej czy później i tak się stanie i będziesz robiła, co musisz, bo inaczej przegrasz i nie zostanie ci w życiu żaden prawdziwy cel. Kiedy będziesz umiała tak uczynić, mała Wren, kiedy potrafisz przyjąć zmęczenie i wykruszenie, wtedy potrafisz wszystko. Jak zdołałem wychodzić nocami? Po prostu

mówiłem sobie, że nie ja się liczę w tym wszystkim – że ci tutaj liczą się bardziej. I wiesz co? To nie było wcale trudne. Musisz tylko pokonać strach.

Myślała nad tym przez chwilę, po czym skinęła głową.

— Myślę, że nie jest to takie łatwe, jak mówisz.

Sowa odsunął się od ściany.

— Naprawdę? – zapytał. A potem uśmiechnął się i odszedł.

Wren cofnęła się, aby stanąć obok Gartha. Olbrzymi nomada wskazał na obwałowania Keel. Z ich szczytów schodzili myśliwi elfów – szybkie, ukradkowe cienie przemykające się ze światła w mrok. Wren spojrzała na wschód i ujrzała pierwsze, blade smugi świtu na tle czerni.

— Już czas – odezwała się nagle Ellenroh i skierowała ich ku murom.

Poszli szybko z Aurinem Striate na przedzie, pchając wrota prowadzące w dół do tuneli i przystając, aby spojrzeć na królową. Ellenroh odeszła od muru do przyczółku, zatrzymała się tuż przed rampą i zatknęła mocno w ziemię koniec różdżki Ruhk. Gdzieś z Arborlonu zabrzmiał głos dzwonu na znak i reszta myśliwych elfów szybko ześliznęła się ze szczytu Keel. Po chwili na murach nie było już nikogo.

Ellenroh Elessedil zerknęła w tył na czekającą ósemkę, a potem odwróciła się w stronę miasta. Zacisnęła dłonie na wypolerowanym drzewcu różdżki Ruhk i pochyliła głowę.

Natychmiast błysnął Loden. Jasność przemieniła się szybko w biały ogień, który pochłonął królową. Światło rozprzestrzeniało się równomiernie, wznosząc się w ciemność i wypełniając przestrzeń pomiędzy murami, aż całe Arborlon zostało oświetlone jak w dzień. Wren próbowała obserwować, co się dzieje, ale blask światła oślepił ją i musiała odwrócić wzrok.

Biały płomień popłynął do parapetów Keel i zaczął wrzeć. Wren raczej czuła to, niż widziała, zaciskając powieki przed blaskiem. Demony za murem zaczęły wrzeszczeć. Nie wiadomo skąd dmuchnął powiew wiatru i zamienił się w wycie. Wren opadła na kolana, czując na ramionach mocny uścisk Gartha i słysząc wołający ją głos Gavilana. W jej umyśle powstawały obrazy uwolnione wezwaniem Ellenroh, szalone i dziwaczne wizje świata pogrążonego w chaosie. Magia przelewała się przez nią lekkim dotykiem palców, które szeptały i śpiewały.

Wizje zakończyły się krzykiem, którego nie mogło wydać ludzkie gardło, i nagle światło odeszło, wskoczyło z powrotem w czerń, jak wciągnięte przez wir. Wren otworzyła gwałtownie oczy, podążając za ruchem, próbując coś zobaczyć. Zdażyła uchwycić moment, kiedy zniknęło w jasnym oku Loden. Mrugnęła raz i zniknęło.

Zniknęło również miasto Arborlon – ludzie, budynki, ulice i chodniki, ogrody i trawniki, drzewa, wszystko pomiędzy murami Keel zniknęło. Pozostał tylko płytki krater w ziemi – jakby olbrzymia dłoń zmiotła Arborlon i porwała je.

Ellenroh Elessedil stała sama na skraju tego, co niegdyś było fosą, a teraz krawędzią krateru, opierając się ciężko na różdżce Ruhk, pozbawiona sił. Nad jej głową Loden był wielobarwnym pryzmatem ognia. Królowa się poruszyła, spróbowała iść i nie mogła, potknęła się i upadła na kolana. Triss podbiegł do niej natychmiast, podniósł jak zmęczone dziecko i ruszył z powrotem. Wtedy Wren zdała sobie sprawę, że magia chroniąca Keel również odeszła, jak ostrzegała babka, a jej blask zgasł całkowicie. Niebo w górze otulone było gazą mgły, a wschodzące słońce świeciło posepnie, ledwo przedzierając się przez czerń nocy. Wren odetchnęła i odkryła, że powrócił odór siarki.

Wszystko, co osłaniało Arborlon, zniknęło.

Cisza ustąpiła miejsca kakofonii wrzasków i pisków demonów, kiedy zauważyły, co się stało. Z każdej strony rozległ się odgłos ciał gramolących się po murze i kopiających pazurów.

Triss podszedł do nich, ściskając w ramionach królową i różdżkę Ruhk.

— Szybko do środka! – krzyknął Sowa, spiesząc naprzód.

Reszta kompanii podążyła za nim, zniknęła przez otwarte drzwi i weszła w czerń. Ich zadaniem było bezpiecznie dostarczyć Arborlon i elfy do Westlandii.

Rozdział XIV

W świecie światła i cieni, gdzie prawdy były przeplatającym się ze sobą lśnieniem niekonsekwencji, w świecie życia odartego z cielesności, zmienionego w półprzezroczyste nieistnienie i mgłę, Walker Boh stanął twarzą w twarz z niemożliwym.

— Tak długo czekałem, Walkerze, mając nadzieję, że przyjdiesz – wyszeptał duch przed nim.

Coglin – martwy już od tygodni, zabity przez cieniowca przy Hearthstone, zniszczony przez Rimmera Dalla – a wraz z nim Pogłoska. Walker widział, jak to się stało, niemal śmiertelnie zatruty jadem Asphinksa, skulony bezradnie w sypialni, kiedy starzec i bagienny kot toczyli swą ostatnią bitwę. Widział wszystko, ostatni skok potworów stworzonych z mrocznej magii, płonący w odwecie ogień magii starca i eksplozję, która pochłonęła wszystko w swym zasięgu. Coglin i Pogłoska zniknęli w pożodze wraz z tuzinem napastników. Przeżył tylko Rimmer Dall i garstka tych, których odrzucił wybuch.

A jednak Coglin i kot byli tutaj, przybyli jakoś do Paranoru, cienie ocalałe ze śmierci. Tyle że Walker Boh uważał ich za równie rzeczywistych co on sam, swoje odbicie w tym świecie półmroku, do którego odesłał go czarny Kamień Elfów, widmowych, a mimo to żywych, chociaż nie powinni tacy być. Chyba że on również nie żył i widział tylko ich odbicie. Ta sprzeczność pokonała go. Oddech uwiąz mu gwałtownie w gardle i nie mógł mówić. Kto żył, a kto nie?

— Walkerze – starzec wymówił jego imię i ten dźwięk wydobył go na powrót z otchłani, w której się unosił.

Coglin zbliżał się powoli, ostrożnie, jakby zdawał sobie sprawę

ze strachu i zmieszania, jakie jego obecność budzi w wychowanku. Przemówił cicho do Pogłoski i bagienny kot przysiadł posłusznie na zadzie, a jego świetliste oczy wpatrzyły się w Walkera bystro i z zainteresowaniem. Ciało Coglina było kruche i kościste jak zawsze pod zniszczoną szatą, a szare, zamglone światło przenikało przez niego wąskimi pasmami. Walker drgnął, kiedy starzec wyciągnął dłoń, aby dotknąć jego ramienia. Kościste palce zsunęły się, aby uchwycić go za ramię.

Uścisk był ciepły i mocny.

— Ja żyję, Walkerze. I Pogłoska także. Obaj żyjemy – wyszeptał. – Magia nas ocaliła.

Walker Boh milczał przez chwilę, patrząc w oczy starca i nic nie pojmując, szukając czegoś, co nadałoby znaczenie jego słowom. Żywy? Jak to możliwe? W końcu skinął głową, ponieważ musiał jakoś odpowiedzieć, pokonać strach i zmieszanie.

— Jak tu wszedłeś? – zapytał z wahaniem.

— Chodź i usiądź przy mnie – odrzekł tamten.

Poprowadził Walkera do kamiennej ławy spoczywającej pod ścianą. Ława i ściana stanowiły dziwne lśnienie niewyraźnego reliefu na tle cienia, otulone całunem mgły i mroku. Dźwięki wewnątrz twierdzy były stłumione, jak nieproszony gość zmuszony stąpać cicho, aby nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Walker rozglądał się wokół, ciągle nie dowierzając, przeszukując labirynt chodników znikających przed i za nim, zerkając na kamienne ściany i parapety wież wznoszących się wokół niego, pozbawione życia niczym grobowce we wnętrzu ziemi. Usiadł przy starcu, czując, że Pogłoska ociera się o niego.

— Co się z nami stało? – zapytał, kiedy powrócił spokój, a pragnienie poznania prawdy odsunęło na bok niepewność. – Spójrz na nas. Jesteśmy jak widma.

— Jesteśmy w świecie półistnienia, Walkerze – odpowiedział cicho Coglin. – Jesteśmy gdzieś pomiędzy światem śmiertelnych ludzi a krainą martwych. Paranor spoczywa teraz tutaj, przywrócony z nieistnienia przez magię Czarnego Kamienia Elfów. Odnalazłeś go, prawda? Odzyskałeś go z miejsca, gdzie został ukryty, i przyniosłeś tutaj. Użyłeś go tak, jak musiałeś, i przeniosłeś nas z powrotem.

Poczekaj, nie odpowiadaj jeszcze – uciął krótko próbę Walkera. – Dokończę. Najpierw musisz wiedzieć, co się ze mną stało. Potem będziesz mówił o sobie. Pogłoska i ja mieliśmy swoje przygody, które przywiodły nas tutaj. Tu się to stało, Walkerze. Kilka tygodni wcześniej, kiedy rozmawiałem z cieniem Allanona, ostrzeżono mnie, że mój czas w świecie śmiertelników prawie minął i że kiedy następnym razem ujrzę twarz Rimmera Dalla, przyjdzie po mnie śmierć. Przykazano mi przechować Kronikę druidów i nie oddawać jej nikomu. Nic więcej mi nie powiedziano. Kiedy Pierwszy Poszukiwacz i jego cieniowce pojawili się w Hearthstone, przypomniałem sobie słowa Allanona. Udało mi się zatrzymać ich na tyle, aby wydobyć księgę z ukrycia. Stałem na ganku, przyciskając ją do piersi, a Rumor popychał mnie, kiedy cieniowce sięgnęły, aby mnie rozedrzeć.

Myślałeś, że otula mnie moja własna magia. Nie było tak. Kiedy potwory stłoczyły się wokół mnie, magia zawarta w Kronice druidów stanęła w mojej obronie. Uwolniła biały ogień pożerający wszystko dokoła, niszczący wszystko, co nie było częścią mnie i Pogłoski, który pragnął mnie osłonić. Nie uczyniła nam krzywdy, ale porwała i uniosła w mgnieniu oka. Straciliśmy świadomość, niczym w głębokim śnie. Kiedy się przebudziliśmy, byliśmy we wnętrzu Paranoru, w twierdzy druidów. – Pochylił się niżej. – Nie wiem na pewno, co się stało, kiedy magia wyrwała

się na wolność, ale mogę się domyślać. Druidzi nigdy nie zostawiliby swego dzieła bez ochrony.

Nic z tego, co stworzyli, nigdy nic zostało pozostawione na użytek kogoś, kto nie miał praw ani właściwych intencji. I jestem pewny, że i tak było z Kroniką. Magia, która je chroniła, w razie zagrożenia sprawiała, że wracali z otchłani wewnątrz twierdzy, która dawała im osłonę przez te wszystkie lata. I tak się stało z księgą, którą przechowywałem. Szukałem w kryptach i znalazłem Kronikę pomiędzy innymi księgami. Ocalały szczęśliwie. Allanon musiał wiedzieć, że tak się stanie, i wiedział, że ktokolwiek przechowywał Kronikę również zostanie przeniesiony z powrotem do Paranoru, do sanktuarium druidów. A nie – dokończył – do świata śmiertelnych ludzi.

— Ponieważ gdzie indziej wysłano twierdzę trzysta lat temu – mruknął Walker, zaczynając rozumieć.

— Tak, Walkerze. Ponieważ twierdza została odesłana przez Allanona z czterech krain i nie powróci, dopóki druidzi nie powrócą. Tak więc księga jest z powrotem w twierdzy, a wraz z nią Pogłoska i ja. – Urwał na chwilę. – Wygląda na to, że druidzi jeszcze ze mną nie skończyli.

— A zatem jesteś tu uwięziony? – zapytał cicho Walker.

Starzec uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

— Obawiam się, że tak. Brakuje mi magii, aby nas uwolnić. Jesteśmy teraz częścią Paranoru, jak Kroniki, cali i zdrowi, ale jak duchy w zamku duchów, schwytani w mgnieniu czasu i miejscu, dopóki nie uwolni nas magia silniejsza od mojej. I dlatego właśnie czekałem na ciebie. – Kościste palce zacisnęły się na ramieniu Walkera. – Powiedz mi. Przyniosłeś Czarny Kamień Elfów? Pokażesz mi go?

Walker Boh przypomniał sobie nagle, że nadal trzyma

Kamień, tak silnie ściskając talizman w dłoni, że jego krawędzie wbiły się w ciało. Ostrożnie wyciągnął dłoń i jeden po drugim otwierał palce. Był czujny, bał się, że magia pochłonie go. Czarny Kamień Elfów zaśnił ciemno w zagłębieniu dłoni, ale magia leżała uśpiona, nieświatło zamknięte było w środku.

Coglin przez długą chwilę patrzył na Kamień bez słowa, nie robiąc nic więcej, a na jego wąskiej, pomarszczonej twarzy odbijało się zdumienie i wahanie. Potem podniósł wzrok.

— Jak go znalazłeś, Walkerze? – zapytał. – Co się wydarzyło, kiedy zabrano Pogłoskę i mnie?

Walker opowiedział mu o nadejściu Ożywczej, córce Króla Srebrnej Rzeki, i o tym, jak uleczyła jego ramię. Opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się w podróży na północ do Eldwist, o walce Ożywczej i jej towarzyszy o przetrwanie w kamiennej krainie, poszukiwaniu Uhl Belka, spotkaniach z Rake'em i Maw Grintem i o ostatecznym zniszczeniu miasta i tych, którzy chcieli je zachować.

— Przybyłem tu sam – zakończył, patrząc gdzieś w dal i wspominając przeszłe wydarzenia. – Wiedziałem, czego się ode mnie oczekuje. Pogodziłem się z tym, że polecenie Allanona przekazane Brin Ohmsford przeznaczone jest dla mnie. – Odwrócił wzrok. – Zawsze mówiłeś mi, że aby zrozumieć, trzeba najpierw zaakceptować, i jak sądzę, postąpiłem według twojej rady. I jak nakazał Allanon. Użyłem Czarnego Kamienia Elfów i sprowadziłem twierdzę druidów. Ale spójrz na mnie, Coglinie. Wyglądam jak ty, jak duch. Jeśli magia dokonała tego, co zamierzano, to czemu...

— Pomyśl, Walkerze – pospiesznie przerwał starzec, a w jego starych oczach pojawił się ból. – Jakie zadanie otrzymałeś od Allanona? Powtórz mi.

Walker odetchnął głęboko. Na jego bladej twarzy malowało się zakłopotanie.

— Sprowadzić z powrotem Paranor i druidów.

— Tak, Paranor i druidów – jedno i drugie. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza, prawda? Rozumiesz?

Walker zmarszczył brwi z niechęcią i niepokojem.

— Tak, starcze. – Oddychał ciężko i z wysiłkiem. – Muszę się stać druidem, jeśli Paranor ma zostać przywrócony. Pogodziłem się z tym, chociaż będzie tak, jak ja tego pragnę, a nie cień sprzed trzystu lat. – Słowa płynęły teraz szybko i gniewnie. – Nie będę tacy jak oni, ci starcy, którzy...

— Walkerze! – Gniew Coglina był równie mocny jak jego własny i Walker ucichł natychmiast. – Posłuchaj mnie. Nie ogłaszaj, co zrobisz i jaki będziesz, dopóki nie pojmiesz, czego się do ciebie żąda. To nie kwestia zwykłego przyjęcia zadania i wykonania go. Nigdy tak nie było. Przyjęcie tego, kim jesteś i co masz uczynić, to dopiero pierwszy z wielu kroków twojej podróży. Tak, odkryłeś Czarny Kamień Elfów i przywołałeś jego magię. Tak, odnalazłeś wejście do zaginionego Paranoru. Ale to dopiero początek.

Walker wytrzeszczył oczy.

— Co to znaczy? Co ma być jeszcze?

— Obawiam się, że wiele – wyszeptał starzec, a pomarszczoną twarz przeciął smutny uśmiech, jakby drewno pękło ze starości. – Przybyłeś do Paranoru w zasadzie w taki sam sposób jak Pogłoska i ja. Przyniosła ci magia. Ale magia pozwoliła ci wejść na swoich własnych warunkach. Toleruje nas tutaj, żyjemy na warunkach, jakie dyktuje. Zauważyłeś już, jak wyglądasz – prawic jak duch posiadający ciało i życie, ale obu ich nie wystarcza, aby być śmiertelnym człowiekiem. To powinno ci dać

do myślenia, Walkerze. Spójrz wokół siebie. Paranor wydaje się taki sam – tu, a jednak nie tu, niewyraźny, nie w pełni przywrócony do życia. – Wąskie usta się zacisnęły. – Widzisz? Żadne z nas – Pogłoska, ty, ja i Paranor – nie powróciliśmy jeszcze do świata ludzi. Nadal żyjemy w otchłani, gdzieś pomiędzy bytem a niebytem, i czekamy. Czekamy, Walkerze, aż magia w pełni nas odtworzy. Ponieważ jeszcze tego nie uczyniła, pomimo użycia Czarnego Kamienia Elfów i twojego wejścia do twierdzy. Ponieważ nie jest jeszcze w pełni pod kontrolą.

Schylił się i delikatnie zamknął palce Walkera wokół Czarnego Kamienia Elfów, po czym usiadł powoli, krucha garstka kości w mroku.

— Aby przywrócić Paranor do świata ludzi, muszą się znowu pojawić druidzi – ciągnął. – A ściślej jeden druid, Walkerze. Ty. Ale przyjęcie znaczenia tego nie wystarczy, abyś się stał druidem. Musisz uczynić więcej, jeśli magia ma należeć do ciebie, ma być twoją własnością. Musisz stać się tym, na kogo zostałeś przeznaczony. Musisz ulec przemianie.

— Przemianie? – Walker był przerażony. – Jakbym już się nie zmienił! Jakiej jeszcze przemiany się ode mnie żąda? Czy mam całkiem zniknąć? Nie, nie odpowiadaj. Sam zgadnę. Mam dziedzictwo Allanona, posiadam Czarny Kamień Elfów i muszę zrobić coś jeszcze, skoro to nie wystarcza. Przemienić się, powiadasz? Jak?

Coglin pokręcił głową.

— Nie wiem. Wiem, że jeśli tego nie zrobisz, nie staniesz się druidem i Paranor nie wróci do świata ludzi.

— I jeśli mi się nie uda, zostanę tu schwytyany w pułapkę? – dopytywał się wściekle Walker.

— Nie. Możesz odejść, kiedy zechcesz. Czarny Kamień Elfów

wyprowadzi cię.

Przez chwilę panowała niespokojna cisza, kiedy dwóch mężczyzn patrzyło na siebie, niewyraźne cienie usadowione na ławie pod ścianami zamku.

— A ty? – zapytał w końcu Walker. – I Pogłoska? Czy możecie odejść ze mną?

Coglin uśmiechnął się blado.

— Żyjemy za pewną cenę, Walkerze. Jesteśmy powiązani z magią Kroniki druidów, nieodwołalnie połączeni. Musimy pozostać z nimi. Jeśli nie powrócą do świata ludzi, my również nie zostaniemy tam przeniesieni.

— A niech to – wyszeptał Walker jak przekleństwo. Czuł, jak napiera nań ciężar Kamienia Paranoru. – A więc odzyskam własną wolność, ale nie waszą. Mogę odejść, ale wy musicie zostać. – Uśmiechnął się ponuro i ironicznie. – Nigdy tego nie zrobię, oczywiście. Nie, kiedy oddałeś za mnie życie. Wiedziałeś o tym, prawda? Wiedziałeś od początku. I Allanon na pewno wiedział. Jakkolwiek na to spojrzeć, jestem w pułapce, prawda? Opowiadam, kim będę i co zrobię, jak zapanuję nad własnym przeznaczeniem, a moje słowa są bez znaczenia.

— Nie jesteś z nami związany, Walkerze – przerwał pospiesznie Coglin. – Pogłoska i ja walczyliśmy o twoje ocalenie, bo tak chcieliśmy.

— Walczyliście, bo było to konieczne, jeśli miałem wykonać zadanie Allanona, Coglinie. Nie ma złudzeń, dlaczego żyję. I jeśli odmówię wykonania zadania albo jeśli poniosę porażkę, wszystko, co się stało, będzie daremne! – Starął się panować nad sobą, aby jego głos nie zamienił się w krzyk. – Patrz, co ze mną uczyniono!

Coglin odczekał chwilę.

— Czy było aż tak źle, Walkerze? – zapytał cicho. – Czy tak cię oszukano?

Walker patrzył na niego bez słowa.

— Bo nie miałem nic do powiedzenia, co się ze mną stanie? Ponieważ muszę zrobić coś, czym gardzę? Ponieważ muszę działać w sposób, w jaki nigdy bym nie działał? Zdumiewasz mnie, starcze.

— Nie dość jednak, abyś mi odpowiedział?

Walker niezadowolony pokręcił głową.

— Odpowiadanie jest bezcelowe. Każda odpowiedź, której mógłbym ci udzielić, później tylko odwróci się przeciwko mnie. Czuję się, jakby zdradzały mnie własne myśli. Lepiej zadowolić się tym, co masz, niż co mógłbyś mieć, prawda? – Westchnął. Po raz pierwszy poczuł, jak przenika go chłód kamienia. – Jestem tu tak samo uwięziony jak wy – wyszeptał.

Coglin oparł się o mur zamczyska, przez chwilę wyglądając, jakby miał w nim zniknąć.

— A zatem znajdź drogę ucieczki, Walkerze – powiedział cicho. – Nie uciekając przed losem, ale przyjmując go. Od początku się upierałeś, że nie pozwolisz druidom manipulować sobą. Czy uważasz, że ja czuję inaczej? Obaj jesteśmy ofiarami okoliczności uruchomionych trzysta lat temu i gdybyśmy mieli wybór, nie byłoby nas tutaj. Ale nie mamy wyboru. I nie ma sensu złorzeczyć temu, co nam uczyniono. A zatem, Walkerze, odwróć bieg rzeczy na swoją korzyść. Spotkaj swój los, stań się, kim musisz się stać, a potem będziemy działali tak, jak uznasz za stosowne.

Walker uśmiechnął się ironicznie.

— A więc wracamy do mojej przemiany. Jak tego dokonam, Coglinie? Jeszcze mi nie powiedziałaś.

— Zaczynij od Kroniki druidów. Mówi się, że zawiera wszystkie sekrety magii. – Dłoń starca impulsywnie ścisnęła ramię Walkera. – Wejdz do twierdzy i wyjmij z krypty księgi, tom po tomie. Sam zobacz, czego mogą cię nauczyć. Odpowiedzi, których potrzebujesz, muszą leżeć w ich wnętrzu. To przynajmniej jakiś początek.

— Tak – zgodził się Walker, w głębi ducha rozważając możliwość, że Coglin ma rację. Być może zdobędzie, czego pragnie, nie odpychając swego losu, ale obracając go na swoją korzyść. – Tak, to początek.

Potem wstał, a za nim Coglin. Przez chwilę Walker patrzył na starca, po czym sięgnął zdrowym ramieniem i delikatnie go objął.

— Przykro mi ze względu na to, co z tobą uczyniono – wyszeptał. – Chodzi mi o to, co powiedziałem w Hearthstone, zanim przybył Rimmer Dall. Myliłem się, obwiniając cię za te wszystkie wydarzenia, i jestem wdzięczny za wszystko, co uczyniłeś, aby mi pomóc. Znajdziemy sposób, aby się uwolnić, Coglinie. Obiecuję ci to.

Potem cofnął się, a uśmiech Coglina był jak promień słońca przedzierający się przez mrok. I tak Walker Boh wszedł do twierdzy, podążając za Coglinem i Pogłoską – trzy widma poszukujące w świetle półmroku. Zamek druidów był mroczny i przytłaczający. Drżał niczym obraz odbity w tafli wody, po której przemykały cienie. Kamienne ściany, podłogi i wieże były zimne i martwe, a korytarze wiły się jak podziemne tunele, ciemne i ociekające wilgocią. Wyściełane dywanami i arrasami hole zaścielały kości, szczątki gnomów, które zginęły, kiedy Allanon wezwał magię i trzysta lat temu odesłał twierdzę z dala od czterech krain. Kopce pyłu znaczyły koniec uwieczonych tu widm

Mord i pozostał po nich jedynie szept wspomnienia zamkniętego w murach.

Korytarze pojawiały się i znikwały, wokół wiły się schody, a labirynty kamiennych przejść pogrążały się w ciemności. Panowała przenikliwa cisza, gęsta i głęboka jak późnojesienne listowie w puszczy, zakorzeniona w murach zamczyska i niewzruszona. Nie naruszali jej, bez słowa przenikając jej zasłonę, skupiając się na drodze, na czekających przed nimi ścieżkach. Drzwi i puste komnaty otwierały się i zamykały, nagie i nieprzyjazne w swej pułapce mroku. Okna otwierały się w szarość, dziwną mgłą ocieniającą wszystko na zewnątrz, tak że twierdza stawała się wyspą. Walker wypatrywał lasów otaczających puste wzgórze, na którym stał Paranor, ale drzewa zniknęły; lub też, poprawił się – odeszły z czterech krain w nicość. Z dywanów, arrasów, malowideł, a nawet z kamienia i nieba zniknęły wszelkie barwy. Był tylko mrok, rodzaj szarości, martwej i pustej, broniącej dostępu światłu.

A jednak było coś jeszcze. Magia trzymająca Paranor w ukryciu. Obecna na każdym kroku, niewidzialna i nagle ukazująca się jak wirująca, zielonkawa mgła. Unosiła się w mroku i na krawędzi ich pola widzenia, ohydna i nieokreślona, a syk jej istnienia był jak szept morderczej żądz. Nie mogła ich dotknąć, bo osłaniała ich inna magia, mogła jednak obserwować. Mogła dokuczać, szydzić i przerażać. Mogła czekać z obietnicą tego, co się wydarzy, kiedy zniknie ich osłona.

To dziwne, że jej obecność jest tak wyraźna, pomyślał nagle Walker Boh. Jakby magia była żywym stworzeniem, łańcuchowym psem polującym w twierdzy, wyszukującym intruzów i ścigającym aż do śmierci. Jej obecność przypominała mu Rake'a w Eldwist, pełzacza przeszukującego ziemię swego

pana i oczyszczającego je z życia. Magii brakowało ciała Rake'a, ale uczucie było takie samo. Była wrogiem, wyczuwał Walker, z którym w końcu przyjdzie się im zmierzyć.

W bibliotece druidów, za półkami osłaniającymi kryptę, odnaleźli Kronikę, rzędy opasłych, oprawnych w skórę ksiąg zostawionych we wnętrzu twierdzy. Magia, która niegdyś zasłaniała je przed oczami śmiertelników, zniknęła wraz z odejściem twierdzy ze świata ludzi. Walker przyglądał się księgom przez chwilę, zastanawiając się, po czym wybrał jedną na chybił trafił, usiadł i zaczął czytać. Coglin i Pogłoska dotrzymywali mu towarzystwa, milczący i nie narzucający się. Czas mijał, ale światło się nie zmieniało. W Paranorze nie było dnia ani nocy. Nie było przeszłości ani przyszłości. Było tylko tu i teraz.

Walker nie wiedział, jak długo czytał. Nie zmęczył się i nie odczuwał potrzeby snu. Nie jadł ani nie pił, nic był spragniony ani głodny. Coglin powiedział mu raz, że w świecie, do którego odesłano Paranor, potrzeby śmiertelników nie mają znaczenia. Były duchami, tak jak ich dwóch i bagienny kot. Walker nic zadawał pytań. Nie było potrzeby.

Czytał przez całe godziny, dni, a może nawet tygodnie; nie wiedział. Z początku czytał bez zrozumienia, widząc jedynie, jak słowa przepływają mu przed oczami, a opowieść była daleka i odległa jak Życie, które znał przed snami o Allanonie. Czytał o druidach i ich naukach, świecie, który usiłowali stworzyć po kataklizmie Wielkich Wojen, o Pierwszej Radzie na Paranorze i ocaleniu ras z pogromu. Cóż to dla niego znaczyło? – zastanawiał się. Co z tego ma teraz znaczenie?

Skończył jedną księgę i zaczął następną, a potem następną, powoli przedzierając się przez tomy, nieustannie poszukując

czegoś, co powie mu to, co powinien wiedzieć. Były tam litanie zaklęć i czarodziejskich formuł, magie pomagające w niewielkich potrzebach, o uzdrawianiu dotykiem i myślą, o pomaganiu żyjącym stworzeniom i uczynieniu ziemi znowu całością. Czytał je i nic mu nie mówiły. Jak miał przemienić się z człowieka, którym był, w tego, kim miał być? Stronice odwracały się, słowa płynęły, a odpowiedzi się nie ujawniały.

Nie mógł siedzieć cały czas, chociaż nie rozpraszały go ludzkie potrzeby, nie spał, nie jadł i nie pił. Od czasu do czasu chodził dokoła, myślał o czym innym i oczyszczał umysł z opowieści Kroniki. Czasami Coglin chodził wraz z nim jak cień. Kiedy indziej był to Pogłoska. Zupełnie jak w Hearthstone, kiedy chodzili po jego śladach, dotrzymując sobie towarzystwa, raz jeszcze żyjąc w zaciszu doliny. Ale Hearthstone odeszło, zniszczone przez cieniowce, Paranor mroczny i martwy i żadne gorące pragnienie nie mogło przywrócić przeszłości. Nie było powrotu, myślał Walker nieraz. Wszystko przepadło.

Po jakimś czasie zaczął wpadać w rozpacz. Skończył prawie czytanie Kroniki druidów i jeszcze nie odkrył niczego. Dowiedział się wszystkiego, czym i kim byli druidzi, czego nauczali i w co wierzyli, jak żyli i czego pragnęli dokonać, ale nic nie mówiło mu, jak doszli do swych umiejętności. Nie było wskazówki, skąd pochodził Allanon, jak nauczył się być druidem, czy też kto go nauczył, ani też co było przedmiotem tych nauk. Księgi pozbawione były jakichkolwiek zaklęć, które zapieczętowały twierdzę, oraz wskazówek, jak odwrócić zaklęcie.

— Nie mogę tego pojąć, Coglinie – przyznał w końcu Walker Boh, pozbawiony nadziei. Ostatni tom leżał otwarty przed nim na kolanach. – Przeczytałem wszystko i nic nie pomogło. Czy to możliwe, żeby brakowało jakichś tomów? Czy można spróbować

czegoś jeszcze?

Ale Coglin pokręcił głową. Odpowiedzi, jeśli istniały na piśmie, muszą być tutaj. Nie było innych ksiąg, innych źródeł odniesienia. Wszystko było zawarte w Kronice. Wszystkie nauki druidów zaczynały się i kończyły właśnie tutaj.

Walker wyszedł sam, krocząc w gniewie korytarzami, czując się zdradzony i oszukany, ofiara kaprysu i próżności druida. Z goryczą myślał o wszystkim, co mu uczyniono z powodu tego, kim był, wszystkim, co zmuszony był znieść. Jego dom został zniszczony. Stracił ramię i ledwo uszedł z życiem. Bez przerwy okłamywano go i zwodzono. Sprawiono, że czuł się odpowiedzialny za losy całego świata. Użalił się nad sobą i zacisnął usta, napominając się. Dość tego, beształ się. Żył, czyż nie? Inni nie mieli tyle szczęścia. Wciąż prześladował go obraz twarzy Ożywczej; nie potrafił zapomnieć jej spojrzenia, kiedy pozwolił jej upaść. Pamiętaj o mnie, błagała Morgana Leah – ale do niego również przemawiała. Pamiętaj o mnie – jakby ktoś, kto ją znał, mógł kiedykolwiek zapomnieć.

W roztargnieniu skręcił w korytarz prowadzący do środka twierdzy i wejścia do czarnej studni, z której narodziła się magia pieczętująca Paranor. Ciągłe myślał o Ożywczej i raz jeszcze przypomniał sobie wizję jej losu, jaką ukazał mu Grimpond. Poczul przypływ goryczy. Wizja oczywiście okazała się prawdą. Wizje Grimponda nigdy się nie myliły. Najpierw utrata ramienia, potem Ożywczej, potem...

Zatrzymał się nagle, znieruchomiał z przerażenia i jak pomnik wpatrzył się tępo w przestrzeń na środku przepastnego korytarza. Zapomniał. Była trzecia wizja. Odetchnął, aby się uspokoić, odmalowując ją w myślach. Stał we wnętrzu pustego, pozbawionego życia zamku, a za nim skradała się śmierć, której

nie mógł uciec, ścigała go bez wytchnienia...

Gwałtownie wypuścił powietrze. Ten zamek? Zamknął oczy, próbując sobie przypomnieć. Tak, to mógł być Paranor.

Czuł przyspieszony puls. W tej wizji czuł pragnienie ucieczki, ale nie mógł biec. Stał bez ruchu, kiedy zbliżała się do niego śmierć. Czarno odziana postać stała przed nim, trzymając mocno i nie pozwalając uciec.

Allanon.

Poczuł, jak napiera nań cisza. Co się stało z tą trzecią wizją? – zastanawiał się. Kiedy miała się wydarzyć? Czy miała wydarzyć się tutaj?

I nagle zrozumiał. Ta pewność wstrząsnęła nim, ale nie było wątpliwości. Wizja spełni się tak jak pozostałe i spełni się tutaj. Paranor był zamkiem, a krocząca za nim śmierć to mroczna magia przywołana do zapiecztowania twierdzy. Allanon naprawdę stał przed nim, trzymając mocno – nie fizycznie, ale znacznie mocniej.

Było jednak coś jeszcze, część jeszcze nie przepowiedziana. Niekoniecznie pisana mu była śmierć. Takie było oczywiste znaczenie wizji Grimponda. Chciał, aby Walker nad tym myślał. Wizje zawsze zwodziły. Obrazy ukazywano tak sprytnie, że można je było interpretować na wiele sposobów. Trzeba było bawić się nimi jak kawałkami układanki, aby sprawdzić, czy pasują.

Oczy Walkera śledziły ciemne cienie dokoła. A jeśli znajdzie sposób, aby odwrócić spryt Grimponda na własny użytek? Jeśli tym razem rozszyfruje przepowiednie mściwego ducha, zanim się wydarzą? I przypuścmy – ledwo śmiał mieć taką nadzieję – że zrozumienie wizji dostarczy mu klucza do zrozumienia swego losu we wnętrzu twierdzy?

Poczuł wzbierający we wnętrzu ogień – płonąca determinację. Nic miał jeszcze odpowiedzi, których pragnął, ale miał coś równie dobrego. Miał sposób ich poznania.

Powrócił w myślach do swego wejścia do Paranoru, do spotkania z Coglinem i Pogłoską. Brakujące kawałki były właśnie gdzieś tam. Raz jeszcze czytał Kronikę druidów, widząc słowa na papierze, znowu czując ciężar ksiąg, materię oprawy. Coś tam było, coś, czego nie zauważył. Zamknął oczy, w wyobraźni raz jeszcze przeżywając wszystko, przywołując w myślach bieg wydarzeń. Szukał, stojąc samotnie w holu, otulony w ciszę i mrok; czuł, jak rozstępują się brzegi chaosu, słyszał nowe dźwięki, gotowe szeptać do niego. Zszedł w głąb siebie, sięgając do najciemniejszych miejsc, gdzie skrywały się tajemnice. Magia powstała, aby go powitać. Zobaczy wszystko, jeśli będzie szukał wystarczająco długo, powtarzał sobie. Osunął się w najcichszą, najbardziej spokojną cząstkę siebie i pozwolił wszystkiemu odejść.

Na co patrzył?

Ktokolwiek będzie miał słuszną sprawę oraz prawo, posłuży się nim zgodnie z jego przeznaczeniem. Gwałtownie otworzył oczy. Powoli podniósł ręce, szukając po omacku. Jego palce odnalazły to, czego szukał, starannie ukryte w fałdach ubrania, i zacisnęły się.

Czarny Kamień Elfów.

Ściskając talizman, poczuł, jak napływają ku niemu nowe możliwości, i ruszył w pośpiechu przed siebie.

Rozdział XV

Wren Ohmsford przykucnęła w ciszy wraz z towarzyszami w ciemnościach tuneli biegnących pod Keel, podczas gdy Sowa pracował w milczeniu gdzieś przed nimi, uderzając krzesiwem o kamień, aby skrzesać iskrę, od której zajmie się pokryta smołą pochodnia leżąca na jego kolanach. Magia oświetlająca tunele, kiedy Wren po raz pierwszy przybyła do miasta, odeszła teraz, wraz z Arborlon i elfami zniknęła we wnętrzu Loden. Triss wszedł ostatni, znosząc z mostu Ellenroh, i zamknął za sobą drzwi, oddzielając ich od wrzącego na zewnątrz szaleństwa, ale równocześnie zamykając ich w pułapce żaru i odoru ognia Killeshan.

W ciemnościach przed nimi zabłysła iskra, powołując do życia ciemnopomarańczowy płomień i rzucając dokoła cienie. Głowy odwróciły się do miejsca, gdzie Sowa już ruszał naprzód.

— Pospieszcie się – wyszeptał do nich szorstkim, nagłym tonem. – Mroczne stwory niedługo znajdą drzwi.

Powoli popęzli za nim. Eowen, Dal, Gavilan, Wren, Garth, Triss niosący Ellenroh, a na końcu Cort. Za nimi, drążąc w ziemi z krecią wytrwałością, ścigało ich wycie i wrzaski demonów. Na skórze Wren perlił się pot, gorąco w tunelach było duszące i dotkliwe. Otarła oczy, mrugając przed piekącą wilgocią, i szła dalej z wysiłkiem. Idąc, błędziła myślami, wspominając Ellenroh stojącą na środku mostu, wzywającą Loden, przywołującą światło, które pochłonie całe Arborlon i zanieśnie je w lśniące głębie Kamienia. Widziała, jak miasto znika, jakby go nigdy nie było – budynki, ludzie, zwierzęta, drzewa, trawy, wszystko. Teraz oni byli odpowiedzialni za Arborlon, mieli je chronić, ukołysane

we wnętrzu magii silnej siłą dziewięciu mężczyzn i kobiet, którym ją powierzono.

Przedzierała się przez korzenie i pajęczę sieci, a ogrom tego zadania kładł się na jej barki przygniatającym ciężarem. Była tylko jedna i to nie najsilniejsza. A jednak nic mogła się pozbyć uczucia, że odpowiedzialność nieuchronnie należy tylko do niej, zadanie Allanona, przyczyna, dla której wyruszyła na poszukiwanie elfów. Odsunęła od siebie to uczucie, w pośpiechu wpadając na Gavilana.

I nagle ziemia zadrżała.

Rząd postaci się zatrzymał, głowy pochyliły się obronnym gestem, kiedy z sufitu tuneli spadł na nich deszcz pyłu. Podłoże znowu zadrżało, fale wstrząsów narastały, kołysząc ziemią, jakby jakiś olbrzym pochwycił wyspę w obie dłonie i chciał ją unieść.

— Co się dzieje? – Wren usłyszała pytanie Gavilana. Opadła na kolana, aby nie stracić równowagi. Czuła uspokajającą dłoń Gartha na ramieniu.

— Nie zatrzymujcie się! – warknął Sowa. – Szybko!

Biegli teraz, skuleni przed całunem pyłu, który kłębił się w powietrzu. Wstrząsy nie ustawały, spod ziemi unosiło się i opadało dudnienie. Drzenie rzucało ich na ściany tunelu i sprawiało, że z trudem utrzymywali się na nogach. Sekundy biegły, uciekając tak szybko jak oni sami przed nadchodzącym koszmarem. Część tunelu zawaliła się za nimi, zalewając ich fontanną pyłu. Słyszeli chrzęst kamienia, pęknięcie lawy, jakby pękała skorupa ziemi. Rozległ się huk, kiedy ogromny głaz wypadł przez szczelinę i uderzył w podłoże tunelu.

— Wyprowadź nas stąd, Sowo! – wołał gorączkowo Gavilan.

Wspinali się teraz, wyłażąc z tunelu przez otwór w ziemi, przedzierając się do bladego, porannego światła. Tunel za nimi

zawalił się całkowicie, upadając w pędzie powietrza, a przez otwór, którym uciekli, buchnął pył. Drżenie ciągle przetaczało się przez szczyty Morrowindl, rozdzierając jej powierzchnię i krusząc skały. Wren poderwała się na nogi wraz z innymi i stanęła pod osłoną zagajnika umierających akacji. Patrzyła za siebie.

Keel roił się od demonów, kiedy ich czarne ciała szukały drogi pokonania znienawidzonej bariery. Magia odeszła, ale wstrząsy, które ją zastąpiły, okazały się jeszcze bardziej przekłętą przeszkodą. Demony uciekały ze szczytów, wrzeszcząc, kiedy spadały strząsane jak jesienne liście w czasie wichury. Keel pękał, kiedy góry pod nim drżały, tocząc odłamki skał, jakby cały miał zaraz upaść. Z wnętrza ziemi buchał ogień, a krater, z którego magia zmiotła Arborlon stał się kotłem żaru i płomieni. Para syczała i tryskała gejzerami. Wysoko na zboczach Killeshan skorupa gór pękała i zaczęła wylewać stopioną skałę.

— Killeshan się budzi – powiedziała cicho Eowen i wszyscy się odwrócili. – Zniknięcie Arborlonu naruszyło równowagę rzeczy na Morrowindl; w magii powstała próżnia. Zniszczenie sięga do rdzenia wyspy. Wulkan już nie śpi, nie jest spokojny. Ogień w jego wnętrzu zapłonie jeszcze gwałtowniej, gazy i żar zgromadzą się, aż wybuchną na zewnątrz.

— Jak długo to potrwa? – warknął Sowa.

Eowen potrząsnęła głową.

— Tu, na wyższych zboczach, parę godzin, niżej parę dni – jej oczy lśniły. – To początek końca.

Przez chwilę panowała niepewna cisza.

— Dla demonów, być może, ale nie dla nas. – To Ellenroh Elessedil przemówiła, znowu na nogach, wyrwana z więzów magii Loden. Uwolniła się z podtrzymujących rąk Trissa i

przeszła pomiędzy nimi. Patrzyła spokojnie, pewnie i bez lęku. – Nie czas teraz na wahanie – oznajmiła. – Pójdziemy szybko i cicho na brzegi Błękitnej Granicy i odejdziemy z wyspy tam, gdzie nasze miejsce. Trzymajcie się razem i miejcie oczy otwarte. Sowo, zabierz nas stąd.

Aurin Striate odwrócił się natychmiast, a reszta poszła za nim. Nie było pytań – obecność Ellenroh Elessedil była tak silna. Wren zerknęła w tył i ujrzała, jak babka podchodzi do Eowen, która zdawała się wpaść w trans, obejmuje widzącą i prowadzi ją delikatnie. Za nimi blask ognia wulkanu zabarwił Keel i demony purpurą krwi. Wydawało się, że wszystko zniknęło w powodzi czerwieni.

Niczym cienie w zamglonym świetle, kompania zsuwała się po zboczach Killeshan przez nierówną powierzchnię lawy, uschłych drzew i krzewów. Wszystkie dźwięki zostały za nimi, gdzie demony skupiły się na wrogu, którego już tam nie było. Przed nimi był tylko spokojny bieg Rowen, która toczyła swe szare wody do morza. Wstrząsy biegly za nimi, drzenie marszczące połączenie lawy, potrząsające drzewami i zaroślami; jednak ich siła była mniejsza, im bardziej się oddalali. Mgła zasłaniała powietrze przed nimi, gasząc jasność wczesnego poranka i przysłaniając kształty. Oddech Wren się uspokoił, a ciało ochłonęło. Nie czuła się już w pułapce tak jak w tunelu, a gorąco zelzało. Zaczęła się odprężyć, czuła, jak łączy się z ziemią, jej zmysły wysuwały się jak niewidzialne czułki, aby odnaleźć to, co ukryte.

A mimo to nie udało się jej wysledzić demonów szykujących się przed nimi do ataku. Było ich ponad tuzin, małych i zdeformowanych, powykrzywianych jak martwe drzewa, pędzące z trzaskiem gałęzi i krzewów, aby ich pochwycić. Eowen

upadła, a Sowa zniknął pod lawiną kończyn. Pozostali skupili się, uderzając w napastników, czym kto miał pod ręką, i otaczając ochronnym kręgiem Eowen. Myśliwi elfów walczyli z ponurą zawziętością, odrzucając demony, jakby były tylko cieniami. Walka skończyła się, niemal zanim się zaczęła. Niektóre z czarnych stworów uciekły, reszta leżała martwa na ziemi.

Sowa pojawił się znowu zza skarpy z oddartym rękawem i podrapaną twarzą. Skinął na nich bez słowa, skręcając ze ścieżki, którą podążali, i sprowadził ich szybko ze szczytu wzniesienia do wąskiego żlebu wijącego się przed nimi we mgle. Patrzyli teraz uważnie, czujni, pamiętając, że demony mogą być wszędzie i że nie wszystkie odeszły do Keel. Niebiosa ponad ich głowami przybrały dziwną żółtą barwę, kiedy słońce weszło, bezskutecznie usiłując przeniknąć mgłę. Wren skradała się z nożem w każdej dłoni, a jej wzrok czujnie omiatał cienie w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu.

Zbliżali się do Rowen, kiedy Aurin Striate zatrzymał ich nagle. Przykucnął, gestem nakazując im zrobić to samo, potem odwrócił się, kazał im zostać na swoich miejscach i zniknął we mgle. Pojawił się po niecałych pięciu minutach. Ostrzegawczo pokręcił głową i skinął w lewo. Skradali się na kolanach wzdłuż linii skał, gdzie skarpa skrywała ich przed Rowen. Stamtąd szli równolegle do biegu rzeki, po czym ostrożnie weszli ponownie na wzniesienie. Wren zerknęła na szarą taflę rzeki, pustą i szeroką, ginącą w oddali.

Nic się nie poruszyło.

Sowa dołączył do nich, marszcząc wynędzniałą twarz.

— Brody pełne są stworów, z którymi nie chcemy mieć nic do czynienia. Przejdziemy więc tutaj. Jest za szeroko, żeby przepłynąć. Zbudujemy tratwę wystarczająco dużą, aby nas

utrzymała. Nie ma innego wyjścia.

Poszedł z myśliwymi elfów po drzewo, zostawiając z kobietami Gavilana i Gartha. Ellenroh podeszła do Wren, uśmiechnęła się krzepiąco i uściskała ją krótko. Wszystko będzie dobrze, mówiła, ale w wygięciu jej brwi czaił się niepokój. Odeszła cicho.

— Poczuj ziemię w dłoniach, Wren – wyszeptała nagle Eowen, klękając przy niej. Wren schyliła się i poczuła w ciele wstrząsy. – Magia rozpada się wokół nas – wszystko, co pragnęły zbudować elfy. Materia naszej arogancji i lęku zaczyna się rozplatać. – Włosy koloru miedzi opadały niesfornie na zielone oczy, a Eowen wyglądała jak ktoś przebudzony z koszmarne snu. – Przemówi do ciebie, Wren. Będziesz wiedziała.

Potem odeszła i ona, podchodząc do królowej. Wren nie była pewna, o czym mówiła widząca, przypuszczała jednak, że chodziło o Ellenroh i że pewne tajemnice wciąż pozostawały nieujawnione.

Mgła wirowała dokoła, przysłaniając Rowen, wijąc się przez szczeliny i pęknięcia w ziemi, zmieniając kształty wszystkiego, co napotykała. Wrócili Cort i Dal, wlokąc za sobą długie gałęzie, i znowu zniknęli. Sowa przeszedł przez mrok, zmierzając w stronę rzeki, chudy i pochylony niczym na polowaniu. Wszystko się poruszało, strzępy na wpół zapomnianych wspomnień, które zwodziły i oszukiwały, ukazując rzeczy, których nigdy nie było.

Nagła konwulsja wstrząsnęła ziemią. Wren krzyknęła wbrew sobie i schyliła się, aby złapać równowagę. Wody Rowen jakby uniosły się nagle i fala roztrzaskała się o brzeg, aby za chwilę potoczyć się w dal.

Garth dotknął jej ramienia.

— Wyspa się rozpada.

Skinęła głową, wracając myślą do słów Eowen, że zbliżający się kataklizm był wynikiem przerwania niewidzialnych nici magii. Myślała, że widzącej chodziło wyłącznie o użycie Loden przez Ellenroh, ale teraz uznała, że chodziło o coś więcej. Jej słowa oznaczały, że rozpadanie się magii miało szerszy zakres niż tylko zabranie Arborlonu, że gdzieś w przeszłości elfy pragnęły uczynić coś jeszcze i poniosły porażkę, czego bezpośrednim rezultatem były terazniejsze wydarzenia. Starannie zachowała tę informację do czasu, kiedy będzie mogła ją wykorzystać.

Garth zszedł, aby pomóc myśliwym elfów, którzy zaczęli wiązać kłody na tratwę. Gavilan rozmawiał z Ellenroh przyciszonym głosem, a w jego oczach odbijał się niepokój i zniecierpliwienie. Wren przyglądała mu się uważnie przez chwilę, porównując go z dawnym Gavilanem. Napięcie i pogarda, dwa różne obrazy. Uznała Gavilana za intrygującą mieszankę możliwości i pokus. Lubiła go; chciała się doń zbliżyć. Ale było w nim coś skrytego, co ją martwiło, czego nie potrafiła określić.

— Jeszcze parę minut – pocieszył ją Sowa, przechodząc obok niej jak cień, i zniknął znowu we mgle.

Chciała wstać, kiedy coś małego i szybkiego wyskoczyło spod ściółki i skoczyło na nią. Potoczyła się w tył, rozpaczliwie machając rękami, i zdała sobie sprawę, że uczezione jej stworzenie to Faun. Roześmiała się mimo woli i przytuliła drzewną wiewiórkę.

— Faun! – zawołała, tuląc dziwaczne stworzonko. – Myślałam, że przytrafiło ci się coś strasznego. Ale wszystko w porządku, tak? Tak, malutka, wszystko dobrze.

Wiedziała, że Gavilan i Ellenroh patrzą na nią z zaskoczeniem. Wstała szybko, machając do nich uspokajająco i uśmiechając się

mimo woli.

— Hrrwwll. Zapomniałaś o swojej obietnicy?

Odwróciła się gwałtownie i ujrzała Stresę wpatrującego się w nią na skraju mroku, jeżącego kolce.

Uklękła pospiesznie.

— A więc ty też żyjesz, panie splinterze. Martwiłam się o was oboje. Nie miałam jak sprawdzić, czy jesteście bezpieczni, ale miałam nadzieję, że tak. Czy znaleźliście się, gdy odeszłam?

— Tak, Wren z rodu elfów – odpowiedział splinter, spokojnie ważąc słowa. – Pfftt. Wiewiórka przybiegła o świcie z poszarpanym futerkiem, skrzecząc o tobie. Znalazła mnie w dole rzeki, gdzie czekałem. A teraz – twoja obietnica. Nie zapomniałaś, prawda?

Wren skinęła głową z powagą.

— Nie zapomniałam, Streso. Kiedy opuścę miasto, miałam zabrać cię ze sobą do Westlandii. Dotrzymam słowa. Martwiłeś się, że tego nie zrobię?

— Hsst, pfftt! – Splinter położył kolce. – Miałem nadzieję, że twoje słowo coś znaczy. Nie jak... – urwał szybko.

— Babciu! – zawołała Wren do królowej i Ellenroh podeszła do niej. Loki opadały jej na twarz jak welon. – Babciu, to moi przyjaciele, Stresa i Faun. Pomogli Garthowi i mnie znaleźć drogę do miasta.

— A zatem są również moimi przyjaciółmi – oświadczyła Ellenroh.

— Pani – odrzekł sztywno Stresa, nie całkiem zachwycony.

— Co to jest? – zapytał Gavilan, a w jego oczach migotało rozbawienie. – Kot? Myślałem, że wszystkie wyginęły.

— Zostało nas parę, ssstt, nie dzięki wam – oznajmił zimno Stresa.

— Zuchwalec, co? – Gavilan nie potrafił ukryć niezadowolenia.

— Babciu – odezwała się szybko Wren, kładąc koniec tej wymianie zdań. – Obiecałam Stresie, że zabiorę go z nami, kiedy opuszczę wyspę. Muszę dotrzymać słowa. Faun też musi iść. – Przytuliła kosmatą wiewiórkę, która nawet nie podniosła oczu z jej ramienia, przylegając do dziewczyny jak druga skóra.

Ellenroh spojrzała z powątpiewaniem, jakby zabranie zwierząt sprawiało trudności, których Wren nie pojmowała.

— Nie wiem – odrzekła cicho. Wokół niej gwizdał wiatr, zbierając siły w mroku. Spojrzała na myśliwych elfów ładujących na tratwę bagaże i zapasy. – Ale skoro obiecałaś... – powiedziała w końcu.

— Ciociu Eli! – warknął gniewnie Gavilan.

Królowa utkwiała w nim lodowate spojrzenie.

— Milcz, Gavilanie.

— Ale znasz zasady...

— Milcz!

Gniew Gavilana był niemal namacalny. Unikał patrzenia na królową i Wren, ale patrzył na Stresę.

— To błąd. Powinieneś wiedzieć o tym najlepiej, kocie. Pamiętasz, kto cię stworzył? Pamiętasz po co?

— Gavilanie! – Królowa była wściekła. Myśliwi elfów oderwali się od pracy i spojrzeli w ich stronę. Z mgły wyłonił się Sowa. Eowen podeszła, aby stanąć przy królowej.

Gavilan stał jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się na pięcie i wolnym krokiem podszedł do tratwy. Przez chwilę nikt się nie poruszył. Stali we mgle jak pomniki.

— Przepraszam – odezwała się Ellenroh do nikogo wprost, a jej głos był cichy i zagubiony.

Odeszła potem, pociągając za sobą Eowen. Młodzieńcze rysy

twarzy były tak ściągnięte, że Wren powstrzymała się od pójścia za nią. Zamiast tego spojrzała na Stresę. Splinter roześmiał się gorzko.

— Nie chce, żebyśmy opuścili wyspę. Żadne z nich nie chce.

— Co się tutaj dzieje, Streso? – dopytywała się Wren, też rozgniewana, zdumiona wrogością, jaką obudziło pojawienie się Stresy.

— Rrrwwll. Wren Ohmsford. Nie wiesz? Hsst. Nie wiesz, prawda? Ellenroh Elesedil jest twoją babką, a ty nie wiesz. To dziwne!

— Chodź, Wren – powiedział Sowa, delikatnie dotykając jej ramienia. – Czas ruszać. Pospiesz się.

Myśliwi elfów przesuwali tratwę na brzeg rzeki, a reszta pospieszyła za nimi.

— Powiedz mi! – warknęła na Stresę.

— Przejazdźka po Rowen mija się z moim pojęciem dobrej zabawy – odrzekł splinter, ignorując ją. – Usiądę dokładnie pośrodku, jeśli pozwolisz. Hssttt. Zrobię tak, nawet jeśli nie pozwolisz.

Nowa seria wstrząsów targnęła wyspą i we mgle za nimi Killeshan wybuchł fontanną karmazynowego ognia. Trysnął popiół i dym, a z głębi ziemi uniósł się grzmot.

Wszyscy teraz wołali do Wren i dziewczyna pobiegła do nich. Stresa biegł krok za nią, a Faun przylgnęła do jej szyi. Była wściekła, że wszystko przed nią ukrywają, że kłócą się w jej obecności o sprawy, które celowo przemilczali. Nie znosiła takiego traktowania i stawało się jasne, że dopóki ich nie zmusi, nikt nie powie jej nic o elfach i Morrowindl.

Dotarła do tratwy, kiedy spychali ją na wody Rowen, odpowiedziała na otwarcie wrogie spojrzenie Gavilana takim

samym spojrzeniem i ostentacyjnie przysunęła się do Gartha. Myśliwi elfów byli już w wodzie po kolana, trzymając tratwę. Stresa wskoczył na pokład bez zaproszenia i usadowił się dokładnie pośrodku bagaży i zapasów, tak jak zapowiedział. Nikt nie zaprotestował; nikt się nie odezwał. Triss poprowadził Eowen i królową na miejsca. Ellenroh ścisnęła w obu dłoniach różdżkę Ruhk. Wren i Garth poszli za nią. Wspólnymi siłami członkowie niewielkiej kompanii odepchnęli tratwę od brzegu, pochylając się do przodu, aby kłody uniosły ich ciężar, i ścisnęły w dłoniach linę.

Prąd porwał ich niemal natychmiast i zaczął znosić. Ci najbliżej brzegu odpychali się nogami, byle dalej od skał i korzeni drzew, które mogły ich pochwycić. Killeshan ciągle wybuchał, plując ogniem i popiołem i grząc gniewnie. Niebo pociemniało od kolejnej warstwy mgły, jeszcze bardziej zasłaniając światło. Tratwa wypłynęła na środek kanału, kołysząc się na fali i nabierając szybkości. Sowa wykrzykiwał polecenia i na próżno próbowali pokierować tratwą dalej od brzegu. W skałach za nimi trysnęły gejzery, przedzierając się przez skorupę gór i wysyłając w niebo parę i gazy. Rowen zakołysała się od siły wstrząsu i zaczęła gwałtownie falować. Wody wzburzyły się i zaczęły tworzyć niewielkie wiry. Zawirowały śmieci niesione na grzbietach fal. Tratwę rzucało na wszystkie strony, a uczeplieni jej ludzie z całych sił starali się nie spaść.

— Zaprzyjcie się nogami! – krzyczał Sowa. – Trzymajcie się mocno!

Poniosło ich w dół rzeki, a przed oczami migają zamazane obrazy drzew i krzewów, poszarpane połacie lawy i mgła. Wulkan zniknął za nimi, osłonięty przez zakręt rzeki i początek

doliny, do której wpadała. Wren czuła, jak coś w nią uderza, toczy się i przelatuje obok, jakby ciągnięte niewidzialnym sznurem. Dłonie i palce zaczynały ją boleć od kurczowego trzymania lin, a ciało zdrewniało od lodowatych górskich wód. Pęd rzeki pochłonął ryk wulkanu, ale dalej czuła drzenie pod sobą, wznoszące się i opadające w konwulsjach. Przed nimi pojawiały się klify, wznosząc się nieprzebytym murem. A potem byli pomiędzy nimi. Skały rozstały się w cudowny sposób, pozwalając Rowen przetoczyć się wąskim wąwozem. Przez parę minut pędzili tak szybko, iż wydawało się, że niechybnie roztrzaskają się o skały. A potem kanał poszerzył się raz jeszcze, a urwiska zniknęły w oddali. Przeskoczyli kilka szerokich, leniwych fal i wynurzyli się na jeziorze ginącym w zielonej mgiełce dżungli.

Rzeka zwolniła i uspokoiła się. Tratwa przestała wirować i popłynęła leniwie na środek jeziora. Nad jego lśniąca taflą wisiała gęsta mgła, zasłaniając brzegi i przemieniając je w zieloną maskę milczenia. Gdzieś z oddali dotarł gniewny pomruk Killeshan. Pośrodku tratwy Stresa czujnie uniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Bystre oczy splintera spojrzały szybko na Wren.

— Ssspppttt! Musimy stąd uciekać! – naglił. – To nie jest, sspp, dobre miejsce! Tam jest Eden Murk!

— Co tam mamrocześ, kocie? – burknął poirytowany Gavilan. Ellenroh pochwyciła różdżkę Ruhk leżącą na pokładzie.

— Czy wiesz, gdzie jesteśmy, Sowo?

Aurin Striate pokręcił głową.

— Ale jeśli splinter twierdzi, że to niebezpieczne...

Woda za nimi uniosła się z hukiem i pojawiła się ogromna, pokryta skorupą czarna głowa. Powoli uniosła się we mgle, niemal ociężale, balansując na grubym, wijącym się cielsku,

pokrytym łuskami i guzami, które marszczyły się i lśniły w półmroku. Nozdrza ponad szczękami były niczym czułki szukające żeru. Zalśniły kły, kiedy otworzyła się zielonkawa paszcza, zakrzywionymi, podwójnymi rzędami. Wił się, aż zawisł nad nimi prawie pięćdziesiąt stóp w górze, a potem syknął jak nadeptnięty wąż.

— Wąż! – krzyknęła cicho Eowen.

Myśliwi elfów już ruszyli, pospiesznie zmieniając pozycje, aby stanąć pomiędzy potworem a swymi podopiecznymi. Z wyciągniętą bronią zaczęli wiosłować w stronę przeciwnego brzegu. Na próżno. Wąż bezszelestnie ruszył w pościg, doganiając ich bez wysiłku, i opuścił groźnie łeb z otwartą paszczą. Wren pracowała u boku Gartha, ale brzeg rzeki wydawał się bardzo odległy. Na środku tratwy Stresa nastroszył kolce, a jego głowa zniknęła.

Wąż uderzył w nich ogonem, kiedy ciągle byli sto jardów od brzegu, bijąc od spodu, unosząc tratwę i uczeploną jej dziewiątkę ludzi ponad wodę i wyrzucając ich w powietrze. Polecieli w górę i spadli z uderzeniem, które pozbawiło ich oddechów. Ludzie i paczki potoczyli się do wody. Eowen chlapała szaleńczo, zanurzyła się i Garth wyciągnął ją na powierzchnię. Tratwa zaczęła rozpadać się od siły uderzenia, wiązania poluzowały się, kłody pękały. Sowa wrzeszczał, żeby kopali i młócili wściekle nogami, bo nic innego nie mogli zrobić.

Wąż znowu zaatakował, wynurzając się z wód Rowen z sapnięciem, które rozpyliło wokół drobinki wody. Wrzasnął głębokim, dudniącym głosem, a olbrzymie, potworne ciało wilo się i wyginało. Wren i Garth puścili tratwę, kiedy bestia natarła, ciągnąc za sobą Ellenroh i Faun. Wren zobaczyła, jak Gavilan nurkuje, patrzyła, jak inni uciekają, a potem wąż uderzył i

wszystko zniknęło w eksplozji wody. Tratwa rozpadła się i uderzyła Wren, do której przywarła rozpaczliwie Faun. Wychynęła na powierzchnię, chwytając powietrze. Na wodzie kołysały się głowy, zalewane przez fale, które utworzył atak. Łeb węża raz jeszcze wynurzył się z mgły, ale tym razem Triss i Cort dopadli go, tnąc wściekle mieczami. Trysnęły łuski i krew i potwór wrzasnął jak oszalały. Otrząsał się, żeby odpędzić napastników, a potem zanurkował. Kiedy się zanurzył, Triss zatopił miecz w pokrytym łuskami łbie i wyrwał go. Cort wciąż atakował, z ponurym grymasem na młodej twarzy. Ciało węża zadrgało i wszyscy polecili do tyłu. Kłody z roztrzaskanej tratwy zawirowały na wodzie.

Jedna z nich uderzyła Wren w skroń. Przez chwilę widziała nurkującego węża, Gartha holującego do brzegu Eowen, Sowę i Ellenroh uczepionych kawałków tratwy, a potem wszystko zniknęło.

Unosiła się bez czucia na wodzie, lekka, odrętwiała do szpiku kości. Wiedziała, że tonie, ale nie mogła nic zrobić. Wstrzymała oddech, kiedy woda zamknęła się nad nią, a potem wypuściła powietrze i poczuła, jak woda zalewa jej usta. Krzyczała bezgłośnie. Czuła na szyi ciężar Kamieni Elfów; czuła, jak zaczynają płonąć.

Potem coś ją pochwyciło i zaczęło ciągnąć. Coś chwyciło najpierw tunikę, a potem przesunęło się po ciele. Dłoń, ramię – ktoś ją trzymał. Powoli zaczynała się wynurzać.

Wynurzyła się, plując i kaszląc, walcząc o oddech i wypluwając wodę z płuc. Jej wybawiciel był za nią, holując ku bezpieczeństwu. Położyła się osłabiona i nie stawiała oporu, wciąż ogłuszona uderzeniem i bliska utonięcia. Mrugała przed wodą zalewającą jej oczy i patrzyła na Rowen – rzeka ciągnęła

się wzburzoną, srebrną taflą, którą pokrywały już tylko śmieci. Wąż zniknął. Słyszała nawołujące głosy – Eowen, Sowy i jeszcze dwa. Słyszała swoje imię. Faun już jej nie trzymała. Co się stało z Faun?

Potem pojawiły się brzegi i jej wybawiciel stanął na dnie, unosząc ją i odwracając do siebie. Patrzyła na Gavilana.

— Dobrze się czujesz, Wren? – pytał bez tchu, umęczony wysiłkiem. – Spójrz na mnie.

Spojrzała i gniew, który czuła wcześniej, zbladł, kiedy ujrzała wyraz jego twarzy. Odbijały się na niej troska i lęk, prawdziwe i niewymuszone.

Chwyciła jego dłoń.

— W porządku. Już dobrze – odetchnęła głęboko. – Dziękuję, Gavilanie.

Patrzył, zaskakująco zakłopotany.

— Powiedziałem, że jestem tu, aby ci pomóc w potrzebie, ale nie spodziewałem się, że tak szybko skorzystasz z propozycji.

Pomógł jej wyjść na brzeg, gdzie czekała Ellenroh, aby wziąć ją w ramiona. Tuliła Wren niespokojnie i szeptała coś ledwo dosłyszalnie, słowa, których nie trzeba było słyszeć ani rozumieć. Był tam również Garth i Sowa, przemoczeni i żałośni, ale cali i zdrowi. Widziała, że większość zapasów ułożono na skraju wody; były przemoczone, ale ocalone. Eowen siedziała pod drzewem rozczochrana i zmęczona. Opiekował się nią Dal.

— Faun! – zawołała i natychmiast usłyszała znajome ćwierkanie. Spojrzała na Rowen i ujrzała wiewiórkę uczepioną kawałka drewna kilkanaście jardów od brzegu. Rzuciła się z powrotem do wody aż po szyję i kosmaty towarzysz podróży porzucił swoją łódeczkę i podpłynął szybko, aby wdrapać się na ramię Wren.

— Tutaj, tutaj, malutka. Jesteś już bezpieczna, tak?

Chwilę później chwiejnym krokiem wyszedł na brzeg Triss. Jedną stronę opalonej twarzy miał zdartą do krwi, a ubranie w strzępach i zakrwawione. Usiadł, aby Sowa go obejrzał, po czym poszedł do rzeki wraz z innymi. Stanęli razem i patrzyli na puste wody.

Nie było śladu Corta ani Stresy.

— Nie widziałem kota po ataku węża – powiedział cicho, niemal przepaszająco, Gavilan. – Przykro mi, Wren. Naprawdę mi przykro.

Skinęła głową, niezdolna mówić. Ból był zbyt wielki. Stała sztywno, z twarzą bez wyrazu, i na próżno rozglądała się za splinterem.

Porzuciłam go już dwukrotnie, myślała.

Triss schylił się, aby zacisnąć rzemienie miecza, który podniósł z ocalonych zapasów.

— Cort poszedł na dno razem z wężem. Chyba nie zdołał się uwolnić.

Wren ledwo go słyszała, pogrążona w ponurych rozmyślaniach. Powinnam go szukać, kiedy tratwa tonęła. Powinnam próbować mu pomóc.

Wiedziała jednak, że nic nie mogła uczynić.

— Musimy ruszać – powiedział cicho Sowa. – Nie możemy tu zostać.

Jakby dla podkreślenia jego słów Killeshan zagrzemiał w oddali, a mgła zawirowała leniwie w odpowiedzi. Wahali się jeszcze chwilę, stojąc na brzegu rzeki w milczeniu i bez ruchu, a z ubrań kapą im woda. Potem odwrócili się powoli, jedno po drugim. Zebrali bagaże, sprawdzili broń i weszli między drzewa. Za nimi wody Rowen ciągnęły się jak srebrnoszary całun.

Rozdział XVI

Kompania uszła niecałe sto jardów od skraju Rowen, kiedy skończyły się drzewa, a zaczął koszmar. Przed nimi otwierały się rozległe bagna, trzęsawiska gęsto porośnięte tatarakiem, wikliną, z rzadkimi kępami starych akacji i cedrów, których konary rosły ciasno przy sobie, jakby ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem broniły się przed wciągnięciem w muł. Wiele z nich już upadło, ich korzenie przegniły, a potężne pnie pochyliły się, jak powalone olbrzymy. Bagna ciągnęły się przez płataninę martwych drzew jak okiem sięgnąć – ogromne i nieprzeniknione błota okryte całunem mgły i ciszy.

Sowa zatrzymał ich niepewny i stanęli, patrząc z powątpiewaniem we wszystkie strony, szukając choćby najmniejszego śladu ścieżki. Ale nie było nic. Bagna były pochmurnym, posępnym labiryntem.

— Eden Murk – powiedział głucho Sowa.

Kompania miała ograniczony wybór. Mogli wrócić po własnych śladach do Rowen i podążyć w górę rzeki albo w dół, dopóki nie pokaże się lepszy szlak, lub też zagłębić się w bagna. W każdym wypadku będą musieli w końcu przemierzyć Blackledge – poszli bowiem za daleko w dół rzeki – aby ponownie dojść do doliny i przełęczy, które umożliwiłyby łatwe zejście. Nie było dość czasu, żeby podjąć próbę powrotu; demony były już teraz wszędzie. Sowa martwił się, że być może już szukają wzdłuż rzeki. Radził iść naprzód. Podróż będzie zdradliwa, ale demony tak prędko ich tutaj nie odnajdą. Za dzień, najwyżej dwa, dotrą do gór.

Po krótkiej naradzie kompania się zgodziła. Żadne z nich, z

wyjątkiem Wren i Gartha, od prawie dziesięciu lat nie było poza miastem – a nomadka i jej opiekun przeszli krainę tylko raz i niewiele wiedzieli o tym, jak uniknąć jej niebezpieczeństw. Sowa przez lata żył na zewnątrz. Nikt nie mógł się z nim sprzeczać.

Zaczęli wędrówkę przez Eden Murk. Sowa prowadził, a za nim podążali Triss, Ellenroh, Eowen, Gavilan, Wren, Garth i Dal. Szli gęsiego, rozciągniętym rzędem za Aurinem Striate, który próbował znaleźć wśród błota solidne oparcie dla stóp. Udawało mu się w większości wypadków, bo wciąż istniały skrawki ziemi, których bagno nie zakryło całkowicie. Bywało jednak i tak, że zmuszeni byli wejść do oleistej wody i błota, podążając wzdłuż kępy wysokich traw i zarośli, chwytając się za dłonie, aby nie upaść, i czując ohydne macki wyciągające się, aby ściągnąć ich w dół. Podróżowali powoli i ostrożnie przez mrok, ostrzegani przez Sowę, aby trzymali się blisko siebie. Niespokojnie zaglądali we mgłę, kiedy tylko woda zabulgotała i mlasnęło błoto.

Eden Murk, pomimo wiszącego nad nim całunu mgły, było rajem dla wielu żywych stworzeń. Większości nigdy nie widzieli i jedynie chwilami słyszeli. Skrzydlate stwory przelatywały przez mgłę niczym cienie, ciche, szybkie i ukradkowe. Owady bzyczały dokuczliwie, niektóre mieniające się barwami tęczy i duże jak dłoń dziecka. Zwierzęta przypominające szczury albo ryjówki czmychały pomiędzy resztkami drzew, wspinając się na nie jak koty, chwilę po wyśledzeniu ich. Były tam również inne zwierzęta, niektóre nawet duże. Chłapały i warczały w ciszy, ukryte za kurtyną mroku, myśliwi żerujący na głębszych wodach. Nie widzieli ich, chociaż pilnie wypatrywali.

Dzień posuwał się powolnym, dręczącym krokiem ku ciemności. Kompania zatrzymała się raz na posiłek, skulona przy pniu na wpół zatopionym przez bagno, plecami do siebie,

przepatrując ekran mgły. Powietrze było na zmianę gorące i zimne, jakby Eden Murk zbudowano z oddzielnych komnat, a wokół wznosiły się niewidzialne ściany. Woda z bagniska, podobnie jak powietrze, była chłodna albo ciepława, niekiedy głęboka, a niekiedy płytka, mieszanina barw i zapachów, z których żaden nie był przyjemny, a wszystko wciągało w siebie rosnące wyżej życie. Ziemia drżała co jakiś czas, przypominając, że gdzieś za nimi nie przestaje grozić Killeshan, plując gazami i żarem i wylewając z paszczy rzeki lawy spływające po zboczach góry. Wren miała ten obraz przed oczami, kiedy tak wlokła się za innymi – powietrze gęste od mgły, ziemia jak dywan ognia, a wszystko otulone warstwami pary i popiołu. Keel już zniknął. A co z demonami? – zastanawiała się. Czy także uciekły, czy były zbyt głupie, aby bać się lawy? A jeśli uciekły, to dokąd?

Na to ostatnie pytanie знаła jednak odpowiedź. Było tylko jedno miejsce, gdzie mogły pójść.

— Zrezygnują z oblężenia i pójdą z powrotem przez Rowen – zamigał ponuro Garth, kiedy zapytała go o zdanie. Przez chwilę szli razem przez pasmo ziemi, a bagno czało się na wyciągnięcie ramienia. – Ruszą z powrotem na urwiska, jeśli już tego nie zrobiły. Jeśli się nie pospieszymy, dopadną nas, zanim się stąd wydostaniemy.

— Może nie pójdą tak daleko w dół rzeki – podsunęła z nadzieją, migając palcami. – Może łatwiej im będzie trzymać się doliny.

Garth nie wysilił się na odpowiedź. Nie musiał. Wiedziała równie dobrze jak on, że jeśli demony będą trzymały się doliny, schodząc z Blackledge, dotrą do niższych regionów wyspy szybciej niż kompania i będą czekały na plażach.

Często myślała o Stresie, usiłując przypomnieć sobie, kiedy po

raz ostatni widziała splintera po ataku węża, próbując przypomnieć sobie coś, co da jej choćby najmniejszą nadzieję, że uciekł. Ale nie potrafiła. W jednej chwili był tam, skulony między bagażami, a w następnej zniknął razem ze wszystkim. Bolała nad nim w milczeniu i nic nie mogła na to poradzić. Przywiązała się do niego bardziej, niż powinna sobie na to pozwolić. Dumiała, tuląc do siebie Faun i czując się dziwnie oderwana od wszystkiego, kim i czym niegdyś była, obca, niepewna już swych umiejętności nomadki. Kiedyś wierzyła, że jest nomadką, i nic innego się nie liczyło.

Częściej, niż chciałyby przyznać, jej palce błędziły pod tunikę, aby odnaleźć Kamienie Elfów. Eden Murk były niezmierzone i nieprzejednane.

Groziły, że skruszą jej odwagę i siłę. Kamienie Elfów niosły pociechę; magia elfów była potęgą. Nienawidziła siebie za to uczucie i za to, że musi na nich polegać. Jeden dzień poza Arborlonem i już zaczynała rozpaczać. I nie była w tym osamotniona. Widziała niepokój w oczach wszystkich, nawet Gartha. Morrowindl w jakiś sposób odbierała im zdrowy rozsądek, grzebała racjonalne myślenie pod górą strachu i wątpliwości. To było w powietrzu, w ziemi, życiu wokół nich – rodzaj szaleństwa szepczący zdradliwe ostrzeżenia i kradnący życie z niedbałą pogardą. Raz jeszcze spróbowała wyobrazić sobie wyspę taką, jaka była niegdyś, i nie potrafiła. Nie widziała przeszłości, nie wiedziała, co się stało.

Co uczyniły elfy i ich magia...

I znowu pomyślała o tajemnicach, które skrywali – Ellenroh, Sowa, Gavilan, wszyscy. Stresa wiedział. Stresa by jej powiedział. A teraz musi to być ktoś inny.

W pewnym momencie dotknęła ramienia Eowen.

— Czy potrafisz zobaczyć, co się z nami stanie? Czy masz wizję? – zapytała szeptem.

Ale blada kobieta o szmaragdowych oczach uśmiechnęła się tylko smutno.

— Nie, Wren – odpowiedziała. – Wizja jest osłonięta przez magię, która przepływa przez serce wyspy. Widziałam pod osłoną Arborlonu. Tutaj jest tylko szaleństwo. Może gdybym dotarła za urwiska, gdzie jest światło słońca i dociera zapach morza... – Urwała.

Potem zstąpiła ciemność, osiadając wolno szarymi welonami i stopniowo przysłaniając światło. Szli od późnego ranka i ciągle nie było śladu Blackledge ani znaku końca bagniska. Sowa zaczął szukać miejsca, gdzie mogliby spędzić noc, nakazując szczególną ostrożność teraz, kiedy cienie znaczyły plamami ziemię i oszukiwały wzrok. Cisza dnia stopniowo ustępowała rosnącemu przyływowi odgłosów nocy, ostrej i chrapliwej mieszance unoszącej się echem z ciemniejszych plam. Listowie załśniło fosforyzującym srebrem, a latające owady połyskiwały i znikwały, przecinając wody bagniska.

Wychudzona postać Aurina Striate parła naprzód, pochylając się przed skradającym się zmierzchem. Wren na chwilę ujrzała Ellenroh mijającą Trissa i pochylającą się, aby powiedzieć coś Sowie. Kompania przecięła pasmo sięgającej pasa wikliny, a po lewej stronie gasnące światło lśniło matowo na powierzchni bagna.

Woda trysnęła gwałtownie, kiedy coś ogromnego wychynęło na powierzchnię, aby schwycić niespodziewany łup, i szczęki zamknęły się z trzaskiem, kiedy zniknęło im z oczu. Wszyscy podskoczyli i na chwilę stracili czujność. Wren ujrzała na wpół odwróconego Sowę, ostrzegającego gestem dłoni. Ujrzała coś

jeszcze, coś w połowie ukrytego w mroku przed nimi. Szybki ruch.

Sekundę później usłyszała znajomy syk.

Garth oczywiście nie mógł go usłyszeć, a mimo to coś ostrzegło go o niebezpieczeństwie. Skoczył na Wren i Eowen i przewrócił je na ziemię. Za nimi instynktownie przywarł do ziemi Dal. Na przedzie Sowa pochwyił Ellenroh Elessedil i pociągnął ją do tyłu, do Trissa i Gavilana. Deszcz igieł rozdarł trawy i liście. Wren usłyszała zaskoczone chrząknięcie. Przywarli wszyscy płasko do ziemi, ukryli się głęboko w trawach i dyszeli ciężko w nagłej ciszy.

Darter!

Nazwa stwora otarła się jak szorstka kora o nagą skórę, kiedy krzyknęła ją w myślach. Pamiętała, jak o mało nie zabił jej jeden z nich. Ramię Gartha puściło jej talię. Zamigała szybko, kiedy surowa, brodata twarz przysunęła się do jej twarzy.

Przed sobą usłyszała szloch swojej babki.

Jak oszalała, zapominając o wszystkim, podczołgała się przez wysokie trawy, a pozostali pospieszyli za nią. Minęła Gavilana, który ciągle nie wiedział, co się dzieje, i zrównała się z Trissem, kiedy kapitan Straży Domowej dotarł do królowej.

Ellenroh na wpół leżała, na wpół pochylała się nad Sową, tuląc go jednym ramieniem i ocierając spoconą twarz. Patykowate ciało Sowy wyglądało, jakby usunięto z niego wszystkie kości i pozostało jedynie ubranie. Oczy miał szeroko otwarte i rozpaczliwie usiłował pochwyć powietrze.

Kilka tuzinów trujących igieł dartera sterczało z jego ciała. Wziął na siebie cały impet ataku rośliny.

— Aurinie – wyszeptała królowa. Spojrzał na nią. – W porządku. Jesteśmy tu wszyscy.

Uniósł wzrok, aby odnaleźć Wren, i patrzyli na siebie w bezradnym niedowierzaniu.

— Sowo – odezwała się cicho Wren i wyciągnęła dłoń, aby dotknąć jego twarzy.

Oddech Aurina Striate stał się przyspieszony.

— Nic... nie czuję – wydyszał.

Potem przestał oddychać. Nie żył.

Wren nie spała tej nocy. Nie była pewna, czy ktokolwiek z nich spał, ale trzymała się z dala, nie mogła więc tego wiedzieć. Siedziała samotnie z Faun zwiniętą w kłębek na kolanach u stóp kosmatego cedru, którego pień porastał gęsto mech i winorośl, i wpatrywała się w bagno. Byli niecałe sto jardów od miejsca ataku, skuleni przed mgłą i nocą, otoczeni odgłosami zwierząt, których nie widzieli, zbyt wyczerpani tym, co się wydarzyło, aby iść dalej.

Ciągle widziała twarz umierającego Sowy.

Wiedziała, że to tylko traf, tylko pech. Nie mogli niczego przewidzieć i nie mogli zrobić nic, aby temu zapobiec. Do tej pory tylko raz natknęła się na dartera, jednego w ciągu całej podróży przez Morrowindl. Jakie były szanse, że tutaj znajdzie się jeszcze jeden? Jakim zrządzeniem losu z nich wszystkich trafiło właśnie na Aurina Striate? Prześladowało ją nieprawdopodobieństwo tego wydarzenia. Czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby strzegł ich Stresa?

Nie było twardej ziemi, aby pochować Sowę. Tylko grzęzawisko, gdzie wykopałyby go i pożarły bestie żyjące w Eden Murk. Znaleźli więc skrawek lotnych piasków i zatopili tam, gdzie pozostanie nietknięty.

Potem zjedli kolację, tyle, ile zdołali, rozmawiając cicho o niczym, niezdolni nawet do rozpamiętywania, co oznaczała dla

nich strata Sowy. Zjedli, wypili trochę więcej piwa niż zwykle i rozproszyli się w ciemnościach. Myśliwi elfów stanęli na straży, Triss do północy, Dal do świtu i zapadła cisza.

Tylko ślepy traf, powtarzała ponuro.

Miała tak wiele miłych wspomnień o Sowie, choć znała go tak krótko, i osłoniła się nimi przed bólem niczym tarczą. Sowa był dla niej miły. Był również uczciwy – na tyle, na ile mógł, nie zdradzając zaufania królowej. Dzielił się tym, co miał. Tamtego ranka powiedział jej, że potrafił przeżyć poza Arborlonem przez te wszystkie lata, ponieważ pogodził się z nieuchronnością swej śmierci, a przez to pokonał strach przed nią. To konieczne, powiedział, jeśli ciągle się o siebie boisz, nie możesz działać, a wtedy życie traci sens. Musisz sobie po prostu powiedzieć, kiedy zaczynasz się poddawać, że aż tak bardzo się nie liczysz.

Ale Sowa liczył się bardziej niż ktokolwiek. Sam na sam ze swymi myślami, podczas gdy inni spali albo udawali, że śpią, zrozumiała dokładnie, jak bardzo się liczył. Pamiętała, jak Ellenroh płakała w jej ramionach, kiedy Aurin Striate umarł, niczym mała dziewczynka, nie wstydząca się swego bólu, oplakująca kogoś, kto znaczył więcej niż wierny dworzanin, więcej niż towarzysz życia, więcej niż tylko przyjaciel. Nie zdawała sobie sprawy z głębi uczucia, jakie żywiła dla Sowy jej babka. Teraz i ona płakała. Gavilanowi zabrakło słów. Ujął Ellenroh za ręce i trzymał je w milczeniu, i impulsywnie tulił Wren, kiedy najbardziej tego potrzebowała. Garth i myśliwi elfów mieli kamienne twarze, ale w ich oczach odbijało się uczucie leżące pod tą maską. Wszystkim będzie brakowało Aurina Striate.

Jak bardzo go brak, stało się jasne o pierwszym brzasku i przekraczało to jakąkolwiek uczuciową stratę. Sowa był jedynym

pośród nich, który wiedział coś o przetrwaniu zagrożeń Morrowindl poza murami Arborlonu. Bez niego nie mieli nikogo, kto służyłby za przewodnika. Będą musieli polegać na własnym instynkcie i umiejętnościach, jeśli chcą ocalić siebie i wszystkich ukrytych we wnętrzu Loden. A to oznaczało wyjście z Eden Murk, zejście przez Blackledge, przebycie In Ju i dotarcie na plażę na spotkanie z Tygrysem Ty. Będą musieli dokonać tego, nie znając drogi, którą powinni podróżować, ani niebezpieczeństw, których powinni się wystrzegać.

Im więcej Wren o tym myślała, tym bardziej niemożliwe się to wydawało. Z wyjątkiem Gartha i jej samej, nikt z pozostałych nie miał prawdziwego doświadczenia w przetrwaniu w dziczy – a i dla nomadów był to obcy kraj, ziemia, którą przebyli tylko raz i to z pomocą, kraina pełna dołów – pułapek i niebezpieczeństw, których nigdy przedtem nie napotkali. Jak dużą pomoc mogą stanowić dla pozostałych? Jakie szanse mają bez Sowy?

Te rozmyślenia pozostawiły w niej gorycz i pustkę. Tak wiele zależało od tego, czy przeżyją, czy zginą, a teraz wszystko zdane jest na los szczęścia.

Garth spał najbliżej niej, mroczny cień na ziemi, cichy i nieruchomy we śnie jak w śmierci. Zaskoczył ją w tych dniach – zaskakiwał ją, od kiedy przybyli na Morrowindl. Nie potrafiłaby tego określić, niemniej jednak istniało. Zawsze zagadkowy Garth stawał się coraz bardziej daleki, stopniowo oddalając się od niej – prawie jakby uznał, że nie potrzebuje go już, że jego czas jako nauczyciela i jej jako ucznia już się skończył. Nie robił nic szczególnego ani nie zachowywał się inaczej; chodziło raczej o ogólne podejście, przejawiające się w subtelnym, niezauważalnym wycofywaniu się. Wciąż był tu dla niej, opiekuńczy jak zawsze, uważny i doradzający. A mimo to

równocześnie oddalał się, dawał jej przestrzeń i samotność, których nigdy wcześniej nie doświadczyła i które wprawiały ją w zakłopotanie. Wiedziała, że jest dość silna, aby sobie radzić samej; tak było od kilku lat. Myślała tylko, że jeśli chodzi o Gartha, nigdy nie będzie musiała się żegnać.

Być może strata Sowy w dramatyczny sposób zwróciła jej na to uwagę. Nie wiedziała. Trudno było jej teraz jasno myśleć, chociaż rozumiała, że musi. Emocje tylko rozpraszały i wprowadzały zamieszanie, a w końcu mogły nawet zabić. Dopóki nie wydostaną się z Morrowind i nie powrócą bezpiecznie do Westlandii, nie wolno tracić czasu na pragnienia i tęsknoty, ani na rozpamiętywanie, co było i nigdy się już nie powtórzy.

Czuła ucisk w gardle i napływające do oczu łzy. Nawet z Faun zwiniętą na kolanach, cichą obecnością Gartha, odnalezioną babką i świadomością własnej tożsamości, czuła się rozpaczliwie samotna.

Raz po północy, kiedy Triss zdawał wartę Dalowi, przyszedł do niej Gavilan. Nie mówił nic, tylko zarzucił jej na ramiona koc i usadowił się u jej boku. Przez wilgoć i chłód bagiennej nocy czuła ciepło jego ciała i czerpała z niego pociechę. Po chwili oparła się o niego, pragnąc dotyku. Wtedy wziął ją w ramiona, przyciągnął do piersi i tulił aż do rana.

O pierwszym brzasku podjęli wędrówkę przez Eden Murk. Teraz prowadził Garth, najbardziej z nich doświadczony. To Wren zaproponowała jego przewodnictwo i Ellenroh szybko się zgodziła. Nikt nie dorównywał Garthowi w tropieniu, a wydostanie się z bagniska wymagało umiejętności tropiciela.

Ale nawet Garth nie odkrył tajemnicy Eden Murk. Wszędzie wisiała mgła, przesłaniając niebiosa i otulając wszystko tak ciasno, że widoczność ograniczyła się do pięćdziesięciu stóp

przed nimi. Światło było szare i słabe, przesiane przez mgłę, odbite w wilgoci i tak rozproszone, że zdawało się dochodzić zewsząd. Nic nie wskazywało kierunku. Nawet mchy i porosty rosnące na bagnach skupiły się, niczym uciekinierzy przed nadchodzącą nocą, tak samo niepewne i zagubione jak kompania szukająca ich pomocy. Garth ustalił kurs i trzymał się go, ale Wren wiedziała, że nie znajdzie znaków, których potrzebował. Podróżowali, nie wiedząc, jaki obrać kierunek, niezdolni ocenić, jak daleko zaszli. Garth zatrzymywał swoje myśli dla siebie, ale Wren potrafiła wyczytać prawdę z jego oczu.

Podróż była równa, ale powolna, częściowo dlatego, że bagna były trudne do przejścia, a częściowo z powodu choroby Ellenroh Elessedil. Królową chwyciła w nocy gorączka i ogarnęła całe ciało z taką szybkością, że w ciągu paru godzin przeszła od bólu i zawrotów głowy do dreszczy i kaszlu. W południe, kiedy kompania zatrzymała się na szybki posiłek, jej siły gwałtownie opadły. Mogła chodzić, ale potrzebowała pomocy. Triss i Dal podtrzymywali ją na zmianę, otaczając ramionami jej kibić. Eowen i Wren po kolei sprawdziły jej rany, myśląc, że być może zadrapały ją i zatruiły kolce dartera. Jednak niczego nie znalazły. Nie było wyjaśnienia dla choroby królowej i mimo iż opiekowali się nią najlepiej, jak umieli, nikt nie znał leku, który mógłby pomóc.

— Głupio się czuję – zwierzyła się królowa Wren. Jej mizerna twarz ociekała potem. Siedziały razem na pniu drzewa, jedząc tę odrobinę sera i chleba, które stanowiły ich posiłek, otulone w duże opończe. – Czułam się dobrze, kiedy szłam spać, a potem obudziłam się w nocy z dziwnym uczuciem. – Zaśmiała się sucho. – Nie potrafię tego inaczej opisać. Po prostu nie czułam się dobrze.

— Wydobrzejesz, kiedy znowu się prześpisz – zapewniała Wren. – Wszyscy jesteśmy wykończeni.

Ale Ellenroh nie dokuczało zwykle zmęczenie, a jej stan pogarszał się wraz z upływem dnia. Przed zapadnięciem nocy upadała tak często, że myśliwi elfów po prostu ją nieśli. Kompania spędziła popołudnie, taplając się w zimnym błocku. Chłód przeniknął jakoś w głąb wulkanicznego gorąca bagniska i został w nim uwięziony, zapuścił korzenie w mule i zamienił wodę i powietrze w lód. Ellenroh, już i tak na skraju wyczerpania, słabła coraz bardziej. Ta odrobina sił, która jej pozostała, zdawała się szybko wyciekać. Kiedy w końcu zatrzymali się na noc, była nieprzytomna.

Wren patrzyła, jak Eowen obmywa jej wymiętą twarz, kiedy Gavilan i myśliwi elfów rozbijali obóz. Garth stał u jej boku. Jego śniada twarz była bez wyrazu, ale w oczach odbijało się zwątpienie. Kiedy spojrzała nań, ledwo dostrzegalnym ruchem potrząsnął głową.

— Nie potrafię odczytać tych znaków – zamigał. – Nie potrafię ich nawet odnaleźć.

Było to gorzkie wyznanie. Garth był dumnym człowiekiem i niełatwo przyjmował porażkę. Spojrzała mu w oczy i dotknęła lekko w odpowiedzi.

— Znajdziesz sposób – zamigała.

Znowu zjedli, ponieważ było to konieczne, stłoczeni na niewielkim skrawku wilgotnej ziemi, która była suchsza od reszty otoczenia. Ellenroh spała otulona w dwa koce, trzęsąc się od gorączki i dreszczy, mamrocząc od czasu do czasu i rzucając się we śnie. Wren podziwiała siłę woli babki. Ani razu, od kiedy zmagала się z chorobą, nie wypuściła z dłoni różdżki Ruhk. Przyciskała ją do siebie, jakby własnym ciałem chciała osłonić

miasto i ludzi zamkniętych w magii Loden. Gavilan kilkakrotnie ofiarował, że uwolni ją od tego zadania, ale uparcie odmawiała. Przyjęła to brzemię na swoje barki i nie chciała go zrzucić. Wren pomyślała, za jaką cenę babka stała się tak silna – strata rodziców, męża, córki, przyjaciół – niemal wszystkich bliskich. Całe jej życie odmieniło się wraz z nadejściem demonów i zamknięciem Arborlonu za murami. Wszystko, co pamiętała jako dziecko Morrowindl, odeszło. Z obietnicy przyszłości pozostała tylko możliwość, że elfy, dzięki jej zdecydowaniu i zaufaniu, odrodzą się być może w lepszym świecie. Świecie ucisku federacji, strachu przed cieniowcami, świecie, który, jak Morrowindl, odmieniło użycie magii.

Uśmiech Wren był niechętny, gorzki i ironiczny.

Nagle uderzyło ją podobieństwo pomiędzy wyspą i głównym lądem, Morrowindl i czterema krainami. Były różne, a jednak dotknięte tym samym rodzajem szaleństwa. Oba światy nawiedziła plaga stworów karmiących się zniszczeniem; oba toczyła choroba, która w plugawą zgniliznę obracała ziemię i wszystko, co na niej żyło. Czym była Morrowindl, jeśli nie czterema krainami w zaawansowanym stanie rozkładu? Nagle przyszło jej do głowy, czy oba te światy nie są w jakiś sposób połączone, czy demony i cieniowce nie mogłyby mieć tego samego pochodzenia. Raz jeszcze rozważała sekrety, jakie ukrywały przed nią elfy o tym, co wydarzyło się na Morrowindl wiele lat temu.

I znowu zadała sobie pytanie. Co ja tutaj robię? Dlaczego Allanon posłał mnie, aby sprowadzić elfy z powrotem do czterech krain? Co takiego mogę zmienić i jak dowiemy się, co to może być?

Skończyła jeść i usiadła na chwilę przy babce, wpatrując się w

jej twarz w gasnącym świetle, próbując odnaleźć w umęczonych rysach ślad matki, wizji, która teraz wydawała się tak odległa, dalekiego snu, w którym matka błagała: Pamiętaj o mnie, pamiętaj o mnie. Kruchość wspomnienia. Tylko tyle miała po rodzicach, tylko tyle pozostało z jej dzieciństwa. I kiedy siedziała tak, trzymając na kolanach głowę babki, zastanawiała się, czy poprosić Gartha, aby powiedział jej coś więcej o przeszłości, chociaż nie oczekiwała już, że coś jeszcze zostało do powiedzenia. Wiedziała tylko, że jest wypalona, samotna i musi się czegoś uchwycić. Ale Garth stał na straży, zbyt daleko, aby przywołać go bez niepokojenia pozostałych, i zbyt daleki, aby być dla niej prawdziwą pociechą. Zamiast tego zwróciła się więc do znajomego dotyku Kamieni Elfów we wnętrzu skórzanej sakiewki, przebiegając koniuszkami palców ich twardą, gładką powierzchnię i obracając nimi leniwie pod tuniką. Matka zostawiła jej Kamienie w spadku, a babka powierzyła i pomimo złych przeczuć co do ich roli w jej życiu, nie mogła ich porzucić. Nie tutaj, nie teraz, nie, dopóki nie uwolni się od koszmaru, w który wkroczyła z własnej woli. Wybrałam, wyszeptala do siebie. Słowa były ostre i gorzkie. Przyszłam, ponieważ chciałam. Aby dowiedzieć się prawdy, odkryć, kim i czym jest, raz na zawsze połączyć przeszłość i przyszłość. I co wiem o którejkolwiek z nich? Co naprawdę rozumiem?

Podeszła Eowen, aby usiąść przy niej, i dziewczyna zdała sobie sprawę z rosnącego zmęczenia. Oddała babkę pod opiekę rudowłosej widzącej i w milczeniu powlokła się na swoje posłanie. Otulona w koce leżała, wpatrując się w nieprzeniknioną noc, labirynt bagien, który pochłaniał ich obojętnie, świat, niczym powłoka obojętności i złudy, niebezpieczeństw licznych jak zebrane dokoła cienie, naglej

śmierci i szyderczych widm. Zdała sobie sprawę, że myśli o latach, kiedy szkolila się z Garthem, o tym, czego ją uczył i czego się nauczyła. Wiedziała, że będzie potrzebowała całej tej wiedzy, jeśli chce przeżyć. Całej siły, jaką potrafi zebrać, doświadczenia, treningu i zdecydowania. Będzie też potrzebowała więcej niż odrobiny szczęścia.

I czegoś jeszcze.

Jej palce raz jeszcze pogłaskały Kamienie Elfów i cofnęły się, jak przed ogniem. Tylko ona mogła przywołać ich moc i rozkazywać jej, kiedykolwiek zechce. Dwukrotnie już wezwała ją, aby się ocalić. Za każdym razem uczyniła to z rozpacz albo niewiedzy. Ale czuła, że jeśli użyje ich znowu, wykorzysta po raz trzeci, wiedząc już, że jest w nich magia i co oznacza władanie nią, ryzykuje utratę wszystkiego, kim jest, i stanie się kimś zupełnie innym. Nic już nie będzie takie samo, ostrzegała sama siebie. Nic.

A mimo to, kiedy brała pod uwagę, że zawiodą ją siły, doświadczenie, szkolenie i zdecydowanie, kiedy bolała nad widocznym brakiem szczęścia, wydawało się, że pozostawała jej tylko moc Kamieni – jedyna pewność, jaka jej pozostała. Schowała głowę pod koc i zasnęła w pajęczej sieci zwątpienia.

Rozdział XVII

Wren śniła o Ohmsfordach. Sny przychodziły i odchodziły urywanym kalejdoskopem obrazów, które eksplodowały z pamięci. Mknęły ku niej niczym lawina i porywały za sobą, podrzucały i toczyły w nie kończącym się pędzie. Widmo bez głosu, patrzyła, jak dzieje jej przodków nabierają kształtu w strzępach czasu, odsłaniały się przed nią wydarzenia, które znała tylko z opowieści, legendy z przeszłości niosły się w opowieściach Para i Colla Ohmsfordów.

Potem się przebudziła, usiadła gwałtownie i wydarła ze snu z przerażającą gwałtownością. Faun, zwinięta na jej szyi, czmychnęła pospiesznie. Wpatrzyła się w czerń, nasłuchując bicia własnego serca w gardle, przyspieszonego oddechu. Reszta kompanii spała wokół niej, z wyjątkiem trzymającego wartość odległego, niewyraźnego kształtu bez twarzy na skraju obozowiska.

Co to było? – pomyślała z przerażeniem. Co widziałam?

Bo to coś ze snują przebudziło, coś tak straszego i nieoczekiwanego, że sen nie był już możliwy.

Co?

Wspomnienie było nagłe i wstrząsające. Dłoń poderwała się natychmiast do niewielkiej, skórzanej sakiewki zatkniętej za tunikę.

Kamienie Elfów!

We śnie o przodkach Ohmsfordów uchwyciła obraz Shei i Flicka, jeden przebłysk z wielu, jedną opowieść z tych wszystkich o poszukiwaniu Miecza Shannary. W tym obrazie bracia zgubili się wraz z Menionem Leah na nizinie Clete, na początku podróży

do Culhaven. Żadna wiedza o lesie ani umiejętności nie były w stanie im pomóc. Zginęliby, gdyby Shea w rozpaczy nie odkrył, że potrafi przywołać moc Kamieni Elfów ofiarowanych mu przez druida Allanona – tych samych Kamieni Elfów, które nosiła teraz. W tym obrazie, wydobytym przez sen z zasobów opowieści, które ledwo pamiętała, odkryła prawdę, o której zapomniała – że magia może nie tylko ochraniać, ale i szukać. Potrafi pokazać właścicielowi drogę wyjścia z najciemniejszego labiryntu; odnajduje to, co zaginione.

Przygryzła wargi, chwytając oddech, który u wiązał jej w gardle. Wiedziała o tym, oczywiście – wszyscy wiedzieli, wszystkie dzieci Ohmsfordów. Par wyśpiewał jej tę opowieść, kiedy była mała. Ale to było tak dawno temu.

Kamienie Elfów.

Siedziała bez ruchu pod kocami, zdumiona swoim odkryciem. Cały czas była w posiadaniu mocy, która wyprowadzi ich z Eden Murk. Kamienie Elfów, jeśli zapragnie obudzić ich magię, pokażą im drogę wyjścia. Czy naprawdę o tym zapomniałam? – zastanawiała się z niedowierzaniem. Czy też po prostu odsunęłam od siebie prawdę, zdecydowana nie polegać na magii, nie poddać się jej mocy?

I co teraz zrobić?

Przez chwilę nic nie robiła, tak sparaliżowana obawami i wątpliwościami, że mogła tylko siedzieć, osłaniając się kocami jak tarczą, obracając w myślach możliwości, które nagle się jej objawiły, i usiłując je uporządkować.

Potem wstała nagle, odrzucając koce, lęki i wątpliwości i cichutko podkradła się do posłania Ellenroh Elesedil. Oddech królowej był płytki i przyspieszony, a jej dłonie i twarz zimne. Włosy lepiły się w lokach do twarzy, a skóra opinała się ciasno.

Leżała na wznak zawinięta w koce jak w śmiertelny całun.

Ona umiera, pomyślała w rozpaczy Wren.

Możliwości zniknęły na chwilę i wiedziała już, co musi uczynić. Podkradła się do śpiącego Gartha, zawahała i ruszyła obok Trissa do posłania Gavilana. Gdy lekko dotknęła jego ramienia, otworzył oczy, mrugając powiekami.

— Obudź się – wyszeptała, starając się, aby jej głos nie drżał. Powiedz mu pierwszemu, pomyślała, pamiętając dobroć, którą okazał jej poprzedniej nocy. On cię wesprze. – Gavilanie, obudź się. Odchodzimy stąd. Natychmiast.

— Poczekaj, Wren, co ty... – zaczął na próżno, bo ona już pospieszyła budzić resztę, chcąc odejść jak najprędzej, tak zmartwiona i zaabsorbowana, że nie dostrzegła strachu w jego oczach. – Wren! – krzyknął, gramoląc się na nogi, i wszyscy natychmiast się obudzili.

Zesztywniała, obserwując, jak wstają – Triss i Eowen, Dal przybyły z warty na skraju obozu i Garth, potężny na tle mroku. Królowa się nie poruszyła.

— Co ty wyprawiasz? – dopytywał się gorączkowo Gavilan.

Odczuła jego słowa jak policzek. Był w nich gniew i oskarżenie.

— Co to znaczy, że wyruszamy? Kto ci dał prawo decydowania o tym, co zrobimy?

Kompania podeszła do dwójki stojącej naprzeciw siebie. Twarz Gavilana płonęła, a w oczach błyszczała podejrzliwość, ale Wren nie ustępowała. W oczach miała takie zdecydowanie, że księżę ugryzł się w język.

— Spójrz na nią, Gavilanie – błagała Wren, chwytając go za ramię i obracając w stronę Ellenroh. Dlaczego nie mógł zrozumieć? Dlaczego tak utrudniał? – Jeśli zostaniemy tu dłużej, stracimy ją. Nie mamy już wyboru. Gdybyśmy mieli, pierwsza

bym coś zrobiła, wierz mi.

Zapadła pełna przerażenia cisza. Eowen odwróciła się do królowej, klękając przy niej z niepokojem.

— Wren ma rację – wyszeptała. – Królowa jest bardzo chora.

Wren nie spuszczała wzroku z Gavilana, próbując wyczytać coś z jego twarzy, przekonać go.

— Musimy stąd odejść.

Triss wysunął się naprzód.

— Znasz drogę? – zapytał, a na jego twarzy rysowała się troska.

— Tak – odrzekła Wren. Zerknęła szybko na kapitana Straży Domowej, a potem na Gavilana. – Nie mam czasu się spierać. Nie mam czasu na wyjaśnienia. Musisz mi zaufać. Musisz.

Gavilan stał uparty i nieprzekonany.

— Prosisz o zbyt wiele. A jeśli się mylisz? Jeśli przeniesiemy ją i umrze...

Ale Triss już zbierał ekwipunek, gestem wzywając Dalla do pomocy.

— Wybór sam się dokonał – oznajmił cicho. – Królowa nie ma szans, jeśli nie wyniesiemy jej z bagien. Zrób, co możesz, Wren.

Zebrawali to, co pozostało z zapasów i ekwipunku, i zrobili naprędce nosze z kocy i żerdzi, na których ułożyli królową. Kiedy skończyli, odwrócili się wyczekująco ku Wren. Patrzyła na nich jak skazaniec, myśląc, że nie ma wyboru, że musi zapomnieć o lękach i wątpliwościach, postanowieniach, obietnicach złożonych sobie, że nie użyje magii i Kamieni Elfów. Musi zrobić wszystko, aby ocalić życie swej babki.

Sięgnęła pod tunikę i wyjęła skórzaną sakiewkę. Szybko poluzowała rzemyki i Kamienie Elfów wytoczyły się na jej dłoń z ostrym, błękitnym lśnieniem.

Czuła się mała i bezbronna; podeszła na skraj obozu i stanęła, wpatrując się przez chwilę w mrok i mgłę. Faun usiłowała wdrapać się po jej nodze, ale schyliła się łagodnie i odpędziła wiewiórkę. Mgła wirowała wszędzie, a ohydny odór siarki i popiołu przywarł do jej fałdów. Mieszanina mgły i pary unosiła się z cuchnących wód bagniska. Czuła, że stoi na krawędzi życia, przyciągnięta tu przez okoliczności i zrządzenie losu, i cokolwiek się stanie, nigdy już nie będzie tą samą Wren. Tęskniła za przeszłością, za tym, co mogłoby się wydarzyć, za ucieczką, której nie miała nadziei odnaleźć.

Przerażona, że mogłaby zmienić zdanie, jeśli będzie się dłużej zastanawiać, wyciągnęła przed siebie Kamienie Elfów i nakazała im ożyć.

Nic się nie stało.

Do licha!

Spróbowała ponownie, koncentrując się, uważnie powtarzając w myślach słowa, po kolei, wyobrażając sobie poruszającą, unoszącą się moc. Mam w sobie krew elfów, pomyślała w rozpaczy. Przywołałam tę moc wcześniej...

I wtedy nagle błękitny ogień zapłonął, buchając z Kamieni, jakby wyciągnięto korek. Owinął się wokół jej dłoni, jaskrawy i oślepiający, rozświetlając bagna, jakby światło dnia przedarło się wreszcie w głąb błota. Członkowie kompanii zatoczyli się w tył, kuląc się i przesłaniając oczy. Wren stała wyprostowana, czując przepływającą przez ciało moc Kamieni, poszukującą, obserwującą i badającą, kto ją wezwał. Otuliło ją przyjemne, kuszące ciepło. Potem światło skoczyło w prawo, przecinając mgłę, umierające drzewa, krzewy i winoroślą, mknąc przez puste wody na setki jardów, dalej niż zdołali dojrzeć, i utkwilo w skalnej ścianie wznoszącej się w noc.

Blackledge!

Światło zniknęło tak szybko, jak się pojawiło, moc Kamieni Elfów zgasła i powróciła tam, skąd przyszła. Wren zacisnęła palce wokół Kamieni, wyczerpana i podniecona jednocześnie, oczyszczona przez magię, ożywiona, ale słaba. Drżąc wbrew sobie, wsunęła talizman z powrotem do sakiewki. Pozostali wyprostowali się niepewnie, szukając jej spojrzenia.

— Tam – powiedziała cicho, wskazując kierunek, który obrało światło.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Umysł Wren został obmyty tym, co uczyniła, magia wciąż pulsowała w jej ciele, kłócąc się z poczuciem winy, że złamała przysięgę. Ale nie miała wyboru, przypomniawszy sobie szybko; zrobiła tylko to, co konieczne. Nie mogła pozwolić babce umrzeć. Tylko ten jeden raz; już więcej nie będzie takiej potrzeby. Ten jeden raz, ponieważ chodziło o życie jej babki, a babka była wszystkim, co jej pozostało...

Słowa. Miękki głos Eowen.

— Pospiesz się, Wren – nagliła. – Póki jeszcze czas.

Ruszyli natychmiast. Wren prowadziła, dopóki nie dogonił jej Garth, i puściła przyjaciela przodem, zadowolona, że ktoś inny bierze na siebie ten obowiązek. Z ciemności powróciła Faun. Wren podniosła stworzonko i posadziła je sobie na ramieniu. Dal i Triss nieśli nosze z królową. Wren zwolniła, aby iść przy nich. Schyliła się i ujęła dłoń babki, trzymała ją przez chwilę, po czym ścisnęła delikatnie. Nie było odpowiedzi. Ostrożnie położyła dłoń z powrotem i ruszyła dalej. Minęła ją Eowen, której blada twarz wyglądała w mroku na zagubioną i przerażoną. Czerwone włosy płonęły w mroku nocy. Eowen wiedziała, jak bardzo chora jest Ellenroh; czy zobaczyła w swej wizji, co stanie się z królową? Wren pokręciła głową, nie chcąc rozważać takiej możliwości.

Przez jakiś czas szła sama, dopóki Gavilan nie przysunął się do jej boku.

— Przepraszam, Wren – powiedział cicho, z trudem wymawiając słowa. – Powinienem był wiedzieć, że nie działasz bez powodu. Powinienem bardziej ufać twojemu osądowi. – Czekał na odpowiedź, ale nie nadeszła. – To bagna przysłaniają moje myśli – powiedział więc. – Nie potrafię się skupić... – Urwał.

Westchnęła bezgłośnie.

— To prawda. Nikt nie może jasno myśleć w tym miejscu. – Bardzo chciała znaleźć dla niego wymówkę. – Ta wyspa zdaje się sprowadzać szaleństwo. W drodze tutaj chwyciła mnie gorączka i przez jakiś czas nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Może ciebie również to dotknęło.

Pokiwał głową nieobecny, jakby nie usłyszał.

— Przynajmniej widzisz teraz prawdę. Magia stworzyła Morrowindl i jej demony i magia nas przed nimi ocali. Twoje Kamienie Elfów i różdżka Ruhk. Poczekaj. Wkrótce zrozumiesz.

I znowu się cofnęła. Odejście było tak nagłe, że Wren znowu nie była w stanie zadać pytań, które nasunęły jego słowa. Jak stworzono demony, co uczyniła magia i jak sprawy przybrały taki obrót. Na wpół odwróciła się, aby pójść za nim, po czym zmieniła zdanie. Była teraz zbyt zmęczona na pytania, zbyt udręczona, aby wysłuchać odpowiedzi, nawet gdyby ich udzielił – a prawdopodobnie nie zrobiłby tego. Pokonując niepokój, zmusiła się, aby iść dalej.

Całą noc zajęło im wydostanie się z Eden Murk. Dwukrotnie jeszcze Wren zmuszona była przyzywać moc Kamieni Elfów. Za każdym razem rozdarta przez sprzeczne pragnienia, aby uniknąć jej przepływu i powitać go, czuła jak magia wrze w niej, niczym eliksir. Błękitne światło wypalało czerń i rozcinało mgłę,

ukazując im ścieżkę ku Blackledge. O brzasku wydostali się z grzęzawiska i stanęli nareszcie na twardym gruncie. Przed nimi unosiło się Blackledge wyniosłym masywem stromego kamienia, wzbijającego się z dżungli w niebiosy. U stóp skał znaleźli polanę i ostrożnie ułożyli na niej nosze z Ellenroh. Eowen obmyła twarz i dłonie królowej i podała jej wodę do picia.

Ellenroh poruszyła się i otworzyła oczy. Patrzyła na twarze wokół siebie i spojrzała na różdżkę Ruhk, którą ciągle ścisnęła w palcach.

— Pomóż mi usiąść – powiedziała.

Eowen podparła ją delikatnie i podała kubek. Ellenroh wypiała powoli, przerywając co chwila, aby złapać oddech. W piersiach jej zgrzytało, a twarz płonęła od gorączki.

— Wren – powiedziała cicho – użyłaś Kamieni Elfów.

Wren uklękła przy niej zdumiona, a reszta stłoczyła się dokoła.

— Skąd wiesz?

Ellenroh Elessedil uśmiechnęła się.

— Widzę to w twoich oczach. Magia zawsze zostawia ślad. Jak mogłabym nie wiedzieć?

— Użyłabym ich wcześniej, babciu, ale zapomniałam, co potrafią czynić. Przepraszam.

— Nie ma potrzeby przeproszać, dziecko. – Błękitne oczy były łagodne i ciepłe. – Tak bardzo cię kochałam, Wren – nawet zanim do mnie przybyłaś, od kiedy Eowen powiedziała, że się narodziłaś.

— Potrzebujesz snu, Ellenroh – wyszeptała widząca.

Królowa na chwilę zamknęła oczy i pokręciła głową.

— Nie, Eowen. Muszę z tobą porozmawiać. Z wami wszystkimi. – Otworzyła oczy, nieobecne i udręczone. – Umieram – wyszeptała. – Nie, nic nie mówcie. Wysłuchajcie mnie – utkwiała

w nich wzrok. – Przykro mi, Wren, że nie mogę być z tobą dłużej, Bardzo bym chciała. Miałyśmy dla siebie tak mało czasu. Tobie jest najtrudniej, Eowen. Przez całe życie byłaś moją przyjaciółką i zostałabym przy tobie, gdybym mogła. Wiem, co oznacza moja śmierć. Gavilan, Triss, Dal – zrobiliście dla mnie, co mogliście. Ale mój czas nadszedł. Ta gorączka jest silniejsza ode mnie i nie potrafię jej pokonać, mimo iż próbowałam. Aurin Striate czeka na mnie i idę, aby do niego dołączyć.

Wren stanowczo i gniewnie potrząsała głową.

— Nie, babciu, nie mów tak. Nie rób tego!

Miękka dłoń odnalazła jej rękę i ucisnęła ją.

— Nie możemy uciekać przed prawdą, Wren. Ty, wszyscy, powinniście to wiedzieć. Jestem bardzo osłabiona. Gorączka rozdziera mnie od środka, a nie ma prawie nic, co by mnie trzymało. Obawiam się, że nawet magia mnie teraz nie ocali – a żadne z nas nie posiada magii, która mogłaby pomóc. Bądź silna, Wren. Pamiętaj o naszym dziedzictwie. Pamiętaj, jak bardzo jesteśmy podobne – jak bardzo podobne do Alleyne.

— Babciu! – płakała Wren.

— Lekarstwo – wyszeptał nagle Gavilan. – Musi być jakieś lekarstwo. Powiedz nam!

— Nie ma. – Wzrok królowej przesunął się od twarzy do twarzy, szukając czegoś, czego tam nie było. Zakaszła i zeszywniała na chwilę. – Czy nadal jestem waszą królową? – zapytała.

Przytaknęli wszyscy niepewnie.

— A zatem rozkazuję wam po raz ostatni. Jeśli mnie kochacie, jeśli obchodzi was przyszłość ludu elfów, nie sprzeciwicie się. Powiedzcie, że będziecie posłuszni.

Uczynili tak, ale wymieniali między sobą ukradkowe

spojrzenia, niepewni, co usłyszą.

— Wren. – Ellenroh czekała, aż wnuczka podejdzie tak, aby mogła ją dobrze widzieć. – Teraz to należy do ciebie. Weź.

Wyciągnęła przed siebie różdżkę Ruhk i Loden. Wren patrzyła z niedowierzaniem, niezdolna się poruszyć.

— Weź! – powiedziała królowa i Wren uczyniła, co jej kazano. – A teraz posłuchaj. Powierzam twej opiece magię, dziecko. Zabierz różdżkę i Kamień z Morrowindl i zanieś je z powrotem do Westlandii. Przywróć elfy i ich miasto. Daj naszemu ludowi nowe życie. Zrób, co musisz, aby dotrzymać obietnicy danej cieniowi druida, ale pamiętaj również, co mnie obiecałaś. Upewnij się, że elfy są całością. Daj im szansę zacząć od nowa.

Wren nie mogła mówić, oszołomiona tym, co się działo, usiłując pogodzić się z tym, co słyszy. Czowała w dłoniach ciężar różdżki Ruhk, gładkość rękojeści, chłodnej i wypolerowanej. Nie, pomyślała. Nie, nie chcę tego!

— Gavilan, Triss, Dal – wyszeptała królowa imiona łamiącym się głosem. – Dopilnujcie, aby była bezpieczna. Pomagajcie jej w powierzonym zadaniu. Eowen, niech twoje wizje ostrzegą ją przed demonami. Garth...

Już miała przemówić do olbrzyma, ale urwała nagle, jakby natknęła się na coś, czemu nie mogła sprostać. Wren spojrzała zmieszana na przyjaciela, ale śniada twarz była jak wykuta w kamieniu.

— Babciu, nie ja powinnam to nieść – zaczęła protestować Wren, ale dłoń królowej ścisnęła ją mocno.

— Właśnie ty, Wren. Zawsze tak było. Alleyne była moją córką i po mnie byłaby królową, jednak rozdzieliły nas okoliczności i odebrały mi ją. Zostawiła cię. Nigdy nie zapominaj kim jesteś, dziecko. Jesteś Elessedil. Taka się urodziłaś i dorosłaś, czy godzisz

się z tym, czy nie. Kiedy umrę, ty będziesz królową elfów.

Wren była przerażona. To nie może się dziać, powtarzała sobie bez końca. Nie jestem tym, za kogo mnie uważa! Jestem nomadką i nikim więcej! To nie w porządku! Ale Ellenroh mówiła dalej, przyciągając znowu jej uwagę.

— Nie spiesz się, Wren. Stanie się, co ma się stać. W tej chwili musisz jedynie skupić się na pilnowaniu różdżki i Kamienia. Musisz tylko na czas wydostać się z tej wyspy. Reszta sama się sobą zajmie.

— Nie, babciu! – krzyknęła Wren. – Zatrzymam różdżkę dla ciebie, dopóki nie wy dobrzejesz. Tylko do tego czasu i ani chwili dłużej. Nie umrzesz. Babciu, nie możesz!

Królowa odetchnęła powoli.

— Pozwólcie mi teraz odpocząć. Połóż mnie, Eowen.

Widząca spełniła prośbę, a w jej zielonych oczach malował się strach i samotność, kiedy patrzyła na twarz królowej. Przez chwilę wszyscy stali bez ruchu, wpatrując się w milczeniu w Ellenroh. Potem Triss i Dal odeszli, aby rozłożyć ekwipunek i ustawić wartę, szepcząc coś po drodze. Gavilan odszedł, mrużąc, do siebie. Garth również zniknął. Wren została, wpatrując się w różdżkę Ruhk i ściskając ją w dłoniach.

— Nie sądzę, że powinnam... – zaczęła i nie potrafiła skończyć. Uniosła wzrok, odnajdując spojrzenie Eowen, ale rudowłosa widząca odwróciła się. Sam na sam z babką, sięgnęła, aby dotknąć jej dłoni, czując żar płonącej w niej gorączki. Babka spała, nie reagując. Jak może umierać? Jak to może się dziać? To niemożliwe! Czuła napływające do oczu łzy. Myślała o tym, jak dużo czasu minęło, zanim odnalazła babkę, ostatnią z rodziny, jak wiele przeszła w tak krótkim czasie i jak niewiele czasu jej dano.

Nie umieraj, błagała w milczeniu. Proszę.

Poczuła skrobanie na nodze i ujrzała Faun patrzącą w górę dzikim, spłoszonym wzrokiem. Puściła dłoń Ellenroh, aby wziąć zwierzątko na ręce, poczochnęła jej futerko i pozwoliła usadowić się na ramieniu. Różdżka Ruhk leżała na jej kolanach niczym linia wyrysowana w szarym świetle pomiędzy nią a chorą królową.

— Nie ja – powiedziała cicho do babki. – To nie powinnam być ja.

Potem wstała, zabierając ze sobą różdżkę i wiewiórkę, i poszła poszukać Gartha. Olbrzymi nomada opierał się o fragment ściany urwiska kilkanaście kroków dalej. Wyprostował się, kiedy podeszła, i zamrugnął, napotykając jej surowe spojrzenie.

— A teraz powiedz mi prawdę – wyszeptała, migając szorstko. – Co jest między tobą i moją babką?

Jego spojrzenie było bez wyrazu.

— Nic.

— A sposób, w jaki na ciebie patrzyła, Garth – chciała coś powiedzieć i bała się!

Byłaś dzieckiem, które jej córka oddała pod moją opiekę. Chciała być pewna, że nie zapomniałem. To chciała mi powiedzieć. Zrozumiała jednak, że to niepotrzebne.

Wren patrzyła na niego bez ruchu jeszcze przez chwilę. Być może, pomyślała ponuro. Ale są tu tajemnice...

Nie ufaj nikomu, ostrzegła Addershag.

Nie mogła jednak. Nie potrafiła taka być.

Przerwała sprzeczkę i odeszła, ciągle porażona wirami otaczających ją wydarzeń, sposobem, w jaki niosły ją, nie pozostawiając nad sobą żadnej kontroli. Raz jeszcze spojrzała na babkę, czując się rozdarta pomiędzy perspektywą utraty jej i

równocześnie zła na odpowiedzialność, którą ją obarczyła. Wren Ohmsford królową elfów? To mieszne. Nie dbała o pochodzenie swojej rodziny. Całe życie postrzegała siebie jako nomadkę. Nie mogła po prostu tego zmienić, zapomnieć o tych wszystkich latach dorastania i przyjąć wydarzenia ostatnich kilku tygodni jak tytuł, którego nie można odmówić. Jak babka mogła powiedzieć, że dorastała jako Elessedil? Dlaczego elfy chciały ją na swoją królową? Nie była naprawdę jedną z nich, bez względu na urodzenie.

Niemal nie myśląc, podeszła do Gavilana siedzącego przy porośniętym mchem pniu i przykucnęła przy nim.

— Co mam z tym zrobić? – zapytała niemal gniewnie, rzucając mu w twarz różdżkę Ruhk.

Wzruszył ramionami. Spojrzenie miał puste i nieobecne.

— To, o co cię proszono, jak sądzę.

— Ale to nie moje! Nie należy do mnie! Nie mnie powinno być dane!

W jego głosie zabrzmiała gorycz.

— Przypadkowo się z tobą zgadzam. Ale to, czego chcę ja czy ty, nie bardzo się liczy, prawda?

— To nieprawda. Ellenroh nigdy by tego nie zrobiła, gdyby nie była chora. Kiedy wy dobrzeje... – Urwała, kiedy znacząco odwrócił wzrok. – Kiedy wydobreje – ciągnęła, smagając każdym słowem jak batem – zrozumie, że to pomyłka.

Jego spojrzenie nie wyrażało niczego.

— Ona nie wydobreje.

— Nie mów tak, Gavilanie. Przestań.

— Wolałabyś, żebym kłamał?

Wren patrzyła na niego niezdolna wydusić słowa.

Twarcz Gavilana była surowa.

— A zatem dobrze. Wiem, że tego nie planowałaś, że elfy nie są twoim ludem, że żadne z nas nie ma z tobą nic wspólnego i że chciałaś tylko odnaleźć Ellenroh i dostarczyć wiadomość. Nie chciałaś być królową elfów? W porządku. Nie musisz. Oddaj mi różdżkę.

Zapadła długa, martwa cisza, kiedy patrzyli na siebie.

— Krew Elessedilów płynie również w moim ciele – rzucił gorączkowo. – To mój lud i Arborlon jest moim miastem. Potrafię zrobić, co trzeba. Mam lepsze pojęcie o tych sprawach niż ty. I nie boję się użyć magii.

I nagle Wren zrozumiała, co się dzieje. Gavilan spodziewał się, że to on dostanie różdżkę Ruhk; oczekiwał, że Ellenroh mianuje go swoim następcą. Gdyby nie pojawiła się Wren, prawdopodobnie by się tak stało. Przybycie Wren do Arborlonu odmieniło wszystko. Poczula gwałtowną falę rozpaczy, która niemal natychmiast ustąpiła miejsca zmęczeniu. Pamiętała, jak Gavilan i Ellenroh kłócili się o Loden. Gavilan wolał użyć magii, aby było jak dawniej, aby wszystko naprawić. Ellenroh uważała, że czas porzucić magię, powrócić do Westlandii i żyć jak niegdyś żyli. Ten konflikt musiał rzecz jasna wpłynąć na decyzję Ellenroh, aby oddać różdżkę Wren.

Gavilan zdawał się wyczuwać jej niepewność.

— Zastanów się, Wren. Jeśli królowa umrze, nie musisz dźwigać jej brzemienia. – Obronnym gestem splótł przed sobą ramiona. – To zależy od ciebie. Pomogę ci, jeśli zechcesz. Mówiłem ci to, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, i moja propozycja jest nadal aktualna. Zrobię, co będę mógł.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Dziękuję, Gavilanie – zdołała odpowiedzieć.

Potem odeszła, czując niepokój i niepewność. Mimo iż bardzo

pragnęła uwolnić się od odpowiedzialności, nie była wcale pewna, czy powinna mu ją przekazać. Magia była zadaniem; nie powinno się go szybko porzucać, nie kiedy konsekwencje jej użycia były tak ogromne. Ellenroh mogła oddać różdżkę Gavilanowi, ale nie uczyniła tego. Wren nie potrafiła podważyć jej osądu bez głębszych przemyśleń.

Zależało jej jednak na Gavilanie; polegała na jego przyjaźni i wsparciu. To komplikowało sprawę. Rozumiała jego rozczarowanie i wiedziała, że ma rację, mówiąc, iż elfy są jego ludem, a Arborlon jego miastem, a ona jest obca. Wierzyła, że Gavilan chce wszystkiego, co najlepsze. Podobnie jak ona.

Twarde, rozpaczliwe postanowienie zaczęło zapuszczać korzenie. Nie ma co rozmyślać, ponieważ babcia wyzdrowieje, ponieważ musi wyzdrowieć, nie umrze, nie umrze! Powtarzała te słowa bez końca jak litanie. Oddech miała urywany i gniewny, dłonie jej drżały.

Potrząsnęła głową i powstrzymała łzy.

W końcu usiadła przy babce. Otepiała z bólu patrzyła na umęczoną twarz. Proszę wyzdrowiej. Musisz wyzdrowieć.

Zmęczenie podeszło ją jak złodziej i odebrało siły.

Obozowali na ścianie urwiska przez cały dzień, pozwalając Ellenroh spać, w nadziei, że powrócą jej siły. Podczas gdy Wren i Eowen zmieniały się kolejno przy królowej, mężczyźni trzymali straż. Czas uciekał z przerażającą szybkością. Od trzech dni byli poza Arborlonem, a wydawało się, że minęły tygodnie. Wszystko wokół nich, świat Morrowindl był szary i zamglony, ponury krajobraz mroku i półcienia. Pod nimi ziemia drżała od gniewu Killeshan. Ile czasu im pozostało? Ile, zanim wulkan wybuchnie i rozerwie wyspę? Ile, zanim odnajdą ich demony? Ile, zanim Tygrys Ty i Duch zdecydują, że nie ma sensu szukać dłużej, że są

bezpowrotnie straceni?

Obmywała twarz Ellenroh, szeptała i śpiewała jej, próbując odegnąć gorączkę, szukając najmniejszych oznak, że babka zdrowieje i choroba mija. Trzymała się z dala od reszty, z wyjątkiem Eowen, a nawet przy niej nie odzywała się wiele. Jej umysł pracował gorączkowo, pełen złych przeczuć, których nie mogła dopuścić do głosu. Różdżka Ruhk przypominała nieustannie, jak wiele jest do stracenia. Prześladowały ją myśli o elfach; widziała ich twarze, słyszała głosy, wyobrażała sobie, co muszą myśleć, bardziej bezsilni od niej. Przerażało ją, że tak bezpowrotnie jest z nimi związana. Nie mogła pozbyć się uczucia, że jest wszystkim, co mają, że muszą polegać tylko na niej i na nikim innym. Ich życie było pod jej opieką i nawet jeśli tego nie chciała, nie można było łatwo odmienić tego faktu.

Zapadła noc i stan Ellenroh pogorszył się.

W pewnej chwili Wren usiadła samotnie i płakała, nie mogąc przestać, porażona stratami, które zdawały się spotykać ją na każdym kroku. Kiedyś mówiła sobie, że to nieważne – że brak rodziców i rodziny, historii, innego życia nie ma znaczenia. Przybycie na Morrowindl i odnalezienie elfów oraz Arborlonu odmieniło to na zawsze. To, co kiedyś wydawało się nieistotne, w niewytłumaczalny sposób stało się wszystkim. Nawet jeśli przeżyje, nie będzie taka sama. Świadomość tego, co z nią zrobiono, oszołomiła ją. Nigdy nie czuła się bardziej samotna.

Spała przez jakiś czas, zbyt wyczerpana, aby czuwać. Uczucia przygasły i oddaliły się i przebudziła się, czując na ramieniu dłoń Gartha. Wstała natychmiast przerażona tym, co może jej powiedzieć, ale szybko pokręcił głową. Nic nie mówiąc, wskazał dłonią.

Nie dalej niż sześćdziesiąt stóp od niej przysadzista, kolczasta

postać wpatrywała się w nią oczami, które lśniły jak u kota. Wokół postaci tańczyła Faun, skrzecząc dziko.

Wren wytrzeszczyła oczy.

— Stresa? – wyszeptała z niedowierzaniem. Pospiesznie odrzuciła koce. Głos jej drżał. – Stresa, to naprawdę ty?

— Powróciłem z martwych, rwwll, Wren z rodu elfów – mruknął cicho.

Wren objęłaaby splintera, gdyby wiedziała jak, ale zamiast tego roześmiała się z ulgą.

— Żyjesz! Nie do wiary! – klasnęła w dłonie. – Och, tak się cieszę, że cię widzę! Byłam pewna, że nie żyjesz! Co się z tobą działo? Jak uciekłeś?

Splinter podszedł kilka kroków naprzód i usiadł, nie zwracając uwagi na Faun, która ciągle skakała podniecona.

— Ssspht, wąż chybił o włos, kiedy zniszczył tratwę. Wciągnęło mnie pod wodę i prąd uniósł mnie z powrotem, hssstt, przez Rowen. Phhhfft. Kilka godzin zajęło mi znalezienie innego przejścia. Do tego czasu zniknęłaś już w Eden Murk.

Faun podskoczyła za blisko i kolce nastroszyły się groźnie.

— Głupia wiewiórka. Hsssttt!

— Jak nas znalazłeś? – pytała Wren, Garth siedział obok niej i migała, mówiąc.

— Ha! Ssspptt! To nie było łatwe. Tropiłem was oczywiście, hssstt, ale błędziliście we wszystkie strony. Zgubiliście się. Dziwię się, że w ogóle udało wam się znaleźć urwiska.

Zaczerpnęła głęboko tchu.

— Użyłam magii.

Splinter syknął cicho.

— Musiałam. Królowa jest bardzo chora.

— Ssstt. A więc różdżka Ruhk jest teraz twoja?

Pospiesznie pokręciła głową.

— Tylko dopóki stan Ellenroh się nie poprawi.

Stresa się nie odezwał. Żółte oczy lśniły.

— Cieszę się, że wróciłeś – powtórzyła.

Ziewnął obojętnie.

— Phhhfft. Dość gadania na dziś. Czas trochę, rwwwll, odpocząć,

Odwrócił się leniwie i powlókł znaleźć miejsce do spania. Wyglądał, jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego, jakby wieczór był taki jak zawsze. Wren patrzyła za nim przez chwilę, a potem wymieniła spojrzenia z Garthem. Olbrzym pokręcił głową i odszedł.

Wren naciągnęła z powrotem koc na ramiona i utuliła Faun w ramionach. Po chwili zdała sobie sprawę, że się uśmiecha.

Rozdział XVIII

Ellenroh Elessedil umarła o świcie. Wren była przy niej, kiedy obudziła się po raz ostatni. Ciemność ledwie zaczęła się przejaśniać – blady odcień fioletu pośród mgły – i królowa otworzyła oczy. Spojrzała na Wren nieruchomym, spokojnym spojrzeniem, widząc coś poza niespokojną twarzą swej wnuczki. Wren natychmiast ujęła jej dłoń, ściskając ją z gorączkową determinacją, i na jedną chwilę wywołała coś na kształt bladego uśmiechu. Potem królowa odetchnęła, zamknęła oczy i odeszła.

Wren była zdumiona, kiedy odkryła, że nie jest w stanie płakać. Jakby zabrakło jej łez, jakby wypłakała wszystkie, bojąc się, że ta chwila nadejdzie, a teraz nie miała już nic do ofiarowania. Wypalona z emocji, czuła się jedynie dziwnie bezbronna w swoim poczuciu straty, a ponieważ nie miała do kogo się zwrócić ani dokąd uciec, znalazła schronienie za tarczą odpowiedzialności o los elfów, którą obarczyła ją babka.

Dobrze, że tak się stało. Wyglądało na to, że nikt inny nie wie, co czynić. Eowen była niepokieszona – przygarbiona, krucha figurka, skulona przy kobiecie, która była jej najbliższą przyjaciółką. Rdzawe włosy opadły jej na twarz i ramiona, ciałem wstrząsały drgawki, nie była nawet w stanie mówić. Triss i Dal stali obok bezradni i oniemiaли. Nawet Gavilan wydawał się nie mieć siły, aby podjąć zadanie, jak to czynił przedtem, a jego przystojna twarz ściągnięta była bólem, kiedy spoglądał na ciało królowej. Zbyt wiele się wydarzyło, niszcząc ich pewność siebie i załamując wiarę, że zdołają uratować lud elfów. Aurin Striate i królowa odeszli – dwoje ludzi, na których stratę najmniej mogli sobie pozwolić. Schwytni w pułapkę w dole Eden Murk po

niewłaściwej stronie Blackledge, pożerani byli przez rosnące przecucie tragedii, która stawała się coraz bardziej realna.

Ale Wren znalazła w sobie tego ranka siłę, której nie przeczuwała. Coś z tego, kim i czym była niegdyś, z dziewczęcia nomadów, u których dorastała, z krwi Elessedilów i Shannary, z której się zrodziła, zapłonęło ogniem w jej duszy i pokonało rozpacz.

Podniosła się od ciała królowej i stanęła naprzeciw nich, ściskając w obu dłoniach różdżkę Ruhk i wyciągając ją przed sobą niczym sztandar, przypomnienie tego, co ich łączyło.

— Odeszła – powiedziała cicho Wren, przyciągając ich spojrzenia. – Musimy ją teraz opuścić. Musimy iść dalej, ponieważ przysięgaliśmy, że tak uczynimy, i tego właśnie pragnęła. Poproszono nas, abyśmy zrobili coś, co staje się coraz trudniejsze i czego żadne z nas nie chciało, ale teraz nie ma sensu podważać naszego zobowiązania. Ślubowaliśmy. Nie sądzę, abym mogła być kobietą taką, jak moja babka, ale zrobię, co będę mogła. Ta różdżka należy do innego świata i zrobimy wszystko, aby ją tam zanieść. – Odeszła od królowej. – Znałam moją babkę jedynie przez krótki czas, ale kochałam ją tak, jak kochałabym moją matkę, gdyby kiedykolwiek dane było mi ją poznać. Była całą moją rodziną. Kochała nas wszystkich. Zasługuje na to, aby nadal żyć poprzez nas. Nie mam zamiaru jej zawieść. Pomożecie mi?

— Nie musisz pytać, Pani – pospieszył z odpowiedzią Triss. – Dała ci różdżkę Ruhk i dopóki żyjesz, Strażnicy Domu zobowiązani są chronić cię i być posłuszni.

Wren skinęła głową.

— Dziękuję, Triss. A ty, Gavilanie?

Błękitne oczy przymknęły się.

— Rozkazuj, Wren.

Spojrzała na Eowen, która po prostu skinęła głową, wciąż pogrążona w bólu.

— Zanieście królową z powrotem do Eden Murk. – Wren wskazała na Trissa i Dalla. – Znajdźcie zagłębienie i oddajcie ją wyspie, aby mogła odpocząć. – Słowa były ostre, szorstkie i ciężkie jak batem. – Zabierzcie ją.

Poniesli królową elfów w głąb bagien, znaleźli rozpadlisko głębokie na sto stóp i opuścili jej ciało w dół. Zniknęła szybko, odchodząc na zawsze.

W ciszy powrócili po własnych śladach. Eowen płakała cicho, wspierając się na ramieniu Wren. Mężczyźni byli niczym nieme widma ubarwione szarością i srebrem przez mrok i mgłę.

Kiedy dotarli do podstawy Blackledge, Wren ponownie zwróciła się do nich:

— Oto, co myślę. Utraciliśmy jedną trzecią z naszych ludzi i zostaliśmy zmieceni ze zboczy Killeshan. Czas ucieka. Jeśli szybko nie wyruszymy, nie wydostaniemy się z wyspy. Żadne z nas. Garth i ja wiemy coś o przetrwaniu w dziczy, ale tu, na Morrowindl, jesteśmy prawie tak zagubieni jak reszta z was. Tylko jeden z nas ma szansę odnaleźć drogę.

Odwróciła się, aby spojrzeć na Stresę. Splinter mrugnął.

— Wprowadziłeś nas tu bezpiecznie – powiedziała cicho. – Czy potrafisz nas stąd zabrać?

Stresa patrzył na nią przez długą chwilę, a w jego spojrzeniu odbiła się ciekawość.

— Wrrll, Wren z rodu elfów, nosząca różdżkę Ruhk, spróbuję, chociaż nie mam szczególnego powodu, aby pomagać elfom. Obiecałaś jednak poprowadzić mnie do większego świata i dopilnuję, abyś dotrzymała obietnicy. Tak, poprowadzę was.

— Czy znasz drogę, kocie? – zapytał gniewnie Gavilan. – Czy po prostu igrasz z nami?

Wren rzuciła mu ostre spojrzenie, ale Stresa się nie obraził.

— Ssst, chodź ze mną, a sam się dowiesz – powiedział tylko i odwrócił się do Wren. – Nie jest to kraina, przez którą często podróżowałem. Tutaj Blackledge jest nie do przejścia. Hsst. Musimy, wrrrll, podróżować na południe, aby znaleźć przełęcz, przez którą będziemy mogli się przedostać. Chodźcie.

Zebrali to, co pozostało im z ekwipunku, załadowali na ramiona i wyruszyli. Przez poranny mrok weszli w żar i mgłę, podążając linią klifów wzdłuż granicy Eden Murk. W południe zatrzymali się, aby odpocząć i zjeść coś. Grupa kobiet i mężczyzn o surowych rysach twarzy, których ukradkowe, niespokojne spojrzenia bezustannie przeszukiwały bagniska. Ziemia była dzisiaj milcząca, wulkan chwilowo odpoczywał. Ale z wnętrza moczarów unosił się odgłos polujących stworzeń, odległe krzyki i wycie, plusk wody i chrzęst ciał zwartych w śmiertelnej walce. Dźwięki podążały za nimi, kiedy z trudem przedzierali się naprzód, niczym złowieszcze ostrzeżenie, że sieć zaciska się wokół nich.

Popołudniem odnaleźli przełęcz, którą Stresa zaakceptował. Był to stromy, wijący się szlak, który zniknął pomiędzy skałami, niczym język w paszczy węża. Pospiesznie zaczęli wspinaczkę, jak najszybciej pragnąc oddalić się od ścigających ich odgłosów i mając nadzieję, że dotrą do szczytu przed zmrokiem.

Ciemność jednak schwytała ich w połowie wspinaczki i Stresa czym prędzej zatrzymał ich na wąskim występie skalnym, częściowo osłoniętym nawisem. Z półki widać byłoby całą połąć Eden Murk, gdyby nie mgła, okrywająca wszystko nie kończącym się całunem matowej szarości.

Kolację zjedzono szybko i bez apetytu, rozstawiono strażę i niedobitki kompanii przygotowały się na nocleg. Mieszanina mgły i ciemności była tak gęsta, że dalej jak na kilka stóp nie było nic widać, i sprawiała niemiłe wrażenie, że cała wyspa zapadła się pod nimi, zostawiając ich zawieszonych w powietrzu. Z mgły unosiły się odgłosy, gardłowe i groźne, kakofonia pozbawiona źródła i kierunku. Nasłuchiwali jej w ciszy, czując, że idzie za nimi, zaciska się wokół.

Wren próbowała myśleć o czymś innym, otulona kocem, przemarznięta pomimo żaru unoszącego się z bagien. Ale jej myśli były rozproszone, rozpierchły się pod wpływem rosnącego uczucia oderwania od wszystkiego, co realne. Została odarta z pewności, kim i czym jest, i pozostawiona z niejasnym tylko wrażeniem, kim mogłaby być i że pozostaje to poza jej zrozumieniem i kontrolą. Jej życie wypadło z pewnego szlaku i osiadło na pustej równinie, gdzie wiatr mógł je unieść jak liść. Allanon i babka dali jej zadania do spełnienia, a o żadnym z nich nie wiedziała wystarczająco dużo, aby pojąć, jak je wypełnić. Przypomniała sobie, jak to się stało, że podjęła wyzwanie Coglina, aby w ogóle pójść do Hadeshornu tak wiele tygodni temu. Wierzyła, że idąc tam, dowie się czegoś o sobie samej, odkryje prawdę. Jak dziwne wydawało się to w tej chwili. To, kim i czym była, miało odmienić się tak nagle, jak dzień przemienia się w noc. Prawda była nieuchwytnym strzępkim materii, nad którym nie da się zapanować i który odmawia wyjawienia. Odlatywał przy każdej próbie zbliżenia, poszarpany i zniszczony, lśnienie barwy i światła. A jednak zdecydowana była podążać za tymi nićmi, które pozostały zawieszane za jego śladem, niczym cieniutkie resztki jasności, które pewnego dnia poprowadzą do arrasu, z którego zostały wysnute.

„Odnajdź elfy i sprowadź je na powrót do świata ludzi”.
Spróbuje.

„Ocal mój lud i daj im szansę na nowe życie”.
Spróbuje.

A próbując, być może odnajdzie sposób, aby przetrwać.

Drzemała jakiś czas, oparta plecami o ścianę urwiska, z kolanami przyciśniętymi do piersi, tuląc w ramionach wypolerowaną różdżkę Ruhk. Faun spała w fałdach koca u jej stóp. Stresa był pozbawioną twarzy kulą zwiniętą w kłębek w cieniu skalnej niszy. Zdawała sobie sprawę z poruszenia wokół niej, kiedy zmieniała się warta, rozważała nawet, czy nie poprosić o swoją kolej, ale poniechała tej myśli. W ciągu ostatnich dwóch nocy nie spała wiele i musiała odzyskać siły. Starczy czasu, aby objąć wartę innej nocy. Oparła podbródek na kolanach i pogрузzyła się w ciemnościach niedostrzegalnych dla oczu.

Później, tej samej nocy, nigdy potem nie mogła sobie przypomnieć kiedy, obudziło ją szuranie butów po skale. Ktoś się zbliżał. Uniosła lekko głowę, wyglądając spoza osłony koca. Noc była czarna i gęsta od mgły pełzającej po zboczu góry i sadowiącej się na skalnym występie niczym wąż na polowaniu. Z mroku wyłoniła się przygarbiona postać. Jej ruchy były ukradkowe i szybkie.

Dłoń Wren powoli sięgnęła rękojęści noża.

— Wren – odezwała się cicho postać, wołając ją po imieniu.

To była Eowen. Wren uniosła głowę, rozpoznając ją, i czekała, aż tamta podejdzie i usiądzie naprzeciw niej. Eowen spowita była w pelerynę z kapturem, rude włosy miała dziko potargane, twarz jej płonęła, a szeroko otwarte oczy spoglądały wytrzeszczone, jakby właśnie była świadkiem czegoś przerażającego. Zacisnęła

wargi, chcąc coś powiedzieć, a potem zaczęła płakać. Wren przyciągnęła ją do siebie, zaskoczona słabością, której nigdy nie okazywała, aż do śmierci królowej.

Eowen wyprostowała się, otarła oczy i odetchnęła głęboko nocnym powietrzem, próbując się uspokoić.

— Nie mogę przestać – wyszeptała. – Za każdym razem, kiedy o niej pomyślę, kiedy ją wspomnę, zaczynam na nowo rozpaczać.

— Bardzo cię kochała – powiedziała Wren, usiłując znaleźć pocieszenie i wspominając własną miłość.

Widząca skinęła głową, na chwilę opuściła oczy i znowu je podniosła.

— Przyszłam powiedzieć ci prawdę o elfach, Wren.

Wren zachowała doskonały spokój, nie odzywając się i czekając. Poczula, jak w jej duszy otwiera się zimna, bezdenna otchłań.

Eowen spojrzała za siebie w mglistą noc, w otaczającą ich nicość i westchnęła.

— Miałam kiedyś wizję, dawno temu, w której ujrzałam siebie i Ellenroh. Była żywa i płonęła, lśniła cała na tle bladego tła, które wyglądało jak zmierzch w zimie. Byłam jej cieniem, połączonym z nią, powiązanym. Cokolwiek robiła, ja również to robiłam – poruszałam się wraz z nią, mówiłam, kiedy ona mówiła, odczuwałam jej szczęście i ból. Byłyśmy połączone w jedno. Ale ona zaczęła blednąć, znikać, jej kolory rozmywały się, zarysy migotały. Znikła, ale ja pozostałam. Wciąż byłam cieniem, samotnym teraz, poszukującym ciała, do którego mogłabym się przyłączyć. Potem pojawiłaś się ty – nie znałam cię wtedy, ale wiedziałam, kim jesteś. Córnka Alleyne. Wnuczka Ellenroh. Spojrzałaś na mnie, a ja podeszłam do ciebie. Kiedy to zrobiłam, powietrze wokół mnie stało się mroczne i posępne. Mgła opadła

mi na oczy i widziałam jedynie czerwoną, jasnoszkarłatną mgłę. Byłam przemarznięta do szpiku kości i nie było już we mnie życia. – Powoli pokręciła głową. – Potem wizja się skończyła, ale pojęłam jej znaczenie. Królowa umrze, a kiedy tak się stanie, ja również umrę. Będziesz tego świadkiem – a być może będziesz brała w tym udział.

— Eowen – przerażona Wren cicho wyszeptała imię widzącej.

Stara kobieta odwróciła się szybko, zielone oczy zachmurzyły się.

— Nie boję się, Wren. Wizje widzącej są zarówno darem, jak i przekleństwem, zawsze jednak rządzą jej życiem. Nauczyłam się nie bać i nie zaprzeczać temu, co mi pokazują, a jedynie przyjmować je. Przyjmuję teraz, że mój czas w tym świecie niemal się skończył, i nie chcę umrzeć, dopóki nie powiem ci prawdy, którą tak rozpaczliwie pragniesz znać. – Naciągnęła pelerynę na ramiona. – Wiesz, że królowa nie mogła tego uczynić. Nie była w stanie mówić o tym. Chciała. Być może zrobiłaby to kiedyś. Ale koszmarem jej życia było to, że magia elfów wyrządziła tak wiele szkód i spowodowała tak wiele krzywd. Za życia Ellenroh byłam lojalna, ale jej śmierć wyzwoliła mnie – przynajmniej w tym. Musisz wiedzieć, Wren. Musisz wiedzieć i osądzić, ponieważ prawdziwie jesteś córką swojej matki i będziesz królową elfów. Naznaczyła cię krew Elesedil i bądź tego pewna, mimo iż nadal zaprzeczasz, że tak się stało. Ujrzałam to w swoich wizjach. Jesteś nadzieją wszystkich elfów, teraz i w przyszłości. Przybyłaś, aby je ocalić, jeśli pisane im ocalenie. Widząc, że przyjmujesz zadanie różdżki Ruhk i Loden, wiedząc, że będą cię ochraniać Kamienie Elfów, odkryłam, że pozostało jedynie wyjawić ci to, co przed tobą ukrywano – tajemnicę powtórnych narodzin magii elfów i trucizny

Morrowindl.

Wren potrząsnęła głową.

— Eowen, nie postanowiłam jeszcze, co do zadania... – zaczęła.

— Przeważnie decyzje zostają podjęte za nas, Wren Elesedil – przerwała ostro Eowen. – Rozumiem to lepiej niż ty. Myślę, że rozumiałam to lepiej niż królowa. Była dobrym człowiekiem, Wren. Robiła, co mogła, i nie wolno ci w żaden sposób winić jej za to, co ci powiem. Musisz zastanowić się nad tym, co mówię. Jeśli to zrobisz, zrozumiesz, że Ellenroh od początku była w matni i wszystkie decyzje, które zdawała się podejmować z własnej woli, tak naprawdę zostały podjęte za nią. Jeśli ukrywała przed tobą prawdę, to dlatego, że kochała cię zbyt mocno. Nie mogła znieść myśli, że cię straci. Byłaś wszystkim, co jej pozostało.

Błada twarz odbijała się we mgle niczym twarz ducha, głos na powrót przeszedł w szept.

— Tak, Eowen – odpowiedziała miękko Wren. – I ona była wszystkim, co mi pozostało.

Szczupłe dłonie widzącej wyciągnęły się, aby ująć dłonie dziewczyny. Skórę miała zimną jak lód. Wren zadrżała mimo woli.

— A zatem posłuchaj uważnie, co ci powiem, córko Alleyne, dziecię elfów. Słuchaj uważnie.

Szmaragdowe oczy lśniły, niczym zamarznęte liście o wschodzie słońca.

— Kiedy elfy przybyły po raz pierwszy na Morrowindl, wyspa była dziewicza i nietknięta. Była rajem ponad wszelkie wyobrażenie, cała czysta, świeża i bezpieczna. Elfy pamiętały, co zostawiły za sobą – świat, który już zaczynał się psuć i chorować tam, gdzie wypełzły cieniowce, aby rozmnażać się i żywić, świat

ugięty pod jarzmem federacji i nadchodzących armii, które znały jedynie posłuszeństwo i nigdy nie zadawały pytań. To stare dzieje, Wren, a elfy przetrwały niezliczone pokolenia. Nie chciały już więcej takiego świata.

Tak więc zaczęły myśleć, jak ochronić nowo odkryty świat i siebie samych. Któregoś dnia federacja mogła postanowić wyjść poza granice czterech krain. Cieniowce z pewnością tego zapragną. Czuły, że tylko magia może je ochronić, a magia, na której teraz polegały, nie pochodziła z wiedzy druidów ani nauk nowego świata, ale z ponownego odkrycia mocy ich własnych początków. Taka magia była niezmiernie i nieposkromiona i wtedy jeszcze ciągle w powijakach. Zapomniały więc o lekcji druidów, Lorda Warlocka i jego łowców czaszek i o wszystkich wcześniejszych ofiarach. Powiedziały sobie, że nie ulegną. Będą mądrzejsze, bardziej ostrożne i sprawniejsze w jej użyciu. Znów zaczerpnęła głęboko tchu i puściła dłonie Wren, aby odgarnąć do tyłu burzę włosów.

— Niektóre z nich miały... doświadczenie w czynieniu stworzeń za pomocą magii. Żyjące stworzenia, Wren – nowe gatunki, które mogłyby służyć ich potrzebom. Odkryły sposób na wydzielenie istoty żywych stworzeń i z pomocą magii potrafili odżywiać je tak, że rosnąc, stawały się nową odmianą stworzenia, na którym były wzorowane. Potrafiły stwarzać psy z psów i koty z kotów, tylko większe, silniejsze, szybsze i mądrzejsze. Ale to był jedynie początek. Robiły szybkie postępy w łączeniu różnych form życia, tworząc zwierzęta, które wykazywały najbardziej pożądane cechy obu rodziców. Tak powstały splintery i wiele innych gatunków. Były one pierwszymi eksperymentami użycia nowej magii, zwierzętami, które potrafiły myśleć i mówić, jak ludzie, bestiami, które umiały

gromadzić żywność, polować i trzymać straż przeciwko każdemu wrogowi, podczas gdy elfy pozostawały bezpieczne.

Z początku wydawało się to właściwe. Stworzenia rozwijały się doskonale i służyły tak, jak zamierzano, i wszystko szło dobrze. Ale z czasem niektórzy spośród władców zaczęli rozwijać nowe pomysły na wykorzystanie magii. Kiedyś im się przecież udało, przekonywali. Dlaczego więc nie tym razem? Jeśli z pomocą magii można tworzyć zwierzęta, to dlaczego nie coś bardziej rozwiniętego? Dlaczego nie stworzyć własnych sobowtórów? Dlaczego nie powołać do życia armii ludzi, którzy walczyliby za nich w razie napaści, podczas gdy oni sami pozostaliby bezpieczni poza murami Arborlonu?

Eowen powoli pokręciła głową, a subtelne rysy wykrzywił jakiś wewnętrzny koszmar.

— Wtedy stworzyli demony, czy też stwory, które miały stać się demonami. Wzięli część samych siebie, krew i ciało na początek, ale potem także wspomnienia i uczucia i wszystkie niewidoczne fragmenty ich ducha i dali im życie. Te nowe elfy – ponieważ to były elfy – stworzono na żołnierzy, myśliwych i strażników królestwa i nie znały oni nic i niczego nie pragnęły poza służeniem. Wydawały się idealne. Ci, którzy je stworzyli, wysłali je naprzód, aby ustawić straż na wybrzeżach wyspy. Były samowystarczalne. Nie było potrzeby, aby się o nie troszczyć. – Jej głos opadł do szeptu. – Mówiono mi, że na jakiś czas niemal o nich zapomniano, jakby nie mieli dalszych konsekwencji. – Ponownie ujęła dłonie Wren, ściskając je mocno. – Wtedy zaczęły się zmiany. Krok po kroku nowe elfy zaczęły się przemieniać. Zmianie ulegał ich wygląd i osobowość. Działo się to z dala od miasta oraz oczu i umysłów ludzi, nie było więc nikogo, kto by je powstrzymał, czy też ostrzegł przed nimi.

Niektóre z pierwszych zwierząt stworzonych przez magię, takie jak splintery, przyszły do elfów i powiedziały im, co się dzieje, ale nie zwrócono na nie uwagi. W końcu były tylko zwierzętami, pomimo swoich umiejętności, i ich ostrzeżenia zlekceważono.

Nowe elfy, przemienione już w demony, zaczęły odłączać się od swoich posterunków, znikać w dżungli, polować i zabijać wszystko, co stało im na drodze. Splintery i inni stali się pierwszymi ofiarami. Następne były elfy z Arborlonu. Czyniono wysiłki, aby skończyć z tymi potworami, ale były one rozproszone, a elfy wciąż nie rozumiały, że problem leży nie w tych kilku, lecz we wszystkich tych stworzeniach.

Kiedy wreszcie zdały sobie sprawę, jak źle oceniły efekty działania magii, sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Wtedy królową została Ellenroh. Jej ojciec ożywił Keel magią Loden, aby stworzyć tarczę, za którą mogłyby się ukryć elfy, i naprawdę wydawały się dość bezpieczne. Ale Ellenroh nie była tego taka pewna. Zdecydowana skończyć z demonami, zabrała myśliwych do dżungli, aby je odszukali. Ale w tym szczególnym wypadku magia zadziałała aż zbyt dobrze i demony były za silne. Raz po raz odpierały ataki elfów. Wojna ciągnęła się przez lata, straszliwa, nie kończąca się bitwa o zwierzchnictwo nad wyspą, która zniszczyła Morrowindl i uczyniła życie na jej ziemi bezsensownym koszmarem. – Dłonie widzącej zacisnęły się, twarde i nieustępliwe. – W końcu, przez krnąbrność magii i zaciekłość demonów, Ellenroh nie pozostał żaden wybór i wezwała do miasta ostatnie elfy. To było dziesięć lat temu i oznaczało koniec kontaktów ze światem zewnętrznym.

— Ale dlaczego nie można było użyć tej samej magii do wyeliminowania tych stworów? – nie rozumiała Wren.

— Och, Wren, było już na to za późno. – Eowen zakołysała się,

jakby pocieszała dziecko. – Magia odeszła! – Oczy widzącej patrzyły bez wyrazu gdzieś w dal. – Każda magia ma swoje źródło. Nie inaczej było z magią elfów. Większość pochodzi z ziemi, spleciona z życiem, które w niej mieszka. Wyspa była źródłem tej magii wykorzystanym do stworzenia demonów i innych stworzeń przed nimi – jej ziemia, woda, pierwiastki jej życia. Ale magia jest bezcenna i ma swoje ograniczenia. Czas na nowo uzupełnia ubytki, ale powoli. Elfy nie zdawały sobie sprawy z tego, że demony, kiedy się zmieniały, zaczęły same potrzebować magii. Stworzone z niej, odkryły teraz, że potrzebują jej, aby przeżyć. Zaczęły systematycznie wysysać ją z ziemi i stworzeń, które na niej żyły, zabijając wszystko, czym się karmiły. Pożerały ją szybciej, niż była w stanie się odradzać. Wyspa zaczęła się zmieniać, usychać, chorować i umierać. Jakby nie mogła dłużej chronić się przed stworzeniami, które ją niszczyły, zarówno demonami, jak i elfami. Kiedy elfy zrozumiały prawdę, nie zostało już dość magii, aby miało to jakieś znaczenie. Demony były zbyt liczne, aby można je było pokonać. Poddało się im wszystko poza miastem. Morrowind przetrwało, jeśli można to nazwać przetrwaniem, ale zostało obalone, zmienione tak, że została tylko pustynia albo krwiożercza dżungla, mordująca wszystko, co na niej żyje, tak samo szybko i pewnie, jak mordowały demony. Nie ma już równowagi w przyrodzie. Killeshan przebudził się i wrze w swoim kotle. W końcu magia wyspy wyschła całkowicie i to sprawiło, że demony zaczęły oblegać Arborlon. Woń magii Keel była nieodparta. Przyciągała ich jak magnes przyciąga żelazo i zapragnęli się nią nakarmić.

Wren zbladła.

— A teraz przyjdą również po nas, prawda? Mamy magię Keel,

całą magię Arborlonu i elfów, zgromadzoną w Loden, i znajdą ją.

— Tak, Wren. Muszą. – Głos Eowen był sykiem. – Ale to nic najgorsze, co chciałam ci powiedzieć. Jest coś więcej. Posłuchaj. Nie dość, że elfy stworzyły potwory, które ich zniszczą, że spustoszyły Morrowindl i nic jej nie uratuje, że być może zniszczyły same siebie jako lud. Ellenroh ledwo mogła o tym myśleć, o roli, którą odegrała w okradaniu wyspy z magii, o swym własnym zaniedbaniu w naprawieniu tego stanu. Ale najbardziej wyniszczała ją świadomość, dlaczego w ogóle elfy przybyły na Morrowindl. Tak, uciekały przed federacją, cieniowcami i wszystkim, co one reprezentowały, chciały odciąć się od tego szaleństwa, zacząć od nowa w nowym świecie. Ale, Wren, to właśnie elfy zniszczyły stary świat!

Wren z niedowierzaniem wytrzeszczyła oczy.

— Elfy? W jaki sposób? Co ty mówisz, Eowen?

Dłonie widzącej puściły jej ręce i zacisnęły się z determinacją, aż pobielaly kostki, jakby nic nie mogło powstrzymać rudowłosej widzącej przed dokończeniem opowieści.

— Kiedy demony przejęły praktycznie całą Morrowindl, kiedy stało się jasne, że wyspa jest stracona i że lud elfów stał się więźniem własnego szaleństwa, królowa odszukała i sprowadziła przed swe oblicze tych, którzy dalej chcieli igrać z mocą, głupich mężczyzn i kobiety, którzy nie potrafili wyciągnąć nauki ze swych błędów i trwali w przekonaniu, że można władać magią. Wśród nich byli ci, którzy stworzyli demony. Zrzuciła ich z murów miasta. Uczyniła tak nie z powodu tego, co zrobili, ale dla tego, co próbowali zrobić. Usiłowali wykorzystać magię w inny sposób. Sposób, który wypróbowano prawie trzysta lat temu, tuż przed śmiercią Allanona i zniknięciem druidów z czterech krain. – Wzięła głęboki oddech. – Nie wszyscy, którzy pragnęli odkryć

stare ścieżki, poszli z nami na Morrowind. Nie wszyscy, którzy byli elfami, wyruszyli z czterech krain. Garstka magów pozostała, nie uznana przez swoich, wyklęta przez Elessedilów. – Jej głos przycichł, aż stał się/prawie niesłyszalny. – Ta garstka, Wren, stworzyła potwory innego rodzaju.

Nastała długa, straszliwa cisza, kiedy widząca i dziewczyna nomadów patrzyły na siebie w mroku. Chłód w żołądku Wren zaczął prześlizgiwać się do reszty członków jej ciała.

— Do licha! – wyszeptała w przerażeniu, nagle świadoma prawdy, ukrywanej przez cały ten czas przed wezwanymi do Hadeshornu przez ducha Allanona. – Mówisz, że elfy stworzyły cieniowce!

— Nie, Wren. – Głos Eowen załamał się, kiedy próbowała dokończyć. – Elfy nie stworzyły cieniowców. Elfy są cieniowcami.

Oddech Wren uwiązał jej w gardle, niczym węzeł grożący uduszeniem. Przypomniała sobie cieniowca przy Wing Hove. Tego, który tak długo się za nią skradał i zabiłby ją, gdyby nie Kamienie Elfów. Spróbowała wyobrazić go sobie jako elfa i nie mogła.

— Elfy, Wren. – Ochryply głos Eowen na powrót przyciągnął jej uwagę. – Mój lud. Lud Ellenroh. Twój własny. Było ich zaledwie kilku, ale były to elfy. Teraz, jak przypuszczam, są również inni, ale na początku były tylko elfy. Myślę, że pragnęły być czymś lepszym, czymś więcej. Ale wszystko poszło nie tak i stały się... czym są. Nawet wtedy odmówiły zmiany, nie szukały pomocy. Ellenroh wiedziała. Wszystkie elfy wiedziały, przynajmniej dawno temu. Oto dlaczego odeszły, porzuciły rodzinną ziemię i uciekły. Były przerażone tym, co uczynili ich pobratymcy. Bały się, że magia została tak źle wykorzystana. Ponieważ magia była myląca i zmienna i to, co stworzyły, nie

zawsze było tym, czego pragnęły. – Uśmiechnęła się gorzko. – Czy rozumiesz teraz, dlaczego królowa nie mogła wyjawić ci prawdy? Pojmujesz brzemię, jakie nosiła? Była Elessedil i jej przodkowie pozwolili, aby tak się stało! Ona sama pomagała w błędnym użyciu magii, albowiem tylko tyle mogła uczynić, jeśli chciała ocalić swój lud. Nie mogła ci powiedzieć. Sama ledwie mogłam się do tego zmusić! Nawet teraz zastanawiam się, czy nie popełniłam błędu...

— Eowen! – Wren ścisnęła rękę widzącej i nie puszczała. – Dobrze uczyniłaś. Babka powinna zrobić to na początku. To straszna, potworna rzecz, ale...

Urwała bezradnie i utkwiała wzrok w widzącej. Nie ufaj nikomu, ostrzegęła Addershag. Teraz rozumiała dlaczego. Tajemnice trzystu lat leżały rozsypane u jej stóp i oddalała je tylko obecność śmierci.

Eowen zaczęła się podnosić, uwalniając dłonie.

— Już dość prawdy ofiarowałam ci tej nocy – wyszeptała. – Jakże bym chciała, aby było inaczej.

— Nie, Eowen.

Bądź wyrozumiała, Wren. Przebacz królowej. I mnie. I elfom, jeśli potrafisz. Pamiętaj, jak ważne jest powierzone ci zadanie. Zanieś Loden z powrotem do czterech krain. Pozwól elfom zacząć od nowa. Pozwól im naprawić wszystko.

Odwróciła się, nie zważając na ciche błaganie Wren, aby została, i zniknęła jej z oczu.

Wren nie spała aż do świtu, obserwując, jak mgła wiruje w próżni, i wpatrując się w nieprzeniknioną noc. Nasłuchiwała kroków wartowników, oddechów śpiących, pustego szeptu własnych myśli, zmagających się z prawdą, z którą pozostawiła ją Eowen.

Cieniowce są elfami.

Słowa powtarzały się same szeptanym ostrzeżeniem. Tylko ona wiedziała, tylko ona mogła ostrzec pozostałych. Ale najpierw musi wydostać się z Morrowindl. Musi przeżyć.

Noc zdawała się zamykać wokół niej. Chciała znać prawdę. Teraz ją miała. Był to gorzki, bolesny triumf.

Och, babciu!

Dłonie zacisnęła na różdżce Ruhk. Czuła przepływające przez ciało fale gniewu, niepokoju i smutku. Odnalazła swe pierworództwo, odkryła swoją tożsamość, dzieje swego życia, a teraz pragnęła, aby to wszystko zniknęło na zawsze. Było to podłe, plugawe, naznaczone zdradą i szaleństwem. Nienawidziła tego.

I wtedy, kiedy jej ponury nastrój zdawał się osiągnąć apogeum, kiedy wydawało się, że już nic gorszego nie może się wydarzyć, usłyszała szept najczarniejszej myśli.

Cieniowce są elfami – a ty prowadzisz cały lud elfów z powrotem do czterech krain.

Dlaczego?

To pytanie zawisło w ciszy niczym oskarżenie.

Rozdział XIX

Kiedy reszta kompanii przebudziła się o wschodzie słońca, Wren wciąż zmagala się z niejasnościami zadania, które powierzyła jej babka. Z jednej strony tysiące istnień zależały od tego, czy poniesie Loden i różdżkę Ruhk z wyspy Morrowindl z powrotem do Westlandii. Cały lud elfów, wszyscy z wyjątkiem Skrzydlatych Jeźdźców, którzy zamieszkiwali przybrzeżne wyspy i nic wyemigrowali wraz z elfami na Morrowindl, zostali tu zgromadzeni przez magię i zamknięci, dopóki Wren – albo kto inny, jeżeli zginie jak Ellenroh – uwolni ich. Jeśli się jej nie uda, elfy wymrą, najstarsza ze wszystkich ras, ostatni z czarodziejskiego świata i całe dzieje od stworzenia świata pójdą w zapomnienie.

Z drugiej jednak strony, być może tak byłoby najlepiej. Drżała za każdym razem, kiedy powtarzała słowa Eowen: Elfy są cieniowcami. Elfy, ze swą magią i uporem w odtwarzaniu swojej przeszłości, same siebie przemieniły w potwory. Stworzyły demony. Zniszczyły Morrowindl i zapoczątkowały upadek czterech krain. W zasadzie każde niebezpieczeństwo miało w nich swoje źródło. Może naprawdę byłoby lepiej, gdyby przestały w ogóle istnieć.

Nie sądziła, aby jej troska była przesadzona. Kiedy elfy powrócą już do Westlandii, nic nie powstrzyma ich od rozpoczęcia nowych prób z magią, od prób ponownego jej przywołania i użycia w jakiś nowy, straszliwy i niszczący sposób. Cóż z tego, że Ellenroh pozbyła się wszystkich, którzy igrali z mocą. Jeden lub dwóch na pewno przeżyło i nie będzie im trudno na nowo rozpocząć eksperymenty, stworzyć nowe gatunki

potworów, nowe koszmary, których Wren nie chciała sobie nawet wyobrażać. Czy elfy nie udowodniły już, że zdolne są do wszystkiego?

Tak jak i druidzi, pomyślała smutno, ofiary źle ukierunkowanego pragnienia wiedzy, nieroztropnej pewności siebie, głupiej wiary, że potrafią władać czymś, co z samej natury jest niezawodnie nieprzewidywalne.

Jak oni do tego doszli, ci ludzie z tyloletnim doświadczeniem w użyciu magii, ten czarodziejski lud przyprowadzony do nowego świata ze zniszczenia starego przez lekcje, których nie powinni zapomnieć? Z pewnością musieli choć odrobinę podejrzewać niebezpieczeństwa, które napotkają, kiedy zaczną przemieniać naturę na swój własny, tak źle pojęty obraz. Na pewno musieli zdać sobie sprawę, że coś jest nie tak. A jednak upływ czasu uczynił elfy tak samo ludzkimi jak inne rasy, przemienił je z zaczarowanych stworzeń w śmiertelników i odmienił ich sposób postrzegania oraz wiedzę. Dlaczego nie mieliby popełniać błędów, jak wszyscy inni – jak czynił to każdy, od druida po człowieka? Elfy. Była jedną z nich oczywiście i co gorsza, była również

Elessedilem. Aczkolwiek pragnęła, aby było inaczej, pożerało ją poczucie winy za ich błędy i wyrzuty sumienia z powodu tego, co pociągnęło za sobą ich szaleństwo. Ziemia, naród, niezliczone istnienia, rozkwit świata i pokój – wprowadzili w ruch wydarzenia, które zniszczyły to wszystko. Jej lud. Mogłaby się sprzeczać, że jest nomadką, że nic jej nie łączy z elfami poza więzami krwi i wyglądem, ale zaprzeczanie wydawało się niezdarne i pozbawione sensu. Odpowiedzialność nie zaczyna się i nie kończy wraz z osobistymi pragnieniami – tego nauczył ją Garth. Była częścią swego otoczenia i nie tylko przeżycie, ale miara jej

życia bezpośrednio zależała od tego, czy akceptuje tę prawdę. Nie mogła odsunąć się od tego, co w świecie nieprzyjemne; nie mogła zapomnieć o bólu. Dawno, dawno temu elfy były pierwszymi pośród uzdrowiaczy, a ich celem było utrzymanie kraju w całości i zaszczepienie innym mądrości tego dzieła. Co się stało z tym zobowiązaniem? Jak to się stało, że elfy tak zbłądziły?

Bez apetytu zjadła posiłek i nie rozmawiała wiele, pochłonięta myślami. Eowen siedziała naprzeciw niej ze spuszczonej oczami. Garth i inni mężczyźni poruszali się obok nich nie zauważeni, skupieni na wędrowce, która ich czeka. Stresa już wyruszył, tropiąc na przedzie, aby upewnić się co do drogi. Faun leżała jej na kolanach jak futrzany kłębek.

Co mam robić? – pytała samą siebie w rozpacz. Jakiego wyboru dokonać?

Podjęto wspinaczkę na Blackledge, a ona w dalszym ciągu nie mogła znaleźć odpowiedzi. Dzień był mroczny i mglisty, jak wszystkie dotąd, słońce przesłaniała mgła, powietrze gęste było od żaru, popiołu i nikłego odoru siarki. Za nimi unosiły się z Eden Murk odgłosy bagniska, mieszanina wrzasków i krzyków, przeważnie urywana i odległa, rozproszona we mgle. W dole zwierzęta polowały, szukały żeru i walczyły, aby przeżyć kolejny dzień. Nad ich głowami była tylko cisza i nic więcej na nich nie czekało prócz chmur. Szlak był stromy, kręty i często urywał się i cofał labiryntem występów, uskoków i wąwozów. Od czasu do czasu spotykał ich krótki, gwałtowny deszcz, pozostawiając na skale i ziemi wilgotną śliskość, i wyparowywał w żarze dnia.

Czas mijał, a myśli Wren wędrowały bez celu. Odkryła, że tęskni za rzeczami, na które nigdy wcześniej nie zważała. Była jeszcze młoda, ledwo stała się kobietą i przygnębiała ją możliwość, że mogłaby nigdy nie mieć męża ani dzieci i na

zawsze pozostać sama. Wyobrażała sobie twarze, głosy i niewielkie sceny z życia, gdzie to wszystko było obecne, i bez przyczyny oraz szczególnego celu opłakiwała ich stratę. To odkrycie, kim i czym jest, uwolniło te odczucia, zdecydowała w końcu. To zobowiązanie, które niosła, odpowiedzialność, którą podjęła, wywołała owo poczucie samotności i odosobnienia. Nie istniało dla niej nic poza ucieczką z Morrowind, poza losem ludu elfów, poza zmierzeniem się z koszmarem, który odkryła. Nic w jej życiu nie wydawało się już proste i zwyczajne wydarzenia życia, takie jak mąż i dzieci, zostały zapomniane, jak dom, który zostawiła za sobą.

Zmusiła się, aby rozważyć tę możliwość, kuszące domysły przywołane potrzebą, aby nadać jakiś sens temu, co działo się wokół, kim naprawdę mogłaby się stać – dzięki Allanonowi, Ellenroh, przez swój wybór i szansę – być dla swego ludu matką i żoną, przyjmując ich jako rodzinę, być ich pasterzem, prowadzić, ochraniać i doglądać ich żywota, póki sama żyje. Umysł miała jasny i widziała rzeczy wyraźnie, mimo iż od trzech dni prawie nie spała, a jej fizyczne i psychiczne siły uległy wyczerpaniu. Nie była sobą, jednak prawdopodobnie odnalazła siebie. Nic nie dzieje się przypadkowo, i w tym więc musi być jakiś cel. Powróciła do swego ludu, na dobre i złe przyjęła odpowiedzialność i została ich królową. Odkryła magię Kamieni Elfów i przejęła władzę nad ich mocą. Powiedziano jej o tym, czego nikt nie widział – wyjawiono prawdę o pochodzeniu cieniowców. Dlaczego? W myślach wzruszyła ramionami. Co za różnica zresztą. Niewielka, jeśli brać pod uwagę owe stwory, aczkolwiek może nie uda się zupełnie odsunąć od problemów i rozwiązań, jak stwierdził Allanon, gdy wyznaczył zadania dzieciom Shannary. Niewielka, jeśli chodzi o przyszłość ras,

ponieważ nazbyt wielkie to przedsięwzięcie dla jednej osoby i zdecydowanie musi się dokonać wysiłkiem wielu, choć nie można zapomnieć o kapryсах losu. Ale dla elfów, dla ich przyszłości jako ludu, dla naprawienia tak wielu złych uczynków i skorygowania tak wielu błędów – w tym mogłaby odnaleźć cel swego życia.

Była to krzepiąca myśl i rozważała ją podczas wspinaczki na Blackledge, pogrążona w rozmyślaniach, czego wymagać będzie tak poważne przedsięwzięcie. Czuła, że wystarczy jej sił: wiele mogła osiągnąć, jeśli tego zapragnęła. Była zdecydowana, a wycucie tego, co dobre i złe, dobrze jej służyło. Świadoma była, że ma dług: wobec matki, która poświęciła wszystko, aby jej dziecko miało szansę bezpiecznie dorastać; wobec babki, która zawierzyła jej przyszłość miasta i jego mieszkańców; wobec tych, którzy już oddali życie, aby zachować jej własne; i tych, którzy gotowi byli to uczynić, którzy wierzyli jej i ufali.

Ale nawet tego nie było dosyć, aby ją przekonać. Wiedziała, że musi być coś więcej – co przekracza oczekiwania i sumienie, coś bardziej fundamentalnego. Było to istnienie potrzeby. W głębi duszy wiedziała już, że ludobójstwo jest odrażające i że musi znaleźć jakieś inne rozwiązanie przyszłości elfów i ich magii. Jeśli jednak przeżyją, jeśli szczęśliwie przywróci je Westlandii, co się z nimi stanie, jeśli zechce odejść? Kto poprowadzi je do nieuniknionej walki? Kto będzie im doradcą i przewodnikiem? Czy może zostawić to wszystko przypadkowi, czy choćby nakazom Wysokiej Rady? Potrzeba ludu elfów była ogromna i nie sądziła, że mogłaby nie zważać na nią, nawet jeśli oznaczało to całkowitą odmianę jej życia.

A mimo to nie była pewna. Rozdarta była wewnętrznym konfliktem, walką pomiędzy wyborami, których nie chciała

określać jako po prostu złe lub dobre. Wiedziała również, że być może nie będzie jej dane dokonać jakiegokolwiek wyboru, bo chociaż Ellenroh przekazała jej dowództwo, to w ostatecznym rozrachunku tylko elfy mogły przyjąć je lub odrzucić. A dlaczego miałoby podążać za nią? Nomadka, obca, ledwie dorosła dziewczyna – miała wiele do zrobienia.

Takie właśnie wątpliwości opadły ją, niczym skrawki papieru wirujące na wietrze, upadek odległych planów w obliczu aktualnych potrzeb. Spojrzała wokół na skały i krzewy, na welon mgły i ciemne, pochylone sylwetki podróżujących z nią elfów. Teraz mogła troszczyć się jedynie o to, aby pozostali przy życiu.

Podróż trwała aż do południa, po czym Stresa nakazał postój. Wren wysunęła się zza pleców Gartha, aby sprawdzić, co się dzieje. Splinter stał przy wejściu do jaskini wydrążonej w skale. Po prawej stronie szlak piał się dalej stromym zboczem ściany urwiska i znikał w plątaninie roślinności.

— Widzisz, Wren z rodu elfów – powiedział cicho splinter, wlepiając w nią jasne ślepie. – Mamy teraz wybór. Phhfft! Szlak wiję się do szczytu, ale jest powolny i trudny w tym miejscu, ssspтт, nie widać go wcale. Tunel otwiera się na kilka kanałów utworzonych w lawie przez ogień wulkanu wiele lat temu. Podróżowałem nimi. One również wiodą na szczyt.

Wren uklękła.

— Jaki jest twój wybór?

— Rwwl. Obie drogi są niebezpieczne.

— Wszędzie jest niebezpiecznie – rozproszyła jego obawy. Wokół niej wirowała mgła pośród gęstej roślinności wyspy, jakby szukając własnej drogi wyjścia. – Polegamy na twoim przewodnictwie, Stresa – przypomniała mu. – Wybieraj.

Splinter syknął niezadowolony.

— A więc tunele. Phhfft! – Potężne ciało kota zakołysało się i cofnęło. Igły uniosły się i opadły. – Potrzebujemy światła.

Triss poszedł poszukać kawałka drewna nadającego się na pochodnię, a reszta kompanii przetrząsała plecaki i kieszenie w poszukiwaniu szmat i hubki. Gavilan znalazł hubkę, a Eowen szmaty. Ostrożnie ułożyli je przy wejściu do tunelu i usiedli, aby się posilić, zanim wróci Triss.

— Spałaś? – zapytała cicho Eowen, siadając przy boku Wren. Ostrożnie odwracała wzrok.

— Nie – odpowiedziała Wren zgodnie z prawdą. – Nie mogłam.

— Ja też nie. Równie trudno było mówić te słowa, jak słuchać ich.

— Wiem.

Rude włosy zaśniły wilgocią, kiedy widząca uniosła bladą twarz.

— Miałam wizję, pierwszą od wyjścia z Arborlon.

Wren odwróciła się, napotykając spojrzenie Eowen, i przeraziło ją to, co tam ujrzała.

— Opowiedz mi o niej.

Eowen pokręciła głową ledwie dostrzegalnym ruchem.

— Tylko dlatego, że to konieczne, aby cię ostrzec – wyszeptała. Pochyliła się, aby tylko Wren mogła ją słyszeć. – W mojej wizji stałaś samotnie na szczycie wzniesienia. To była Morrowindl. Trzymałaś różdżkę Ruhk i Kamienie Elfów, ale nie mogłaś ich użyć. Inni, ci tutaj, łącznie ze mną, byli czarnymi cieniami rzuconymi na ziemię. Coś zbliżyło się do ciebie, ogromne i niebezpieczne, ale ty się nie bałaś, jakbyś witała to z radością. Może nie zdawałaś sobie sprawy, że ci zagraża. Był to błysk srebra i pospieszyłaś, aby go pochwycić. – Przerwała, a głos zdawał się więznąć jej w gardle. – Nie wolno ci tego zrobić, Wren.

Pamiętaj, kiedy tak się stanie.

Wren skinęła głową, w środku czując pustkę i odrętwienie.

— Będę pamiętała.

— Przykro mi – wyszeptała Eowen. Przez chwilę wahała się, niczym ścigane stworzenie zapędzone w pułapkę, po czym wstała i oddaliła się pospiesznie.

Biedna Eowen, pomyślała Wren. Przez chwilę patrzyła za widzącą, zamyślona. Potem skinęła na Gartha. Olbrzym przyszedł natychmiast. Patrzył pytająco, widząc jej troskę. Przesunęła się, aby tylko on ją widział.

— Eowen miała wizję własnej śmierci – zamigała, nie wysilając się tym razem na słowa. Twarz Gartha pozostała bez wyrazu. – Pilnuj jej, dobrze? Postaraj się, aby była bezpieczna.

Palce Gartha poruszyły się.

— Nie podoba mi się to, co widzę w jej oczach.

Wren westchnęła, a potem pokiwała głową.

— Mnie również. Po prostu zrób, co możesz.

Kilka chwil później powrócił Triss, niosąc dwa kawałki suchego drewna, które zdołał odnaleźć gdzieś na przemokniętych od deszczu zboczach. Zbliżając się, zerknął przez ramię za siebie.

— W dole coś się rusza – oznajmił, podając jeden kawałek Dalowi. – Coś wspina się w naszą stronę.

Po raz pierwszy, od kiedy uciekli z bagnisk, poczuli, że czas nagli. Aż do tej chwili prawie udało im się zapomnieć o polujących na nich stworach. Wren myślała przez chwilę o magii Loden, zastanawiając się, czy demony naprawdę mogły ją zwęszyć, skoro zapach odzyskanej magii Keel był na tyle silny, aby przyciągnąć je, nawet kiedy nie była używana.

Wokół drewna obwiązali pasy szmat i skrzęsali iskrę. Kiedy

gałęzie zapłonęły, weszli do tunelu. Stresa prowadził, stworzenie nocy nawykłe do ciemności, a jego krzepkie ciało przesuwało się gładko w mroku. Tuż za nim szedł Triss z jedną pochodnią, podczas gdy Dal kończył pochód z drugą. Pomiedzy nimi szli Wren, Gavilan, Eowen i Garth. Powietrze w kanałach lawy było chłodne i stęchłe, a z sufitu kapiała woda. Miejscami, porytym podłożem, płynęły wąskie strumyczki. Nie było żadnych występów ani przeszkód; przejście rozpalonej do czerwoności lawy wypaliło wszystko wiele lat temu. Kiedy czekali na Triss, Stresa wyjaśnił Wren, w jaki sposób ciśnienie gorąca i gazy z serca wulkanu drążyły otwory w ziemi, rzeźbiąc tunele w podziemnej skale, którymi płonąca lawa wydostawała się na powierzchnię. Lawa była tak gorąca, że utworzone w niej przejścia były gładkie i równe. Te kanały mogły biec milami, wijąc się niczym ogromna dżdżownica i tworząc otwory-w skórze Morrowindl, które z kolei uwalniały ciśnienie i pozwalały lawie płynąć bez przeszkód do morza. Kiedy wulkan wystygł, lawa osiadła i pozostawiła kanały. Ten, którym teraz podążają, był częścią całej serii, przecinającej Blackledge od korony do podstawy.

— Jeśli nie zgubię drogi, będziemy na szczycie tego, rrrwwll, grzbietu przed nocą – obiecywał splinter.

Wren chciała zapytać go, skąd się dowiedział o kanałach, ale pomyślała, że wiedza kota pochodzi prawdopodobnie od elfów i rozmowa o tym rozzłości go. W każdym razie wydawał się wiedzieć, dokąd idzie, z nosem wysuniętym do przodu, wychodząc poza krąg światła pochodni, jakby pragnął pociągnąć ich swoim śladem. Nie wahał się ani przez chwilę, nawet kiedy dotarł do rozchodzących się korytarzy i musiał wybierać. Szli wijącym się szlakiem w chłodnej skale, wspinając się wytrwale,

włokąc swoje pakunki przez mrok i ocierając z twarzy i dłoni chłodne, kłujące krople wody. Echo kroków ich obutych stóp odbijało się głucho w głębokiej ciszy, a ich oddechy były urywanym sykiem.

Raz tylko zmuszeni byli zejść wyjątkowo stromym spadkiem, aby przejść przez otwór, którym lawa przedostała się do pustej komory wewnątrz góry i zostawiła ziejącą dziurę, spadającą w czerń. Dalej znajdowała się jaskinia, w której zebrała się lawa, tworząc kilka korytarzy przecinających się nawzajem węzowym splotem. Za każdym razem Stresa wiedział, co robić, którym pójść tunelem i który korytarz poprowadzi ich bezpiecznie dalej.

Mijały godziny, a wędrówka trwała. Wren pozwoliła Faun podróżować na swym ramieniu. Jasne ślepka drzewnej wiewiórki spoglądały na prawo i lewo, a jej głos rozbrzmiewał w uszach dziewczyny cichym pomrukiem. Wren na jakiś czas porzuciła rozmyślenia i skupiła się jedynie na przesuwaniu stóp do przodu, jedna za drugą, i obserwowaniu hipnotycznie kołyszących się cieni rzucanych przez pochodnię oraz na najprostszych myślach, które miały dać wypoczynek jej umęczonemu umysłowi i emocjom.

Zapadła już noc, kiedy w końcu wynurzyli się z tuneli wychodzących na matową czerń i stanęli pośród jesionów o wątych konarach i krzaków na szczycie ściany urwiska. Przed nimi rozciągał się skalny występ, ginąc we mgle; za nimi wznosiły się poszarpane góry. Niebo nad ich głowami było ponure i zachmurzone. Padał lekki deszcz.

Wyszli z tuneli w akacyjny lasek tuż przy krawędzi Blackledge i tam rozbili obóz na noc. Rozłożyli ekwipunek i zjedli szybko posiłek, po czym owinęli się w opończe i koce, szykując się do snu. Na szczycie góry było chłodno i dokuczał im porywisty

wiatr. W oddali Wren słyszała grzmot Killeshan i widziała czerwony blask ognia, pobłyskujący przez mgłę. Ziemia znowu zaczęła drzeć, powolnym, złowieszczym drzeniem, które toczyło w dół poluzowane kawałki skał i ziemi, kołysało drzewami i sprawiało, że liście szeptały niczym przerażone dzieci.

Wren oparła się o pochyloną akację, której wystające korzenie uczepiły się skalnego podłoża. Różdżka Ruhk spoczywała na jej kolanach, zapomniana na chwilę. Faun wtuliła się w jej ramię, czując drzenie ziemi, a potem ukryła się w fałdach koca. Patrzyła, jak niewielka, krępa postać Dalla przemyka się, aby objąć pierwszą wartość. Powieki ciążyły jej, kiedy tak patrzyła w ciemność, ale nie mogłaby jeszcze zasnąć. Najpierw musiała trochę pomyśleć.

Siedziała tak ledwie parę chwil, kiedy pojawił się Gavilan. Nagle wynurzył się z ciemności i mimo woli się przestraszyła.

— Wybacz – przeprosił pospiesznie. – Mogę usiąść z tobą na chwilę?

Bez słowa skinęła głową i usiadł obok. Z ramion zwisał mu koc, a włosy miał splątane i wilgotne. Na przystojnej twarzy malowało się zmęczenie, ale pojawił się również ślad znajomego uśmiechu.

— Jak się czujesz?

— Dobrze.

— Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Uśmiechnęła się.

— Obyśmy coś wiedzieli – mruknął.

Odwróciła się.

— Co?

— Wszystko. Cokolwiek! Coś, co przygotowałoby nas lepiej na to, w co się pakujemy. – Jego głos brzmiał dziwnie, niemal

gorączkowo. – To prawie tak, jakbyśmy dryfowali na oceanie bez mapy i kazano nam dopłynąć bezpiecznie i na czas, i to bez użycia tej odrobiny pitnej wody, którą mamy ze sobą.

— Co masz na myśli?

Odwrócił się.

— Pomyśl, Wren. Mamy zarówno Loden, jak i Kamienie Elfów – magię wystarczającą, aby zdobyć niemal wszystko. A mimo to boimy się ją przywołać, prawie jakby nam tego zabraniano. A przecież tak nie jest, prawda? Czemu to służy? Patrz, o ile lepiej potoczyły się sprawy, kiedy użyłaś Kamieni Elfów, aby znaleźć wyjście z Eden Murk. Powinniśmy wykorzystywać tę magię na każdym kroku! Gdybyśmy tak zrobili, być może byłibyśmy już na plaży.

— To nie działa w ten sposób, Gavilanie. Nic robi nic...

On jednak nie słuchał.

— Jeszcze bardziej lekceważymy magię zawartą w Loden. Tak, potrzebna jest, aby zachować elfy i Arborlon w powrotnej drodze. Ale czy to wszystko? Ani trochę w to nie wierzę! – Przez chwilę pozwolił swoim dłoniom spocząć na różdżce Ruhk. Jego słowa nagle stały się żarliwe. – Dlaczego nie wykorzystać magii przeciwko stworom, które nas ścigają? Dlaczego po prostu nie spalić drogi pod nimi? Albo jeszcze lepiej, dlaczego nie stworzyć czegoś, co ich zniszczy!

Wren wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczami, niezdolna uwierzyć w to, co słyszy.

— Gavilanie – odrzekła cicho. – Wiem o demonach. Eowen mi powiedział.

Wzruszył ramionami.

— Chyba był najwyższy czas. Ellenroh była jedyną przyczyną, dla której nie powiedziano ci tego wcześniej.

— Cokolwiek by było – ciągnęła stanowczo, ścisząc głos – jak możesz proponować wykorzystanie magii do stworzenia czegoś innego?

Rysy jego twarzy stwardniały.

— Dlaczego? Ponieważ coś poszło nie tak, kiedy została wykorzystana wcześniej? Ponieważ tym, którzy jej użyli, zabrakło umiejętności, siły czy wyczucia tego, co potrzebne, aby wykorzystać ją właściwie?

W milczeniu potrząsnęła głową.

— Wren! Musimy użyć magii! Tak musi być! To właśnie dlatego jest tutaj! Jeśli my nie zrobimy z niej użytku, zrobi to ktoś inny, a wtedy co? To nie zabawa. Wiesz tak dużo. Są tu rzeczy tak niebezpieczne, że...

— Uczynione przez elfy! – odrzekła gniewnie.

— Tak! Zgadzam się, że to był błąd! Ale jeśli nie my, uczyniliby je inni!

— Nie możesz tego wiedzieć!

— To nieważne. Pozostaje fakt, że stworzyliśmy je dla dobrej sprawy! Nauczyliśmy się wiele! Tworzenie leży w duszy władającego mocą! Wymaga tylko siły celu i ukierunkowania potrzeby! Tym razem zrobimy to dobrze!

Przerwał, czekając na jej odpowiedź. Patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Wren wzięła głęboki oddech i schyliła się, aby podnieść różdżkę Ruhk.

— Lepiej będzie, jeśli nie powiesz już nic więcej.

Uśmiechnął się gorzko, ironicznie.

— Kiedyś byłaś zła, bo nie powiedziałem dosyć.

— Gavilanie – wyszeptała.

— Myślisz, że to odejdzie, jeśli nie będziesz o tym mówić, że wszystko jakoś się ułoży?

Powoli, ze smutkiem, pokręciła głową.

Pochylił się ku niej, ściskając mocno jej dłonie. Nie próbowała się uwolnić, równocześnie zafascynowana i przejęta wstrętem na widok tego, co ujrzała w jego oczach. Czuła, jak wzbiera w niej ból.

— Posłuchaj, Wren – powiedział, potrząsając głową. – Łączy nas szczególna więź. Czuję to od chwili, kiedy cię ujrzałem tamtej nocy, kiedy przybyłaś do Arborlon, ciągle nie wiedząc, dlaczego cię tu przysłano. Ja wiedziałem. Wiedziałem już wtedy, ale za wcześnie było o tym mówić. Jesteś córką Alleyne i masz w sobie krew Elessedilów. Masz odwagę i siłę. Dokonałaś już więcej, niż ktokolwiek miał prawo od ciebie oczekiwać.

Ale, Wren, to nie jest twój problem. Elfy nie są twoim ludem, a Arborlon twoim miastem. Wiem o tym. Wiem, jak obca musisz się tu czuć. I Ellenroh nigdy nie rozumiała, że nie możesz poprosić ludzi, aby przyjęli odpowiedzialność, ponieważ odpowiedzialność od samego początku nie do nich należała. Nigdy nie rozumiała, że raz odesłana, nie powrócisz do niej tą samą dziewczyną. Tak właśnie straciła Alleyne! A teraz patrz. Dała co różdżkę Ruhk i Loden, elfy i Arborlon, całą przyszłość narodu i kazała ci być królową. Ale ty naprawdę nie chcesz niczego z tych rzeczy, prawda?

— Nie chciałam – przyznała. – Kiedyś.

— Nie zauważył jej wahania.

— A więc zostaw to! Skończ z tym! Pozwól mi wziąć różdżkę i Kamienie i wykorzystać je tak, jak powinny być wykorzystane – do walki z potworami, które nas gonią, do zniszczenia tych, które zamieniły Morrowindl w ten koszmar!

— Których potworów? – zapytała cicho.

— Co?

— Których? Demonów czy elfów? Które masz na myśli?

Patrzył na nią, nie pojmując, i czuła, jak pęka jej serce. Jego oczy były jasne i rozgniewane, twarz spięta. Wydawał się tak przekonany.

— Elfy – wyszeptała – są tymi, które zniszczyły Morrowindl.

— Nie – odpowiedział natychmiast bez wahania.

— One stworzyły demony, Gavilanie.

Gwałtownie pokręcił głową.

— Dawni ludzie stworzyli je w innych czasach. Taki błąd nie zdarzy się więcej. Nie pozwolę na to. Magia może być lepiej wykorzystana, Wren. Wiesz, że to prawda. Czyż Ohmsfordowie nie znaleźli na to sposobu? A druidzi? Pozwól mi spróbować! Dam radę: wiem, co jest potrzebne! Ty nie chcesz różdżki, sama tak powiedziałaś! Daj ją mnie!

Pokręciła głową.

— Nie mogę.

Gavilan zeszywniał i cofnął dłonie.

— Dlaczego, Wren? Powiedz mi dlaczego.

Rzecz jasna nie mogła tego zrobić. Nie mogła znaleźć słów, a nawet gdyby była w stanie je odnaleźć, nie potrafiłaby ich wymówić.

— Obiecałam – odrzekła, pragnąc, aby przestał, porzucił swe żądania, zrozumiał, że nie powinien prosić.

— Obiecałaś? – prychnął. – Komu?

— Królowej – nie ustępowała.

— Królowej? Do licha, Wren, jaką to ma wartość? Królowa nie żyje!

Wtedy go uderzyła, mocnym ciosem w twarz, który odchylił mu głowę. Przez chwilę trwał odwrócony, po czym się wyprostował.

— Możesz mnie uderzyć jeszcze raz, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej.

— Czuję się strasznie – wyszeptała, w głębi duszy zmieniając się w lód. – Ale mówiłeś złe rzeczy, Gavilanie.

Przez chwilę patrzył na nią z goryczą i odkryła, że pragnie mieć go na powrót, jak wtedy, kiedy byli jeszcze w Arborlon, kiedy był czarujący i miły, przyjaciel, którego potrzebowała, kiedy całował ją poza Wysoką Radą, kiedy mu na niej zależało.

Na przystojnej twarzy pojawiła się determinacja.

— Musisz pozwolić mi użyć magii Loden, Wren.

Stanowczo potrząsnęła głową.

— Nie.

Rzucił się gwałtownie do przodu, jakby chciał ją zaatakować.

— Jeśli tego nie zrobisz, nie przeżyjemy. Nie możemy. Nie masz...

— Przestań, Gavilanie! – przerwała, zakrywając mu usta dłonią. – Nie mów tego! Nie mów nic więcej!

Jej nagły gest sprawił, że na chwilę zamarli oboje w bezruchu, a Wren zadrżała od nagłego podmuchu wiatru. Powoli cofnęła dłoń.

— Idź spać – przynagliła, walcząc, aby głos jej się nie załamał. – Jesteś zmęczony.

Odsunął się lekko i był to ledwie mały ruch, który dzielił go tylko o cal od dziewczyny – a mimo to czuła, jak pękają łączące ich więzy, jak przecięte nożem sznury.

— Pójdę – powiedział cicho. Gniew jeszcze brzmiał w jego głosie. Wstał i spojrzał na nią. – Byłem twoim przyjacielem. Byłbym nim nadal, gdybyś na to pozwoliła.

— Wiem – odrzekła.

Przez chwilę stał w miejscu, jakby nie mógł się zdecydować, co

robić, zostać czy iść, mówić czy milczeć. Spojrzał za siebie, w mgłę i ciemność.

— Nie umrę tutaj – wyszeptał.

Potem odwrócił się i odszedł wolnym krokiem. Wren siedziała, patrząc za nim, dopóki nie zniknął w ciemności. Łzy napłynęły jej do oczu, ale otarła je szybko. Gavilan zranił ją i nienawidziła go. Kwestionował wszystkie jej decyzje, sprawiał, że zaczynała się zastanawiać, czy w ogóle ma pojęcie o tym, co robi. Sprawiał, że czuła się głupia, samolubna i naiwna. Żałowała, że kiedykolwiek rozmawiała z cieniem Allanona, przybyła na Morrowindl, odnalazła elfy, ich miasto i koszmar ich egzystencji – pragnęła, aby nigdy się to nie wydarzyło.

Żałowała, że spotkała swoją babkę.

Nie! – upomniała się ostro. Nigdy tego nie żałuj!

Ale w głębi duszy żałowała.

Rozdział XX

Nadszedł świt, ukradkowe widmo otulone stalowoszarą opończą na tle mroku odchodzącej nocy, jakby wypełził niepewnie z wczorajszego dnia w poszukiwaniu jutra. Kompania wstała, aby go powitać, zmęczeni i zniechęceni, a ciężar upływu czasu i brak wygod ciągnął ich w dół niczym łańcuchy. Naciągając opończe i ładując na ramiona pakunki i broń, wyruszyli na nowo, pogrążeni w milczeniu i własnych myślach, przybierając srogie miny wbrew rosnącej ścianie strachu i wątpliwości. Gdybym mogła przespać choć jedną noc, myślała Wren, próbując odegnać wyczerpanie. Tylko jedną.

Niewiele zaznała wypoczynku ostatniej nocy, a po przebudzeniu leżała w ciszy, napastowana przez demony wszelkich kształtów i rodzajów, demony o twarzach przypominających jej najbliższych, przyjaciół i rodzinę. Szeptaly do niej jakieś słowa, szydziły i dokuczały, ostrzegały przed tajemnicami, których nie znała, wskazywały jej drogę i nakładały brzemie na jej ramiona, a potem zniknęły, niczym poranna mgła. Zacisnęła dłonie na różdźce Ruhk, opierając się na niej podczas wspinaczki. Nie ufaj nikomu, syczały jej w pamięci słowa Addershag.

Wspinaczka nie była długa, ponieważ pod koniec wczorajszej wędrówki wynurzyli się z kanałów lawy niedaleko szczytu, widząc już górski grzbiet. Tego dnia dotarli doń szybko, pokonując z wysiłkiem ostatni fragment urwanego szlaku. Stanęli na szczycie ściany, aby spojrzeć za siebie, w mgłę okrywającą krainę, którą przemierzyli – prawie jakby spodziewali się, że ujrzą tam coś, co na nich czeka. Nic jednak nie

było widać, całość osłaniał całun chmur i mgły, świat i życie zniknęły w przeszłości. Widzieli je ciągle w duszy, wyraźne, jakby narysowane w powietrzu przed nimi. Pamiętali, ile kosztowała ich droga tamtędy, co im odebrała i jak niewiele dała w zamian. Patrzyli jeszcze chwilę, po czym szybko zawrócili.

Szli później wąskim pasmem skał przedzielonych drzewami, które wyciągały się z krawędzi Blackledge niczym palce, aż nagle wszystko urwało się gwałtownie przy poszarpanym labiryncie szczelin i grani, które rozpadały się i na powrót zwijały, jak ogromne zmarszczki na skórze ziemi. Jakiś czas temu przepłynęła tędy rzeka lawy, wylana z paszczy Killeshan, aby opłynąć szczyt Blackledge. Wypaliła wszystko, pozostawiając jedynie kilka srebrnych, nagich pni. Niektóre z nich upadły, wykrzywione dziwnie, a niektóre oparły się o siebie w rozpacz. Z lawy wyrastały krzaki w powyginanych kępach, a plamy mchu znaczyły ocienione strony ostrych rozpadlin.

Stresa przywiódł ich na kraniec tego posępnego świata, przystając niezdarnie na szczycie niewielkiego wzniesienia z czujnie wygiętym grzbietem. Kompania wpatrzyła się ponuro przed siebie, nasłuchując i nie słysząc niczego, wypatrując i nie widząc niczego, czując z każdej strony obecność śmierci. Przed nimi rozpościerało się dzieło zniszczenia, rozległy, pusty krajobraz otulony w ponurą ciszę.

Faun na ramieniu Wren siedziała sztywno pochylona do przodu, nadstawiając uszu. Czuła, jak drzewna wiewiórka drży.

— Co to za miejsce? – zapytał Gavilan.

Ich uwagę oderwało na chwilę ciężkie dudnienie i spojrzeli na północ, gdzie wynurzała się mroczna, zwalista sylwetka Killeshan, która wydawała się teraz tak bliska, jak wtedy, kiedy opuszczali Arborlon. Dudnienie oddaliło się i ucichło.

Stresa odwrócił się powoli.

— To Harrow – powiedział. – Hssttt! Tu żyją drakule.

Rodzaj demonów, cieniowce, przypomniała sobie Wren. Stresa wspominał o nich wcześniej. Niebezpieczne, oznajmił.

— Drakule – powtórzył Gavilan.

Killeshan znowu zagrzemiał, bardziej nagłaco niż wcześniej, jak niepotrzebne przypomnienie swojej obecności, gniewu, że skradli mu magię i zniszczyli harmonię rzeczy. Morrowindl zadrżała w odpowiedzi.

— Opowiedz mi o drakulach – cicho poleciła kotu Wren.

Stresa utkwiał w niej spojrzenie ciemnych oczu.

— Demony, jak inne. Phhfftt! Śpią za dnia, a w nocy wychodzą na żer. Wysysają życie z żywych istot, które schwytają: krew, płyny ciała. Niektóre z tych stworzeń, hsttt, zmieniają się w drakule. – Tępy nos zmarszczył się. – Polują jako widma, ale przybierają kształt, kiedy jedzą. Jako widm nie można ich zranić. – Splunął z obrzydzeniem.

— Pójdziemy naokoło – oznajmił natychmiast Triss.

Stresa znowu splunął, jakby nie mógł się pozbyć ohydneho smaku.

— Naokoło! Phaaww! Nie ma żadnego „naokoło”! Na północ Harrow biegnie z powrotem w stronę Killeshan, całe mile, z powrotem do doliny i demonów, które nas ścigają. Rwwll. Na południe Harrow ciągnie się do klifów. Drakule polują również na jego krańcach. Tak czy inaczej nigdy, hrragh, nie okrążylibyśmy go przed nocą, a musielibyśmy, jeśli chcecie żyć. Przejście za dnia jest naszą jedyną szansą.

— Kiedy drakule śpią? – podsunęła Wren.

— Tak, Wren z rodu elfów – mruknął miękko splinter. – Kiedy śpią. A nawet wtedy, hsttt, nie będzie zupełnie bezpiecznie.

Nawet wówczas drakule są obecne – jako głosy z powietrza, twarze we mgle, uczucia, szepty, lęki i wątpliwości. Phhfftt. Będą próbowały nas odciągnąć i zwabić, zatrzymać nas w Harrow do zmroku.

Wren wpatrzyła się w przeklętą krainę, we mgłę wiszącą od niebios aż do ziemi. Znowu w pułapce, pomyślała. Cała wyspa jest pułapką.

— Nie ma dla nas innego przejścia?

Stresa nie odpowiedział – nie musiał.

— A z drugiej strony Harrow?

— In Ju. A dalej plaże.

Triss stanął u jej boku. Na szczupłej twarzy malowało się napięcie.

— Aurin Striate mówił o drakulach – doradził cicho. Utkwił w niej spojrzenie. – Mówił, że nie ma przed nimi obrony.

— Ale teraz śpią – odpowiedziała równie cicho.

Nowy grzmot wstrząsnął wyspą, głęboki i groźny, wznoszący się niczym rozzłoszczony olbrzym, ogłuszający. W ziemi wokół nich pojawiły się pęknięcia, a odłamki skał i osad opadały w otchłań. Z paszczy Killeshan buchnęła para i popiół, tryskając ogromnymi gejzerami w niebo i niknąc w mroku. Zaraz za nimi pojawił się złowieszczo ogień, ale tylko trochę, ledwo widoczny we mgle. Garth przyciągnął uwagę Wren, po prostu unosząc ramiona. Jego palce poruszyły się.

— Bądź szybka, Wren. Wyspa zaczyna się rozpadać.

Spojrzała na resztę: Garth, zagadkowy i niewzruszony jak zawsze; spokojny Triss, teraz jej obrońca, poświęcony nowemu zadaniu; Dal, wpatrzony bez ruchu w mgłę – nigdy nie słyszała go mówiącego; Eowen, biały cień na tle szarości, wyglądająca jakby miała w niej zniknąć; i Gavilan, niespokojny,

nieprzewidywalny, zmęczony, stracony dla niej.

— Ile czasu zajmie nam przejście? – zapytała Stresę. Faun zesła z jej ramienia i zeskoczyła na ziemię.

— Pół dnia, może dłużej – oznajmił splinter.

— Całe życie, jeśli się mylisz – odezwał się nieswoim głosem, ponuro, Gavilan.

— A zatem musimy się śpieszyć – stwierdziła Wren i przywołała z powrotem Faun. Wyciągnęła przed siebie różdżkę Ruhk jak przypomnienie. – Nie mamy wyboru. Ruszajmy. Trzymajcie się blisko siebie. Uważajcie.

Ruszyli przez płaskowyże, schodząc labiryntem zagłębień, poprzez płataninę martwych drzew, mierząc czujnym wzrokiem przekłętą krainę. Stresa prowadził ich, jak mógł najszybciej, ale podróż była powolna, teren poszarpany i nierówny i pełen nagłych skrętów, które uniemożliwiały szybkie i bezpośrednie przejście. Chwilę później pochłonęło ich Harrow, otaczając ich niemal magicznie, aż w końcu nic innego nic było już widać. Mgła wirowała w podmuchach wiatru, ze szczelin w ziemi wiodących do serca Killeshan unosiła się para, a opary opadały wyrzucane przez wulkan. Nic się nie poruszało; wszędzie wokół kraina była cicha i pusta. Cienie grały ze sobą w berka, a martwe drzewa rzucały na ziemię czarne linie, niczym stalowe kraty zamykające światło. Wszędzie ziemia drżała złowieszczo pod ich stopami i mieli uczucie, jakby coś niebezpiecznego budziło się ze snu.

Już w pierwszej godzinie zaczęli słyszeć głosy. Unosiły się z nicości, szepty na wietrze mogące pochodzić skądkolwiek. Nawoływały zniewalająco i dla każdego z kompanii brzmiały inaczej. Spoglądali na siebie nawzajem, myśląc, że wszyscy je słyszą, że głosy nie są pomyłką. Pytali niespokojni, pełni napięcia:

„Słyszałeś to? Słyszałeś?” Ale oczywiście nie słyszał ich nikt poza pytającym, przywoływanym tylko sobie znanym językiem, przyciąganym przez lustrzane odbicie samego siebie, odbicie zmysłów i uczuć.

Potem przyszły obrazy, twarze z powietrza, postacie szybko tworzone i równie szybko znikające w poruszającej się mgłę, wizje rzeczy przeznaczonych tylko dla adresata – uosobienie tęsknot, pragnień i nadziei. Dla Wren przybrały postać jej rodziców. Dla Trissa i Eowen były królową. Dla pozostałych czymś innym. Obrazy rwały skrawki ich świadomości, próbując przedrzeć się przez bariery, które wznieśli, aby je zatrzymać, pragnąc zawrócić ich z wybranej drogi i poprowadzić gdzie indziej.

Ciągnęło się to nieubłagane. Głosy nie były donośne, a obrazy wyraźne, a cała sytuacja nie była przykra, przerażająca ani nawet rzeczywista – była tylko kłamliwym wspomnieniem tego, co nigdy się nie zdarzyło. Stresa, któremu to niebezpieczeństwo nic było obce, zmusił ich do rozmowy, aby odparować atak – ponieważ nie było wątpliwości, że był to atak. Drakule nachodziły ich nawet we śnie, którego część poświęcili na dalszą drogę, pragnąc opóźnić, zatrzymać ich, zawrócić lub sprowadzić z właściwej drogi, zatrzymać ich w Harrow, dopóki nie zapadnie noc.

Czas zwolnił bieg, ostrożny i czujny jak mgła, wśród której szli, ponury jak krajobraz rozciągający się przed nimi. Zagłębienia terenu były coraz większe i miejscami martwe drzewa tworzyły barierę nie do przejścia, którą zmuszeni byli obejść naokoło. Wren nawoływała pozostałych, podczas gdy przedzierali się naprzód, odpędzając głosy, bijąc po twarzach, starając się utrzymać wszystkich razem w marszu. Nadeszło południe i dzień

pociemniał. Nad ich głowami kłębiły się chmury ciężkie do deszczu. Zaczęło siąpić, a potem lunęło. Wiatr przyspieszył swój pęd, a deszcz smagał ich strumieniami. Zaciągał nad ziemią zasłonę, potem cichł do mżawki i zaczynał cykl od nowa. Trwało to przez jakiś czas. W końcu się skończyło. Powrócił żar i mgła zaczęła gęstnieć. Zamykała się wokół nich i wkrótce widoczność zmniejszyła się do kilku stóp. Trzymali się więc blisko siebie, tak blisko, że potykali się o siebie, popychając się jak ślepcy wyczuwający drogę w mroku.

— Stresa! Jak daleko jeszcze? – krzyknęła Wren poprzez kakofonię głosów wirującą jej w uszach.

— Spptptt! Już blisko – nadeszła odpowiedź. – Przed nami.

Zeszli w wyjątkowo głęboki wąwóz, przypominający nóż wbity w powierzchnię skalnej lawy, wypełniony cieniem i poruszającą się mgłą. Wren wiedziała, że jest niebezpieczny, i już chciała krzyknąć, aby zawrócili, ale zobaczyła, że wąwóz przecina ich ścieżkę i że to jedyna dostępna im droga. Zeszła w mrok, trzymając przed sobą różdżkę Ruhk, niczym tarczę. Faun skrzeczała głośno na jej ramieniu – jeszcze jeden dźwięk w mieszaninie innych, niewidzialnych głosów, syczących, zgrzytających i wypełniających jej podświadomość rosnącą potrzebą krzyku. Krok przed sobą widziała Trissa, a za nim niewyraźny ciemny punkt – Stresę. Słyszała kroki idących za nią, innych...

A potem pochwyciły ją dłonie, gwałtowne, przerażające, twarde jak stal. Wyciągnęły się znikąd, materializując się z mgły, zaciskając się wokół jej nóg i kostek i ściągając z drogi. Szarpnęła się wściekle i zamachnęła w dół grubszym końcem różdżki Ruhk. Z ziemi buchnął biały ogień, tryskając na wszystkie strony, kiedy odezwała się magia talizmanu. Przeraziło ją to, wprowadziło w

osłupienie, że magia pojawia się tak łatwo. Reszta zaczęła krzyczeć ostrzegawczo. Wren obróciła się gwałtownie i przytrzymujące ją ręce opadły. Coś poruszyło się we mgle – jakies stwory, kilkanaście stworów bez twarzy, postaci, a jednak tam były. Drakule, pomyślała, przebudziły się nie w porę. Może w tym wąwozie jest dość ciemno, czerń wzięły za noc. Krzyknęła, wzywając pozostałych, i poprowadziła ich w stronę odległego zbocza wąwozu. Wszędzie wokół wirowały postacie, chwytając, dotykając, bezcielesne, ale rzeczywiste. Ujrzała twarze pozbawione życia, blade obrazy siebie samej, puste, niewidzące oczy, zęby niczym zwierzęce kły, zapadnięte policzki i skronie oraz wychudzone, chore ciała. Przedzierała się przez nie, ponieważ na niej zdawały się skupiać, przyciągane do niej, jakby znaczyła dla nich najwięcej. To magia, zdała sobie sprawę. Przyciągała je magia, jak wszystkie cieniowce.

Widma drakuli zmaterializowały się przed nią i Garth rzucił się do przodu, siekąc krótkim mieczem. Obrazy rozproszyły się i zmieniły kształt niezranione. Wren odwróciła się, docierając do podłoża wąwozu. Jeden, dwa... Liczyła gorączkowo. Jest cała szóstka. Stresa gramolił się już do przodu i odwróciła się, aby podążyć za nim. Bezładnie wspinali się po zboczu, czepiając się palcami śliskiej od deszczu skały, krzaków i przewróconych drzew. Obrazy szły za nimi, głosy, fantomy ze snu, nieśmiertelne potwory ścigające ich. Wren opędzała się od nich z gniewem i wstrętem, wściekle wymachując ramionami, czując, jak Faun przywarła do jej szyi, jakby była jej częścią. Czowała żar różdżki Ruhk w dłoniach, kiedy magia szukała drogi ujścia. Magia, która mogła uczynić wszystko, stworzyć wszystko – nawet takie potwory. Wzdrygnęła się w duszy na tę myśl, koszmar prawdy, której nie chciała nigdy poznać, prawdy, która będzie ją

prześladować, jeśli ma dotrzymać obietnicy danej babce, że ocali elfy.

Na szczycie wąwozu uczestnicy wyprawy potknęli się i zaczęli biec. Mrok był gęsty i unosił się przed nimi jak warstwy gazy, ale nie zwolnili, pędząc przed siebie, wykrzykując słowa otuchy i broniąc się przed prześladowcami. Drakule syczały i pluły jak koty jadem swoich myśli, który płonął w ich duszach. A jednak były tylko głosami i obrazami i nie były już rzeczywiste, ponieważ drakule nie mogły opuścić mroku swego schronienia i powędrować do Harrow w świetle dnia. Ich postacie powoli bladły, oddalając się niczym wody ogromnego oceanu cofane odpływem. Kompania zwolniła, ich oddechy rozbrzmiewały w nagłej ciszy, a buty zaskrzypiały, kiedy zatrzymali się gwałtownie.

Wren spojrzała za siebie we mgłę. Nie było tam nic oprócz mgły i nikłego cienia krzewów, suchych drzew, pustej i nagiej krainy. Faun uniosła czujnie głowę. Stresa podszedł ciężkim krokiem, dysząc z wywieszonym językiem.

— Hsstt! Głupie widma! – splunął splinter.

Wren pokiwała głową. Żar różdżki Kulik w jej dłoniach przygasł i zniknął. Czowała, jak jej własne ciało uspokaja się w odpowiedzi. Poczowała niewielki przypływ ulgi.

Nagle Garth skoczył do przodu, przestraszony czymś, czego nie zauważyła, napięty i niespokojny, kiedy przeszukiwał mgłę. Wren podążyła za jego spojrzeniem, przerażona, nic nie wiedząc czemu. Ujrzała równie niespokojne spojrzenia pozostałych.

Serce skoczyło jej w piersi. Co się dzieje?

I wtedy zobaczyła. Było ich tylko pięcioro. Eowen zniknęła.

Z początku pomyślała, że to niemożliwe, że to musi być pomyłka. Policzyła wszystkich sześcioro, kiedy wspinali się

wąwozem. Eowen była pomiędzy nimi; rozpoznała jej twarz...

Eowen. W myślach ujrzała rudowłosą widzącą, idącą za nimi – zbyt bladą, zbyt efemeryczną... Prawie jakby jej tam nie było naprawdę – a przecież była. Wren poczuła nieznośny ciężar w żołądku, ból, który groził, że się uwolni i pochłonie ją. To, co widziała, było tylko jeszcze jednym obrazem, sprytnym i wyrachowanym, jak pozostałe, obrazem stworzonym, aby uwierzyli, że są razem, kiedy naprawdę tak nie było.

Drakule miały Eowen.

Garth zamigał pospiesznie.

— Pilnowałem jej, jak ci obiecałem. Była tuż za nami, kiedy wychodziliśmy z wąwozu. Jak mogłem ją zgubić?

— Nie zgubiłeś – odpowiedziała natychmiast Wren. Czowała ogarniający ją dziwny spokój, rodzaj rezygnacji, akceptację nieuniknionego zrzędzenia losu. – Wszystko w porządku, Garth – wyszeptała.

Poczuła, jak ziemia otwiera się pod jej stopami niczym otchłań, w którą na pewno wpadnie. Czekala, aż minie to uczucie i wróci równowaga. Wiedziała, co musi uczynić. Cokolwiek się stało, nie porzuci Eowen. Aby ją ocalić, powróci do Harrow, z powrotem pomiędzy drakule. Oczywiście mogła wysłać tam innych; poszliby, gdyby poprosiła. Ale nigdy tego nie robi – nigdy nawet o tym nie myślała. Umiejętności tropiciela, doświadczenie nomady, szkolenie elfa myśliwego – wszystko było bezużyteczne przeciwko drakulom. Tylko jedna rzecz miała szansę.

Zrobiła kilka niepewnych kroków i zatrzymała się. Rozsądek krzyczał w niej, aby się zastanowiła. Zdała sobie sprawę, że pozostali, jeden po drugim, stają przy niej, a ich oczy podążają za jej spojrzeniem, wpatrując się w mrok Harrow.

— Nie! – ostrzegł Stresa. – Phfft! Już się ściemnia!

Nie zwróciła na niego uwagi, zwracając się do Gavilana. Spojrzała na niego bez słowa, po czym wyciągnęła przed siebie różdżkę Ruhk.

— Czas, abyś znowu był moim przyjacielem, Gavilanie – powiedziała cicho. – Weź różdżkę. Przechowaj ją do mojego powrotu. Niech będzie bezpieczna.

Gavilan spojrział na nią z niedowierzaniem, po czym ostrożnie sięgnął po talizman. Jego dłonie zamknęły się wokół niego, zacisnęły się i cofnęły. Nie chciała na niego patrzeć, bojąc się, co może odkryć. Był teraz całą jej rodziną; musiała mu zaufać.

Triss i Dal porzucili swoje pakunki i wcisnęli broń za pas. Garth wyjął już krótki miecz.

— Nie – rozkazała im. – Idę sama.

Zaczęli protestować, mówiąc coś szybko i bezładnie, ale przerwała im natychmiast.

— Nie! – powtórzyła. Spojrzała na nich. – Tylko ja mam szansę odnaleźć Eowen i przyprowadzić ją z powrotem. Tylko ja. – Sięgnęła pod tunikę i wyjęła sakiewkę z Kamieniami Elfów. – Magia, która ją odnajdzie i ochroni mnie – nic więcej mi nie trzeba. Jeśli pójdziecie ze mną, będę musiała martwić się również o wasze bezpieczeństwo. Tych stworów nie zrani wasza broń i przynajmniej tym razem nie możecie mi pomóc.

Położyła dłoń na ramieniu Trissa, łagodnie, ale stanowczo.

— Wiem, że ślubowaliście mnie strzec. Ale zamiast tego rozkazuję wam strzec Loden i zostać z Gavilanem. Ty i Dal dopilnujecie, cokolwiek się zdarzy, aby elfy były bezpieczne.

Surowe, szare oczy zwęziły się.

— Błagam, abyś tego nie robiła, Pani. Strażnicy Domu służą przede wszystkim królowej.

— A królowa, jeśli naprawdę nią jestem, sądzi, że najlepiej

będziecie służyć, zostając tutaj. To rozkaz, Triss.

— Rób z nimi, co chcesz – zamigał gniewnie Garth. – Ale ja nie mam po co tu zostawać. Idę z tobą.

Potrząsnęła głową, a jej palce poruszały się, kiedy mówiła.

— Nie, Garth. Jeśli się zgubię, będą cię potrzebowali, abys bezpiecznie doprowadził ich na plażę, do Tygrysa Ty. Będą potrzebowali twego doświadczenia. Kocham cię, Garth, ale nie możesz mi pomóc. Musisz zostać.

Olbrzym spojrział, jakby go uderzyła.

— Zawsze wiedzieliśmy, że ta chwila nadejdzie – powiedziała cicho, stanowczo. – Chwila, do której przygotowywałeś mnie z takim trudem. Teraz już za późno na dalsze lekcje. Muszę polegać na tym, co wiem.

Zdjęła Faun z ramienia i postawiła ją na ziemi koło Stresy.

— Zostań, malutka – rozkazała i cofnęła się.

— Wrrwwll! Wren z rodu elfów, weź mnie! – warknął Stresa, jeżąc sierść na grzbiecie. – Mogę tropić, lepiej niż ktokolwiek z nich!

Raz jeszcze pokręciła głową.

— Kamienie Elfów potrafią to lepiej. Garth poprowadzi was bezpiecznie do Westlandii, Stresa, jeśli nie uda mi się wrócić. Wie, co ci obiecałam.

Zdjęła plecak, odłożyła broń – zostawiła tylko długi nóż u pasa. Czterech mężczyzn, splinter i wiewiórka obserwowali ją w milczeniu. Ostrożnie wytrząsnęła Kamienie Elfów z sakiewki, upuszczając je na otwartą dłoń. Zacisnęła palce. Potem, zanim zdążyła lepiej to przemyśleć, odwróciła się i weszła w mgłę.

Przez jakiś czas szła prosto, koncentrując się tylko na własnych krokach i oddalając się od tych, którzy ją chronili. Kroczyła przez skalną lawę niczym samotny myśliwy, czując

rosnący w duszy chłód i odrętwienie uwalniające ją od napięcia podjętej decyzji. Eowen przemawiała do niej ze wspomnień, mówiąc o swej wizji, wizji własnej śmierci. Nie, przysięgła cicho Wren. Nie teraz, nie, póki starczy mi tchu.

Drakule zaczęły szeptać do niej, napierając i nawołując. Wściekłość walczyła w niej ze strachem. Dobrze, idę do was – ale nie jako ofiara!

Minęła linię srebrnych pni, nagich i sztywnych, tworzących bramę do krainy śmierci. Ujrzała pojawiające się twarze, wychudłe i puste, trupie czaszki we mgle. Uniosła Kamienie Elfów, wyciągnęła je przed siebie i wezwała ich moc. Przybyła natychmiast, posłuszna jej woli, budząc się do życia błękitnym płomieniem i tryskając w mgłę. Wren poniosła ją w lewo, wzdłuż płaskowyzu, na którym nic nie rosło i gdzie nie było śladu życia. Przed sobą, w oddali, widziała gromadę białych postaci. Ich ciała unosiły się i odwracały, jakby w geście powitania. Usłyszała głosy, krzyki i szepty, przywołanie śmierci.

Błękitny płomień zgasł i dalej szła już na oślep.

Wren, usłyszała wołanie Eowen.

Odsunęła od siebie pragnienie pośpiechu, zmuszając się do ostrożnych ruchów i obserwując uważnie otoczenie, ruchy cieni i mgły, ślad budzącego się życia. Stresa miał rację. Było coraz ciemniej, popołudnie przechodziło w wieczór, a światło zaczynało gasnąć. Wiedziała, że nie dotrze do Eowen przed nocą. Tego właśnie chciały drakule; taki był ich plan przez cały ten czas. Magia Eowen przyciągnęła je, tak jak jej własna – i to jej magii pragnęły, ponieważ była bardziej potężna i lepiej mogły się nią pożywić. Eowen była przynętą dla pułapki, która miała ją pochwycić. Na chwilę zamknęła oczy, czując nieuchronność tego, co nadejdzie. Powinna wiedzieć od razu.

Głosy wzmocniły się, bardziej nagłące, i kątem oka ujrzała nabierające kształtów postacie, blade i eteryczne we mgle. Przed nią otwierał się wąwóz. Czy to tu zgubiła Eowen? Nie wiedziała i nie dbała o to. Zeszła na dół, nie zwalniając kroku, prowadzona przez magię, czując, jak wypełniają swym żarem, płonie w kuźni jej duszy. Nie wiedziała, ile czasu minęło – godzina, może więcej? Straciła rachubę, wiedziała tylko, co ma zrobić. Królowa elfów, władczyni różdżki Ruhk i Loden, nosząca magię druidów i dziedzictwo krwi zarówno Elesedilów, jak i Ohmsfordów – była tym wszystkim i nikiem, stała się kimś innym, kimś nieokreślonym.

Nic, powiedziała sobie, mnie nie pokona.

Ciemność zamknęła się wokół niej, kiedy dotarła do dna wąwozu, a blade światło nad jej głową zniknęło w mroku i mgle. Drakule pokazywały się teraz bez lęku, powoli widać było ich chude postacie, wycieńczone i odarte z życia. Były jedynie istnieniem, które dały im cieniowce. Jeszcze się wahały, bojąc się magii i równocześnie pragnąc jej. Spoglądały na Wren głodnymi oczami, pragnąc jej posmakować, uczynić swoją własnością. Czula na dłoni ostrzegawczy płomień Kamieni Elfów, ale wciąż nie przywoływała ich magii. Szła śmiało naprzód, żywa między umarłymi.

Wren, znowu usłyszała wołanie Eowen.

Mur bladych ciał zagradzał jej drogę. Podobne były do ludzkich, ukształtowane na ich wzór, ale jak powykrzywiane, blade imitacje tego, czym były za życia. Odwróciły się na jej spotkanie, nie widma już, które migotały i w każdej chwili mogły rozwiać się od podmuchu wiatru, ale stwory przybrane w istotę życia.

— Eowen! – krzyknęła.

Drakule rozstępowały się, jedne po drugich, i pojawiła się Eowen. Leżała kołysana w ich ramionach, a na białej skórze widać było tylko szmaragdowe oczy i rude włosy. Oczy widzącej zalśniły, kiedy odnalazły wzrok Wren, ożywione strachem. Usta Eowen się otwarły, jakby próbowała złapać oddech albo krzyknąć.

Usta drakuli przywarły do jej ciała, karmiąc się nią.

Przez chwilę Wren nie była w stanie się poruszyć, porażona tym widokiem, schwytana w pajęczynę wahania. Potem Eowen poderwała głowę i uniosła w grymasie wargi, pokazując lśniące kły. Wren zawyła z rozpacz i drakule rzuciły się na nią. Z szybkością myśli wyciągnęła przed siebie Kamienie Elfów, wzywając ich moc z wściekłością i strachem, i skierowała magię na wszystko w zasięgu wzroku. Magia omiotła napastników niczym kosa, spopielając ich ciała. Te, które przybrały stałą postać, żywiące się Eowen i sama Eowen, zostały starte na proch. Pozostałe, jeszcze widma, zniknęły. Płomienie pochłonęły wszystko. Wren rozrzuciła ogień na wszystkie strony, czując, jak magia przepływa przez nią, gorąca i mocna. Wren wydała z siebie okrzyk triumfu, kiedy ogień omiótł wąwóz od krańca do krańca. Poddała się żarowi magii, wymazując obraz Eowen. Tulila ogień jak kochanka. Czas i miejsce zniknęły w lawinie odczuć.

Zaczęła tracić panowanie nad sobą.

Potem, na chwilę ledwie, zanim całkowicie pogrążyłaby się w mocy, zdała sobie sprawę, co się dzieje, przypomniała sobie, kim jest, i ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem wróciła do siebie. Gorączkowo zacisnęła palce wokół Kamieni. Ogień dalej wyciekał na zewnątrz. Zacisnęła dłoń, a jej ciałem wstrząsnęły drgawki. Podwoiła wysiłki, opadając na kolana. W końcu magia wpłynęła

z powrotem do jej wnętrza, targnęła nią po raz ostatni, przypominając o swej sile, i odeszła.

Wren kulila się we mgle, próbując odzyskać panowanie nad sobą, raz jeszcze widząc oczyma duszy obraz drakuli i Eowen znikających w płomieniach, pożeranych magią Kamieni Elfów.

Moc! Taka moc! Jakże pragnęła poczuć ją znowu!

Poczuła falę wstydu, a potem rozpacz.

Uniosła umęczony wzrok, wiedząc już, co odnajdzie, w pełni świadoma, co uczyniła. Przed nią rozciągał się pusty wąwóz. W powietrzu unosił się dym i popiół. Spróbowała chwycić oddech i poczuła ucisk w gardle. Wiedziała, że nie miała wyboru – ale ta wiedza nie pomagała. Eowen była jedną z nich i zginęła na oczach Wren. Spełniło się jej własne proroctwo. Mimo że próbowała, Wren nie potrafiła zmienić rezultatu wizji. Eowen powiedziała jej kiedyś, że jej życie toczyło się wokół wizji i nauczyła się je akceptować – nawet tę przepowiadającą jej śmierć.

Wren poczuła łzy spływające po policzkach.

Och, Eowen!

Rozdział XXI

W Strażnicy Południowej czas przepływał niczym chmury na błękitnym letnim niebie, a Coll Ohmsford mógł tylko patrzeć bezradnie, jak go mija. Jego więzienie się nie zmieniło, a życie było niespokojnym pasmem nudy i napięcia. Jego myśli nie były spętane, ale prowadziły donikąd. Marzył o przeszłości, o życiu, którym cieszył się w Vale, i o świecie leżącym poza czarnymi murami jego więzienia, ale marzenia rwały się i gasły. Nikt po niego nie przychodził. Zaczął godzić się z tym, że nikt nie przyjdzie.

Spędzał dni na podwórku, ćwicząc z Ulfkingrohem, krępym, pokrytym bliznami, milczącym człowiekiem, pod którego opiekę oddał go Rimmer Dall. Ulfkingroh był twardy jak skała i ćwiczył Colla, aż ten opadał z sił. Ćwiczyli i trenowali z maczugami, ciężkimi pałkami, tępymi mieczami i gołymi dłońmi, jak wojownicy przygotowujący się do bitwy. Czasami cały dzień, często dopóki nie spocili się tak, że kurz z podwórca spływał po ich ciałach czarnymi smugami. Ulfkingroh był oczywiście cieniowcem – ale nie wyglądał jak one. Wyglądał jak każdy normalny człowiek, aczkolwiek bardziej surowy i posępny. Chwilami Coll prawie go lubił. Niewiele mówił, zadowolony, kiedy jego kunszt broni przemawiał za niego. Był zdolnym i doświadczonym wojownikiem i punktem honoru stało się dla niego przekazanie swej wiedzy chłopcu z Vale. Coll, ze swej strony, korzystał jak mógł z tej sytuacji, czerpiąc korzyści z jedyne buntu, na jaki mu pozwalano, ucząc się wszystkiego, czego tamten chciał go nauczyć, odgrywając bitwy, jakby miały jakieś znaczenie, i utrzymując kondycję na czas, kiedy będzie mu

potrzebna. Ponieważ prędeż, czy później, obiecywał sobie bez końca, będzie miał szansę na uciezki.

Myślał o tym nieustannie. Niemal bez przerwy. Jeśli nikt nie wie, że tutaj jest, jeśli nikt nie przybędzie, aby go uratować, to pozostawało mu tylko ocalić samego siebie. Coll był zaradny, jak wszyscy z Vale; był pewny, że znajdzie sposób. Był również cierpliwy, a cierpliwość była być może najważniejszą cechą. Kiedy tylko wychodził z celi, był obserwowany, ile razy schodził mrocznymi korytarzami budowli na podwórzec i ile razy wracał z powrotem na górę. Pozwalano mu spędzać tyle czasu na ćwiczeniach z Ulfkingrohem, ile chciał, i wolno mu było również zaznajomić się z szorstkim wojownikiem na tyle, że mógł wciągać go do rozmowy, ale zawsze był obserwowany. Nie mógł pozwolić sobie na błąd.

Mimo to nigdy nie zwątpił, że uda mu się uciec.

Po wizycie pierwszego szperacza w swojej celi widział Rimmera Dalla tylko dwa razy. Za każdym razem z daleka i tylko przez mgnienie oka, zanim tamten zniknął. I za każdym razem był w stanie zapamiętać tylko zimne oczy. Początkowo Coll wypatrywał go wszędzie, dopóki się nie zorientował, że staje się to obsesją i że musi przestać. Ale nigdy nie przestał myśleć o tym, co powiedział mu olbrzym. Że Par był cieniowcem i że magia pożre go, jeśli nie zaakceptuje prawdy o swej tożsamości, i że w swym szaleństwie był niebezpieczny dla brata. Coll nie wierzył w słowa Rimmera Dalla, ale równocześnie nie potrafił nie wierzyć. Prawda, zdecydował, leży gdzieś pośrodku, w tej szarej strefie pomiędzy domysłem a kłamstwem. Jednak prawdę trudno było rozpoznać i nigdy się jej nie dowie. Rimmer Dall miał swoje powody, dla których robił to, co robił, i nie miał zamiaru wyjawic ich Collowi. Jakiekolwiek były, jakakolwiek była prawda o

cieniowcach i ich magii, Coll był przekonany, że musi dotrzeć do brata.

Ćwiczył więc na podwórku dzień za dniem, a w nocy leżał, rozważając szanse i możliwości, i cały czas bronił się przed zdradziecką myślą, że żadna nie nadejdzie.

Wreszcie, pewnego dnia, kilka tygodni po uwolnieniu go z celi, kiedy znowu ćwiczył na podwórku z Ulfkingrohem, zauważył Rimmera Dalla idącego chodnikiem pomiędzy dwoma alkowami. Z początku wyglądał, jakby odcięto mu kawałek ciała. Potem Coll zdał sobie sprawę, że pierwszy szperacz niesie coś pod pachą – coś wyglądającego z początku jak nic, ponieważ było tak czarne, że przypominało kawałek nocy bez księżyca. Coll zatrzymał się w szrankach, po czym wychylił się i spojrział. Ulfkingroh zerknął zirytowany, po czym spojrział przez ramię, aby sprawdzić, co przyciągnęło wzrok chłopaka z Vale.

— Huh! – chrząknął, widząc, na co patrzy Coll. – Nie ma tam nic, co ciebie dotyczy. Podnieś rękę.

— Co on niesie? – naciskał Coll.

Ulfkingroh postawił pałkę na ziemi i oparł się o nią z przesadną cierpliwością.

— Opończę, chłopcze. Nazywa się ją Lustrzanym Całunem. Widzisz, jaka jest czarna? Zobacz, jak odcina światło, zupełnie jak plama czarnego atramentu. Magia cieniowców, mały. – Szorstka twarz skrzywiła się w półuśmiechu. – Wiesz, co robi?

Coll pokręcił głową.

— Nie? I dobrze! Bo nie masz wiedzieć! A teraz podnieś rękę!

Wrócili do ćwiczeń i Coll, który wcale nie był mały, a w każdym razie tak samo duży i silny jak Ulfkingroh, zemścił się, uderzając tak mocno, że zwałił tamtego z nóg. Cieniowiec osłupiał na kilka minut.

Tej nocy Coll leżał przebudzony, myśląc o Lustrzanym Całunie i zastanawiając się, do czego służył. Był pierwszym namacalnym świadectwem magii cieniowców, które widział. Były oczywiście inne magie, ale ukryte przed nim. Największa i najważniejsza była czymś ukrytym głęboko we wnętrzościach wieży, która czasami mruczała, tętniła, a czasami brzmiała niczym krzyk czegoś olbrzymiego i przerażającego. Wyobrażał ją sobie jako smoka, którego cieniowce zdołały spętać, ale wiedział, że to zbyt proste. Cokolwiek to było, musiało być o wiele bardziej wstrząsające i straszne. Były również inne rzeczy ukryte za drzwiami, których nie wolno mu było przekroczyć, przyczajone w katakumbach, do których nigdy nie wchodził. Czuł ich obecność, ocierały się o jego skórę, szeptały w umyśle. Magia, wszystko to magia, czary cieniowców i talizmany, rzeczy mroczne i złe.

Albo i nie, jeśli wierzyć Rimmerowi Dallowi. Ale oczywiście nie wierzył pierwszemu szperaczowi. Nigdy mu nie wierzył.

A mimo to nie potrafił przestać o tym myśleć.

Dwa dni później, kiedy odpoczywał na podwórku, a pot lśnił jeszcze na jego ciele niczym oliwa, pierwszy szperacz wyłonił się z cienia przy bramie i podszedł do niego. Na jednym ramieniu niósł Lustrzany Całun, jak fałdę skradzionej nocy. Ulfkingroh poderwał się na nogi, ale Rimmer Dall odesłał go skinieniem odzianej w rękawicę dłoni i kazał Collowi iść za sobą. Weszli ze światła z powrotem w chłodny cień, z dala od południowego słońca i jego blasku. Coll krzywił się i mrugał, przyzwyczajając oczy. Twarz Rimmera była zbiorowiskiem kątów i plam w nikłym szarym świetle, skórę miał martwą i zimną, ale ostry wzrok był pewny.

— Ciężko trenujesz, Collu – odezwał się znajomym szeptem. –

Ulfkingroh codziennie traci szansę.

Coll skinął głową bez słowa, czekając, co tamten naprawdę chce mu powiedzieć.

— Ta opończa – powiedział Rimmer Dall, jakby w odpowiedzi.
– Czas, abyś zrozumiał, do czego służy.

Coll nie potrafił ukryć zaskoczenia.

— Dlaczego?

Cieniowiec spojrział w bok, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią. Dłoń w rękawicy uniosła się i opadła jak czarna kosa.

— Mówiłem ci, że twój brat jest w niebezpieczeństwie, a co za tym idzie, ty także. A wszystko z powodu magii i tego, co mogłaby uczynić. Pozwoliłem, aby się dowiedziano, że tu jesteś. Jednak twój brat pozostał w Tyrsis i nie chce po ciebie przyjść.

Przerwał, czekając na odpowiedź Colla. Twarz chłopca była maską pozbawioną wyrazu.

— Magia, którą ukrywa w swoim wnętrzu – wyszeptał pierwszy szperacz – magia leżąca w pieśni, zaczyna go pochłaniać. Być może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Może jeszcze nie rozumie. Czuleś w nim magię, prawda? Wiedziałeś, że tam jest?

Wzruszył ramionami.

— Kiedy go odnalazłem, myślałem, czy mu tego nie wytłumaczyć. Teraz sądzę, że nie chciałby mnie słuchać. Miałem nadzieję, że twoja obecność w Strażnicy Południowej coś zmieni. Najwyraźniej jednak nie.

Coll wziął głęboki oddech.

— Jesteś głupcem, jeśli myślisz, że Par tu przyjdzie. I jeszcze większym głupcem, jeśli sądzisz, że użyjesz mnie jako przynęty.

Rimmer Dall pokręcił głową.

— Nadal mi nie wierzysz, prawda? Chcę cię chronić, nie wykorzystać. Chcę ocalić twojego brata, póki jeszcze czas. Jest cieniowcem, Collu. Jest taki jak ja, a jego magia jest darem, który może go ocalić i zniszczyć równocześnie.

Dar. Par tak często używał tego słowa, pomyślał Coll ponuro.

— A więc pozwól mi pójść do niego. Uwolnij mnie.

Olbrzym uśmiechnął się, wykrzywiając kąciaki ust.

— Mam zamiar. Ale najpierw chcę raz jeszcze zmierzyć się z twoim bratem. Myślę, że Lustrzany Całun pozwoli mi na to. To magia cieniowców, chłopcze z Vale, bardzo potężna magia. Dużo czasu zajęło mi utkanie go. Ktokolwiek nosi tę opończę, tym, których spotyka, wydaje się kimś znanym i zaufanym. Ukrywa prawdę o tym, kim jesteś. Ukrywa twoją tożsamość. Założę ją, kiedy wyruszę na poszukiwanie twego brata. – Przerwał na chwilę. – Możesz mi w tym pomóc. Powiedz mi, gdzie mogę go znaleźć, gdzie może być. Wiem, że jest w Tyrsis, ale nie wiem gdzie. Pomożesz mi?

Coll był zdumiony. Jak Rimmer Dall mógł w ogóle pomyśleć o czymś takim? Ale olbrzym wydawał się pewny siebie, jakby mimo wszystko miał rację, jakby znał prawdę lepiej niż Coll.

Coll potrząsnął głową.

— Nie wiem, gdzie znaleźć Para. Może być wszędzie.

Przez długą chwilę Rimmer Dall nie odpowiadał, tylko po prostu stał, patrząc na chłopaka, mierząc go uważnie surowym spojrzeniem, jakby z jego twarzy mógł wyczytać kłamstwo.

— Zapytam raz jeszcze innym razem – powiedział w końcu. Ciężkie buty zachręściły na kamiennej drodze. – Wracaj do swoich ćwiczeń. Tak czy inaczej, sam go odnajdę. Kiedy to zrobię, zdam ci relację.

Odwrócił się i odszedł. Coll patrzył za nim, przyglądając się

tym razem nie mężczyźnie, ale opończy, którą niósł. Gdybym dostał ją w swoje ręce choćby na pięć sekund... myślał.

Kiedy obudził się następnego dnia, ciągle o tym myślał. Opończa ukrywająca przed napotkanymi ludźmi tożsamość noszącego ją i upodabniająca go do kogoś, komu ufają – oto droga wyjścia ze Strażnicy Południowej. Rimmer Dall mógł sobie wyobrazić Lustrzany Całun jako podstęp, który pozwoli mu schwycić Para, ale Coll miał o wiele lepszy pomysł na użycie jego magii. Jeśli znalazłby sposób, aby wejść w jego posiadanie na wystarczająco długo, aby go włożyć... Podniecenie nie pozwoliło mu dokończyć myśli. Jak zdołam to uczynić? – zastanawiał się gorączkowo, ubierając się i przemierzając celę długimi krokami w oczekiwaniu na śniadanie.

Potem pomyślał, tylko przez chwilę, że nadzwyczaj nieostrożnie ze strony Rimmera Dalla było pokazać mu taką magię, skoro cieniowce tak czujnie strzegły wszystkich pozostałych sekretów. Ale czyż pierwszy szperacz nie pragnął jego pomocy w odnalezieniu Para o czyż opończa nie była bezużyteczna, dopóki nie znajdą Para? Prawdopodobnie Dall miał nadzieję przekonać Colla, po prostu pokazując mu, że jest w posiadaniu takiej magii.

Potem nagle jedno podejrzenie odsunęło na bok następne. A jeśli opończa była oszustwem? Skąd mógł wiedzieć, że Lustrzany Całun jest tym, o czym mówiono? Jaki miał dowód? Zerwał się, kiedy metalowa taca z jedzeniem wsunęła się przez otwór u dołu drzwi. Przez chwilę patrzył na nią bezradnie, zastanawiając się. Ale dlaczego pierwszy szperacz miałby kłamać? Co chciał przez to osiągnąć?

Pytania obiewały go i w końcu pokonały. Odsunął je od siebie, aby spokojnie zjeść śniadanie. Kiedy skończył, zszedł na

podwórzec, aby ćwiczyć z Ulfkingrohem. Musiał raz jeszcze porozmawiać z Rimmerem Dallem, aby dowiedzieć się czegoś więcej o opończy i odkryć prawdę o jej magii. Nie mógł wydawać się zbyt zainteresowany; nie mógł pozwolić, aby pierwszy szperacz przejrzał jego prawdziwe motywy. A to oznaczało, że musiał czekać, aż Rimmer Dall sam do niego przyjdzie.

Ale pierwszy szperacz nie pojawił się tego dnia ani następnego. Dopiero po trzech dniach, kiedy zbliżał się zachód słońca, wyłonił się z cieni, kiedy Coll włókł się ciężko do swej celi i wpadł na niego.

— Myślałeś jeszcze o tym, czy pomożesz mi w odnalezieniu brata? – zapytał niedbale, chowając głowę pod kapturem opończy.

— Trochę – przyznał Coll.

— Czas szybko ucieka, chłopcze z Vale.

Coll wzruszył ramionami.

— Trudno mi uwierzyć w to, co mówisz. Nieczęsto przekonuje się więźnia, aby zaufał swemu oprawcy.

— Nie? – Coll czuł prawie zimny uśmiech tamtego. – Myślałem, że jest wręcz przeciwnie.

W milczeniu uszli parę kroków, a twarz Colla płonęła z gniewu. Pragnął rzucić się na Dalla, zmierzyć się z nim sam na sam w tych ciemnych korytarzach. Zwalczył pokusę, wiedząc, jaką głupotą byłoby się jej poddać.

— Myślę, że Par mógłby przejrzeć magię Lustrzanego Całunu – powiedział w końcu.

Dall spojrzał spod kaptura.

— W jaki sposób?

Coll wziął głęboki oddech.

— Ostrzeże go własna magia.

— A więc sądzisz, że nie uda mi się podejść na tyle blisko, żeby z nim porozmawiać? – szept był szorstki i głuchy.

— Sam nic wiem – odpowiedział Coll.

Dall zatrzymał się i odwrócił, aby nań spojrzeć.

— A gdybym wypróbował jego magię na tobie? Potem sam osądzisz.

Coll zmarszczył brwi, ukrywając rosnące podniecenie.

— Nie wiem. Może to bez różnicy, czy zadziała na mnie, czy nie.

Dłoń w rękawicy uniosła się – wąskie pasmo czerni okradające powietrze ze światła.

— Dlaczego nie pozwolisz mi spróbować? Cóż to szkodzi?

Zeszli korytarzem i wspięli się kilkoma kondygnacjami schodów, dopóki nie znaleźli się kilka pięter poniżej celi, w której więziono Colla. Przy drzwiach oznaczonych głową wilka i czerwonym napisem, którego Coll nie potrafił odszyfrować, Rimmer Dall wyjął klucz, włożył go do ciężkiego zamka i pchnął drzwi. W środku, przez pojedyncze okno na wysoką drewnianą szafę padało słoneczne światło. Rimmer Dall wszedł, otworzył podwójne drzwi i wyjął Lustrzany Całun.

— Odwróć się na chwilę – rozkazał.

Coll odwrócił głowę, czekając.

— Coll – dobiegł go głos.

Odwrócił się. To był jego ojciec, Jaralan, wysoki i pochylony, o szerokich ramionach, w swoim ulubionym skórzanym fartuchu, którego używał przy stolarce. Coll zamrugał z niedowierzaniem, mówiąc sobie, że to nie jego ojciec, że to Rimmer Dall, a mimo to wciąż widział ojca. Potem ojciec zdjął fartuch, który natychmiast stał się Lustrzanym Całunem, a przed nim znowu stał Rimmer Dall.

— Kogo widziałeś? – zapytał cicho pierwszy szperacz.

Coll nie był w stanie wydusić odpowiedzi. Potrząsnął głową.

— Nadal myślę, że Par cię rozpozna.

Rimmer Dall przyglądał mu się przez chwilę, olbrzym o kościstej, pustej twarzy i dziwnych oczach, twardych jak kamień.

— Chcę, żebyś się nad czymś zastanowił – powiedział w końcu.

– Pamiętasz te żalosne stworzenia w Dole w Tyrsis, doprowadzone do szaleństwa przez więzienie federacji, które pożerała własna magia? To właśnie stanie się z twoim bratem. Może nie dziś, jutro, ani następnego tygodnia, czy nawet miesiąca, ale w końcu stanie się. A wtedy nie będzie już dla niego ratunku.

Coll starał się, aby w jego oczach nie pojawił się strach.

— Chcę również, żebyś pomyślał o czymś jeszcze. Wszystkie cieniowce mają moc, aby opanowywać i pożerać. Mogą zamieszkiwać ciała innych stworzeń i stawać się nimi na tak długo, jak zechcą. – Przerwał. – Mógłbym stać się tobą, Coll. Mógłbym wśliznąć się pod twoją skórę tak łatwo jak ostrze noża i zawładnąć tobą. – Ochrypiły szept był sykiem w ciszy. – Ale postanowiłem nie robić tego, ponieważ nie chcę robić ci krzywdy. Mówiłem prawdę, że chcę pomóc twemu bratu. Sam musisz zdecydować, czy wierzysz w to, czy nie, ale pomyśl o tym, co ci powiedziałem.

Odwrócił się, wsunął do kryjówki Lustrzany Całun i zamknął drzwi. Trudno było stwierdzić, czy był zły, zaniepokojony czy jeszcze coś innego, ale jego krok był zdecydowany, kiedy wyprowadzał Colla z pokoju i zamykał za sobą drzwi. Coll automatycznie nasłuchiwał szczęknięcia zamka, ale nie usłyszał nic. Rimmer Dall już odchodził, więc Coll, nie zatrzymując się, poszedł za nim. Pierwszy szperacz zaprowadził go do schodów i

wskazał w górę.

— Twoje kwatery leżą tam. Pomyśl dobrze, chłopcze z Vale – ostrzegł. – Zwlekając, igrasz z dwoma żywotami.

Coll odwrócił się bez słowa i ruszył po schodach. Kiedy po kilkunastu stopniach zerknął za siebie przez ramię, Rimmer Dall zniknął.

Było jeszcze jasno, kiedy raz jeszcze zszedł na dół, przechodząc korytarzem do schodów, a potem kierując się w dół poprzez cienie w stronę podwórca. Zostawił tam tunikę. Zapomniał o tym. Nie chciał jej oczywiście, ale dostarczała wymówki, której potrzebował, by sprawdzić, czy drzwi do pokoju z Lustrzanym Całunem pozostały otwarte.

Schodząc, oddychał szybko i chrapliwie. Próbował dokonać lekkomyślnej rzeczy, ale jego desperacja rosła. Jeśli wkrótce się nie uwolni, coś złego stanie się z Parem. Swoje przekonanie opierał głównie na przypuszczeniach i lęku, ale nie było przez to mniej realne. Wiedział, że nie myśli tak jasno, jak powinien; gdyby tak było, nigdy nawet nie pomyślałby o podjęciu takiego ryzyka. Ale jeśli zamek nie zaskoczył na swoje miejsce, jeśli pokój był wciąż otwarty, a Lustrzany Całun w szafie...

Gdzieś z dołu rozległy się kroki i zamarł bez ruchu przy ścianie schodów. Przez chwilę kroki rozbrzmiały głośniejsze i zniknęły. Coll otarł dłonie o spodnie i spróbował pomyśleć. Które to było piętro? Czwarte, policzył. Poszedł dalej, po czym stanął na czwartym podeście i przyciskając ciało do kamienia, wyjrzał zza rogu.

Korytarz, przed nim stał pusty.

Odetchnął głęboko, aby się uspokoić, i wyszedł z ukrycia. W korytarzu skradał się, szybki i cichy, rzucając za i przed siebie niespokojne spojrzenia. Cieniowce obserwowały go bez przerwy.

Zawsze. Ale teraz wydawało się, że nie ma żadnego. Szedł dalej. Po kolei sprawdzał każde drzwi. Głowa wilka z napisem pod spodem – gdzie to było?

Gdyby go złapano...

I nagle drzwi, których szukał, znalazły się przed nim, wilcze oczy patrzyły na niego. Podszedł do nich szybko, przyłożył ucho i nasłuchiwał. Cisza. Sięgnął ostrożnie i nacisnął klamkę. Ustąpiła łatwo. Drzwi otworzyły się przed nim i wszedł do środka.

Pokój był pusty. Stała w nim tylko drewniana szafa, niczym okryta całunem trumna oparta o przeciwległą ścianę. Ledwo mógł uwierzyć swemu szczęściu. Szybkim krokiem podszedł do szafy, otworzył ją i sięgnął do środka. Jego dłonie zacisnęły się na Lustrzanym Całunie. Wyjął go ostrożnie, unosząc do szarzejącego światła. Materia była miękka i gruba, a opończa lekka jak pył. Jej czerń była niepokojąca, jak plama atramentu, która mogła pochłonąć go całego. Przez chwilę trzymał opończę przed sobą, oglądając ją, raz jeszcze rozważając słuszność tego, co miał zrobić.

Potem szybko zarzucił ją na ramiona. Ledwo poczuł jej ciężar, nie większy niż cienia, który rzucał w gasnącym świetle dnia. Zawiązał sznurki wokół szyi i podniósł kaptur. Czekał. Nic się nie zmieniło. Wszystko było takie samo. Nagle zapragnął ujrzeć się w lustrze, ale nie było żadnego. Zamknął za sobą szafę, przeszedł pokój i wyszedł na korytarz.

Nie uszedł nawet paru kroków, kiedy na schodach pojawił się cieniowiec. Coll poczuł ciężar w piersiach. Nie miał broni, żadnych możliwości obrony, czasu ani miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Szedł dalej w jego stronę, niezdolny wymyślić nic innego. Cieniowiec minął go, nie zwalniając kroku. Krótkie skinienie głowy, ledwo dostrzegalne uniesienie mrocznej twarzy i poszedł

dalej, jakby nic się nie stało.

Coll poczuł podniecenie zmieszane z ulgą. Cieniowiec nie rozpoznał go! Ledwo mógł w to uwierzyć. Nie było jednak czasu, aby rozkoszować się swym szczęściem. Jeśli kiedykolwiek miał opuścić Strażnicę Południową i Rimmera Dalla, musiał zrobić to teraz.

Przemierzył korytarze i schody budowli, przemykając przez dobrze oświetlone miejsca. Znał tylko jedną drogę wyjścia, ale chciał pozostać nie zauważony, z opończę czy bez. Zaciskał dłonie na ciemnych fałdach, przeszukując spojrzeniem cienie, kiedy światło dnia przechodziło w zmierzch. Bez przeszkód dotarł na podwórzec. Broń i zbroje stały w rzędach i wisały na kołkach, a krawędzie metalu i uchwyty lśniły niewyraźnie. Nigdzie nic było widać Ulfkingroha. Coll zabrał długie noże, które wetknął pod opończę. Okrążył otwartą przestrzeń, żeby dotrzeć do drzwi prowadzących na zewnętrzne dziedzińce. Dwa cieniowce pojawiły się i minęły go, jak pierwszy, obojętnie. Coll czuł napięte mięśnie, ale jego wiara w Lustrzany Całun rosła.

Przez chwilę rozważał zejście na sam dół Strażnicy Południowej, aby sprawdzić, co tam ukrywają. Zdecydował jednak, że ryzyko jest zbyt duże. Lepiej zniknąć jak najszybciej. Musi być wolny.

Pospiesznie przemierzył korytarze prowadzące na zewnętrzne dziedzińce. Dotarł do nich bez przeszkód, przeszedł i zanim zdał sobie z tego sprawę, stał przy bramie wyjściowej. Nikogo nie było widać. Odsunął zasuwę, pchnął wierzeje i wyszedł na zewnątrz.

Stał w alkowie, która dawała schronienie przed nadchodzącą nocą. Za nią rozciągało się Tęczowe Jezioro pobłyskujące srebrem, a otaczający je las był ciemnym nieregularnym skupiskiem, które tętniło życiem, a w letnim powietrzu unosił się

słodki zapach liści, ziemi i traw. Coll Ohmsford odetchnął głęboko i uśmiechnął się. Był wolny.

Wolałby poczekać, aż będzie zupełnie ciemno, ale nie mógł pozwolić sobie na zwłokę. Niedługo za nim zatęsknią. Pochylając się w wysokiej trawie, wybiegł z cienia przy murach pomiędzy drzewa. Z okna ciemnej komnaty, trzydzieści stóp wyżej, Rimmer Dall patrzył, jak odchodzi.

W umyśle Colla Ohmsforda nie było wątpliwości, dokąd pójść. Szedł pomiędzy drzewami, które oddzielały Strażnicę Południową od Mermidonu, wybierając wąskie przejścia w górę i w dół biegu rzeki, przepłynął rzekę i zaczął wędrówkę w kierunku Tyrsis i brata. Nie wiedział, jak odnajdzie Para, kiedy już dotrze do miasta; będzie się o to martwił później. Teraz najpilniejszą troską były cieniowce, które już zaczęły go szukać. Pojawiły się w parę chwil po ucieczce, czarne cienie przemykające przez noc niczym polujące widma, ciche i upiorne. Ale jeśli go ujrzą, a pewny był, że muszą, Lustrzany Całun zmyli je. Przeszły, nie zwalniając, bez zainteresowania, znikając anonimowo, jak się pojawiły.

Ale było ich tak dużo!

Dziwnym sposobem opończa dawała mu wyostrzone poczucie, kim i gdzie są. Wyczuwał ich obecność, zanim je zobaczył, wiedział, z której strony się pojawią i rozróżniał, ile ich jest. Nie próbował ukrywać się przed nimi; w końcu, jeśli magia opończy zawiedzie, i tak go odkryją. Zamiast tego usiłował wyglądać jak zwyczajny podróżny, trzymając się otwartych łąk i dróg; kiedy je zauważył, szedł spokojnie i obojętnie. Jakoś się udawało. Chociaż wszędzie wokół były cieniowce, najwyraźniej na niego polując, nie pytały, kim jest.

Przed świtem przespał kilka godzin i o wschodzie słońca

podjął wędrówkę. Kilka razy myślał o zdjęciu opończy, ale powstrzymywała go obecność tak wielu czarnych stworów. Lepiej być bezpiecznym, mówił sobie. W końcu dopóki ma na sobie opończę, nie znajdą go. Po drodze mijał innych podróżnych. Nikt nie wydawał się zainteresowany jego widokiem. Kilku go powitało, a większość po prostu szła dalej.

Zastanawiał się, jak wygląda w ich oczach. Nie mógł przypominać kogoś znanego, w przeciwnym razie bowiem odezwaliby się. Musiał więc wyglądać jak zwyczajny podróżny. Zastanawiał się zatem, dlaczego Rimmer Dall w opończy wyglądał jak jego ojciec. Dlaczego dla niego magia działała inaczej.

Pierwszy dzień minął szybko. Rozbił obóz w niewielkim lasku jesionów z widokiem na Runne. Słońce opadło za lasy Westlandii purpurowo złotą plamą, a ciepłe powietrze nocy wypełniała woń dzikich kwiatów i traw. Rozpalił ognisko i posilił się dzikimi owocami i warzywami. Miał wielką ochotę na mięso, ale żadnego sposobu na schwytanie go. Wzeszły gwiazdy i zamarły odgłosy nocy.

Znowu pojawiły się polujące nań cieniowce. Czasami podchodziły blisko i znowu nie chciał zdjąć opończy. Zrobił to tylko, aby się umyć, ukrywając się ostrożnie pomiędzy drzewami, i szybko włożył ją z powrotem. Teraz była wygodniejsza, mniej krępująca i obca. Coraz bardziej podobało mu się poczucie nie widzialności, które mu ofiarowała.

Ruszył w drogę o pierwszym brzasku, krocząc przez trawy w stronę mrocznych krawędzi Smoczych Zębów, gdzie rozdzierały błękit północnego nieba. Wprost u stóp tych gór leżało Tyrsis. Żar nowego dnia wydawał się bardziej intensywny i światło niepokoiło go. Może będę podróżował nocą, pomyślał. Ciemność

wydawała się mniej przerażająca. W południe schronił się w skupisku skał, siadając ukryty w ich cieniu. Jego myśli błądziły, rozsypane po sprawach zapominanych niemal natychmiast, gdy je sobie przypominał. Skulił się, skłonił zakapturzoną głowę na kolana i zasnął.

Noc zastała go w ukryciu. Upolował królika, ścigając go aż do nory, jakby był kotem. Wykopał go gołymi rękami, ukręcił szyję, zaniósł do skalnej kryjówki i zjadł, zanim mięso zdążyło dopiec się na niewielkim ogniu. Potem usiadł, wpatrując się w kości i zastanawiając, jakie to było stworzenie. Na ciemniejszym niebie jaśniał księżyc i gwiazdy. Gdzieś w oddali zahukała sowa. Coll Ohmsford nie wypatrywał już ścigających go cieniowców. W jakiś sposób nie miało to już znaczenia. Kiedy noc rozsiadła się wygodnie wokół niego, wstał, zasypał ognisko i wypełził z kryjówki niczym zwierzę. Wciąż daleko, ale coraz bliżej, było miasto. Czuł na wietrze jego zapach. Czuł wściekłość, której nie umiał wyjaśnić. Czuł głód. W jakiś sposób, chociaż ciągle nie potrafił go określić, wiązało się to z Parem.

Szybko ruszył na północ, w stronę gór. W świetle księżycy jego oczy lśniły czerwono niczym krew.

Rozdział XXII

Zapadła noc.

Wren Ohmsford wracała przez Harrow poprzez gęstniejący mrok, pozbawiona emocji. Cienie kładły się na skamieniałej lawie, rzucone przez suche gałęzie chorych drzew i poruszającą się mgłę. Światło dnia przeszło w jasną smugę na zachodzie, niczym wąty płomyk świecy na tle ciemności. Harrow rozciągało się dokoła ciche i martwe, odbicie jej samej. Magia Kamieni Elfów wypaliła ją zupełnie, a śmierć Eowen zamieniła w kamień.

Kim jestem? – pytała sama siebie.

Wybierała drogę niemal bezmyślnie, idąc w kierunku, z którego przyszła, ponieważ była to jedyna droga, jaką знаła. Wpatrywała się przed siebie, nie widząc; nasłuchiwała, nie słysząc.

Kim jestem?

Przez całe życie znała odpowiedź na to pytanie. Było to jej jedyną pewnością. Była nomadką, wolną od więzów osobistych dziejów, więzów i zobowiązań rodzinnych oraz potrzeby spełnienia oczekiwań innych. Miała Gartha, aby uczył ją tego, co powinna wiedzieć, a jeśli chciała, mogła robić to sama. Przyszłość rozciągała się przed nią niczym pusta tabliczka, na której mogła napisać każde słowo, jakie chciała.

Teraz ta pewność odeszła, zniknęła tak samo, jak jej młodzińcze, błędne rozumienie tego, kim i czym jest. Nigdy nie będzie taka, jaka była, lub też za jaką się uważała. Nigdy. Straciła wszystko. A co zyskała? Niemal się roześmiała. Stała się kameleonem. Wystarczy tylko spojrzeć na nią: mogła być kimkolwiek. Nie mogła być pewna nawet swego imienia. Była

zarówno z rodu Ohmsfordów, jak i Elesedilów. Wybierzcie cokolwiek – będzie pasowało. Była elfem i człowiekiem. Była dzieckiem kilku rodzin: jednej, w której się urodziła, i dwóch, które ją wychowywały.

Kim jestem?

Była magiczną istotą, dziedziczką Kamieni Elfów, dzierżącą różdżkę Ruhk i Loden. Niosła je wszystkie, zadania, które jej dano do wypełnienia, odpowiedzialność, której miała sprostać. Magia należała do niej i nienawidziła każdej myśli o tym. Nigdy o nią nie prosiła, nigdy nie chciała, a teraz nie mogła się jej pozbyć. Magia była cieniem w jej duszy, mrocznym odbiciem jej samej, które wstawało na rozkaz, aby wypełniać jej rozkazy, była oszustem, który sprawiał, że czuła, jakby nie potrafiła robić nic innego, a równocześnie okradał ją z rozumu i psychicznej równowagi i groził, że zawładnie nią całkowicie. Magia nawet zabijała dla niej – wrogów oczywiście, ale również przyjaciół. Eowen. Czy magia zabiła Eowen? Zagryzła wargi w rozpacz. Niszczyła – i tak było dobrze, ponieważ tego oczekiwała po magii, ale równocześnie było to złe, ponieważ czyniła to bez różnicy, a nawet kiedy wybierała właściwie, za każdym razem pozbawiała Wren odrobiny współczucia, czułości, skruchy i miłości, miękkości, która równoważyła surowość. Wypalała zawilości jej wizji i odzierała z wyborów.

Tak, jak teraz, zdała sobie sprawę.

Owionął ją wiatr, z początku powolny i nierówny, a potem szybki i porywisty. Pnie drzew drżały od jego uderzeń, a wąwozy szumiały i zawodziły. Popychał ją za ramiona na/boki, niczym obcego w tłumie. Pochyliła przed nim głowę. Jeszcze jedna niedogodność, którą trzeba ścierpieć, jeszcze jedna przeszkoda do pokonania. Światło na zachodzie zniknęło i otuliła ją

ciemność. Już niedaleko, powtarzała sobie uparcie. Reszta jest tuż przed nią, na skraju Harrow. Czekają.

Tuż przed nią.

Roześmiała się. Jakie to ma znaczenie, czy są tam, czy nie? Czy cokolwiek ma znaczenie? Życie robi z nią, co chce, jak robiło, od kiedy wyruszyła na poszukiwanie samej siebie. Nie, sprostowała, o wiele dłużej. Może od zawsze. Znowu się roześmiała. Wyruszyć na poszukiwanie siebie, rodziny, elfów, prawdy – co za głupota! Słyszała szydercze brzmienie własnego głosu i myśli goniących jedna za drugą.

Głos rozbrzmiewający echem na wietrze.

Jakie znaczenie? – szeptał.

Co za różnica?

Jej myśli powróciły nieproszone do Eowen, łagodnej i delikatnej, zagubionej pomimo daru widzenia, skazanej na pochłonięcie przez ten dar. Co dobrego przyniosła Eowen wiedza o przyszłości? Co dobrego przyniosła komukolwiek z nich? Jaki pożytek choćby próbować ją określić? Żaden, wściekała się, ponieważ w końcu i tak robi z tobą, co zechce. Uczyni cię, czym zechce, zabierze, gdzie zechce, i zostawi samego, kiedy jej przyjdzie ochota.

Wiatr wokół niej zawodził. Zostaw!

Usłyszała go, skinęła głową i zaczęła płakać. Słowa pieściły ją jak matczyne dłonie i z radością przyjmowała ich dotyk. Wszystko zdawało się znikać. Szła – dokąd? Nie zatrzymała się, nie przystanęła, aby się zastanowić, tylko po prostu szła, ponieważ ruch pomagał, oddalał ją od bólu i udręki. Miała coś zrobić – co? Potrząsnęła głową, niezdolna zdecydować, i otarła łzy wierzchem dłoni.

Dłoni trzymającej Kamienie Elfów.

Spojrzała w dół zdumiona, zaskoczona, że Kamienie wciąż tam są. W zaciśniętej pięści pulsowała magia, owijała się wokół palców, a błękitne lśnienie sączyło się przez nie, ulatując w ciemność. Dlaczego tak się działo? Patrzyła bezmyślnie, nie bardzo świadoma, że coś jest nie tak, jak powinno. Dlaczego tak płonęła?

Zostaw, szeptał wiatr.

Chcę! – krzyknęła w duszy.

Zwolniła, odrywając wzrok od ścieżki, którą podążały jej stopy, od pustki podłoża. Harrow przybrało inny odcień, jaśniejszy i cieplejszy. Wokół pojawiły się twarze, dziwnie żywe na tle mgły, pełne zrozumienia dla jej pragnień. Twarze były znajome, przyjaciół i rodziny, wszystkich tych, którzy ją kochali i wspierali, żywych i umarłych, budziły się do życia z jej wyobraźni. Była zaskoczona, kiedy się pojawiły, ale również zadowolona. Przemówiła do nich, słowo lub dwa, spięta i ciekawa. Spojrzały na nią i zaszepotały w odpowiedzi.

Zostaw.

Zostaw.

Słowa powtarzały się uparcie w jej umyśle, jak błysk nadziei. Zwolniła i zatrzymała się w końcu, nie wiedząc już, gdzie jest, i nie dbając o to. Była taka zmęczona. Jej życie było gmatwaniną wydarzeń. Nie mogła już nawet udawać, że ma nad nim kontrolę. Prowadziło ją niczym jeździec konia, ale bez przerwy i wypoczynku, bez celu w nie kończącej się noc.

Zostaw.

Uniosła w odpowiedzi dłoń ściskającą Kamienie Elfów, ledwo świadoma, że to czyni, i spomiędzy palców trysnął strumień błękitnego światła, mknąc w ciemność. Twarze zniknęły natychmiast. Zamrugła zmieszana. Co zrobiła? Dlaczego się

zatrzymała? Przestraszona rozejrzała się dokoła, widząc ciemność i mgłę Harrow, zdając sobie sprawę, że zgubiła się w jego wnętrzu, zbłądziła. Drakule były tu, obserwujące. Czuła ich obecność. Przełknęła, pokonując strach. O czym myślała?

Ruszyła znowu, usiłując zrozumieć, co się stało. Niejasno zdawała sobie sprawę, że na chwilę zapomniała o wszystkim, że błądziła bez celu. Pamiętała urwane fragmenty własnych myśli, jak strzępy snu na jawie. Miała coś zrobić, pomyślała zmartwiona. Ale co?

Mijały minuty. W oddali, poprzez wycie wiatru, usłyszała, jak ktoś woła jej imię. Wołanie zawisło na chwilę w ciszy i umilkło. Ruszyła w jego stronę, zastanawiając się cały czas, czy zmierza w dobrym kierunku. Jeśli się wkrótce nie dowie, będzie musiała użyć Kamieni Elfów. Ta myśl była niczym klątwa. Już nigdy nie chciała ich używać. Oczyma duszy widziała tylko płomień tryskający w potwora, który niegdyś był Eowen, i obracający ją w popiół.

Znowu zaczęła płakać i ponownie szybko się opanowała. Nie było z tego pożytku ani sensu. Przed nią rozciągały się bezlistne drzewa i obmyta ogniem skamieniała lawa, nie kończąca się, niezmienną połacią. Harrow zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Zgubiła się, zdecydowała wreszcie, zaczęła kręcić się w kółko. Zatrzymała się i zmęczona rozejrzała dokoła. Wyczerpanie zalewało ją jak fala. W rozpaczy i udręce zamknęła oczy.

Wiatr szeptał: Zostaw.

Tak, odpowiedziała cicho. Chciałabym.

Dźwięk słów owijał się wokół niej jak ciepła oponcza, otulał i przyciągał do siebie. Opierała się tylko przez chwilę, po czym poddała mu się. Kiedy otworzyła oczy, twarze powróciły,

otaczając ją kręgiem bladego światła i delikatnego dotyku. Ujrzała, że znajduje się na skraju wąwozu – miejsce wydawało się znajome. I znowu wszystko zaczęło znikać. Zapomniała, że usiłuje uciec z Harrow, że twarze wokół niej są czymś innym, niż się wydają. Żar mgły wpełzał do jej umysłu i sadowił się tam, gęsty i mroczny. Skute lodem myśli roztopiły się i popłynęły w jej ciele niczym płyn; czuła jego chłód. Była tak zmęczona, tak udręczona wszystkim.

Zostaw.

Dłoń trzymająca Kamienie Elfów opadła, a twarze się zbliżyły, zaczynając nabierać kształtów i wielkości. Wargi otarły się o jej szyję.

Zostaw.

Znowu zamknęła oczy. Rozchyliła palce. To byłoby takie łatwe. Pozwolić wypaść Kamieniom i na zawsze uwolnić się od okowów magii.

— Pani Wren!

Krzyk był pełen udręki i przez chwilę nie słyszała go. Potem otworzyła oczy, a jej ciało się napięło. Dziwny sen, który niemal nią zawładnął, szept nagłego pragnienia. Przez ich mgłę i całun ujrzała dwie postacie skulone na skraju światła. Trzymały w dłoniach miecze – ich stal lśniła słabo.

— Phfftt! Nie ruszaj się, Wren z rodu elfów! – usłyszała kolejny okrzyk ostrzeżenia. Stresa.

— Zostań w miejscu, Pani Wren – gorączkowo nakazał pierwszy. Triss.

Kapitan Domowej Straży wysunął się naprzód, trzymając przed sobą broń. Teraz widziała jego twarz, szczupłą i surową, zdecydowaną. Za nim stał Garth, większy, ciemniejszy, nieodgadniony. A na ich czele, jeżąc kolce, stał Stresa.

Poczuła nagły chłód w żołądku. Co oni tu robią? Co ich tu przywiodło? Zalała ją fala strachu. Coś działo się wokół niej, a ona nawet nie była tego świadoma.

Odsunęła do siebie zmęczenie, chłód, szept wiatru i się opanowała. Chłód zamienił się w mróz. Otaczające ją światło emanowało ze stworów, które zaciskały krąg wokół niej. Drakule. Wszędzie. Były tak blisko, że czuła ich oddechy - albo tak jej się wydawało. Widziała martwe oczy, wychudłe, niemal pozbawione rysów twarze i białe kły. Były ich tuziny, nacierały na nią, rozstępując się jedynie w miejscu, gdzie usiłowali zbliżyć się Triss, Garth i Stresa, tworząc okno na mrok Harrow. Ich dłonie i palce chwyciły ją, trzymały mocno, pętały więzami głodu. Zwabiły ją do siebie, ukołysały niemal do snu, jak to uczyniły z Eowen. A teraz, przemienione z fantomów w istoty z ciała, miały się nią nakarmić.

Przez jedną chwilę Wren trwała zawieszona pomiędzy bytem i niebytem, życiem i śmiercią. Czuła się rozdarta pomiędzy dwoma wyborami, odmiennymi i bardzo pociągającymi. Jeden uwolniłby ją od kojących, śmiertelnych więzów, wznieciłby w niej obrzydzenie i wściekłość i walczył o jej życie, ponieważ instynkt mówił jej, że tak musi uczynić. Inny nakłaniał do szeptu wiatru i kazał zostawić wszystko, ponieważ tylko w ten sposób mogła uwolnić się od magii. Czas stanął w miejscu. Rozważał obie możliwości, jakby jej nie dotyczyły. Był to osąd obejmujący całość jej istnienia, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Widziała, jak jej wybawiciele podchodzą bliżej. Ich gesty nie budziły wątpliwości. Czuła, jak drakule zbliżyły się o cal. Wydawało się, że nic nie ma znaczenia. Wszystko było odległą, powolną rzeczywistością, która mogła zmienić się w mgnieniu oka. Potem o jej gardło otarły się kły – szept głodu i pragnienia.

Drakule.

Cieniowce.

Elfy.

Postępujący koszmar – i tylko ona wiedziała.

Jeśli nie ucieknę z Morrowindl i nie powrócę do czterech krain, kto jeszcze będzie wiedział?

— Pani Wren! – zawołał cicho Triss. W jego głosie brzmiało błaganie, rozpacz, gniew i zagubienie.

Cofnęła się od przepaści i wzięła długi, głęboki oddech. Czuła, jak powracają jej siły, wydobywała się z letargu. Ale wciąż była zbyt wolna. Odchyliła się delikatnie, niemal niedostrzegalnie, próbując odkryć, na ile może się poruszyć, sprawdzając granice swej wolności. Nie było ich; ręce trzymały ją tak mocno, jakby była przykuta do ziemi.

A zatem jedna szansa. Jedna nadzieja. Skupiła się, twarda i nieustępliwa, sięgając głęboko do swego wnętrza. Rozchyliła palce.

Teraz.

Błękitny ogień buchnął w noc, biegnąc po ciele, aby ukryć ją w płomieniach. Kły cofnęły się gwałtownie, ręce opadły, drakule wrzasnęły wściekle i była wolna. Stała w słupie ognia, a żar magii rozpalał ją, otulał, kiedy czekała na ból i spopielenie w ogniu. Lepsze to, niż stać się jednym z nich, przemknęło jej przez głowę, a okruchy chęci życia zmieniły się w pewność, której już nic kwestionowała. Byle szybko!

Ogień wznosił się wokół niej na tle czerni, osmalając kurtynę mgły. Drakule rzuciły się w płomienie, rozpaczliwie próbując jej dosięgnąć, jak bezrozumne ćmy. Ginęły w nagłym wybuchu światła, spalając się z prędkością myśli. Wren patrzyła, jak atakują, sięgają po nią, wpadają w ogień i znikają. Otworzyła

oczy, szukając Kamieni elfów. Odnalazła je na otwartej dłoni, bielejące magią, jasne jak małe słońca. Ona jednak nie płonęła. Ogień szalał wokół niej, pochłaniał napastników i zostawiał ją nietkniętą.

Och, tak!

Poczuła podniecenie, poczucie mocy, które magia zawsze jej dawała. Czowała się niezwykczona, niepokonana. Ogień nie mógł jej zranić, nie zrani – powinna była to wiedzieć. Wyrzuciła przed siebie ręce, odgarniając płomienie w stronę otaczającego ją wiru drakuli. Ogień pochłaniał je i pożerał, wrzeszczące z rozpacz. Dla ciebie, Eowen! Patrzyła, jak giną, i nie czuła nic poza radością, którą dawało jej użycie magii. Drakule stawały się niegroźne, znaczące tyle co pył. Objęła ramionami moc magii i pozwoliła nieść się poza granice rozsądku i myśli.

Użyć ich, mówiła sobie. Nic innego się nie liczy.

Na chwilę zagubiła się całkowicie. Zapomniani zostali Triss i Garth, pragnienie ucieczki z Morrowindl i powrotu do czterech krain, prawda, której się dowiedziała i chciała przekazać, jej własne dzieje, żywoty jej powierzone, wszystko. Zapomniała o wszystkich celach, poza władaniem Kamieniami Elfów.

Wtedy ocuciło ją coś niewielkiego, strzępek świadomości, szept zdrowego rozsądku, który przedarł się przez mieszaninę strachu, wyczerpania i rozpacz, grożąc szaleństwem. Ujrzała Trissa, Gartha i Stresę walczących z drakulami, które teraz rzuciły się na nich. Stali plecami do siebie, a krąg się zaciskał. Słyszała, jak krzyczą do niej i głos własnej duszy rozbrzmiewający w odpowiedzi. Czowała, jak sama wyspa zaczyna tonąć w ogniu.

Opuściła dłoń z Kamieniami Elfów, kolumna ognia zniknęła w błysku światła wokół jej dłoni, opanowana raz jeszcze. Znowu ujrzała ciemność i mgłę, poszarpane zbocza wąwozu, lawę,

sterczącą i czarną. Poczwała zapach nocy, popiół, ogień i żar. Odwróciła się do drakuli i syknęła jak wąż. Odsunęły się przestraszone. Podeszła do przyjaciół i otaczający ich napastnicy uciekli. Niosła śmierć w dłoni, pewne unicestwienie dla stworów, które aż nazbyt dobrze wiedziały, co to oznacza. Migotały wokół niej, tracąc kształty. Bez lęku wkroczyła pomiędzy nie, kołysząc na wszystkie strony magicznym światłem, przerażającym, złowieszczym, obietnicą śmierci. Drakule nie podjęły wyzwania; w jednej chwili rozwiały się i zniknęły.

Podeszła do miejsca, gdzie stali skuleni Garth i Triss, z bronią w rękach i niepewnością w oczach. Zatrzymała się przed Stresą, który wpatrywał się w nią, jakby była czymś niepojętym. Zaciśnęła palce na Kamieniach Elfów i ogień zniknął.

— Pomóżcie mi wyjść z wąwozu – wyszeptała tak zmęczona, że w każdej chwili mogła upaść, wiedziała jednak, że nie może tego zrobić, świadoma, że drakule wciąż patrzą.

Triss natychmiast otoczył ją ramieniem.

— Pani, myśleliśmy, że się zgubiłaś – powiedział, odwracając ją delikatnie.

— Zgubiłam – odrzekła z nikłym uśmiechem.

Powoli, krok po kroku, omiatając wzrokiem nocną wyspę, zaczęli się wspinać.

Wydostali się z Harrow aż po północy. Drakule wciągnęły Wren w głąb swego legowiska, daleko od ścieżki, którą, jak sądziła, idzie. Gdy już odnalazła Eowen, zwodziły ją tak, że w końcu błąkała się po płaskowyżach w zupełnie złym kierunku. Stresa zdołał ją wytropić, ale nie było to łatwe. O zmroku wyruszyli na poszukiwanie, pomimo jej rozkazu, aby tego nie czynili, zaniepokojeni, ponieważ nie wracała tak długo, zdecydowani upewnić się, że jest bezpieczna, nawet ryzykując

własne życie. Wiedzieli, że nie mają skutecznej ochrony przeciwko drakulom, ale to już nie miało znaczenia. Garth i Triss byli zdecydowani. Dal został, aby pilnować Gavilana i różdżki Ruhk. Stresa poszedł z nimi, ponieważ nikt inny nie potrafił w ciemnościach trafić na trop Wren. Mogliby jej nie znaleźć, nawet gdyby drakule nie były tak zajęte swoim łupem. Nawet garstka widm mogła zniweczyć wysiłki ratunkowej ekspedycji. Jednak Wren, nosząca magię Kamieni Elfów, była dla drakuli pokusą i wszystkie wyruszyły na polowanie, pragnąc podzielić się żerem. Były wszak cieniowcami. Stresa mógł wytropić ją bez trudu. Jak się okazało, odnaleźli ją w sama porę.

Wren z kolei opowiedziała im o Eowen, jak pokonały ją drakule i jak stała się jedną z nich. Opisała śmierć widzącej, nie chcąc niczego upiększać – pragnęła usłyszeć te słowa, wypowiedzieć swój żal. Wydawało się, że mówi z jakiegoś pustego wnętrza, otulona mgłą zubożenia i wyczerpania. Była taka zmęczona. A mimo to nie zwolniła; nie odpoczęła. Po wyjściu z wąwozu odmówiła wszelkiej pomocy. Szła, ponieważ nie chciała pozwolić, aby ją niesiono, ponieważ byłoby to kolejnym dowodem słabości, a dość jej okazała przez jedną noc. Przerazona była tym, co się z nią stało, jak łatwo dała się zwieść szeptowi wiatru, jak blisko była śmierci i jak bardzo jej pragnęła – Wren Elesedil, zwana królową elfów, obdarowana zaufaniem ludu, dziedziczka magii. Ciągle pamiętała, jak zapraszający wydawał się głos, aby oddała życie. Była taka gotowa, z radością witająca pokój, który miała tam znaleźć. Całe życie była silna w obliczu śmierci, nigdy nie dawała jej sposobności do podejścia blisko, zawsze pewna, że walczyć będzie do ostatniego tchu. To, co wydarzyło się w Harrow, odarło ją z tej pewności, bardziej, niż pragnęłaby przyznać. Nie zdołała się temu oprzeć, a zawsze

mówiła sobie, że potrafi. Pozwoliła, aby wyczerpanie i rozpacz zawładnęły nią tak całkowicie, pozostawiając ją jak pustą łodygę i tak samo kruchą. Widziała, jak magia ciągnęła ją w tę i z powrotem. Tak jak Eowen była więźniem własnej wizji, tak Wren stała się więźniem magii elfów. Nienawidziła się za to. Gardziła tym, czym się stała.

Nie jestem tym, w co wierzyłam, pomyślała w rozpacz. Jestem kłamstwem. Opowiadała, aby o tym nie myśleć, mówiła, co widziała, błędząc po Harrow, jak usypiał ją głos drakuli, jak Eowen – tak podatna na wizje i obrazy – musiała wpaść w pułapkę. Chwilami podnosiła głos, a jego dźwięk miał odciągnąć ją od ponurych myśli, aby nie usnęła i nie ustawała. W tej strasznej podróży myślała o śmierci, zwłaszcza śmierci Ellenroh i Eowen. Ich strata przygniatała ją. Pożerało ją uczucie bezsilności, że nie była w stanie ich ocalić, i winy, że nie podoła zadaniu, które jej zostawiły. Ścisnęła mocno w dłoni Kamienie Elfów, niezdolna ich odłożyć, przerażona, że drakule znów zaatakują. Nie nadeszły jednak. Nawet wiatr nie szeptał teraz w ciemnościach, zniknął pod ziemią, zostawiając ją w spokoju. Spojrzała w czerń i ujrzała w sobie odbicie pustki. Bolała nad tym, czym się stała, i bała się, czym jeszcze mogłaby się stać. Świat był miejscem, którego już nie pojmowała. Nie potrafiła nawet określić, co było większym złem – potwory czy ich twórcy. Cieniowce czy elfy – kto z nich obarczony był winą? Gdzie była równowaga życia, która powinna być owocem lekcji i zdobytego doświadczenia? Gdzie było przecucie nadchodzącego szaleństwa, że wszystko, co się dzieje, ujawni swój cel? Nie знаła odpowiedzi. Magia porwała ich wszystkich i rzucała, dokąd chciała.

A tej nocy wybrała dół tak ciemny, że Wren nawet nie

wyobrażała sobie jego istnienia. Wyszli z Harrow umęczeni i odrętwiali, czując ulgę i niepokój. Wypoczną aż do świtu i pójdą dalej. Większa część Blackledge była już za nimi, została w cieniu Killeshan. Pomiedzy nimi a plażami było tylko In Ju. Jeśli się pospieszą, szybko przejdą dżunglę, może w dwa dni, i po jeszcze dwóch dotrą do brzegów Błękitnej Granicy. Szybko, ponaglali się milcząco. Szybko i będziemy wolni.

Dotarli do miejsca, gdzie zostawili swoich towarzyszy, polany ze skupiskiem skał, ocienionej frędzlami uschłych winorośli i wynędzniałych krzewów. Z ciemności wypadła Faun, wyszła z odległej kryjówki, skrzecząc dziko, wskoczyła na ramię Wren i przycupnęła tam, jakby nie istniało inne schronienie. Wren podniosła rękę, aby ją podtrzymać. Wiewiórka drżała ze strachu.

Potem znaleźli Dalla, rozciągniętego na przeciwległym końcu wycinki, bezładną plataninę rąk i nóg z rozszczepioną czaszką. Triss pochylił się nad nim i odwrócił myśliwego elfów. Zdumiony spojrział na nich. Dał nawet nie wyciągnął broni.

Wren zrozpaczona odwróciła wzrok i poczuła mroczną pewność. Nie musiała patrzeć dalej, żeby wiedzieć, iż Gavilan i różdżka Ruhk zniknęli.

Rozdział XXIII

Par Ohmsford skulił się pod osłoną opończy w cieniu budynku, ciemny jak otaczająca go noc, i nasłuchiwał odgłosów Tyrsis, które wrzało nieustannie pod pokrywą letniego żaru, czekając na rano. Powietrze było nieruchome i pełne zapachów miasta, słodkich, lepkich i zepsutych. Par oddychał nim niechętnie i ciężko, wyglądając z ukrycia w plamy światła rzucanego przez uliczne latarnie, czujny na obce stwory, które skradały się, polowały i przeszukiwały nieustannie.

Federacja.

Ceniowce.

Byli tu wszyscy, myśliwi, którzy zdawali się nigdy nie spać i nie rezygnowali. Już od niemal tygodnia uciekał przed nimi wraz z Damson, od kiedy opuścili w pośpiechu podziemną kryjówkę Kreta i wrócili przez kanały na ulice miasta. Tydzień. Ledwo pamiętał mijane rumowisko, strzępy wspomnień, płataninę budynków i pokoi, szaf i przesmyków, jedna kryjówka za drugą. Nie mogli odpocząć nigdzie dłużej niż parę godzin. Odkrywano ich zawsze, kiedy myśleli, że już są bezpieczni, i zmuszano do biegu, ucieczki przed mrocznymi stworami, które chciały ich dopaść. W jaki sposób, zastanawiał się Par po raz tysięczny, zawsze tak szybko ich znajdowano?

Z początku przypisywał to szczęściu. Ale samo szczęście nie wystarczyłoby, a regularność, z jaką ich odkrywano tak szybko, wykluczyła możliwość, że było to wyłącznie szczęście. Potem myślał, że to jego magia, wyśledzona jakoś przez Rimmera Dalla – ponieważ najczęściej nadchodzili szperacze, czasami w mundurach federacji, ale najczęściej jako potwory, którymi byli,

mroczne cienie w oponczach i kapturach. Ale nie użył magii, od kiedy uciekli z kanałów, a skoro jej nie używał, to jak mogli ją wyśledzić?

— Przeniknęli do Ruchu – oznajmiła Damson, małomówna i mizerna, zanim zostawiła go raptem kilka godzin temu, aby poszukać nowej kryjówki, której nie znali ich prześladowcy. – Albo schwytali jednego z naszych i wyciągnęli wszystkie nasze tajemnice. Nie ma innego wytłumaczenia.

Była jednak zmuszona przyznać, że nikt poza Padisharem Creelem nie znał wszystkich kryjówek, których używała. Nikt inny nie mógł ich zdradzić.

A to z kolei prowadziło do niepokojącej możliwości, że wbrew ich nadziejom, pacyfikacja Występu dała federacji szansę, której tak bardzo pragnęli.

Par oparł głowę o szorstki, rozgrzany kamień i na chwilę przymknął oczy w rozpacz. Coll nie żyje. Padishar i Morgan zaginęli. Wren i Walker Boh. Steff i Teel. Cała kompania. Nawet Kret – nie było o nim wieści, od kiedy opuścili podziemne komnaty. Nie było śladu, nie wiadomo było co się stało. Doprowadzało go to do szaleństwa. Wszyscy, z którymi wyruszył całe tygodnie temu – jego brat, kuzyn, wuj i przyjaciele – zniknęli. Czasami wydawało mu się, że każdy, z kim się zetknął, skazany był na zmecenie z powierzchni ziemi, pochłonięcie przez piekielną czerń i nigdy nie wyjrzy już na powierzchnię.

Nawet Damson...

Nie. Otworzył gwałtownie oczy, w których zamigotał gniew, odbijając się w świetle lamp. Nie Damson. Nie straci jej. To już się nie zdarzy.

Ale jak długo jeszcze mogą tak uciekać? Jak długo, zanim wrogowie w końcu wpędzą ich do grobu?

W górnym rogu muru poruszyło się coś nagle, tam gdzie budynek biegł wzdłuż zachodniej ulicy w stronę urwiska, i pojawiła się Damson. Przemykała skulona przez cienie i przypadła do niego, zdyszana i zarumieniona.

— Odkryli jeszcze dwie kryjówki – powiedziała. – Czułam odór tych stworów. Wypatrywały nas, nawet zanim je zobaczyłam. – Długie rude włosy miała splątane i przyklejone do twarzy i szyi, przewiązane opaską na czole. Uśmiechnęła się niespodziewanie. – Ale znalazłam jedną, którą przeoczyli. – Wyciągnęła dłoń, aby pogłodzić jego policzek. – Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Par. Dziś w nocy będziesz spał dobrze. Pamiętam to miejsce. To piwnica pod starym młynem, który był czymś innym, zapomniałam czym. Ponad rok nie był używany przez nikogo. Kiedyś Padishar i ja... – Przerwała. Wspomnienie powróciło i cofnęło się, zanim coś powiedziała: jej oczy mówiły, że jest zbyt bolesne. – O tej się nie dowiedzą. Chodź ze mną. Spróbujemy jeszcze raz. Pośpieszyli w noc, bliźniacze cienie, pojawiające się i znikające w okamgnieniu.

Par czuł na plecach ciężar Miecza Shannary, płaski i twardy, a jego obecność przypominała, jaką parodią stała się jego wyprawa i jaki nękał go chaos. Czy naprawdę był to pradawny talizman, który miał odnaleźć, czy sztuczka Rimmera Dalla, mająca doprowadzić do zniszczenia? Jeśli to ten Miecz, dlaczego nie był w stanie zadziałać, kiedy stał twarzą w twarz z pierwszym szperaczem? A jeśli był fałszywy, co stało się z prawdziwym Mieczem?

To pytanie jednak, jak zwykle, nie przyniosło odpowiedzi, lecz tylko dalsze pytania, które szybko porzucił. W tej chwili liczyło się tylko przeżycie, uniknięcie mrocznych stworów i co najważniejsze, ucieczka z miasta. Uciekali niczym szczury w

labiryntie, uwięzieni za murami, z których nie mogli się wyrwać. Wszystkie wysiłki, aby wydostać się z Tyrsis na otwartą przestrzeń, spełzły na niczym. Bramy były pilnie strzeżone, przy wszystkich wyjściach ustawiono strażę, a Damson pod nieobecność Kreta brakowało umiejętności, aby przejść tunele pod miastem, które były jedyną drogą ucieczki. Pozostawało im więc tylko wciąż uciekać i ukrywać się, przemykać z jednej dziury do drugiej i czekać na okazję lub środki, które wreszcie ich uwolnią.

Skręcili w boczną ulicę nakrapianą cętkami światła sączącego się przez szpary w okiennicach wysoko na tylnej ścianie. Słyszeli śmiechy i brzęk kielichów z wnętrza piwiarni. Ulicę zaścielały śmieci, wilgotne i cuchnące. Tyrsis w tej dzielnicy używała najtańszych perfum, a woń jej ciała była zgniła i bezwstydna tam, gdzie okupanci stłoczyli biednych i bezdomnych. Niegdyś dumna pani, teraz wykorzystana i porzucona, jak sprzęt ulegający zachciankom federacji, wojenne trofeum, zniszczone, zanim zostało zdobyte.

Damson zatrzymała się, czujnie wpatrując się w pustą przestrzeń oświetlonego skrzyżowania, nasłuchując przez chwilę obcych dźwięków, po czym przeprowadziła go szybko na drugą stronę. Zeszli w następną boczną uliczkę, cichą i zatechłą jak nie otwierana szafa, potem przez niszę i aleję prowadzącą do kolejnej ulicy. Par znowu myślał o Mieczu.

Stali w pomieszczeniu przypominającym stajnię, gęstym od mroku, a krokwie nad ich głowami ledwo widoczne były w nikłym świetle innych budynków, sączącym się przez szczeliny w splekanych, suchych deskach. Stały tam maszyny skulone jak szykujące się do skoku zwierzęta i rzędy pustych, czarnych koszy. Damson poprowadziła go przez pomieszczenie, a ich buty

skrzypiały na kamieniu i słomie w głębokiej ciszy. Zatrzymała się blisko tylnej ściany, schyliła, chwyciła żelazny pierścień wbity w podłogę i uchyliła ukryte drzwi. Błysk światła ukazał schody wiodące w ciemność.

— Ty pierwszy – rozkazała, wskazując zejście. – Wejdz i zatrzymaj się.

Zrobił, jak kazała, usłyszał dźwięk kroków, kiedy ruszyła za nim, a potem odgłos zamykanych drzwi. Stali, nasłuchując przez chwilę, po czym Damson minęła go i szukała czegoś po omacku. Błysnęła iskra, ukazał się płomień, pochwyił czubek pochodni i zapłonął. Pokój, w którym stali, wypełniło światło, nikłe i zamglone, ukazując niską piwnicę pełną okutych stalą beczek i połamanych skrzyń. Skinęła, aby szedł za nią, i ruszyli przez rumowisko. Piwnica ciągnęła się przez chwilę i kończyła korytarzem. Damson schyliła się nisko w czerni, wysunęła przed siebie pochodnię i weszła. Przejście poprowadziło ich w dół przez ciąg przecinających się korytarzy do pokoju, który niegdyś był komnatą sypialną. Zniszczone łoże oparte było o jedną ścianę, a stół i krzesła o drugą. Drugie przejście wychodziło na drugą stronę, z powrotem w ciemność. Tam, gdzie kończyło się światło pochodni, Par mógł dostrzec bardzo stare schody.

— Powinno być tu bezpiecznie przez tę noc, może dłużej – stwierdziła, odwracając się tak, że światło pochodni uchwyciło rysy jej twarzy, jasny błysk zielonych oczu, łagodność uśmiechu. – To niewiele, prawda?

— Bezpieczeństwo to wszystko, czego nam trzeba – odpowiedział, odwzajemniając uśmiech. – Dokąd prowadzą te schody?

— Z powrotem na ulicę. Ale drzwi są zamknięte od zewnątrz. Będziemy musieli je wyważyć, jeśli trzeba będzie wtedy uciekać.

Gdybyśmy nie mogli użyć wyjścia z piwnicy. W każdym razie są jakąś ochroną przed zamknięciem w pułapce. I nikt tu nie zajrzy, skoro zamek jest stary, przerdzewiały i zamknięty.

Skinął głową, wziął pochodnię z jej dłoni, rozglądał się przez chwilę, a potem zaniósł ją do zniszczonego uchwyty na lampę i tam zatknął.

— Jesteśmy w domu – oświadczył, odpasał Miecz Shannary i oparł go o łóżko. Przez chwilę jego wzrok spoczywał na herbie wyrytym na rękojeści – uniesiona dłoń z płonąca pochodnią. Potem odwrócił się. – Jest coś do jedzenia w kredensie?

Roześmiała się.

— Prawie nic – podeszła do niego pchnięta impulsem, objęła ramionami w pasie, tuliła przez chwilę i pocałowała w policzek. – Par Ohmsford – miękko wymówiła jego imię.

Uścisnął ją, pogładził po włosach, czując przenikające go ciepło jej ciała.

— Wiem – wyszeptał.

— Byłoby dobrze dla nas obojga.

Bez słowa skinął głową, zdecydowany, że tak będzie, musi być.

— Mam w torbie trochę świeżego sera i chleb – powiedziała, cofając się. – I piwo. Wystarczy dla takich uciekinierów jak my.

Jedli w ciszy, nasłuchując stłumionego stukania stalowych ćwieków wbitych w mury budynku. Raz czy dwa słyszeli głosy, ale tak odległe, że słowa były nie do rozróżnienia. Dochodziły z ulicy przez zamknięte na kłódkę drzwi i stare schody. Kiedy skończyli jeść, uważnie zapakowali to, co zostało, zgasili pochodnię, owinęli się w koce, położyli blisko siebie na wąskim łóżu i szybko usnęli.

Świt przyniósł lśnienie światła sączące się przez szpary i szczeliny, chłodne i zamglone oraz rosnące i dalekie odgłosy

miasta, kiedy ludzie wyruszyli w nowy dzień. Par obudził się wypoczęty, po raz pierwszy od tygodnia, żałując, że nie ma wody, w której mógłby się umyć, ale wdzięczny, że choć na chwilę otrząsnął się ze zmęczenia. Damson miała jasny wzrok i miło było na nią spojrzeć. Była potargana, a równocześnie doskonale zadbana i Par poczuł, że najgorsze może jest już za nimi.

— Najważniejsze to znaleźć wyjście z miasta – oświadczyła Damson pomiędzy kęsami śniadania, siedząc naprzeciw niego przy małym stoliku. Zmarszczyła czoło, zdecydowana. – Nie możemy tak żyć.

— Chciałbym wiedzieć coś o Krecie.

Pokiwała głową, odwracając wzrok.

— Szukałam go, kiedy byłam w mieście – potrząsnęła głową. – Kret jest zaradny. Długo utrzymywał się przy życiu.

Nie z polującymi nań cieniowcami, już miał powiedzieć Par, ale potem się zastanowił. Tak czy inaczej Damson pomyślała tak samo.

— Co mam dzisiaj robić?

Spojrzała na niego.

— To, co zawsze. Zostaniesz tu. Nadal nic o mnie nie wiedzą. Wiedzą tylko o tobie.

— Masz nadzieję.

Westchnęła.

— Mam nadzieję. W każdym razie muszę znaleźć sposób na wydostanie się za mury Tyrsis gdzieś, gdzie się dowiemy, co stało się z Padisharem i innymi.

Splótł ramiona na piersi i oparł się o ścianę.

— Czuję się bezużyteczny, siedząc tu.

— Czasami oczekiwanie jest najlepszym, co można zrobić, Par.

— I nie lubię, kiedy wychodzisz sama.

Uśmiechnęła się.

— Ja też nie lubię zostawiać cię tutaj samemu sobie. Ale tak musi być. Musimy działać mądrze.

Naciągnęła opończę, swój strój magika, ponieważ w dalszym ciągu pokazywała się regularnie na targowisku, aby sztuczkami bawić dzieci, utrzymując wrażenie, że wszystko jest po staremu. Białe pasmo światła przeniknęło mrok przejścia, które ich tu przywiodło, i zniknęła w nim, machając dłonią na pożegnanie.

Resztę ranka spędził, pracowicie przeszukując granice swego schronienia. Przede wszystkim wspiął się na szczyt schodów prowadzących z powrotem na ulicę, gdzie sprawdził zamek blokujący ciężkie, drewniane drzwi i przekonał się, że trzyma mocno. Potem powędrował z powrotem tunelami, które rozgałęziały się z piwnicy młyna i odkrył, że każdy kończy się w magazynie skrzyń i koszy, pustym i zaniedbanym. Kiedy nadeszło południe, zjadł obiad z resztek wczorajszych zapasów, schowanych w torbie Damson, a potem wyciągnął się na łóżku, aby się zdrzemnąć, i zasnął głęboko.

Kiedy się w końcu obudził, światło miało barwę srebra, a dzień nagle zgasł w zmroku. Przez chwilę leżał, mrugając sennie, ale nagle zdał sobie sprawę, że Damson nie wróciła. Nie było jej od niemal dziesięciu godzin. Wstał szybko, zaniepokojony, myśląc, że już dawno powinna wrócić. Możliwe, że przyszła i wyszła ponownie, ale to mało prawdopodobne. Obudziłaby go. Sam by się obudził. Zachmurzył się. Robił skłony, aby złagodzić napięcie mięśni, i zastanawiał się, co się stało.

Pomimo troski poczuł głód i postanowił coś zjeść. Dokończył resztę chleba i sera. W bukłaku było jeszcze trochę piwa, ale było ciepłe i smakowało stęchlizną.

Gdzie była Damson?

Par Ohmsford od początku świadom był ryzyka, niebezpieczeństwa, przed którym stawiała Damson za każdym razem, kiedy go opuszczała i wychodziła do miasta. Jeśli Kret został schwytany, mogli zmusić go do mówienia. Jeśli wydane zostały bezpieczne kryjówki, to również i Damson mogła zostać wydana. Jeśli pojmano Padishara, nie było już tajemnic. Znał ryzyko; mówił sobie, że je przyjmuje. Ale po raz pierwszy od wyjścia z kanałów stanął przed najgorszym i odkrył, że wcale nie był na to przygotowany. Był przerażony.

Damson. Jeśli coś jej się stało...

Jakieś szuranie przyciągnęło jego uwagę i nie dokończył myśli. Wstał, a potem obrócił się dokoła, szukając źródła dźwięku. Było za nim, na szczycie schodów, przy drzwiach prowadzących na ulicę.

Ktoś bawił się zamkiem.

Zrazu pomyślał, że musi to być Damson, zmuszona z jakiegoś powodu wejść od tyłu. Ale Damson nie miała klucza. A słyszał klucz skrzypiący w zamku. Gmeranie nie ustawało, kończąc się ostrym kliknięciem, kiedy zamek puścił.

Par schylił się po Miecz Shannary i przewiesił go szybko przez plecy. Ktokolwiek był na górze, nie była to Damson. Chwycił plecak, chcąc ukryć wszelkie ślady swego pobytu w piwnicy. Jednak wszędzie były ślady jego butów, łóżko było w nieładzie, a okruchy jedzenia zaśmiecały stół. Poza tym nie było czasu. Intruz uniósł zasuwę i otwierał drzwi.

Przez otwór wpadło światło dnia, ukośne pasmo bladej szarości. Par wycofał się pospiesznie do tuneli za pokojem. Zostawił pochodnię. Nie potrzebował jej już, aby znaleźć drogę. Poranne poszukiwania dostarczyły jasnych informacji, którędy iść, nawet w nadchodzącym mroku. Buty uderzały cicho o

drewniane stopnie, zbyt ciężkie i twarde, żeby mogły należeć do Damson.

Zszedł tunelami, przemykając się bezszelestnie. Ktokolwiek wszedł, wiedział, że Par tam był, ale nie wiedział, od jak dawna. Będą czekali, aż powróci, aby zaskoczyć go nieprzygotowanego. Albo Damson. Ale on mógł poczekać na Damson bliżej wejścia do starego młyna i ostrzec ją, zanim wejdzie. Damson nigdy nie weszłaby tylnym wejściem. Myśli goniły jedna za drugą, popychając go przez ciemność, szybko i cicho. Musiał jedynie ustrzec się przed wykryciem, wrócić przez piwnicę i dostać się do drzwi na ulicę.

Nie słyszał już kroków. Świetnie. Intruz zatrzymał się, aby przeszukać pokój, zastanawiając się, kto tam był, ilu ich było i dlaczego przyszli. Tym więcej czasu na ucieczkę dla Para, tym większa szansa.

Ale kiedy dotarł do piwnicy, zbyt szybko pobiegł do schodów prowadzących w górę, wpadł na pustą drewnianą skrzynię, potknął się i upadł. Przegniłe drewno trzasnęło i pękło pod nim, a dźwięk poniósł się w ciszy głośnym echem.

Kiedy znowu podniósł się na nogi, wściekły i bez tchu, usłyszał kroki zmierzające w jego kierunku.

Rzucił się do schodów, nie dbając dłużej o ukrycie się. Kroki przyspieszyły. To nie cieniowce, pomyślał, one nadchodziłyby w ciszy. A zatem federacja. Ale tylko jeden. Dlaczego?

Dotarł do schodów i wdrapał się na nie. Drzwi rysowały się niewyraźnie nad jego głową. Nagle przyszło mu do głowy, że na górze mogą czekać inni i że wpędzają go w pułapkę. Czy powinien zmierzyć się z tym jednym, czy pozwolić otoczyć się przez tamtych? A może to tylko domysły? Zresztą nie było czasu nic postanowić. Był już przy drzwiach.

Pchnął w górę. Drzwi ani drgnęły.

Promienie gasnącego światła przedarły się przez szczeliny w grubych deskach i tańczyły na jego złanej potem twarzy, oślepiając go chwilami. Pochylił głowę i znowu pchnął. Drzwi tkwiły mocno w miejscu. Mrużył oczy przed światłem, próbując dojrzeć, co się stało. Na krawędzi drzwi siedziało coś ogromnego i przysadzistego.

Zrozpaczony rzucił się na przeszkodę, ale nie puściła. Zszedł kilka stopni, rzucając przez ramię szybkie spojrzenie. Serce waliło mu tak głośno, że ledwo usłyszał przytłumiony głos wołający jego imię.

— Par? Par Ohmsford?

Mężczyzna, ktoś kogo chyba znał, ale nie był pewien. Głos był równocześnie znajomy i obcy. Mówiący był jeszcze w tunelach, pogrążony w ciemnościach. Piwnice młyna ciągnęły się, niskie i ciasne, aż do ciemnego otworu, a w powietrzu tańczyły drobiny kurzu, tworząc mgłę zmieniającą wszystko w mrok. Par raz jeszcze spojrzął na drzwi i znowu na piwnicę.

Był w pułapce.

Zacisnął wargi. Po ciele spływał mu pot z wysiłku i strachu. Miał gęsią skórkę.

Kto tam był?

Kto znał jego imię?

Znowu pomyślał o Damson, zastanawiając się, gdzie jest, co się z nią stało i czy jest bezpieczna. Jeśli ją pojmano, tylko na niego mogła liczyć. Nie mógł pozwolić się schwytać, ponieważ wtedy nikt jej nie pomoże. Ani jemu. Damson. Ujrzał jej płomiennorude włosy, wygięcie warg, kiedy się uśmiechała, i świetliste, zielone oczy. Słyszał jej głos, jej śmiech. Niemal czuł jej dotyk. Pamiętał, jak starała się ocalić mu życie, uchronić od szaleństwa, które

groziło mu po śmierci Colla. Uczucia, których w tej chwili doświadczał, były obezwładniające, tak potężne, że niemal je wykrzyczał.

Miejsce strachu zajął gniew i determinacja. Sięgnął w tył i zaczął odpinać Miecz Shannary, po czym wysunął go z pochwy. Miecz przeznaczony był do innych rzeczy. Użyje jego magii, użyje, mimo iż przerażała go teraz niczym stary przyjaciel, który nagle stał się obcy i dziwny. Magia była nieprzewidywalna, szalona i niebezpieczna. I być może niepotrzebna, pomyślał nagle, jeśli wróg jest człowiekiem. Myśli rozproszyły się, odzierając go z nadziei. Sięgnął po raz drugi i wyjął Miecz. Był w końcu jego jedyną bronią.

U wejścia do tunelu pojawił się cień. Jego oddech syczał w nagłej ciszy. Odziany w opończę, mroczny i pozbawiony rysów w gasnącym świetle. Wyglądał na człowieka, wyższego i cięższego niż Par.

Człowiek podszedł bliżej i wyprostował się. Ruszył do przodu i zatrzymał się nagle, widząc Para skulonego przy schodach piwnicy, z bronią w ręku. W jego własnej dłoni lśnił blado długi nóż. Przez chwilę patrzyli na siebie bez ruchu, próbując się rozpoznać.

Potem dłonie intruza uniosły się powoli i zsunęły kaptur zakurzonej, czarnej opończy.

Rozdział XXIV

Triss wyprostował się sztywnym, ociężałym ruchem. Patrzyli na siebie w milczeniu, kapitan Straży Domowej, Wren i Garth, a okryta całunem mgły noc Morrowindl zasłaniała im twarze. Stali jak skamieniali nad okaleczonym ciałem Dala niczym strażnicy na warcie, zamarli w czasie. Tylko oni pozostali z kompanii dziewięciorga, która wyruszyła spod cienia Killeshan, aby przywrócić Arborlon i elfy z ich wulkanicznego grobu do nowego życia w lasach Westlandii. Troje, sprecyzowała Wren w rozpaczy, ponieważ Gavilan był dla nich stracony, jak jej własna niewinność.

Jak mogła być tak głupia?

Triss poruszył się nagle, jakby zrywał więzy. Odszedł dalej, pochylił się nad ziemią, wstał i pokręcił głową.

— Co mogło zrobić coś takiego? Powinny być ślady... – urwał.

Wren i Garth wymienili spojrzenia. Triss wciąż nie pojmował.

— To Gavilan – powiedziała cicho.

— Gavilan? – odwrócił się kapitan Straży Domowej. Patrzył na nią bezmyślnie.

— Gavilan Elessedil – powtórzyła, wymawiając pełne imię i mając nadzieję, że w ten sposób to, co się wydarzyło, stanie się realne. Faun ciągle drżała na jej ramieniu. – Zabił Dala i zabrał różdżkę Ruhk.

Triss się nie poruszył.

— Nie – odrzekł natychmiast. – Pani Wren, to nie mogło się stać. Mylisz się. Gavilan jest elfem, a żaden elf nie skrzywdzi drugiego elfa. Poza tym on jest księciem Elessedil! Przysiągł służyć swemu ludowi!

Wren potrząsnęła głową w rozpacz. Powinna to przewidzieć. Powinna odczytać to w jego oczach, głosie, odmiennym zachowaniu. Było tam, a ona po prostu nie chciała tego rozpoznać.

— Stresa! – zawołała.

Splinter ociężale wynurzył się z ciemności, wojowniczo prężąc grzbiet.

— Hsssttt! Ostrzegalem cię przed nim!

— Dzięki za przypomnienie. Powiedz tylko, co mówią ślady. Twoje oczy są bystrzejsze, a węch lepszy od naszego. Proszę, odczytaj mi je.

Słowa były łagodne i pełne bólu. Splinter zrozumiał i odszedł cicho. Patrzyli, jak zaczyna przeszukiwać wycinkę, węsząc, wypatrując, przystając często i zaczynając od nowa.

— On nie mógł tego zrobić – mruknął znowu Triss, a w jego głosie brzmiało niedowierzanie.

Wren nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok. Harrow był szarym ekranem za nimi, a In Ju czarną czeluścią na przodzie. Killeshan grzmiał z daleka. Morrowindl kulila się nad nimi jak zwierzę nad kością.

Wrócił Stresa.

— Nic, phhhfft, poza nami nie przechodziło tędy od paru godzin. Sssttt. Nasze ślady wiodą z Harrow, wchodzą tu i wychodzą, o tam. Tylko my: żadnych potworów, obcych, nic. – Przerwał. – Tam – odwrócił się w przeciwnym kierunku. – Nowe ślady wychodzą, na zachód, w stronę In Ju. Jego zapach. Przykro mi, Wren Elesedil.

Skinęła głową, tracąc resztki nadziei. Spojrzała znacząco na Trissa.

— Dlaczego? – zapytał zmęczonym, zrezygnowanym szeptem.

Ponieważ był przerażony, pomyślała. Ponieważ stworzony był do rozkazów i wygody, murów i bezpiecznych kryjówek, a to było dla niego o wiele za dużo, przytłoczyło go. Ponieważ myślał, że wszyscy nie żyją, i bał się, że on również umrze, jeśli nie ucieknie. Albo ponieważ był chciwy, zrozpaczony i pragnął mocy różdżki Ruhk i jej magii tylko dla siebie.

— Nie wiem – odpowiedziała tylko.

— Ale Dal...?

— Co za różnica? – przerwała, bardziej rozgniewana, niż powinna być, natychmiast żałując swej szorstkości. Odetchnęła głęboko. – Ważne, że zabrał różdżkę Ruhk i Loden i musimy odzyskać je z powrotem. Musimy go znaleźć. Szybko. – Odwróciła się. – Stresa?

— Nie – odpowiedział natychmiast kot. – Hssttt. Tropienie w nocy jest zbyt niebezpieczne. Zostańmy tu do brzasku.

W zamyśleniu pokręciła głową.

— Nie mamy tyle czasu.

— Rrrwwll, Wren Elessedil. Lepiej go znajdziemy, jeśli chcemy jeszcze pożyć! – ochrypli głos Stresy zniżył się do warkotu. – Tylko głupiec wypuszcza się z Blackledge do In Ju nocą.

Wren poczuła rosnący gniew. W tej chwili nie dbała o wyzwania. Nie mogła sobie na to pozwolić.

— Mam Kamienie Elfów, Streso! – prychnęła. – Magia elfów ochroni nas!

— Magia elfów, hsstt, której tak boisz się użyć? – szydził Stresa. – Phhfft. Wiem, że ci na nim zależy, ale...

— Stresa! – wrzasnęła. - ...magia nie ochroni nas przed tym, czego nie widzimy – skończył, opanowany i niezmiuszony. – Sssttpp! Musimy poczekać do rana.

Cisza była wszechogarniająca. Wren słyszała w duszy własny

krzyk. Spojrzała w górę, kiedy stanął przed nią Garth.

— Pamiętaj o swoim wychowaniu, Wren. Pamiętaj, kim jesteś.

W tej chwili pamiętała jednak tylko o spojrzeniu Gavilana, kiedy dawała mu różdżkę Ruhk. Spojrzała Garthowi prosto w oczy. To, co w nich ujrzała, ostudziło jej gniew. Niechętnie skinęła głową.

— Poczekamy do rana.

Potem trzymała wartę, podczas gdy reszta spała. Zapomniała o wyczerpaniu. Zostało pogrzebane w gniewie i rozpaczycy z powodu Gavilana. Nie mogła spać, czując taki niepokój. Myśli goniły jedna drugą, emocje nie pozwalały się uciszyć. Siedziała sama, oparta plecami o skupisko skał. Mężczyźni pogrążyli się we śnie kilka stóp dalej, a Stresa skulił się na skraju wycinki. Może spał, a może nie. Wpatrzyła się w czernią, w roztargnieniu głaszcząc Faun i snując rozmyślenia czarniejsze niż noc.

Gavilan. Był taki czarujący, taki spokojny, kiedy go spotkała. Lubiła go – może nawet więcej, niż lubiła. Pokładała w nim nadzieję, do których nawet teraz nie potrafiła się przyznać sama przed sobą. Obiecał być jej przyjacielem, opiekować się nią, udzielać odpowiedzi na wszystkie pytania i być przy niej, gdyby go potrzebowała. Obiecywał tak wiele. Być może dotrzymałby tych obietnic, gdyby nie zostali zmuszeni opuścić ochrony, jaką dawał Keel. Nie myliła się, oceniając słabość Gavilana; nie był dość silny, aby sprostać temu, co czekało poza bezpieczeństwem murów Arborlonu. Zmiany uwidoczniły się w nim niemal natychmiast. Jego urok zmienił się w niepokój, potem w drażliwość, a w końcu w strach. Utracił jedyny świat, jaki kiedykolwiek znał, i został nagi i bezbronny wobec nadchodzącego koszmaru. Gavilan był dzielny, na ile zdołał, ale odarto go z wszystkiego, co znał i na czym polegał. Kiedy królowa

umarła, a ródzkę powierzono Wren, stało się to nie do zniesienia. Uważał się za spadkobiercę królowej i wierzył, że z magią elfów wszystkiemu podoła. Zobowiązał się do tego; uczynił to swoją sprawą. Był przekonany, że potrafi ocalić elfy, że jest do tego przeznaczony, że magia umożliwi mu to. Pozwól mi wziąć ródzkę, ciągle słyszała jego błaganie.

I w swej głupocie oddała mu ją.

Łzy napłynęły jej do oczu. Prawdopodobnie wpadł w panikę, pomyślała. Prawdopodobnie sądził, że nie żyje, że wszyscy nie żyją, i został sam. Próbował odejść, a Dal go zatrzymał, mówiąc nie, czekaj, nie doceniając głębi jego strachu i szaleństwa. Słyszał głosy drakuli, szepty, wabienie. Dotknęły go. Zabił Dala, ponieważ...

Nie! Płakała, niezdolna przestać. Była wściekła, że próbuje go usprawiedliwić. Ale tak bardzo bolało przyjęcie prawdy, surowej i nieuniknionej – że był słaby, że był chciwy i że zabił człowieka, który był tu, aby go chronić. Głupi! Co za szaleństwo! Ale głupota i szaleństwo otaczały ją zewsząd wirem ogromnym i nieprzeniknionym jak Eden Murk. Wykarmiło je Morrowindl, wzmogło w każdym z nich i dla każdego z nich było progiem wytrzymałości, którego przekroczenie oznaczało koniec zdrowego rozsądku. Gavilan przekroczył ten próg, być może niezdolny pomóc samemu sobie, a teraz odszedł, zniknął we mgle. Co zostało, nawet jeśli go odnajdą?

Ugryzła własny nadgarstek, aby poczuć ból. Oczywiście muszą go odnaleźć – nawet jeśli już się nie liczył. Muszą odzyskać ródzkę Ruhk i Loden, inaczej wszystko, przez co przeszli, aby wydostać się z Morrowindl, i wszystkie poświęcone żywoty – jej babki, Sowy, Eowen i myśliwych elfów – pójdzie na marne. Ta myśl płonęła w niej. Nie mogła tego znieść. Nie pozwoli im

przepaść. Złożyła obietnicę swej babce. Sobie samej. To dlatego tu przybyła – aby sprowadzić elfy z powrotem do Westlandii i pomóc znaleźć sposób na pozbycie się cieniowców. Zadanie Allanona – a teraz również i jej, przyznała w mrocznej furii. Odnajdź siebie, i odnalazła. Odkryj prawdę, i odkryła. Obu zbyt wiele, ale zrobiła to. Jej życie – przeszłość, teraźniejszość i przyszłość – ukazały się jak na dłoni i cokolwiek o nich myślała, nie pozwoli go sobie odebrać bez swojej zgody. Nie obchodzi mnie, kto je zabierze, przysięgała. Nie obchodzi mnie!

Spała, kiedy Triss dotknął jej ramienia i obudził.

— Pani Wren – wyszeptał miękko. – Idź się położyć. Odpocznij.

Zamrugła, przyjmując koc, który na nią zarzucił.

— Za chwilę – odrzekła. – Najpierw usiądź ze mną.

Usiadł, milczący towarzysz. Jego szczupła, śniada twarz była dziwnie spokojna, wzrok nieobecny. Pamiętała, jak patrzył, kiedy powiedziała mu o zdradzie Gavilana. Bo to była zdrada, czyż nie? Teraz tamto spojrzenie zniknęło, obmyte snem albo rezygnacją. Znalazł sposób, aby się z tym uporać. Triss, ostatni z tych, którzy porzucili dawne życie w Arborlonie – jak samotny musiał się czuć.

Patrzył na nią, jakby umiał czytać w myślach.

— Byłem kapitanem Straży Domowej przez prawie osiem lat – odezwał się po chwili. – Dużo czasu, Pani Wren. Kochałem twoją babkę, królową. Zrobiłbym dla niej wszystko. – Potrząsnął głową. – Całe życie spędziłem, służąc Elessedilom i tronowi elfów. Znałem Gavilana od dziecka; obaj byliśmy dziećmi. Dorastałem z nim. Bawiliśmy się. Moja rodzina i jego nadal czekają w Loden, przyjaciele... – Odetchnął głęboko, szukając słów, nie pojmując. – Znałem go. Nie zabiłby Dala, chyba że... Czy to możliwe, że coś go odmieniło? Może jeden z demonów coś mu zrobił?

Nie rozważała takiej możliwości. Mogło tak się zdarzyć. Było dość okazji. A może coś innego, trucizna na przykład, albo choroba podobna do tej, która zabiła Ellenroh? Ale w głębi duszy wiedziała, że nic takiego się nie stało, że po prostu stracił ducha, złamał postanowienie.

— To mógł być demon – skłamała.

Mocna twarz uniosła się.

— Był dobrym człowiekiem – powiedział cicho. – Dbało ludzi, pomagał im. Kochał królową. Pewnego dnia, być może, mianowałaby go królem.

— Jeśli nie mianowałaby mnie.

Odwrócił się zakłopotany.

— Nie powinienem tak mówić. Ty jesteś królową. – Znowu spojrzał na nią. – Twoja babka nie dałaby ci różdżki, gdyby nie wierzyła, że tak będzie najlepiej. Dałaby ją Gavilanowi. Może widziała w nim coś, czego my nie dostrzegliśmy. To twojej siły potrzebuje lud elfów.

Spojrzała na niego.

— Nie chcę tego, Triss. Niczego nie chcę.

Pokiwał głową i uśmiechnął się blado.

— Nie. Dlaczego?

— Chcę tylko dowiedzieć się, kim jestem.

Ujrzała błysk rozpaczy w ciemnych oczach.

— Nie będę udawał, że pojmuję, co cię do nas przywiodło – powiedział. – Wiem tylko, że tu jesteś i że jesteś królową elfów.– Utkwił w niej spojrzenie. – Nie porzucaj nas – powiedział cicho, błagalnie. – Nie opuszczaj nas. Potrzebujemy cię.

Zdumiała ją siła jego błagania. Pocieszająco położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie martw się, Triss. Obiecałam, że nie ucieknę. Nigdy.

Potem zostawiła go, podeszła do śpiącego Gartha i zwinęła się w kłębek obok swego olbrzymiego przyjaciela, potrzebując tej nocy zarówno jego ciepła, jak i siły, pragnąc powrócić w przeszłość, odnaleźć ochronę i bezpieczeństwo, które jej niegdyś ofiarowała, odzyskać to, co bezpowrotnie utraciła. Zamiast tego zadowolili się tym, co miała, i w końcu zasnęła.

Obudziła się o świcie bardziej wypoczęta, niż miała prawo oczekiwać. Światło było blade i szare z powodu mgły, a świat wokół nich nieruchomy, pusty i cuchnący zgnilizną. Dudnienie Killeshan było odległe i niewyraźne, a mimo to stałe po raz pierwszy, od kiedy zaczęli tę podróż – powoli rosnące drzenie, niczym obietnica poważniejszych wydarzeń. Wren wiedziała, że czas ucieka – coraz szybciej z upływem każdej godziny. Ogień wulkanu zaczął rosnąć w sercu wyspy, szykując się do ostatecznej pożogi, a kiedy wybuchnie, zmiecie wszystko na swej drodze.

Wyruszyli natychmiast. Stresa prowadził, o krok za nim szedł Garth, za nim Wren z Faun, a na końcu Triss. Wren była spokojniejsza, nie tak roztargniona. Doszła do wniosku, że Gavilan nie miał dokąd pójść. Mógł pobiec na plażę w poszukiwaniu Tygrysa Ty i Ducha, ale jakie miał szanse odnaleźć drogę przez In Ju? Nie był tropicielem i nie miał doświadczenia w przetrwaniu w głuszy. Był na wpół oszalały ze strachu i rozpacz. Jak daleko mógł dojść? Prawdopodobnie krążył i szybko go znajdą.

A jednak gdzieś w zakamarkach jej umysłu mignął obraz Gavilana wydostającego się w jakiś sposób z dżungli, przekonującego Tygrysa Ty, że pozostali nie żyją, i bezpiecznie uciekającego z różdżką Ruhk, podczas gdy reszta kompanii zostaje. Ta możliwość ją rozwścieczyła. Tym bardziej, kiedy

rozpatrzyła możliwość, że Gavilan wcale nie uznał jej za martwą, a po prostu postanowił uciec na własną rękę, przekonany o słuszności swego postępowania i zasad. Niezdolna dalej zastanawiać się nad tą kwestią, odsunęła ją szorstko od siebie.

Blackledge zaczęło opadać z Harrow niemal natychmiast, ale tutaj nie było tak stromo jak w miejscu, gdzie wspinali się Garth i Wren. Ściana urwiska była poszarpana i gęsto porośnięta, a odnalezienie ścieżki w dół nie było trudne. Schodzili szybko. Stresa cały czas szedł za zapachem Gavilana. Połamane gałęzie i zdeptane liście jasno znaczyły drogę księcia elfów. Była tak wyraźna, że Wren sama mogłaby tropić. Od czasu do czasu natrafiali na miejsca, gdzie uciekający upadał, najwidoczniej nie zważając na bezpieczeństwo, pragnąc jedynie uciec. Musi być zrozpaczony, pomyślała smutno Wren. Musi być przerażony.

Dotarli na skraj In Ju w południe i przystanęli na posiłek. Stresa był pewny siebie. Są o kilka godzin za Gavilanem, twierdził. Księżę elfów zataczał się teraz ze zmęczenia, najwyraźniej wyczerpany. Jeśli nic nie pokrzyżuje im planów, dogonią go przed zmrokiem.

Przepowiednie Stresy okazały się prorocze, jednak nie w sposób, jakiego pragnął. Wkrótce potem, kiedy podjęli śledzenie bezowocnych wysiłków Gavilana, aby oszukać In Ju, zaczęło padać. Gdy szli z gór, powietrze stało się gorętsze. Skwar powoli rósł, a nie zmniejszał się. Spadł deszcz, warstwa wilgoci w powietrzu, gęsta mgła otulająca ich jak mokry jedwab bijący o skórzane ubrania. Po jakim czasie wilgoć zmieniła się w mgiełkę, potem mżawkę, a w końcu ulewę, która zalewała ich z zacieklą determinacją. Oślepiła ich i musieli schronić się pod ogromnym figowcem. Deszcz zmył wszystko i zabrał ze sobą zapach Gavilana. Stresa szukał potem uważnie, ale ślad zniknął. Garth

wpatrywał się w wilgotną, zieloną płataninę dżungli. Skinął na Wren.

— Ślady są nadal widoczne. Mogę go tropić.

Pozwoliła Garthowi objąć prowadzenie. Stresa szedł pół kroku za nim. Pierwszy szukał oznak przejścia ich zwierzyny, drugi wyglądał darterów i innych niebezpieczeństw. Nasza zwierzyna, pomyślała Wren, powtarzając słowa. Do tego sprowadzał się Gavilan. Wbrew sobie współczuła mu, myśląc, że powinien zostać w mieście, że powinna bardziej starać się o jego bezpieczeństwo, nadal żałując tego, czego nigdy nie było.

Szli teraz wolniej. Gavilan z całych sił starał się ominąć In Ju i pogрузił się w samym jej środku. Ślady, które znajdowali – połamane gałązki i większe gałęzie, zdeptana roślinność i od czasu do czasu odcisk buta – wskazywały, że porzucił wszelkie wysiłki ukrywania się i próbował dotrzeć do plaż najkrótszą możliwą drogą. Szybkość bez ostrożności była kiepskim wyborem, pomyślała Wren. Szli za nim bez trudu i na każdym kroku Wren spodziewała się znaleźć go, zakończyć pościg i potwierdzić to, co nieuniknione. Ale jednak szedł, unikając dołów – pułapek porozrzucanych wszędzie, bagien i rozpadlin, darterów i stworów czekających na nieostrożnych, pułapek i potworów stworzonych magią elfów, którą tak nierozumnie władali. Wren mogła się jedynie zdumiewać, jak zdołał utrzymać się przy życiu. Kilkanaście razy powinien już zginąć. Nierozważny krok w którąś stronę i po nim. Przyłapała się na tym, że pragnie, aby tak się stało, aby zrobił ten jeden błąd i skończyło się całe to szaleństwo. Nienawidziła tego, co robili, ścigania go jak zwierzę, pogoni, jakby był żerem. Chciała z tym skończyć.

A równocześnie to ją przerażało.

Kiedy zaczęli natrafiać na sieci Wisterona, poczuła rozpacz. Nie w ten sposób, błagała los czy cokolwiek, co panowało nad tym stworem. Daj mu szybką śmierć. Liny pułapki wisiały wszędzie wokół, zwisały z drzew, oplątywały winorośl i łączyły się w śmiertelne sieci. Stresa odebrał Garthowi prowadzenie, aby przeprowadzić ich przez wnyki. Przystawał często, nasłuchiwał, węszył w powietrzu oceniał bezpieczeństwo następnego kroku. Dżungla zgęstniała w labirynt zielonych paproci i mrocznych pni, które przeplatały się w dziwacznym tańcu. Wokół nich poruszały się wolno i ociężale cienie, ale odgłosy, które wydawały, były głodne i niespokojne. Popołudnie chyliło się ku wieczorowi i pociemniało. W oddali, przysłonięty ścianą gór, grzmiał Killeshan. Wstrząsy targały wyspą, a zielona zasłona dżungli drżała w odpowiedzi. Zaczęły się wybuchy, stłumione wpierw, ale przybierające na sile. Drżały od nich całe drzewa, a z bagiennych stawów tryskały gejzery pary, sycząc z ulgą. Kiedy pociemniało, Wren ujrzała przez ciągle obecną mgłę, że niebo nad Killeshan nabiera czerwonej barwy.

Zaczęło się, pomyślała, napotykać niespokojny wzrok Gartha. Zastanawiała się, ile zostało im czasu. Nawet jeśli odzyskają różdżkę, ciągle mieli do plaż dwa dni drogi. Czy Tygrys Ty będzie czekał? Jak często obiecywał wracać? Raz na tydzień, prawda? Jeśli będzie musiał minąć cały tydzień do kolejnego powrotu? Czy zobaczy blask wulkanu i wyczuje grożące im niebezpieczeństwo? A może już dawno przestał czuwać, przekonany, że przegrała i zginęła, jak wszyscy, i nie ma sensu dalej szukać?

Pokręciła głową, strofując się surowo. Nie, nie Tygrys Ty. Wysoko go ceniła. Nie poddałby się, mówiła sobie. Póki zostałyby cię nadziei.

— Phhfftt! Niedługo musimy się zatrzymać – ostrzegł Stresa. – Hsstt. Znajdźmy schronienie, zanim zrobi się ciemniej i zaczniesz polować Wisteron!

— Trochę dalej – zaproponowała z nadzieją Wren.

Poszli dalej, ale nie odnaleźli Gavilana Elessedila. Poszarpany szlak ciągnął się przed nimi, ginąc we wnętrzu In Ju – pasmo pogiętych i połamanych łodyg i liści znikało w mroku.

Poddali się w końcu. Stresa znalazł im schronienie w wydrążonym pniu figowca pokonanego przez czas i erozję. Olbrzymi pień miał wejścia u podstawy, a wyżej wąską szczelinę. Zastawili większy otwór i usadowili się przy mniejszym, aby pełnić wartę. Nic ich tu nie dosięgnie. We wnętrzu drzewa było ciemno, ciasno i zimno. Zapadła noc i słyszeli, jak budzą się łowcy dżungli. Słyszeli ochryple wrzaski, ospałe kroki i odgłosy chwytanej i zabijanej zwierzyny. Przytulili się do siebie plecami, a Stresa skulił się przed nimi, wystawiając kolce do szarego światła. Trzymali wartę po kolei, drzemiąc, bo byli zbyt zmęczeni, aby zasnąć, ale i zbyt niespokojni, aby spać. Faun skuliła się w ramionach Wren nieruchoma, jakby martwa. Dziewczyna czule gładziła małe zwierzątko, zastanawiając się, jak przeżyłoby w takim świecie. Pomyślała, jak bardzo nienawidzi Morrowindl. Była jak złodziej, który okradł ją ze wszystkiego – życia jej babki i przyjaciół, niewinności, którą widziała w elfach i ich dziejach, miłości i czułości dla Gavilana i siły woli, której miała nigdy nie stracić. Utrata tej ostatniej martwiła ją najbardziej. Straciła zaufanie do tego, kim i czym jest, oraz pewność, że decyduje o własnym losie. Tak wiele przepadło, a Morrowindl, niegdyś raj przemieniony w koszmar przez cieniowce, zabrała to wszystko. Próbowwała wyobrazić sobie życie poza wyspą i nie potrafiła. Nie mogła myśleć o

niczym poza ucieczką, a ta była wciąż niepewna, jak wążący się los. Przypomniała sobie, że myślała kiedyś, iż podróż w celu odnalezienia Allanona i rozmowa z jego cieniem może być początkiem wielkiej przygody. To wspomnienie smakowało teraz jak popiół w ustach.

Zasnęła na chwilę, śniąc o mrocznych i strasznych stworach, i obudziła się spocona z gorąca. Na warcie jej myśli raz jeszcze zwróciły się do Gavilana, drobnych wspomnień o nim – sposób, w jaki jej dotykał, całował jej usta i zachwyty, jaki w niej wzbudzał tylko przypadkową uwagę czy przelotnym spojrzeniem. Uśmiechnęła się do tych wspomnień. Tak wiele w nim lubiła; bolała nad jego stratą. Pragnęła, aby wrócił do niej i nadal był dawnym sobą. Pragnęła nawet znaleźć sposób, aby magia sprawiła to, czego nie umiała natura – zmieniła przeszłość. Były to głupie, bezsensowne myśli i dokuczały jej bez litości. Gavilan był dla niej stracony. Zabił Dala i ukradł różdżkę Ruhk. Zmienił się w coś trudnego do określenia. Gavilan Elessedil, mężczyzna tak pociągający i troskliwy, nie istniał już.

Wstali o brzasku i ruszyli dalej. Nie musieli się kłopotać śniadaniem, ponieważ nie zostało nic do jedzenia. Ich zapasy, jeśli nie zgubili ich lub nie porzucili, wyczerpały się. Zostało trochę wody, ale nie więcej niż na jeszcze jeden dzień. W czasie podróży przez In Ju nie znaleźli nic, aby je uzupełnić. Był to jeszcze jeden powód, aby wydostać się stąd jak najszybciej.

Tego dnia poszukiwania skończyły się prawie tak szybko, jak się zaczęły. Po niecałej godzinie ślady Gavilana urwały się gwałtownie. Stanęli nad wąwozem, zwolnili, słysząc ostrzegawczy syk Stresy, i zatrzymali się. W dole, pomiędzy szczątkami niewielkich roślin i traw, zdeptanych niemal zupełnie w trakcie szaleńczej walki, leżały strzepy jednej z sieci

Wisterona.

Stresa zsunął się do wąwozu, węszył ostrożnie dokoła i wspiął się z powrotem na górę. Utkwił w Wren mroczne spojrzenie jasnych oczu.

— Hsssttt. Ma go, Wren Elesse-dil.

Zamknęła oczy przed strasznym obrazem, który wywołały słowa kota.

— Od jak dawna?

— Ssspptt. Niedługo. Może sześć godzin. Tuż po północy, jak sądzę. Sieć chwyciła księcia elfów i trzymała, dopóki nie nadszedł Wisteron. Rwwll. Bestia zabrała go.

— Dokąd, Streso? Splinter nastawił uszy.

— Pewnie do swego legowiska. W głębokiej dziurze w środku In Ju.

Poczuła nowy przypływ zmęczenia. Oczywiście – legowisko, tak musiało być.

— Ani śladu różdżki Ruhk? Splinter pokręcił głową.

— Zniknęła.

A więc jeśli Gavilan jej nie porzucił – a tego by nigdy nie zrobił – jest nadal przy nim. Wzdrygnęła się pomimo swego postanowienia. Wspomniała krótkie spotkanie z Wisteronem. Pamiętała, co czuła tylko na widok przechodzącego potwora. Biedny, głupi Gavilan. Nie ma już dla niego nadziei. Spojrzała po kolei na pozostałych.

— Musimy odzyskać różdżkę Ruhk. Nie możemy odejść bez niej.

— Nie, Pani Wren. Nie możemy – powtórzył jak echo Triss o surowym spojrzeniu.

Garth stał ze zwieszonymi rękami.

Stresa potrząsnął kolcami i uniósł ku niej twarz z ostro

zakończonym nosem.

— Rwwll, Wren z elfów. Tego się po tobie spodziewałem. Hssstt. Ale będziesz musiała, sspptt, użyć magii elfów, jeśli mamy przeżyć. Będziesz musiała. Przeciwno Wisteronowi.

— Wiem – wyszeptała i poczuła, jak opuszcza ją ostatni cień dawnego życia.

— Chhhtt. Chociaż to bez różnicy. Phhfft. Wisteron jest...

— Stresa – przerwała łagodnie. – Nie musisz iść.

Na chwilę cisza zawisała nad kotarą dżungli. Splinter westchnął i skinął głową.

— Phhfft. Doszliśmy razem tak daleko, prawda? Dość gadania. Poprowadzę was.

Rozdział XXV

W długiej, głębokiej ciszy nie kończącej się nocy Paranoru, w otchłani szarego, niezmiennego półmroku, Walker Boh siedział, wpatrując się w przestrzeń. Dłonie zaciśnięte w pięści położył przed sobą na stole, a jego palce wyglądały jak stalowe taśmy wokół Czarnego Kamienia Elfów. Nie zostało nic więcej do zrobienia – żadnych możliwości, które można by rozważyć, żadnych wyborów do wypróbowania. Przemyślał wszystko do głębi. Pozostało jedynie wypróbować, czy decyzja jest właściwa, czy nie.

— Może powinieneś mieć więcej czasu – zasugerował łagodnie Coglin.

Starzec siedział naprzeciw niego, kruchy, wychudzony duch, niemal przezroczysty w miejscach, gdzie padało światło. Coraz bardziej, pomyślał w rozpacz Walker Boh. Białe, rzadkie włosy rozsypały się na pomarszczonej twarzy i głowie niczym drobinki kurzu, szata zwisała jak pranie powieszona na sznurze do wyschnięcia, a oczy połyskiwały matowo z głębi ciemnych oczodołów. Coglin bladł, znikając w przeszłości, powracając z Paranoru do miejsca, z którego został wezwany. Ponieważ Paranor nie mógł pozostać w świecie ludzi, dopóki nie sprawi tego druid, a Walker Boh wybrany przez czas i los, aby przejąć te ciemne szaty, jeszcze ich nie przywdział.

Jego wzrok powędrował do Pogłoski. Bagienny kot rozciągnął się przy przeciwległej ścianie gabinetu, w którym siedzieli, a jego czarne ciało było tak samo niewyraźne i eteryczne jak ciało starca. Spojrzał na siebie. On również bladł, chociaż nie tak szybko. W każdym razie miał wybór: mógł wyjść, jeśli chciał i

kiedy chciał. Nie tak, jak Coglin i Pogłoska, którzy na wieki przykuci będą do twierdzy, jeśli Walker nie znajdzie sposobu, aby przywrócić ją do świata ludzi.

To dziwne, ale uważał, że znalazł sposób. Ale jego odkrycie przeraziło go tak, że nie był pewny, czy potrafi je wykorzystać.

Coglin poruszył się, zagrzechotały chude kości.

— Kolejne odczytanie ksiąg nie zaszkodzi – naciskał.

Walker uśmiechnął się ironicznie.

— Kolejne czytanie i nic już z ciebie nie zostanie. Ani Pogłoski, ani twierdzy, ani prawdopodobnie mnie. Paranor znika, stary. Nie możemy udawać, że jest inaczej. Poza tym nie zostało nic do czytania, nic do odkrycia, czego bym już nie wiedział.

— Nadal jesteś pewny, że się nie mylisz, Walkerze?

Pewny? Walker nie był pewny niczego poza tym, że zdecydowanie nie jest pewny. Czarny Kamień Elfów był śmiertelną zagadką. Źle odgadnie jego działanie i skończy jak Król Kamienia, pochłonięty przez własną magię, zniszczony przez to, czemu ufał najbardziej. Uhl Belk sądził, że włada magią Kamienia, i zapłacił najwyższą cenę.

— Zgaduję – odpowiedział. – Nic więcej.

Otworzył dłoń. W jej czarze leżał Kamień Elfów. Gładkie powierzchnie, ostre brzegi, nieprzejrzysty i nieprzenikniony, moc sama w sobie, moc przewyższająca wszystko, z czym kiedykolwiek się zetknął. Przypomniawszy sobie, co czuł, kiedy użył Kamienia, przywołując twierdzę i myśląc, że to już koniec, że powrót z otchłani, dokąd zesłał ją Allanon, jest wszystkim, czego od niego wymagano. Pamiętał przypływ mocy, kiedy połączył go z twierdzą, połączenie ciała i krwi z kamieniem i zaprawą, przemianę jego ciała tak, że stał się bardziej duchem niż człowiekiem i mógł wejść do Paranoru, dowiedzieć się, co jeszcze

musi zrobić.

Metamorfoza istnienia.

W środku napotkał Coglina i Pogłoskę i usłyszał opowieść o tym, jak przeżyli atak cieniowców, chronieni przez tarczę magii Kroniki druidów, i przeniknęli do Paranoru. Mimo iż Walker przywołał Paranor z otchłani, do której odesłał twierdzę Allanon, nie był to powrót całkowity. Musi najpierw odnaleźć sposób na dopełnienie swej przemiany i stać się druidem, co było mu pisane. Dopóki to się nie stanie, Paranor będzie więzieniem, które tylko on mógł opuścić – więzieniem wciągniętym gwałtownie do przestrzeni, z której przybyło.

— Zgaduję – powtórzył, prawie sam do siebie.

Ciągle na nowo odczytywał Kronikę druidów, usiłując się dowiedzieć, co musi uczynić, i niczego nie znajdował. Nigdzie w księdze nie było napisane, jak stać się druidem. Rozpaczając, myślał o wizjach Grimponda. Dwie z nich się spełniły, trzecia spełni się tutaj.

Odwrócił się do starca.

— Jestem w zamku pozbawionym życia i poszarzałym od opuszczenia. Czyha na mnie śmierć, której nie umiem umknąć. Ściga mnie bez wytchnienia. Wiem, że muszę uciekać, ale nie mogę. Pozwalam się jej zbliżać i sięga po mnie. Czuję chłód w duszy i czuję, że moje życie dobiega końca. A za mną stoi mroczny cień i trzyma mnie mocno, nie pozwalając uciec. Ten cień to Allanon.

Te słowa stały się już znajomą litanią. Coglin cierpliwie kiwał głową.

— Twoje wizje, mówisz. Trzecia z trzech.

— Dwie już się spełniły, ale żadnej nie uprzedziłem. Grimpond uwielbia gry. Ale tym razem wykorzystam te zabawy na swoją

korzystać. Znam szczegóły wizji; wiem, że ma spełnić się tu, wewnątrz twierdzy. Muszę tylko rozszyfrować jej znaczenie, oddzielić prawdę od kłamstwa.

— Ale jeśli odgadniesz źle...

Walker Boh buntowniczo potrząsnął głową.

— Nie.

Kroczyli po znajomym gruncie. Walker opowiedział już wszystko staremu. Miał nadzieję, że ktoś dostrzeże słabe punkty, które on przeoczył. Wypowiadał słowa, aby usłyszeć ich brzmienie.

Czarny Kamień Elfów był kluczem do wszystkiego.

Powtarzał z pamięci tamten krótki urywek z Kroniki druidów.

Raz usunięty, pozostanie Paranor na zawsze utracony dla świata ludzi, zasklepiony i niewidoczny w swych murach. Jeden tylko rodzaj magii ma moc przywrócenia go światu – ów szczególnie, zabarwiony na czarno Kamień Elfów, który został stworzony przez czarodziejski lud ze starego świata na wzór i podobieństwo wszystkich Kamieni Elfów, lecz który jednoczy w sobie wszelkie właściwości serca, umysłu i ciała. Ktokolwiek będzie miał słuszną sprawę oraz prawo, posłuży się nim zgodnie z jego przeznaczeniem .

Do tej pory doszedł do wniosku, że Czarny Kamień Elfów miał przywrócić Paranor do jego obecnego stanu półistnienia i wpuścić go do środka. Ale we fragmencie tym nie określono zakresu użycia Kamienia. Tylko jedna magia, mówił, ma moc przywrócić Paranor. Tylko jedna. Czarny Kamień Elfów. Nie wspominał o innej, nigdzie. Na pozostałych stronach Kroniki druidów nie było słowa o powrocie Paranoru do świata ludzi.

Przypuśćmy zatem, że Czarny Kamień Elfów był wszystkim, czego potrzebował, ale trzeba go użyć nie raz, ale dwa, może nawet trzy razy, zanim zakończy się proces powrotu.

Ale w jaki sposób?

Odpowiedź wydawała się oczywista. Magia, którą Allanon wpuścił do twierdzy trzysta lat temu, była rodzajem psalącuchowego, wypuszczonego, aby dokonać dwóch rzeczy – zniszczyć wrogów twierdzy i pogrążyć Paranor w otchłani i trzymać go tam, dopóki znowu nie zostanie przywołany we właściwy sposób. Magia była żywą istotą. Czuło się ją w murach zamku; słyszało, jak porusza się w jego czeluściach. Patrzyła i nasłuchiwała. Oddychała. Była tu, wyczekując. Jeśli twierdza ma powrócić do czterech krain, uwolniona magia Allanona musi być na powrót zamknięta. Rozsądek podsuwał, że tylko inna forma magii może temu podołać. A jedyną dostępną magią, jedyną liczącą się magią wspominaną w Kronice druidów był Czarny Kamień Elfów.

Jak do tej pory świetnie. Magia druidów, aby wycofać magię druidów. To miało sens; to stwierdzona moc Kamienia Elfów, negacja innych magii. Jedna magia, mówił opis. I Walker musi nią rzecz jasna władać. Raz już tego dokonał, udowodnił, że potrafi. *Ktokolwiek w słusznej sprawie*. On sam. Użyć Czarnego Kamienia Elfów przeciwko pilnującej magii i zamknąć ją. Użyć Czarnego Kamienia Elfów i sprowadzić Paranor w całości z powrotem.

Ale wciąż czegoś nie zauważał. Nie było wyjaśnienia, jak zadziała Kamień. Było to nieskończenie bardziej skomplikowane niż zwyczajne przywołanie magii i wypuszczenie jej. Czarny Kamień Elfów pochłaniał inne magie, wciągając je w siebie – i w swego właściciela. Walker Boh już uległ przemianie, kiedy użył

Kamienia, aby przywołać Paranor i znaleźć wejście, zmienił się z człowieka w coś bezcielesnego. Cóż mogło mu uczynić dalsze zniszczenie, gdyby użył Kamienia przeciwko stróżowi? Jak dalece jeszcze mógłby się przemienić?

I nagle zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy.

Po pierwsze, ciągle nie był druidem i nie stanie się nim, dopóki nie ustanowi swego prawa do tego, a nie powstanie ono z obserwacji, nauki czy mądrości zdobytej podczas czytania Kroniki druidów, nie jest mu z góry przypisane, nadane poprzez przymierze krwi Allanona z Brin Ohmsford trzysta lat temu. To prawo nadejdzie w chwili, kiedy odkryje, jak ujarzmić stróża, który strzegł twierdzy, i w pełni przywrócić Paranor do świata ludzi, ponieważ taką próbę przygotował dlań Allanon.

Po drugie, trzecia wizja, którą ukazał mu Grimpond, mająca wydarzyć się w Paranorze, gdzie zmierzy się ze śmiercią, przed którą nie może uciec trzymany mocno przez cień Allanona, była przebłyskiem tej chwili.

Argumenty były przekonujące. Druidzi nie zapisaliby tego tak stanowczo, gdyby był lepszy sposób. Tylko Walker Boh mógł użyć Czarnego Kamienia Elfów. Tylko on miał prawo. Jakimś sposobem to użycie miało uwolnić pożądaną przemianę. Kiedy to będzie konieczne, Walker dowie się, czego mu potrzeba. Tak wiele z magii druidów polegało na akceptacji – użycie Kamieni Elfów, Miecza Shannary, nawet pieśni. Jedynym rozsądnym wnioskiem było, że tak stanie się i w tym wypadku.

A wizja Grimponda tylko go w tym utwierdzała. Musi dojść do opisanej konfrontacji. Dosłowne odczytanie wizji sugerowałoby, że zakończy się ona śmiercią Walkera, że Allanon skazał go na śmierć, wysyłając go tutaj, i wszelkie wysiłki uniknięcia jej mogą być bezowocne. Ale to było zbyt proste. I nie miało sensu.

Dlaczego Allanon wysyłałby go w tę całą drogę na pewną śmierć? Musi być inna interpretacja, inne znaczenie. Najlepiej, gdyby skończył jedno życie i zaczął inne, i raz na zawsze zyskał miano druida.

Coglin nie był tego taki pewny. Dwukrotnie już Walker błędnie odczytał poprzednie wizje Grimponda. Skąd przekonanie, że i tym razem się nie myli? Wizje nigdy nie były tym, czy się wydawały – pokrętne półprawdy ukryte pomiędzy kłamstwami. Podejmował straszliwe ryzyko. Pierwsza wizja kosztowała go utratę ramienia, druga Ożywczej. Czy trzecia nie zażąda żadnej ceny? Bardziej rozsądne wydawało się wierzyć, iż wizja otwarta jest na wiele interpretacji, z których każda mogła się spełnić w odpowiednich okolicznościach, łącznie ze śmiercią Walkera. Co więcej, Coglin martwił się, że Walker nie ma właściwego pojęcia, jak użycie Czarnego Kamienia Elfów ma wpłynąć na jego przemianę, ujarzmić strażnika druidów i w pełni przywrócić Paranor do życia – i czy w ogóle coś z tego się uda. Może nie być to takie łatwe, jak twierdził Walker. Nic, co wymagało użycia magii elfów, nigdy nie było łatwe. Zawsze łączył się z tym ból, ogromny wysiłek i realna możliwość przegranej.

I tak dyskutowali, ciągle od nowa, dłużej, niż Walker chciał przyznać, a teraz, parę godzin później, byli zbyt zmęczeni i mogli jedynie odbyć końcową rundę pobieżnych uwag. Walker podjął decyzję i obaj o tym wiedzieli. Miał zamiar sprawdzić swoją teorię, odnaleźć i zmierzyć się ze stworami, które wpuścił do Paranoru Allanon, i uwięzić je z pomocą magii Czarnego Kamienia Elfów. Chciał odkryć prawdę o Kamieniu i położyć kres ostatniej, nienawistnej wizji Grimponda. Gdyby mógł wstać od stołu, wziąć talizman i wyruszyć.

Chociaż próbował ukryć to przed Coglinem surowym

spojrzeniem i pewnością głosu, pętał go strach. Tak wiele niewiadomych, tak wiele domysłów. Zmusił się, aby na nowo zacisnąć palce na Kamieniu. Chwył był tak mocny, że poczuł ból.

— Pójdę z tobą – zaproponował Coglin. – I Pogłoska.

— Nie.

— Może będziemy mogli ci jakoś pomóc.

— Nie – powtórzył Walker. Podniósł wzrok, powoli kręcąc głową. – Nie, żebym nie chciał. Ale w tym nie możesz mi pomóc, żaden z was. Tu nikt nie może mi pomóc.

Czuł ból w miejscu utraconego ramienia, jakby dalej tam było, a on go nie widział. Poruszył się niespokojnie, próbując rozluźnić mięśnie obolałe i skurczone od siedzenia ze starcem. Ruch pchnął go do działania i zmusił się, żeby wstać. Coglin również wstał. Patrzyli na siebie w półmroku, w gasnącej przezroczyści twierdzy.

— Walkerze – starzec cicho wymówił jego imię. – Nas obu druidzi uczynili swoimi istotami. Obracają nami na wszystkie strony, robimy rzeczy, których nie chcemy robić, i wpłątani jesteśmy w sprawy, których raczej chcielibyśmy poniechać. Nie podejmę się teraz przekonywać cię do korzyści z tych manipulacji. Obaj jesteśmy w miejscu, gdzie nie ma to już znaczenia.

Pochylił się do przodu.

— Ale powiem ci, będę prosił, abys pamiętał, że wybierają mądrze swoich paladynów. – Uśmiechnął się smutnym, znużonym uśmiechem. – Życzę ci szczęścia.

Walker obszedł stół, objął starca sprawnym ramieniem i mocno przytulił. Po chwili puścił go i cofnął się.

— Dziękuję – wyszeptał.

Nie było już nic więcej do powiedzenia. Wziął głęboki oddech,

podszedł, aby podrapać Pogłoskę pomiędzy sterczącymi uszami, spojrzał w świetliste oczy, po czym odwrócił się i zniknął za drzwiami.

Powolnym, ostrożnym krokiem, przechodząc przez ogromne, puste korytarze, jakby ściany mogły go usłyszeć i domyślić się jego zamiarów, szedł w głąb twierdzy. Cienie zwisały wokół niego w bezbarwnych fałdach, niczym senny całun otulający jego myśli. Pogrążył się w sanktuarium swej duszy, rozciągając wokół siebie ochronne warstwy determinacji i siły woli, wzywając z głębi własnego wnętrza postanowienie, które da mu szansę przeżycia.

Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, co się wydarzy, kiedy stanie przed strażnikiem druidów i przywoła do jego ujarznienia magię Czarnego Kamienia Elfów. Coglin miał rację: przyjdzie ból, a cały proces będzie trudniejszy i bardziej złożony, niżby tego pragnął. Dojdzie do walki i być może nie wyjdzie z niej jako zwycięzca. Pragnął wiedzieć lepiej, z czym przyjdzie mu się zmierzyć. Nie było jednak sensu pragnąć czegoś, co nigdy się nie stanie i nigdy się nie stało. Ścieżki druidów zawsze owiane były tajemnicą.

Skręcił na dół do głównego holu, zmierzając do drzwi, które otwierały się do wnętrza twierdzy – i do studni, w której drzemał strażnik. A może po prostu krył się. Mroczny Stryj uważał, że magia czuwa i obserwuje, wodzi za nim wzrokiem, kiedy idzie przez zamek, śledzi w falach zmiennego światła – niewidzialna obecność. Cień Allanona również tu był, przywarł do jego pleców, był skurczem mięśni na ramieniu, gdzie chwyciła ogromna dłoń. Trzymano go mocno, pomyślał. Popychano niczym patyk niesiony rzeką. Nie mógł zmienić kierunku. Przemów do mnie, Allanonie, błagał w milczeniu. Powiedz, co

mam czynić.

Ale odpowiedź nie nadchodziła.

Mijał kolejne drzwi pustych komnat, mroczne tunele przejść i korytarzy. Znowu czuł ból w utraconym ramieniu i zapragnął znów być całością, choćby na chwilę czekającej go walki. W sprawnej dłoni ścisnął Czarny Kamień Elfów, czując gładkość faset i ostre brzegi odciskające się krzepiąco we wnętrzu dłoni. Mógł wezwać drzemiącą w nim moc, ale nie potrafił przewidzieć, co uczyni. Zniszczy cię, pojawiła się nieproszona myśl. Oddychał powoli, głęboko, aby się uspokoić. Próbował przypomnieć sobie urywek o użyciu Kamienia z Kronik druidów, ale pamięć nagle go zawiodła. Usiłował sobie przypomnieć, co czytał na wszystkich stronicach wszystkich ksiąg, i nie mógł. Wszystko mieszało się ze sobą, zagubione w fali strachu i wątpliwości, która przepływała przez niego, niepokojąca, przerażająca. Nie dawaj jej dostępu, upomniął sam siebie. Pamiętaj, kim jesteś, co ci obiecano, co ma się wydarzyć. Słowa były jak martwe liście chwytane porywem wiatru.

Przed nim w kamiennej ścianie otwierała się rozległa alkowa o łukowatym sklepieniu, okryta tak gęstym mrokiem, że czarna była niczym noc. Były tam wysokie stalowe drzwi – zamknięte.

Wejście do studni twierdzy druidów.

Walker Boh wszedł na schody i zatrzymał się. Wszędzie wokół siebie słyszał szepczące głosy, szydzące, dokuczliwe jak Grimpond.

Kazały mu zawrócić, nagliły, aby szedł naprzód – szaleńczy wir sprzecznych nawoływań. Gdzieś z głębi duszy wynurzyły się wspomnienia, ale nie jego własne. Czuł, jak wędrują wzdłuż kręgosłupa, sięgając palcami, które skręcały się i zaciskały. Przed sobą widział pasmo ohydneho, zielonego światła sączącego się

spomiędzy szpar i szczelin we framudze drzwi. Za nimi wyczuwał ruch.

W tej samej chwili niemal rzucił się do ucieczki. Byłby zdolny to uczynić, rzucając Czarny Kamień Elfów i uciekając co sił, porzuciwszy cały swój cel i postanowienie. Jego strach rzucał się w oczy; był tak namacalny, że mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć go. Nie miał twarzy, jakiej Walker oczekiwał. Nie bał się starcia, obietnicy wizji, czy choćby śmierci. To było coś więcej, coś tak nieuchwytnego, że nie potrafiłby tego nazwać, a równocześnie był pewny jego obecności.

Ale cień Allanona trzymał go mocno, tak jak w wizji. Mechanizmy losu, czasu i manipulacji przeszłych wieków, połączone, aby Walker Boh wypełnił zamiary druidów.

Wyciągnął zaciśniętą pięść, widząc swą dłoń, jakby należała do kogoś innego, obserwując, jak napiera na zamknięte drzwi.

Uchyliły się bezszelestnie.

Walker przekroczył próg. W ciele czuł odrętwienie, ale umysł miał jasny, pełen przerażonych krzyków ostrzeżenia. Nie rób tego, szeptały. Nie rób.

Zatrzymał się, wstrzymując oddech. Stał na wąskim kamiennym podeście we wnętrzu studni twierdzy. Przy ścianie wieży wiły się do góry drzwi, niczym grzbiet węża. Nikłe, szarawe światło wpadało przez otwory wycięte w kamieniu, wyglądając w mrok. Pod jego stopami była tylko pustka – ogromna, ziejąca otchłań, z której uniosło się głucho echo zatraskiwanych za nim drzwi. Nasłuchiwał bicia swego serca dudniącego w uszach. Nasłuchiwał ciszy wokół siebie.

Potem coś poruszyło się w otchłani. Z ogromnych płuc wydobył się oddech, szybki i gniewny. Zaśniło zielonkawe światło, przygasło, zmieniło się w mgłę i zaczęło leniwie

wirować.

Walker Boh odczuł ogrom twierdzy usadowionej wokół niego, monstrualny ciężar, przed którym nie mógł uciec. Otaczały go tony kamienia, a pieczętująca ją czerń była śmiertelnym całunem. Wstała mgła, mroczna, pradawna magia, stróż druidów uniósł się z miejsca i ruszył w obchód. Rzucił się na niego, unosząc się zamaszystym ruchem, zwijając po kamieniu, wgryzając w mrok, niczym trzęsawisko, które pochłonie go bez śladu.

Mógłby uciekać, gdyby nie pewność, że jest już za późno, że zaczął coś, co musi zostać skończone, że czas i wydarzenia dosięgły go wreszcie, i tu i teraz, samotnie, musi rozwiązać zagadkę swego ukształtowanego przez druidów życia. Zmusił się, aby podejść do krawędzi podestu, krucha istota, kropla wody w oceanie mocy pod jego stopami. Moc syczała na niego, jakby widziała i rozpoznawała go. Zdawała się zbierać siły, czaić do skoku.

Walker uniósł dłoń z Czarnym Kamieniem Elfów.

Zaczekaj.

Z mgły uniósł się głos. Walker zamarł. Głos należał do Grimponda.

Znasz mnie?

Grimpond? Jak to możliwe? Walker zamrugał gwałtownie. Mgła w środku zaczęła nabierać kształtów, jak kolumna wirującej zieleni wznosząca się do światła, wznosząca się z mroku, powoli, pewnie, aż zrównała się z nim i zawisła w powietrzu i ciszy.

Spójrz.

Stała się ludzką postacią, okrytą opończą, zakapturzoną, pozbawioną twarzy. Wyciągnęła ramiona i dłonie, aby przytulić

Walkera. Palce zwijały się i zginały.

Pojawiła się twarz, cienie i światła poruszające się we mgle. Walker poczuł, jakby rozdzierano mu duszę na strzępy.

Twarz, którą ujrzał, była jego własną twarzą.

W mrocznym zaciszu krypty, w której znalazła schronie Kronika druidów, Coglin zerwał się na nogi. Coś się działo. Coś. Czuł to w powietrzu, jak wibrację poruszającą cienie. Pomarszczona twarz zastygła w skupieniu, stare oczy wpatrzyły się w przestrzeń. Cisza była nieprzerwana, niezmierna i niezmienna, czas zatrzymał się, a mimo to...

W drugim końcu komnaty Pogłoska poderwał głowę i wydał z siebie głęboki, głuchy, gniewny pomruk. Zaczął krążyć przyczajony, to tu, to tam, jakby szukając niewidzialnego wroga. On także coś wyczuwał. Coglin zerknął w prawo i w lewo. Na stole przed nim stronice otwartej książki zaczęły drżeć.

Zaczyna się, pomyślał starzec.

Nieświadomie otulił się mocniej szatą, myśląc o wszystkim, co przywiodło go do tego miejsca i czasu, o wszystkim, co wydarzyło się wcześniej. Jaką cenę przyjdzie zapłacić po tylu latach? – zastanawiał się. Ale cenę zapłaci Walker Boh, nie on.

Muszę zrobić, co się da, postanowił.

Zagłębił się we własnym wnętrzu. Była to jedna z tych umiejętności, które pozostały mu z przeszłości druida. Podążał w głąb, dopóki nie uwolnił się na tyle, żeby opuścić ciało. W ten sposób mógł przemierzać niewielkie odległości i oglądać inne światy. Pomknął korytarzami zamku, wciąż we wnętrzu swego umysłu, widząc i słysząc wszystko. Sunął przez ciemność i szary półmrok do wieży twierdzy.

Tam znalazł Walkera, twarzą w twarz z nieśmiertelnością i śmiercią, zamarłego w bezruchu niezdecydowania. Wiedział już,

co się dzieje.

Jego głos był zaskakująco spokojny.

Walkerze. Użyj Kamienia.

Walker Boh usłysza głos starca szepczący w jego umyśle i czuł, że jego ciało odpowiada. Jego ramię wyprostowało się, mięśnie napięły.

Stwór przed nim wybuchnął śmiechem.

— Nadal mnie nie poznajesz?

Poznawał – i nie poznawał. Wiele rzeczy naraz – niektóre były znajome, inne nie. Głos, chociaż – nie mógł się mylić. To głos Grimponda – szydzący, dokuczliwy, wołający go po imieniu.

Odnalazłeś swą trzecią wizję, prawda, Mroczny Stryju? Walker był przerażony. Jak to możliwe? Jak Grimpond mógł być równocześnie stworem, którego przybył pokonać, i awatarą uwięzionym w Darklin Reach? Jak mógł być w dwóch miejscach naraz? To nie miało sensu! Druidzi nie stworzyli Grimponda. Ich magie były sobie przeciwne i wykluczały się. A jednak ten głos, ruch i uczucie...

Cień przed nim rósł, zbliżał się.

Jestem twoją śmiercią, Walkerze. Czy jesteś gotowy na spotkanie ze mną? I nagle wizja powróciła w umyśle Walkera, tak wyraźna, jak w chwili, kiedy ukazała mu się po raz pierwszy – cień Allanona za nim, trzymający mocno, mroczny cień przed nim, obietnica śmierci, a dokoła zamek druidów.

Dlaczego nie uciekasz przede mną? Uciekaj!

To wszystko, co mógł zrobić, aby powstrzymać się od krzyku. Szedł po omacku, błagając o pomoc z którejkolwiek strony. Głos Coglina zniknął, pogrzebany w mrocznym lęku. Cel i postanowienie leżały wokół niego, jak potłuczone skorupy. Walker Boh rozpadał się, ale ciągle żył.

Mimo to jakaś niewielka część w nim nie chciała się poddać, podtrzymywana wspomnieniem tego, co go tu przywiodło, obietnicą złożoną samemu sobie, że nie umrze z własnej woli ani niewiedzy. Twarz Coglina jeszcze tam była, oszalałe oczy, poruszające się usta, próbujące przemówić. Walker sięgnął w głąb siebie po jedyną rzecz, jaka podtrzymywała go przez te wszystkie lata, po ten gniew, płonący w nim na myśl o tym, co uczynili mu druidzi. Podsycił go, aż zapłonął ogniem. Przysunął do warg, aż osmalił mu twarz. Wdychał, dopóki nie przepędził strachu i została tylko furia.

A potem wydarzyło się coś dziwnego. Głos potwora zmienił się. Stał się jego własnym, szalonym, zrozwadzonym.

Uciekaj, Walkerze!

Głos nie dochodził już z mgły; wydobywał się z niego samego! Wołał swoje własne imię, nagłąc do ucieczki!

Co się dzieje?

I nagle zrozumiał. Nie słuchał potwora; słuchał samego siebie. To swój własny głos słyszał przez cały ten czas – sztuczka podświadomości, oszustwo Grimponda. Widmo zagnieździło się w umyśle Walkera wraz z trzecią wizją, sugestią śmierci. Głos miał go o tym przekonać. Był pewny, że to sam Grimpond przybrał inną postać, aby się w niego wcielić. Zemsta na potomkach Brin Ohmsford – o to właśnie od początku chodziło Grimpondowi. Gdyby Walker posłuchał tego głosu, cofnął się w swym postanowieniu i odwrócił od celu, który go tu przywiódł... Nie!

Rozchylił palce i Czarny Kamień Elfów załśnił życiem.

Trysnęło nieświatło, rozchodząc się jak plama atramentu po studni twierdzy i pochłaniając mgłę. Koniec gier! – krzyknął Walker w euforii w ciszy własnego umysłu. Grimpond – tak

podstępny, tak przebiegły – niemal go pokonał. Już nigdy więcej. Nigdy...

Potem wszystko zaczęło się dziać równocześnie.

Nieświatło i mgła splotły się i połączyły. Mgła popłynęła z powrotem tunelami mrocznej magii, zielonkawą, pulsującą furią. Walker miał tylko chwilę, aby złapać oddech, zapytać, co poszło nie tak, i pomyśleć, że może jednak nie udało mu się przechytrzyć Grimponda – i wtedy wypełniła go magia druidów. Ekspłodowała w jego wnętrzu i krzyknął w bezradnej rozpacz. Ból był trudny do opisanego, był gorejącym żarem. Jakby weszła w niego inna istota, przyniesiona wraz z magią, wyciągnięta z kryjówek mgły. Czyjaś fizyczna obecność wdzierająca się w jego kości, mięśnie, ciało i krew, aż do granic wytrzymałości. Szalała i rozpychała się w nim, aż pomyślał, że rozedrze go na strzępy. Potem odczucie się zmieniło, dając początek innemu rodzajowi bólu. Ogarnęła go fala wspomnień, ogromna i zdająca się nie mieć końca. Wraz ze wspomnieniami nadeszły towarzyszące im uczucia, emocje połączone z przerażeniem, lękiem, wątpliwościami, żalem i mnóstwem innych odczuć, które przetaczały się przez Walkera niepowstrzymaną ulewą. Zatoczył się w tył, próbując stawiać opór i odegnąć je. Jego dłoń ze wszystkich sił próbowała zamknąć się wokół Kamienia, aby odeprzeć ten atak, ale ciało nie było mu już posłuszne. Pochwyciły go dwie magie – Kamienia Elfów i mgły – i trzymały mocno.

Jak Allanon i widmo śmierci z trzeciej wizji!

Do licha! Czy Grimpond jednak miał rację?

Widział inne miejsca i czasy, oglądał twarze mężczyzn, kobiet i dzieci, których nie znał, był świadkiem wydarzeń, które pojawiały się i znikwały, a ponad wszystkim górowały szarpiące

emocje emanujące z istoty w jego wnętrzu. Nie wiedział już, gdzie jest. Został przeniesiony do umysłu swego najeźdźcy. Mężczyzny? Tak, mężczyzny, zdał sobie sprawę, który żył niezliczoną ilość razy, przez wieki, o wiele dłużej niż normalni ludzie, kogoś tak innego...

Obrazy nagle się zmieniły. Ujrzał zbiorowisko czarnych szat, mroczne postacie ukryte za murami zamku, zamknięte w komnatach, gdzie ledwo docierało światło, pochylone nad starożytnymi księgami nauki, piszące, czytające, studiujące, dyskutujące...

Druidzi!

I nagle rozpoznał prawdę – było to wstrząsające, zgrzytliwe rozpoznanie, przecinające szaleństwo jak ostrze brzytwy.

Istotą, którą mgła niosła w swoim wnętrzu, był Allanon – jego wspomnienia, doświadczenia, uczucia i myśli, wszystko oprócz ciała, które utracił po śmierci.

Jak Allanon zdołał tego dokonać? Walker pytał sam siebie z niedowierzaniem, walcząc o oddech w lawinie wspomnień, pod duszącym okryciem myśli tamtego. Ale już znał odpowiedź. Magia druida pozwalała niemal na wszystko. Ziarno zasiane trzysta lat temu. A zatem dlaczego? Odpowiedź na to pytanie przyszła równie szybko, niczym purpurowy błysk pewności. W ten właśnie sposób przeszła nań wiedza druida. Wszystko, co Allanon wiedział i czuł, złożono wewnątrz mgły. Jego wiedza była tu bezpieczna przez trzysta lat, czekając na spadkobiercę.

Walker czuł jednak, że to nie wszystko. To również należało do próby. Miało określać, czy powinien stać się druidem.

Domysły skończyły się w pędzie obrazów. Teraz już wiedział, czym były. Całym doświadczeniem Allanona, wszystkim, co zebrał od swoich poprzedników, studiów i własnego życia.

Odciskały się w umyśle Walkera, jak ślady stóp na miękkiej ziemi. Ich dotyk był szorstki i palący jak węgielek położony na skórze. Lawina słów, wrażeń i odczuć. Zbyt wiele, zbyt szybko. Nie chcę tego! – krzyczał przerażony, ale proces dziedziczenia nie ustawał – przeniesienie istoty Allanona do duszy Walkera. Walczył z tym, po omacku szukał wśród labiryntu obrazów czegoś stałego. Ale czarne światło Kamienia Elfów było niczym lej wciągający zielonkawą mgłę, wchłaniający ją i kierujący do ciała Walkera. Głosy wymawiały słowa, twarze odwracały się, aby popatrzeć, sceny zmieniały się, a czas uciekał w pędzie – kompozycja wszystkich lat życia Allanona, walka o ochronę ras, o zapewnienie przetrwania wiedzy druidów, o nadzieje i aspiracje Pierwszej Rady, które miały przetrwać wieki. Walker Boh został wtajemniczony w to wszystko. Dowiedział się, co znaczyło dla Allanona i tych, których żywota dotknął i sam doświadczył ciężaru życia niemal przez dziesięć wieków.

I nagle obrazy zniknęły, głosy, twarze i sceny spoza czasu – lawina, która go zasypała. Zniknęła w pędzie i znowu stał sam we wnętrzu twierdzy, samotna postać oparta bezwładnie o kamienny mur.

Nadal żywy.

Wstał niepewnie, patrząc na siebie, upewniając się, że wciąż jest cały. W środku czuł żywy ból, jak skóry piekącej od słońca. Implant całej wiedzy druida, całej spuścizny Allanona. Jego duch był nasycony, a umysł pełny. A mimo to nie miał pełnej władzy nad tą wiedzą, jakby nie mógł jej przywołać ani całkiem znieść. Coś było nie tak. Walker nie potrafił się skupić.

Przed nim pulsował Czarny Kamień Elfów, nieświatło tworzyło łukowaty most biegnący w mrok, ciągle połączony z resztkami mgły – wirująca, kipiąca masa obrzydliwego zielonego

światła, które syczało, skrzyło się i zbierało jak kot do skoku.

Walker wyprostował się, słaby i chwiejny, na nowo przestraszony, czując, że coś jeszcze ma się wydarzyć i że najgorsze jeszcze nie nadeszło. Myśli przelatowały w pędzie. Co mógłby zrobić, aby się przygotować? Nie zostało dużo czasu...

Mgła wskoczyła w nieświatło. Rzuciła się na Walkera i w okamgnieniu osłoniła go. Widział jej gniew, słyszał wściekłość i czuł furję. Przebiła się przez nową skórę jego wiedzy gejzerem bólu. Walker krzyknął i zwinął się w pól. Jego ciałem wstrząsały drgawki, zmieniało się pod osłoną szat. Czuł skrecające się kości. Zamknął oczy i zeszywniał. Mgła była w jego ciele, wiła się, sadowiła, karmiła nim.

Ogarnęła go fala panicznego strachu.

Przez całe życie Walker Boh walczył, aby uciec przed tym, co przygotowali dlań druidzi, pragnął sam wytyczać własne szlaki. I na końcu przegrał. W ten sposób wyruszył na poszukiwanie Czarnego Kamienia Elfów, a potem Paranoru. Wiedział, że jeśli ma je odnaleźć, będzie musiał stać się druidem, akceptując swoje przeznaczenie, ale obiecując sobie, że pozostanie sobą, cokolwiek się stanie. Teraz, w tej chwili, atakowany przez furję ukrywającą się we mgle, został odarty ze wszystkich swych nadziei. Ocalała tylko resztką wolnej woli i Walker Boh został sam na sam z najmroczniejszą częścią duszy Allanona. Było to najokrutniejsze „ja” druida, mieszanka wszystkich tych chwil, kiedy okoliczności lub rozsądek zmuszały go do robienia rzeczy, do których czuł wstręt, wszystkie te sytuacje, kiedy wymagano od niego, aby wykorzystywał żywoty, wiarę, nadzieję i zaufanie i wszystkie te lata, kiedy duch i serce twardniały, aż wykute zostały na najtwardszą, niezniszczalną stal. Była to lista ograniczeń istnienia Allanona, granic, do których zmuszony był podróżować.

Ujawniała ciężar odpowiedzialności, jaka łączy się z mocą. Określała zrozumienie, jakie przychodziło wraz z doświadczeniem. Była szorstka, poszarpana i straszna. Zatapiała Walkera niczym fala powodzi przez ścianę zapory.

Mroczny Stryj opadał w czerni, słysząc swój własny krzyk i śmiech Grimponda – nie mógł stwierdzić – prawdziwy czy w wyobraźni. Jego myśli rozsypały się przed łupinami nadziei, przekonań i ducha. Nie mógł nic zrobić: siła magii była zbyt potężna. Poddał się tej ogromnej sile. Czekał na śmierć.

A mimo to uczepił się życia. Odkrył, że potok mrocznych objawień, mimo iż w niewiarygodny sposób testował jego wytrzymałość, nie pokonał go jednak. Nie mógł myśleć – zbyt wiele bólu się z tym łączyło. Nie próbował patrzeć, pogrążony w bezdennej otchłani. Słuch również nie pomagał, ponieważ wokół niego rozbrzmiewało echo jego własnego krzyku. Zdawał się dryfować wewnątrz siebie, walcząc o oddech, o przeżycie. Takiej próby oczekiwał – rytuału przejścia druidów. Pozostawiła go sponiewieranego i bez czucia, napełniała bólem i szarpała duszę. Zabrała wszystko, przekonania i zrozumienie, wszystko, co tak długo utrzymywało go przy życiu. Czy przeżyje tę stratę? Czym będzie, jeśli przeżyje?

Płynął przez fale udręki, pogrążony w sobie i sile mrocznej magii, doprowadzony na skraj wytrzymałości, o włos od zatonięcia. Czuł, że w każdej chwili może zginąć, i zdał sobie sprawę, że traci poczucie, kim i czym jest i mógłby być. Nie mógł tego powstrzymać. Nie był nawet pewny, czy tego chce. Bezradny dryfował na falach.

Bezradny.

Aby nigdy nie być tym, kim myślał, że będzie. Aby nic wypełnić żadnej danej sobie obietnicy. Aby nie mieć władzy nad

swoim życiem. Aby zdecydować, czy żyć, czy umrzeć.

Bezradny.

Walker Boh.

Ledwo świadomy, co robi, niezdolny rozumować, kierowany emocjami zbyt pierwotnymi, aby je rozpoznać, Mroczny Stryj wyrwał się z letargu i przedarł przez fale bólu, przez nieświatło i mroczną magię, czas i przestrzeń, niczym jasna iskra oszalałej furii.

W duszy czuł jęczyczek u wagi, odważającej ciężar między życiem i śmiercią. I kiedy w końcu wydostał się na powierzchnię czarnego oceanu, który chciał go pochłonąć, jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był wydostający się z jego płuc nie kończący się krzyk.

Rozdział XXVI

Był późny ranek. Ostatnia trójka z dziewięciorga członków kompanii przedzierała się ostrożnie przez gąszcz In Ju, podążając za krępą, kolczastą sylwetką splintera Stresy, kiedy coraz bardziej zanurzał się w mroku.

Wren wdychała cuchnące, wilgotne powietrze i nasłuchiwała w ciszy. W oddali, daleko od miejsca, gdzie wędrowali, dudnienie Killeshan stanowiło zasłonę dźwięku, który przetaczał się przez ziemię i niebo, głęboki i złowieszczy. Przez Morrowindl przebiegały drżenia, ostrzegając o nadciągającej erupcji. Ale w dżungli panowała cisza. Połysk wilgoci otulającej In Ju od stóp do głów, wsiąkającej w drzewa i zarośla, winoroślą i trawy, był niczym welon tłumiący dźwięki i ukrywający ruch. Dżungla była otchłanią oszalamiającej zieleni, której ściany tworzyły niezliczone komnaty prowadzące jedna do drugiej, krętych korytarzy, które wiły się w ciasnym, duszącym labiryncie. Nad ich głowami splecione gałęzie tworzyły sklepienie odcinające drogę światłu, baldachim nad plamami bagien, lotnych piasków i błota. Brzęczały niewidzialne owady, a z mgły dochodziły krzyki zwierząt. Ale nic się nie poruszało. Wszystko zdawało się martwe.

Teraz już wszędzie widać było sieci Wisterona, ogromne siatki okrywające drzewa jak pasma gazy. Wisiały w nich martwe zwierzęta, puste łupiny, z których wysączono życie, resztki uczytu potwora. Przeważnie były niewielkie; większe Wisteron zabierał do swego legowiska.

Które leżało gdzieś przed nimi.

Wren obserwowała mrok wokół siebie, bardziej

zaniepokojona brakiem jakiegokolwiek ruchu niż ciszą. Szła przez martwe miejsce, jałową krainę, której obce było życie, piekło, które przemierzała na własne ryzyko. Ciągłe myślała, że uchwyci jakiś błysk światła, zmarszczkę na wodzie, czy też drżenie liści i traw. Ale In Ju była tak nieruchoma, jakby skuta lodem. Byli teraz w głębi krainy Wisterona, a tutaj nic się nie zapuszczało.

Nic oprócz nich.

Zaciskała mocno w dłoni Kamienie Elfów, nie okryte teraz skórzaną sakiewką, gotowa użyć ich zgodnie z przeznaczeniem. Nie żywiła złudzeń co do wymagań. Nie miała złudnej nadziei, że można by uniknąć ich użycia i że umiejętności nomadów wystarczą, aby ich ocalić. Nie rozważała, czy mądrze jest wykorzystać magię, wiedząc, jaki wpływ będzie na nią miała jej moc. Wybrała już. Wisteron był potworem, z którym zmierzyć się mogły jedynie Kamienie Elfów. Użyje tej magii, ponieważ to jedyna broń, jaką posiadali, i mająca jakieś znaczenie w czekającej ich bitwie. Jeśli pozwoli sobie na wahanie, jeśli ulegnie pokusie niezdecydowania, wszyscy zginą.

Przełknęła, pokonując suchość w gardle. Dziwne, że czuje takie pragnienie, kiedy wszędzie wokół jest tyle wilgoci. Nawet dłonie miała spocone. Jak daleko zaszła od tamtych dni z Garthem, kiedy wędrowała przez Tirfing, wolna od trosk i odpowiedzialności, odpowiadając jedynie przed sobą i czasem. Teraz wydawało się to innym życiem. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy Westlandię.

Przed nimi mrok gęstniał, tworząc zagłębienia, które wyglądały jak nory. Wydobywała się z nich mgła i wiła przez gałęzie drzew i winorośl niczym wąż. Najwyższe konary oplatały sieci i wypełniały szczeliny między nimi – grubymi,

półprzezroczystymi pasmami, lśnącymi od wilgoci. Stresa zwolnił i obejrzał się za nimi. Nie odezwał się. Nie musiał. Wren czuła u boku obecność Gartha i Trissa, milczącą, wyczekującą. Skinęła głową i gestem kazała kotu iść dalej.

Nagle pomyślała o babce, zastanawiając się, co czułaby Ellenroh, gdyby była tutaj, wyobrażając sobie jej reakcję. Widziała twarz tamtej, groźne, błękitne oczy kontrastujące z szybko pojawiającym się uśmiechem, udzielający się spokój, który odsuwał na bok wszelkie wątpliwości i lęki. Ellenroh Elessedil, królowa elfów. Jej babka zawsze zdawała się panować nad wszystkim. Ale nawet to nie wystarczyło, aby ją ocalić. Na czym zatem, pomyślała ponuro Wren, mogłaby polegać? Na magii oczywiście – ale magia miała jedynie siłę swego właściciela i Wren wolałaby w tej chwili mieć raczej nieugiętą siłę swej babki niż własną. Wren brakowało jej wiary w siebie, jej pewności. Nawet tak bardzo pragnąc odzyskać różdżkę Ruhk i Loden, zaprowadzić bezpiecznie elfy do Westlandii i wypełnić dane jej zadanie, widziała w sobie ciało i krew, a nie stal. Mogła przegrać. Mogła zginąć. Na skraju tych myśli przyczał się strach i nie dawał odpędzić.

Triss wpadł na nią z tyłu, aż podskoczyła. Wyszeptał pospieszne przeprosiny i cofnął się. Wren nasłuchiwała pędu własnej krwi, walenia w uszach i piersi, odmierzającego maleńką odległość pomiędzy życiem i śmiercią.

Zawsze była tak pewna siebie...

Coś przemknęło po ziemi przed nimi, błysk ciemnego ruchu na tle zieleni. Stresa uniósł kolce, ale nie zwolnił. Las otwierał się przez morze bagiennych traw na stare akacje, oparte ciężko o siebie. Ziemia pod nimi była zerodowana i bagnista. ^

Kompania przeszła za splinterem w lewo, wzdłuż wąskiego

wzniesienia. Znowu pojawił się ruch, szybki, nagły, tym razem więcej niż jednego stworzenia. Wren próbowała śledzić go wzrokiem. To jakieś owady, zdecydowała, długie, wąskie, z wieloma odnóżami. Stresa znalazł ścieżkę niewiele szerszą od własnego ciała i odwrócił się do nich.

— Phhhfftt. Widzicie? – wyszeptał ochryple. Skinęli głowami. – Grabarze! Nazywają je orpami. Hsstt! Jedzą wszystko. Ha, wszystko! Żywią się resztkami po Wisteronie. Zanim skończymy, zobaczycie ich więcej. Nie bójcie się.

— Jak daleko jeszcze? – wyszeptała Wren, pochylając się niżej. Splinter poderwał głowę.

— Tuż przed nami – mruknął. – Czujesz padlinę?

— Co jest za nami?

— Sssttt! Skąd mogę wiedzieć, Wren z rodu elfów? Jeszcze żyję!

Zignorowała jego spojrzenie.

— Rozejrzemy się. Jeśli będzie można, porozmawiamy. Jeśli nie, cofniemy się i zdecydujemy, co robić.

Spojrzała po kolei na Gartha i Trissa, aby się upewnić, że zrozumieli, i wyprostowała się. Faun przylgnęła do niej jak druga skóra. Musiała zdjąć wiewiórkę, zanim pójdą dalej.

Przedzierali się przez trawy do pochylonych drzew. Zewsząd pojawiały się orpy, umykając na ich widok. Wyglądały jak olbrzymie złote rybki, szybkie i bezdźwięczne, kiedy znikwały w ziemi i drewnie. Wren próbowała nie zwracać na nie uwagi, ale nie było to łatwe. Powierzchnia wody bagniska bulgotała i pryskała wokół nich – pierwszy dźwięk, jaki słyszeli od dawna. Killeshan sięgał coraz dalej. Minęli trawy i drzewa, a warstwy mroku układały się wokół nich. Znowu zapanowała cisza, powietrze było puste i martwe. Wren oddychała powoli, głęboko.

W dłoni zaciskała Kamienie Elfów.

Potem weszli w akacjowy gaj i przeszli przez taflę błota do kępy ogromnych jodeł, których konary zaciskały się w uścisku. Pasma pajęczyny wisiały wszędzie i kiedy zbliżyli się do drugiego krańca płaskowyzu, Wren kątem oka zobaczyła kości rozrzucone po drzewach. Orpy śmigały w prawo i w lewo, przemykając po tafli błota i znikając w listowiu.

Stresa zwolnił krok i prawie się czołgał.

Dotarli na skraj płaskiego terenu, na rękach i kolanach zsunęli się pomiędzy drzewami i zamarli. Poza drzewami leżał głęboki wąwóz, niczym skalna wyspa zawieszona w środku bagniska. Z jego podłoża skupiskiem ciemnych pni wyrastały jodły, które wyglądały jak powiązane razem setką pajęczyn. W sieciach wisiały martwe zwierzęta, a podłoże wąwozu zaśmiecały kości. Wszędzie pełzały orpy, tworząc poruszający się, lśniący dywan. Światło nad wąwozem było szare i rozproszone. Sączyło się przez mgłę w niewyraźny mrok. Nad wszystkim unosił się zapach śmierci, uwięziony pomiędzy skałami, drzewami i mgłą. W legowisku Wisterona panowała cisza. Poza czmychającymi orpami nic się nie poruszało. Wren poczuła na ramieniu uścisk Gartha. Obejrzała się i ujrzała, że coś wskazuje.

Naprzeciw nich, rozciągnięty w hamaku sieci, wisiał Gavilan Elesedil. Jego błękitne oczy patrzyły martwo, a usta otwarły się w niemym krzyku. Został wypatroszony, a jego korpus rozcięty na całej długości. W otwartej jamie lśniły niewyraźnie żebra. Wszystkie płyny ciała zostały wysane. Została tylko pusta łupina, groteskowa, przerażająca parodia mężczyzny.

Wren widziała wiele śmierci w swym krótkim życiu, ale na to nie była przygotowana. Nie patrz! – upominała się gorączkowo. Nie zapamiętuj go takim! Ale patrzyła i wiedziała, że nigdy nie

zapomni.

Garth dotknął jej po raz drugi, wskazując na dół wąwozu. Wyrzała, nie widząc zrazu, a potem zobaczyła różdżkę Ruhk. Leżała tuż pod tym, co zostało z Gavilana, spoczywając na dywanie starych kości. Orpy pełzały po niej obojętnie. Do jej czubka wciąż przymocowany był Loden.

Wren skinęła w odpowiedzi, zastanawiając się już, jak mogliby dosięgnąć talizmanu. Jej spojrzenie przesunęło się nagle, szukając raz jeszcze.

Gdzie był Wisteron?

I wtedy go zobaczyła, wysoko na gałęziach drzew na drugim końcu wąwozu, zawieszzonego we własnej sieci, trwającego bez ruchu we mgle. Zwinięty był w ogromną kulę z podwiniętymi odnóżami. Nadawało mu to dziwaczny wygląd brudnej chmury. Pokryty sterczącymi włosami i otulony we mgłę, wyglądał, jakby spał.

Wren zwalczyła napad strachu, który uwolnił ten widok. Zerknęła pospiesznie na pozostałych. Wszyscy patrzyli. Wisteron poruszył się nagle, prostując swe zaskakująco chude ciało i wyciągając kilka odnóży. Błysnęły pazury i ukazała się odrażająca, owadzia twarz z dziwną, ssącą paszczą. Potem zwinął się znowu i znieruchomiał.

Kamienie Elfów w dłoni Wren zaczęły płonąć.

Rzuciła Gavilanowi ostatnie, rozpaczliwe spojrzenie, a potem skinęła na pozostałych i wycofała się pomiędzy drzewa. Bez słowa podążyli za nią przez płaskowyż, aż do osłony akacji, gdzie uklękli w ciasnym kręgu.

Wren poszukała ich spojrzeń.

— Jak dostaniemy się do różdżki? – zapytała cicho. Obraz Gavilana trwał w jej umyśle i nie mogła go odpędzić.

Dłonie Gartha uniosły się.

— Jedno z nas musi zejść do wąwozu – zamigał.

— Ale Wisteron usłyszy. Te kości zatrzeszczą jak skorupki od jajek, kiedy na nie nastąpisz. – Postawiła Faun koło siebie. Ciemne oczka wpatrzyły się w nią intensywnie.

— Może opuścimy kogoś na dół? – zapytał Triss.

— Phhhftt! Ale nie bez hałasu i poruszenia – prychnął Stresa.
– Wisteron, ssstt, nie śpi. Udaje tylko. Zauważy!

— A zatem poczekajmy, aż naprawdę zaśnie – przekonywał Triss. – Albo aż ruszy na polowanie i wyjdzie sprawdzić sieci.

— Nie wiem, czy mamy dość czasu... – zaczęła Wren.

— Hsstt! Nieważne, czy mamy, czy nie! – przerwał zapalczywie Stresa. – Jeśli wyjdzie na polowanie, aby sprawdzić sieci, zwęszy nas! Dowie się, że tu jesteśmy!

— Spokojnie – łagodziała Wren. Patrzyła, jak kolczaste stworzenie cofa się o krok, marszcząc kocią twarz.

— Musi być jakiś sposób – wyszeptał Triss. – Potrzebujemy jedynie minutę albo dwie, żeby zejść tam i wyjść. Może zadziała odwrócenie uwagi.

— Może – zgodziła się Wren, próbując na próżno coś wymyślić.

Faun zaczął cicho do Stresy, który odpowiedział gniewnie.

— Tak, wiewiórko, różdżka! A co myślałaś? Phhhftt! Cicho bądź, bo nie mogę myśleć!

— Użyj Kamieni Elfów – zamigał nagle Garth.

Wren wzięła głęboki oddech.

— Żeby odwrócić uwagę? – Wiedziała, że nie może się wycofać. – Dobrze. Ale nie chcę, żebyśmy się rozdzielali. Nigdy się już nie odnajdziemy.

Garth pokręcił głową.

— Nie, żeby odwrócić uwagę. Jako broni.

Wytrzeszczyła oczy.

— Zabij go, zanim on zabije nas. Jedno szybkie uderzenie.

Triss ujrzał niepewność w jej oczach.

— Co proponuje Garth? – dopytywał się.

Jedno szybkie uderzenie. Garth oczywiście miał rację. Nie wydostaną różdżki Ruhk bez walki; niedorzecznością było przypuszczać inaczej. Dlaczego nie skorzystać z elementu zaskoczenia? Uderzyć w Wisterona, zanim on uderzy w nich. Zabić go albo przynajmniej unieszkodliwić, zanim zdoła ich zranić.

Wren odetchnęła głęboko. Mogłaby to uczynić, gdyby musiała, oczywiście. Już się zdecydowała. Problem w tym, że nie była pewna, czy magia Kamieni Elfów wystarczy, aby pokonać tak potężnego drapieżnika jak Wisteron. A magia zależała bezpośrednio od niej. Jeśli zabraknie jej siły, jeśli Wisteron okaże się zbyt silny, przesądzi o losie ich wszystkich. A z drugiej strony, jaki miała wybór? Nie było lepszego sposobu na wydostanie różdżki. Sięgnęła, aby w roztargnieniu pogłaskać Faun, i nie znalazła jej.

— Faun? – Oderwała wzrok od Gartha, wciąż zaprzątnięta ich problemem. Kiedy się poruszyła, orpy rzuciły się do ucieczki. W zagłębieniach po butach zebrała się woda.

Poprzez osłonę drzew, wśród których klęczeli, i połać błota, ujrzała wiewiórkę wchodzącą do wąwozu.

Faun!

Stresa również ją zauważył. Splinter odwrócił się, strosząc kolce.

— Głupia, ssstt, wiewiórka! Słyszała cię, Wren z rodu elfów!

Pytała, czego pragniesz. Nie zwróciłem uwagi, phfftt, ale...

— Róźdzka? – Wren zerwała się na nogi, a strach przesłonił jej oczy. – Masz na myśli, że poszła po róźdzkę?

Ruszyła natychmiast, wybiegając spomiędzy drzew. Biegła najciszej jak mogła. Zapomniała, że Faun potrafi się z nimi porozumiewać. Już od dawna drzewna wiewiórka nie próbowała nawet tego robić. Poczowała ucisk w piersi. Wiedziała, jak oddane było jej zwierzątko. Zrobiliby dla niej wszystko.

Teraz to udowodni.

Faun! Nie!

Oddychała pospiesznie. Chciała krzyknąć, przywołać wiewiórkę z powrotem, ale nie mogła. Krzyk obudziłby Wisterona. Dotarła do przeciwległego krańca płaskowyżu. Orpy czmychały na wszystkie strony, jak ciemne błyski na tle wilgoci. Słyszała, że Garth i Triss biegną za nią, dysząc ciężko. Stresa wyprzedził ją jakoś. Raz jeszcze splinter okazał się szybszy, niż się spodziewała; już przedzierał się pomiędzy drzewami. Biegła za nim, skradając się pospiesznie. Kiedy wyszła, oddech zamarł jej w gardle.

Faun była w połowie zbocza wąwozu, ześlizgując się gładko i bezszelestnie po skałach. Na jej drodze leżały pasma pajęczyn, ale unikała ich bez trudu. W górze Wisteron wisiał bez ruchu w swej sieci, zwinięty ciasno. Wisiało tam również to, co zostało z Gavilana, ale Wren nie chciała patrzeć. Skupiła się na Faun, na zatrzymującej dech w piersiach drodze wiewiórki. Kilkanaście stóp od niej Stresa przypadł brzuchem do skał. U jej boku stanęli Garth i Triss. Triss chwycił ją opiekuńczo, usiłując odciągnąć. Gniewnym szarpnięciem uwolniła ramię i uniosła dłoń ściskającą Kamienie Elfów.

Faun dotarła do podłoża wąwozu i ruszyła naprzód. Tańczyła

na dywanie starych kości jak piórko, ostrożnie wybierając drogę z kocim wdziękiem. Poruszała się bezszelestnie, nie zwracając na siebie uwagi orpów. Wisteron ciągle drzemał w górze, nie widząc jej. Szare pasmo mgły zawisło przed nimi niczym gęsta kurtyna, ukrywając w swych fałdach drzewną wiewiórkę. Do licha, dlaczego jej nie trzymałam? Krew dudniła Wren w uszach, odmierzając upływające sekundy. Faun zniknęła we mgle i znowu się ukazała. Była po drugiej stronie wąwozu, pochylona nad różdżką Ruhk.

Jest za ciężka, pomyślała zrozpaczona Wren. Nie będzie mogła jej unieść. Jednak Faun poradziła sobie jakoś, odciągając różdżkę od ludzkich szczątków. Trzymała ją w maleńkich dłoniach i zaczęła wracać susami, używając trzy razy większej od siebie różdżki jak tyczki. Wren opadła na kolana, wstrzymując oddech.

Triss nagląco trącił Wren łokciem, wskazując coś. Wisteron poruszył się w swoim hamaku, prostując odnóża. Budził się. Wren chciała wstać, ale Garth pospiesznie pociągnął ją do tyłu. Wisteron zwinął się ponownie, chowając pod siebie kończyny. Faun szła w ich stronę. Na maleńkiej twarzyczce malowało się napięcie, a żyłaste ciało naprężyło się. Dotarła na drugą stronę wąwozu i przystanęła.

Wren zamarła. Faun nie wie, jak się wspiąć!

I wtedy nagle Killeshan kaszlnął i rzygnął ogniem. Był tak daleko, że dźwięk był ledwo pomrukiem w ciszy, ale erupcja spowodowała fale wstrząsu głęboko pod ziemią, tworząc zmarszczki rozprzestrzeniające się od górskiego paleniska, niczym kręgi na wodzie. Drżenia przebiegły całą drogę od In Ju do wyspiarskiego legowiska Wisterona i szybko spowodowały reakcję łańcuchową. Fale wstrząsów przybrały na sile i zamieniły się w żar, który eksplodował z błota fontanną pary, tuż

za Wren.

Wisteron obudził się natychmiast, chwytając pajęczynę odnóżami. Jego głowa zakołysała się na grubym, pozbawionym kości karku, kiedy czarne ślepiea poszukiwały źródła niepokoju. Faun, nieprzygotowana na wstrząsy i wybuch, czmychnęła na zbocze wąwozu, straciła oparcie dla rąk i nóg i natychmiast znowu spadła. Zagrzechotały kości, kiedy różdżka Ruhk potoczyła się w dół. Syk Wisterona połączył się z sykiem gejzeru. Z oślepiającą prędkością zsunął się z sieci – pół pająk, pół małpa, tworząc potworną całość.

Ale Garth był szybszy. Stał nad zboczem z szybkością cienia rzucanego przez przepływające nocą chmury. Pomknął w dół po skałach, szybki jak światło, i ostatnie kilkanaście stóp spadał, nie zwalniając. Wylądował z trzaskiem połamanych kości, sięgnął po różdżkę Ruhk i chwycił ją. Faun już wdrapywała się na jego szerokie plecy. Garth odwrócił się, aby ruszyć w górę, a nad nim zamknął się cień Wisterona, kiedy stwór skoczył z sieci, aby go zmiażdżyć.

Wren zerwała się na nogi, otworzyła dłoń, wyrzuciła naprzód ramię i wezwała moc Kamieni Elfów. Przyszła szybka jak myśl, uderzając oślepiającym pasmem ognia. Pochwyciła schodzącego Wisterona, uderzyła w niego niczym ogromna pięść i odrzuciła. Kiedy cios trafił, Wren poczuła, że opuszczają ją wszystkie siły. Dała z siebie wszystko, gorąco pragnąc ocalić Gartha. Podniecenie przeszło przez nią falą i w jednej chwili zniknęło. Przerażona chwytiała oddech. Zaczęła upadać i Triss pochwycił ją wpół. Stresa wrzeszczał, żeby uciekali.

Garth wynurzył się z wąwozu z twarzą ociekającą potem i różdżką Ruhk w dłoni. W drugiej trzymał Faun. Wiewiórka pomknęła ku Wren, drżąc. Gorączkowo wycofali się na

czworakach między drzewa, wstali i zaczęli biec przez płaskowyż.

Wren zerknęła przez ramię.

Gdzie był Wisteron?

Pojawił się chwilę później. Nie przeszedł między drzewami, jak się spodziewała, ale nad nimi. Rozsunął najwyższe konary, wynurzył się chmurą szarości i spadł na nich jak kamień. Triss rzucił się na Wren i zepchnął ją ze ścieżki. Cudem uniknęła zmiżdżenia. Stresa zamienił się w kulę igieł i czmychnął na bok. Wisteron syknął i wylądował na czworakach. Jedno, zakończone pazurami, odnoże najeżone było kolcami splintera. Garth upuścił różdżkę i odwrócił się z mieczem w dłoni. Olbrzymi nomada ciął oburącz pysk Wisterona i chybił, kiedy bestia cofnęła się. Plunęła na Gartha parującą pianą, która zapłonęła w powietrzu jak ogień.

— Trucizna! – krzyknął Stresa, jakby z wnętrza studni, i Garth przypadł do ziemi.

W tej samej chwili Wisteron zaatakował.

Wren wstała z trudem, wyciągając ramiona. Zabłyśły Kamienie Elfów i magia odpowiedziała. Ogień buchnął na Wisterona od tyłu.

Bestia potoczyła się w chmurze dymu i pary. Krzycząc triumfalnie, Wren ruszyła za nim. Czerwona mgła przysłaniała jej wzrok. Znowu przepływała przez nią magia. Nie mogła myśleć; mogła jedynie reagować. Zbierając magię we własnym wnętrzu, zaatakowała. Ogień uderzał w Wisterona raz za razem, bijąc i paląc. Potwór syczał i skrzeczał, odsuwał się i próbował utrzymać się na nogach. Kątem oka Wren ujrzała Gartha wstającego chwiejnie na nogi. Jedną dłonią chwycił porzuconą różdżkę Ruhk, a drugą szeroki miecz. Olbrzym oblepiony był

błotem. Wren zobaczyła go i zapomniała o nim. Magia otuliła ją niczym całun i osłoniła. Była eliksirem, który napełniał ją podziwem, podnieceniem i rozpalał do białości. Była niezwyciężona; była doskonała!

I wtedy nagle siły znów ją opuściły, w jednej chwili odeszły i ogień zamarł w jej dłoni. Zacisnęła palce i opadła na kolana. Garth i Triss natychmiast znaleźli się przy niej i odciągnęli, holując, jakby była dzieckiem, i uciekając z powrotem przez płaskowyż. Faun pojawiła się nie wiadomo skąd, wdrapała po nodze dziewczyny i usadowiła na jej ramieniu. Stresa wciąż krzyczał ostrzegawczo. Słowa były nieczytelne, a głos unosił się gdzieś spomiędzy starego zagajnika.

Wtedy z mgły wystrzelił Wisteron, poparzony i dymiący, rozciągając żylaste ciało niczym wilk w biegu. Uderzył w nich i wszyscy razem rozciągnęli się na ziemi. Wren skuliła się na czworakach w cieniu potwora, oszołomiona i słaba. Błoto oblepiało jej oczy i usta. Jej obrońcy walczyli rozpaczliwie o jej ocalenie. Garth stał nad nią okrakiem, wymachując mieczem. Poleciały kawałki Wisterona, kiedy natarł na olbrzyma. Pojawił się Triss, rąbiąc dziko i tnąc potwora w jedno z odnóży, aż pry snęły kości. Krzyki i wrzaski wypełniły cuchnące powietrze.

Ale Wisteron był największym i najsilniejszym z demonów na Morrowindl, ze wszystkich cieniowców zrodzonych z błędnego użycia magii elfów, i był groźniejszy od nich wszystkich. Smagnął Trissa ogonem, aż ten upadł bezwładnie trzydzieści stóp dalej. Kiedy cios Gartha o włos minął jego łeb, bestia cięła czarnym pazurem przez ubranie i ciało i wydarła nomadowi miecz. Garth natychmiast wyjął drugi, krótki, ale następne uderzenie sprawiło, że potoczył się w tył, wpadając na Wren i lądując bezradnie na plecach.

Gdyby nie Faun, byliby zgubieni. Bojąc się o Wren, która leżała teraz na drodze Wisterona, drzewna wiewiórka skoczyła prosto w pysk potwora, niczym piszczący kłębek futra. Małe rączki darły i szarpały.

Wisteron uchylił się instynktownie, zaskoczony, i cofnął. Sięgnął po zwierzątko, chcąc zmiażdżyć to nic nie znaczące zagrożenie, ale Faun była szybsza i już wdrapywała się po ostrym grzbiecie potwora. Wisteron obrócił się rozwścieczony, aby ją schwytać.

Wstawaj! – mówiła sobie Wren, usiłując wstać. Kamienie Elfów w jej dłoni były rozpalone do białości.

Za jej plecami stanął obdarty i zakrwawiony Garth. Szeroki miecz znowu zalśnił w świetle. Jedno potężne uderzenie rzuciło Wisterona z powrotem na dwie nogi. Drugie niemal oderwało mu ramię. Wisteron syknął i przekręcił się na plecy. Faun zeskoczyła i uciekła. Garth uniósł miecz w śmiertelnym łuku, ostrze cięło i rozdarło powietrze.

Wren chwiejnie wstała na nogi. Biały żar Kamieni Elfów przemieścił się z jej dłoni do piersi, a potem głęboko do serca.

Przed nią leżała różdżka Ruhk, którą wypuścił z dłoni Garth. Wisteron gwałtownie okręcił się wokół i plunął w Gartha strumieniem płynnej trucizny. Tym razem olbrzym nie był dość szybki i strumień uderzył go w pierś, paląc niczym kwas. W udęce upadł w błoto i tarzał się, aby zmyć truciznę. Wisteron w jednej chwili rzucił się na niego, przycisnął szponiastą łapą do ziemi i zaczął naciskać.

Tuląc w obu dłoniach Kamienie Elfów, Wren po raz ostatni przywołała ogień. Buchnął z niej z taką siłą, że zachwiała się, jak od uderzenia pięścią. Wisteron zajął się płomieniem jak suche drewno i zatoczył bezradnie. Ogień pochłaniał go jak szalejące

piekło. Wren podeszła bliżej, a biały żar magii odbijał się w jej oczach. Wisteron ciągle próbował się uwolnić, ze wszystkich sił starając się dosięgnąć dziewczyny. Pomiedzy nimi Garth uniósł się na dłoniach i kolanach, zakrwawiony, ściskając w dłoni ułamane ostrze miecza. Dla Wren wszystko działo się jak w zwolnionym tempie, jak sen, który toczył się tylko w jej umyśle. Triss był niewyraźnym kształtem zataczającym się we mgle. Stresa głosem bez ciała, Faun wspomnieniem, a świat poruszającą się, nie kończącą mgłą. Ciemne oczy Gartha spoglądały na nią z poszarpanej twarzy. U jej stóp leżała różdżka Ruhk i Loden, ostatnia nadzieja ludu elfów, ich bezpieczna przystań, szansa na życie. Odsunęła od siebie to wszystko i pogrzyżyła się w mocy Kamieni Elfów, w magii swej krwi, kształtując ją i nadając kierunek, i mając świadomość gdzieś w mrocznych zakamarkach swej duszy, że jej własna życiowa szansa znika.

Przed nią Wisteron poderwał się na nogi.

Na pomoc! – krzyknęła w duszy.

Potem skierowała ogień na błoto, na którym stał Wisteron, mieszając je jak zupę, rozpuszczając w bagno, płynne i wciągające niczym lotne piaski. Wisteron rzucił się naprzód i zapadł po kolana. Błoto gotowało się i pluło, jak wylew Killeshan, wciągając stwora, który w nim ugrzązł. Wisteron syczał, pluł i próbował się uwolnić. Ale był za ciężki i zapadał się; nie znajdował oparcia dla swoich odnóży. Wokół niego płonęły Kamienie Elfów, coraz głębiej przenikając błoto i zmieniając je w bezdenną otchłań. Wisteron rzucał się gorączkowo, ciągle tonąc. Wrzasnął i dźwięk zamarł w ciszy.

Potem błoto zamknęło się nad nim, zmacona powierzchnia załśniła pomarańczowo i żółto od ognia i potwór zniknął.

Rozdział XXVII

Palce Wren zamknęły się na Kamieniach Elfów mechanicznym ruchem, który zdawał się należeć do kogoś innego. Ogień zapłonął raz jeszcze w odpowiedzi i zgasł. Przez chwilę stała bez ruchu w miejscu, niezdolna znaleźć siły do ruchu – roztargniona, nieobecna, poza czasem. Magia pluła i syczała w jej wnętrzu. Wzdłuż ramion i nóg czuła niewielkie uderzenia, które sprawiały, że drżała i z trudem chwytiała oddech. Jej pierś była ściśnięta, a gardło wyschnięte i obolałe.

Płomienie, które osmały powierzchnię tafli błota, zmalowały do błękitnych języczków i zgasły, parując. Garth ciągle stał na czworakach z pochyloną głową, dysząc ciężko. Wokół nich stała przepastna i cicha In Ju.

Nie wiadomo skąd wyskoczyła Faun, wdrapała się po ramieniu Wren i wtuliła w jej szyję, popiskując cicho. Wren zamknęła oczy, czując ciepłe futerko, przypominając sobie, jak ocaliło ją małe zwierzątko, i myśląc, że wszyscy cudem uniknęli śmierci.

W końcu się poruszyła, zmuszając się do zrobienia jednego i drugiego kroku, ciągnięta strachem o Gartha i widokiem krwi. Odsunęła na bok ostatnie ślady wzburzenia wywołane magią, odrzuciła pragnienie ponownego odczucia mocy, wsunęła do kieszeni Kamienie Elfów i uklękła przy przyjacielu. Garth uniósł głowę, aby na nią spojrzeć. Jego twarz była ledwo rozpoznawalna pod warstwą błota, ale ciemne oczy patrzyły bystro i pewnie.

— Garth – wyszeptała.

Na lewym boku, od ramienia do żeber, rozdarły go szpony

Wisterona, a pierś miał zwęgloną od trucizny. Warstwa błota zatamowała upływ krwi, ale rany wymagały oczyszczenia, aby zapobiec zakażeniu.

Łagodnie zsadziła Faun z ramienia, po czym objęła Gartha ramionami i próbowała pomóc mu wstać. Ledwo zdołała go poruszyć.

— Poczekaj! – zawołał jakiś głos. – Pomogę ci.

Był to Triss. Zataczając się, wyłonił się z mgły. Wyglądał niewiele lepiej od Gartha. Ociekał błotem i wodą z bagien. Lewe ramię miał przetrącone; krótki miecz niósł w prawej dłoni. Jedna strona jego twarzy była pokryta krwią.

Ale kapitan Domowej Straży wydawał się nieświadomy swych ran. Zarzucił sobie na plecy ramię Gartha i z wysiłkiem dźwignął olbrzyma na nogi. Wren podparła Gartha z drugiej strony i tak przeszli połąć błota do akacji. Stresa wyłonił się ociężale spomiędzy drzew. Jego kolce sterczały na wszystkie strony.

— Tędy! Phhhfft! Tutaj! Do cienia!

Poniesli Gartha do skrawka suchej ziemi pomiędzy płataniną korzeni i położyli. Wren szybko rozcięła jego tunikę. Zostało jej niewiele świeżej wody, ale prawie całą zużyła do oczyszczenia ran. Resztą Triss obmyła twarz. Za pomocą nici i igły zszyła rozdarcie i obwiązała olbrzyma pasami ubrania oddartymi z ostatniego zapasowego odzienia. Garth przyglądał się jej pracy w milczeniu, bez ruchu, jakby próbował zapamiętać jej twarz. Zamigała do niego raz czy dwa, ale tylko skinął głową i nie odpowiedział. Nie podobało się jej to, co widziała.

Potem zajęła się Trissem. Rana twarzy była powierzchowna: zwykle, głębokie zadrapanie. Ale lewe ramię miał złamane. Nastawiła je, wycięła z drewna łubki i obwiązała całość swoim paskiem. Skrzywił się raz czy dwa, kiedy pracowała, ale nie

krzyknął. Kiedy skończyła, podziękował jej, poważny i zakłopotany. Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

I wtedy przypomniała sobie o różdżce Ruhk, leżącej ciągle gdzieś w błocie. Wróciła po nią szybko, opuszczając osłonę zagajnika i raz jeszcze przecinając taflę błota. Orpy czmychały na jej widok jak odbłyски srebrnego światła. Powietrze było czyste i nieruchome, ale odgłos dudnienia Killeshan odbijał się złowieszczym echem od ściany mgły, a ziemia drżała w odpowiedzi. Odnalazła różdżkę tam, gdzie upadła, i podniosła ją. Loden lśnił jak skupisko małych gwiazd. Tak wiele poświęcono dla jego sprawy, pomyślała, dla sprawy elfów uwięzionych w jego wnętrzu. Przez jedną mroczną chwilę czuła żal, nagłą potrzebę odrzucenia jej na bok, zatopienia głęboko w bagnie, jak Wisterona. Elfy, które tak wiele szkód wyrządziły swą magią, które dla swoich ambicji stworzyły cieniowce i które porzuciły cztery krainy na straszny los, za który były odpowiedzialne. Może lepiej, aby zniknęły. Ale podjęła już decyzję co do elfów. Poza tym wiedziała, że nie była to wina tych elfów, nie ich pokolenia, a błędem jest czynić odpowiedzialnym cały naród za działania nielicznych. Allanon musiał liczyć na to, że tak osądzi. Musiał przewidzieć, że odkryje prawdę i liczyć na mądrość swej podopiecznej. „Odnajdź elfy i sprowadź je na powrót do czterech krain”. Tyle razy zastanawiała się dlaczego. Teraz myślała, że zaczyna rozumieć. Kto lepiej niż elfy mógł naprawić uczynione zło? Kto lepiej poprowadzi do bitwy z cieniowcami?

Wracała przez płaskowyż, czując rosnące odrętwienie. Ostatnie ślady magicznej euforii znikwały. Była zmęczona, smutna i dziwnie zagubiona. Wiedziała jednak, że nie może się poddać tym uczuciom. Znowu miała różdżkę Ruhk. Czekala ją podróż na plaże i poszukiwanie Tygrysa Ty. No i były jeszcze demony.

Stresa czekał na skraju zagajnika.

— Hsstt – wyszeptał ostrzegawczo szorstki głos. – Jest paskudnie ranny, Wren z rodu elfów. Twój duży przyjaciel. Bądź ostrożna. Truczna to straszna rzecz. Phfftt. Może nie będzie w stanie pójść z nami.

Rozzłoszczona minęła splintera.

— Będzie – warknęła.

Z pomocą Trissa raz jeszcze postawiła Gartha na nogi i ruszyli. Zbliżał się wieczór. Przez ekran mgły przeświecało blade światło, a w powietrzu unosił się duszący żar. Stresa prowadził, wytrwale pracując przez labirynt dżungli i wybierając drogę dogodną do prowadzenia Gartha. In Ju wydawała się pusta, jakby śmierć Wisterona uśmierciła wszystko, co w niej żyło. Wren pomyślała jednak, że cisza była raczej odpowiedzią na wstrząsy. Stworzenia na Morrowindl wyczuły, że dzieje się coś złego, i przynajmniej na tę chwilę powstrzymały normalną aktywność i pospieszyły do kryjówek, czekając, co się wydarzy.

Kiedy szli, obserwowała twarz Gartha. Widziała napięcie w jego oczach i maskę bólu napinającą skórę na twarzy. Nie spojrział na nią. Celowo utkwiał wzrok w ścieżce przed sobą. Rozpaczliwie starał się utrzymać na nogach.

Kiedy wyszli z In Ju na zalesione wzgórza za dżunglą, był już półmrok. Znaleźli wycinkę ze strumieniem i Wren ponownie obmyła rany olbrzyma. Nie mieli nic do jedzenia; wszystkie zapasy zjedli lub stracili, a nie byli pewni, które korzonki czy owoce na wyspie są jadalne. Musieli zadowolić się wodą ze strumienia. Triss znalazł dość suchego drewna na ognisko, ale niemal natychmiast zaczęło padać i w ciągu paru sekund wszystko przemokło. Skulili się pod osłoną rozłożystej akacji, ramię przy ramieniu w nadciągającym mroku. Po jakimś czasie

Stresa wysunął się spod drzewa, aby trzymać wartość, mrużąc coś, że tylko on jeden nadaje się w tej chwili do tego zadania. Wren się nie sprzeciwiała; prawie była skłonna się z nim zgodzić. Światło gasło miarowo od srebra przez szarość do czerni. Las przemienił się, ożywając nagle ruchem zrodzonym z potrzeby zdobycia pożywienia. Zwierzęta wyszły na polowanie, ale żadne z przechodzących obok nie próbowało zbliżyć się do ich schronienia. Mgła sączyła się wśród drzew i traw leniwymi czułkami. Z liści kapała cicho woda. Faun kręciła się w ramionach Wren, wtulając się głęboko w zagłębienie szyi.

O północy wybuchł Killeshan. Ogień buchnął fontanną iskier i płonących odłamków, wyrzucając popiół i dym. Dźwięk był przerażający. Grzmot rozdarł ciszę nocy i wszystko zerwało się ze strachem. Pierwsza eksplozja zmieniła się szybko w serię grzmotów, które przetaczały się jeden za drugim, aż cała wyspa zaczęła drżeć. Nawet z tak daleka widać było wybuch i ciemnoczerwony blask na tle czerni, który wzniósł się pod niebo i zdawał zawisnąć. Tuż obok nich ziemia pękała i wyrzucała gejzery syczącej, parzącej pary. W mroku za nimi biegały dziko zwierzęta wyspy, uciekając bez celu i kierunku, przerażone gwałtownością wstrząsów, odgłosami i blaskiem. Kompania skuliła się pod akacją, zwalczając pokusę dołączenia do nich. Ale Wren wiedziała, że ucieczka w takich ciemnościach jest niebezpieczna, a Stresa szybko przypomniał jej, że muszą zostać tu do świtu.

Wybuchy ciągnęły się całą noc, serią grzmiących pokasływań i ognistych konwulsji, które groziły rozdarciem Morrowind na całej długości. Na zboczach Killeshan zapłonął ogień, kiedy potoki lawy zaczęły spływać do morza. Urwiska zsuwały się z trzaskiem pękających głazów, tworząc lawiny porywające za

sobą całe zbocza. Ogromne drzewa pękały i upadały na ziemię. Wren zamknęła oczy i bez powodzenia usiłowała zasnąć.

Tuż przed świtem Stresa wstał, aby przeszukać teren, i Triss przejął wartę. Wren została sama z Garthem. Olbrzym spał niespokojnie. Jego twarz ociekała potem, a ciałem wstrząsały konwulsje. Miał gorączkę, a żar jego ciała był dobrze wyczuwalny. Kiedy tak patrzyła, jak obraca się i wygina, myślała o tym, co przeszli razem. Martwiła się o niego już wcześniej, ale nigdy tak bardzo jak teraz. Jej troskę zwiększało po części poczucie bezradności. Morrowindl wciąż była dla niej obcym światem i wiedza o nim była zbyt mała. Nie potrafiła przestać myśleć, że musi być coś jeszcze, że mogłaby uczynić coś dla swego przyjaciela, gdyby tylko wiedziała co. Pamiętała Ellenroh powaloną przez gorączkę taką jak Gartha, której żadne z nich nie pojmowało. Utraciła babkę; nie miała zamiaru tracić najlepszego przyjaciela. Pocieszała się bez przerwy, że Garth jest silny i ma wielką wytrzymałość. Przeżyje wszystko; zawsze tak było.

Przejaśniało się i ledwo zamknęła oczy, pokonana przez zmęczenie i smutek, kiedy olbrzym zaskoczył ją, delikatnie dotykając jej ramienia. Wren uniosła głowę, aby nań spojrzeć. Zaczął migać:

— Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Skinęła głową, a palce powtarzały jej słowa.

— Co?

— Będzie ci trudno, ale to konieczne.

Próbowała spojrzeć mu w oczy, ale nie mogła. Był za bardzo odwrócony w mrok.

— Chcę, żebyś mi przebaczyła.

— Przebaczyć ci? Co?

— Skłamałem ci. Zawsze kłamałem. Odkąd cię poznałem.

Pokręciła głową zmieszana, niespokojna, śmiertelnie znużona.

— O czym skłamałeś?

Nie cofnął spojrzenia.

— O twoich rodzicach. O matce i ojcu. Znałem ich. Wiedziałem, kim są i skąd pochodzą. Wszystko wiedziałem.

Patrzyła zaskoczona, nie mogąc jeszcze uwierzyć w to, co słyszy.

— Posłuchaj, Wren. Twoja matka pojmowała ciężar proroctwa Eowen lepiej niż królowa. Przepowiednia mówiła, że musisz zostać zabrana z Morrowindl, jeśli masz żyć, ale mówiła również, że pewnego dnia powrócisz, aby ocalić elfy. Twoja matka właściwie domyśliła się, iż ocalenie, jakie możesz zapewnić elfom, w jakiś sposób będzie powiązane z walką ze złem, które stworzyły. Wtedy tego nie wiedziałem; domyśliłem się później. Wiedziałem jednak, że twoja matka pragnęła, abyś wyrosła na dość silną, żeby sprostać każdemu niebezpieczeństwu, każdemu wrogowi i zadaniu, którego od ciebie zażądają. Dlatego oddała cię mnie.

Wren była zdumiona.

— Tobie? Bezpośrednio tobie?

Garth poruszył się i dźwignął do pozycji siedzącej, aby dać rękom więcej swobody. Jęknął z wysiłkiem. Wren ujrzała, jak krew przecieka przez bandażę na jego ranach.

— Przybyła do nomadów z mężem, wysłana przez Skrzydlatych Jeźdźców. Przybyła do nas, ponieważ powiedziano jej, że jesteśmy najsilniejszymi z wolnych ludzi i od narodzin szkolimy nasze dzieci do przetrwania, bo przetrwanie jest najtrudniejsze w życiu każdego nomady. Zawsze byliśmy wyrzutkami i dlatego musieliśmy być silniejsi od innych. Tak więc twoja matka i ojciec przybyli do nas, do mojej rodziny,

plemienia kilkuset ludzi żyjących na równinach poniżej Myrian, i zapytali, czy wśród nas znajdzie się ktoś, komu mogliby powierzyć naukę swojej córki. Pragnęli, aby wyszkolono ją na sposób nomadów, aby jak tylko będzie dość duża, zaczęła naukę, jak przeżyć w świecie, gdzie wszystko i wszyscy są potencjalnym wrogiem. Polecono mnie. Rozmawialiśmy, twoi rodzice i ja, i zgodziłem się być twoim nauczycielem.

Kaszlnął i głęboki, zgrzytliwy dźwięk wydarł się z głębi jego piersi. Na chwilę pochylił głowę i walczył o oddech.

— Garth – wyszeptała przerażona. – Opowiesz mi o tym później, kiedy odpoczniesz.

Pokręcił głową.

— Nie. Chcę skończyć. Dźwigałem to tak długo.

— Ale ledwo oddychasz, ledwo...

— Jestem silniejszy, niż myślisz. – Na chwilę zacisnął dłoń na jej dłoni i puścił. – Boisz się, że mogę umrzeć?

Przełknęła łzy.

— Tak.

Ciemne oczy zamrugwały i spojrzał na nią dziwnie.

— A zatem nie umrę, dopóki nie będziesz na to gotowa.

Bez słowa pokiwała głową, nie pojmując, co ma na myśli, unikając jego wzroku, pragnąc tylko, aby żył, nieważne za jaką cenę.

Oddychał z ogromnym trudem.

— Dobrze. A zatem twoja matka. Była właśnie taka, jak ci mówiono: silna, miła, zdecydowana, pełna poświęcenia dla ciebie. Postanowiła jednak, że musi powrócić do swoich ludzi. Myślę, że podjęła taką decyzję, zanim opuściła Morrowindl. Twój ojciec się zgodził. Nie znam powodu ich decyzji; wiem tylko, że twoja matka związana była na wiele sposobów ze swoją matką i

ludem, a twój ojciec kochał ją rozpaczliwie. W każdym razie ustalono, że powinnaś zostać odesłana do Ohmsfordów w Shady Vale, dopóki nie ukończysz pięciu lat – wtedy zaczyna się trening dziecka nomadów – i wtedy zostaniesz oddana mnie. Mieli ci mówić, że twoja matka była nomadką, ojciec Ohmsfordem, a twoi przodkowie elfami. Nic więcej nie miałaś wiedzieć.

Wren pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Dlaczego, Garth? Dlaczego ukrywano wszystko przede mną?

— Ponieważ twoja matka rozumiała, jak niebezpiecznie jest próbować wpłynąć na działanie przepowiedni. Próbowала zapewnić ci bezpieczeństwo, zapobiec twojemu powrotowi na Morrowindl. Mogłaby zostać z tobą i powiedzieć ci, co przepowiedziano. Ale ile krzywdy mogła spowodować taką ingerencją? Wiedziała dość o prorocत्वach, aby rozpoznać zagrożenie. Sądziła, że lepiej będzie, jeśli dorośniesz, nie wiedząc o przepowiedni Eowen, jeśli sama odnajdziesz swoje przeznaczenie, jakiegokolwiek by było. Moim zadaniem było cię do tego przygotować.

— A więc wiedziałeś wszystko? Wszystko? Wiedziałeś o Kamieniach Elfów?

— Nie. Nie o Kamieniach. Tak jak ty myślałem, że są tylko malowanymi kamykami. Kazano mi się upewnić, że wiesz, skąd pochodzą, i że odziedzyczyłaś je po rodzicach. Miałem pilnować, abyś ich nigdy nie zgubiła. Przypuszczam, że twoja matka była przekonana, iż podobnie jak twoje przeznaczenie, moc Kamieni Elfów ujawni się we właściwym czasie.

— Resztę jednak wiedziałeś, cały czas, kiedy dorastałam? I potem, kiedy poszłam do Hadeshornu, kiedy wysłano mnie na poszukiwanie elfów?

— Wiedziałem.

— I nie powiedziałeś mi? – Po raz pierwszy w jej głosie pojawił się cień gniewu. Zaczynało docierać do niej, co słyszy. – Ani słowa, nawet kiedy prosiłam?

— Nie mogłem.

— Co to znaczy: nic mogłeś? – Była wściekła. – Dlaczego?

— Ponieważ obiecałem twojej matce. Kazała mi przysiąc, że dotrzymam tajemnicy. Nie miałaś nic wiedzieć o prawdziwym dziedzictwie, nic o Elessedilach, Arborlonie czy Morrowindl, nic o przepowiedni. Los miał zdecydować, czy odkryjesz to, czy nie. W żaden sposób nie wolno mi było ci pomóc. Miałem iść z tobą, kiedy nadejdzie czas, jeśli chciałem. Miałem chronić cię najlepiej, jak umiałem. Ale nie wolno mi było nic mówić.

— Nigdy?

Oddech olbrzyma zachrząścił mu w piersi, palce poruszały się z wahaniem.

— Złożyłem przysięgę. Przysięgłem, że nie powiem nic, dopóki nie spełni się przepowiednia, jeśli się spełni – nic, dopóki nie wrócisz do Arborlonu i nie odkryjesz prawdy o sobie, dopóki nie dokonasz tego, co ci przeznaczone, aby pomóc swemu ludowi. Obiecałem.

Skuliła się, czując przepływającą przez nią falę rozpacz. Nie ufaj nikomu, ostrzegała Addershag. Nikomu. Sądziła, że zdaje sobie sprawę ze znaczenia tych słów. Myślała, że rozumie.

Ale to...

— Och, Garth – wyszeptwała z rozpaczą. – Ufałam ci!

— Nic nie straciłaś, ufając mi, Wren.

— Czyżby?

Patrzyli na siebie w milczeniu, bez ruchu. Wszystko, co przytrafiło się Wren, od kiedy Coglin po raz pierwszy przybył do niej wiele tygodni temu, jakby zebrało się i osiadło na jej

ramionach ogromnym ciężarem. Tyle męczących ucieczek, tyle śmierci, tak wiele strat – czuła to wszystko, zebrane w jednej chwili, w strasznej i nieoczekiwanej prawdzie.

— Gdybyś wiedziała wcześniej, wszystko mogłoby być inaczej. Twoja matka to rozumiała. Ojciec również. Może powiedziałbym ci, gdybym mógł, ale wiązała mnie obietnica. – Olbrzym poruszył się i w świetle ukazały się ostre kości policzkowe jego twarzy. – Powiedz, jeśli potrafisz, czy mogłem zrobić inaczej. Powiedz, Wren, że powinienem złamać obietnicę.

Zacisnęła usta w gorzką, wąską linię.

— Powinieneś.

Wytrzymał jej spojrzenie, a jego ciemne oczy były puste i bez wyrazu.

— Nie – przyznała w końcu ze łzami w oczach. – Nie powinieneś. – Odwróciła wzrok, zagubiona, z pustką w głowie. – Ale to nie pomaga. Wszyscy mnie okłamywali. Wszyscy. Nawet ty. Addershag miała rację, Garth, i to mnie tak boli. Za dużo kłamstw, za dużo tajemnic, a ja nie jestem częścią żadnej z nich.

Płakała cicho z pochyloną głową.

— Ktoś powinien mi zaufać. Całe moje życie się odmieniło, a ja nie miałam w tej sprawie nic do powiedzenia. Patrz, co się stało!

Duża dłoń pogłaskała jej własną.

— Pomyśl, Wren. Wybór zawsze należał do ciebie. Nikt go za ciebie nie podejmował; nikt nie pokazywał ci drogi. Czy gdybyś знаła prawdę, rozumiała pokładane w tobie nadzieje, czy byłoby tak samo? Czy mogłabyś wtedy powiedzieć, że sama dokonałaś wyboru?

Spojrzała na niego z wahaniem.

— Czy lepiej byłoby wiedzieć, że jesteś wnuczką Ellenroh Elesedil, że Kamienie Elfów, które uważałaś za malowane

kamyki, są prawdziwe, że kiedy staniesz się kobietą, pewnego dnia wyruszysz w podróż na Morrowind i ponieważ tak przepowiedziano, zanim się narodziłaś, ocalisz elfy? Jaką miałabyś wtedy swobodę działania? Jak szybko byś dorosła? Czym byś się stała?

Wzięła głęboki oddech.

— Nie wiem. Ale może powinnam mieć szansę dowiedzieć się tego.

Gdzieś spoza mgły i drzew przełamał się brzask i światło było mocniejsze. Faun uniosła łepkę z kolan Wren, gdzie leżała bez ruchu. Ze skraju ciemności powrócił Triss; stał, patrząc na nich w milczeniu. Odgłosy nocy zamierały i kończył się gorączkowy ruch. W oddali nie ustawały niesłabnące i złowieszcze wybuchy Killeshan. Ziemia drżała nieznacznie, a ogień lawy rósł w niebo szarym dymem i popiołem.

Garth poruszył się i zamigał:

— Wren. Zrobiłem to, o co mnie proszono, co obiecałem. Uczyniłem, co mogłem. Żałuję, że musiałem cię oszukiwać. Chciałbym, abyś miała okazję zapytać.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę i w końcu skinęła głową.

— Wiem.

Mocna, śniada twarz była napięta i skupiona.

— Nie gniewaj się na matkę i ojca. Zrobili to, co jak sądzili, musieli zrobić, co uznali za słuszne.

Ponownie pokiwała głową. Bała się coś powiedzieć.

— Musisz spróbować przebaczyć nam wszystkim.

Przełknęła z wysiłkiem.

— Chciałabym... Chciałabym, aby nie bolało tak bardzo.

— Wren, spójrz na mnie.

Uczyniła to niechętnie, znużona.

— Jeszcze nie skończyliśmy. Jest coś jeszcze.

Poczuła chłód w żołądku, ból czegoś przeczuwanego, ale nie w pełni pojętego. Ujrzała, jak Stresa wynurza się spomiędzy drzew, powłócząc ciężko nogami, zdyszany i mokry. Zwolnił koło nich, świadom, że coś się dzieje, może kłótnia albo jakieś odkrycie.

— Stresa – powitała go krótko Wren, pragnąc nie słyszeć już nic więcej od Gartha.

Splinter zakołysał tępą, kocią twarzą od jednego do drugiego.

— Możemy iść – powiedział. – I powinniśmy. Góra opada. Prędzej czy później złapie nas.

— Musimy się spieszyć – zgodziła się, wstając. Chwyła różdżkę Ruhk i spojrzała niespokojnie na rannego przyjaciela.– Garth?

— Musimy najpierw porozmawiać.

Poczuła ucisk w gardle.

— Dlaczego?

— Poproś, aby poszli przed nami i zaczekali. Powiedz, że będziemy niedługo.

Zawahała się, po czym spojrzała na Stresę i Trissa.

— Potrzebuję chwili. Poczekajcie na nas, proszę.

Spojrzeni na nią bez słowa i niechętnie skinęli głowami. Szczupła twarz Trissa była bez wyrazu, a Stresa patrzył podejrzliwie.

— Weźcie Faun – poprosiła po chwili namysłu, zdejmując wiewiórkę z ramienia i sadzając łagodnie na ziemi.

Stresa syknął na zwierzątko i skierował je pomiędzy drzewa. Spojrzał na Wren smutno i ze zrozumieniem.

— Zawołaj, rwwll, Wren z rodu elfów, jeśli będziesz nas potrzebowała.

Kiedy odeszli i ucichł odgłos kroków, spojrzała na Gartha, ściskając mocno w obu dłoniach różdżkę Ruhk.

— O co chodzi?

Olbrzym skinął dłonią.

— Nie bój się. Tutaj. Usiądź przy mnie. Posłuchaj przez chwilę i nie przerywaj.

Zrobiła, o co prosił, klękając tak blisko, że nogami oparła się o jego ciało. Czuła żar jego gorączki. Mgła i blade światło osłaniały go szarym cieniem, a świat wokół był zamazany i gęsty od gorąca. Położyła obok siebie różdżkę Ruhk i duże dłonie Gartha zaczęły migać.

— Coś się ze mną stało. W środku. Trucizna Wisterona, jak sądzę. Pełźnie przeze mnie jak żywe stworzenie, ogień, który osmala i otepia. Czuję, jak się przedziera, zmieniając mnie. To paskudne uczucie.

— Przemyję jeszcze raz rany, opatrzę je.

— Nie, Wren. To, co dzieje się teraz, przekracza wszystkie twoje umiejętności. Trucizna przeniknęła już do całego organizmu.

Oddychała szybko, rozgniewana.

— Jeśli jesteś zbyt słaby, poniesiemy cię.

— Z początku byłem słaby, ale teraz słabość mija. Jestem coraz silniejszy. Jednak ta siła nie należy do mnie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie rozumiejąc w pełni. To jednak nie umniejszało jej przerażenia.

— O czym ty mówisz?

Patrzył na nią surowym wzrokiem z gorączkową determinacją.

— Wisteron był cieniowcem, tak jak drakule. Pamiętasz Eowen?

Drgnęła, rzuciła się w tył i spróbowała wstać. Chwycił ją, przytrzymał w miejscu i spojrzał w oczy.

— Spójrz na mnie.

Próbowała, ale nie mogła. Widziała go i równocześnie nie widziała, świadoma zarysów jego postaci, ale niezdolna ujrzeć pomiędzy nimi barw i odcieni, jakby mogło to ujawnić prawdę, której się obawiała.

— Puść mnie!

Potem wszystko się w niej załamało i zaczęła płakać. Płakała bezgłośnie i zdradzało ją tylko drżenie ramion. Zacisnęła powieki wobec szalejących w jej wnętrzu uczuć, koszmaru otaczającego ją świata i straszliwej ceny, której bez końca od niej żądał. A mimo to wciąż widziała Gartha jakby wyrytego w umyśle – ponurą pewność i siłę promieniującą z jego twarzy, uśmiech zarezerwowany tylko dla niej, mądrość, przyjaźń i miłość.

— Nie mogę cię stracić – wyszeptała, nie starając się już migać.
– Nie mogę!

Jego dłonie puściły ją i otworzyła oczy.

— Spójrz na mnie.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała.

— Spójrz mi w oczy.

Zrobiła to. Zajrzała w duszę swego najstarszego i najbardziej zaufanego przyjaciela. Odpowiedział jej zły, czerwony blask.

— Już się zaczyna – zamigał.

Potrząsnęła głową, zaprzeczając gorączkowo.

— Nie mogę na to pozwolić, Wren. Ale nie mogę zrobić tego sam. Muszę być pewny. Musisz pomóc mi odejść.

— Nie.

Zsunął jedną dłoń do pasa i wyjął długi nóż. Ostra jak brzytwa klinga zalśniła w półmroku. Zadrżała i cofnęła się, ale chwycił jej

nadgarstek i wcisnął w dłoń rękojeść.

Duże dłonie zamigały szybko i pewnie.

— Nie zostało nam więcej czasu. To, co zrobiliśmy, było dobre. Nie żałuję ani chwili. Jestem z ciebie dumny, Wren. Jesteś moją siłą, mądrością, zręcznością, doświadczeniem, moim życiem, wszystkim, czym jestem, najlepszym ze mnie. I nadal jesteś sobą, w każdym calu odrębną osobą. Jesteś tym, kim miałaś być – dziewczyna nomadów stała się królową elfów. Nie mogę dać ci już nic więcej. Najwyższy czas się pożegnać.

Wren nie mogła oddychać. Nie widziała wyraźnie.

— Nie możesz mnie o to prosić! Nie możesz!

— Muszę. Nie ma nikogo innego. Nikogo, na kim mógłbym polegać, że zrobi to właściwie.

— Nie! – Upuściła nóż, jakby parzył jej skórę. – Raczej – zakrzuszyła się, płacząc – raczej sama umrę!

Sięgnął po nóż i ostrożnie umieścił go z powrotem w jej dłoni. Potrząsała głową, powtarzając „nie”. Dotknął jej, raz jeszcze przyciągając jej spojrzenie. Drżał teraz, może tylko z zimna, a może z innego powodu. Czerwony blask był teraz wyraźniejszy, silniejszy.

— Odpływam, Wren. Okradziono mnie ze mnie samego. Musisz się spieszyć. Zrób to szybko. Nie pozwól mi stać się... – Nie był w stanie skończyć. Duże, silne dłonie drżały również. – Umiesz to zrobić. Ćwiczyliśmy wystarczająco często. Sobie nie mogę ufać. Mógłbym...

Mięśnie Wren były tak napięte, że ledwo mogła się poruszyć. Zerknęła przez ramię, myśląc o przywołaniu Stresy albo Trissa, rozpaczliwie pragnąc czyjejs obecności. Wiedziała jednak, że nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc. Nic innego nie mogła uczynić.

Odwróciła się szybko.

— Musi być antidotum, które zneutralizuje truciznę, prawda?
– mówiła gorączkowo. – Zapytam Stresę! On będzie wiedział!
Zawołam go!

Duża dłoń przerwała jej.

— Stresa już zna prawdę. Widziałaś to w jego oczach. Nic nie może zrobić. Nigdy nie mógł. Zostaw go. Pomóż mi. Weź nóż i użyj go.

— Nie!

— Musisz.

— Nie!

Jedna dłoń zamachnęła się nagle, jakby chciał ją uderzyć, i zareagowała instynktownie, blokując ją. Dłoń z nożem uniosła się i zatrzymała o cal nad piersią Gartha. Oboje zamknęli oczy. Na jedną chwilę wszystko odpłynęło z duszy Wren i została tylko potworna świadomość tego, co konieczne. Ta prawda ją ogłuszyła. Wciągnęła powietrze i wstrzymała oddech.

— Szybko, Wren...

Nie poruszyła się. Ujął jej dłoń i zsunął łagodnie, aż ostrze noża spoczęło na tunice i piersi.

— Zrób to.

Powoli pokręciła głową, z boku na bok, ledwie dostrzegalnym ruchem.

— Wren. Pomóż mi.

Spojrzała na niego, zajrzała głęboko w oczy i zobaczyła czerwony blask, który go pochłaniał, unosząc się z rosnącego w jego wnętrzu koszmaru. Przypomniała sobie, jak stała przy nim jako dziecko, kiedy po raz pierwszy przybyła, aby żyć wśród nomadów, ledwo sięgając jego kolan. Pamiętała chudą, kościstą dziesięciolatkę, która pędziła przez las, aby go dogonić. Przypomniała sobie ich gry, nieustanne, nie kończące się,

wszystkie ukierunkowane na jej trening.

Poczuła na twarzy jego oddech. Poczuła bliskość i pomyślała, jaką pewność dawał jej jako dziecku.

— Garth – wyszeptała w rozpacz i poczuła, jak olbrzymie dłonie zaciskają się na jej ręce.

Potem pchnęła nożem.

Rozdział XXVIII

Uciekła. Biegła z wycinki pomiędzy drzewa, odrętwiała z bólu, na wpół oślepiona przez łzy, trzymając przed sobą w obu dłoniach różdżkę Ruhk niczym tarczę. Pędziła przez cienie i półmrok wczesnego ranka wyspy, nic zważając na odległe dudnienie Killeshan i drzenie Morrowindl w odpowiedzi, pragnąc jedynie uciec od czasu i miejsca śmierci Gartha. Wiedziała jednak, że nigdy nie ucieknie przed tym wspomnieniem. Nie zważając na nic, przedzierała się przez krzaki i konary drzew, wysokie trawy i jeżyny, biegła wzdłuż skarp ziemi inkrustowanych lawą, przeskakiwała suche gałęzie i rozrzucone okruchy skał. Nie czuła nic. To nie jej ciało uciekało, tylko umysł.

Garth!

Wołała do niego bez końca, ścigając wspomnienia, jakby chwytając jedno, mogła przywrócić go do życia. Widziała, jak się oddala, widmowy, fantasmagoryczny. Pojawiał się w powietrzu przed nią, jak niewyraźne i odległe obrazy z minionego czasu. Widziała siebie tropiącą, jak to robiła tyle razy, kiedy bawili się w tropiciela i zwierzynę, kiedy ćwiczyli lekcje przetrwania. Widziała siebie ostatniego dnia w Tirfing, zanim pojawił się Coglin i wszystko odmieniło się na zawsze, przemierzającą brzegi Myrian, szukając znaków. Patrzyła, jak zeskakuje z drzew – ogromny, cichy i szybki. Czuła, jak się z nim zмага, odsuwa i jak długi nóż unosi się i opada. Słyszała swój śmiech. „Nie żyjesz, Garth”.

A teraz naprawdę nie żyje.

Jakimś cudem – nigdy tego nie pamiętała – natknęła się na

resztę małej kompanii, tych paru pozostałych przy życiu. Triss, ostatni z elfów, ostatni poza nią, Stresa i Faun. Wpadła na nich, ominęła gniewnie, jakby byli przeszkodą, i szła dalej. Oczywiście poszli za nią, biegnąc, aby ją dogonić, nawołując nagłaco, pytając, co się stało, co się dzieje i gdzie jest Garth.

„Odszedł”, powiedziała, potrząsając głową. „Nie przyjdzie”.

Ale to dobrze. Wszystko w porządku.

Jest teraz bezpieczny.

Ciągle biegnąc, słyszała natarczywe pytanie Trissa: „Co się stało?” I odpowiedź Stresy: „Hsssttt, nie rozumiesz?” Wymieniali słowa, ukradkowe szepty, ale nie uchwyciła ich znaczenia. Faun skoczyła ze ścieżki na ramię Wren, przywierając zaborczo, ale dziewczyna szorstko strąciła drzewną wiewiórkę. Nie chciała, aby ją dotykano. Ledwo znosiła dotyk własnej skóry.

Wydostała się spomiędzy drzew.

— Pani Wren! – usłyszała krzyk Trissa.

Potem wdrapywała się po zboczu lawy, wbijając paznokcie i stopy w ostrą skałę i czując, jak tnie dłonie i kolana. Oddech wydobywał się z jej gardła ze zgrzytem. Kaszłała, krztusząc się słowami, które nie nadejdą. Różdżka Ruhk wypadła jej z dłoni i porzuciła ją. Odrzucała wszystko, całość tego, kim i czym była, chora na samą myśl o tym. Chciała tylko biec, uciekać, pędzić, aż nie będzie już dokąd iść.

Kiedy w końcu upadła wyczerpana, rozciągnięta na zboczu, szlochając spazmatycznie, Triss dobiegł do niej pierwszy, utulił jak dziecko, koił słowami, dotykiem i ofiarował jej tę odrobinę pociechy, której potrzebowała. Pomógł jej wstać, odwrócił i sprowadził z powrotem między drzewa. Niosąc w jednej dłoni różdżkę Ruhk i podtrzymując Wren drugim ramieniem, prowadził ją przez poranne godziny, niczym pasterz zbłąkaną

owieczkę, prosząc tylko, aby stawiała przed sobą stopy i szła z nim. Stresa wysunął się naprzód, a jego przysadzista sylwetka stała się punktem odniesienia, na którym się skupiła, stale zmieniającym się obiektem, w stronę którego się poruszała, najpierw jedna stopa, potem druga i znowu. Faun znowu spróbowała wdrapać się po jej nodze na ramię i tym razem jej nie odtrąciła, tuląc wiewiórkę i chowając twarz w miękkie, ciepłe futerko stworzonka.

W ten sposób wędrowali przez cały dzień – towarzysze podróży, która nie wymagała słów. Kiedy kilka razy zatrzymali się na odpoczynek, Wren przyjęła od Trissa wodę do picia i owoce, które wciskał jej w dłoń. Nie pytała, skąd pochodzą i czy można je jeść. Kiedy chmury rozciągnęły się od horyzontu po horyzont, światło dnia przygasło i mgła na dole zgęstniała. Za nimi niepohamowanymi wybuchami szalał Killeshan. Ogień, popiół i dym tryskały w niebo długimi gejzerami, w powietrzu wisiał gęsty odór siarki, a wyspa drżała i kołysała się. Kiedy w końcu zapadła ciemność, grzbiet gór skąpany był w krwistoczerwonej poświacie, która płonęła na nowo z każdą erupcją i posyłała na odległe zbocza, gdzie lawa biegła do morza, pasma ognia. Głazy chrzęściły i kruszyły się, kiedy unosiła je roztopiona skała, a drzewa płonęły z ostrym trzaskiem rozpacz. Wiatr zamarł zupełnie i na wszystkim zaległa mgła. Wyspa stała się otoczoną ogniem klatką, której mieszkańcy wpadali na siebie w przerażeniu, gniewie i pomieszaniu.

Tej nocy Stresa rozłożył obóz w skalnej rozpadlinie osłoniętej z trzech stron zagajnikiem twardych drzew, nagich i odartych z liści. Skulili się w ciemnościach, oparci plecami o ścianę rozpadliny, i patrzyli, jak rzeź wokół nich przybiera na sile. Wciąż byli o dzień drogi od plaż, dzień od spotkania z Tygrysem

Ty, a nad nimi wisiała zagłada wyspy. Wren wróciła do siebie na tyle, aby zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowali. Sącząc wodę z kubka, który podał jej Triss, wsłuchując się w dźwięk jego głosu, kiedy przemawiał cicho i pocieszająco, przypominała sobie, czego miała dokonać i że to właśnie Tygrys Ty udzielił jej pomocy.

— Triss – odezwała się w końcu nieoczekiwanie, zauważając go po raz pierwszy, wymawiając ze zrozumieniem jego imię i wywołując na jego twarzy uśmiech ulgi.

Wkrótce potem znowu pojawiły się demony, cieniowce Morrowindl, pierwsze, które uciekły z powodzi żaru Killeshan i pomknęły ze wzgórz w stronę plaż, zagubione, dezorientowane i gotowe zabić wszystko, co stanęło im na drodze. Kulejąc, wynurzały się z posępnego mroku niczym obdarłe zbiorowisko kalekich koszmarów i bezmyślnie rzucały się do ataku, bo tak podpowiadał im instynkt i własne szaleństwo. Stresa usłyszał, jak nadchodzą. Ostre uszy uniosły się i ostrzegł resztę na sekundy przed atakiem. Triss powitał napór uniesionym mieczem, stawiał opór i odrzucił napastników. Nawet z jednym sprawnym ramieniem był niemal równym przeciwnikiem dla tych stworów. Ale szaleństwo demonów przerosło strach i rozwagę. Coś wymykającego się zrozumieniu ściągnęło je z gór. Istoty ludzkie były mniejszym zagrożeniem. Skupiły się i zaatakowały ponownie, zdecydowane wziąć odwet na tych, co znaleźli się na ich drodze.

Teraz jednak stanęła przed nimi Wren, pożerana przez własne szaleństwo, spokojna i rozważna, posyłając magię Kamieni Elfów, która ścinała je jak ostrze kosy. Zbyt późno zdały sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Magia pochwyciła je i zniknęły w wybuchu ognia i nagłych wrzaskach. W ciągu paru sekund

pozostał tylko popiół i dym.

Przez całą noc nadciągały inne, niewielkimi grupkami, wyłaniając się z ciemności w gorączkowym pośpiechu, który prowadził je ku szybkiej i pewnej śmierci. Wren niszczyła je bez uczucia, bez żalu, a potem zapłonął dokoła nich las, aż stało się tak gorąco, jak na zboczach powyżej, gdzie parowała lawa. Kiedy nadszedł ranek, całe ich schronienie w promieniu pięćdziesięciu jardów było nagie i dymiące, niczym kostnica pełna poczerniałych ciał trudnych do rozpoznania, grobowiec, w którym tylko oni przeżyli. Nie dane im było zasnąć ani wypocząć. Napastnicy nie dawali wytchnienia. O świcie stanowili grupę widmowych, obdartych postaci z pustym spojrzeniem na tle nadchodzącego światła. Triss miał pół tuzina nowych ran, ubranie w strzępach, a z broni ocalał tylko miecz. Reszta przepadła lub została zniszczona. Twarz Wren szara była od popiołu, a dłonie drżały napełnione mocą Kamieni Elfów. Kolce Stresy sterczały na wszystkie strony i wydawało się, że już nigdy nie wrócą na swoje miejsce. Faun przykucnęła obok Wren, niczym zwinięty płód.

Kiedy ze wschodu wypełzło światło, a srebrne słońce wyjrzało spoza zasłony ognia i dymu, Wren powiedziała im w końcu, co stało się z Garthem. Musiała to wreszcie powiedzieć, pragnąc pozbyć się samotności dźwiganego brzemienia i goryczy wiedzy będącej tylko jej udziałem. Opowiadała cicho, łagodnie, w ciszy, która nastąpiła po atakach. Znowu zapłakała, myśląc, że być może nigdy nie przestanie. Ale tym razem łzy przyniosły ukojenie, jakby w końcu zmyły część bólu. Słuchali jej bez słowa. Kapitan Straży Domowej, splinter i drzewna wiewiórka, skupiając się blisko niej, aby niczego nie stracić. Nawet Faun, która mogła nie rozumieć słów, przycupnęła na ramieniu

dziewczyny. Słowa płynęły z łatwością, unosząc ze sobą zapórę rozpacz i wstydu i gdzieś w głębi poczuła pewien rodzaj spokoju.

— Rwwll, Wren, tak było trzeba – stwierdził uroczyście Stresa, kiedy skończyła.

— Wiedziałaś, prawda? – zapytała w odpowiedzi.

— Hssstt. Tak. Wiedziałem, czego dokona trucizna. Ale nie mogłem ci powiedzieć, Wren z rodu elfów, ponieważ nie chciałaś uwierzyć. To on musiał ci powiedzieć.

Splinter miał rację, aczkolwiek teraz już się to nie liczyło. Rozmawiali jeszcze chwilę, podczas gdy światło sączyło się powoli przez mrok, rozjaśniając świat wokół nich, świat czarnej zagłady, w którym dym nieustannie wił się w niebo wiotkimi spiralami, a ziemia drżała od potęgi gniewu Killeshan.

— Oddał za ciebie życie, Pani Wren – zapewnił poważnie Triss. – Stał w twojej obronie, kiedy napadł cię Wisteron, i walczył o twoje bezpieczeństwo. Żadne z nas temu nie podołało. Próbowaliśmy, ale tylko Garth miał tę siłę. Takim go zapamiętaj.

Ale ona ciągle czuła napór na rękonoż, kiedy wsuwał się w jego serce, jego dłonie zamknięte wokół swoich dłoni, niemal jakby chciał uwolnić ją od odpowiedzialności. Zawsze będzie je czuła, pomyślała. Zawsze będzie widziała to, co wtedy ujrzała w jego oczach.

Wkrótce potem znowu ruszyli, przemierzając zwęglone pole bitwy ubiegłej nocy ku świeżej zieleni krajobrazu leżącego przed nimi dnia i przechodząc ostatni skrawek krainy oddzielający ich od plaż. Drzenie pod ich stopami nie ustawało, a ogniste rzeki lawy płonęły coraz bliżej, spływając z górskich zboczy. Zwierzęta uciekały wokół nich na wszystkie strony i nawet demony nie przystawały, aby zaatakować.

Wszystko pędziło, aby umknąć przed płonącym piekłem, gnane furią Killeshan w stronę brzegów Błękitnej Granicy. Morrowindl powoli zamieniała się w kocioł ognia, zżerana od środka. Wszędzie zaczęły się pojawiać szczeliny, rozległe pęknięcia otwierające się w czerń, syczące i plujące parą i żarem. Świat, który kwitł pod dotknięciem magii elfów, znikał. W ciągu paru dni pozostaną jedynie skały i popioły umarłych. Wokół uciekających powstawał nowy świat, a kiedy proces się zakończy, nie pozostanie w nim nic ze starego świata.

Zeszli na łąki wysokich traw, które stanowiły granicę przed ostatnią połącią starej roślinności porastającej linię brzegu. Trawy już zaczynały się zwijać i umierać, osmalone i parujące od gazów i żaru, które wypalały z nich życie. Karłowate krzewy łamały się pod ich stopami, suche i martwe. Wszędzie dokoła płonęły plamy ognia, a z prawej strony, przez głęboki wąwóz, pełzła wytrwale cienka wstęga czerwonego ognia, przedzierając się przez plamy dzikich kwiatów w stronę kępy akacji, które czekały zastygłe i bezradne. Ze szczytów In Ju, tam gdzie dżungla płonęła wolno przy linii wody, opadały w kłębach chmury czarnej sadzy, a bagniska poniżej już zaczynały wrzeć. Deszcz skał i popiołu spadał niczym grad, wyrzucany przez nieustające eksplozje wulkanu. Wiatr zmienił kierunek i jeszcze bardziej ograniczył widoczność. Był środek dnia, a niebo było srogie, szare i zamglone, jak w jesiennym półmroku.

Wren czuła, jakby jej głowa była częścią powietrza, które wdychała, lekka i bezcielesna. Miała wrażenie, że kości nie trzymają się razem, a ogień magii Kamieni Elfów wciąż płonął i trzaskał, niczym żarzące się węgle. Przeszukiwała wzrokiem krainę wokół siebie, ale wszystko unosiło się i poruszało tak jak chmury.

— Stresa, jak daleko jeszcze? – zapytała.

— Jeszcze kawałek – mruknął splinter, nie odwracając się. – Phhfftt. Nie zatrzymuj się, Wren z rodu elfów.

Szła dalej, wiedząc, że opuszczają ją siły, i zastanawiając się w roztargnieniu, czy to z wyczerpania, czy też z powodu nadmiernego użycia magii. Poczowała, jak Triss przysuwa się bliżej i otacza ramieniem jej barki.

— Oprzyj się na mnie – wyszeptał i przyjął jej ciężar.

Łąki skończyły się, kiedy słońce przesunęło się na zachód i dotarli do starego zagajnika. Płonął już na południu, a najwyższe gałęzie drzew stały w ogniu i unosił się z nich dym. Przedarli się przezeń pośpiesznie, ślizgając się na mchu, liściach i kamieniach. Drzewa były ciche i nieruchome jak kolumny podwórca, którego dach stanowiły nisko wiszące chmury i mgła. Zewsząd unosiły się z mgły odległe powarkiwania i prychanie.

Wędrówka trwała dalej. Raz coś ogromnego poruszyło się w mroku i Stresa odwrócił się szybko, unosząc kolce. Jednak nic się nie pojawiło i po chwili ruszyli dalej. Przed nimi słychać było odgłos wody uderzającej o skały oraz unoszenie się i opadanie oceanu. Wren zdała sobie sprawę, że się uśmiecha, przyciskając do piersi różdżkę Ruhk. Ciągłe mieli szansę, pomyślała udręczona. Ciągłe istniała nadzieja, że uda im się uciec.

W końcu, kiedy światło dnia zgasło za nimi, zachód słońca zapłonął srebrem i purpurą, wyszli spomiędzy drzew i znaleźli się na wysokiej skarpie ponad rozległą połacią Błękitnej Granicy. Dym i popiół przesłaniały widok, ale poza ich zasłoną płonął barwami horyzont.

Kompania podeszła chwiejnie naprzód i przystanąła. Skarpa opadała stromo na brzeg najeżony skałami. Nigdzie nie było śladu plaż ani Tygrysa Ty. Wren oparła się ciężko na różdżce,

patrząc w niebo. Rozciągało się nad jej głową ogromne i puste.

— Tygrysie Ty! – wyszeptała w rozpacz.

Triss puścił ją i odszedł, przeszukując skarpe.

— Na dole! – zawołał po chwili, wskazując na północ. – To plaża. Jeśli się do niej dostaniemy.

Ale Stresa już potrząsał kosmatą głową.

— Sssssttt! Będziemy musieli wrócić przez lasy, z powrotem w dym i między stwory, które się w nim kryją. To nie najlepszy pomysł w nadchodzącej ciemności. Phffttt!

Wren patrzyła bezradnie, jak słońce usadowiło się na skraju oceanu i zaczęło znikać. Za parę minut będzie ciemno. Doszli tak daleko, pomyślała.

— Nie – wyszeptała tak, że nikt nie usłyszał.

Odłożyła różdżkę Ruhk i wyjęła Kamienie Elfów. Trzymając je przed sobą, posłała strumienie białej magii w niebiosy, od krańca do krańca. Jasny płomień przeciął szary półmrok. Światło załśniło niczym ogień i zniknęło. Stali wszyscy, obserwując nadejście ciemności i patrząc, jak słońce maluje niebo barwami, tonąc w oceanie.

Za nimi zaczęli się zbierać myśliwi. Demony zeszły ze szczytów, czarne stwory śledzące ich albo też przyciągane magią. Ich cienie wychynęły na krawędzi mroku, warcząc, prychając i zacieśniając krąg. Wren i jej towarzysze znaleźli się w pułapce, schwytani na skarpie spadającej do oceanu. Wren czuła chrzęst własnych kości, oddechu i słabnące siły. Próżno było oczekiwać, że Tygrys Ty będzie tu na nich czekał po tak długim czasie. Próżne nadzieje. A jednak nie chciała porzucić tej jedynej nadziei, jaka im pozostała. Jeśli będzie trzeba, raz jeszcze użyje magii. Jeszcze raz, odrobinę. Bo nie zostało jej dość, aby utrzymać ich przy życiu jeszcze jedną noc. Nie zostało jej też dość siły, aby

jej użyć. Żadne z nich nie miało już zresztą dość siły.

Triss wyszedł naprzód, aby zmierzyć się z cieniami pomiędzy drzewami, szczupły i surowy, ze zwieszonym sztywno złamanym ramieniem i obnażonym mieczem w drugiej dłoni.

— Trzymajcie się za mną – rozkazał.

Sekundy uciekały szybko. Barwy zachodniego nieba zmieniły się w szarość. Półmrok pogłębiał się w blady odcień popiołu.

— Tam! – ostrzegł Stresa.

Coś wyskoczyło z ciemności. Potężna postać uderzyła w Trissa i powaliła go na ziemię. Za nią pędziła następna i Stresa powitała ją deszczem kolców. Wren wyrzuciła w górę Kamienie Elfów i posłała naprzód strumienie magii, paląc najbliższe stwory. Wrzasnęły i cofnęły się pospiesznie. Triss leżał nieprzytomny na ziemi.

Wren wyczerpana opadła na kolana.

— Sssttt, wstań! – warknął gorączkowo Stresa.

Grupa kalekich postaci zebrała się na nowo i zaczęła posuwać się naprzód.

— Wstań!

Ciszę rozdarł krzyk, dźwięk prawie ludzki i skarpę okrył ogromny cień. Skraj lasu przeorały pazury i napastnicy rozproszyli się w ciemnościach. Wren patrzyła w górę z niedowierzaniem, niezdolna wymówić słowa. Czy widziała...? Cień zakołysał się, wbijając w niebo czarne skrzydła niczym noże, a z jego gardła wydobył się jeszcze jeden krzyk.

— Duch! – krzyknęła Wren, rozpoznając roka.

Ptaka wrócił i opadł na skraj skarpy, gdzie usadowił się, bijąc dziko skrzydłami. Mała, żylasta postać zeskoczyła na dół, krzycząc i wrzeszcząc, jak szalona.

— Ho, tutaj, szybko! Długo nie będą się bały!

Tygrys Ty!

I kiedy Wren dźwignęła na nogi Trissa i chwiejnie wyszła na spotkanie małego człowieczka, ujrzała Tygrysa Ty, jakiego pamiętała sprzed tygodni – pomarszczonego i uśmiechniętego stracha na wróble ze skóry i kości, szybkie, szorstkie dłonie i bystre, jasne oczy. Spojrzał na nią, na jej towarzyszy, różdżkę Ruhk, którą niosła, i roześmiał się.

— Wren Elesedil – powitał ją. – Jesteś tak dobra jak twoje słowo, dziewczyno! Wróciłaś ze śmierci, aby mnie odnaleźć, wróciłaś, aby splunąć mi w twarz i udowodnić, że jednak tego dokonałaś! Do licha, musisz być twarda jak stal!

Była zbyt szczęśliwa, że go widzi, aby zaprzeczyć.

Potem popędził ich na grzbiet Ducha – ale dopiero, kiedy rzucił Stresie ostre spojrzenie i ostrzegł splintera, aby zatrzymał swoje kolce dla siebie. Mrucząc coś o doborze towarzyszy podróży, owinął splintera w skórzaną narzutę i uniósł go. Stresa zachowywał się cicho i ulegle, ale rzucał wokół niespokojne spojrzenia. Wren przywiązała Faun do pleców, dosiadła Ducha i wciągnęła przed siebie na wpół przytomnego Trissa, gdzie mogła go trzymać. Ponieważ miała zajęte ręce, wetknęła różdżkę Ruhk w uprzęż pod nogami. Pracowali szybko poganiani przez prychnania i powarkiwania wydobywające się z ciemności pomiędzy drzewami i ścigani strachem przed ukrytymi tam stworami. Dwukrotnie czarne sylwetki wyskakiwały z cienia, jakby do ataku, ale za każdym razem gniewny krzyk Ducha sprawiał, że odczołgiwały się z powrotem.

Wydawało się, że trwa to całą wieczność, ale w końcu usadowili się na grzbiecie roka. Jeszcze tylko szybkie spojrzenie, aby sprawdzić pasy upręży, i Tygrys Ty wskoczył na górę.

— W górę, staruszkule! – wrzasnął nagłaco.

Z ostatnim krzykiem Duch rozpostarł ogromne skrzydła i uniósł się w powietrze. Garstka demonów wypadła z ukrycia, usiłując dogonić ich ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem i miotając się po skarpie. Kilka pochwyciło pióra roka, ciągnąc w dół ogromnego ptaka. Ale Duch otrząsnął się, odwrócił, ciał pazurami i napastnicy potoczyli się w ciemność. Kiedy rok wyleciał nad Błękitną Granicę i zaczął się wznosić, Wren po raz ostatni spojrzała za siebie. Morrowindl była paleniskiem lśniącym na tle nocy, całym we mgle, parze i popiele. Paszcza Killeshan wypluwała strumienie roztopionej skały. Rzeki ognia biegły do morza.

Zamknęła oczy i nie obejrzała się już.

Nigdy się nie dowiedziała, jak długo lecieli tej nocy. Mogły to być godziny, a mogły być tylko minuty. Przywarła do Trissa i zabezpieczających pasów, walcząc, aby nie zasnąć, wyczerpana do granic wytrzymałości. Ramionka Faun oplatały jej szyję, ciepłe i kosmate, i czuła na karku zmęczony oddech drzewnej wiewiórki. Gdzieś z tyłu podróżował w ciszy Stresa. Raz czy dwa słyszała nawoływanie Tygrysa Ty, ale jego słowa utonęły w wietrze i nie starała się odpowiedzieć. Obraz Morrowindl w tych ostatnich minutach unosił się jej przed oczami niczym widmo, groźne i nieugięte, koszmar, który nigdy nie odejdzie w zapomnienie.

Kiedy wylądowali, była ciągle noc, ale niebo było czyste i jasne. Duch usadowił się na małej wysepce, zielonej od roślinności. W powietrzu unosiła się słodka woń kwiatów. Wren wdychała ją z wdzięcznością, kiedy zsunęła się z szerokiego grzbietu Ducha. Zdrętwiała sięgnęła po Trissa i Stresę. Coś takiego, pomyślała zamroczona – księżyc i gwiazdy, noc jasna od ich światła, żadnej mgły ani ognia.

— Tędy, tutaj, dziewczyno – odezwał się łagodnie Tygrys Ty, ujmując jej ramię.

Poprowadził ją do kępy miękkich traw, gdzie położyła się i natychmiast zasnęła. Kiedy się przebudziła, słońce na horyzoncie miało czerwoną barwę, a jego szkarłatna kula unosiła się w czarne niebiosa z zabarwionych purpurą wód oceanu. Waliły pioruny. Burza i jej ogień wydawały się szaleć zarówno na niebie, jak i na ziemi. Uniosła się na łokciu i patrzyła na dziwne zjawisko, podziwiając je.

— Pośpij jeszcze, panno Wren – wyszeptał Tygrys Ty, trzymający straż u jej boku. – Jeszcze noc. To Morrowindl, cała w ogniu, płonie od brzegu do brzegu. Killeshan pożera wszystko. Myślę, że wkrótce nic nie zostanie.

Wróciła do snu i kiedy znowu się przebudziła, było południe. Słońce stało wysoko na bezchmurnej połaci błękitu, powietrze było ciepłe i wonne, a śpiew ptaków unosił się trelem nad szumem oceanu uderzającego o skały. Gdzieś blisko odezwała się Faun. Wren wstała i ujrzała wiewiórkę siedzącą na kamieniu i ciągnącą gałązkę winorośli, aby ogryźć liście. Triss wciąż spał, a Stresy nie było widać. Duch siedział na skraju urwiska, wbijając groźne spojrzenie w puste wody.

Zza ptaka wyłonił się Tygrys Ty, idąc spokojnym krokiem. Podał jej torbę z owocami i chlebem i skinął, aby odeszli od śpiącego Trissa. Wstała i podeszła z nim, aby usiąść w cieniu palmy.

— Wypoczęłaś? – zapytał i skinęła głową. – Zjedz coś. Musisz umierać z głodu. Wyglądasz, jakbyś nie jadła od wielu dni.

Zjadła z wdzięcznością, a potem wzięła dzbanek piwa, który jej podał, i piła tak długo, aż pomyślała, że pęknie. Faun przyglądała się ciekawie bystrymi oczkami.

— Wygląda na to, że zdobyłaś nowych przyjaciół – zauważył Tygrys Ty, kiedy skończyła. – Znam elfa i splintera z imienia, ale jak to się nazywa?

— Ma na imię Faun. To drzewna wiewiórka. – Wren utkwiała w nim wzrok. Dziękuję, że nas nie zostawiłeś, Tygrysie Ty. Liczyłam na ciebie.

— Ha! – prychnął. – Jakbym mógł przegapić taką okazję, żeby się dowiedzieć, jak się sprawy mają! Ale przyznaję, że miałem wątpliwości, dziewczyno. Sądziłem, że twoja głupota przewyższy twój zapach. Wygląda na to, że prawie tak się stało.

Skinęła głową.

— Prawie.

— Wraciałem codziennie po wybuchu wulkanu, szukając cię. Wybuch widać było na dwadzieścia mil. Powiedziałem sobie; niech mnie licho, jeśli ona nie ma z tym nic wspólnego! I miałaś, prawda? – Wyszczrzył zęby i twarz zmarszczyła mu się jak stara skóra. – W każdym razie krążyliśmy tam raz dziennie, Duch i ja, szukając cię. Zeszłej nocy właśnie skończyliśmy nasze kółko, kiedy zobaczyłem twój ogień. Jak tego dokonałaś? – Zacisnął usta i wzruszył ramionami. – Nie, nie mów mi. To magia naziemnych elfów, albo nie nazywam się Tygrys Ty. Lepiej, żebym nie wiedział. – Przerwał. – W każdym razie, cieszę się, że jesteś bezpieczna.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i siedzieli przez chwilę w milczeniu, patrząc w ziemię. Rybołowy szybowwały i ślizgały się nad wodami, przypominając białe strzały z wyciągniętymi długimi szyjami i odchylonymi do tyłu skrzydłami. Faun opuściła swoje miejsce, aby wdrapać się po ramieniu Wren i wtulić w jej szyję.

— Jak sądzę, twojemu dużemu przyjacielowi się nie udało –

odezwał się w końcu Tygrys Ty.

Garth. Ból wspomnienia sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu. Potrząsnęła głową.

— Nie. Nic udało mu się.

— Przykro mi. Chyba długo będziesz odczuwała jego stratę, prawda? – Przymknął bystre oczy. – Pewien rodzaj bólu niełatwo daje się uleczyć.

Nie odezwała się. Myślała o swojej babce i Eowen, Sowie i Gavilanie Elesedilu, Córcie i Dalu, wszystkich utraconych w próbie ucieczki z Morrowindl. Każdy z nich był częścią bólu, który ze sobą niosła. Wpatrzyła się w dalekie wody, przeszukując niebo. Zdała sobie sprawę, że szuka ostatniej, ciemnej smugi na horyzoncie, gdzie Morrowindl powoli zmieniała się w popiół i skałę.

— A co z elfami? – zapytał Tygrys Ty. – Odnalazłaś je, jak sądzę, skoro jeden z nich przybył z tobą.

Spojrzała na niego zaskoczona pytaniem. Na chwilę zapomniała, że siedzi przy niej.

— Tak, odnalazłam je.

— A Arborlon?

— Arborlon też, Tygrysie Ty.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym pokręcił głową.

— Nie posłuchali, prawda? Nie odeszli. – Stwierdził po prostu fakt, a w jego głosie brzmiała nie skrywana gorycz. – A teraz wszyscy przepadli, zginęli. Wszyscy. Głupi ludzie.

Głupi, doprawdy, pomyślała. Ale nie przepadli. Jeszcze nie. Próbowwała powiedzieć Tygrysowi Ty o Loden, próbowała znaleźć słowa, ale nie mogła. Teraz zbyt trudno było o tym mówić. Ciągłe zbyt blisko czuła koszmar, który zostawiła za sobą, grzęzła wśród strasznych odczuć, które obudzić mogła najmniejsza myśl. Kiedy

tylko przywoływała wspomnienia, czuła, jakby odzierano ją ze skóry. Czuła osmalający ją ogień, przepalający do kości. Elfy, ofiary mylnej wiary w moc magii – jak wiele z tej wiary jej zaszczepiono? Zadrżała na tę myśl. Istniały prawdy, które należało zważyć i zmierzyć, motywy do sprawdzenia i żywoty do pokierowania. Ale to ostatnie nie należało już do niej.

— Tygrysie Ty – powiedziała cicho. – Elfy są tutaj, ze mną. Niosę je... – Zawahała się, kiedy spojrzała wyczekująco. – Niosę je w sercu. – Zmarszczył brwi zmieszany. Opuściła oczy, patrząc na swe puste dłonie. – Problem tylko, czy to właściwe miejsce.

Pokręcił głową i skrzywił się.

— To nie ma sensu. Nie dla mnie.

Uśmiechnęła się.

— Tylko dla mnie. Daj mi trochę czasu, dobrze? Żadnych pytań. Ale kiedy dojdziemy tam, dokąd zmierzamy, oboje dowiemy się, czy lekcja Morrowindl czegoś elfy nauczyła.

Wtedy obudził się Triss, leniwie otrząsnął się ze snu i wstali, aby się nim zająć. Myśli Wren unosiły się swobodnie, kiedy się krzątali. Jak doświadczony żongler ważyła na szali żądania, jakie stawiała terażniejszość, i potrzeby przeszłości, życie elfów i niebezpieczeństwo ich magii, wiarę, którą utraciła, i prawdę, którą odkryła. Milcząca i skupiona, poruszała się wśród swoich towarzyszy, jakby była z nimi, kiedy naprawdę była znowu na Morrowindl, obserwując koszmar jej przemiany wywołanej przebudzeniem magii, odkrywając mroczne sekrety jej twórców, składając okruchy szalonych, przerażających dni walki i wypełnienie powierzonego jej zadania. Czas zatrzymał się w miejscu i kiedy tak stał przed nią, niczym pomnik wyciosany z lodowatej, milczącej introspekcji, mogła wreszcie odrzucić podarte szaty dawnego życia, tę niewinność istnienia

poprzedzającą pojawienie się Coglina, Allanona i podróż w przeszłość i wdziac pelerynę tego, kim i czym zawsze miała być.

Żegnaj, dawna Wren.

Faun pisnęła na jej ramieniu, zebrząc o chwilę uwagi. Ofiarowała jej tę odrobinę, którą mogła. Godzinę później splinter, drzewna wiewiórka, kapitan Straży Domowej, Skrzydlaty Jeździec i dziewczyna, która została królową elfów, szybowali na grzbiecie Ducha na wschód, w stronę czterech krain.

Rozdział XXIX

Resztę dnia zajęło im dotarcie do głównego lądu. Słońce stanowiło bladosrebrny stop na zachodnim horyzoncie, kiedy linia brzegowa zaczęła być wreszcie widoczna – poszarpana ściana czerni na tle nadchodzącej nocy. Zapadła ciemność i pojawił się księżyc i gwiazdy, kiedy osiedli na skarpie przed opuszczonym Wing Hove. Ciała mieli zdrętwiałe i zmęczone, a powieki ciężkie. Z lasu poza nimi unosiły się letnie wonie listowia i ziemi, kiedy szykowali się do snu.

— Phfftt! Coraz bardziej podoba mi się twój kraj, Wren z rodu elfów – powiedział Stresa tuż przed zaśnięciem.

O świcie znowu wylecieli na północ wzdłuż linii wybrzeża. Tygrys Ty leciał przytulony mocno do lśniącej głowy Ducha, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, nie odzywając się do nikogo. Kiedy Wren powiedziała, dokąd chce się udać, rzucił jej długie, surowe spojrzenie i od tamtej pory już na nią nie spojrzął. Lecieli z powietrznymi prądami na zachód wzdłuż Irrybis, Rock Spur i do Sarandanon. Ląd lśnił pod nimi zielenią lasów, czernią ziemi, lazurem jezior, srebrem rzek i tęczą barw ukwieconych łąk. Świat w dole wydawał się bez skazy, choroba, którą zesłały nań cieniowce nie była widoczna. Mijały godziny, powolne, leniwe i wypełnione wspomnieniami. Czuli w sercach jakiś ból, tęsknotę, która mogła trwać wiecznie mimo świadomości, że jutro będzie inne, a życie niesie jeszcze ze sobą kilka obietnic.

W południe wylądowali na łące na południowym krańcu Sarandanon i zjedli owoce, ser i kozie mleko, które dał im Tygrys Ty. W gałęziach drzew fruwały ptaki, a po konarach przemykały maleńkie zwierzątka i znikwały w norach. Faun przyglądała się

wszystkiemu, jakby widziała to po raz pierwszy. Stresa węszył w powietrzu, marszcząc i wykrzywiając kocią twarz. Triss miał się na tyle dobrze, aby usiąść i wstać, chociaż jeszcze w bandażach i łąbkach. Silną twarz miał pociętą i posiniaczoną. Uśmiechał się często do Wren, ale wzrok miał smutny i daleki. Tygrys Ty trwał zamknięty w sobie. Wren wiedziała, że obraca w myślach, co powinna była uczynić: chciał zapytać, ale też nie miał na to ochoty. Uznała, że jest ciekawym człowiekiem.

Kiedy skończyli posiłek, podjęli podróż, szybując do doliny w stronę Rzeki Szumiącej Pieśni. W południe podążali korytem rzeki na północ powolnym, spokojnym ślizgiem w stronę zachodzącego słońca.

Nadchodził półmrok, kiedy dotarli do Carolan. Od wschodniego brzegu rzeki wyrosła mocnym reliefem skalna ściana, ciągnąc się do pustej skarpy, która wrywała się w górę z ochronnej bariery wyniosłych drzew, osłaniający klif, który wznosił się jeszcze wyżej. Skarpa była naga i skalista – poszarpana połać ziemi, na której rosły tylko pojedyncze kępy traw. To właśnie na szczycie Carolan zbudowano Arborlon. Stąd ponad sto lat temu zabrano miasto.

Tygrys Ty skierował Ducha w dół i gigantyczny rok opadł miękko na środek skarpy. Jeźdźcy zsiadli jeden po drugim. Wren i Tygrys Ty pracowali ramię w ramię, aby odpiąć Stresę i zsadzić go na ziemię. Przez chwilę stali w grupie, patrząc na pustą połać ciemnego lasu na wschodzie i spadek urwiska na zachodzie. Kraina poza nimi pełna była cieni, a na niebiosach malowały się blade pasma purpury i złota.

— Ssstt! Co to za miejsce? – zapytał niespokojnie Stresa, patrząc na poszarpaną skarpe.

— Dom – odpowiedziała w roztargnieniu Wren, zatopiona

gdzieś głęboko we własnym wnętrzu.

— Dom! Ssspph! – Splinter był zdumiony.

— Co tutaj robimy, jeśli wolno mi zapytać? – warknął Tygrys Ty, niezdolny dłużej się powstrzymać.

— To, o co prosił mnie cień Allanona – odrzekła.

Sięgnęła pomiędzy uprzęż Ducha i wyciągnęła różdżkę Ruhk. Orzechowy trzonek był zniszczony i brudny, a lśniaca niegdyś powierzchnia matowa i porysowana. Przymocowany na jednym końcu Loden lśnił w gasnącym świetle z matową, zmęczoną wytrzymałością.

Wetknęła w ziemię koniec różdżki i chwyciła ją obiema dłońmi. Wzrok utkwiała w Kamieniu, a jej myśli ponownie powędrowały ku Morrowindl, do długich, nie kończących się dni mgły i ciemności, demonów, cieniowców, potworów i pułapek oraz koszmaru zrodzonego z magii elfów. Wyspa wyrosła z jej wspomnień i pociągnęła ją za sobą niczym szalony, skazany na zagładę kochanek, zbyt niebezpieczny, aby go zatrzymać. Maszerowały przed nią twarze umarłych – Ellenroh Elesedil, której oddano w opiekę i która przekazała Wren to zadanie; Eowen, która widziała zbyt wiele z przyszłych wydarzeń; Aurin Striate, który był jej przyjacielem; Gavilan Elesedil, który mógł nim być; Cort i Dal, jej obrońcy; i Garth, który był wszystkim. Witła ich w milczeniu, z uszanowaniem, obiecując każdemu, że zostanie im oddane to, co ofiarowali, że nie zawiedzie pokładanego w niej zaufania i poniesie konieczną ofiarę.

Zamknęła oczy i odpędziła przeszłość, a potem znowu je otworzyła, napotykając zebrane wokół niej twarze. Przez jedną chwilę uśmiechała się uśmiechem swej babki.

— Triss, Streso, Tygrysie Ty i ty, maleńka Faun – jesteście teraz moimi najlepszymi przyjaciółmi i jeśli możecie, chciałabym,

abyście zostali przy mnie tak długo, jak zdołacie. Nie będę was zatrzymywać – nawet ciebie, Triss. Nie rozkazuję ci. Proszę, abyście sami zdecydowali.

Nikt się nic odezwał. W ich oczach widniała niepewność, cień zmieszania. Faun wysunęła się naprzód i niespokojnie ciągnęła ją za nogę.

— Nie, maleńka – powiedziała Wren. Skinęła na pozostałych. – Chodźcie ze mną.

Ruszyli przez Carolan – dziewczyna, elf, Skrzydlaty Jeździec, jego rok i dwa stworzenia z Morrowindl – śledząc cienie w zmierzchu poza nimi. Spomiędzy drzew i skał urwiska uniósł się śpiew ptaków, kiedy zapadł mrok, a w dole mruzczała nieprzerwanie Rzeka Szumiącej Pieśni.

Kiedy dotarli na krawędź urwiska, Wren odwróciła się i odeszła kilka kroków tak, że pozostali stanęli za nią. Patrzyła przez skarpe w stronę lasu, z powrotem w zbliżającą się noc. Ponad drzewami wzeszły gwiazdy, jasne łebki szpilek na tle czerniejącego nieba. Jej dłonie zacisnęły się na różdżce Ruhk. Od wielu dni czekała na tę chwilę, a teraz, kiedy nadeszła, nie czuła ani podniecenia, ani niepokoju, a jedynie zmęczenie. Kiedyś zastanawiała się, czy będzie w stanie przywołać magię Loden, kiedy nadejdzie czas – co postanowi, jak będzie się czuła. Niepotrzebnie, pomyślała. Nie czuła wahania. Może zawsze wiedziała. A może wszystkie wątpliwości znalazły odpowiedzi gdzieś po drodze. Ale teraz to już nieważne. Była spokojna. Wiedziała nawet, jak działa magia, chociaż babka nigdy jej tego nie wyjaśniła. Bo nie było to konieczne? Bo było instynktowne? Wren nie była pewna. Dość, że miała wezwać magię, i wreszcie zdecydowała się to uczynić. Wdychała ciepłe powietrze, jakby tonęła w gasnącym świetle. Nasłuchiwała bicia własnego serca.

Potem wbiła różdżkę Ruhk w ziemię, obracając ją w dłoniach i wgniatając w glebę. Magia ziemi, powiedziała Eowen. Cała magia elfów była magią ziemi, czerpała moc z jej pierwiastków. To, co od niej pochodziło, musiało powrócić.

Utkwiła wzrok w lśniących ściankach Loden. Świat wokół zamarł i wstrzymał oddech. Dłonie zwolniły uścisk, palce spoczywały lekko i miękko na sękatym, wypolerowanym drewnie, niczym pieszczota kochanka. Wiedziała, że musi tylko ich zawołać. Tylko pomyśleć, nic więcej. Tylko zapragnąć. Tylko otworzyć umysł na ich obecność, życie zamknięte w Kamieniu. Nie zastanawiać się, nie zadawać pytań. Przywołać ich. Przywrócić do życia. Poprosić.

Tak.

Chcę.

Loden zapłonął jasno, fontanna białego światła na tle ciemności, tryskając ogniem, a potem rosnąc z oślepiającą jasnością. Wren czuła, jak różdżka Ruhk drży w jej dłoniach i zaczyna parzyć. Wzmocniła uścisk, mrużąc oczy przed blaskiem, a potem opuszczając wzrok. Światło urosło i zaczęło się rozprzestrzeniać. W jego wnętrzu był kształt i ruch. I nagle zerwał się wiatr, jakby znikąd, tnąc przez skarpe, porywając światło i niosąc je ze sobą przez pustą przestrzeń ku drzewom, skałom i z powrotem, roznosząc je od krańca do krańca. Wiatr huczał, ale brakowało mu siły i uderzenia. Był tylko dźwiękiem i jasnością, która pochłonęła światło.

Wren usiłowała spojrzeć w tył na swoich towarzyszy, aby się upewnić, czy są bezpieczni, że magia nie uczyniła im krzywdy, ale nie była w stanie odwrócić głowy. Dłonie zaciskała mocno na różdżce Ruhk, jakby była z nią połączona, schwyтана w sidła magii, oddana jej cała.

Światło wypełniło całą skarpgę, coraz większe, wznoszące się, aż odgradzające je drzewa i urwiska zniknęły całkowicie, aż niebiosa zapadły się w nie i wszystko zabarwiło się srebrem. Rozległ się gwałtowny dźwięk, ziemia i skały rozdarły się i osiadło na nich coś ciężkiego. Przez uchylone powieki widziała w rosnącym świetle kształty, przybierające stopniowo formy drzew, dróg i ścieżek. Pojawiły się trawniki i parki. Arborlon wracało do istnienia. Patrzyła, jak się materializuje, jakby obserwowała to gdzieś spoza ociekającej deszczem szyby, odległe i niewyraźne. Pośrodku, niczym lśniący łuk srebra i purpury, stała Ellcrys. Wren poczuła, jak siły zaczynają ją opuszczać, moc magii wyczerpywała się w miarę użycia i całym wysiłkiem utrzymywała się na nogach. Białe światło wirowało i kłębiło się jak chmury przed burzą, zbierając siły, aż zaczęło się wydawać, że za chwilę wszystko wybuchnie w potężnym ryku piorunów.

Potem zaczęło blednąć, przygasając i wsiąkając w ciemność jak woda w piasek. Wren wiedziała, że to koniec. We wnętrzu mgiełki widziała Arborlon, odróżniała nawet ludzi stojących w grupkach na skraju jasności, kiedy wyglądali, aby zobaczyć, co leży na zewnątrz. Dokonała tego, o co prosiła ją babka, o co prosił Allanon, i wypełniła wszystkie zadania powierzone jej przez pozostałych – ale jeszcze nie to, które sama sobie wyznaczyła. Nie wystarczyło do tego przywrócić Westlandii elfy i ich miasto. Nie wystarczy oddać je z powrotem czterem krainom – lud powracający z wygnania, które sami sobie wyznaczyli. Nic po Morrowindl. Nie, kiedy знаła już prawdę o cieniowcach. Nie, po życiu z koszmarem możliwości, że magia raz jeszcze mogłaby zostać niewłaściwie wykorzystana. Na innych warunkach powierzono jej życie elfów: odda je im na własnych.

Zacisnęła dłonie na różdżce Ruhk i posłała resztkę magii

prosto w światło, sięgając głęboko w ziemię. Wszystko, co pozostało, wszystko, co kiedykolwiek istniało. Osuszyła ją ostatnim gorączkowym wysiłkiem, który rzucił w lśniące powietrze eksplozję ognia. Smagnął jak błyskawica, błysk po błysku. Nie wypuściła go. Wyczerpała wszystko, opróżniając różdżkę i Kamień, wypalając moc, aż błysnęła po raz ostatni i odeszła.

Wróciła ciemność. Na chwilę w nocnym powietrzu zawisła mgła, a potem rozproszyła się w odrobinki kurzu i zaczęła osiadać. Śledziła ich ruch, widząc teraz pod stopami trawę, gdzie nie było jej przedtem, wdychając woń drzew i kwiatów, płonącej smoły, gotowanej strawy, drewna, stali i życia. Przez ciemną linię różdżki Ruhk patrzyła na miasto, przywrócone Arborlon, oświetlone przez latarnie, którego ulice i wysadzone drzewami drogi ciągnęły się niczym ciemne wstęgi.

Stali przed nią ludzie, elfy, tysiące ludzi zebranych na skraju miasta, patrzących szeroko otwartymi oczami i zdumiewających się. Na przedzie stali myśliwi elfów z wysuniętą bronią. Spojrzała na nich i napotkała spojrzenia utkwione w niej i w różdżce Ruhk. Słyszała, jak Tygrys Ty pomrukuje z niedowierzaniem, jak Triss podchodzi, aby stanąć przy niej, a za nim Stresa i Faun. Czuła ich oddechy na karku, delikatne dotknięcia na skórze.

Z tłumu wyłonili się Barsimmon Oridio i Eton Shart i podeszli powoli. Przystanęli w odległości kilku stóp. Żaden z nich nie był w stanie przemówić.

Wren podniosła różdżkę Ruhk i wyprostowała się. Po raz pierwszy podniosła wzrok na Loden. Lśniące fasety zmieniły się w ciemność. Magia powróciła w głąb ziemi. Loden przemienił się w zwykły kamień.

Uniosła różdżkę bliżej twarzy i zauważyła, że jest zwęglona,

pokruszona i martwa. Ujmując ją mocniej w dłonie, uderzyła w uniesione kolano, złamała na dwie części i rzuciła na ziemię.

— Elfy wróciły do domu – rzekła do dwóch mężczyzn stojących przed nią z otwartymi ustami – i nigdy go już nie opuszczą.

Triss minął ją ze wzrokiem pełnym dumy i zdecydowania, choć ciało miał jeszcze pokryte bandażami i plastrami. Podszedł do miejsca, gdzie mógł być widoczny, i stanął przy dowódcy armii elfów oraz pierwszym ministrze.

— Strażnicy Domu! – zawołał.

Pojawili się natychmiast w kilka tuzinów, zbierając się rzędami przed swym kapitanem. Przez tłum przebiegł szmer oczekiwania. Potem Triss odwrócił się do Wren, powoli opadł na kolano i położył dłoń na sercu na znak hołdu. Za jego plecami mrugały latarnie miasta, niczym robaczki świętojańskie w ciemności.

— Wren Elessedil, królowa elfów! – obwieścił. – Strażnicy Domu gotowi są ci służyć!

Za jego przykładem poszli myśliwi elfów, klękając i powtarzając słowa w pomieszonym pośpiechu. Tak samo uczynili niektórzy spośród tłumu, coraz więcej ludzi. Eton Shart pochylił głowę, a za nim, po krótkiej chwili wahania, Barsimmon Oridio. Czy rozpoznali prawdę, czy po prostu szli śladem Trissa, Wren nigdy się nie dowiedziała. Stała bez ruchu, kiedy klęczeli przed nią, cały naród elfów, jej podopieczni z woli Ellenroh, jej odnaleziony lud.

Kiedy podeszła ich powitać, w jej oczach lśniły łzy.

Twierdza druidów zadrżała po raz ostatni: potężny, kamienny olbrzym poruszył się we śnie i ucichł. Coglin czekał, przytrzymując się ciężkiego blatu stołu z zamkniętymi oczami,

pochyloną głową, upewniając się, że jego siły powróciły. Znowu stał w krypcie, która kryła w sobie Kroniki druidów, wrócił do siebie po poszukiwaniach Walkera i opuszczeniu ciała na sposób druidów. Odnalazł Walkera i ostrzegł go, ale nie mógł pozostać – zbyt słaby, zbyt stary, skóra i kości sztywne i obolałe. To, czego dokonał, odebrało mu wszystkie siły.

Czekał i drzenie się nie powtórzyło.

W końcu dźwignął się na nogi, puścił blat, otworzył oczy i ostrożnie rozejrzał się dokoła. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był on sam – jego dłonie i ramiona, a potem ciało – znowu był całością. Chwycił oddech, na próbę potarł o siebie dłonie i dotknął się, aby być pewnym, że to, co widzi, jest prawdą. Przezroczystość zniknęła; znowu był z ciała i krwi. Pogłoska opierał się o niego, tak mocno ocierając łbem o chude ciało, że prawie przewrócił starca. Bagienny kot także znowu był sobą już nie zarysy i cienie, nie widmo.

I komnata – kamienne ściany były twarde i wyraźne, barwy ostre, a zarysy i powierzchnia określone materią i światłem. Coglin wziął długi, powolny oddech. Walker tego dokonał. Przywrócił Paranor z powrotem do świata ludzi. Wyszedł z małej komnaty przez gabinet na korytarze twierdzy. Pogłoska człapał za nim. Korytarze wypełniało światło słońca, wlewając się strumieniami przez wysokie okna, a w jego blasku tańczyły drobinki kurzu. Starzec dostrzegł białe chmury na błękitnym niebie. W letnim powietrzu unosiła się woń drzew i traw.

Z powrotem.

Żywy.

Zaczął szukać Walkera, idąc korytarzami twierdzy, a jego kroki szurały cicho po kamieniu. Przed sobą usłyszał niewyraźny ruch czegoś unoszącego się z czeluści zamczyska, niski, dudniący

dźwięk, jakby rozdrażniony oddech... I już wiedział. To ogień, który zasilał twierdzę z wnętrza ziemi, martwy i zimny przez cały ten czas, a teraz żywy po powrocie Paranor u.

Skręcił do holu biegnącego do studni pod twierdzą.

W mroku przed nim coś się poruszyło.

Coglin zwolnił i zatrzymał się. Pogłoska przygarbił się i warknął. Z mroku zmaterializowała się postać, przybyła z miejsca, gdzie nie dociera światło słońca, cała w czerni i pozbawiona twarzy. Postać zbliżyła się, a światło wyłowiło zarysy zakapturzonego mężczyzny, wysokiego i szczupłego na tle mroku, poruszającego się powoli, ale zdecydowanie.

— Walker? – zapytał Coglin.

Tamten nie odpowiedział. Zatrzymał się na kilka stóp od starca. Warkot Pogłoski zamienił się w ciężki oddech. Mężczyzna wyciągnął ramiona i zsunął kaptur.

— Powiedz mi, co widzisz – odezwał się Walker Boh.

Coglin wytrzeszczył oczy. To był Walker, a jednak nie on. Rysy twarzy były te same, ale był teraz większy i nawet z tą białą skórą wydawał się czarny jak popiół, a jego cień był tak ciemny, że wcale nie pochłaniał światła. Ciało Walkera, nawet pod tymi szatami, robiło wrażenie odzianego w zbroję. Ciągłe nie miał prawego ramienia. W lewej dłoni trzymał Czarny Kamień Elfów.

— Powiedz – raz jeszcze poprosił Walker.

Coglin spojrzał mu w oczy. Były bez wyrazu, twarde i niezgłębione. Czuł, jakby patrzył przez niego na wylot.

— Widzę Allanona – odpowiedział cicho starzec.

Przez ciało Walkera przebiegło drżenie i odeszło.

— Jest teraz częścią mnie, Coglinie. Tą, którą zostawił, aby strzegła twierdzy, kiedy odesłał ją z czterech krain; to ona czekała na mnie we mgle. Byli tu wszyscy, wszyscy druidzi –

Galaphile, Bremen, Allanon, wszyscy. W ten sposób przekazywali sobie swoją wiedzę, jeden na drugiego – to rodzaj połączenia ducha i ciała. Bremen dźwigał to wszystko, kiedy stał się ostatnim z druidów. Przekazał to Allanonowi, a ten z kolei mnie.

Jego oczy były jasne; tkwił w nich ogień, którego Coglin nie potrafił pojąć.

— Mnie! – wykrzyknął nagle Walker Boh. – Ich nauki, ich wiedzę, ich dzieje, ich szaleństwo – wszystko, czemu nie ufałem i czego unikałem tak długo! Wszystko to dał mnie!

Drżał i Coglin przeraził się nagle. Ten mężczyzna, którego znał tak dobrze, jego uczeń, od jakiegoś czasu przyjaciel, był teraz kim innym, człowiekiem przemienionym tak całkowicie, jak noc przechodzi w dzień. Dłonie Walkera zacisnęły się na Czarnym Kamieniu Elfów, kiedy uniósł go przed sobą.

— Dokonało się, starcze, i nie może być odwrócone. Allanon ma swego druida i swą twierdzę z powrotem w świecie ludzi. Ma swoje zadanie, które wypełniłem. I umieścił we mnie swoją duszę! – Dłoń opadła, jakby przyciągał ją do ziemi jakiś ciężar. – Myśli, że przeze mnie stworzy nowych druidów. Dziedzictwo Brin Ohmsford. Dał mi swą moc, swoją wiedzę, zrozumienie, swoje dzieje. Dał mi nawet swoją twarz. Spójrz na mnie, a zobaczysz go. – W ciemnych oczach pojawił się nieobecny wyraz. – Ale mam swoją własną siłę, siłę, którą zdobyłem, przeżywając rytuał przemiany, jaki mi zgotował, koszmar rozumienia, co znaczy być druidem. Nie zmieniłem się zupełnie, nawet po tym.

Patrzył twardo na Coglina, po czym podszedł i położył ramię na chudych barkach.

— Ty i ja, Coglinie – wyszeptał. – Przeszłość i przyszłość. Tylko my pozostaliśmy z druidów. Ciekawe będzie sprawdzić, czy możemy dokonać zmian.

Powoli odwrócił starca i ruszyli razem korytarzami. Pogłoska patrzył za nimi przez chwilę, obwąchał podłogę, po której kroczył Walker Boh, jakby próbując rozpoznać jego zapach, po czym poczłapał ostrożnie za nimi.

Tutaj kończy się Księga Trzecia *Potomków Shannary*. Księga Czwarta, *Talizmany Shannary*, zamknie opowieść o Walkerze, Wren, Parze, Collu i ich przyjaciółach wplątanych w ostateczną walkę przeciwko Rimmerowi Dallowi i ceniowcom.

Koniec tomu VI